



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

# Chlorek sodu



Jussi  
**Adler-Olsen**

# Jussi Adler-Olsen

# Chlorek sodu

Z języka duńskiego przełożyła  
Joanna Cymbrykiewicz



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

*Natrium Chlorid*

© Jussi Adler-Olsen and JP/Politikens Hus A/S 2021  
in agreement with Politiken Literary Agency

Copyright © 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2022 for the Polish translation by Joanna Cymbrykiewicz  
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Marcin Słociński/ monikaimarcin.com

Zdjęcie użyte na okładce: Getty Images

Zdjęcie autora: © Tine Harden

Redakcja: Marta Chmarzyńska

Korekta: Iwona Wyrwisz, Joanna Rodkiewicz, Edyta Malinowska-Klimiuk

ISBN: 978-83-8230-468-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2022

# Spis treści

prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27  
28  
29  
30  
31  
32  
33  
34  
35  
36  
37  
38  
39  
40  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47  
48  
49  
50  
51  
52  
53  
54  
55  
56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

epilog

podziękowania

przypisy

Zadedykowane Ellie, naszej pięknej i mądrej wnuczce

## prolog

---

1982

Zaledwie pięć minut po telefonie alarmowym karetka skręciła na trawnik, na którym panował chaos tak niewyobrażalny, że trudno będzie o nim zapomnieć.

Wokół dymiącej wyrwy leżało sześć martwych ciał, a przenikliwy zapach palonego mięsa mieszał się z wonią ozonu, wciąż utrzymującą się w powietrzu po uderzeniu pioruna.

– Odsuńcie się! – zawołał mężczyzna z załogi karetki do grupki studentów, którzy przybiegli z budynku uniwersytetu położonego na przeciwległej stronie ulicy i teraz stali jak wryci, wpatrując się w zwłoki.

Jego kolega pociągnął go za rękaw.

– Martin, nic tu nie zdziałyśmy, ale spójrz tam!

Wskazał na starszego mężczyznę, pod którym powoli ugięły się kolana, aż w końcu sięgnęły namokłej trawy.

– Dlaczego oni stali tak blisko siebie i dlaczego piorun nie uderzył w drzewa? – wyszłochał mężczyzna, gdy się do niego zbliżyli. I choć lało jak z cebra i płaszcz starszego pana oblepiał go niczym mokra szmata, nieszczęśnik skupił uwagę tylko na tym, co właśnie się wydarzyło.

Martin odwrócił się w stronę budynków uniwersyteckich, gdzie syreny i niebieskie migające światło wieszczły rychłe przybycie dodatkowych karetek i wozów patrolowych.

– Podajmy mu coś na uspokojenie, żeby nie dostał udaru – powiedział jego kolega.

Martin skinął głową i zamknął oczy. Przez ścianę deszczu dostrzegł postaci dwóch kobiet siedzących w kucki przy powiększającej się kałuży nieopodal krzewów.

– Chodźcie, prędko! – zawołały, więc Martin chwycił torbę i puścił się do nich biegiem.

– Odnoszę wrażenie, że ona oddycha – jęknęła jedna z kobiet, podkładając rękę pod kark siódmej poszkodowanej.

Jeśli nie liczyć mocno osmalonej odzieży nieprzytomnej ofiary, nic nie wskazywało na to, by ta młoda kobieta doznała tak silnych poparzeń jak pozostali.

– Wydaje mi się, że to piorun ją tutaj odrzucił – powiedziała samozwańcza ratowniczka drżącym głosem. – Uratujecie ją?

I kiedy Martin wyciągał szczupłe ciało z ciągle powiększającej się kałuży, za jego plecami podniosły się krzyki. Widocznie jego świeżo przybyli koledzy właśnie



stwierdzili, że nic tu po nich. Piorun zabił całą tłoczącą się w deszczu szóstkę.

Ratownik ułożył kobietę w pozycji bocznej ustalonej i poszukał jej pulsu: był spowolniony i słaby, ale stabilny. W chwili gdy mężczyzna wstał i przywołał kolegów z noszami, ciałem poszkodowanej wstrząsnęły drgawki. Kilka krótkich, głębokich oddechów uniosło klatkę piersiową ofiary, która nagle poderwała się na łokciach i rozejrzała.

– Gdzie ja jestem? – spytała, wodząc wokół nabiegłymi krwią oczami.

– W Fælledparken, w Kopenhadze – wyjaśnił Martin. – Uderzył w was piorun.

– Piorun?

Potaknął.

– A pozostali? – Spojrzała w stronę nerwowej krzątającej.

– Znała ich pani? – spytał.

Skinęła głową.

– Tak, byliśmy razem. Nie żyją?

Martin zawahał się, ale potwierdził.

– Wszyscy?

Znów kiwnął głową, obserwując jej twarz. Spodziewał się zobaczyć na niej szok i smutek, przebiegła mina kobiety mówiła jednak coś innego.

– To dobrze – oświadczyła spokojnie i pomimo dojmującego bólu, który musiała odczuwać, jej twarz rozjaśnił diaboliczny uśmiech. – Wie pan co? – spytała, nie czekając na odpowiedź. – Jeśli mogłam to przeżyć, to z Bożą pomocą mogę przetrwać wszystko.

Wtorek, 26 stycznia 1988

## MAJA

Dziesięć dni po Nowym Roku zimowy wiatr niespodziewanie nawiedził kraj, sprowadzając nań lodowate porywy i niespotykane niskie, minusowe temperatury. Na widok ściętego lodem podwórka Maja głęboko westchnęła. Już trzeci rok z rzędu będzie musiała zmienić opony na zimowe, ale jako że tym razem spadło to na nią krótko po Bożym Narodzeniu, to w żadnym razie nie będzie jej stać na to, by usługę wykonał ten mechanik co zawsze. Na szczęście w lokalnej gazecie rzuciło jej się w oczy ogłoszenie warsztatu samochodowego, który oferował błyskawiczny, skuteczny i supertani serwis wymiany opon, a że w dodatku znajdował się nieopodal przedszkola jej syna w Sydhavnen, postanowiła się tam udać.

Tak najczęściej wygląda codzienność samotnej matki. Liczy się każdy grosz.

Zakład Ove Wilders Auto stanowił połączenie lakierni i warsztatu samochodowego, a jego właściciel i szef był budzącym zaufanie mężczyzną, jednym z tych, którzy dorastali, grzebiąc żyłastymi rękami w silnikach samochodowych, więc Maja odetchnęła z ulgą. Będzie dobrze.

– Sprawdzimy tylko, czy wszystko działa, jak powinno – powiedział, dając znak kilku mechanikom, którzy siedzieli w kanale, świecąc na podwozie podwieszzonego samochodu.

– Za parę godzin powinien być gotowy. Jak pani widzi, mamy co robić.

Po zaledwie trzech kwadransach zadzwonili do niej do pracy.

„Jak szybko, cudownie!” – pomyślała z radością, słysząc w słuchawce głos właściciela warsztatu. Jednak jej uśmiech szybko zbladł.

– Obawiam się, że dziś z tym nie zdążymy – oświadczył. – Zauważyliśmy, że bieżnik tylnych letnich opon jest zupełnie wytarty, więc zaczęliśmy podejrzewać, że z tylnym zawieszeniem jest coś nie tak, ale okazało się, że chodzi o oś, która może lada chwila pęknąć, a to już całkiem inna sprawa.

Maja zacisnęła dłoń na słuchawce.

– Oś?! Ale chyba można ją zespawać, prawda?

– Zobaczymy, ale niestety nie liczyłbym na to, bo jest strasznie zjechana – powiedział mężczyzna poważnym tonem. – Raczej na pewno trzeba ją będzie

wymienić.

Maja odetchnęła głęboko, bojąc się pomyśleć, ile to będzie kosztowało.

– Już do państwa pędzę, muszę tylko odebrać synka z przedszkola – powiedziała, odnotowując, jak jej ręka spoczywająca na stole zaczyna się trząść. Jak ma zapłacić? I jak ma sobie poradzić bez samochodu, skoro...?

– Powiada pani, że do nas pędzi. No dobrze. Zamykamy o piątej – odparł cierpko.

Ubranie dziecka w kombinezon wymaga czasu, więc Maja pędem ruszyła spod przedszkola z sercem w gardle i Maxem w spacerówce, bo też minęła już pora zamknięcia zakładu. Dlatego odetchnęła z ulgą, widząc otwartą bramę na końcu ulicy i swój samochód, wystający z budynku warsztatu, z kołami do połowy zakopanymi w śniegu.

Czyli zdążyła.

– Moje auto! – zawołał Max. Uwielbiał ten samochód.

Po wkroczeniu na teren warsztatu Maja zobaczyła nogi mężczyzny wystające z za jej pojazdu.

„Dziwne! Dlaczego w taki mróz leży w śniegu bezpośrednio na asfalcie?” – zdążyła pomyśleć, nim od pierwszego huku szyby w budynku eksplodowały, zasypując wszystko wokół deszczem odłamków, a fala uderzeniowa kolejnego wybuchu zaledwie sekundę później wyrwała jej z rąk spacerówkę z Maxem i odrzuciła ją wiele metrów w tył.

Gdy kobieta wstała, zobaczyła tylko płomienie i dym. Warsztat zawalił się dokumentnie, a jej samochód leżał w odległości kilku metrów kołami w górę.

Z sercem walącym jak młot zaczęła się gorączkowo rozglądać na wszystkie strony.

– Maaaax! – wrzasnęła, nie słysząc własnego głosu.

Wtedy rozległa się kolejna eksplozja.

Poniedziałek, 30 listopada 2020

MARCUS

„Niezbyt piękny widok” – pomyślał szef Wydziału Zabójstw Marcus Jacobsen, zastawszy rosnącego podkomisarza policji siedzącego za biurkiem z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami, zupełnie wypompowanego.

Ostrożnie trącił jego leżące na stole nogi.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w niczym ważnym, Carl – powiedział z krzywym uśmiechem.

Zaspany mężczyzna był najwyraźniej zbyt nieprzytomny, by zareagować na ironię.

– Ach, to rzecz względna, Marcus. – Ziewnął. – Musiałem jedynie przetestować, czy odstęp między brzegiem biurka a moimi nogami jest odpowiedni.

Marcus skinął głową. Remont piwnicy Komendy Głównej ciężko doświadczył jego kolegów z Departamentu Q i prawdę mówiąc, szef Wydziału Zabójstw bynajmniej nie był zadowolony z tego, że jego najbardziej anarchistyczną sekcję przeniesiono tak blisko niego do nowej siedziby na Teglholmen w Sydhavnen, gdzie mieściły się teraz komórki dochodzeniowe kopenhaskiej policji. Obecność skwaszonej gęby Carla Mørcka i wiecznie niewyparzonej gęby Rose Knudsen potrafiła wytrącić z równowagi każdego. W skrytości ducha Marcusowi od czasu do czasu marzyło się, by Carl i spółka wrócili do czeluści piwnicy Komendy Głównej, ale przecież dobrze wiedział, że nie ma na to szans. Choć właśnie w tym feralnym, dotkniętym koronawirusem roku byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby Departament Q został w podziemiach dawnej komendy.

– Carl, musisz na to spojrzeć. – Jacobsen otworzył teczkę sprawy i wskazał na nekrolog wyrwany z gazety. – Co ci to mówi?

Mørck przetarł oczy i przeczytał.

Maja Petersen, 11 listopada 1960 – 11 listopada 2020.

Będziemy bardzo tęsknić.

Rodzina

Carl podniósł wzrok.

– Cóż, kobieta zmarła w swoje sześćdziesiąte urodziny, ale poza tym nie widzę tu nic szczególnego. O co chodzi?

Marcus spojrzał na niego z powagą.

– Już ci mówię. Jeśli o mnie chodzi, przypomina mi się wyraźnie pierwszy raz, kiedyśmy się spotkali.

– Rety, jakie nieprzyjemne skojarzenie. Pierwszy raz, powiadasz? Kiedy to było?

– W styczniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Byłeś inspektorem w komisariacie na Store Kongensgade, a ja podkomisarzem w Wydziale Zabójstw.

Carl podciągnął nogi i wyprostował się na krześle.

– Dlaczego, do licha, o tym pamiętasz? Przecież w osiemdziesiątym ósmym wcale mnie nie znałeś.

– Pamiętam, bo ty i twój kolega przybyliście jako pierwsi do płonącego warsztatu samochodowego, który właśnie wyleciał w powietrze. Pamiętam, jak zająłeś się na wpół przytomną kobietą, której dziecko zginęło w eksplozji.

Najlepszy detektyw Marcusa siedział przez chwilę, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Potem podniósł ze stołu gazetę i spojrzał na nekrolog. Czyżby zaszkliły mu się oczy? Aż trudno uwierzyć.

– Maja Petersen – powiedział powoli. – To ta Maja Petersen?

– Tak, to ona – potwierdził Marcus. – Dwa tygodnie temu Terjega Plouga i mnie wezwano do jej mieszkania. Już od kilku dni wisiała w przedpokoju. Nie trzeba było gruntownego śledztwa, by stwierdzić, że odebrała sobie życie. Na podłodze koło jej stóp leżało zdjęcie małego chłopca, które prawdopodobnie ścisnęła w ręce aż do samej śmierci.

Jacobsen pokręcił głową.

– Na stole w salonie znaleźliśmy lekko zapleśniały, nietknięty tort, na którego wierzchu za pomocą delikatnej jasnoniebieskiej glazury starannie napisano dwa imiona: „Maja 60 lat. Max 3 lata”. I trzeba stwierdzić, że trochę nietypowo ciasto udekorowano dwoma krzyżami zamiast świeczkami i flagami. Krzyż przy każdym imieniu.

– Okej. – Carl odłożył gazetę i ciężko oparł się w fotelu. – Smutne wieści. Powiadasz, że to samobójstwo, ale czy wiesz to na pewno?

– Tak, wiem. Przedwczoraj odbył się jej pogrzeb, w którym zresztą uczestniczyłem. Nie licząc pastora, niżej podpisanego i jakiejś starszej pani, kaplica była całkiem pusta, więc trudno sobie wyobrazić smutniejszy widok. Po uroczystości rozmawiałem z tą kobietą, okazało się, że jest kuzynką zmarłej. Przyznała, że to ona podpisała się w nekrologu jako „rodzina”.

Carl spojrzał na Marcusa z namysłem.

– Powiadasz, że wtedy przed laty też znajdowałeś się na miejscu eksplozji. Akurat tego sobie nie przypominam. Pamiętam śnieg, przeraźliwe zimno i wiele innych rzeczy, ale nie ciebie.

Jacobsen wzruszył ramionami. Minęło ponad trzydzieści lat, jak miałyby pamiętać?

– Ogień był wyjątkowo gwałtowny, więc technicy nie potrafili określić na sto procent, w jaki sposób doszło do eksplozji i pożaru – stwierdził Marcus. – Ale okazało się, że w warsztacie mieściła się nigdzie niezarejestrowana lakiernia, więc w budynku znaleziono tyle materiałów łatwopalnych, że o nieszczęście nie było trudno. I owszem, dotarłem na miejsce krótko po wybuchu, i to wręcz przez przypadek, bo po prostu miałem coś do załatwienia parę ulic stamtąd.

Carl kiwnął głową do swoich myśli.

– Pamiętam, że od razu się zorientowałem, iż ten chłopczyk nie żyje. Jego drobne ciało leżało po skosie na krawężniku, zmiażdżona głowa spoczywała w śniegu. Takich widoków się nie zapomina. Musiałem mocno przytulić jego matkę, by nie podeszła za blisko dziecka i nie zobaczyła, jak potwornie jest zmasakrowane.

Mørck podniósł wzrok na szefa.

– Dlaczego byłeś na pogrzebie Mai Petersen, Marcus?

– Dlaczego? – westchnął Jacobsen. – Po prostu nigdy nie otrząsnąłem się z tej sprawy. Już wtedy załatywała mi na kilometr. – Postukał w akta śledztwa leżące na stole. – Przez ostatnie dni przeczytałem je jeszcze raz i przemyślałem je sobie.

– I do czego doszedłeś? Że wybuch nie nastąpił w wyniku nieszczęśliwego wypadku?

– W to akurat nigdy nie wierzyłem, ale na drugiej stronie raportu technicznego natknąłem się na zdanie, na które wtedy nie zwróciłem uwagi. Przed ponad trzydziestu laty nie było ku temu powodów.

Wyjął z teczki kartkę i podsunął Carlowi.

– Zaznaczyłem je zakreślaczem.

Carl Mørck oparł przedramiona na podłokietnikach i pochylił się do przodu. Przeczytał kilkakrotnie zakreślone zdanie, nim uniósł wzrok i spojrzał na Marcusa pociemniałymi oczami.

– Sól?! – powtórzył kilka razy.

Marcus skinął głową.

– Widzę, że myślisz to samo.

– Tak, chodzi o sól, ale kiedy to było? Naprowadź mnie trochę.

– Nie wiem dokładnie, która to była sprawa, ale na pewno miała coś wspólnego z solą. Zgadza się?

– Tak, zdecydowanie.

Carl myślał, aż się kurzyło, ale najwyraźniej na próżno.

– Może Rose albo Assad będą pamiętać – powiedział w końcu.

Marcus pokręcił głową.

– Nie sądzę, to było jeszcze przed ich nastaniem. Ale może Hardy?  
– Hardy jest znów w Szwajcarii na jakiejś terapii.  
– Wiem, ale chyba słyszałeś o całkiem sprytnym urządzeniu zwanym telefonem, co, Carl?

– Tak, tak, zadzwonię, pewnie. – Mørck ściągnął brwi. – Miałeś dobrą chwilę, by się nad tym zastanowić, Marcus. Byłbyś tak miły i uchylił przede mną rąbka tajemnicy, co takiego odkryłeś wtedy w Sydhavnen?

Jacobsen skinął głową. Zrobił to niemal z ulgą.

Marcus opowiedział, że gdy rozległ się drugi huk, wszystkie szyby w mieszkaniu nieopodal warsztatu, które właśnie przeszukiwali, zostały z wielką siłą wtłoczone do środka, aż odłamki szkła powbijały się głęboko w stolarkę i meble. Na szczęście Marcus i jego kolega znajdowali się w sypialni wychodzącej na podwórze, więc nic im się nie stało, ale mieszkaniiec lokalu, nieszczęsny ćpun, który ukrywał broń dla kilku najgorszych mętów z Vesterbro, zupełnie się załamał i zaczął bredzić o czasach, kiedy był chłopcem i kiedy gazownia w Valby wyleciała w powietrze.

Marcus poszedł na palcach do kuchni, podążając za syberyjskim chłodem, który wpadł do środka przez wybite szyby, i od razu zobaczył czarne jak węgiel kłęby dymu i płomień wznoszące się na co najmniej dwadzieścia pięć metrów nad dachami domów w odległości kilku przecznic.

Dwie minuty później Jacobsen w towarzystwie inspektora skręcił w ulicę, gdzie wóz patrolowy z migającym kogutem stał już w poprzek wjazdu na posesję. Na podwórzu parę metrów dalej młody kolega przytulał do siebie kobietę. Całe miejsce pogrążone było w chaosie, a z płonących budynków i asfaltu buchały kłęby czarnego dymu. Małe dziecko na lewo od Marcusa bez wątpienia zginęło na miejscu, jako że jego drobne ciało leżało zupełnie nieruchomo z twarzą wrytą w śnieg.

Ze środkowej części budynku płomień wznosił się teraz na wysokość co najmniej czterdziestu metrów, żar niemal zwał z nóg. Na dziedzińcu leżał do góry kołami wrak citroena dyane, gruz i szczątki samochodów walały się w wodzie pochodzącej z roztopionego śniegu, która szybko zalała większość terenu, a kilka aut wystawionych na sprzedaż po lewej stronie wzdłuż murów warsztatu uległo zmiżdżeniu jak wyeksploatowane pojazdy na złomowisku.

Nieco dalej pod zwałami gruzu widać było pogruchotaną furgonetkę, z za której wystawały gołe, osmalone nogi. W obecnej chwili stanowiły one jedyną wskazówkę, że w budynku w ogóle ktoś był.

Dopiero po kilku godzinach strażakom udało się opanować płomień, ale Marcus został na miejscu, chcąc być na bieżąco ze spostrzeżeniami kolegów i specjalistów badających przyczynę pożaru.

Do północy w głębi budynku znaleźli jeszcze cztery ciała, tak zwęglone, że trudno było ustalić ich płeć. I choć na czaszkach całej czwórki stwierdzono podobne urazy, nie można było z miejsca ustalić, czy powstały w wyniku gwałtownej eksplozji i deszczu odłamków metalu, którego tony zalegały w warsztacie.

Pomimo dużego prawdopodobieństwa, że w grę wchodzi nieszczęśliwy wypadek, w kolejnych dniach Marcus rutynowo sprawdził kilka motywów uwzględniających podpalenie. Musiał odrzucić hipotezę o przekręceniu ubezpieczeniowym, bo warsztat, na przekór wszystkim przepisom, nie był ubezpieczony, a poza tym w pożarze zginął też jego właściciel, więc kto miałby zyskać na podłożeniu ognia? Prawdopodobnie w grę nie wchodziły też porachunki mafijne, jako że żadna z ofiar, które potem zidentyfikowano jako mechaników, nie figurowała w rejestrach kryminalnych.

Z pomocą zszokowanej wdowy po właścicielu warsztatu Marcus przeanalizował jego krótką historię.

– Czy pani mąż lub rodzina mieli z kimś na pieńku? – spytał. – Niespłacone długi? Wrogów? Może groźby od konkurencji?

Ale żona za każdym razem tylko kręciła głową, niczego nie rozumiejąc. Oświadczyła, że jej mąż był ciężko pracującym mechanikiem, tyle że niespecjalnie leżała mu robota papierkowa, ale czy to nie typowe dla fachowców?

Marcus musiał przyznać, że w tej niedużej firmie, która nie korzystała z usług ani księgowego, ani rewidenta, rzeczywiście tak było. Cała ewentualna korespondencja, kartoteki klientów i rachunki poszły z dymem, o ile w ogóle kiedykolwiek istniały.

Żona zdawała sobie sprawę z tego, że będzie sporo roboty z rozliczeniami podatkowymi, ale przecież warsztat istniał dopiero od kilku miesięcy, więc zapewne da się to ogarnąć.

Gdy parę tygodni później działka została uprzątnięta, śledztwo wciąż tkwiło w punkcie wyjścia. Tylko jeden na pozór nieistotny szczegół, który jakiś czujny technik odnotował w raporcie, odstawał od reszty, ale Marcus zwrócił na niego uwagę dopiero teraz, po wielu latach, przeglądając raport.

Było w nim napisane:

„Kilka metrów od bramy wjazdowej, przy samym ogrodzeniu, znajdował się wysoki na dziewięć centymetrów kopczyk soli”.

Poniżej widniało dodatkowe wyjaśnienie, które powinno było skłonić do namysłu i wywołać zdziwienie:

„Była to sól kuchenna, nie drogowa”.



Wtorek, 1 grudnia 2020

CARL

– W archiwum znajdowała się kopia akt tej sprawy, Carl. – Rose rzuciła mu ją pod nos. – Przeczytaliśmy je dziś rano z Gordonem. Piszą w nich, że byłeś pierwszą osobą, która przybyła na miejsce?

– Tak, najwyraźniej. – Mørck skinął głową i wskazał na egzemplarz akt Jacobsena. – Ten oto raport latami zalegał w rozlicznych gabinetach Marcusa. Wiecie zapewne, co to oznacza?

– Tak, że nie umiał odpuścić tej sprawy – odparł Gordon łopatologicznie. – I teraz pewnie chce, byśmy zdjęli ten ciężar z jego barków.

Carl uniósł kciuk.

– Bingo. I dlatego właśnie weźmiemy tę sprawę, odłożymy wszystko inne na bok i ją rozwikłamy. I tyle.

– Odłożymy wszystko inne na bok? Czy to nie zbyt drastyczne posunięcie? – mruknęła Rose. – Nie sądzisz, że w obecnej chwili mamy aż nadto na głowie?

Carl wzruszył nieznacznie ramionami. Może i tak, ale w końcu to szef Wydziału Zabójstw podejmuje decyzje. Poza tym sprawa trafiła go w zaskakująco czuły punkt. Minęło tyle lat, a jednak myśl o małym martwym chłopcu i matce, która straciła to, co najcenniejsze, nadal sprawiała mu ból. Wystarczyła chwila z zamkniętymi oczami, by przypomnieć sobie ten straszny wypadek i poczuć drżenie matki dziecka tak wyraźnie, jakby stało się to wczoraj. Czy to dlatego, że sam został ojcem?

– Pewnie widzieliście, co Marcus podkreślił na samym dole raportu speców od pożarnictwa, więc nie muszę wam tłumaczyć, że ten aspekt sprawy musimy potraktować priorytetowo. I to nie tylko ze względu na Marcusa, ale też nas samych i Departament Q.

– Chodzi o tę sól kuchenną? – rzucił Gordon.

Carl przytaknął.

– Rose, jesteś w naszym departamencie od dwa tysiące ósmego roku, więc może coś ci świta?

– Ale o soli? – Rose pokręciła głową.

– Aha, to zgłęb ten temat, bo wiem, że kilka lat temu jakaś sprawa, którą zarzuciliśmy, miała coś wspólnego z solą. Marcus też to pamięta, ale jak

wspominałem, musiało już minąć kilka dobrych lat, skoro nie potrafimy jej umiejscowić w czasie. Może spróbuj przyjrzeć się starszym sprawom, na przykład tym z okresu od dwa tysiące do dwa tysiące piątego, powinnaś na coś natrafić.

– Sprawy z solą? – Rose nie sprawiała wrażenia zachwyconej.

– Tak. Jak mówiłem, mgliście sobie przypominam, że w jakiejś innej sprawie w pobliżu miejsca przestępstwa znaleziono kopczyk soli.

– O w mordę, trudno, byś mi przydzielił bardziej fascynujące zadanie, po tysiącokroć dzięki, panie Mørck z Vendsyssel. Jeśli się głębiej zastanowić, to spora kupka soli leży na podwórku mojego kuzyna w Ganløse. I co, zostanie aresztowany?

Carl uniósł brwi. Skoro to babsko jest w takim nastroju, trzeba tupnąć nogą.

– Za uszczypliwości dziękujemy, Salome. Pomyśl tylko, ile Marcus dla ciebie zrobił. Przywrócił cię do pracy, pomógł ci wrócić do formy i sylwetki sprzed pięciu lat, awansował cię i tak dalej. Nie uważasz, że zasłużył, byś zrobiła wszystko, co w twojej mocy, by uporał się z tą sprawą?

Rose westchnęła.

– Byłeś zabawniejszy, kiedy byłeś tylko starym i skwaszonym dupkiem, a nie starym, skwaszonym, a do tego świętoszkowatym. Ale dobrze, jeśli chcesz mnie dręczyć lekturą starych akt, podczas gdy Assad będzie przeglądał te, co piętrzą się na naszych biurkach, to w to wchodzę.

Obróciła się na pięcie, nim Carl zdążył się odgryźć. Megawkurzające.

Zwrócił się więc do Gordona, który wyglądał, jakby przygotowywał się na przyjęcie bury:

– A ty, Gordon – powiedział Mørck z takim naciskiem, że nieszczęśnik aż podskoczył – ty pomożesz mnie.

Koledze opadły ramiona.

– Znajdź wdowę po właścicielu warsztatu. Musisz też odszukać tę starszą panią, która uczestniczyła w pogrzebie, kuzynkę Mai Petersen. Kiedy to zrobisz, sprowadź je obie do mnie. Na jednej nóżce, proszę!

Nowy gabinet Carla na pierwszym piętrze był pomieszczeniem, jakich wiele: standardowo wyposażony i łatwy do sprzątnięcia. Mørck otworzył okno, położył raport Marcusa na parapecie i zabrał się metodycznie do czytania. Lektura całości zajęła mu prawie jedną czwartą paczki fajek; raport był niesłychanie skrupulatny, podobnie jak wszystkie pozostałe, które Marcus Jacobsen sporządził swego czasu jako podkomisarz. Ten jednak wyjątkowo go pochłoniął, prawdopodobnie dlatego, że mężczyzna był niemal naocznym świadkiem wydarzenia, i dlatego, że nigdy nie zapomniał nieutulonego żalu młodej matki.

Już na pierwszej stronie raportu Jacobsen wyraził niezadowolenie z tego, że ówczesny szef Wydziału Zabójstw zastopował jego śledztwo i zakwalifikował sprawę jako nieszczęśliwy wypadek.

Kolejnych wiele stron zajmowały zapisy zeznań świadków przesłuchanych przez Marcusa, ale prawdę mówiąc, niewiele z nich coś wносиło, o ile którekolwiek.

„Co pan widział?” i „co pani wie?” – pytał Marcus zawsze przesłuchiwanym. „Czy wie pan, co mogło doprowadzić do tak potężnej eksplozji?” Ale nikt nie podsunął mu żadnych tropów. Młoda kobieta, która straciła dziecko, wyjaśniła, dlaczego pojawiła się w warsztacie. Chodziło o tylną oś Citroena dyane, którą trzeba było wymienić ze względu na zużycie. I za każdym razem, gdy dochodziła do momentu, w którym miała opowiedzieć o samej chwili wybuchu i o tym, jak eksplozja wyrwała jej z rąk spacerówkę z trzyletnim synem, załamywała się.

Potem następowały zeznania wdów po mechanikach, którzy zginęli w wypadku, ale *summa summarum* wszystko wskazywało na to, że w warsztacie zatrudniano młodą, zaangażowaną ekipę o wysokich kompetencjach. Często pracowali po godzinach, ale wynagrodzenie zawsze wypłacano szybko, a do tego było nie najgorsze, jak stwierdziła jedna z żon.

W tym miejscu Carl postawił grubą kreskę.

– Nietrudno było znaleźć te wdowy, Carl, choć ta, która była żoną właściciela warsztatu, ponownie wyszła za mąż i przyjęła inne nazwisko, ale na szczęście mieszka nadal pod tym samym adresem.

– Kiedy tu przyjdzie, Gordon?

– Już tu jest, czeka u Rose.

Carl skinął głową z uznaniem. Wkrótce będzie musiał przyznać, że najmłodszy członek Departamentu Q nie jest już taki zielony.

– A ta kuzynka, która zamieściła w gazecie nekrolog, przyjdzie za godzinę. Jest trochę podenerwowana i dezorientowana tym, że chciałeś z nią rozmawiać, ale powiedziałem jej, że zazwyczaj nie gryziesz. – Gordon uśmiechnął się szeroko.

„Zazwyczaj nie gryziesz?!” – uśmiech Carla stracił na szczerości. A jednak ten ćwok ma jeszcze mleko pod nosem.

Carl zamknął raport, by wdowa nie musiała oglądać drastycznych zdjęć zwłok z miejsca zdarzenia.

Nie miał pojęcia, jak wdowa po właścicielu warsztatu wyglądała przed trzydziestoma kilkoma laty, ale jak na sześćdziesięciolatkę prezentowała się nadzwyczaj młodzieńczo. „Niewielką część tego oblicza zawdzięcza wyłącznie Stwórcy” – pomyślał Mørck, gdy zdjęła maseczkę. Spróbowała się uśmiechnąć, ale uśmiech jakby uwiązał jej na twarzy.

Przez pierwszych kilka minut zadawanie pytań szło mu jak po grudzie, ale potem uznał, że kto nie ryzykuje, ten nie ma, i spytał ją o coś, o co według raportu jeszcze jej nie pytano. Strzał w ciemno.

– Przez ręce pani męża przewinęło się w tamtym okresie sporo pieniędzy. Czy pani to w ogóle odczuła?

Kobieta zaczesła włosy za ucho, podczas gdy na jej czole próbowała przebić się jedna zmarszczka.

– Znaczy, pyta pan, czy płaciliśmy rachunki na czas?

– Nie, o wszelkie nadwyżki finansowe, które jak sądzę, się wtedy pojawiały. Samochód, zmywarka, nowe ubrania i tak dalej.

Wyglądało na to, że możliwość wyboru spośród konkretnych przykładów sprawiła jej ulgę.

– Ta-ak, Ove kupił przecież wtedy domek letniskowy w Tisvilde. Wciąż go mam.

Carl gwizdnął.

– To musiał być właściwy moment na nabywanie domów letnich w Tisvilde. Dzisiaj ich ceny są niebotyczne.

Wyprężyła się nieznacznie, zdradzając pewną dumę z nabytku.

– Pamięta pani, ile za niego daliście? Bo zakup był za gotówkę, prawda? – rzucił.

Przytaknęła z namysłem. Dobry Boże, jak łatwo ją było zmanipulować.

– Wydaje mi się, że nieco ponad sto tysięcy. – Skinęła głową na potwierdzenie własnych słów.

– Czyli warsztat dobrze prosperował?

Potaknęła.

– Ale też Ove naprawdę dużo pracował, jak zresztą oni wszyscy.

Ich rozmowa toczyła się jeszcze przez dwadzieścia minut; z pewnością była też ostatnią.

– Wydaje mi się, że w tym warsztacie działo się więcej niż w innych – poinformował Rose po wyjściu wdowy.

Ale Rose nie słuchała.

– Carl, czy ty wiesz, jakie mi wyznaczyłeś zadanie?

Rose dysponowała wieloma wyrazami twarzy, ale ten, który prezentowała obecnie, nie podobał się Carlowi. I ktoś tu coś mówił o skwaszonych dupkach!

– Sprawy z lat od dwutysięcznego do dwa tysiące piątego nie zostały jeszcze zdigitalizowane, więc tylko siedzę i przeglądam te raporty. Nie licz na to, że wymigasz się od płacenia mi za nadgodziny, jeśli zależy ci na czasie.

Marudzenie, marudzenie, marudzenie. Właściwie to nawet przyjemne.

– Powiedz po prostu, ile godzin ci wyszło, i pracuj dalej w swoim fantastycznym stylu.

Czyżby pokazała mu język?

Wtorek, 1 grudnia 2020

CARL

Carl otworzył raport i przejrzał zdjęcia zwłok z warsztatu samochodowego. Ani oględziny miejsca zdarzenia, ani ciał leżących na stołach obdukcyjnych nie powiedziały mu zbyt wiele. Patolog sądowy, który przeprowadził sekcję zwłok zabitych, napisał o jednym następująco:

„Jako że denata znaleziono pod stalowym stołem i z tego powodu nie odniósł poważnych obrażeń oprócz tego na potylicy, to można wyciągnąć wniosek, że przedmiot, który uderzył go w tył głowy, jednocześnie go zabił. Najprawdopodobniej przedmiot ten upadł potem na ziemię w stanie nienaruszonym, bo nie znaleźliśmy w czaszce jego odłamków, co zresztą dotyczy też pozostałych zwłok. Uwagę zwraca fakt, że w trzech przypadkach rany są niemal identyczne i że obrażenia dotyczą tylko okolic potylicznych, co zapewne można wytłumaczyć w ten sposób, że wybuch nastąpił na pewnej wysokości i wszyscy trzej mężczyźni stali wówczas blisko siebie, odwróceniem tyłem do jego źródła”.

Carl kilka razy przeczytał pokrętne wyjaśnienia, przyglądając się fotografiom. Dwie ostatnie ofiary także miały obrażenia głowy, ale umiejscowione bliżej skroni. Ponadto na ciałach widocznych było wiele innych ran. W torsie jednego z denatów tkwiło nawet tyle odłamków metalu, i to tak blisko siebie, że widok ten przywodził na myśl deskę nabijaną gwoździami.

Przekartkował dalej do zdjęć z akcji wydobywania zwłok. Zdecydowanie nie było to przyjemne zadanie.

Gdy dotarł do dokumentacji fotograficznej oddającej stan podwórza warsztatu, usłyszał kroki na korytarzu, więc zamknął teczkę i czekał.

Okazało się, że przyszła kuzynka zmarłej Mai. Kobieta wyglądała na mocno poruszoną całą sytuacją.

– Och, to takie straszne, że Maja odebrała sobie życie we własne urodziny. Nawet mnie do siebie zapraszała, ale w ostatnim momencie musiałam odwołać wizytę, aż trudno o tym myśleć. Jestem pielęgniarką i jak to bywa w czasach covidu, na oddziale brakowało rąk do pracy, więc musiałam... – Zacisnęła wargi, by się opanować. – Gdybym wtedy przyszła, może ona...

Spojrzała błagalnie na Carla, jakby prosząc o wybawienie.

Ten zastanawiał się, czy ująć ją za rękę, ale widok maseczki tkwiącej pod jej nosem kazał mu się opamiętać.

– Niech sobie pani tego nie wyrzuca. To, co się stało, nie jest pani winą. Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie chcący popełnić samobójstwo zazwyczaj dopilnowują, by dość szybko ich znaleziono. Nawet w obliczu śmierci większość z nich nie jest w stanie znieść myśli, że ich widok może się wydać straszny i groteskowy, więc Maja i tak by to zrobiła przed pani przyjściem, jestem tego pewny. Po prostu znalazłaby ją pani trochę wcześniej.

Kobieta kiwnęła głową.

– Tak, miałam podobne podejrzenia, ale dziękuję, że pan to mówi. Maję trudno było rozgryźć i przewidzieć jej postępowanie. Od śmierci synka już nigdy nie była sobą. Owszem, radziła sobie, nawet dobrze szło jej w pracy, ale czułam, jaki ból sprawia jej życie.

– Rozumiem, że byliście sobie bliskie. To pani zamieściła nekrolog w gazecie.

– Tak, spośród tych, którzy zostali, tylko ja znałam ją dobrze. Nie prowadziła bujnego życia towarzyskiego z kolegami z pracy, a z byłym mężem, ojcem Maxa, też nie utrzymywała kontaktu. Zerwał się jeszcze przed wypadkiem. Eksmąż nie wspierał jej w żałobie. Myślę, że głęboko ją to raniło.

– Ale pani i Maja się widywałyście?

Potaknęła.

– Tak, przez wszystkie te lata nigdy jednak nie rozmawialiśmy szczerze o wypadku. Owszem, może początkowo trudno było mówić o czymkolwiek innym, ale w późniejszym czasie zaniechałyśmy poważnych rozmów.

Otarła przezroczystą wydzielinę płynącą jej z nosa. Nawet i w tej sytuacji kobieta sprawiała wrażenie charyzmatycznej.

– Ech, tyle w życiu wycierpiała. Szczególnie przeklinała się za to, że wybrała właśnie ten warsztat, by zaoszczędzić kilkaset koron. Przeklinała się też za kupno takiego gównianego samochodu. Wyrzucała sobie, że w ogóle nim jeździła po nadejściu zimy i że nie mogła poczekać, by poznać cenę nowej tylnej osi. Żeby pan wiedział, do jakiego stopnia wyrzuty pod własnym adresem sterowały jej życiem. Nie potrafiła rozmawiać o kombinezonach, spacerówkach, starych samochodach i mnóstwie innych rzeczy, nie wybuchając płaczem. W jej pracy musieli być bardzo tolerancyjni, skoro to znosili, naprawdę.

– Z raportu z sekcji zwłok wynika, że chłopczyk na jednej nodze miał szynę. Wie pani, co mu dolegało?

– Tak. Max urodził się z niesprawnym stawem kolanowym w prawej nodze, więc przez pierwsze lata musiał przejść wiele operacji.

– Ale potrafił chodzić?

– Tak, nauczył się jako tako, ale to zasługa Mai. To właśnie z powodu tej nóżki kilka miesięcy po narodzinach Maxa Maję zostawił mąż. Nie umiał żyć z niepełnosprawnym dzieckiem i żoną, która nie potrafiła myśleć o niczym innym. To był jeden z tych cienkich Bolków, którzy zostawiają żonę, gdy życie staje się trudne, i zaczynają własne od nowa.

Carl dostał numer telefonu do pracy pielęgniarki, więc zawsze mógł zadzwonić, gdyby pojawiły się nowe pytania, ale czuł, że niewiele już od niej wyciągnie.

Jego mózg pracował teraz nad wszystkimi teoriami naraz. Po pierwsze, mężczyło go stwierdzenie młodej Mai, że jeszcze przed eksplozją widziała przy bramie warsztatu wystające zza auta nogi. I choć może jej się przywidziało i tak naprawdę nogi wystawały spod podwozia furgonetki, postanowił nie lekceważyć jej zeznań. Przecież właśnie na to zwróciła szczególną uwagę, jak wtedy twierdziła, więc dlaczego miałyby jej nie wierzyć?

A jeśli to prawda, to dlaczego ten człowiek tam w ogóle leżał? Czy to możliwe, że był martwy, jeszcze zanim doszło do wybuchów?

Carl przeanalizował cały scenariusz. Jeśli mężczyzna już nie żył, to mimowolnie nasuwa się myśl, że doszło do przestępstwa, co pociągało za sobą mnóstwo kolejnych pytań.

Jak powstały obrażenia na potylicy i karku denatów? Czy mężczyzna leżący w bramie warsztatu próbował uciec? Dlaczego nikomu się to nie udało? Czy zostali zabici przed wybuchami? Zgodnie z rozrysowanym planem miejsca zdarzenia cztery ciała leżały dość blisko siebie przy przebieralni pośrodku budynku, ale jak można zabić grupkę ludzi tak, by nie stawiali oporu? I co w ogóle doprowadziło do detonacji? Istniały teorie, że w pierwszej eksplozji wybuchły beczki z toluenem, silnym rozpuszczalnikiem, ale czy tak rzeczywiście było? I dlaczego nieopodal budynku znaleziono kopczyk soli, czy zostawiono go tam celowo, czy ktoś przechodził tamtędy z dziurawą paczką? Tylko po co, do licha, spacerować z nieszczelnym workiem soli w takim miejscu?

Na wiele z tych pytań z pewnością nigdy nie uda się uzyskać odpowiedzi, ale już teraz Carl rozumiał, dlaczego Marcus nie chciał zarzucić śledztwa i dlaczego przez lata nie potrafił zapomnieć o tej sprawie.

Dla Carla i wszystkich innych detektywów istniało tylko jedno zasadnicze pytanie, jeśli rzeczywiście doszło do przestępstwa: jaki w takim razie był motyw?



Wyglądało na to, że warsztat Ove Wilders Auto zarabiał sporo ponad normę. Ale z czego to, do licha, wynikało? Prochy? Pranie brudnych pieniędzy? Jakiś szwindel?

Patrząc na zdjęcia z raportu, Carl jeszcze raz pokręcił głową. Minęło już ponad trzydzieści lat, więc jak w ogóle ruszyć z miejsca?

– I co, wyciągnąłeś coś od pań, które ci przyprowadziłem? – spytał Gordon z ciekawością. – Podały ci jakieś sensowne informacje?

Carl pokręcił głową.

– Tia. W każdym razie wiem już nieco więcej o kobiecie, która straciła dziecko w tym... wybuchu – odparł, zawahawszy się przy ostatnim słowie. Chciał powiedzieć „wypadku”, ale nie potrafił.

– Tak! Można się zupełnie zdołować z powodu jej smutnego losu. Pomyśl, jak przez coś takiego życie rozpada się na kawałki. Jedna iskierka i... buuum! – Gordon pokręcił głową, ale po chwili nagle zmarszczył czoło na widok fotografii leżącej na samym wierzchu. Potem przysunął sobie krzesło spod ściany i usiadł na nim w zwolnionym tempie ze wzrokiem utkwionym w ostre zdjęcie leżące na stole.

– To citroen dyane Mai leży do góry kołami, prawda?

Carl skinął głową. Przecież na dole widniał podpis.

– Tego zdjęcia nie było w naszej teczce z kopiami! – oświadczył Gordon chmurnie.

– Aha, i twoim zdaniem ma to szczególne znaczenie?

– Masz w szufladzie szkło powiększające?

Carl wyszukał je i mu podał.

Gordon kilka razy przesunął szkłem po zdjęciu.

– A niech mnie – powiedział w końcu.

Przysunął teczkę sprawy i metodycznie przerzucał kartki, dopóki nie trafił na to, czego szukał. Przeczytał treść strony parokrotnie, by się upewnić, po czym odłożył ją, z niedowierzaniem pokręcił głową i podsunął kartkę Carlowi.

– Patrz tu. To zapis przesłuchania Mai, które Marcus przeprowadził miesiąc po zdarzeniu. – Postukał w tekst.

– Tak, właśnie go przeczytałem. Właściciel warsztatu Ove Wilder ją poinformował, że trzeba wymienić tylną oś, bo jest zjechana.

– Właśnie. A teraz spójrz na podwozie jej samochodu. Co widzisz?

Carl przejechał parę razy szkłem powiększającym po fotce.

– Widzę, że wymienili tylną oś, zgodnie z umową. Wprawdzie nie jest całkiem nowa, ale w każdym razie nieskorodowana. Pewnie użyli części zamiennej, którą już mieli w warsztacie.

– Okej, najwyraźniej muszę odświeżyć ci pamięć. Z warsztatu dzwonią do Mai zaledwie dwadzieścia pięć minut przed eksplozją i mówią, że muszą wymienić tylną

oś.

– Owszem.

– Wybacz, że to mówię, ale chyba nie masz zbytniego pojęcia o samochodach, skoro myślisz, że tylną ośkę można tak szybko wymienić.

– Czyli uważasz, że zrobili to, nim zadzwonili. W czym problem?

– To nie jest nowa oś, sam sprawdź. Wygląda na oryginalną. Jeśli chcesz znać moje zdanie, ona wcale nie wymagała wymiany.

– Słyszę, co mówisz – stwierdził Carl, popatrując na swoje papierosy. Dlaczego, do kurwy nędzy, człowiekowi nie wolno po prostu zapalić sobie ćmika, skoro to może pomóc w myśleniu? Westchnął i spojrzał na Gordona. – Nakłamali jej i chcieli dokonać naprawy, która nie była konieczna. O to ci chodzi?

– Tak. Albo też wcale nie zamierzali niczego naprawiać, chcieli za to tylko zainkasować honorarium. Nieważne, jak zamierzali postąpić, w każdym razie planowali z premedytacją oszukać tę kobietę na kupę kasy.

Carl skinął głową, jeszcze raz spoglądając na zdjęcie.

– Czyli powiadasz, że w Ove Wilders Auto kantowali klientów?

– Tak, do cholery. Czy ty wiesz, ile w ten sposób może wpłynąć na konto, o ile ma się wystarczająco dużo klientów, a wydaje mi się, że oni mieli, skoro kusili ich niskimi cenami? W autach oddawanych im do serwisu na bank znajdowali zawsze jakieś usterki, które wcale nie istniały, a których naprawy klienci nie byli w stanie sprawdzić. Wyobrażasz to sobie?

Carl zmarszczył czoło. Może należało spojrzeć na wydatki pozostałych mechaników.

Może im też zbywało na gotówce i pokupowali sobie domki letniskowe i takie tam?

Wtorek, 1 grudnia 2020

## NA PÓŁNOC OD KOPENHAGI

Na stole obok świecy adwentowej, wypalającej się nieuchronnie do cyfry jeden, leżały papiery z dwoma świeżo wybranymi kandydatami do likwidacji. Na fotokopiach twarze obu emanowały pewnością siebie i świdrowały stalowymi spojrzeniami, a z ich CV aż wylewały się przyprawiające o mdłości, podyktowane egoizmem wybory zawodowe. Były to dwie cyniczne i posiadające władzę osoby, które nie przebierały w środkach, by zrealizować wytyczony cel, więc którą z nich wybrać jako pierwszą?

Wybór był trudny. Pierwsza z osób znajdowała się na liście oczekujących już od kilku lat, natomiast druga pojawiła się na celowniku dopiero przed kilkoma miesiącami. Czy wskazać po prostu tę, która wyrządza więcej szkód? Czy tę, której życie łatwiej będzie zakończyć, a ryzyko zdemaskowania będzie mniejsze? Dylemat ten pojawiał się za każdym razem i należało do niego podchodzić ze śmiertelną powagą.

Fakt, że pierwszy z kandydatów mieszkał sam, w sposób naturalny przemawiał za jego wyborem. Ekstrawertyczni ludzie jak on, do tego samotni, często zachowują się w sposób nieprzewidywalny. Ciągłe nawiązują nowe znajomości, więc krąg ich przyjaciół bez przerwy się zmienia, a przez to obraz aktualnych kontaktów osobistych traci na ostrości. Ewentualne śledztwo mogłoby się w takim przypadku rozwidlać, praca policji przeciągać i prowadzić na manowce, a tym przecież trudno pogardzić. Drugi kandydat natomiast mieszkał ze swoją niemal dysfunkcyjną i nieco zbyt przedsiębiorczą rodziną, stworzoną w jego drugim małżeństwie, więc kto mógł przewidzieć, gdzie będą znajdowali się poszczególni jej członkowie i co będą robili, gdy dojdzie do uprowadzenia? Pierwszy kandydat osiągnął już wiek, w którym likwidację mogła zablokować śmierć z przyczyn naturalnych, a to z wielu względów nie byłoby szczególnie pożądane. Ale może pożyje jeszcze kilka lat, w końcu sprawiał wrażenie zdrowego i w formie. Przeciwko drugiemu kandydatowi świadczył bardzo aktualny i kontrowersyjny wywiad w gazecie leżącej na stole. Kogo więc wybrać? Pozostał jeszcze tydzień do uprowadzenia, ale przecież przygotowania też muszą potrwać.

Na obie fotografie padł przez okno jasny snop światła. Czyli ktoś wszedł na wyłożony płytkami chodnik i zmierzał do głównego wejścia.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Do północy brakowało dwudziestu minut, więc kto to mógł być?

Fotokopie zdjęć zakryto zieloną podkładką do pisania, z szuflady wyjęto obosieczny, ostry jak brzytwa nóż do kopert. O tej porze środki bezpieczeństwa już od wielu lat były obowiązkowe.

Postać przybysza obejrzano dokładnie na ekranie. Światło nad drzwiami migało, więc sylwetki nie było widać dokładnie, ale nie ulegało wątpliwości, że jest to jedna, stojąca spokojnie osoba. Żadnych nerwowych ruchów, żadnego przestępowania z nogi na nogę, więc drzwi wejściowe ostrożnie uchylono, a nóż powędrował za plecy.

W świetle wpadającym z korytarza ukazała się znana twarz.

– No, to tylko ty, Deboro. Dlaczego nie zadzwoniłaś?  
– Wiesz przecież, że tego nie robię, gdy chodzi o kogoś wykluczonego?  
– Wykluczonego, powiadasz. Ale Ewę wykluczylismy już dawno, czy nie minęły już dwa miesiące?

– Owszem, i od dawna się o to starała.

– Będziemy mieć problemy?

– Nie do końca jej ufam, tylko tyle. Człowiek słyszy to i owo.

– Przecież rozumie, jakie są konsekwencje, jeśli przerwie milczenie.

– Mam nadzieję, że tak.

Kobieta postąpiła o krok do przodu; na jej twarzy malował się spokój, jakby chciała podkreślić własne słowa.

– To dobrze, Deboro, bardzo dobrze. A jej następczyni? Dobrze się sprawdza?

– Tak, to czyste złoto. Nazywam ją Rut. Moim zdaniem to dobre, biblijne imię, ale nazywa się Ragnhild. Ragnhild Bengtsen.

1993

## RAGNHILD

Ragnhild siedziała na sfatygowanej kołdrze, pod którą znajdowały się kartony pełne starego badziewia, jak mawiał jej ojciec, człowiek twardy jak kamień. Ragnhild słyszała to powiedzenie w telewizji. Twardy jak kamień nie oznacza nic dobrego – powiedział ktoś – bo wtedy serce też takie jest, a w takim wypadku czasami trzeba bardzo uważać.

Ragnhild prawie zawsze siedziała sama na kołdrze położonej na kartonach w salonie. Było to właściwie jedyne miejsce nadające się do siedzenia, bo na sofie i na fotelu walało się mnóstwo starych, obrzydliwych rzeczy, a na podłodze nie chciała siedzieć, bo łąziło po niej pełno małych żyjątek, aż człowieka swędziało.

Gdyby chlapnęła, że w domach jej koleżanek jest inaczej, jej mama strasznie by się zdenerwowała i zaczęła nią potrząsać, a po takim czymś głowa i kark potrafią mocno boleć. Dlatego Ragnhild trzymała język za zębami, jeśli mogła.

Jej mama i tata kłócili się codziennie. Tata krzyczał, że mama jest świnią, a mama odpowiadała jeszcze głośniejszym głosem, że on też, tylko pod innym względem.

Ragnhild tego nie rozumiała, ich kłótnie jednak sprawiały jej przykrość.

Wieczorem taty nigdy nie było w domu, a mama siedziała w komórcie za sypialnią, przesuając wszystko z miejsca w miejsce, w tę i z powrotem. W takie wieczory Ragnhild była zadowolona, oglądając telewizję na małym czarno-białym odbiorniku bez obawy, że przepędzą ją dorośli.

Dziewczynka uwielbiała ten telewizor. Wcale jej nie przeszkadzało, że nie jest kolorowy, tak jak w domach koleżanek, bo to był prawie jej własny odbiornik. Żadne z innych dzieci nie oglądało tego co ona. Programy o dzikich zwierzętach i takie późno w nocy, kiedy pozostali musieli iść spać, a Ragnhild potrafiła przesiadzieć do po północy, jeśli trafił się dobry film.

Dobre filmy to takie, w których występował mężczyzna równie stary, co jej ojciec. Był on miły dla tych, którzy byli dobrzy, a bił tych, którzy nie byli. Najbardziej lubiła Johna Wayne'a. Potrafił się uśmiechnąć półgębkiem i tak ładnie, powoli chodził. Miał też duże ręce i rewolwery, więc inni się go bali. A jeśli się nie bali, to była tylko kwestia czasu, bo John Wayne i tak spuszczał im manto, a potem znów uśmiechał się półgębkiem. John Wayne, Arnold Schwarzenegger i Sylvester Stallone byli najlepsi,

więc wielokrotnie ćwiczyła, jak się nazywają. Niekiedy w szkole tyle o nich mówiła, że inni z czasem nie mieli już ochoty tego słuchać. Jedna z koleżanek powiedziała, że jej zdaniem nie ma w nich nic szczególnego, o ile w ogóle istnieją. To zasmuciło i rozżłościło Ragnhild.

Czasami, gdy na dworze było ciepło, w całym domu potrafiło bardzo brzydko pachnieć i wtedy tata nie wracał też na dzień. Kiedy był wyjątkowo wściekły i oszalały, cały czas powtarzał słowa, które nie podobały się nauczycielom w szkole i mówili jej o tym, gdy zdarzyło jej się któregoś użyć. Tata Ragnhild potrafił też mówić jej prosto w twarz bardzo brzydkie słowa, a wtedy bała się już nie na żarty. Zeszłego lata, gdy skończyła sześć lat i słońce pięknie świeciło, na jej buzi pojawiło się mnóstwo piegów, które sprawiały, że inni ludzie się do niej uśmiechali, ale nie jej tata. On mówił, że takie rzeczy się przydarzają, kiedy jest się złym człowiekiem, tak jak jej mama, i to zło po prostu próbuje wydostać się przez skórę. Próbował więc zetrzeć piegi szmatą, chwycił dziewczynkę za uda i dotykał między nogami, mówiąc, że właśnie stamtąd biorą się piegi, ale one wcale nie znikają.

Również w tym roku, choć nie wyskoczyło jej zbyt dużo piegów, tata robił to samo. Ragnhild się to nie podobało, ale gdyby mu to powiedziała, byłoby jeszcze gorzej.

Dziewczynka marzyła o kocie, by mieć kogoś, kogo można by pogłaskać i sobie z nim porozmawiać, ale jej mama się tylko wściekała i krzyczała, że koty śmierdzą szczynami i żarciem rybnym i że ona nie może tego ścierpieć. Dlatego niech Ragnhild się nie waży przynosić do domu takiej kreatury.

Ale Ragnhild było wszystko jedno, bo w domu i tak wszędzie śmierdziało, więc gdy kotka sąsiadów urodziła kocięta, podarowali jej jedno w brązowe pręgi, którego nie musiała im oddawać.

Gdy jej tata usłyszał miauczenie, zrobił się purpurowy na twarzy i kopnął kociaka swoim wielkim buciorem. Ragnhild zaczęła płakać. Przyciągnęła malucha do siebie, ale to wcale nie powstrzymało gniewu jej taty, który teraz skupił się na niej.

Wtedy do pokoju weszła mama i wrzasnęła, że Ragnhild nie zasługuje na nic lepszego, skoro jest nieposłuszna. Właśnie wtedy dziewczynka naprawdę się przestraszyła.

Pierwszy raz w jej siedmioletnim życiu mama i tata się w czymś zgadzali. I dokładnie w tym momencie po raz pierwszy pomyślała, że może bez nich byłoby jej lepiej.

Środa, 2 grudnia 2020

MARCUS

Był to jeden z tych telefonów, których Marcus bynajmniej nie potrzebował w zabiegany dzień. Komisarz Leif Lassen alias „Pies Tropiący” z wydziału narkotykowego również miał strapiony głos, przekazując mu wiadomość.

– Marcus, jeszcze niewiele wiadomo, ale chciałbym cię zawczasu uprzedzić. Holenderska policja, policja ze Slagelse i nasz kopenhaski wydział formułujemy właśnie akt oskarżenia przeciwko Carlowi Mørckowi, być może też Hardy’emu Henningsenowi i pośmiertnie również zmarłemu Ankerowi Høyerowi, którzy działając w grupie, handlowali kokainą na wielką skalę aż do śmierci Ankera w dwa tysiące siódmym roku. Mowa o bardzo zresztą poważnej sprawie, którą wszyscy przez lata określaliśmy sprawą gwoździarki. Przykro mi, Marcus, bo wiem, ile Carl znaczy dla ciebie i dla wydziału.

Szef Wydziału Zabójstw otworzył usta i zrobił głęboki wdech.

– Jesteś tam, Marcus?

Jacobsen z trudnością przełknął ślinę i wypuścił powietrze.

– Nożeż jasna cholera, oczywiście, że nie mam się z czego cieszyć. Kokaina, powiadasz? Carl i Hardy mieliby być w coś takiego wplątani? Naprawdę trudno w to uwierzyć. I co twierdzi policja? W sensie, co Carl i Hardy rzekomo mają z tym wspólnego? Macie namacalne dowody? Bo radziłbym, byście mieli, skoro mówisz o naszych wyjątkowo cenionych i szanowanych kolegach.

– Wiem. Ale sprawa jest poważna i wygląda na to, że może skończyć się karą sześciu lat bezwzględnego więzienia w przypadku Carla. Rola Hardy’ego jest wciąż niejasna, mamy natomiast żelazne dowody na winę Ankera Høyera. Gdyby wciąż żył, groziłoby mu co najmniej dwanaście lat!

– „Wygląda na to”, powiadasz. Cóż, w moim wydziale bynajmniej, Leif. Dziękuję ci jednak za ostrzeżenie, ale zachowam je dla siebie. To miło z twojej strony. Oczywiście liczę, że poinformujesz mnie o dalszym ciągu sprawy.

Marcus był autentycznie zszokowany. Kolegę Hardy’ego i Carla, Ankera Høyera, można by od biedy o coś takiego podejrzewać. Już sam fakt, że podczas sekcji zwłok w jego organizmie wykryto kokainę, coś mówił. Ale Carl? Nie potrafił i nie chciał w to wierzyć, ale znał „Psa Tropiącego”. Kiedy łapał trop, kierował się swoim nosem.

Jacobsen wstał i wyszedł na długi korytarz. W tym momencie nie potrafił siedzieć w gabinecie sam na sam ze swoimi myślami.

– Yyy, Lis – powiedział do wszędobylskiej sekretarki i pomocniczki całego wydziału. – Wyświadczyć mi przysługę, zbierz wszystko o tak zwanej sprawie gwoździarki i przekopuj mi. W swoim czasie, nie ma pośpiechu.

Przy słowie „gwoździarka” zerknął w stronę dwóch oddzielnych gabinetów Departamentu Q. Z takimi słowami lepiej uważać, bo na tym piętrze ludzie specjalizowali się w czytaniu wyrazu twarzy.

Drzwi do gabinetu Carla były jak zwykle uchylone, podczas gdy te do pokoju Gordona, Assada i Rose zawsze otwierano na oścież. Jeśli dobrze widział, tylko Gordon siedział na swoim stanowisku przyklejony do słuchawek i notesu.

Czyżby się uśmiechał?

Na końcu korytarza rozległy się energiczne kroki, a ponieważ tylko jedną osobę w wydziale stać było na taką energię, Marcus postanowił poczekać.

– Cześć, Assad, wpadłbyś do mnie na moment? – spytał, gdy kolega ruszył ku niemu żwawym krokiem.

Z czasem kręcone włosy Assada przyprószyły się siwizną, ale nic w tym dziwnego, zważywszy na ostatnie dwa ciężkie lata. Również dlatego Marcus zaprosił go do siebie, nim kolega zniknie w osobliwym, hermetycznym świecie Departamentu Q.

– Byłeś na robocie?

Assad skinął głową, ziewając, gdy usiedli w gabinecie.

– Tak, przepraszam, ale od siódmej dzwonię od drzwi do drzwi.

– Pewnie stara sprawa z Hedehusene?

Assad znów ziewnął.

– Tak. Myślę, że chwilowo niestety daleko z nią nie ujedziemy, Marcus. Ta sprawa się po prostu mocno zestarzała.

Jacobsen ściągnął brwi. Skoro Assad tak mówi, to nie było większych nadziei na jej rozwiązanie, ale przeczyło to przekonaniom i wpojonym zasadom Marcusa. Żadne morderstwo nie powinno nigdy popaść w zapomnienie, a w jego opinii maksyma ta znajdowała zastosowanie również w tym przypadku.

Spojrzał na Assada pobłażliwie.

– Jak tam u ciebie w domu, wszystko w miarę dobrze?

Kudłacz uśmiechnął się wymuszenie.

– Sam wiesz. Gdy wielbłąda w zoo chcą zaszlachtować, przywdziewa skórę w ciapki i chowa się u żyraf.

Marcus uśmiechnął się pod nosem, ale zrozumiał. Czyżby Assad naprawdę się tak czuł?



– Ale twoja żona jakoś sobie radzi?

– Tak. Marwa radzi sobie najlepiej, co aż tak mnie nie dziwi. Ona czuje się Dunką i jest bardzo wdzięczna, że może tu być. Nelli też idzie nie najgorzej, w końcu przez wszystkie te lata w Iraku miała oparcie w mamie i od zawsze rozmawiała z Marwą po duńsku. Ale gwałty, zabójstwa nowo narodzonych dzieci jej i Ronii i trwające całymi latami życie w zagrożeniu zostaną w nich na zawsze. – Assad zrobił krótką pauzę, by zapanować nad łzami cisnącymi się do brązowych oczu. – Robię, co mogę, ale musi minąć naprawdę dużo czasu, nim nocą będą spać spokojnie. Ronii jest jeszcze trudniej. Czas spędzony w Iraku i Syrii złamał ją i całkowicie zmienił. Choć latami tak podle ją traktowano, mówi praktycznie tylko po arabsku i niestety mam wrażenie, że im dłużej tu mieszka, tym bardziej się radykalizuje. W każdym razie nie jest w równym stopniu Dunką, co pozostała dwójka.

– Przykro mi to słyszeć, Assad. Myślę, że może to syndrom sztokholmski. Ronia związała się ze swoimi oprawcami, to się, nie wiedzieć czemu, bardzo często zdarza. Ale chyba wciąż otrzymuje wsparcie i pomoc psychologiczną?

– Wszyscy z niej korzystamy od ponad roku. Pod tym względem Dania jest cudownym miejscem. Moja rodzina ma więcej szczęścia niż większość takich ludzi jak my.

Marcus kiwnął głową.

– A twój syn?

– Dzięki, że pytasz. Z nim to inna sprawa. Największy problem polega na tym, że Alfi urodził się w Iraku i nie ma duńskiego obywatelstwa. Mamy szczęście, że może mieszkać u nas w domu podczas rozpatrywania jego podania o azyl. Ale co zrobimy, jeśli zażądamy, by wracał do Iraku? Wszyscy mamy się tam przenieść?

Marcus wiedział, jak sztywne są zasady, o których mówił Assad, ale pokręcił głową.

– Nie poradzimy tu sobie bez ciebie, więc przekażę to dalej i zablokuję tę sprawę.

Assad uśmiechnął się ostrożnie. Jego uśmiech mówił, że takiej władzy raczej nie ma nikt. I niestety miał rację.

– Gdyby tak się stało, zniszczyłoby to nas. Poza tym Alfi nie sprosta tym licznym testom ani egzaminom. Przecież on ledwie mówi i na pewno nigdy nie nauczy się duńskiego. Nie wiemy nawet, dlaczego aż tak odstaje od normy, bo Marwa mówiła, że poród był zupełnie normalny. Wciąż go skrupulatnie badają, ale choć jest już młodym, prawie dziewiętnastoletnim mężczyzną, wciąż zachowuje się jak mały chłopiec.

– To akurat nic dziwnego, Assad. Przecież on wzrastał w bardzo prymitywnych warunkach i bez realnych punktów zaczepienia.

– Jeśli mam być szczerzy, nie wiem, jak on wzrastał. – Kudłacz patrzył przez chwilę w stół ze łzami czającymi się w kącikach oczu, nim nad sobą zapanował. – Stosunek

łączący go z jego porywaczem, Ghalibem, niech ten bandyta szczerze w piekle, przypominał najbardziej ten między właścicielem a psem. Alfi z pewnością całymi latami był izolowany i pozbawiony bodźców, więc doszliśmy z Marwą do momentu, w którym nie wierzymy już, że może stać się zupełnie normalny, choć próbujemy go stymulować na wszystkie sposoby. Przed przyjazdem do Danii nie miał na przykład nigdy do czynienia z telefonem komórkowym, iPadem, komputerem, usługami streamingowymi, ba, w ogóle z żadną formą elektroniki, więc musieliśmy go nauczyć przyciskania guzików i patrzenia w ekran. Kiedy pierwszy raz zobaczył w telewizji futbol, krzyczał tak, jakby był na trybunach. Teraz jest lepiej, bo uwielbia siedzieć przez cały dzień, grając w gry komputerowe i oglądając telewizję. Chłonie wszystko jak gąbka. Ostatnio słyszeliśmy, jak próbuje wypowiedzieć kilka słów, więc jednak czegoś się uczy. Ale z Marwą i trójką dzieci odizolowanych w mieszkaniu z powodu koronawirusa przez tak długi czas, niedługo będzie wiele miesięcy, to nie jest... – Assad westchnął. Nie musiał mówić nic więcej. Spojrzał na Jacobsena. – Już to mówiłem, Marcus, ale nie potrafię znaleźć słów, by ci podziękować, że dałeś mnie i mojej rodzinie tak długą smycz. Myślę, że te sześć miesięcy, które mogłem spędzić w domu z bliskimi po wydarzeniach w Berlinie, uratowało nam życie. Dlatego mów, proszę, jeśli mogę coś dla ciebie zrobić. Nieważne co, wystarczy, że pstrykniesz palcami i się zjawię. Jeśli trzeba skosić ci trawnik, zrobimy to. Cokolwiek. – Marcus dostrzegł, jak Assad próbuje zilustrować swoje słowa pstryknięciem, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Szef Wydziału Zabójstw machnął tylko rękami i się roześmiał.

– Przestań, Assad, przestań, przecież ja nawet nie mam trawnika.

– Aha. Ale jak będziesz miał problem z zatwardzeniem, to zrobię ci taką filiżankę prawdziwej irackiej kawy, że oniemiejesz.

Sam się z tego roześmiał. Całe szczęście, że wciąż z nimi jest.

– Dziękuję, aż nie mogę się doczekać. Ale skoro mowa o przysługach. Idź do Carla i powiedz mu, że od teraz pomagasz mu w wyjaśnieniu tej nowej sprawy, do której się zabrali. Ostatnio do mnie dotarło, że znaczy dla mnie więcej, niż sądziłem.

Assad kiwnął głową i odszedł.

Marcus siedział przez chwilę pogrążony w myślach. Jeśli ostrzeżenie „Psa Tropiącego” w jakikolwiek sposób się ziści, to, cholera jasna, musi się liczyć z koniecznością stawienia oporu. Wprawdzie Carl Mørck był nieodgadnionym człowiekiem i nie ulegało wątpliwości, że coś się z nim stało wtedy podczas strzelaniny na Amager, kiedy zginął Anker. Ale zrobić przestępcę narkotykowego z jego najlepszego detektywa, twórcy własnego wydziału i osoby, która wraz ze swoim dzielnym zespołem wyjaśniła tyle spraw, że nikt nie mógł się z nim równać – tego Marcus po prostu nie potrafił przełknąć.

Środa, 2 grudnia 2020

CARL

- Carl, lepiej otwórz okno i przewietrz tu trochę, nim przyleci Rose – poradził Assad.  
SzeF spojrział na niego ze zmęczeniem i anemicznie machnął ręką. Musi wystarczyć.
- Kazałem Gordonowi obdzwonić wdowy po mechanikach i wypytać, czy ich mężowie mieli jakieś szczególne wydatki, nim zginęli. Prosiłem, by powiedział, że mogą walić prosto z mostu, jeśli doszło do naruszenia prawa, bo sprawy już i tak się przedawniły. I że pytamy tylko po to, by znaleźć potencjalny motyw zabójstwa ich mężów i eksplozji warsztatu.  
Assad pokręcił głową.
- A nie znamy go, Carl?
- Nie. Kiedy prowadzono dochodzenie, brano pod uwagę zabójstwo i w związku z tym intensywnie poszukiwano motywu. Sprawdzano, czy sprawa nie ma związku z mafią czy narkotykami, czy też przekrętami z numerami silników i ewentualną sprzedażą kradzionych aut do Europy Wschodniej, ale śledztwo utknęło w martwym punkcie. Zakład działał tylko przez sześć czy siedem miesięcy i nie licząc dwóch pierwszych deklaracji VAT, wykazujących sporą stratę, nie dowiedziano się zbyt wiele o dochodach warsztatu, bo właściciel nie zdążył złożyć zeznania do urzędu skarbowego. A ponieważ spłonęło wszystko: komputery, kartoteki klientów, formularze zamówień i księgi dokumentujące zakup części zapasowych i tym podobnych, również na tym odcinku niewiele udało się wskórać. Część pracowników Komendy Głównej skłaniała się ku hipotezie, że jeśli nie był to nieszczęśliwy wypadek, to celem ataku mogło być zupełnie inne miejsce i że zdarzyła się pomyłka. Ale niczego więcej się nie dowiedzieli.
- Assad podrapał się po dwudniowym zaroście.
- Powiadasz, że Gordon odkrył dziś rano, jakoby robili przekręty przy naprawach. Czyli jednak grali zaznaczonymi kartami, prawda?
- Znaczonymi, Assad. Mówi się „graliznaczonymi kartami”.
- Aha. Ale to chyba zależy, za ile robili te przekręty, zgadza się?
- Owszem, przy odrobinie dobrej woli można to tak ująć. – Carl się uśmiechnął. Gdyby w języku duńskim zabrakło powiedzonek, Assad był w każdej chwili gotów stworzyć nowe. – Ale choć warsztat naciągał klientów na płacenie za naprawy,

których nie wykonano, albo na takie, które nie były potrzebne, to pracownicy mogli dopuszczać się też znacznie poważniejszych wykroczeń – powiedział Carl. – Masz może jakieś pomysły?

– Spytaliśmy wdowę, czy zajmowali się też kupnem i sprzedażą samochodów.

– Wiemy, że tak było. Świadczy o tym sporo anonsów w gazetce z ogłoszeniami i prasie lokalnej.

– Kradzione auta, którym zmienia się numery podwozia, lakieruje się je i sprzedaje, mogłyby stać się źródłem awantury. Na przykład ludzie z Europy Wschodniej potrafią się bardzo szybko wkurzyć, jak się ich oszuka. W grę mogą wchodzić cofnięty licznik, sfałszowane książki serwisowe i tak dalej. Czy użyto środków wybuchowych?

– Nie.

– Carl, dlaczego właściwie ta sprawa tak bardzo Marcusa obchodzi, wiesz może?

Mørck uciekł wzrokiem. Aż nazbyt dobrze znał odpowiedź, ale nie musieli wiedzieć o nim wszystkiego.

– Zapewne wynika to z kilku kwestii: chodzi o zmarłego chłopca, jego matkę, która odebrała sobie życie, i wszystkie pytania, jakie mu się potem nasunęły.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to sądzę, że Marcus obiecał matce tego zmarłego dziecka, że znajdzie winnych eksplozji.

Carl skinął głową. Wysoce prawdopodobne! Nie pierwszy raz policjant musiał odstąpić od takiej obietnicy. W podobnych sprawach człowiek chętnie obieca, co tylko może, byleby ulżyć ofierze w cierpieniu. Ale fakt jest taki, że niedotrzymane przysięgi mocno ciążą.

– Miałeś rację, Carl! – rozległo się głośno z korytarza.

Czy ten pętaś nie mógł poczekać, aż znajdzie się w gabinecie? Mieliby spokój z wszystkimi wścibskimi kolesiami o wielkich uszach, którzy dzielą z nimi piętro.

Na mlecznobiałych, niemowlęcych policzkach Gordona wykwitły urocze czerwone placki. Chłopak był w euforii.

– Tak, dobrze słyszałeś. Wszyscy mechanicy poczynili mianowicie stosunkowo liczne i spore inwestycje w okresie poprzedzającym wypadek. Przez ten warsztatik przepłynęła niemała fortuna.

– Dobrze, Gordon. Jakie inwestycje?

– W samochody, elektronikę, podróże. A najlepsze jest to, że zdaniem wdów wszystkie transakcje przeprowadzano w gotówce.

– Brudna forsa – mruknął Assad.

– Jasne. Do tego mechanicy znali się już wcześniej z technikum, niezłe z nich były ananasy. Banda oszustów, jak stwierdziła jedna z żon, której było wszystko jedno, bo i tak odeszła od męża, nim ten zginął. Okazała się dość gadatliwa i stwierdziła, że jeśli

mieli możliwość wycinania jakichś numerów w warsztacie, to je wycinali. Sprzedawali stare gruchoty, które wcześniej tylko lekko rasowali. Wiedziała w każdym razie, że non stop kręcili się po giełdzie samochodowej, kupując za bezcen auta, których nikt nie chciał. Zgadywała, że tygodniowo sprzedawali pięć, sześć takich przypudrowanych trupów.

– Słodki losie, to przecież ponad sto aut przez tak krótki czas działania warsztatu. Wiedziała może, komu je sprzedawali?

– Mówiła, że każdemu, kto chciał kupować te gruchoty. Wielu imigrantów chciało.

Assad i Carl popatrzyli po sobie, myśląc to samo.

– Wiedziała coś o ewentualnych groźbach czy reklamacjach? Zdarzały się?

– Stwierdziła, że nigdy nie zdradzali, jak im idzie. A gdy pytała o to męża, zawsze odpowiadał, że ma się zamknąć i nie mieszać w te sprawy.

– I nie powiedziała o tym potem policji?

– W momencie wypadku od trzech miesięcy mieszkała ze szwedzkim restauratorem na Costa del Sol. Usłyszała o wybuchu dopiero po powrocie do Danii, więc nie, nie rozmawiała z policją.

– Wspominała o innych szwindlach, których się dopuszczali?

Czerwone placki na policzkach Gordona jeszcze bardziej pokraśniały. Szykował się numer popisowy, który zachował na koniec.

– Powiedziała mi, jakoby słyszała od którejś z innych żon, że kantowali na rachunkach za naprawy ile wlezie. Czyli miałem rację, Carl. Do każdej naprawy dokładano co najmniej kilka tysięcy koron za zreperowanie tak zwanych poważnych usterek, które wykrywali w samochodach. – Gordon niemal pękał z dumy, kiedy tak przestępował z nogi na nogę i opowiadał.

– Świetnie, Gordon. Zaczyna nam się krystalizować obraz żądnych zemsty klientów. Teraz czekamy już tylko na Rose, może znajdzie inne sprawy, w których na miejscu przestępstwa zostawiono kupkę soli.

– Kupkę soli? – Assad spojrział na niego ze zdumieniem.

Carl podsunął mu akta sprawy.

– Witaj w klubie, Assad, sam sobie poczytaj. Jeśli o mnie chodzi, muszę odebrać Lucię ze żłobka.

W tym momencie poczuł, jak w środku zalewa go fala ciepła.

Jeśli Carl miałby sam oceniać, to pomimo pandemii covidu był to najlepszy czas w jego życiu. Wszystko się ułożyło. Mona i on mieli najśłodsza na świecie małą córeczkę, mieszkali razem i rozmawiali o małżeństwie. W ostatnich miesiącach Ludwig mieszkał na zmianę u nich i u kolegi, u którego miał zostać aż do Wigilii. Jeśli od czasu do czasu pojawiał się problem z odbiorem Lucii po tym, jak Mona wróciła do

pracy, to młoda dziewczyna z sąsiedniego mieszkania chętnie się tego podejmowała, by dorobić. Jediną łyżkę dziegciu stanowił fakt, że z chwilą narodzin Lucii starsza córka Mony zupełnie się na nich wypięła. Poza tym widać było w pracy, jak na Assadzie odbija się nowa sytuacja rodzinna. Carl wielokrotnie widywał tego skądinąd żwawego i silnego mężczyznę ze łzami w oczach, gdy myślał, że nikt go nie widzi.

– Włączyłem Assada do sprawy – powiedział Mørck Monie podczas rozmowy przy wieczornej kawie. – W zeszłym tygodniu był u ciebie na rozmowie, jak on się właściwie czuje?

Kobieta pokręciła głową, skupiając się na wsunięciu łyżeczki z papką do ust córeczki.

– No tak, wiem. Psychologa obowiązuje tajemnica zawodowa, więc zapytam inaczej. Czy myślę się, zakładając, że Assad poradzi już sobie z normalnym dochodzeniem? Liczę się z tym, że śledztwo może być skomplikowane. Marcus i ja podejrzewamy, że może się to zbiec z innymi niewyjaśnionymi sprawami, więc muszę delegować zadania. Assad nie może już poprzestawać na dzwonieniu od drzwi do drzwi i wykonywaniu rutynowych działań, skoro mamy takie wyzwanie.

Mona nadal się tylko uśmiechała, jakby miała zatyczki w uszach i mogła skoncentrować się wyłącznie na kolejnej łyżeczce pałki bananowej.

Carl westchnął.

– Mono, muszę wiedzieć, czy go skrzywdzę, za dużo od niego wymagając.

Kobieta zwróciła na niego wzrok.

– Nie sądzisz, Carl, że sam to wyczujesz?

Środa, 2 grudnia i czwartek, 3 grudnia 2020

## ROSE

Tego wieczora w komórce dochodzeniowej paliła się tylko jedna lampa naburkowa, przy której Rose skubała jakieś zleżałe, twarde chrupki Bugles, znalezione w szufladzie. Po pięciu nadgodzinach nie obchodziło jej już, jak wygląda, a zapach starego papieru przyprawiał ją o mdłości, ale nagle coś się zdarzyło.

W wielkim stosie akt dochodzeniowych nietrudno było przeoczyć ów cienki raport z 2002 roku, jako że składał się tylko z okładki, kilku zdjęć i dwóch kartek. Wnioski z postępowania mówiły o samobójstwie, ale na końcu pojawiła się ironiczna uwaga typowa dla Hardy’ego Henningsena w sytuacjach, które wydawały mu się nieklarowne: „Sprawę odłożono pomimo niemrawych protestów”.

Akta dotyczyły mężczyzny w średnim wieku, który kilka dni po Zielonych Świątkach zatrzał się czadem w garażu. Denata znaleziono przez przypadek, gdy wynajęta przez niego sprzątaczką weszła do środka po płyny czyszczące. Oględziny zwłok pozwoliły stwierdzić z dużym prawdopodobieństwem, że mężczyzna siedział tak od trzech dni i że volvo, które dopiero co zatankował, równie długo chodziło na jałowym biegu. Choć był politykiem z Folketingu, powszechnie znanym ze skrajnych poglądów, takich jak przymusowa sterylizacja kobiet żyjących z zasiłku, jeśli urodziły już więcej niż dwójkę dzieci, wiadomość o jego śmierci nie zawędrowała na czołówki gazet. Widocznie uznano, że taki koniec kariery politycznej wyjdzie na dobre jemu samemu i reszcie świata.

Powód, dla którego to dość bezdyskusyjne samobójstwo z 2002 roku jednak wylądowało na stosiku z potencjalnymi przestępstwami, był taki, że patolog sądowy odnotował dwa niewielkie wgłębienia na nadgarstku zmarłego. Jednak spłoniona sprzątaczką łączyła je ze skłonnościami seksualnymi mężczyzny, których w każdym razie ona i jej mąż nie praktykowali. Zastępca szefa Wydziału Zabójstw Marcus Jacobsen wydał więc polecenie podkomisarzom Carlowi Mørckowi i Hardy’emu Henningsenowi, by dotrzeć do ewentualnej partnerki lub partnerek seksualnych ofiary, a gdy nic z tego nie wyszło, sprawę zarzucono z uwagą końcową Hardy’ego Henningsena.

W środku raportu znalazło się kilka opisów wnętrza garażu. Jak można się spodziewać – półki z zapasami ręczników papierowych, pomidorów w puszkach

i papieru toaletowego, ponadto przybory do malowania i puszki z zaschniętą farbą, na ziemi plamy oleju i soli, rower nieużywany od lat, o ile w ogóle. Wreszcie bagażnik na dach powieszony pod sufitem oraz miotła i wiadro.

Podczas lektury raportu brzuch Rose burczał niecierpliwie, pomimo przekąsek. Gdyby uległa głodowi i pospiesznie przejrzała raport, by szybciej pójść do domu, najprawdopodobniej nie zwróciłaby najmniejszej uwagi na tak błahy szczegół, jak sól walająca się po ziemi.

Szybko przewertowała materiał fotograficzny.

Zwłoki na siedzeniu kierowcy. Ręce złożone na podołku, mężczyzna schludnie ubrany w tweedową marynarkę, będącą jego znakiem rozpoznawczym. Poza tym nic niezwykłego. Na zdjęciu z sekcji zwłok widać było wyraźnie jasnoróżowe plamy opadowe charakterystyczne dla zatrucia czadem, zresztą ogólnie widok ten nie należał do przyjemnych. Rose aż za dobrze pamiętała tego zatuczonego polityka; był okropnym człowiekiem.

Jak na zupełnie przeciętny domek w Rødovre, ten należący do ofiary posiadał garaż sprawiający wrażenie ogromnego. Gdyby gość był żonaty i miał kilkunastoletnie dzieci, już dawno zagospodarowano by go na szalone imprezy. Tymczasem na zdjęciu widać było porządnie utrzymaną przybudówkę z drzwiami prowadzącymi do reszty domu i uchyloną bramą, zresztą niezamkniętą.

Dopiero po usunięciu samochodu z garażu na materiale fotograficznym uwidoczniła się nieduża kupka soli. Kredowobiała, wysoka na jakieś sześć, siedem centymetrów. Nie stanowiłaby niczego niezwykłego w pomieszczeniu, gdzie codziennie wwozi się i wywozi towary.

Rose na śmierć zapomniała o głodzie.

– Trzeba było do mnie zadzwonić wczoraj wieczorem, Rose – powiedział Carl następnego dnia rano.

– Nie, wolałam nie budzić Lucii, poza tym chciałam po prostu iść do domu. Dotarłam do Værløse dopiero o wpół do jedenastej, Carl.

Przełożony skinął głową, doceniając jej wysiłki.

– Chodź – powiedział, ciągnąc ją za sobą z raportem w dłoni. Czyżby się uśmiechał w drodze do gabinetu szefa Wydziału Zabójstw? Czyżby uzewnętrzniała się u niego złośliwa satysfakcja?

Marcus Jacobsen od razu dostrzegł wyraz triumfu w ich oczach i zakończył rozmowę przez telefon.

– Co dla mnie macie? – spytał, gdy Carl położył przed nim akta dochodzeniowe.

– To ta sprawa, o której myślałeś. Odkopanie jej to zasługa Rose – oświadczył Mørck, spoglądając na koleżankę z cieniem dumy. – Po przeczytaniu raportu



przypomniałem sobie to śledztwo dokładnie. Miałaś rację, że trzeba było zadzwonić do Hardy'ego, bo z jego pomocą przypomniałbym je sobie od razu.

Położył palec na ostatnim zdaniu wyrażającym protest kolegi.

– Wniosek z tego raportu na pewno by pamiętał, zresztą może to też.

Umieścił przed nosem szefa zdjęcie pustego garażu i postukał w kopczyk soli.

Marcus uniósł wzrok znad okularów.

– A niech mnie licho, to ta sprawa! – Zwrócił się do Rose: – Czy ty wiesz, co właśnie zainicjowałeś?

– Myślę, że tak, bo kupka soli przypomina do złudzenia tę znalezioną koło warsztatu, który wyleciał w powietrze w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym. Może te sprawy są ze sobą powiązane, może istnieją też inne. – Rose zmarszczyła czoło. – Ale teraz się zmartwiłam, bo jeśli tak rzeczywiście jest, to będziemy mieli huk roboty z przeczesywaniem wszystkich akt od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego aż do dziś. Mam nadzieję, że masz tego świadomość, panie szefie. Może nie znajdziemy żadnych spraw z kopczykami soli, może powinniśmy się cofnąć jeszcze przed osiemdziesiąty ósmy. Oby, kurka, nie.

– Wiem dobrze, że to mnóstwo pracy, Rose, ale dlaczego uważasz, że jednak powinniśmy ją wykonać?

– Bo mamy dwa przestępstwa, w których sprawca ewidentnie zadbał o niezły kamuflaż.

– Czyli uważasz, że w obu przypadkach mowa o morderstwach z premedytacją?

Marcus spojrzał na Rose z ciekawością.

– Oboje tak uważamy, Marcus, ty zresztą też – wtrącił się Carl. – W przeciwnym razie dlaczego tak byś się uczeplił sprawy z warsztatem?

– Tak, ale posłuchajcie, trzymajmy się faktów. Intuicja to jedno, ale czymś innym jest zbieg okoliczności, który może nas przecież zwieść na manowce. Proponuję, byśmy założyli, że to po prostu jeden wielki przypadek, dopóki nie natrafimy na jedną lub dwie sprawy, gdzie w pobliżu ofiary zostawiono kopczyk soli. Jeśli takową znajdziecie, wrócimy do tej rozmowy.

– Okej, w porządku – zgodziła się Rose. – Musimy się jednak liczyć z tym, że w przypadku niektórych z tych spraw przyczyna śmierci została tak skutecznie zakamuflowana, iż one nigdy nie trafiły do Wydziału Zabójstw i dlatego nie ma ich w naszym archiwum. Mogły na przykład zostać skatalogowane jako „wypadek ze skutkiem śmiertelnym”, „samobójstwo” czy tak zwane „przyczyny naturalne”, a akt dotyczących takich zdarzeń jest multum. Poza tym trzeba założyć, że mogło do nich dochodzić w całej Danii.

Marcus położył ręce na stole i pochylił się do podkomendnej.

– Tak, Rose, ja też uważam, że powinniśmy się liczyć z tym ostatnim. Ale powiedz mi, jak zginął ten parlamentarzysta, bo nie pamiętam dokładnie. To było z dziesięć lat temu?

– Prawie dwa razy tyle. Datę śmierci ustalono na Zielone Świątki, czyli dziewiętnasty maja dwa tysiące drugiego roku wieczorem. Nazywał się Palle Rasmussen – odparła Rose.

– A taaak, naprawdę minęło już tyle czasu? – Marcus gwizdnął, rozpierając się w fotelu. Czyżby próbował cofnąć się w swoim wewnętrznym kalendarzu aż do tamtego dnia?

– Marcus, bądźmy szczerzy. Czy Departament Q nie jest za mały, by unieść tę sprawę w pojedynek? Moim zdaniem jest – stwierdził Carl.

Jacobsen uniósł palec wskazujący; jeszcze nie skończył myśleć.

Rose spojrzała na zdjęcie leżące na stole i przerwała milczenie:

– Moim zdaniem powinniśmy je skopiować, podobnie jak fotkę kupki soli z osiemdziesiątego ósmego, i wysłać do wszystkich okręgów policyjnych w całym kraju, by się zorientować, czy choćby jeden detektyw czy technik nie zapamiętał w swojej karierze podobnego kopczyka.

Spojrzenie, którym zmierzył ich szef, pełne było powagi.

– Odważymy się powiedzieć na głos, że naszym zdaniem spraw z kopczykami soli jest więcej? – spytał Marcus.

– Czyli że mamy seryjnego mordercę? – zasugerował Carl.

– Jeśli istnieje więcej spraw z solą niż te dwie, to tak.

– Co również oznacza, że wprawiamy w ruch całą maszynę: analizy profilu sprawcy, analizy motywu, setki wywiadów, mnóstwo przesłuchań, weryfikacje techniczne, porównania wszystkich możliwych typów raportów i wiele, wiele innych rzeczy. To może zająć miesiące. – Nietrudno było zrozumieć czarnowidztwo Carla.

– Owszem, Carl. Ale pomyśl, co będzie, jeśli więcej akt wskazuje w tym samym kierunku. Nie masz ochoty rozwiązać całego łańcuszka, żeby zniknęły z twojej sterty? Spójrz, jeśli wyjaśnimy sprawę wybuchu w warsztacie Ove Wilders Auto, to z listy zniknie też wiele innych spraw.

Bruzdy na twarzy pojawiające się gdzie popadnie zdradzają często sprzeczne uczucia. W tym momencie twarz Carla wyglądała tak, jakby jakiś artysta narysował ją pod wpływem LSD.

Czwartek, 3 grudnia 2020

CARL

– Dopóki nasze gabinety dzieli od kolegów tylko kilka metrów korytarza, obiecajcie mi dyskrecję w czekającym nas zadaniu. Wiem, że nie da się uniknąć rozmów z innymi kierującymi śledztwem, ale nie mówcie im o postęпах w sprawie. Jeśli odniesiemy sukces, dwie trzecie kolegów nas znienawidzi, jeśli zaś pójdzie nam jak po grudzie, ci sami nas wyśmieją, a żadna z tych opcji mi się nie widzi. Zachowujemy spokój w towarzystwie innych ludzi z dochodzeniówki, zrozumiano?

Carl wskazał na zestaw białych tablic porozwieszanych na całej ścianie gabinetu Assada, Rose i Gordona.

– Od teraz, przyjaciele, będzie to nasz pokój sytuacyjny. Rozrysowałem tu pięć kolumn i spodziewam się, że wkrótce się zapełnią. Treść pierwszej kolumny mówi sama za siebie: „Data/miejsce przestępstwa”. Druga z nagłówkiem „Ofiara” jest już bardziej problematyczna. Jeśli od domniemanego zabójstwa minęło wiele lat, to wyjątkowo trudne będzie stworzenie profilu zamordowanej osoby oraz odtworzenie schematu jej działania i nawyków. Trzecią nazwałem „Metody zabójstwa”. Odnoszę wrażenie, że i to będzie trudne do ustalenia. Nie spodziewam się, że uzupełnimy czwartą kolumnę przed wskazaniem ewentualnego mordercy. Opatrzyłem ją nagłówkiem „Motyw”. Czy można założyć, że te dwie konkretne sprawy coś łączy, a mianowicie fakt, że ofiary w ten czy inny sposób zostały unieszkodliwione, nim doszło do zabójstwa?

Carl skinął do Rose.

– Jak sądzisz, co na to wskazuje?

– Cóż, w każdym razie mechaników wyłączono z gry, nim warsztat wyleciał w powietrze, a parlamentarzystę Pallego Rasmussena zneutralizowano, prawdopodobnie jeszcze kiedy siedział za kółkiem. Czad tylko dokończył robotę – odparła.

– Wiesz, ile lat miało volvo?

– Było na tyle stare, by nie mieć katalizatora.

Carl skinął głową. To z tego powodu taka ilość czadu; Palle Rasmussen miał pecha.

– Wyglądasz, jakbyś się zastanawiał. Chcesz nam coś powiedzieć? – spytał Mørck Assada.

– Ach, Carl, mam teraz taki mętlik w głowie, że nie będzie to łatwe. Ale się zastanawiam, jak można było powalić pięciu mechaników. Jak to możliwe, że ktoś dał radę uderzyć ich wszystkich w kark i żaden nie stawiał oporu?

Gordon uniósł grzecznie palec; musi się oduczyć tego głupiego nawyku.

– Pomyślałem o tym samym. Moim zdaniem oni zginęli od ciosów w głowę, a eksplozja miała to zatuszować, żeby nie dało się znaleźć absolutnie żadnych śladów, takich jak DNA, różnych niedopatrzeń typu zapis kamer monitoringu czy...

Więcej wymyślić nie potrafił, ale wystarczyło.

– Ja też tak uważam – dodała Rose.

– Ale w takim razie musieli zostać ogłuszeni przed atakiem – zauważył Assad. – Człowiek leżący przy wjeździe do warsztatu mógł próbować wydostać się na świeże powietrze, ale nie zdążył. Właśnie to mnie frapowało.

– To trzeba było mówić. Jak zostali ogłuszeni, macie pomysły?

– Może jakimś gazem? – rzucił Gordon.

– Tak, ale w budynku mieściła się lakiernia, więc na bank mieli dobrą wentylację. Nie ma innych opcji?

– Nie można odwrócić takiej instalacji? Tak jak w starym odkurzaczu, żeby wdmuchiwała powietrze do środka? – spytała Rose.

Carl wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może, ale brzmi skomplikowanie, prawda?

Chyba nie dzielali jego zdania.

– A w przypadku parlamentarzysty? Co się mogło stać?

– Myślę, że to samo – odparł Assad. – Najpierw go ogłuszono, żeby nie nawiał z samochodu, a potem powoli zatruwał się czadem.

– Można było na przykład użyć eteru lub chloroformu, zgadza się? – spytał Gordon.

– Ta-ak, istnieje taka ewentualność. – Ten pomysł zaświtał też oczywiście Carlowi.

– Te dwie substancje dość trudno wykryć podczas badań w ramach autopsji. Po trzech dniach nie dałoby się też ich wyczuć węchem z uwagi na wszystkie te spaliny. Może zapiszemy to na tablicy jako potencjalną możliwość?

Wszyscy potaknęli i Carl to zrobił.

– Czy ta metoda mogła też zostać zastosowana przy zabójstwach w warsztacie?

– Tak, możliwe – zgodził się Gordon.

– Co to w takim razie mówi nam o zabójcy?

– Że wiedział mnóstwo o miejscach przestępstwa i ludziach, których mordował. Znał godzinę powrotu parlamentarzysty do domu, wiedział, jak był urządzony warsztat, i tak dalej – ciągnął Gordon.

– Tak, oraz że delikwent czy delikwentka posiadali wiedzę o środkach odurzających, wreszcie, że zabójstwa starannie zaplanowano. W przypadku tak skomplikowanej zbrodni, jak ta w warsztacie, jest to ewidentne, ale co świadczy o tym, że zabójstwo w garażu to ten sam przypadek?

Carl obrócił się, wskazując palcem. Padło na Assada.

– Sól leżała pod samochodem. Usypano z niej górkę, nim auto wjechało do garażu.

Mørck uniósł kciuk i po kolei wskazał palcem na każdego ze swoich współpracowników.

– Rose, sklecisz pismo, w którym zapytasz o sprawy, w których stwierdzono obecność soli w miejscach zgonów. Trzeba je rozesłać do wszystkich okręgów oraz oczywiście po komendzie, wiesz, jak to zrobić. Tym samym stajesz się naszą osobą do kontaktu. Jeśli nie zareagują od razu, podzwonisz po okręgach i ich przyciśniesz. – Uśmiechnął się do niej, ale na nic się to zdało. Nie znosiła tego rodzaju zadań. – Czy serio żadne z was nie przypomina sobie ani jednej sprawy, w której w pobliżu ofiary znaleziono by górkę soli? – ciągnął.

Reszta Departamentu Q pokręciła głowami.

– Hm, niech to szlag, ja też sobie nie przypominam. Czyli trzymamy się akt dochodzeń z okresu od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego do dwa tysiące dziesiątego. Rose już się do tego zabrała, z tym że od teraz to zadanie przypadnie tobie, Gordon. Jeśli zamierzasz skorzystać z doświadczenia Rose, to na początek przejrzyś materiał fotograficzny wszystkich spraw, żeby oszczędzić czas. Jeśli na zdjęciu znajdziesz sól, przeczytaj uważnie akta danego postępowania i zdam relację. Tylko uważaj, by czegoś nie przeoczyć.

– Czy nie lepiej po prostu dać znać komendantom, że jeśli ludzie z przeróżnych wydziałów i dochodzeniowcy policji kryminalnej nie przypomną sobie żadnych spraw z solą, to niech złączą poszukiwanie od materiałów fotograficznych? – rzuciła Rose.

– Oczywiście – zgodził się Carl. – A jeśli chodzi o ciebie, Assad, to chcę cię prosić, byś skupił się na ewentualnym motywie obu zabójstw z tablicy, bo moim zdaniem coś je łączy. Zarówno szwindel pracowników warsztatu ze sprzedażą samochodów, jak i wyjątkowo zaciekle i bezsensownie ataki parlamentarzysty Pallego Rasmussena na wszystko, co się rusza, według mnie wskazują na to, że w sprawie mógł maczać palce jeden lub więcej imigrantów. Wiem, że to nader wątpliwa teoria, ale ta kobieta, która zostawiła męża, wspominała przecież, że imigranci chętnie kupowali tanie samochody sprzedawane przez warsztat. Jeśli sprawdzisz w Centralnej Ewidencji Pojazdów okres poprzedzający eksplozję, dotrzesz do spisu nazwisk nabywców. Jeśli któryś z nich okaże się przypadkiem osobą, którą szykanował Palle Rasmussen, to

mamy potencjalny wspólny motyw, choć doskonale wiem, że byłby to niesamowity fart.

– Raczej nic z tego nie wyjdzie, Carl – powiedział cierpko Assad.

– Aha. A niby dlaczego?

– Bo idę o zakład, że handel samochodami odbywał się poza warszatem, więc jego nazwa nie pojawi się w papierach.

Carl ściągnął brwi.

– Tak, ale przecież ktoś musiał tę sprzedaż przeprowadzić, prawda? W takim razie proponuję, byś poszukał w rejestrze tylko nazwisk mechaników, bo to na pewno oni zajmowali się handlem autami. Jednocześnie mógłbyś spróbować stworzyć ich profile.

Assad wzruszył ramionami bez przekonania. Wkurzające, ale co tam, byleby to zrobił.

– A ty, Carl? – Rose spojrzała na niego jadownicie.

A ta co znowu?

– Będiesz palił te swoje śmierdzące patyczki, czekając, aż my coś ci przyniesiemy?

Carl poczuł, jak kąciki ust wyginają mu się w dół.

– Hm, tak, to też. Ale przede wszystkim muszę się zakręcić koło dodatkowych środków na wasze cholerne nadgodziny. Bo nie wydaje mi się, byście je chcieli odbierać w urloпах przez najbliższych dziesięć lat, co?

– Super, Carl, zakręć się. – Gordon się rozpromienił, bo kochał nadgodziny, byleby były płatne. I tak właściwie nie miał życia poza komendą. – W międzyczasie spróbuję odtworzyć przebieg wydarzeń w obu tych sprawach, by ewentualny portret psychologiczny sprawcy nabrał wyrazistości – dodał.

– Ach, zagonisz do tego Monę, ty oszuście, żeby się pobawić z córeczką, podczas gdy inni będą zasuwać z robotą. – Rose była autentycznie w bojowym nastroju.

Carl postanowił się uśmiechnąć.

– Wyśmienity pomysł, dzięki.

– Jeszcze jedno drażliwe pytanie, Carl – ciągnęła. – Jeśli sól wysypano tam celowo, to mamy zabójcę, który gra w niebezpieczną grę, ryzykując, że zostanie zdemaskowany. Albo w każdym razie chce zostawić po sobie ślad. Metodyczny seryjny morderca, którego z miłą chęcią byśmy zaaresztowali, jak sądzę. Ale co, jeśli ta sól to mimo wszystko po prostu zbieg okoliczności?

– To właśnie między innymi z tego powodu nie wolno wam gadać z kim popadnie o naszych postępach czy regresie. Ale gdyby to wyszło przypadkiem, to wersja oficjalna brzmi, że próbujemy rozwiązać dwie stare sprawy zabójstw. Czy to może nie nasza misja?

Potem Carl zasiadł w swoim gabinecie i zapalił papierosa, wychylając głowę przez okno. Jego proces myślowy ożywał na widok białoniebieskiego dymu wzbijającego się w niebo.

I co teraz?

Marcus wydrapie dofinansowanie choćby spod ziemi, więc ta kwestia rozwiąże się poniekąd sama. Jeśli chodzi o profil psychologiczny ofiar, to lepiej zacząć od przebiegu kariery parlamentarzysty, jego image'u oraz ewentualnych spraw o zniesławienie i innych. Carl pamiętał go doskonale z czasów, kiedy Hardy i on prowadzili wspólnie jakieś dochodzenie, ale jedno było pewne: Hardy bez wątpienia pamiętał je lepiej niż on sam.

Czwartek, 3 grudnia 2020

CARL

– Siedzę w ambulatorium i czekam, strasznie tu gwarnie, Carl, więc mów wyraźnie.

Carl nadstawił uszu, ale nie usłyszał żadnego gwaru.

– Morten mówi, że wasze szwajcarskie sprawy posuwają się do przodu. Jesteś optymistą, Hardy?

– Optymistą? Pytasz mnie, czy znów będę chodził?

– A sam w to wierzysz?

– Jeśli ostatnie operacje na moim rdzeniu kręgowym się udadzą i jeśli będą potrafili skonstruować egzoszkielec z mnóstwem podpierających kółek dla mężczyzny mojego wzrostu, przy jednoczesnym wytrenowaniu moich nieistniejących mięśni, to w każdym razie powinienem móc stać, ale sprinterem na pewno nie zostanę.

– Hardy, przecież nie o to mi chodzi, mam nadzieję, że rozumiesz. A jak z możliwością poruszania rękami? Istnieje szansa, że będziesz mógł ich używać?

Można by uznać, że przedłużające się milczenie stanowiło odpowiedź samą w sobie. Od ponad dziesięciu lat Hardy był sparaliżowany w praktycznie stu procentach od szyi w dół, więc jak miałyby się odnieść do tak głupiego pytania?

– Myślę, że tak – powiedział mimo to.

Carl aż się zapowietrzył. Gdyby tylko Hardy mógł odzyskać mobilność, wszystko by się zmieniło. Aż trudno było w to uwierzyć.

Ale kolega nie chciał rozmawiać o leczeniu. Wystarczało mu, że Morten i Mika dzień w dzień częstowali go motywacyjnymi gadkami; nie odczuwał potrzeby dalszego roztrząsania tej kwestii. Terapia wciąż była eksperymentem i nikt nie znał jej ostatecznych wyników, a Hardy był ostrożnym człowiekiem.

– A skoro już mowa o Mortenie, Carl, to wspominał mi, że pracujecie nad sprawą samobójstwa tego parlamentarzysty Pallego Rasmussena. Pewnie stąd twój telefon.

– Nie, wcale...

– Ta sprawa śmierdziała mi na kilometr. Dlaczego, u licha, publiczna osoba, która z lubością nurzała się w świetle reflektorów, miałaby tak nagle wyciągnąć sobie wtyczkę? Zero wyjaśnień, zero listu pożegnalnego, żadnych wypowiedzi świadczących o depresji. Tak, dobrze pamiętam tę sprawę. Był jednym z najbardziej nienawidzonych polityków w Danii, który wręcz żerował na nienawiści, nieważne,



czy skierowanej przeciwko niemu, czy komuś innemu. I takiego miałyby ogarnąć nagłe wyrzuty sumienia z powodu własnych paskudnych postępów?

– Fakt, to dziwne. Ale, Hardy, czy ty pamiętasz, że na podłodze w garażu leżała kupka soli?

– Powiedziałeś: kupka soli?

– Tak. Właśnie odkryliśmy podobną w innej sprawie, sporo lat starszej.

– Nie, tego akurat nie pamiętam. Dlaczego to ważne?

Carl opowiedział mu o zbieżnościach.

– A niech mnie! Ale to może przecież być przypadek, nie?

– Sam nie wiem. Zerknę na tego Pallego Rasmussena jeszcze raz. Wtedy sprawdzaliśmy, czy nie uprawiał seksu z kimś, kto by go wiązał. Pamiętasz, że medycy sądowi znaleźli wgłębienia na jego nadgarstkach?

– Owszem, ale jak wtedy powiedziałem i co zostało potwierdzone przez patologa, takie wgłębienia nie utrzymują się na skórze przez długi czas, dopóki człowiek żyje. Albo więc uprawiał jakiś rodzaj sadomasochistycznego seksu w drodze z Folketingu do domu, a przypominam sobie, że to sprawdzaliśmy i że teoretycznie miałyby na to czas, albo ktoś przywiązał go do kierownicy. Pamiętasz, jak jego sprzątaczką powiedziała, że wcześniej jego kierownica była pokryta jakimś sztucznym materiałem, pluszem czy czymś w tym stylu, a gdy go znaleziono, tego materiału tam nie było?

– Niestety, Hardy, ale nie pamiętam. Uważasz, że gdyby ten plusz wciąż tam był, to technikom udałoby się zdjąć z niego ślady osoby, która go związała?

– Uważam tylko, że brak pokrowca może dziwić.

– Dlaczego właściwie śledztwo w tej sprawie zostało przerwane? Nie pamiętam tego. Oczywiście mogę o tym porozmawiać z Marcusem, ale jeśli ty...

– Carl, wydaje mi się, że za chwilę po mnie przyjdą, więc będę się streszczał. – Hardy namyślał się przez chwilę. – Śledztwo zarzucono, gdy na jaw wyszła sprawa kolacji, w której Rasmussen uczestniczył przed Zielonymi Świątkami, na kilka dni przed śmiercią. Odniosło się do niej kilkoro członków jego rodziny.

– Okej, musiało mi to umknąć.

– Bo też w ostatnich dniach nie pracowałeś już przy tej sprawie, oddelegowano cię do innej wraz z Ankerem.

– Naprawdę? No dobra, ale co z tą kolacją?

– Rodzina twierdziła, że późnym wieczorem Palle Rasmussen, jak zwykle podchmielony, nabijał się ze spikerki telewizyjnej, która miała się zastrzelić na wizji. Śmiał się, że to najidiotyczniejsze samobójstwo, jakie można sobie wyobrazić. „Kiedy planuje się samobójstwo, to moim zdaniem powinno się zadbać o to, by zwłoki się pięknie prezentowały” – powiedział. Użył słowa „kiedy”, co rodzina zrozumiała tak,

że sam mógłby coś takiego planować. W tamtym miesiącu mieliśmy na głowie naprawdę dużo spraw, więc zdaje się, że Marcus po prostu nie potraktował jej priorytetowo. Prawdę mówiąc, wkurzyłem się, że tak postanowił.

W tle rozległo się szuranie i Hardy odpowiedział po angielsku na jakąś wypowiedź po francusku.

– Hardy, czy kwestia z pokrowcem na kierownicę i kolacją z rodziną nie powinna znaleźć się w raporcie?

– A nie ma jej tam? – Znow rozległ się chrobot. – Ups, na mnie już czas, Carl. Mam nadzieję, że choć trochę pomogłem.

Trochę? Owszem. Ale też pojawiło się mnóstwo nowych pytań.

– Jesteśmy w kontakcie, prawda, Hardy?

– Ciao, ciao! – rozległo się tylko i połączenie przerwano.

– Cześć, Rose, przepraszam, że przeszkadzam ci w pracy.

Spojrzała na niego kwaśno, dzierżąc w dłoni komórkę.

– Czy to możliwe, że do raportu o samobójstwie parlamentarzysty były dołączone jeszcze jakieś dodatkowe strony czy załączniki? Jak ci się wydaje?

Niechętnie odłożyła telefon.

– O co ci chodzi?

Carl zreferował jej rozmowę z Hardym.

– Boże, jak on się czuje?

– Powoli do przodu. Jeszcze za dużo nie wie, ale brzmiał optymistycznie. Wracając do sprawy, czy jest taka opcja, że jedna lub kilka kartek z raportu się zawieruszyło?

– Nie mam pojęcia. Ale jeśli tak, to Gordon może się na nie natknąć, kiedy będzie przeglądał swój stos akt. Spytaj go sam. – Wskazała za siebie na bladego, chudego jak słup telegraficzny faceta, który siedział otoczony świątecznymi krasnalami. Po jego jednej stronie piętrzył się metrowy stos raportów, po drugiej zaś – pięciocentymetrowy.

– Jak ci idzie, Gordon, jakieś postępy?

Dryblas spojrzał na niego zdezorientowany. Chyba zdążył odpłynąć.

– Widzę, że zaraz skończysz – zażartował Carl, wskazując na wyższą stertę, przez którą Gordon się jeszcze nie przedarł.

– O czym ty mówisz, to jeszcze nic. W archiwum jest nadal mnóstwo niewyjaśnionych spraw przestępstw przeciwko zdrowiu i życiu, których wynikiem jest zgon.

Carl poklepał go pocieszająco po ramieniu i zerknął na bladego krasnala na obrzeżach komputera.

– Widzę, że zająłeś się świątecznymi dekoracjami, naprawdę przytulnie tu – skłamał, po czym poinformował go, z czym przychodzi i czego Gordon ma szukać. Potem wyszedł na korytarz, nim młodzian zdążyłby na dobre wyładować na nim swoje frustracje.

Nie było trudno zdecydować, którego członka rodziny Pallego Rasmussena ma wybrać, bo dotarł tylko do człowieka, który jako przedstawiciel najbliższej rodziny został wezwany, by zidentyfikować zwłoki.

Drzwi otworzył mężczyzna w wyciągniętej brązowej marynarce, kraciastej koszuli, dżinsach z wiszącym krokiem i rozklapanych butach. Kiedyś miał zapewne rudą brodę, ale teraz ostały się tylko siwe kępkę. Ów zapuszczony nauczyciel z podstawówki, mogący stanowić wzór hipsterstwa, podobnie jak sami hipsterzy nie prezentował się imponująco.

Carl wyjął identyfikator i zdjął maseczkę.

– Poinformowano mnie, że jest pan spokrewniony ze zmarłym parlamentarzystą Pallem Rasmussenem, zgadza się?

– Niestety nie mogę zaprzeczyć – odparł mężczyzna, nie czyniąc najmniejszego gestu, by zaprosić policjanta do środka. – Nie był człowiekiem, którego się ciepło wspomina, mówiąc eufemistycznie.

– Pamięta pan, czy uczestniczył w rodzinnej kolacji na kilka dni przed śmiercią Pallego? On też brał w niej udział.

– Czy mogę zapytać, dlaczego pan to rozgrzebuje? Przecież minęło już ponad piętnaście lat.

– W związku z innym dochodzeniem, które teraz prowadzimy. Sprawa Pallego Rasmussena może się z nim wiązać, ale niestety nie mogę zdradzić nic więcej.

– Hm! – Widać było, że tego rodzaju odpowiedzi nie satysfakcjonowały emerytowanego nauczyciela.

– Byłem jedną z osób, które wówczas brały udział w śledztwie, dlatego to właśnie ja przychodzę o niego zapytać.

– Przecież ten idiota popełnił samobójstwo, i dobrze.

– A dlaczego jest pan tego taki pewien?

– Tu mnie pan ma! – Zaśmiał się, odsłaniając zęby świadczące o spożyciu sporych ilości czerwonego wina i tabaki. – Owszem, uczestniczyłem w tej kolacji. Mieliśmy taką rodzinną tradycję spotkań tuż przed Zielonymi Świątkami, co zresztą wtedy wyjaśniłem pańskiemu wyjątkowo wysokiemu koledze. Palle wypalił z kilkoma uwagami na temat samobójstwa w naprawdę niestosownym momencie.

– Aha, czyli kiedy?

– Tuż po tym, jak nasz kuzyn Laurits nam powiedział, że ma raka. Był bardzo przybity.

– Zupełny brak wycucia, rzekłbym.

Nauczyciel spojrział na niego ostro, jakby Carl nie odrobił zadania domowego.

– Brak wycucia, powiada pan. Ale, do licha, tu się pan myli, bo Palle je miał. Chciał zupełnie świadomie zszokować i przestraszyć kuzyna, gmerając w jego smutku i lęku. Właśnie taki był Palle: złośliwy i zupełnie pozbawiony empatii wobec innych. Ogólnie rzecz biorąc – głupi bydlak.

– Czy pan myśli, że Palle popełnił samobójstwo?

– Ja?! Mówiąc wprost, miałem to gdzieś wtedy i mam gdzieś dzisiaj.

– Sądzi pan, że to powszechne nastawienie w pańskiej rodzinie?

Mężczyzna zdążył już wyjść na próg.

– Jeśli chce pan porozmawiać z kimś, kto w to nie wierzył, proszę zgłosić się do bratanicy Pallego. Była totalnie zauroczona i Pallem, i jego chorymi, szalonymi pomysłami.

– Bratanica?

– Tak, byli prawie równolatkami. Jest córką najstarszego brata Pallego, a sam Palle był najmłodszy z rodzeństwa.

– Wie pan, gdzie mieszka?

– Ech, daj pan spokój, sam pan to wiesz. Pauline Rasmussen, zna ją pan przecież.

– Okej, czyli rozmawiamy o tej Pauline Rasmussen – powiedział z naciskiem Carl. – No ale ona pod żadnym pozorem nie jest...

– Chciał pan powiedzieć: faszystką? Nie, zrobiła się tak krwistoczerwona, że nie odznaczałaby się w garnku z gotowanymi rakami.

1993

## PAULINE

Pauline nie była całkiem normalną nastolatką. Kiedy jej koleżanki marzyły o tym, by zostać pielęgniarkami, by wyjść za lekarza czy coś w tym stylu, marzenia Pauline wyglądały zupełnie inaczej.

Bo Pauline marzyła tylko o tym, by na nią patrzono. Chciała stać w jakimś pomieszczeniu lub na scenie i pragnęła być oglądaną. Wyciągnąć ramiona w świetle reflektorów i widzieć obserwujące ją setki oczu. Nie być ignorowaną, traktowaną pogardliwie, nie czuć się odizolowaną. Marzenie to sprawiało, że jej ręce potniały, a szyja oblewała się rumieńcem.

Któregoś gorącego lata jej małą rodzinę zaproszono do domku letniskowego wraz z kilkoma braćmi jej ojca i ich rodzinami.

Przez prawie tydzień się nudziła, ale wtedy w domku zameldował się nagle mężczyzna o buńczucznym spojrzeniu. I gdy pierwszy raz na nią popatrzył i jej się przyjrzał, zrobił to w taki sposób, że pod skórą aż się jej zagotowało.

Palle Rasmussen nie należał do braci, o których reszta wyrażała się w superlatywach. Ich zdaniem był zbyt władczy i zbyt bezkompromisowy. Kiedy podnosił głos i wszczynał dyskusję, przyjemną popołudniową atmosferę trafiał szlag.

Pauline wiedziała od ojca, że Pallemu marzyła się polityka, a było to znacznie bardziej interesujące niż kariera sklepikarza, księgowego czy kogo tam jeszcze, kto wyklął się w rodzinie Rasmussenów.

Gdy jej stryj po raz pierwszy znalazł się z Pauline sam na sam, podszedł do niej blisko, wręczył jej raketkę do tenisa stołowego i poprosił, by uderzyła go nią z całej siły w twarz.

Zawahała się, ale gdy chwycił ją mocno za krocze, nakazując, by natychmiast to zrobiła, inaczej walnie ją w podbrzusze, uderzyła go w twarz z taką siłą, że raketka pękła.

Palle zatoczył się do tyłu i spojrzał na nią, jakby stroił sobie żarty. Przestraszyła się tego, co zrobiła, ale wtedy on chwycił drugą raketkę i poprosił ją, by to powtórzyła.

Być może przy kolacji ktoś skomentował jego płonące policzki, ale Palle się tym nie przejął, a wtedy Pauline była już w nim zakochana.

Po niedługim czasie miała klucz do jego mieszkania. To, co ze sobą robili, nie mogło się nigdy z niczym równać. Pierwszy raz poczuła, jaka władza i moc kryją się w jej płci, i wtedy zrozumiała, że właśnie tak chce przeżyć życie.

Palle wychwalał ją i słuchał jej jak nikt inny. I to podniecało ją niemal równie mocno jak to, co podniecało jego. Wszystko, co działo się między tym dwojgiem, gdy znajdowali się razem, cechowała osobliwa intymność i zuchwałość, jakiej nie była sobie w stanie wcześniej wyobrazić. Uskrzydlało ją to. Mieć władzę nad czyimś ciałem. Słyszeć i odczuwać rozkosz w pełnych bólu jękach innego człowieka i widzieć, jak wykwita na jego ciele pod postacią czerwonych pręg i skaleczeń.

Piątek, 4 grudnia 2020

CARL

To prawda, aktorka rewiowa i kabaretowa Pauline Rasmussen nie była zachwycona, gdy przypomniał jej o dawnym afekcie do stryja. Dlatego gdy następnego dnia przed południem Carl zjawił się u niej podczas prób do kolejnego przedstawienia i powiedział, z czym przychodzi, odciągnęła go za kulisy i poprosiła, by zniżył głos.

Carl skinął głową.

– Chyba powinna pani powiadomić pozostałych na scenie, że zrobi sobie pani przerwę. Wtedy możemy się przejść na drugą stronę kanału, usiąść na ławce i porozmawiać w spokoju.

Gdy usiedli, Pauline skuliła się, otulając szczelnie płaszczem, co było zrozumiałe. Kiedy wcześniej tego samego dnia Carl spojrział na termometr, temperatura oscylowała wokół zera.

– Przejdźmy prosto do sedna, pani Rasmussen. Wtedy była pani zafascynowana stryjem, dziś zaś jest pani w zupełnie innym miejscu w życiu, więc spokojnie. – Uczynił na ustach gest zasuwania wymyślnego zamka błyskawicznego. – Wiem od kogoś z pani rodziny, że jako jedyna utrzymywała pani bliskie stosunki z Pallem i że za nic w świecie nie chciała pani uwierzyć, że popełnił samobójstwo. Pamięta pani, dlaczego tak uważała?

– Czy mogę mieć stuprocentową pewność, że to nigdy nie wyjdzie na jaw? – Spojrzała na niego nerwowo.

– Zaręczam, że tak. Tajemnica zawodowa, wie pani.

Carl znał ją z telewizji: była sprytną i uzdolnioną aktorką z talentem komediowym i wokalnym. Ale kiedy tak siedziała na ławce, po talencie komediowym i sprycie nie było śladu. Jej głos drżał lekko, opadające powieki przydawały jej twarzy ociężałości.

– Byłam nim totalnie zauroczona, choć trudno w to dziś uwierzyć. Ale z tego jego braku pokory biła niesamowita charyzma. Myślę, że to dlatego dostał tyle głosów do Folketingu. Zakochałam się w nim mocno i tworzyliśmy związek przez prawie dziewięć i pół roku. Zerwał ze mną kilka miesięcy przed śmiercią, tłumacząc, że zakochał się w innej. Chyba najbardziej zranił mnie fakt, że to zakochanie było po nim widać aż do samej śmierci. Dlaczego więc miałby się zabijać? Był niewiarygodnie silną osobą, która potrafiłaby wszystko przezwyciężyć.

- Nawet odrzucenie przez kobietę, w której był zakochany?
- Nawet to. – Pauline skinęła głową.

Carl zamknął za sobą drzwi do gabinetu. Jego następna rozmowa nie nadawała się do przeprowadzenia przy otwartych drzwiach.

Po drugiej stronie rozległo się życzliwe mruknięcie, gdy udało mu się połączyć z Kurtem Hansenem, byłym politykiem i dawnym podkomisarzem policji kryminalnej, który przy rozmaitych okazjach służył Carlowi użyteczną radą. Wprawdzie już od wielu lat nie bywał w Christiansborgu, ale Mørck wyliczył sobie, że zasiadał w parlamencie w tym samym czasie co Palle Rasmussen.

Hansen wydawał się szczerze rozradowany, słysząc głos Carla. Bardzo podejrzane. Może dopadł go marazm właściwy dla wieku emerytalnego, nie mówiąc już o zabójczym braku kontaktu z ludźmi, charakterystycznym dla czasu pandemii.

– Palle Rasmussen, powiadasz! Ta-ak, paskudniejszego gościa ze świecą szukać. I pomyśleć, że musiałem siedzieć z nim w tym samym pokoju podczas negocjacji. Trudno było się na niego nie natknąć, w Christiansborgu wszędzie było go pełno, ten zasrany ateista pracował nawet w święta. Fuj!

– Kurt, odłóż handryczenie się na później! Właśnie prowadzę śledztwo w sprawie jego samobójstwa i odczuwam palącą potrzebę, by się dowiedzieć, jakich miał wrogów.

– Ha, ha! Nie wiesz, czy to było samobójstwo, zgadza się? Mam nadzieję, że tak, kurza nóżka, bo jeśli to było zabójstwo, to sprawca powinien dostać medal zamiast odsiadki. To tak między nami. – Zaśmiał się. – O tak, ten facet miał wrogów bez liku. Jesteś pewien, że masz czas, by się w to zagłębiać?

– Czytałem sporo zaadresowanych do niego nienawistnych listów od czytelników, czytałem też nieco jego wypowiedzi i wywiadów, więc zdaję sobie sprawę z zakresu tego zjawiska. Zakładam też, że otrzymywał pogróżki na adres Folketingu.

– Jeśli ja przez te wszystkie lata dostałem ich kilka, to on setki razy więcej.

– Czy takie rzeczy się przechowuje?

– Czy się przechowuje? Nie, śmiem wątpić. – Odchrząknął parę razy, zastanawiając się. – Ale wiesz co, spróbuj popytać Verę Petersen, była sekretarką tej jego grupki, biedaczka. Vera była w porządku, po prostu trafiła jej się główniana praca, ale dziś pracuje jako sekretarka w Dansk Industri. Zadzwoń do niej, zagadaj. Na bank czytała większość tego gówna.

Podpowiedź była celna. Vera Petersen okazała się gigantyczną skarbnicą wiedzy, depozytem rozwiązań i zasobem pamięci o pojemności kontenera. Jedną z tych sekretarek, przy których szefowie stają się zbędni.



Owszem, zgadza się, przez jakiś czas pracowała dla partii Pallego Rasmussena jako sekretarka i koordynatorka – przyznała. Jak Carl się domyślił, nie był to lekki kawałek chleba.

– Mogę panu powiedzieć, że praktycznie wszystkie listy z pogrózkami pisano anonimowo i we wszystkich można było znaleźć te same brudy. Że powinien zdechnąć, że ma ptasi mózdzek, że powinien się rzucić z Langebro, że jest brzydki, obleśny i że za każdym razem, gdy otwiera usta, wokół roznosi się smród zgnilizny. Yyy, momencik – powtarzała co chwilę, wydawała jakąś dyspozycję i wracała do rozmowy. Była potwornie zajęta.

– Myśli pani, że któreś z tych listów jeszcze istnieją?

– Nie w Christiansborgu, o ile mi wiadomo, ale on lubił zabierać je do domu. Wydaje mi się, że im bardziej agresywne były te mejle, tym bardziej go to bawiło. Takie wyzwiska miały chyba dla niego status trofeów, więc może planował, że w którymś momencie złoży pozew przeciwko nadawcom, zapewne w okolicach kolejnej kampanii wyborczej. Uwielbiał, kiedy media eksploatowały takie tematy, bo to wiązało się z rozgłosem. Ogólnie rzecz biorąc, był fenomenalnym strategiem w dziedzinie autopromocji. Wie pan, o co chodzi, nieważne, co mówią, byle nie przekreślali nazwiska. To oczywiście brednie, ale nie w jego przypadku. Chwileczkę!

Kobieta znów zniknęła, ale Carl już skończył. Podziękowanie, pożegnanie, kolejny klient.

W głosie Pauline Rasmussen pobrzmiwało zaniepokojenie, gdy w słuchawce znów usłyszała jego głos.

– Pani Pauline, szybkie pytanie. Kto właściwie dziedziczył po Pallem Rasmussenie?

– Yyy, ja, ale chyba pan nie myśli, że...

– Chcę tylko wiedzieć, co stało się z jego meblami i przedmiotami osobistymi.

– Wszystko dostało się mnie, ale zaręczam, że mało co miało jakąś wartość. Tylko jego komputer, parę mebli, żaden tam duński design typu Hans Wegner, Poul Kjærholm czy kto tam jeszcze. Poza tym miałam już wtedy wszystko, czego potrzebowałam.

– Jego komputer? Nadal go pani ma?

– Możliwe, nie jestem pewna. Ale jeśli tak, to wylądował na strychu. Nie mogłam go otworzyć, bo to Apple, nie znam się na nich. – Próbowała się zaśmiać, ale bezskutecznie.

– Czy mogę prosić, by pani go poszukała?

– Ech, teraz jestem trochę zestresowana.

– To chyba nie zajmie dużo czasu? Może podjedziemy, by pani pomóc?

Propozycja najwyraźniej ją zaskoczyła, bo odpowiedź padła pełna wahania.

- Yyy, nie, dziękuję, poradzę sobie sama, ale dopiero po premierze.
- Okej, rozumiem, a kiedy ta premiera?
- Jutro.

Carl skinął głową sam do siebie. Komputer! Wątpliwe, by ktoś z policji sprawdził zawartość, skoro facet teoretycznie popełnił samobójstwo, więc muszą zrobić to oni.

- Myślę, że powinien tam jeszcze być karton pełen różnych papierów i wydruków.
- Karton! – prychnęła. – Kartonów wypełnionych różnymi papierami było co najmniej pięćdziesiąt, poszły prosto do pieca. Palle trzymał w domu pełno takiego szajsu, ale mnie to zupełnie nie interesowało, co miałam z tym zrobić?

Czyżby brzmiała nieco zbyt kategorycznie?

- Dziękuję, pani Rasmussen. Ale proszę sprawdzić, czy nie zostało się choćby jedno pudło. Plus liczę na to, że pojutrze, po wizycie na strychu, zadzwoni pani do mnie. I życzę połamania nóg jutro wieczorem, tak się mówi, prawda?

Rozmowa się zakończyła.

Dziwne to wszystko. W raporcie na temat samobójstwa osoby publicznej, Pallego Rasmussena, Carl nie natrafił na ani jedno słowo na temat zawartości jego komputera. A przecież musieli to sprawdzić, skoro samobójstwo nie wydawało się oczywistością.

- Mogę wejść? – Marcus Jacobsen po cichu otworzył drzwi i stał teraz w progu; widać było, że potrzebuje partnera do sparingu.

Carl odsunął fotel biurowy i wskazał na krzesło u szczytu stołu, by szef mógł usiąść.

- Spójrz tu – powiedział Marcus, podsuwając Carlowi swoją komórkę. – Co widzisz?
- Trumnę w kościele. To Mai?
- Tak. A na trumnie?
- Kilka bukietów?
- Tak, w sumie trzy. Jeden od kuzynki Mai, jeden ode mnie.
- A ten trzeci?
- Tak, sam się zdziwiłem, więc kiedy msza dobiegła końca, podszedłem, by to sprawdzić, ale nie było na nim karteczki ani wstążki.
- Chyba nic w tym dziwnego?
- N-nie, ale to właściwie zależy, ile ludzi przyszło do kościoła. W tym przypadku było nas tylko dwoje.
- Anonimowy darczyńca?
- Spytałem kościelnego, który odpowiedział, że bukiet leżał już na wieku trumny, gdy przedsiębiorca pogrzebowy wwiózł ją do środka.
- Czyli pewnie to przedsiębiorca pogrzebowy go tam położył.

Marcus skinął głową.

– Tak właśnie było. Zadzwoiłem do niego. Powiedział, że gdy otwierał zakład, bukiet leżał na progu. Przyczepiono do niego szpilką skrawek papieru z napisem „Trumna Mai”. Facet się dziwił, bo to bardzo nietypowe, ale położył bukiet na wieku.

– Spytałeś go, czy wciąż ma ten paperek?

– Odszukał go w koszu na śmieci.

– Marcus, mów, o co chodzi z tym świstkiem!

– Kiedy go sprawdziłem, okazało się, że nie ma na nim ani odcisków palców, ani śladów DNA. Wydrukowano go czcionką Times New Roman na kawałku zwykłego osiemdziesięciogramowego papieru do kserowania i wycięto.

– Zapewne zabrałeś bukiet ze sobą na komendę?

– Tak, i odwiedziłem wszystkie kwaciarnie, supermarkety, stacje benzynowe i sklepy całodobowe w pobliżu zakładu pogrzebowego. Bukiet nie był owinięty w papier ani w folię, więc nikt nie potrafił mi udzielić żadnych informacji. Tylko tyle, że te kwiaty nie rosną w ogrodach o tej porze roku. I męczy mnie to, że na tym skrawku papieru nie było żadnych śladów.

– Słyszę, co mówisz, Marcus, to rzeczywiście dziwne. Czyli osoba, która go przyniosła, nie chciała zostać zidentyfikowana.

– Prawda? No więc spędziłem cały dzień, sprawdzając, co Maja porabiała w ostatnich miesiącach. Miałem nadzieję, że ten człowiek nagle wychynie z nicości, ale nie udało mi się.

– Myślisz, że Maja została zamordowana?

– Nie, właściwie nie. Ale jak wiesz, w jakiś sposób jestem powiązany z jej losem. Natomiast przejrzałem sporo rzeczy Mai, bo chciałem znaleźć tę osobę, i wiesz, na co natrafiłem?

– Mów!

– Prywatne rachunki Mai, ułożone w porządku chronologicznym w segregatorach opatrzonych konkretnym rokiem, sięgają aż do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, kiedy to dostała pierwsze, nieduże zlecenie. W ten sposób otrzymałem prezent w postaci totalnego przeglądu jej sytuacji ekonomicznej na przestrzeni lat.

– Okej, Marcus, nie próżnowałeś.

– Cóż, właściwie to trochę tak, bo niektóre z przychodów podkreślano regularnie długopisem. Każdego miesiąca od pierwszego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego, ale nie były to jej zarobki.

– Marzec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego, niewiele ponad miesiąc po wybuchu.

– Właśnie, i wcale nie dostawała drobniaków. W latach osiemdziesiąt osiem do dziewięćdziesiąt osiem otrzymywała co miesiąc pięć tysięcy koron. Od

dziewięćdziesiątego dziewiątego do dwa tysiące dziewiątego – dziesięć tysięcy, a od dwa tysiące dziewiątego do dziś wpływało jej na konto dwadzieścia tysięcy miesięcznie.

Carl spróbował to przeliczyć. Nie był orłem z matematyki, ale jego nauczyciel rachunków z Brønderslev też nie należał do bystrzaków.

– Niemal pięćset tysięcy koron, Marcus. To kupa kasy. Myślisz, że to eksmeża dopadły wyrzuty sumienia? Musiał nieźle zarabiać, skoro stać go było na wydatek takiego rzędu.

– Powiedziałbym, że każdy, kogo stać na przeznaczenie na coś takiej kwoty bez możliwości jej odliczenia, musi dobrze zarabiać, Carl. Ale to nie były mąż, bo ten umarł na raka w dwa tysiące ósmym.

Carl znów spuścił wzrok na trumnę ze zdjęcia Marcusa.

– Rozmawiałaś o tym z jej kuzynką?

– Tak. Wiedziała, że Maja czasem dostawała pieniądze, ale nie miała pojęcia, że było ich tak dużo i że otrzymywała je przez cały czas.

– Rozumiem, że gadałeś o tych przelewach z bankiem.

Jacobsen spojrział na Carla, jakby miał go za idiotę.

– Czyli nie były to przelewy.

Marcus westchnął.

– Zdaniem kuzynki pieniądze przesyłano Mai anonimowo. Wkładano je do koperty i wrzucano jej do skrzynki na listy, ale to tylko hipoteza. W banku mówią, że Maja co miesiąc zjawiała się w ich filii z gotówką w kopercie, którą wpłacała na konto. Myślę, że wiedziała, jak się obchodzić z tymi pieniędzmi, bo nigdy ich nie ruszyła. W chwili jej śmierci na koncie znajdowało się prawie trzy czwarte miliona, w tym jej normalne oszczędności.

– A niech to licho, nie wydawała ich. To może była zdziwiona w równym stopniu co my.

– Zapewne. Ale chyba miała świadomość, że pieniądze są jakoś powiązane z wybuchem. Pewnie myślała, że to krwawa forsa, ja zresztą też tak myślę. Wnioskuje, że podczas wybuchu nie miał zginąć nikt oprócz tych z warsztatu, ale synek Mai został zabity.

Carl skinął głową. Collateral damage – brzmiało wyrażenie, które wielokrotnie słyszało się w ostatnich latach w związku z atakami amerykańskich dronów. Niezamierzona śmierć niewinnych ludzi, do której dochodzi przy okazji planowanych ataków na tych, których chce się zabić. Jeśli teoria o krwawych pieniądzach się sprawdzi, zgon synka Mai był właśnie takim efektem ubocznym działań wojennych.

– Kto płaci krwawą kasę, Marcus?

– Ktoś, kto ma wyrzuty sumienia lub komu narzuca to jego kultura.

– Tak wysokie kwoty mogą wskazywać na to, że za atakiem na warsztat i eksplozją może stać grupa ludzi. Wyjaśniałoby to w każdym razie bezbronność mechaników.

Marcus zaczerpnął powietrza.

– Nie wiem, Carl. Czy grupa imigrantów kryminalistów czy choćby rockersów położyłaby mały, niepozorny bukiet tulipanów pod drzwiami zakładu pogrzebowego? Coś mi zgrzyta w tej teorii.

Carl podzielał jego zdanie.

– Czyli uważasz, że mówimy o morderstwie z premedytacją na pięciu osobach i o całkowicie zaplanowanej i kontrolowanej eksplozji?

– Sądząc po istniejących dowodach, tak właśnie uważam, Carl. Masowe morderstwo w czystym wydaniu.

Poniedziałek, 7 grudnia 2020

CARL/ASSAD

Gdy Carl mijał kontuar Lis, ze zdumieniem zauważył na nim sterty papierów do kserowania. Lis wyglądała na zmęczoną, wbrew świątecznym dekoracjom składającym się z napisu „Wesołych Świąt” w pięciu językach i mnóstwu kolorów rozświetlających jej miejsce pracy. Odkąd pani Sørensen alias Wilczyca Ilsa przeszła na emeryturę, w komendzie nie zatrudniono nowej osoby. Również tę dziedzinę dotknęły cięcia budżetowe.

„Kretyństwo” – zdążył pomyśleć, nim z gabinetu nie wyskoczyła Rose, przypominając cielaka, który pierwszy raz poczuł pod kopytkami trawę, i o mało nie przewróciła jednego ze świeżo upieczonych detektywów, zmierzającego do przeciwległego gabinetu. Nie uśmiechnął się do nich, ale prawdę mówiąc, nikt z pozostałych również tego nie zrobił.

– Carl, masz natychmiast tu przyjść! – zakomenderowała Rose tak głośno, że usłyszeli to nawet ci zza rogu.

– Rose, ucisz się trochę – zganił ją Carl w gabinecie. – Nie jesteśmy już odizolowani w piwnicy komendy i nie mam ochoty...

– Przymknij się, Carl. Racz zauważyć, że Assad i ja siedzimy tu już od dwóch godzin i że jesteśmy niezłe podekscytowani.

Assad sprawiał wrażenie wyczerpanego, ale na jego twarzy powoli zaczynał rysować się uśmiech.

– Spójrz, Carl. Znaleźliśmy gwóźdź w słomie.

– Do diaska, Assad, mówi się „igłę w stogu...” – Mørcka powstrzymał palec wskazujący Assada, uparcie skierowany na tablicę.

„28.04.1998”, „Vordingborg” – głosiły napisy w kolumnach „Czas” i „Miejsce”.

– Co to jest? – spytał Carl, podchodząc bliżej.

– Jak widzisz, to było ponad dwadzieścia lat temu – poinformowała go Rose. – Ale nie na tyle dawno, by sprawa mogła się zawieruszyć w mrokach dziejów.

– W pozostałych kolumnach nic nie ma. To zabójstwo?

Oboje wzruszyli ramionami.

Assad obrócił swój fotel biurowy i aktywował ekran komputera, na którym pojawiło się cholernie odrażające zdjęcie. Carl już od wielu lat nie widział takiej ilości krwi. Na

podłodze siedział po turecku mężczyzna w średnim wieku, opierając się czołem o przód maszyny. Był trupio blady i niewątpliwie martwy, całkowicie się wykrwawił. Po jego drugiej stronie widać było dużą, opustoszałą halę oświetloną jarzeniówkami i wypełnioną wielkimi obrabiarkami.

– Skąd pochodzi krew? – spytał.

Assad kliknął myszką, chcąc pokazać kolejne zdjęcie. Przedstawiało zbliżenie na ramiona, tułów i skrzyżowane nogi mężczyzny.

– Położył ręce na kolanach – powiedziała Rose. – Pewnie doznał nagłego szoku, gdy odcięto mu dłonie.

– Fuj, co za ohyda! Odcięto?

– Tak. Siedzi oparty o wykrawarkę, która potrafi przeciąć na pół żelazne płyty o grubości pięciu milimetrów. To była dla niej pestka.

– Kim on jest?

– Właścicielem przedsiębiorstwa Spółka Akcyjna Olek Dudeks Maskinfabrik.

– Olek Dudek. Rosjanin?

– Nie, Polak – poprawił go Assad. – Przyjechał do Danii zaraz po upadku muru. Początkowo jego firma działała w Herning, ale potem przeniósł fabrykę do Vordingborga i mocno ją rozbudował.

– Zatrudniał niemal wyłącznie ludzi z zagranicy, oczywiście niezrzeszonych i kiepsko opłacanych, więc było z nim mnóstwo problemów – dodała Rose. – Myślę, że ze względu na te zatrudnienia wymierzono mu surowe kary pieniężne. Poza tym w miejscu pracy nie przestrzegano elementarnych zasad bezpieczeństwa, skoro bez przerwy dochodziło do wypadków. W końcu o mało nie zamknięto tego zakładu.

– Cześć – rozległo się w drzwiach. Stał w nich wyszczerzony Gordon, któremu uśmiech zastygł na ustach na widok zawartości ekranu Assada. – Mein Gott! – Gordon wyglądał, jakby lada chwila miał zwrócić na biurko; parokrotnie wstrząsnął nim odruch wymiotny.

– Gordon, oddychaj – poradził Carl. Zdaje się, że nadszedł czas, by gość wziął udział w którymś z kursów prowadzonych przez patologów sądowych na Uniwersytecie Otwartym. Trochę by go to zaprawiło w bojach.

– Co się tam stało? – wyszeptały staccato kredowobiałe usta dryblasza.

– Facetowi ucięto dłonie na wykrawarce. Rach-ciach! – odezwał się cierpko Assad. To raczej nie poprawi stanu Gordona.

– Ale dlaczego on się w ogóle znalazł na tej tablicy? – zwrócił się Carl do Rose. – To pewnie wypadek przy pracy, skoro tyle się ich zdarzało, a ten idiota miał gdzieś zasady bezpieczeństwa. – Mørck zastanowił się chwilę. – Albo jeśli znalazł się

w potrzasku, a Inspekcja Pracy i Urząd Skarbowy zamierzały zamknąć fabrykę, to może popełnił samobójstwo, prawda?

– Oh my God, w ten sposób nie można się zabić. To potwornie scary – jęknął Gordon, klapnąwszy na swoje miejsce.

– Uznano to za wypadek przy pracy i owszem, potem fabrykę rzeczywiście zamknięto. Ale, ale, ale... – Rose skinęła do Assada, który kliknął myszką, by wyświetlić kolejne zdjęcie. Przedstawiało zbliżenie na obie odcięte dłonie leżące na trocinach tuż za maszyną.

Za ich plecami rozległ się huk. To Gordon walnął głową o stół i leżał w omdleniu, ale oddychał normalnie. Przynajmniej przez jakiś czas nie trzeba się będzie nim przejmować.

– Mówisz „ale”, lecz czy to coś zmienia? Chodzi ci o kąt, pod jakim leżą te dłonie? Myślicie, że je przesunięto?

– Nie, Carl. Technicy ustalili z dużym prawdopodobieństwem, że ich nie ruszano. Kąt uderzenia i jego siła sprawiły, że spadły na ziemię dokładnie w tym miejscu. Ale to, co na pierwszy rzut oka można wziąć za trociny, to sól kuchenna.

Sól! Carl poczuł ciarki na plecach.

– Przyrowadź tu natychmiast Marcusa – polecił Assadowi. – A ty, Rose, możesz zacząć wypełniać pozostałe kolumny.

Mørck pogładził się po brodzie. Osiemdziesiąty ósmy, dziewięćdziesiąty ósmy, dwa tysiące drugi. Jeśli to nie seryjny morderca, to mogą go nazywać Gurli Margrethe czy jak tam, do diabła, chcą.

Assad sprawdził numer domu i zaparkował służbowy wóz na podjeździe niewielkiego i dość funkcjonalnego domku z gazobetonu. Zapewne był to jeden z tych budynków, które kleciło się naprędce w dwa tygodnie w latach sześćdziesiątych, kiedy to nawet zwyczajnego, szarego człowieka stać było na wyprowadzkę na przedmieścia. Zrobił zdjęcie, bo taki mniej więcej domek sam miał ochotę postawić. „Ciekawe, ile to kosztuje?” – pomyślał, gdy mężczyzna z ogniście rudą czupryną otworzył mu drzwi.

Na stół wjechały niesamowicie słodkie ciastka, od których serce Assada rozplynęło się w nostalgii. Jurek Jasiński, były brygadzysta w zakładzie Olka Dudka, był gotowy.

– Wielokrotnie ostrzegałem Dudka, mówiąc mu, że wracam do domu, jeśli nie zaprowadzi porządku – powiedział ładną duńszczyzną z polskim akcentem, który sprawił, że duński Assada brzmiał niemal arystokratycznie. – Ale nie chciał słuchać. Wie pan, co w ogóle oznacza imię Aleksander, bo od tego pochodzi zdrobnienie Olek?

Assad pokręcił głową. Chyba facet nie sądzi, że wszyscy znają znaczenie imion?

– Tak się zabawnie składa, że „Aleksander” oznacza „obrońcę ludzi”, a tym to on na pewno nie był. – Jurek wybuchnął śmiechem tak gwałtownym, że Assad o mały włos



nie zakrztusił się kawałkiem ciasta.

– Mam do pana kilka pytań. Proszę udzielić na nie krótkiej odpowiedzi, dobrze?

– Jasne, niech pan strzela – odparł koleś, wyjął z wyimaginowanej kabury na biodrze równie wyimaginowany pistolet i strzelił. Potem dmuchnął na czubek palca i uśmiechnął się od ucha do ucha. Ten rodzaj humoru zupełnie do Assada nie przemawiał.

– Jakim typem człowieka był Dudek? – brzmiało jego pierwsze pytanie.

– Typem? – Jurek zastanowił się chwilę. – Chyba był trochę jak granitowy blok. Równie pozbawiony poczucia humoru, równie uczuciowy i równie gwałtowny i silny. O coś takiego panu chodziło?

– Yyy, raczej o to, dlaczego i jak do tego doszło. Czy istnieje możliwość, że ktoś zmusił go do tego, co zrobił?

– Zdecydowanie musiałyby tego dokonać jakiś osiłek. – Jego rozmówca się zaśmiał.

– Ktoś mógł mu czymś grozić. Na przykład kulką w łeb?

– Na takie pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć, prawda? Nie było mnie tam, jeśli coś pan sugeruje.

Assad pokręcił głową.

– Nie, ale czy Olek Dudek był typem człowieka, który mógł popełnić samobójstwo?

– Pytania naprowadzające nie zdawały egzaminu w sądzie, ale w codziennym życiu były całkiem, całkiem.

Jasiński wzruszył ramionami.

– A czy tego nie zrobił? Nigdy nie wiadomo, co taki gość potrafi wykombinować. Jeśli Dudek nie mógł postawić na swoim, potrafił dramatyzować.

– Aha. Ale sposób, w jaki to zrobił? Mógł wpaść na to, by odrąbać sobie dłonie?

Jurek znów niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

– Dudek był twardy i agresywny. Dawny wojskowy i bokser. Niestety czasem było to widać po twarzy jego żony.

– Czyli wierzy pan w to?

Jasiński znów wzruszył ramionami.

– Jak to się w ogóle mogło stać? – drążył Assad. – Odkręcił z tej maszyny coś, co mogłoby zapobiec wypadkowi?

Mężczyzna pochylił się do Assada.

– Musi pan zrozumieć jedną rzecz, panie policjancie. Wszystkie te maszyny to był stary szajs z krajów bałtyckich. Jeśli się zepsuły, to na tym się kończyło. A wykrawarka była wyjątkowo niebezpieczna. Chłopak z Pakistanu odciął sobie nią palce jednej ręki.

– Jurek zademonstrował to, uderzając kantem dłoni w kości palców tuż nad kłykciami.

– Ten wypadek kosztował Dudka wielką grzywnę. Ale na szczęście mój kierownik

zareagował błyskawicznie, wkładając sobie te palce do ust i nie wyjmując, dopóki nie dojechał z tym biedakiem do szpitala. Palce już nigdy nie odzyskały pierwotnej sprawności, ale jednak je zachował.

– Czyli maszyna była wadliwa?

– Tak, zabroniłem swoim ludziom jej używać i o mało przez to nie wyleciałem.

– Jak długo to było przed śmiercią Dudka?

– Wydaje mi się, że z rok.

– Skoro to nie był wypadek, to dlaczego miałby to zrobić?

– Może miał dość szarpania się z władzami i związkami zawodowymi, pewnie tylko tyle. Fabrykę i tak zamknięto.

– Nie do końca to rozumiem, bo potem się okazało, że miał naprawdę sporo pieniędzy w gotówce i na polskich kontach bankowych. Mógł więc po prostu zapłacić i zrobić to, czego żądały od niego władze.

– Tak, ale za Dudkiem trudno było nadążyć.

– Dlaczego przebywał w fabryce sam?

– Przychodził pół godziny przed resztą, zawsze tak robił.

Assad westchnął. Jak miał z gością cokolwiek wydobyć, skoro ten ani myślał pokusić się o głębszą refleksję nad czymkolwiek?

– Czy z perspektywy czasu nie odnosi pan wrażenia, że to wszystko jest nieco dziwne?

– Niech pan posłucha, panie policjancie. My, dawni pracownicy fabryki, staliśmy się w tamtym dniu bezrobotni, więc mieliśmy o czym myśleć. Osobiście miałem w dupie powód śmierci Dudka. Mam dwoje dzieci, które musiałem utrzymać. Przecież żona nie mogła na wszystko zarabiać, co nie? „Jurek, Jurek, z czego będziemy żyć?” – jęczała już od pierwszej sekundy. Dlatego tak jak reszta pracowników fabryki już następnego dnia obleciałem mnóstwo okolicznych pracodawców, ale w południowej Zelandii nie było żadnej roboty dla takich jak my. Dlatego wylądowaliśmy tak blisko Kopenhagi.

– Nigdy nie zaświtało panu w głowie, że mógł zostać zamordowany? Że ktoś po prostu pragnął jego śmierci? Czy Dudek miał wielu wrogów?

Od żywiołowego śmiechu aż zawibrował stolik.

– Niech mnie pan lepiej spyta, czy w ogóle miał przyjaciół. Będzie łatwiej, bo nie posiadał żadnych. Każdy, kto miał z nim do czynienia, uważał go za dupka, nawet klienci. Ale był tani, a to liczy się bardziej niż sympatia.

– Czy ktoś nienawidził go bardziej niż inni? Jak pan sądzi?

Znów wzruszenie ramion.

– Jeszcze jedno. Tuż za wykrawarką na ziemi leżała sól, co uważam za dziwne. Wie pan coś o tym?

Mężczyzna zmarszczył czoło.

– Sól? Nie wiem, dlaczego leżała tam sól. Zazwyczaj był to piasek. Ale Dudek miał różne pomysły. Jeśli skończył się piasek, mógł użyć tego, co miał pod ręką. Powiedziałbym, że chciał się pozbyć soli drogowej, jeśli został mu dodatkowy worek z zimy.

– Ale to nie była sól drogowa, tylko zwykła sól kamienna, taka, jakiej używa się w kuchni.

– To pewnie ukradł trochę żonie. – Tym razem jego rehot nie zadziałał już tak na nerwy Assada. Człowiek się przyzwyczaja.

– Dlaczego w ogóle używać piasku czy soli?

– Po drugiej stronie wykrawarki stała tokarka, z której leciały opiłki żelaza i olej. Piasek je wchłaniał.

Gdy Assad wrócił, w ich gabinecie siedział szef Wydziału Zabójstw i cała czwórka wpatrywała się w nowe pytania zapisane na tablicy.

Assad rzucił na nie okiem.

– Na jedno z tych pytań mogę odpowiedzieć od razu – oświadczył. – Sól leżała w miejscu, w którym zazwyczaj znajdował się piasek. Zdaniem brygadzysty Jurka Jasińskiego po prostu go zastępowała. Ale dziwi mnie, że technicy nie sprawdzili, czy pod solą leży piasek i czy w takim razie znajdowało się w nim tyle opiłków i oleju, że trzeba było nasypać nań coś innego, w co wpadałyby odpady z tokarki.

– Dowiedziałeś się od tego brygadzysty jeszcze czegoś? Miał teorię na temat śmierci właściciela? – spytał Carl.

Assad pokręcił głową.

– Ale potwierdził, że za Dudkiem w miejscu pracy nikt nie przepadał, ani też nigdzie indziej, ściślej mówiąc.

Marcus Jacobsen nachylił się do kudłacza.

– Do twojej wiadomości: rozmawiałem z ówczesnym szefem dochodzenia – oświadczył. – Pamiętał z całą pewnością, że czubek buta ofiary zaklinował się w mechanizmie pod pedałem, który uruchamiał wykrawarkę. Już samo to przemawiało za uznaniem tej śmierci za wypadek. Poza tym szef podał więcej faktów, które też nie wskazywały na nic innego. Można więc zrozumieć, że odstąpiono od dalszego postępowania.

– Aha! Piszą coś o tym w raporcie? Bo nie pamiętam – stwierdził Carl.

– Proszę! – Marcus przekartkował teczkę i wskazał na konkretną linijkę. – „Ofiara siedziała pochylona, ze skrzyżowanymi nogami i butem wciśniętym pod pedał uruchamiający maszynę”.

– Tu jest napisane „wciśnięty”. To, kurczę, nie to samo co „zaklinowany pod pedałem” – burknął Carl. – Takie niechlujstwo w doborze słów aż się prosi o solidną reprimendę.

Marcus Jacobsen spojrział na niego mrocznym wzrokiem.

– Owszem, a teraz również ta śmierć zawędrowała na naszą tablicę. Tyle że zdziwiłbym się niestety, gdyby w tej sprawie udało nam się dojść do innego wniosku niż taki, że najprawdopodobniej grasuje wśród nas morderca o niesprecyzowanym motywie, który skutecznie pozoruje swoje zbrodnie tak, by wyglądały na nieszczęśliwy wypadek lub samobójstwo. Zgadza się?

– Nie do końca. – Rose ściągnęła usta. – Motyw jest wprawdzie niejasny, ale znamy zamordowanych i żaden z nich nie należy do wybrańców bogów. Czyli wspólny mianownik jest taki, że mało kto załamałby ręce po ich śmierci. Poza tym masz rację.

Assad usiadł. „Wybrańcy bogów” – kim oni, do diaska, są? Czy on jest jednym z nich? Powątpiewał.

– I co teraz? – spytał.

– Właśnie, co teraz? – Carl uniósł wzrok na tablicę. – Teraz sprawdźmy, czy uda nam się wpisać na tablicę więcej spraw, i miejmy nadzieję, że w którejś z nich nasz zabójca się rąbnął.

– A jeśli nie ma ich więcej? – spytał Gordon.

Marcus Jacobsen położył rękę na jego dłoni i parokrotnie poklepał.

– Uwierz mi, Gordon – powiedział, stukając się po czubku nosa – że są!

I tak nastał weekend.

Poniedziałek, 7 grudnia 2020

CARL

– Gratulacje, pani Rasmussen – powiedział, gdy tylko Pauline Rasmussen odebrała komórkę. – Czytałem recenzje w niedzielnych wydaniach, naprawdę znakomite. I mają państwo grać codziennie aż do Bożego Narodzenia, gratuluje. Mam nadzieję, że nie będzie problemów ani z koronawirusem, ani z panią premier.

Carl rzucił okiem na leżącą przed nim gazetę.

– „Politiken” pisze, że „kabaret był wysublimowaną satyrą, która mocno wybrzmiała dzięki szczególnemu głosowi Pauline Rasmussen i jej cudownemu zmysłowi komediowemu”, i dalej w tym samym stylu. Pięć gwiazdek i naprawdę świetne recenzje, domyślam się, że jest pani szczęśliwa i że pani ulżyło.

Mørck czekał, aż Pauline podziękuje i wyrazi zadowolenie, ale srodze się pomylił.

– Rozmyślałam się, panie Mørck. Nie pójdę na żaden strych i nie będę niczego szukać. Uznałam, że nie ma tam niczego, co mogłoby pana zainteresować, bo gdyby było, pańscy koledzy już dawno by to znaleźli.

– Dobrze, ale skoro nie ma tam nic ciekawego, to chyba żaden problem mi to wydać?

– Może i żaden, ale mam na głowie inne rzeczy, więc proszę o tym zapomnieć. Poza tym po głębszym zastanowieniu nie jestem już taka pewna, czy nie wyrzuciłam komputera wraz z całą resztą. Miłego dnia. – I rzuciła słuchawkę.

Carl ściągnął brwi i wstał, zachodząc w głowę, jak dojrzały ludzie mogą tak głupio i ostentacyjnie kłamać.

– Assad, chodź, jedziemy! – zawołał, ciągnąc kolegę na parking.

– Co tam? – spytał kudłacz, kładąc nogi na desce rozdzielczej.

– Co tam?! Szósty zmysł mi podpowiada, że ta Pauline utrzymywała znacznie bliższe stosunki z Pallem Rasmussenem, niż chciałaby przyznać.

Dotarli do jej szeregowca w momencie, w którym kobieta wychodziła, niosąc w rękach ciężki karton.

Włosy miała w nieładzie, podobnie jak dres, w który była ubrana.

– Napracowała się, cholera – stwierdził Carl, zajeżdżając wozem służbowym na chodnik, by zagrozić drogę samochodowi z otwartą na oścież klapą bagażnika.

Na widok Carla i Assada w aucie policyjnym kobieta przystanęła.

– Dzień dobry, pani Rasmussen – powiedział Mørck z uśmiechem i skinął do Assada, który powoli przejął karton z jej rąk. Mogła powołać się na wszelkiej maści przepisy i uprawnienia, których Carl nie posiadał, ale zastygła tylko w bezruchu, nie będąc nawet w stanie odwzajemnić jego pozdrowienia.

– Może pomożemy pani się ich pozbyć? – spytał policjant, wskazując na wypełnione tylne siedzenie. – Będzie pani mogła szybciej wrócić do ćwiczenia tekstu.

Milcząco skinęła głową.

– Nie zrobiłam niczego, czego nie powinnam – powiedziała drżącym głosem. – Być może znajdzie pan coś, z czego nie jestem dumna, ale byłam po prostu zazdrosna, tylko tyle.

– Mamy coś, tu jest komputer, Carl – powiedział Gordon po otwarciu trzeciego, największego pudła stojącego na biurku. – To stary Apple iMac G4, dziś już niemało wart.

Carl się uśmiechnął.

– Poproś ludzi z czwartego piętra, by pomogli się do niego zalogować. Powiedz im, że przysługa za przysługę.

– Nie mogę go po prostu sam uruchomić? – spytał Gordon zuchwale.

– Możesz spróbować, tylko niech na tym nie ucierpi reszta twoich zajęć. – Carl wskazał na sterty akt.

– Assad, co tu tak śmierdzi? Otwierasz bar z kebabem? – Carl się zaśmiał, ale zamilkł, gdy kolega wskazał na garnek stojący na butli gazowej w kącie za stale się powiększającą kolekcją świątecznych dupereli i skrzatów.

– W czasach covidu nie możemy przecież korzystać ze stołówki, remember? Więc na dziś Rose zamówiła domowe risotto z jagnięciną.

Carlowi aż przewróciło się w brzuchu. Risotto z jagnięciną brzmiało jak gotowanie ryby w budyniu. Fuj, paskudztwo!

– Assad, bądź tak miły i zakryj to przykrywką. W przeciwnym razie przylecą do nas z sąsiednich gabinetów.

– Ach, myślisz, że następnym razem mam zrobić większą porcję?

Carl chwycił się za głowę. Lata spędzone w piwnicy komendy kompletnie pozbawiły ich wyczucia sytuacji i poczucia rzeczywistości.

– Pamiętaj, proszę, o tej przykrywce. I o tym, by przejrzeć pudła z papierami. Na oko mamy tu tysiąc mejli i tym podobnych. Wszystko, co wygląda na oficjalne pisma, wrzucasz do kosza, szukamy tylko wiadomości prywatnych. Może w którejś z nich trafisz na groźby. – Carl zwrócił się do Rose: – A ty co masz do powiedzenia? Czy któryś z naszych kolegów w kraju zgłosił nam, że odgrzebał sprawę, w której na miejscu zdarzenia znaleziono sól?

– Jeszcze nie, ale wciąż czekam na odpowiedź z większości okręgów. Aktualnie robię kwerendę na temat historii kulturowej soli i jej wartości symbolicznej. W książce Marka Kurlansky’ego wyczytałam, że przez wiele wieków sól stanowiła środek płatniczy, wiedziałeś? Nazywano ją białym złotem. Słowo „salary” pochodzi od słowa „sól”.

– Ja natomiast wiem, że w dawnych czasach pozyskiwano ją z torfu i wodorostów – odezwał się Gordon. Czyżby znalezienie hasła do komputera zeszło już na dalszy plan?

Rose posłała mu spojrzenie, od którego się zarumienił.

– Im bardziej zagłębiam się w temat, tym większe odczuwam zaskoczenie faktem, jak duży wpływ wywarła sól na dzieje świata i jak na przestrzeni wieków władcy brutalnie wykorzystywali ten surowiec, który był niezbędny w życiu zwykłych ludzi, niemających doń bezpośredniego dostępu. Za przemyt soli karano śmiercią, coś nieprawdopodobnego! Pod koniec osiemnastego wieku monopół na sól we Francji przyczynił się do wybuchu rewolucji, to samo zdarzyło się w Ameryce, gdy Amerykanie zbuntowali się przeciwko Anglikom. W Indiach Gandhi sprzeciwił się monopolowi Imperium Brytyjskiego na sól, wszczynając swój długi marsz solny w tysiąc dziewięćset trzydziestym, bo on i jego zwolennicy skosztowali soli z odparowanej wody morskiej, łamiąc tym samym angielskie prawo solne. Gdy z tego samego powodu Gandhiego aresztowano, w Indiach podniósł się bunt i Anglia straciła tam władzę. Znowu z powodu soli. W Biblii sól też ma pewne znaczenie.

Carl spojrział na Rose.

– Przepraszam cię, powtórz kilka ostatnich zdań, zamyśliłem się.

Dlaczego, do diabła, koloryt jej twarzy nagle zmienił się z barwy owsianki na granatowy?

Mørck spojrział na tablicę z trzema sprawami z osiemdziesiątego ósmego, dziewięćdziesiątego ósmego i dwa tysiące drugiego. Minęło już sporo lat, więc ten lub ci, którzy dopuścili się zabójstw, mogą być już niemłodzi, jeśli w ogóle żyją. Najstarsza sprawa, o ile rzeczywiście jest najstarsza, liczyła już trzydzieści dwa lata, więc zabójca zapewne zbliża się do sześćdziesiątki, a może jest jeszcze starszy. Ile trzeba mieć lat, by być w stanie dokonać takiego skomplikowanego przestępstwa jak wysadzenie warsztatu? Dwadzieścia? Trzydzieści? Czterdzieści?

Rozległo się pukanie w futrynę drzwi i wszyscy unieśli wzrok.

– Cześć – powiedziała ostrożnie kobieta nieco zachrypniętym głosem, zdejmując z ust zieloną maseczkę. Czarne kosmyki wystające spod chusty lśniły, skórę miała zdrową, a uśmiech autentyczny i ciepły. Była to Marwa, żona Assada, wyglądająca zupełnie inaczej niż wtedy, gdy siedziała na wózku inwalidzkim przy kościele Pamięci

Cesarza Wilhelma w Berlinie z materiałami wybuchowymi pod siedzeniem, od których wszystko w promieniu stu metrów mogło obrócić się w pył.

– Marwo, dlaczego przyszałaś? – spytał Assad, obejmując żonę.

– Och, jak tu urzekająco zapachnie. – Marwa mrugnęła do męża. Czyli to risotto nie było jej obce. – Byłam na gabinecie Marcusa. Miałam taką chęć, gdy mówiłeś, że mu złożyłeś dzięki za pomaganie nam odnaleźć siebie.

Carl się uśmiechnął. To było jak słuchanie Assada sprzed lat. Urocza nieskładność.

Zwróciła się do Carla:

– Również tobie, Carl. Minął już czas, ale nie masz pojęcia... – Na moment dała się porwać wspomnieniom. – Gdy byliśmy w Berlinie. Dziękuję, Carl. Dziękuję, dziękuję, dziękuję – powtórzyła, dokładnie tak, jak to robiła przy każdej nadarzącej się okazji.

Zebrała się na odwagę i przytuliła go mocno.

– Dziękuję wam. Jesteście tacy zdolni, tak!

Podawała im wszystkim rękę, a Assad przyglądał się jej z niemal fizycznie odczuwalną czułością. Potem rozejrzała się po gabinecie.

– Już rozumiem, dlaczego ci się tu podoba, Assad. Pokój jest duży i elegancki.

Spojrzała na tablicę i przeczytała, co na niej napisano. Wprawdzie fakt, że to zrobiła, był naginaniem przepisów, ale Carl uznał, iż rozmowy o pracy w domu Assada są na porządku dziennym tak jak u niego i Mony.

Marwa przerwała lekturę z poważną miną.

– Marwo, co widzisz? – spytał Assad.

Wskazała z odrazą na tablicę.

– Nie wiem, o co chodzi z Olkiem Dudkiem, ale datę znam bardzo dobrze.

– Nie rozumiem. Co się zdarzyło dwudziestego ósmego kwietnia? – drążył Assad.

Odwróciła się do niego ze zdziwieniem.

– Chyba wiesz? Tego dnia urodził się ten łotr Saddam Husajn!

– Nie dziwiło cię, jak bardzo Marwa była poruszona, Assad?

– Carl, ona często bywa poruszona z różnych powodów. Kiedy dostajemy listy urzędowe, siada w kąciку w sypialni. Kiedy za późno wracam do domu, płacze. Kiedy Ronia krzyczy albo Nella płacze, za każdym razem siada daleko od każdego z nas.

– Co na to mówi psycholog?

– Że jej stan na pewno się poprawi, ale że zajmie to trochę czasu. Pod pewnym względem dobrze rozumiałem jej reakcję sprzed chwili, bo wszyscy nienawidziliśmy Saddama Husajna. Nie wiedziałem tylko, że ta data ma z nim coś wspólnego.

Carl skinął głową.

– Jak ci idzie z kartonami, znalazłeś coś?



– Jeśli w którymś z mejli są jakieś groźby, to się na nie jeszcze nie natknąłem. Znalazłem za to dużo takich. – Podał mu kartkę i Carl przeczytał:

„Widziałam Cię wczoraj w telewizji i podnieciłam się w sekundę. Będę w domu jutro o czwartej, wpadniesz? Całuję”.

– Okej, faktycznie, facet cieszył się sporym wzięciem. Mówisz, że jest tego więcej. Od kogo?

– Od Pauline Rasmussen, masz tu na górze. Pewnie dlatego nie pozwoliła ci grzebać w tych kartonach, nie?

– Hej, daj mi kilka tych wiadomości, Assad, potrzebuję przerwy. Wystarczy mi soli na jeden dzień – stwierdziła Rose.

Postawił przed nią całe pudło, śmiejąc się.

– Wiemy, jak nazywała się nowa partnerka Pallego Rasmussena? Od niej też mamy mejle? – spytał Carl.

Oboje wyglądali, jakby nie mieli pojęcia.

Carl przeliczył kartony; było ich sześć. Coś się tam musi znaleźć.

Poniedziałek, 7 grudnia 2020

## RAGNHILD

Za każdym razem, gdy Ragnhild pokonywała pierwszych kilka stopni zielonkawych marmurowych schodów, odczuwała szczególne ssanie w żołądku. W mrocznych pomieszczeniach tej rezydencji pierwszy raz w życiu poczuła, że życie może składać się z czegoś więcej niż powtarzalne czynności i błahostki. Gdy opowiadały sobie wraz z innymi kobietami, co porabiały w minionych tygodniach, krew w jej żyłach buzowała mocniej niż nawet w fazie intensywnego zakochania.

Tym razem Ragnhild miała na koncie wiele doświadczeń, którymi chciała się podzielić z pozostałymi. Właśnie takie epizody dawały jej energię. Ukończyła studia na uniwersytecie, miała za sobą kilka intratnych posad i luźnych związków, ale nic nie mogło równać się z tą niewielką grupą oraz tym, co zamierzała wdrożyć.

– Witajcie, Saro, Marto i Rut – powiedziała Debora, odsuwając krzesła i prosząc, by usiadły w wyznaczonych przez nią miejscach.

Ragnhild uwielbiała imiona nadane im przez Deborę, szczególnie własne – Rut. Stały się siostrami, które w zdumiewający sposób skupiły się wokół wspólnej sprawy jako te, którymi były naprawdę: kobietami wolnymi od przylepionych im łatek, danych osobowych i oczekiwań.

Jednocześnie były przekonane, że ich misją jest ostry protest przeciwko upadkowi moralnemu społeczeństwa.

– Zacznijmy od ciebie, Rut – zaproponowała Debora.

Ragnhild zrobiła głęboki wdech, słysząc swoje siostrzeńskie imię. Jak wspaniale, że to ona dziś zacznie. Kilka łyków herbaty z filiżanki i jest gotowa.

– Od ostatniego razu zdarzyły się trzy rzeczy – powiedziała, spoglądając na pozostałe kobiety. Siedząca obok niej Marta westchnęła lekko, na pewno sama aż tyle nie dokonała. Natomiast Sara nawet nie uniosła brwi, nigdy tego nie robiła.

Ragnhild zaczęła od dewizy rozpoczynającej wszystkie ich sesje.

– Można nazwać to samosądem, ale można też należną przezornością, bo za każdym razem świat staje się lepszy.

Pozostała trójka zaklaskała bezgłośnie.

– Kiedy pomyślę, jak zdecydowana nauczyłam się być, to drzę na całym ciele z radości, bo to z pewnością nie zostanie zapomniane.

Przez kolejne dziesięć minut jej nie przerywano, a gdy skończyła, Debora wstała i ją objęła.

– Nie wiem, co mam powiedzieć, Rut – rzuciła Marta. – Trudno za tobą nadążyć.

Potem przysła kolej właśnie na Martę, po której można się było spodziewać różnych rzeczy. Ale Martę cechowała największa otwartość i gdy była z siebie niezadowolona, to tego nie ukrywała.

– Za mną kilka spokojnych tygodni. Może nie miałam nastroju na stawianie sobie wyzwań, może nie nadarzyła się sposobność. Muszę stwierdzić, Rut, że naprawdę doskonalisz się w wymierzaniu właściwych kar w odpowiednim czasie. Może nie mam tyle szczęścia albo umiejętności co ty.

Ragnhild zaprotestowała ostrożnie, ale jej alter ego, Rut, zachłannie przyjmowało pochwały.

– Stary trik z parasolem w roli broni nigdy nie zawodzi – zagaiła Marta. – Tym razem postanowiłam poświęcić cały dzień powalaniu na ziemię rowerzystów nieszanujących słabszych uczestników ruchu i nieprzestrzegających przepisów. Schemat był zawsze ten sam: wysiadałam z autobusu na jednym z tych przystanków w centrum, gdzie wychodzi się bezpośrednio na ścieżkę rowerową.

Ragnhild ledwie potrafiła ukryć ekscytację, ale spojrzenie Debory sprawiło, że pozwoliła Marcie dokończyć opowieść bez przerywania.

– Oczywiście niektórzy rowerzyści przystawali, kiedyśmy wysiadali, ale większość nie. Widziałam już przez tylną szybę autobusu, jak kilku takich idiotów się zbliżało szalonym pędem, ani myśląc, by się zatrzymać. Wtedy szybko wysiadałam z wyciągniętym parasolem, wbijając go między szprychy. Jeśli udało mi się przewrócić pierwszego, wpadali na niego kolejni. I choć nabawiali się zadrapań i powyginanych kierownic i kół, to ani razu nie przeprosiłam. – Spojrzała wprost na Ragnhild. – Wręcz przeciwnie, wyzywałam ich, jak tylko umiałam. Że mogli jeździć zgodnie z przepisami i że na drugi raz się zastanowią.

W tym momencie Ragnhild nie wytrzymała i zaklaskała ostrożnie.

– W ciągu dnia zniszczyłam sześć parasoli i powaliłam na ziemię co najmniej dwudziestu zupełnie nieodpowiedzialnych idiotów na rowerach, narażających na szwank życie pieszych. – Marta uśmiechnęła się szeroko. – I wierzcie mi, wszyscy oni na pewno nigdy więcej nie przejadą koło zatrzymującego się autobusu, nie upewniwszy się, że wszyscy pasażerowie wysiedli. – Zamilkła i wykrzywiła się ze złością. – Jest tylko jedno ale.

– Mów, Marto – zachęciła Debora.

– Przez cały czas trzymałam się centrum miasta i uznałam, że przerwałam akcję w odpowiednim czasie. Ktoś jednak musiał zgłosić jeden z incydentów władzom, bo

widziałam, jak przy ostatnim przystanku minął nas na ulicy wóz policyjny na sygnale.

W pokoju zapadła cisza, Debora odstawiała filiżankę.

– Spisali raport, Marto? – spytała.

– Tak, ale beze mnie, bo byłam już kilkaset metrów dalej. Niemniej ostatni raz wycinam numer z parasolami.

– Dobrze! – Debora zwróciła się do Ragnhild i Sary: – Zapamiętajcie moje słowa. Jeśli któraś z was kiedykolwiek skonfrontuje się z policją, nieważne, czy zostaniecie zatrzymane, nagrane przez kamery, szczegółowo opisane i przeszukane, czy, broń Boże, ktoś was rozpozna lub cokolwiek w tym rodzaju, wtedy nie będzie już dla was miejsca przy tym stole.

Marta spuściła głowę.

– Rozpoznanie mnie graniczyłoby z cudem, nawet jeśli ktoś nagrałby któryś z incydentów. Ubranie kupiłam w lumpeksie, a potem trafiło do kontenera z używaną odzieżą. Miałam na sobie chustkę, maseczkę i perukę, którą zakładam nie częściej niż co dziesiąty raz.

– Dobrze. Ale gdyby jednak do tego doszło, przyjmijcie karę i na zawsze zapomnijcie o tym forum, czy to jasne? Działyście z własnej inicjatywy, reszta nas nie istnieje. Zapamiętajcie to!

Wszystkie zebrane potaknęły. Znały warunki. Ragnhild dołączyła do grupy jako ostatnia, wiedząc doskonale, że zastępuje niejaką Ewę, którą wykluczono, bo trafiła do raportu policyjnego. Bliższych okoliczności na razie nie znała.

– Jeszcze jedna sprawa, której przypominania nigdy dość. Wasze działania mają na celu zmianę świata na lepszy. Dlatego nigdy nie wolno wam doprowadzić do sytuacji, w której zagrożone będzie czyjeś życie i zdrowie, rozumiecie? Tym razem, Marto, byłaś o włos od przekroczenia tej granicy. Trochę więcej krytycyzmu wobec własnych pomysłów.

Kiedy oczy Debory robiły się lodowate, Ragnhild unikała jej spojrzenia.

– Teraz pora na ciebie, Saro – powiedziała Debora, łagodniejąc.

– Niestety z mojej strony nic istotnego. Przez większą część miesiąca nękała mnie grypa, więc zbyt dużo nie wychodziłam.

– Rozumiemy, czasami tak bywa. Byleby nie zachorować na covid.

Sara pokręciła głową.

– Ale wczoraj byłam w teatrze na przedstawieniu zamkniętym. Publiczność nie dopisała, ostatnio tak to przecież wygląda. – Zaśmiała się cierpko. – Tak, wiem, że to nic szczególnego, ale siedząc na widowni, podłożyłam nogę kilku osobom, które nie miały na tyle przyzwoitości, by przyjść na czas i zwrócić się do mnie twarzą, gdy

bezpardonowo przeciskały się na swoje miejsca. Ci ludzie pewnie pomyśleli, że się po prostu potknęli, ale powiem wam, że ci z rzędu przed nami porządnie ich zbesztali.

Debora się uśmiechnęła.

– Tak, to niby drobnostka, ale wszystkie znamy to uczucie, gdy nasi bliźni nie wykazują się taktem. Myślę, że każda z nas miała ochotę podłożyć nogę takim kretynom.

Ragnhild nie mogła się opanować:

– Tak, i mocno ich popchnąć. Szczególnie jeśli siedzą w pierwszym rzędzie na balkonie.

Wtorek, 8 grudnia 2020

CARL

– Dostałem z Centralnej Ewidencji Pojazdów listę samochodów, które warsztat sprzedał w miesiącach poprzedzających eksplozję, Carl. – Gordon podsunął wypis Mørckowi. – Nie ma ich aż tyle, ile podejrzewałem. Właściwie to w styczniu osiemdziesiątego ósmego sprzedali o połowę mniej niż w grudniu osiemdziesiątego siódmego. Czyli w styczniu łącznie tylko cztery auta i żadne nie trafiło w ręce imigranta.

– Dzwoniłeś do nabywców, by się dowiedzieć, jakie samochody kupili i ewentualnie czy były problemy z ich stanem technicznym?

Gordon się zacukał.

– A miałem to zrobić? Przecież właśnie rozpracowuję komputer Pallego Rasmussena.

– Rozpracowujesz? Czy ty w ogóle zrobiłeś jakieś postępy?

– Yyy, nie. Ze sto razy wpisywałem różne kombinacje hasła, aż w końcu komputer się zaciął i zawiesił.

– To go zanieś do działu technicznego, Gordon. W końcu to właśnie oni są najlepszymi specjalistami w tej dziedzinie na całej komendzie. A teraz poszukaj numerów telefonu do tych czterech osób, które kupiły samochody, i zadzwoń do nich. Potem idź dalej tym torem i znajdź auta sprzedane w grudniu osiemdziesiątego siódmego, a dopiero potem wróć do starych raportów spraw. Widzę, że od wczoraj sterta praktycznie nie zmalała.

Biedakowi chyba zbierało się na płacz.

Carl zwrócił się do zmęczonej Rose, która stała z demonstracyjnie założonymi rękami:

– A ty, Rose, pomóż Gordonowi przy aktach. Wygląda na to, że teraz byś tylko czekała, aż ludzie z całego kraju odpowiedzą na twój apel.

Skomentowała to westchnięciem, które niejednego zmiotłoby z powierzchni ziemi.

– Posłuchaj no, marudo. Jak szerzej otworzysz gały, to zobaczysz, że już od jakiegoś czasu przeglądam mejle Pallego Rasmussena. Czytam bez przerwy, ale póki co, na nic sensownego nie natrafiłam, więc mi tu nie wyjeżdżaj z aluzjami, że któreś z nas się objaja, prawda, Gordon?

Blady kolega spojrział na nią z wdzięcznością i założył zestaw słuchawkowy.

– A co zamierza robić Wasza Miłość? – ciągnęła. – Może weźmiesz się za zakurzone akta spraw Gordona, co?

Carl już od kwadransa wpatrywał się w paczkę papierosów. Na zewnątrz szalał wiatr, więc Mørck nie miał ochoty otwierać okna.

„Pieprzyć to – pomyślał. – Zapalę sobie jednego, a potem otworzę okno i pójde do WC na czas wietrzenia. Dym się ulotni i nikt nic nie zauważy”.

Zrobił głęboki wdech, namyślając się.

Wykład Rose o znaczeniu soli na przestrzeni wieków robił wrażenie. Prosty związek NaCl, chlorek sodu, potrafił rządzić kontynentami i je poskramiać pod względem politycznym, religijnym, ekonomicznym i kulturowym. A teraz rządził nim.

Dlaczego sól wysypano w pobliżu ofiar? Względy symboliczne? Czy bezpośrednia zachęta ze strony zabójcy, by ruszyć tym tropem? I jak w ogóle wysledzić zakup czegoś tak trywialnego jak sól kuchenna, która kosztuje tyle co nic i można ją nabyć wszędzie?

„Ile razy na przestrzeni lat ten chory człowiek skutecznie swoje mordercze zapędy?” – pomyślał. I kiedy?

W każdym razie na pewno w osiemdziesiątym ósmym, dziewięćdziesiątym ósmym i dwa tysiące drugim. Gdyby między przestępstwami istniał określony odstęp, na przykład dwuletni, wtedy na podobne sprawy można by się natknąć w dziewięćdziesiątym, dwutysięcznym i dwa tysiące czwartym. Gdyby tak rzeczywiście było, najprawdopodobniej oszczędziłoby im to wysiłku. A gdyby nie znaleźli niczego w tych właśnie latach, zawsze można przejrzeć sprawy z okresu pomiędzy zabójstwami lub z lat następujących po morderstwach.

Męczyło go jeszcze coś. Co oznaczają wgłębiaenia na nadgarstkach Pallego Rasmussena? Najbardziej prawdopodobna wydawała się możliwość, że przywiązano go do kierownicy i że właśnie dlatego usunięto z niej pokrowiec. Inna możliwość była taka, że ani Hardy, ani on sam nie przyłożyli się wystarczająco do poszukiwania ewentualnych partnerek seksualnych Pallego Rasmussena. Co takiego mówiła jego sprzątaczką? Że „mężczyzna miał skłonności, których w każdym razie ona i jej mąż nie praktykowali”.

Przecież ktoś, do licha, musiał spytać tę kobietę, skąd czerpie tę wiedzę. Dlaczego w raporcie nic na ten temat nie napisano? Czyżby faktycznie brakowało kilku stron? Przemawiało za tym coraz więcej argumentów.

Carl wybrał numer Hardy’ego.

Po drugiej stronie odezwał się bardzo zmęczony głos należący do Mortena.

– Cześć, Morten, co się dzieje? Dlaczego to ty odbierasz telefon?

– Cześć, Carl. Hardy właśnie miał niewielki atak. Szwajcarzy zrobili mu coś takiego w plecach, że zaczął odczuwać ból w całym ciele. Zaczynają mu się odzywać miejsca, w których od lat nie miał czucia.

– Okej, to źle?

– Nie wiemy. Równie dobrze mogą to być bóle fantomowe tych części ciała, które pamięta mózg, więc ból może być nierzeczywisty. Hardy czuje się fatalnie.

– Czy mogę z nim porozmawiać? Dwa krótkie pytanka?

– A jak myślisz, dlaczego mam taki głos? Jesteśmy wszyscy zupełnie wykończeni. Od kilku godzin czuwam przy nim i go pocieszam. Jeśli zdołasz go namówić na parę słów, to...

Morten na chwilę zniknął.

– Co ty na to, Hardy? Zgadzasz się? – rozległo się w tle. Po powrocie westchnął głęboko. – Dam ci go, Carl, ale tylko na sekundkę, dobrze?

– Cześć – odezwał się słabiutki głos.

– Witaj, Hardy, przykro mi, że tak źle się czujesz. Mam nadzieję, że ci Szwajcarzy wiedzą, co robią.

– Wiedzą – odparł kolega rwanym głosem.

– Będę się streszczał, chodzi o sprawę Pallego Rasmussena. Pamiętasz, dlaczego sprzątaczką sugerowała, że on się bawi w sadomasochizm?

– Ze względu na jego gazetki porno – padła szybka odpowiedź. Stary, dobry Hardy, wiarygodny jak leksykon. – Czasami też krew na pościeli. – Sparaliżowany kolega potrzebował chwili, by dojść do siebie. – I czerwone pręgi na plecach... na plecach jego T-shirtów, gdy sprzątała... i robiła mu rano pranie.

– Ach, tak. Ale przecież i ty, i ja szukaliśmy jego partnerek seksualnych, zgadza się?

– Owszem, ale... żadnej nie znaleźliśmy. Sprawdziliśmy jego komórkę i komputer – Hardy westchnął głęboko – ale... nie było... żadnych kontaktów.

– Sprawdziliśmy komputer? Pamiętasz jaki?

– To był iMac, ale nic... nie wskazywało, że miał partnerki. Sama polityka.

– I zapisano to w raporcie?

– Tak! Au! Do kurwy nędzy, uch... tak, oczywiście, że zapisano.

– Dzięki, Hardy, daj mi, proszę, Mortena.

Morten był zły.

– Wstydzilibyś się, Carl. Powiedziałem na sekundkę, a rozmowa trwała prawie minutę. Prawdę mówiąc, powinieneś teraz zobaczyć Hardy'ego, jest blady jak trup. Tak, Hardy, mówię, jak jest – powiedział w tle. – Carl nie rozumie, co się tu dzieje.

– Masz rację, Morten – przyznał Carl. – Ale ty też nie rozumiesz, co dzieje się tutaj, prawda? Rozmawiamy o zabójstwie. Mam nadzieję, że Hardy'emu przejdzie i że



poczuj się lepiej. Wiesz, jak długo tam jeszcze posiedzicie?

– Tyle, ile będzie trzeba. W każdym razie teraz nie możemy wrócić, COVID-19, chyba obilo ci się o uszy? No to cześć!

Tak też się można pożegnać. Po prostu rozłączyć się z hukiem.

Carl wyrzucił niedopałek przez okno i pomachał ręką, żeby przepędzić dym.

Czyli jego koledzy nie dotarli do partnerek seksualnych Pallego Rasmussena. Tylko dlaczego? Czyżby uznali, że były nimi tylko prostytutki? Nie pamiętał.

Wyciągnął jeszcze jednego papierosa. Jeśli ma zapalić, to trzeba zrobić to odpowiednio wcześniej przed powrotem do domu. Mona nie może wyczuć, że znów się wciągnął.

Wychylił się do połowy za okno i spojrział w dół na ulicę. Niedopałek, który właśnie wyrzucił, tlił się jeszcze na mokrym asfalcie, noż jasna cholera. Następnym razem będzie musiał go najpierw zgasić.

No dobrze, ale nie dotarli też do żadnej prostytutki. Tylko kogo w ogóle wtedy pytali? Czy indagowali na przykład nową dziewczynę Pallego Rasmussena, czy wiedziała o śladach na jego nadgarstkach? Nie potrafił sobie przypomnieć. Jak ona się nazywała, do diabła?

– Przepraszam, Carl, co ty robisz?

To pytanie tak go zbiło z pantałyku, że otworzył usta i papieros poszybował w dół.

Mørck odwrócił się do oburzonej Rose.

– Nie wolno ci palić ze względu na Monę. Nie wolno ci palić na komendzie, a już na pewno nie tu. Nie wolno ci też palić ze względu na mnie, a jednak to robisz. Mam podkablować Monie? Chcesz, by ci powiedziała, że jeśli nie przestaniesz, to Lucia będzie musiała wychowywać się bez ojca? O to ci chodzi? Nie jesteś młodym tatusiem, jeśli wolno mi zauważyć. Jesteś stary, Carl, i starszy nie będziesz, skoro taki z ciebie cienias.

Wyrzuciła to z siebie w tempie karabinu maszynowego, zresztą z podobnym skutkiem i celnością.

– Nie, dziękuję, myślę, że nie powinnaś.

– Czego?

– Kablować!

– To musisz skończyć z tym świństwem. Do tego jeszcze wyrzucasz pety na ulicę?

Na to nie odpowiedział.

– Masz coś dla mnie? Co trzymasz w ręce?

– Znaleźliśmy dwa mejle, moim zdaniem dość ciekawe. Szczególnie ten, spójrz na datę.

Carl wziął kartkę i przeczytał.

Mejl datowany był na siedemnasty maja dwa tysiące drugiego, dwa dni przed rzekomym samobójstwem Pallego Rasmussena. Wysłano go z adresu na hotmailu o nazwie „dzikiewino”. Dotarcie do osoby, która wtedy siedziała przy klawiaturze, będzie trudne, o ile nie niemożliwe.

Treść mejla brzmiała następująco:

„Palle, Twój ostatni wiec polityczny w Nørrebrohallen zrobił na mnie wrażenie. Nie wiem, jak mam to wyrazić, ale jak wiesz, bardzo chętnie znów bym się z Tobą spotkała. Zapewne zauważyłeś, że usiadłam w trzecim rzędzie naprzeciwko Ciebie i że poprosiłam kogoś, by się przesunął, bym mogła nawiązać z Tobą kontakt wzrokowy. Wkrótce się odezwę”.

– To wszystko?

Rose potaknęła.

– Moim zdaniem to wystarczy. Delikwentka się przypochlebia, a to, jak rozumiem, kręciło Pallego Rasmussena bardziej niż cokolwiek innego. No i ta osoba nie zdradza w mejlu swojej tożsamości, ale czasami i ja tego nie robię. Też mam kilka aliasów. Pewnie zachowywała po prostu ostrożność w sieci, wtedy tak należało. Nie podaje imienia, nie rzuca propozycji, jak miałoby dojść do spotkania.

– Tak, muszę przyznać ci rację, że to dziwne. Wyczuwasz w mejlu podtekst erotyczny?

Rose wzruszyła ramionami.

– Może, ale jeśli tak, to nienachalny. Równie dobrze list mógł zostać napisany przez fankę, kogoś, kto jest zafascynowany jego charyzmą i poglądami.

– Wspomina o kontakcie wzrokowym.

– Tak, nigdy nie wiadomo.

– A drugi mejl, Rose?

– Mam go tu, jest od Sisle Park, ostatniej dziewczyny Pallego, czy kim ona tam była. Zgadza się, Sisle, teraz sobie przypominał to zabawne imię.

– Tu też sprawdź datę, jest równie interesująca.

Tym razem mejl pochodził z dnia poprzedzającego ten, który właśnie przeczytał. Z szesnastego maja dwa tysiące drugiego.

„Drogi Palle, może pomyślisz, że Ci się narzucam, ale uważam, że ostatnio nie dokończyliśmy rozmowy. Spotkajmy się w Sommersko w sobotę koło czwartej, wtedy będę w Kopenhadze. Co Ty na to? Masz czas? Sisle”.

– Czyli ona proponuje, by spotkali się w przeddzień jego samobójstwa. Od razu nasuwa się pytanie, czy Rasmussen drukował też swoje odpowiedzi, w tym odpowiedź do Sisle.

– Carl, przejrzelśmy dopiero pierwsze kartony. Nie ma w nich nic, co by wskazywało, że drukował odpowiedzi, jak na razie natrafiliśmy tylko na odebrane wiadomości. Wysłane znajdują się pewnie na jego komputerze.

Mørck westchnął.

– Czy Gordon wysłał jego maca do nerdów informatycznych na czwarte piętro?

– Owszem, wysłał. A teraz poci się nad twoim kolejnym zadaniem. Zdradzę ci, że nie jest mu lekko. Spośród czterech osób, które kupiły w warsztacie używany samochód, dwie zdążyły umrzeć. Teraz stara się znaleźć dwie pozostałe. Ale, Carl, Gordon to delikatny chłopak, dbaj o niego. Obecnie jest nieco przewrażliwiony.

– Dlaczego przewrażliwiony?

– Zaczął randkować w internecie, ale bez szczególnego powodzenia. Mówiąc wprost, w sumie bez żadnego. I właściwie nie wiadomo, co je odstrasza: czy jego blada gęba, czy koronawirus.

Carl podciągnął spodnie, przesuwając wzrokiem po setkach wypolerowanych na błysk okien kopenhaskiego przedmieścia. W firmie należącej do Sisle Park spodnie wiszące w kroku na pewno nie byłyby mile widziane. Policjant przyjrzał się tabliczce, której wnosząc z wielkości i ciężaru mosiądzu, nie powstydzilyby się spora ambasada.

Na szyldzie obok widniała dźwięczna nazwa „Park Optimizing”, a pod spodem rozmaite działy przedsiębiorstwa, podzielone na cztery piętra. Była to firma o szerokim spektrum działalności, składająca się z wszelkich możliwych typów działów, z których każdy specjalizował się w czymś innym. Na liście widniały eksport–import, fair trade, dział rozwoju, konsulting, print, chemical behaviour i co najmniej dwadzieścia innych nazw, z których część wymagałaby jakiegoś tłumaczenia, by Carl mógł pojąć, o co w nich chodzi.

Na drugim piętrze przyjęła go sama Sisle Park.

Mimo że Carl nie należał do ułomków, kobieta przewyższała go o ćwierć głowy. Jego ojciec powiedziałby, że będąc dzieckiem, „wyszała z butli za dużo odżywki”; w każdym razie była niestandardowego wzrostu.

Carl ocenił jej wysokie obcasy, pocieszając się, że bez butów byłaby mu mniej więcej równa.

– Zapraszam – powiedziała już w gabinecie i poprosiła sekretarkę o wyjście. Jej szary garnitur o męskim kroju i nazbyt bezpośrednie spojrzenie mówiły mu, że rozmowa będzie krótka i że to Sisle zadecyduje o jej przebiegu.

Spojrzał na ostre jak brzytwa kanty jej spodni i pomyślał, że Palle Rasmussen był jegomościem o wszechstronnych upodobaniach.

– Wnioskuje, że chodzi o Pallego – powiedziała chłodno.

– Tak, o niego. I o panią.

– Znałam go tylko powierzchownie. Wie pan, że minęło już prawie dwadzieścia lat? Głupie pytanie.

– Nie musi mi pani przypominać. – Uśmiechnął się do niej. – Fakt, że przychodzę do pani, ma związek z tym. – Podsunął jej mejl z tamtych czasów. – Moim zdaniem ten list nie sprawia wrażenia szczególnie powierzchownego – stwierdził, gdy kobieta czytała.

Uniosła wzrok, w którym wciąż czaił się chłód.

– Tak, i co z tego? Facet ciągle się do mnie dobijał. Czy to nie oczywiste, że chciałam się z nim spotkać, by z nim zerwać?

– Zerwać! A więc to tak! Czyli przyznaje pani, że tworzyliście związek?

Zastanowiła się nad tym, co palnęła bez zastanowienia.

– Miałam wtedy trzydzieści kilka lat. W tym wieku robi się mnóstwo szalonych rzeczy, które nie mają większego znaczenia.

– Odnosimy wrażenie, że Palle Rasmussen wcale nie popełnił samobójstwa, więc oczywiście bardzo nas interesuje, co robił w dniach bezpośrednio przed śmiercią. Czy do tego spotkania w ogóle doszło?

Pod jej wypielęgnowaną skórą zadrżały drobniutkie nerwy.

– Chyba nie muszę się tu z tego tłumaczyć – odparła, wyciągając czerwony paznokieć w stronę interkomu.

– Nie, tu pani nie musi, jeśli pani nie chce. Może zatem przejedzie się pani ze mną do jednostki dochodzeniowej kopenhaskiej policji?

Zmarszczyła czoło.

– To jakiś absurd. Proszę już iść.

– Bardzo bym chciał, ale zadam tylko parę szybkich pytań i dam pani spokój. Jak mniemam.

Kobieta nacisnęła guzik interkomu.

– Zapraszam do środka, pan podkomisarz Carl Mørck już wychodzi.

Carl skinął głową do sekretarki, gdy ta otworzyła drzwi do gabinetu, a potem zwrócił się do jej szefowej:

– Pani Park, chciałbym wiedzieć, czy utrzymywała pani relacje seksualne z Pallem Rasmussenem. Powie mi pani? – spytał, delektując się spojrzeniem, którym obdarzyła sekretarkę. „Zmiataj stąd” mówiło. – Chętnie powtórzę pytanie – zapewnił, gdy za sekretarką trzasnęły drzwi.

– Co ty sobie myślisz? I to w obecności mojej sekretarki!

– Och, czyli przeszliśmy na ty, wspaniale. Ale chyba będzie lepiej, jeśli odpowiesz tu i teraz, niż na sali sądowej podczas procesu w obecności dziennikarzy, prawda?

– Otóż nie. Nie utrzymywałam z nim żadnych relacji. Skąd w ogóle ten pomysł?

– Podsunęła mi go jego bratanica, Pauline Rasmussen.

Sisle cofnęła głowę, jakby Carl chciał splunąć jej w twarz.

– Co ona może o tym wiedzieć? Taka ordynarna kobieta.

– Dlaczego ordynarna? Bo kiedyś weszła w związek ze stryjem, czy dlatego, że grywa w kabarecie?

– Och, człowieku, daj spokój. Dlatego że nadal widywała się z Pallem, kiedy ten próbował szczęścia u mnie.

– Próbował?

– Nie widzisz, co piszę w mejlu?

– Piszesz, że nie chcesz się narzucać, tylko tyle. Nierówny związek, w którym to on rządzi i być może nie chce cię widywać.

– Owszem, rządził, aż za bardzo. Nie utrzymywałam z nim żadnych relacji seksualnych, bo kiedy smalił cholewki do mnie, wciąż spotykał się z Pauline. Poza tym miał skłonności, którym nie mogłam lub nie chciałam ulec.

– Jakie na przykład?

Wykręciła dłonie i zacisnęła czerwone usta. Najwyraźniej nie chciała o tym mówić.

Carl rozumiał. Teraz musi stąpać ostrożnie.

– Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa, więc to, co powiesz, zostanie między nami. Proszę, byś mi wyjawiała, co myślisz. To może mieć duże znaczenie.

– Chciał, bym robiła coś, co mnie odstręcza.

– Coś seksualnego?

– Tak. Interesowały go sadomasochistyczne zabawy, powiedział o tym wprost. Miałam go poniżać.

– Ach, tak. Wiązanie, klapsy, te sprawy?

– Tak, coś w tym stylu.

Przez jakiś czas wytrzymał jej spojrzenie, potem odpuścił. Podziałało.

Następnie wstał i wyciągnął rękę.

– Dziękuję, Sisle. Bardzo nam pomogłaś.

Zerknęła ukosem na podłogę jak członkini rodziny królewskiej, która chwilowo zwątpiła, na którą monarszą nóżkę ma stąpnąć.

Wychodząc, rozejrzał się po funkcjonującym jak dobrze naoliwiony mechanizm krajobrazie biurowym, gdzie zarządzano licznymi biznesami Sisle Park. Wszędzie kobiety w szytych na miarę garsonkach i garniturach, z których każdy kosztował więcej niż cała jego garderoba.

Co, u diabła, kobieta taka jak Sisle Park, która tak dobrze potrafiła prowadzić interesy, zatrudniając najprawdopodobniej tylko kobiety, mogła mieć wspólnego z takim brzydkim, grubym, manipulującym dupkiem jak Palle Rasmussen?

Carl się uśmiechnął. Kiedy pomyślał o Vidze, swojej zabawnej, barwnej ekszonie hipisce, to zrozumiał, że pary potrafią się kojarzyć na najbardziej osobliwych zasadach.

Wtorek, 8 grudnia 2020

ASSAD/CARL

Gdy Rose i Assad dotarli do czwartego kartonu spośród sześciu, dysponowali trzema absolutnie jednoznacznymi listami z pogrózkami, do tego dziesięcioma z tych zabawniejszych, w których Palle Rasmussen dopisał komentarze na marginesach, i co najmniej trzydziestoma mejlami od Pauline.

– Jeśli o mnie chodzi, to nie pisałbym takich rzeczy do znanego polityka z Christiansborga, tak jak robiła to Pauline Rasmussen. Przecież musiała wiedzieć, że sekretarka może poznać szczegóły ich romansu – zauważył Assad.

– W każdym razie część z nich jest tak soczysta, że zawstydzają nawet mnie – dodała Rose.

Gordon uniósł wzrok znad teczek.

– Rose, przecież ty nie masz się czego wstydić.

Assad się uśmiechnął. Ci Duńczycy mówią o seksie takim lekkim tonem. Lekkim i wyzwalającym. Ale w przypadku wszystkich innych spraw o lekkości i wyzwoleniu można było zapomnieć.

Szczególnie w jego przypadku.

Tego samego poranka w jego domu doszło do kryzysu. Gigantycznego kryzysu.

Począwszy od listopada ubiegłego roku Komenda Główna Policji zastrzyła środki bezpieczeństwa i nakazała PET-owi, Policyjnej Służbie Wywiadowczej, wprowadzenie kontroli współmałżonków wszystkich policjantów i zamieszkujących z nimi dzieci powyżej osiemnastego roku życia. Miało to rzekomo na względzie poprawę bezpieczeństwa w duńskich służbach, więc bliscy członkowie rodzin szesnastu tysięcy dziewięciuset pracowników policji musieli zostać zatwierdzeni do poziomu „zaufani” lub jeszcze wyższego. Tylko po co ta akcja? Czego się obawiano?

Wtedy Assad natychmiast pożalił się Marcusowi Jacobsenowi, który go zapewnił, że jego rodzina z pewnością uniknie tych indagacji. Przecież Assad jest prawdziwym bohaterem, a poza tym wyjątkowo zaufanym pracownikiem. Oprócz tego historię jego rodziny zna każdy, kto choćby kątem oka śledził doniesienia prasowe. Gdyby jego rodzina dostała ankiety czy coś w tym stylu, Assad miał od razu zgłosić się do Marcusa. Niech będą spokojni; nic więcej się nie wydarzy – i rzeczywiście przez długi czas był spokoj.

Ale dzisiejszego poranka Marwa dostała pismo z PET-u z wnioskiem o rozmowę z nią, ich dwiema dorosłymi córkami i synem. Pisali, że po przeprowadzonym wywiadzie trzeba będzie wypełnić i podpisać jakieś papiery. Wszyscy wpadli w histerię. Najpierw Marwa krzyknęła, że Assad jej obiecał, iż do tego nie dojdzie. Potem wybuchnęła płaczem Nella, a następnie przyszła kolej na Ronię. Ta ostatnia bluzgała ile wlezie, a tego zdecydowanie nie powinni usłyszeć ludzie z PET-u. Tylko Alfi nic nie powiedział.

Assad musiał poprosić o pomoc, by położyć kres temu szaleństwu. Perspektywa wylania go z pracy to jedno, ale znacznie poważniejszą sprawą była ewentualna deportacja Alfiego do Iraku i konfrontacja Ronii z faktem, że utrzymuje bliski kontakt ze znanym terrorystą i że w związku z tym dziewczyna może wylecieć z kraju za swoje radykalne komentarze skierowane przeciwko wszystkiemu, co reprezentuje duńskie społeczeństwo.

– Mamy kilka konkretów, o których chcemy z tobą porozmawiać, Carl – powiedziała Rose, gdy szef wrócił od Sisle Park. – Dotarliśmy do licznych mejli od Pauline Rasmussen skierowanych do Pallego Rasmussena w czteromiesięcznym okresie poprzedzającym jego śmierć. Widać z nich jak na dłoni, że utrzymywali relacje seksualne, i to bardzo specyficzne.

– Wiem, Sisle Park mi właśnie o tym powiedziała.

– Ostatni mejl, który znaleźliśmy podczas twojej nieobecności, został wysłany na dzień przed śmiercią Pallego Rasmussena. Sądzę, że anonimowym nadawcą jest Pauline Rasmussen, która prosi go, by kolejnego dnia podjechał do niej w drodze do domu. Pisze, że ma dla niego niespodziankę, która spowoduje u niego rozkoszny ból.

– Aha. – Carl się uśmiechnął. – Czyli pewnie mamy wyjaśnienia bruzd na jego nadgarstkach. Może po prostu zabawa wymknęła się spod kontroli.

– Carl, on zmarł od zatrucia tlenkiem węgla, nie od wyczynów seksualnych.

– Nie bezpośrednio, wiem. Ale może ten kretyn powiedział Pauline, że z nią kończy?

– I co, twoim zdaniem odurzyła go do nieprzytomności? Musiałaby się nieźle z nim naszarpać, przecież on ważył sporo ponad sto kilo. Jak myślisz, ile waży sama Pauline? – spytała Rose.

Rozumiał, o co jej chodzi. Ulubiona duńska kabarecistka w porównaniu z większością kobiet była drobinką.

– No i są też listy z pogrózkami – ciągnęła Rose. – W tych trzech, napisanych w okolicach Gwiazdki dwa tysiące pierwszego, nadawcy nie owijają w bawełnę. Jeden wysłał przeciwnik polityczny, który zażądał, by Palle Rasmussen zniknął z duńskiej polityki, a jeśli nie zrobi tego dobrowolnie, to zostanie złożony w ofierze.



Carl ściągnął brwi.

– Mamy jego nazwisko albo adres mejlowy, który da się sprawdzić?

– Mamy konto mejlowe.

– Zaproś tu tego delikwenta. A kolejny mejl?

– Nie do zidentyfikowania, ale wydaje mi się, że napisała go ta sama osoba. Znów grożenie Pallemu Rasmussenowi śmiercią, dobór słów i składnia praktycznie niezmiennione.

– Sprawdzimy, czy to ten sam nadawca, jak już go zgarniemy. Co z tym trzecim?

– W tym z kolei mamy dokładny opis tego, co się stanie z Rasmussenem. Mianowicie każda część ciała ma mu zostać powolutku odpiłowana tęym nożem. Ma się smażyć w wiecznym ogniu, zostać zrzucony z wieży ratusza, wykastrowany, zdekapitowany i tak dalej.

– Tę wiadomość zarchiwizujemy w pierwszej kolejności. Nadawca należy do grupy fantastów i na bank jest niepokładany i skołowany. Jeśli ktoś zgłodził Pallego Rasmussena, to na pewno nie on. Ale jeśli wam się chce, możecie go zgłosić, choć i tak nic z tego nie wyniknie, bo sprawa już dawno się przedawniła. Tyle że dobrze by mu zrobiła rozmowa na temat tego jego gównianego mejla, bo z pewnością nadal śle podobne pod różne adresy i z tego tytułu mógłby zostać ukarany.

– Mamy też zabawne pogróżki, jak na przykład ta: „Przez cały miesiąc będę zbierać swoje gówna, żeby wepchnąć ci je do gęby i mieszać z resztą szamba, które wypływa ci z ust”. Ogólnie słowo „gówno” przewija się przez sporą część tej korespondencji. Ale najśmieszniejszy ze wszystkich jest ten – powiedział Assad. – Posłuchajcie: „Kochany, mały Pallusiu-grubusiu, brakuje mi trochę tłuszczu z idioty do prosiaka z różną. Czy dostarczysz tłuszczu osobiście, czy wolisz sam zawisnąć na ruszcie? Taki befszytk z Pallego z duszoną cebulką i tłuszczkiem z pewnością wzmocni nasz system immunologiczny i uodporni na głupekowaty bełkot, wydostający się z twojej jadaczki. Zastanawiamy się jeszcze, do czego by użyć twojego mózgu, ale chyba się poddamy. Taki kawał gówna lepiej po prostu wywalić, prawda?”.

Carl pokręcił głową. Że też Pan Bóg w niebiosach nie protestował, kiedy człowiek wymyślił komunikację cyfrową.

– Palle Rasmussen skomentował mejla pod spodem, i to piórem. Pisze tak: „Befszytk z Pallego z duszoną cebulką, głupekowaty bełkot, ha, ha. Dobre sformułowania, których można użyć przeciw moim politycznym przeciwnikom, by zapewnić wyborcom darmową radochę”.

Carl pokręcił głową. Palle Rasmussen był nie tylko idiotą; był też prymitywny i dziecinny.

– Posłuchajcie, przeszukajcie tę korespondencję do samego końca, dobrze? Oddzielcie mejle od Pauline i dajcie je mnie. Powinna je jeszcze raz zobaczyć. I powiedzcie mi no, czym tu dzisiaj pachnie?

Wskazali na garnek, którego zawartość gotowała się na wolnym ogniu za powiększającą się systematycznie zbieraniną pierdótek świątecznych Gordona. Dekoracja gwiazdkowa na bryle gliny, jeszcze więcej krasnali, anielskie włosy zwisające z oświetlenia podsufitowego, serduszka na lampie biurkowej i miniaturowa choinka opierająca się o klawiaturę.

– To ragoût à la Marwa, Carl. Resztki z wczorajszej kolacji.

– Nie śmierdzi jagnięciną – odparł Mørck z ulgą.

– Nie, to ragoût z zająca. Nasi przyjaciele upolowali go przedwczoraj.

Carl nerwowo przełknął ślinę. Przeklęty ten, kto ma takich przyjaciół.

– Za chwilę przyjdzie do ciebie pierwszy nabywca samochodu – powiedział Gordon przez interkom. – Zdaje się, że trochę nieobyty.

Carl pokręcił głową, gdy do gabinetu wtarabanił się mężczyzna na oko osiemdziesięcioletni i rozejrzał się z zaciekawieniem. Warsztat wyleciał w powietrze trzydzieści dwa lata temu, czego Carl się właściwie spodziewał?

– Interesujące – stwierdził gość drżącym głosem, stłumionym przez krzywo nałożoną maseczkę, próbując zapamiętać jak najwięcej z tego, co udało mu się zobaczyć w Wydziale Zabójstw. Właściwie na tym ich rozmowa się zakończyła. Mężczyzna bardzo lubił swojego peżocika, ale oddał go córce, która z kolei wymieniła go na wakacje czarterowe w Portugalii. Użyte przez Gordona określenie „nieobyty” było w jego przypadku eufemizmem.

– Gordon, a ten drugi? – spytał Carl przez interkom.

– Przyjdzie dopiero jutro, jest jeszcze starszy.

– Dzięki. Na litość boską, daj sobie z nim spokój i wróć do teczek spraw, dobrze?

– Już to zrobiłem, Carl. – Gordon westchnął głęboko.

– Spróbuj na początek ułożyć je w porządku chronologicznym.

– Już to zrobiłem.

– To zacznij na przykład od roku dwutysięcznego do dwa tysiące czwartego, spójrz najpierw na same zdjęcia, okej?

– Dlaczego właśnie te lata?

– Męska intuicja.

Przez interkom ktoś ryknął śmiechem, który słychać było aż przez ściany. Była to oczywiście Rose.

Carl usiadł przy oknie, zastanawiając się, czyby znów nie zapalić. W myślach próbował odtworzyć ostatni dzień życia Pallego Rasmussena. Najpierw praca

w spokojną, zielonoświątkową niedzielę w Christiansborgu, potem ostry seks z krępowaniem, prawdopodobnie z Pauline Rasmussen. Ale właściwie jak bardzo ostry był ten seks? I na koniec to samobójstwo.

Odszukał raport z sekcji zwłok, który nie pozostawiał wątpliwości: na ciele Rasmussena nie odnotowano świeżych ran ani zadrapań. Na plecach znaleziono blizny po rankach, przy odbyciu ślady głębszej rany. Ale ze względu na unoszący się w garażu dym raport skupiał się przede wszystkim na przyczynie śmierci w wyniku zatrucia tlenkiem węgla. Czyli Carl będzie musiał spytać Pauline Rasmussen wprost, jak skończyły się ich seksualne igraszki w ostatnim dniu życia Pallego.

Po domniemanym tête-à-tête u Pauline reszta policzonych już godzin Pallego Rasmussena stanowiła tajemnicę. Czy wyjechał od kochanki własnym samochodem? Czy rzeczywiście tego dnia zakończył ich związek i dlaczego miałby to zrobić? Czy to dla niego normalne, by w drodze z pracy do domu wpadać do kobiety na kotłowanie się w pościeli?

Z przyległego gabinetu dobiegł go ryk. Ktoś dzielący z nimi korytarz na pewno przeklnie Departament Q z powodu harmidru, który ich przenosiny spowodowały na Teglholmen. Biada Marcusowi, kiedy zaczną spływać do niego skargi.

– Carl, chodź tutaj! – wrzasnęła Rose.

Czy ta sekutnica w ogóle wie, co to dyskrecja?

– Mam nadzieję, że to ważne, bo drzesz się jak róg alpejski, Rose. Przecież mówiłem, żeby...

Zamilkł na widok ich min.

– Wyglądacie, jakbyście zobaczyli ducha. Co się, do licha, dzieje, moi drodzy?

Z podekscytowania brwi Assada niemal na siebie nachodziły.

– Złapaliśmy Pana Boga za rogi, Carl. Spójrz na tablicę!

Napis na tablicy głosił:

Czas: 17 maja 2000. Miejsce: Søllerød

Ofiara: Carl-Henrik Skov Jespersen

Sposób zabójstwa: strzał w skroń

Motyw: nieznan

– Pokażcie mi raport. To ty go znalazłeś, Gordon? Potwierdzasz, ale gdzie sól? Pokaż mi!

Carl podążył wzrokiem za palcem Gordona, wskazującym na dość niewyraźne zdjęcie – takie, które należałoby skasować. Czy fotografowi nie chciało się pojechać na miejsce zdarzenia i zrobić fotkę jeszcze raz?

– Co to ma być? – Mørck pochylił się nad fotografią.

– Odwróć ją, bo leży do góry nogami. Ślepniesz, staruszk?

Carl posłał Rose mordercze spojrzenie i zastosował się do jej rady.

– Co mam tu niby zobaczyć?

Assad podsunął mu szkło powiększające.

Przesunął szkłem nad zdjęciem biurka, na którym leżała górna część ciała denata.

Nad fotografią pojawił się śniady palec i wskazał na miseczkę.

Carl zmrużył oczy.

– Azjatycka? Znaczkę, które na niej widzę, by na to wskazywały, prawda?

– Spójrz na cały regał – próbował go naprowadzić Assad. – Na drugiej półce widać talerz, z którego wystają nóż i widelec, a obok stoją solniczka i pieprzniczka. Zakładamy, że gość właśnie zjadł lunch. Ale spójrz na miseczkę, Carl. Nie jest pusta.

– Zapewne wnioskujecie, że to, co wystaje znad jej brzegów, to sól, ale moim zdaniem nie da się tego powiedzieć na podstawie tak kiepskiego zdjęcia.

– Oczywiście, masz rację. Ale spójrz tutaj – powiedział Assad, kładąc przed przełożonym kolejną fotkę. – Gordon naprawdę ma jastrzębi wzrok.

Na fotografii widać było ofiarę pod innym kątem. Głowa zmarłego leżała na stole z nosem utkwionym w blacie, a na podkładce widniała duża plama tkanki mózgowej wydobywającej się z rany wylotowej.

– Widzę, że strzelił sobie w głowę z prawej strony. – Carl pokręcił głową. – Leży w dziwnej pozycji. Wnioskując z paskudnej rany wylotowej, musiał użyć broni dużego kalibru. Jego głowa powinna co najmniej rąbnąć w stół po lewej stronie pod kątem ostrym w odniesieniu do linii strzału.

Pokiwali głowami.

– Poczekaj, Carl. Najpierw spójrz na podłogę między denatem a regałem.

Mørck po raz drugi wziął do ręki szkło powiększające i umieścił je nad zdjęciem. Rzeczywiście, coś tam leżało.

– Świetnie, że to dostrzegłeś, Gordon. Jak technicy opisali to coś?

– Nie przypisali temu żadnego znaczenia. Piszą, że to zwykła sól gruboziarnista, która wysypała się z miseczki.

Carl skinął głową.

– A ułożenie głowy? Przy tak dużym otworze musiał zginąć na miejscu. Co to za broń?

Pokazali mu kolejną fotkę.

– Ojoj, a niech mnie licho. Takich kłoców nie widuje się co dzień. – Carl wskazał na grawerunek. „Desert Eagle, Israel Military Industries” – brzmiał napis. – Assad, co to za kaliber? Magnum czterdzieści cztery?

– Trzysta pięćdziesiąt siedem.

– Au, au, śmierć na miejscu, bum! Powinno go przynajmniej zmieść z krzesła, prawda?

– Carl, powiedz no mi, czy nie potrzeba ci okularów? – drażniła się z nim Rose. – Przecież to widać wyraźnie.

– Co?

– Powód, z jakiego sprawa wylądowała w archiwach Wydziału Zabójstw, prawda? To zabójstwo, nie samobójstwo.

– Spójrz na plamę przy nodze od stołu. To właśnie w tym miejscu rąbnął głową o podłogę, a to znaczy, że ciało wciągnięto z powrotem na krzesło. Czyli albo zabójca był niewprawnym głupkiem, w co nie wierzymy, albo chciał przekazać śledczym, że mają do wykonania kawał roboty.

– Przepraszam. – Carl utkwiał wzrok w podłodze. Jak człowiek pomyśli, nad iloma sprawami zabójstw pracował na przestrzeni czasu osobiście i nad iloma jego koledzy, to nie dziwi fakt, że niektóre z nich mu się rozmywają. Jednak spraw takich jak ta nie zapomina się ot tak, bo angażują one mózg w stu procentach. Ofiara była przecież osobą bardzo kontrowersyjną, śledztwa nie dokończono, a dalsze wydarzenia wywołały wielkie nagłówki w gazetach. Czyżby robił się za stary do tej roboty? Czy Rose miała rację, że powinien zbadać sobie wzrok? Nie bawiło go to. – Tak, teraz sobie przypominam. Facet był handlarzem broni, nie?

Rose wyciągnęła w jego stronę palec, jakby był uczniakiem, który w końcu poszedł po rozum do głowy.

– Tak, właśnie. Zabójstwo zaklasyfikowano jako regularną egzekucję, powiązaną z jego jakże szacowną profesją. Krótco potem zatrzymano zamieszkującego w Danii Białorusina, który w księdze zamówień ofiary figurował jako winien całkiem sporą sumkę. Zaprzeczył, jakoby miał związek z zabójstwem, ale w wyniku zakulisowych pertraktacji z prokuratorem przyznał się do handlowania bronią na dużą skalę z krajami objętymi embargiem.

– Jak wyglądała historia karalności zmarłego?

– Zero kar. – Gordon wzruszył ramionami, jakby to była błahostka.

– Niekarany handlarz bronią w Danii. Facet naprawdę znał się na swoim fachu – mruknął Carl.

Wtorek, 8 grudnia 2020

### TABITA

Dla Tabity wykluczenie ze zgromadzenia Debory, zrzeszającego żądne krwi kobiety, stanowiło początek nowej ery. Wszystkie ich reguły ją hamowały, a ta cała aura tajemniczości wokół ich prawdziwych imion i tożsamości wydawała jej się dziecinna. Ewa to żalosne imię. Jej własne, autentyczne – Tabita – nawet pochodziło z Biblii.

Była dorosłą i inteligentną kobietą, więc dlaczego, u diabła, ich kazania miałyby ją stopować?

„Aha, czyli nie wolno nam nikomu zaszkodzić, Deboro” – pomyślała, wymykając się z domu. Dlaczego ona miała o tym decydować?

Podjęcie decyzji, w którym miejscu postawić granicę, zajęło jej kilka dni. Oczywiście nie chciała znów dać się złapać policji, a gdyby do tego doszło, zamierzała powiedzieć, że to Debora tak wyprała jej mózg. Kilka miesięcy tak zwanego dekodowania w zakładzie psychiatrycznym potrafiła przecież wytrzymać, jeśli to Debora, a nie ona, trafiłaby do więzienia. Tabitę ucieszyłby widok Debory wyprowadzanej ze swojego eleganckiego domu z cienką porcelaną, widelczykami do ciasta oraz tym podobnym badziewiem, i lądującej w pierdłu. Zaśmiała się z tego słowa.

I ruszyła do boju.

Zaczął się całkiem niewinnie. Debora siedziała, notując, w kącie kawiarni, otoczona croissantami, ciastkami i kawą, zapelniającymi cały stół. Tabita zajęła miejsce po sąsiedzku i uśmiechnęła się na widok dostatnio zastawionego stołu, narzekając na ślamazarność kelnerki. Wkrótce siedziały już razem, rozmawiając o życiu, Danii i ludziach, których spotykają, oraz o tym, jak świat chyli się ku upadkowi.

Potem Tabita sobie uświadomiła, że przeszła wtedy proces rekrutacji, który Debora skrupulatnie opracowała w celu werbowania do swojego klubu odpowiednich kandydatek. Spijała słowa z ust Tabity, nazywała ją wytworną i mądrą, słuchała jej jak nikt inny. Dzięki temu Tabita była wniebowzięta, czując się nie tylko jak ktoś absolutnie wyjątkowy, ale wręcz wybrany.

Dopiero później dotarło do niej, że została wyselekcjonowana do krucjaty przeciwko upadkowi moralnemu w momencie, gdy uśmiechała się, zdzieliwszy po

głowie chińskiego turystę za to, że napluł na podłogę w McDonalddie.

Tabita uwielbiała swoją nową rolę; nikomu, kto był na bakier z jej etycznym oglądem świata, żadne przewinienie nie miało prawa ująć płazem. Wszędzie wietrzyła podstęp, atakowała ludzi, przygadując im, przeklinając ich, bijąc, a nawet gorzej. Jej wrogami byli kieszonkowcy, oficjele i ekspedienci, którzy bez powodu kazali klientom czekać, skwaszeni kierowcy autobusów, ludzie potrącający innych, mijając ich, wszyscy przeskakujący swoją kolejkę w ogonku, donosiciele i osoby brzydko wyrażające się o bliźnich. Potem jej uwaga przeniosła się na odwołujących zajęcia wykładowców na wyższych uczelniach, na mądrali używających słowa „przecież” w każdym zdaniu i manipulujących ludźmi. Jak się człowiek rozejrzył, wokół nie brakowało takich osobników. Tabita nauczyła się pogardzać tym, co nazywała upadkiem autorytetów.

Kiedy Tabita składała raport podczas comiesięcznych zebrań klubu, Debora okazywała jej wyjątkowe uznanie, a ona czuła się jak wojowniczką prowadząca kraj na właściwe tory. Dopiero gdy zatrzymano ją na ulicy za to, że pustą butelką po szampanie uderzyła w głowę mężczyznę, który wymierzył mocnego kopniaka skołtunionemu psu bezdomnego, dopadła ją sprawiedliwość. Jej zatrzymanie na deptaku Strøget przerodziło się w prawdziwy spektakl: ludzie, ślizgając się w kałuży krwi nieprzytomnego oprawcy zwierząt, krzyczeli i wrzeszczeli, że gnojek sobie na to zasłużył i że policjanci mają spierdalać i zabrać ze sobą psa. Incydent był wodą na młyn Tabity, ale bynajmniej jej się nie przysłużył.

Wyrok za pobicie nie zdążył jeszcze zapaść i zapewne nigdy by to nie nastąpiło, zważywszy na długi czas oczekiwania i instancje odwoławcze, ale osądu Debory nie dało się uniknąć. Podczas pierwszego spotkania po brutalnym epizodzie Tabita się dowiedziała, że ma się wynosić i więcej nie pokazywać. Dodatkowo palnięto jej jeszcze mównicę, że jeśli wygada komuś o działalności ich klubu, to gorzko tego pożałuje.

Tabita z lodowatym spokojem wrzuciła kartkę do skrzynki pocztowej Debory, informując ją, że tym samym klub wydał na siebie wyrok śmierci, bo gdy dojdzie do procesu, Tabita nie zamierza się certolić.

„Przecież mnie nie zabiją” – pomyślała.

Już następnego dnia Tabita rozpoczęła prywatną krucjatę, zamierzając interweniować tam, gdzie jej zdaniem było to konieczne.

Krążyła po centrum Kopenhagi, gdy trzech śniadych facetów w czapkach z daszkiem założonych tył na przód tak gwałtownie zajęchało jej drogę swoim bmw, że musiała ostro zahamować. Zdążyła tylko zobaczyć parę środkowych palców przez tylną szybę i przekląć na widok opuszczającej się bocznej szyby, przez którą na ulicę wyrzucono

popiół, pety i papierowe tacki. Wtedy postanowiła odpłacić im za tę prowokację pięknym za nadobne.

Ruszyła w ślad za nimi, utrzymując odpowiednią odległość, i na własne oczy się przekonała, że śmieci wyrzucanych przez nich na ulicę było znacznie więcej. W końcu wylądowali na Sønder Boulevard i zatrzymali się na miejscu dla niepełnosprawnych.

Tabita spokojnie zaparkowała po przeciwnej stronie ulicy, wyjęła ze schowka nóż i po dwudziestu sekundach przebiła wszystkie cztery opony w bmw. Następnie ruszyła spacerkiem po trawniku oddzielającym pasy ruchu i nazbierała siatkę pełną śmieci i psich kup. Potem już tylko cierpliwie czekała, aż mężczyźni wyjdą w szampańskim nastroju, każdy z papierosem w gębie, zmierzając wystudiowanym, sztucznie wyluzowanym krokiem do samochodu.

Kiedy już się wladowali na swoje miejsca w aucie, Tabita spokojnie przeszła przez ulicę i zapukała w okno kierowcy.

Mężczyzna opuścił szybę i obrzucił ją szyderczym spojrzeniem, gotów wyrecytować standardową groźbę, że ją pobije albo i gorzej.

– Zgubiliście coś po drodze, pieprzone gnojki. Następnym razem pamiętajcie, by zabierać swoje śmieci ze sobą, dobra? – powiedziała i wysypała zawartość siatki, na którą składały się śmieci i psie gówienka, na głowę kierowcy.

Bluzgając wściekle, facet przechylił się na stronę pasażera, wytyłany śmierdzącymi odpadami, a Tabita pobiegła do swojego samochodu i ruszyła z piskiem opon.

– Daleko nie zajedziecie, jebane samce! – krzyknęła przez okno, w odwecie pokazując im środkowy palec. Z czterema przebitymi oponami nawet największy arogant daleko nie zajedzie.

I tak Tabita jeździła o poranku do pracy jako dr Jekyll, a wracała jako Mr Hyde. Ludzie niemili wobec swoich dzieci i zwierząt obrywali kijem tak mocno, że ledwie mogli się podnieść, a ona miała w dupie, czy są bezdomni, czy są zwykłymi idiotami. Dzieci i zwierzęta trzeba traktować jak należy.

Na nieszczęście Tabity kilka miesięcy po jej wykluczeniu z klubu sprawy przybrały kiepski obrót.

Podobnie jak wiele razy wcześniej pojechała kolejką podmiejską na stację Østerport, która stanowiła dogodny punkt wyjścia do przeprowadzenia rekonesansu, gdy wracała do domu szerokimi ulicami w stronę Kongens Nytorv. Tuż przed mokrą od deszczu, świeżo wyremontowaną fasadą dworca kolejki zaobserwowała parę filmującą wszystko wzdłuż Dag Hammarskjölds Allé i całą scenerię wokół. Nagrywali i zatrzęsienie parasoli, i tory, i budynek Den Frie Udstilling. „Ach, Amerykanie” – pomyślała, słysząc z odległości stu metrów ich rozentuzjasmowane okrzyki. Czyli wycieczka prowadziła prosto z Muzeum Wolności pod ich ukochaną ambasadę.



Pokręciła głową. Byleby nie byli przyjaciółmi pani ambasador, bo większej idiotki ze świecą szukać.

Tabita rozejrzała się wokół i już miała ruszyć w stronę grupki turystów, gdy po przeciwległej stronie ruchliwej ulicy dostrzegła starszą kobietę, której opadły ręce na widok zatłoczonych ławek pod wiatami przystanku. Podniszczona winylowa torba ciążyła jej na ramieniu, świadcząc o tym, że staruszka właśnie zrobiła zakupy i że odczuwa ból w zgarbionych plecach. Życie na pewno zdążyło je już nadwątlić.

Tabita utkwiała wzrok w siedzącym pod wiatą silnym, młodym chłopaku, z którego empatią było tak krucho, że nie miał nawet siły ustąpić kobiecie miejsca. Postanowiła zmotywować go do szlachetnego czynu. Podeszła bliżej, ale gdy tylko chciała zwymyślać mężczyznę, ten wstał sam z siebie, ustępując miejsca starszej pani. zaproponował też, że potrzyma jej torbę aż do przyjazdu autobusu, jako że na ławce nie było już więcej miejsca. Krucho staruszka uśmiechnęła się do niego, jakby był pierwszą pomocną osobą, jaką spotkała od naprawdę długiego czasu.

Tabita się uśmiechnęła, jednak w tej samej sekundzie stwierdziła, że gość rozgląda się na wszystkie strony, ale nie patrzy w kierunku Lille Triangel, skąd miał nadjechać autobus.

„Co on kombinuje?” – pomyślała, stając obok niego po drugiej stronie szklanej ścianki, by móc go schwytać, gdyby postanowił dać nogę.

– Nie, to nie ten – powiedziała starsza pani, gdy pierwszy pojazd zajechał w zatoczkę, by zabrać na pokład pasażerów.

Koleś kiwnął głową.

– Dobrze, ja też jadę następnym – odparł, oceniając kątem oka, że pierwszy rząd ławek pod wiatą się zwolnił.

– Mogę już postawić torbę przy sobie, dziękuję za pomoc – powiedziała kobieta, przesuwając się i klepiąc dłonią puste miejsce obok.

– Zaniosę ją pani do środka, jak przyjedzie autobus – odparł chłopak nieznośnym sprzeciwu tonem. I gdy tylko autobus opuścił przystanek, chłopak odskoczył w bok, przygotowując się do ucieczki.

Zdążył zrobić jeden dłuższy krok, gdy Tabita chwyciła za pasek torby i pociągnęła. Nie powstrzymało to złodzieja, najwyraźniej mającego doświadczenie w podobnych akcjach. Szarpnął wręcz torbę do siebie i nie puszczał, ale Tabita też nie zamierzała ustępować. Wtedy próbował ją kopnąć, by zwolniła chwyt, ale ona tego nie zrobiła. Puściła dopiero, gdy mężczyzna przeciągnął ją przez zatoczkę aż na jezdnię. Przez chwilę wyglądał na zszokowanego, gdy przez brak oporu runął do tyłu na ulicę. Potem rozległ się nieprzyjemny dźwięk, gdy rozjechała go ciężarówka takiej wielkości, jakiej nie powinno się wpuszczać do miasta o tak gęstym ruchu ulicznym jak Kopenhaga.

Ludzie podnieśli krzyk, ale Tabita stała tylko, napawając się tym, co się dzieje, z całkowitym spokojem. Dopiero wtedy się zorientowała, że ludzie przy stacji kolejki kierują kamerę wprost na nią i wszystko filmują.

– It was an accident! – krzyknęła głośno, próbując przywołać na twarz wyraz przerażenia. Tymczasem kierowca ciężarówki wyskoczył z kabiny i wymiotował obok szczątków tego, co kiedyś było złodziejem torebek.

Momentalnie otoczyli ją ludzie, krzycząc, że puściła torbę celowo i że to z jej winy chłopak wylądował na jezdni.

Niektórzy rozmawiali przez komórki, więc Tabita uznała, że lepiej czym prędzej się ulotnić.

Ale nie ona jedna potrafiła odszyfrowywać ludzkie zachowania. Nagle jak spod ziemi pojawiła się czyjaś ręka, zaciskając się mocno na jej ramieniu.

W kolejnej scenie oprócz załogi karetki i psychologów pojawiła się również grupka policjantów, którzy poinformowali Tabitę o przysługujących jej prawach. W ten sposób jej kariera ulicznej mścicielki przeszła do historii.

Wtorek, 8 grudnia 2020

RAGNHILD

Gdy usiadły, mina Debory była poważna. Właściwie to zawsze była, ale tym razem do poziomych bruzd dołączyły dwie pionowe, przydając dramatyzmu stale goszczącemu na jej twarzy wyrazowi zatroskania.

– Wezwałam was, by zaradzić temu, co się dzisiaj stało – powiedziała.

Zebrane kobiety pokiwały głowami.

– Chodzi o lockdown związany z koronawirusem? – spytała Marta.

Debora pokręciła głową.

– O to też, oczywiście, lockdown nie ułatwia nam wykonywania misji, ale znacznie poważniejszą kwestią jest ponowne zatrzymanie Ewy. Tym razem niebezpieczeństwo dotyczy także nas.

– Zatrzymanie? – Ragnhild pokręciła głową. Nigdy nie poznała Ewy, bo przecież wciągnięto ją do klubu na jej miejsce. – Za co? – spytała.

– Jeszcze nie wiemy dokładnie, Rut, ale jeśli się dobrze orientuję, zaaresztowano ją dziś i postawiono jej zarzut spowodowania śmierci młodego mężczyzny.

Ragnhild spojrzała na dwie pozostałe kobiety. Widać było, że myślą o tym samym. Niedobrze.

Debora kiwnęła głową.

– Oznacza to, że od dziś musimy całkowicie wstrzymać naszą działalność i nie wolno nam się spotkać, dopóki was nie wezwę. Musimy się zabezpieczyć na wypadek, gdyby Ewie przyszła ochota na nas donieść. Policja nie może znaleźć niczego ani tutaj, ani w waszych domach.

– Ona nie doniesie – zaprotestowała Sara.

– Ja też tak myślę, ale jeśli macie u siebie coś, co nawet w niewielkim stopniu może świadczyć o tym, co zrobiliście lub zamierzacie zrobić, to lepiej natychmiast się z tym rozstańcie. Zrobię tutaj przemeblowanie, zniszczę wszystkie ewentualne materiały dowodowe i zetrę odciski palców, które mogłyby łączyć was czy Ewę z tym miejscem. I rzecz najważniejsza! – Debora uniosła palec wskazujący. – Od teraz milczycie jak grób. A jeśli macie ochotę rozpocząć swoje własne małe krucjaty, to wybijcie to sobie z głów. Rozumiecie?

Potaknęły, ale Ragnhild była wściekła. Wszystko, za czym się opowiadała, wszystko, co definiowało jej życie, zostało jej w tym momencie odebrane. Poczucie wspólnoty, relacje prywatne w wolnym czasie, a przede wszystkim drobne, ekscytujące akty samosądu.

– Musicie zrozumieć, że Ewa będzie w stanie zasiać w prokuratorze ziarno wątpliwości co do własnego stanu psychicznego. Podczas przesłuchań może twierdzić, że przeobraziła się w zdalnie sterowanego zombie i że to ja i wy, Marto i Saro, ją w tym celu zmanipulowałyśmy. Ty, Rut, z oczywistych powodów odpadasz, bo nigdy się nie poznałyście.

Debora siedziała przez chwilę, kiwając głową i próbując zrozumieć całą sytuację. Potem zwróciła na nie pociemniałe oczy.

– Ewa jest najprawdopodobniej nie tylko najbystrzejsza z nas, ale też zdecydowanie najbardziej wyrachowana, więc musimy uważać, rozumiecie?

– Myślę, że powinniśmy poznać jej prawdziwe nazwisko, żeby śledzić doniesienia prasowe na jej temat – zaproponowała Marta. – Bo przecież Ewa to nie jej prawdziwe imię?

Debora pokręciła głową.

– Nie. Nazywa się Tabita Engstrøm.

– Mówiłaś, że te, które się wygadają, będą musiały za to zapłacić – powiedziała Sara. – Tylko co właściwie masz zamiar zrobić z Tabitą, jeśli do tego dojdzie?

– Zneutralizować ją, co innego?

Ragnhild siedziała przyklejona do telewizora, ale o Tabicie Engstrøm nie padło zeń ani słowo; wszystkie media trąbiły tylko o restrykcjach związanych z koronawirusem i drastycznym wzroście liczby zakażonych. Słuchając niekończącego się strumienia rozważań i dyskusji na ten temat, Ragnhild zdała sobie sprawę, że te niecodzienne okoliczności mogą stanowić dla Tabity najlepszą ochronę. Bo dopóki strach przed kolejną falą zakażeń sprawiał, że nie można było zbliżyć się do niej w więzieniu, to trzeba było liczyć się z ryzykiem, że w którymś momencie może jej się rozwiązać język, a na tym ucierpi ich klub i jego działalność.

„Nie może do tego dojść” – pomyślała i zastanawiała się dalej. Ragnhild nigdy nie próbowała nikogo zabić, ale przecież mogłaby? Jak przyszło co do czego, to przecież wielokrotnie przypatrywała się świniobiciu w gospodarstwie dziadków. Tętnica u człowieka jest widoczna pod skórą, a do jej przecięcia nadaje się wiele ostrych przedmiotów, więc to pestka. Problemem było natomiast zbliżenie się do Tabity Engstrøm, kiedy ta przebywała w areszcie, a potem ucieczka po wykonanym zadaniu. Czy to ostatnie nie jest przypadkiem kluczowe, gdy chce się popełnić zbrodnię doskonałą?

Gdyby udało jej się tego dokonać, jej gwiazda z pewnością zaświeciłaby jaśniej na firmamencie Debory, pomimo jej napomnień, co im wolno, a czego nie. A Ragnhild zależało najbardziej na szacunku i akceptacji Debory. Przez wiele wieczorów po skończonych spotkaniach Ragnhild wystawała pod jej domem, czekając, aż we wszystkich oknach pogasną światła. To, co rozgrywa się w ciemnych pomieszczeniach, stymulowało jej fantazję. Nie to, że była zakochana w Deborze, oczywiście na ile potrafiła się w tym połapać, ale ta kobieta była ich przywódczynią. To ona je zrekrutowała, ona zbierała dane o ich działaniach, wreszcie ona inspirowała je do prowadzenia bardziej wyrafinowanych moralnych krucjat.

Dzięki niej w smutnym życiu Ragnhild zagościła euforia.

Kobieta wpatrywała się w ekran telewizora i nieodmiennie eleganckie garsonki, w które pani premier ubierała się na konferencje prasowe, konsekwentnie ograniczając wszelkiego rodzaju działalność zawodową w całym kraju.

Jak powstrzymać Tabitę przy powszechnym lockdownie?

Tej nocy Ragnhild spała kiepsko.

Środa, 9 grudnia 2020

RAGNHILD

Różne środki bezpieczeństwa wprowadzone w Danii dotknęły wszystkie gałęzie administracji publicznej, a sprawa taka jak Tabity wymagała przesłuchań, przedstawienia dowodów, ciągnących się godzinami zeznań świadków i wzywania na komendę ludzi, z których każdy potencjalnie mógł zakazać. Jako że utrudnione warunki uniemożliwiały przeprowadzenie normalnej procedury sądowej, której efektem końcowym mogło być pozbawienie Tabity wolności, kobietę wypuszczono po przesłuchaniu wstępnym, zgodnie z obowiązującymi w Danii przepisami. Poinformowano ją, że nie wolno jej opuszczać kraju oraz że musi powiadomić sąd, jeśli zamierza się przemieszczać na dłuższe dystanse. Wróć do jej sprawy we właściwym czasie, gdy sytuacja się ustabilizuje.

Ragnhild uznała, że trafia jej się okazja, więc na wszelki wypadek ustawiła się w odległości pięćdziesięciu metrów od budynku sądu, gdy ubrana w luźny płaszcz Tabita wychodziła na wolność z szerokim uśmiechem na krwistoczerwonych ustach.

Aha, czyli tak wygląda. Beztroska i wysztafirowana.

„Te usta na pewno nie powinny się uśmiechać – pomyślała Ragnhild. – Powinny być zaciśnięte, by nie wygadały, co się rozgrywało w naszym małym klubie. Teraz Tabita Engstrøm jest szczęśliwa i zadowolona, ale gdy ponownie ją wezwą, puści farbę. Widzę to po niej”.

Przemierzając najbardziej uczęszczane ulice Kopenhagi, Ragnhild ścisnęła ostry nóż do ryb, który trzymała w kieszeni płaszcza z myślą o powstrzymaniu Tabity, a czy zdarzy się to teraz, czy później, miało drugorzędne znaczenie. Przy pierwszej lepszej okazji Ragnhild na pewno będzie gotowa.

„Dokąd zmierzasz, Tabito?” – pomyślała. A kiedy jakiś czas później Ragnhild śledziła ją w bezpiecznej odległości, idąc po praktycznie opustoszałych ulicach dzielnicy Amager, wciąż nie знаła odpowiedzi.

„Jeśli zejdziesz z Amagerbrogade w jakąś boczną uliczkę, to dobiegnę do niej w kilka sekund” – pomyślała. Ale jak mocno ma pchnąć Tabitę nożem i gdzie? Czy nie lepiej poderznąć jej gardło, tak jak pierwotnie planowała? Z drugiej strony poleje się sporo krwi, a Ragnhild nie chciała ryzykować ubrudzenia. Oczywiście może mocno chwycić Tabitę i odepchnąć ją od siebie w chwili ugodzenia jej nożem. Tyle że wtedy cięcie

trzeba będzie wykonać precyzyjnie i głęboko, a akurat tę część planu może utrudnić mnóstwo rzeczy. Co, jeśli Tabita ją na przykład usłyszy tuż przed atakiem, albo jakiś dźwięk sprawi, że odwróci głowę i plan się nie powiedzie?

Ragnhild ogarnął niepokój, ale nie wolno jej było się zawahać. Tabita sprzeniewierzyła się surowemu kodeksowi klubu, a sama Debora stwierdziła, że to może ją drogo kosztować. I choć Debora przestrzegała je przed samosądem, to Ragnhild ani myślała się dostosowywać. Była pewna, że koniec końców Debora to pochwali. Przecież sama mówiła, że jeśli Tabita się wygada, to trzeba będzie ją zlikwidować.

Rozwiązanie problemu Ragnhild znalazło się kilkaset metrów dalej, gdzie ktoś z taką siłą wjechał w znak drogowy, że ten złamał się wpół i teraz jego koniec sterczał okaleczony metr nad ziemią, obnażając postrzępioną metalową rurę.

„No, Tabito, nie wolno ci skręcić w przecznicę – pomyślała Ragnhild. – Nie przechodź na drugą stronę ulicy, nie oglądaj wystaw sklepowych. Trzymaj się blisko ścieżki rowerowej, jak to przez cały czas robiłaś”.

Ragnhild przyspieszyła kroku i jakieś pięćdziesiąt metrów od złamanego znaku drogowego prawie udało jej się zrównać z Tabitą. Wyjęła rękę z kieszeni, by już teraz przeciwiczyć ruch, dzięki któremu Tabita nadzieje się na ostre brzegi oberwanej rury.

Wkrótce obie kobiety dzieliło już tylko dwadzieścia metrów od kikutu, a gdy Tabita znalazła się niecały metr od feralnej metalowej rury, Ragnhild do niej doskoczyła i podłożyła jej lewą nogę, jednocześnie z całej siły popychając Tabitę. Niestawiającej oporu kobiecie pal wbił się przez rozchylony płaszcz prosto w tors, tuż pod sercem.

Tabita krzyczała przez chwilę, dopóki Ragnhild nie zdzieliła jej obiema pięściami w kręgosłup, by metalowa rura głębiej wdarła się w jej ciało.

Zaraz potem wycofała się i czmychnęła w boczną uliczkę, jeszcze zanim Tabita przestała oddychać.

Serce Ragnhild biło tak mocno, że o mało nie zemdląła i paradoksalnie, choć przepełniała ją duma, kobieta kilka razy zwymiotowała przy krawężniku, nim jej ciało na powrót ogarnął spokój.

Jeszcze nigdy, nawet podczas najlepszych odlotów haszowych w młodszych latach, Ragnhild nie czuła się aż tak uskrzydłona jak teraz, stojąc na schodach z zielonkawego marmuru prowadzących do domu Debory i wystukując dzwonkiem ich umówiony sygnał.

Drzwi otworzyły się dopiero po kilku minutach i euforia przysła równie szybko, jak się pojawiła.

– Kim pan jest? – spytała Ragnhild mężczyznę stojącego w drzwiach. Był gigantyczny i sprawiał wrażenie brutalnego. W ogóle nie pasował do delikatnej

i pięknej Debory. Przez chwilę patrzyli sobie głęboko w oczy; nie było to bynajmniej przyjemne uczucie, zważywszy na jego dziwny wygląd. Jakby głowa mężczyzny została przykręcona do niewłaściwego ciała.

– Kim jestem? Nie sądzi pani, że to ja powinienem panią o to zapytać? – odparował.

– Dlaczego dzwoni pani do moich drzwi?

Powiedział, że to jego drzwi? Czyli Debora ma męża? Takiego odrażającego? To nie może być prawda.

– Chcę porozmawiać z Deborą! Proszę jej przekazać, że czeka na nią Rut.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Z Deborą? A kto to jest, jeśli mogę zapytać?

Ragnhild cofnęła się o krok, by spojrzeć na fasadę domu. Nie pomyliła adresu.

– Nie wiem, kim pan jest, ale to Debora jest właścicielką tego domu. – Teraz już Ragnhild poważnie się zatrwożyła.

Mężczyzna ściągnął brwi i postąpił krok bliżej.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Proszę już iść.

Ragnhild się cofnęła.

– Co pan jej zrobił? Włamał się pan tu?

Zrobiła jeszcze krok do tyłu i się rozejrzała, gotowa przeskoczyć przez żywopłot sąsiada z naprzeciwka, gdyby mężczyzna zamierzał ją zaatakować.

– Debooooooro! – wrzasnęła najgłośniejszym głosem, patrząc w przysłonięte firanami okna na pierwszym piętrze.

– Jest pani szalona, młoda damo. Czego pani w ogóle chce od tej całej Debory?

– Muszę jej powiedzieć coś ważnego o osobie, której nie musi się już obawiać.

Czyżby na piętrze za firaną dostrzegła jakiś ruch?

Ragnhild uśmiechnęła się przelotnie, ale jej uśmiech zniknął, gdy mężczyzna uderzył ją pięścią w twarz tak mocno, że jej nogi, zmysł równowagi, system nerwowy, wola i napięcie mięśniowe zostały z miejsca wyłączone z gry.



Czwartek, 10 grudnia 2020

CARL

Konferencja prasowa pani premier również tym razem nie napawała optymizmem. I choć wkrótce miała pojawić się szczepionka na covid, nie ulegało wątpliwości, że wskaźniki reprodukcji wirusa w okresie świąteczno-noworocznym błyskawicznie się pogorszą.

Uczestnicy konferencji królowali teraz na ekranie telewizora jak jakiś dzierzący karabiny pluton egzekucyjny, zmuszający połowę kraju do padnięcia na ziemię. Najpierw minister zdrowia, potem wszyscy inni. Dziewięćset osiemnaście osób zmarło – powiedzieli i dodali, że druga fala epidemii koronawirusa się wzmacnia i że restrykcje wchodzi w życie nazajutrz o szesnastej. Dania już to znała: lockdown, testowanie, dezynfekcja rąk, maseczki, kaszlenie w zagłębienie łokcia, wyrzeczenia, spadek gospodarczy.

Z czasem zaczęło to naprawdę doskwierać i irytować.

– Aha – oświadczył Carl. – I co wy na to? Ja tam w każdym razie nie zamierzam zwalniać obrotów. Skoro przez cały czas mamy sobie robić testy, to powinniśmy przeskakiwać na początek kolejki za okazaniem policyjnych odznak.

Reszta Departamentu Q ewidentnie miała zagwozdkę. Assad myślał oczywiście o swojej rodzinie, bo co oni ze sobą poczną, jeśli on się rozchoruje? Myśli Rose szły zapewne innym torem, bo dziewczyna nie odczuwała najmniejszej ochoty na izolowanie się w swoim mieszkaniu, ten etap miała już za sobą. Gordona natomiast po prostu ogarnął smutek, co było widać jak na dłoni. Chłopak właśnie na dobre rozpoczął randkowanie, a z kim się miał umówić, do licha, skoro z nikim nie można się spotykać?

– Nim cały kraj stanie na głowie, pojedę do Pauline Rasmussen pokazać jej mejle, które znaleźliśmy – stwierdził Carl. – A wy po prostu szukajcie dalej. Rose i Assad niech się skupią na tym handlarzu bronią, Gordon na starych aktach spraw, a równolegle wszyscy troje przejrzyjcie do końca mejle Pallego Rasmussena.

Czyżby pozwolili sobie na westchnienie?

Ledwie wyjechał z miejsca parkingowego, a odezwała się jego komórka. Dzwonił Gordon.

– Carl, Departament Q właśnie otrzymał rekomendacje z Komendy Głównej. Za dwadzieścia minut mamy się wszyscy spotkać w jadalni.

– Aha, to bawcie się dobrze – odparł Carl z półuśmiechem. Rozliczne wymysły szefostwa nie pokrzyżują jego planów.

Kilka kilometrów za miastem ruch się uspokoił, a niektóre pojazdy zatrzymywały się na poboczu, podczas gdy odbiorniki radiowe bezustannie nadawały ostrzeżenia i przestrogi.

Po chodnikach walały się wyrzucone maseczki, nie był to zbyt budujący widok.

Carl pokręcił głową. Koronawirus?! Ludzie mieli wszystko w dupie, byleby ich własne potrzeby były zaspokojone. Ale Mørck dawno stwierdził, że taka już ich natura.

Westchnął.

Jak długo to gówno jeszcze może potrwać?

Na ścieżce przed szeregowcem Pauline Rasmussen leżał damski rower. Drzwi były otwarte na oścież, a z korytarza dobiegał podekscytowany głos kobiety, która w co drugim zdaniu powtarzała, że „to niemożliwe” i „nie, znowu?!”.  
Carl się domyślił, co się tu rozgrywa.

Gdy Pauline zobaczyła jego twarz w drzwiach, włożyła komórkę do kieszeni i zaczęła wyrzekać.

– Wszystkie nasze przedstawienia zostały zawieszane do odwołania – wyjąkała. – Zawieszane! Nie mogliby wymyślić czegoś innego?

Carl stwierdził, że to „wkurzające” i „wariackie”, ale jednocześnie nie owijał w bawełnę i poinformował aktorkę, co znaleźli w rzeczach Pallego Rasmussena. I było mu całkowicie wszystko jedno, czy jej twarz straciła kolor, bo dzisiejszy spektakl będzie przez długi czas ostatnim, czy przez perspektywę rozgrzebywania jej trudnej przeszłości. Dopóki ludzie będą tak nie zrównoważeni jak Pauline, dopóty jego przesłuchania będą skuteczne. Jak mawiał zawsze jego zdemoralizowany kuzyn, „obok szczęścia w nieszczęściu nie można przejść obojętnie”.

– Była pani z Pallem w dniu jego śmierci. Teraz wiemy już na pewno, że odwiedził panią w drodze do domu i że uprawialiście seks z elementami poniżania i zadawania bólu. Dlatego pytam panią, czy posunęliście się za daleko? Czy skończyło się na tym, że go pani zabiła? Czy sam panią poprosił, by pojechała z nim pani do domu i przywiązała go do kierownicy auta, tak by nie mógł wyłączyć silnika?

Wyglądało na to, że jej ośrodek mowy doznał porażenia.

– Okej, w takim razie proszę posłuchać, co myślę. Tamtego popołudnia Palle do pani przyjechał, może to pani potwierdzić?

Kobieta westchnęła.

– Wtedy związała mu pani nadgarstki i biła po całym ciele, prawda?

Pokręciła głową.

– Nie związałam go, nigdy nie musiałam tego robić.

– Czyli mogła mu pani zadawać cierpienie, uprzednio go nie związawszy. Dziwnie to brzmi. W okolicach odbytu znaleźliśmy u niego zranienia, które musiały mu sprawiać potworny ból.

Zwróciła ku niemu twarz, patrząc szyderczo.

– Palle potrafił wszystko znieść, był prawdziwym mężczyzną.

– Dobrze, ale w takim razie nie rozumiem, dlaczego na jego nadgarstkach widniały głębokie ślady, jakby związane go plastikowymi opaskami?

– Nie mam z tym nic wspólnego, ja tego nie zrobiłam.

– Ale później pojechała pani z nim do domu, prawda?

– Na to pytanie już odpowiedziałam.

W jej oczach z wolna zaczął pojawiać się chłód i Carl poczuł, że kobieta wymyka mu się z rąk.

– Ale nie, nie zrobiłam tego. Kiedy tylko osiągnął orgazm, chciał po prostu wracać do domu. Myślał tylko o sobie.

– A jednak była pani z nim przez dziewięć i pół roku, aż trudno mi w to uwierzyć.

– Niech pan wierzy, w co chce. Jeśli ktoś przyczynił się do powstania tych śladów na jego nadgarstkach, na pewno nie byłam to ja. Nie jestem dumna ze swojej relacji z Pallem, ale nie mogę cofnąć czasu.

– Czy tamtego dnia był smutny?

– Po osiągnięciu orgazmu zawsze miał lekkiego doła, szczególnie po tym, jak go poniżałam. Ale tamtego dnia nie było w tym nic szczególnego.

– Dlaczego nie chciała nas pani dopuścić do kartonów ani komputera Pallego? Jeśli ja lub moi koledzy coś przeoczyliśmy, to proszę mi to teraz powiedzieć. Jeśli sami się do tego dokopujemy, nie przysłużą się to pani sprawie.

– Mojej sprawie?! – Pauline była zimna jak lód. – W obecnej chwili moja sprawa przedstawia się tak, że nie wiem, jak, u diabła, mam sobie poradzić, skoro pani premier uniemożliwiła mi dostęp do mojego źródła utrzymania. Myśli pan może, że ona zapłaci za wszystkie odwołane spektakle? Albo że zrobi to minister kultury?

Carl wzruszył ramionami. Zasadniczo nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

– Co znajdziemy w komputerze, pani Rasmussen? Powie nam pani zawczasu?

Pokręciła głową.

– Lepiej niech pan już idzie.

Rose siedziała tam, gdzie ją zostawił; przed nią piętrzyły się stosy akt sprawy i zdjęć.

– Gdzie Assad i Gordon? – spytał Carl.

Kobieta westchnęła.

– Tym razem komendant wysłał sporą grupę naszych kolegów do domu. Odtąd musimy wszyscy, również w naszym departamencie, utrzymywać co najmniej dwumetrowy dystans. Totalna histeria. Mówią, że tak jak wiosną, mamy w miarę możliwości unikać przeprowadzania przesłuchań osobiście. Trzeba dzwonić.

Carlowi opadła szczęka.

– Powiedz mi, czy ta wiosna ich niczego nie nauczyła? Przecież się przekonaaliśmy, że nie da się przeprowadzić przesłuchania przez telefon. Ludzie kłamią jak najęci, szczególnie kiedy ich nie widać. Siedzą tylko po drugiej stronie i boki zrywają.

Odwrócił się na pięcie i zdecydowanym krokiem oddalił się korytarzem. Na szczęście Marcus trwał na posterunku. Również on nie wyglądał na uszczęśliwionego.

– Czy to prawda, że znów od nas zażądacie prowadzenia przesłuchań przez telefon?

– Tak, komendant do tego zachęca. – Jacobsen spojrzał na niego ze zmęczeniem.

– To rozporządzenie dotyczy też stawiania zarzutów? – spytał Carl właściwie dla draki.

Marcus potwierdził.

– A co zrobicie, jeśli oleję to strumieniem ciepłego moczu?

– Nie wiem. Jeśli z tego powodu zarazisz się koronawirusem, to dopiero będziesz umoczony.

– Z tego powodu? A co z tobą?

– Ja zamierzam się trzymać swojego gabinetu, więc moja wiedza na temat poczynąń pracowników będzie dość ograniczona.

Carl skinął głową. Dokładnie to chciał usłyszeć.

– Póki co Gordona i Assada poproszono o pójście do domu, co z pewnością nie przyczyni się do postępów w śledztwie, Marcus. Nie chcesz, by sprawa Mai Petersen została rozwiązana?

Jacobsen skinął głową.

– To musi poczekać, aż minie ryzyko zakażenia.

– Rozumiem, Marcus. Trzymaj się tymczasem.

– Assad, masz adres tego od hejterskich mejli, który chciał złożyć Pallego Rasmussena w ofierze, jeśli ten nie odejdzie z polityki?

Kolega odchrząknął kilka razy, zdaje się, że trzymając komórkę w pewnej odległości. Czyżby rozkładało go przeziębienie?

– Już z nim rozmawiałem, Carl. – Assad wypowiedział kilka uwag po arabsku do osób przebywających z nim w tym samym pokoju. Ktoś tam płakał.

– Co się dzieje, Assad?

– Co się dzieje? Dzieje się to, że niełatwo się pracuje w trzypokojowym mieszkaniu przy akompaniamencie takiego wycia.

Carl ściągnął brwi.

– Nie możesz usiąść w innym miejscu?

Assad znów ryknął w tle po arabsku. Chyba nie słyszał pytania.

– I co ten zadymiarz ci powiedział?

– Że wszystkich polityków, którzy kłamią lub naginają prawo z korzyścią dla siebie, należy powstrzymać siłą. I że dobrze im zrobiło, jak im mówił, jak bardzo ich nienawidzi.

– Wie, że to są groźby karalne?

– Powiedział, zdaje się, że guzik go to obchodzi. Dziwny zwrot.

Carl się uśmiechnął.

– Guzik? To chyba starszy człowiek.

– Nic tu nie wskóramy. Mieszka w Nakskov od zawsze. Choruje na dystrofię mięśni i jest przykuty do wózka.

– Okej.

– Sprawy, które dotąd znaleźliśmy, są po prostu za stare, Carl. Ślady się pozacierały. Ale jesteśmy z Rose zgodni, że tych spraw musi być więcej. Może nawet dużo więcej. Jeśli znajdziemy kolejną, w której pojawi się sól, to miejmy nadzieję, że ślady sprawy będą świeższe i wyraźniejsze.

– Też tak myślę. Obecnie mamy już cztery miejsca zbrodni, w których w rytualnym geście pozostawiono sól, więc na pewno to nie koniec. Ale, Assad, bez motywu możemy sobie szukać na oślep.

– Owszem, ale wiemy już, że zabójstw dokonano w latach osiemdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt osiem, dwa tysiące i dwa tysiące dwa. Jeśli dwuletni odstęp między nimi coś oznacza, to moim zdaniem powinniśmy zacząć od najnowszych.

– Yyy, najnowszych? Ale jakie są najnowsze? Przecież sprawca mógł zaprzestać działalności ileś lat temu albo nawet umrzeć – stwierdził Carl.

– Do morderstw dochodzi tylko w latach parzystych, więc może zacznijmy szukać zabójstw lub podejrzanych zejść śmiertelnych w roku dwa tysiące dziesiątym, na przykład?

– Dwa tysiące dziesiątym, powiadasz? Dlaczego nie później? Dwa tysiące dwunasty, czternasty, szesnasty...

– Carl, sam mówiłeś. Sprawca zaczął w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym albo i wcześniej, więc muszą istnieć realne przesłanki, że wciąż był aktywny w latach, w których szukamy. Moim zdaniem dwa tysiące dziesiąty.

– Poznaję po twoim głosie, że już nad tym siedzisz.

- Tak, zalogowałem się do PED Point.
- Wiesz chyba, że nie wszystko można znaleźć w archiwum elektronicznym?
- Wiem, ale skoro będę pracował z domu, to muszę od czegoś zacząć, nie?

Czwartek, 10 grudnia 2020

CARL

– Widzę, że Gordon już wrócił, więc zgodnie z wytycznymi policji covidowej i Jego Świątobliwości Komendanta Głównego Policji jest nas w wydziale za dużo. Gordon, dlaczego wróciłeś? Zateśniłeś za swoimi krasnalami?

– Nie potrafiłem pracować w domu, mam tam tylko jeden ekran, a internet jest fatalny. Strasznie powoli mi szło, myślałem, że oszaleję.

Carl skinął głową i zerknął na Rose.

– Posłuchaj, Rose. Musisz przygotować plan dyżurów dla Departamentu Q. Marcus dał nam zielone światło, więc możemy robić, co chcemy, byleby on o tym nie wiedział, bo miałyby problemy. Przeprowadzajmy przesłuchania poza budynkiem i pilnujmy, by oficjalnie o każdej porze była tu nas tylko dwójka. Będziemy się tego trzymać dopóty, dopóki wierchuszka nie przestanie ingerować w poczynania ciężko pracujących funkcjonariuszy, dobrze? Sytuacja w domu Assada nie przedstawia się najlepiej, więc mu trochę pomóżcie.

Rose kiwnęła głową.

– To wszystko zaczyna się bardzo komplikować, nie tylko ze względu na covid. Tak naprawdę, żeby wszystko grało, potrzebowalibyśmy jeszcze z pięć osób do pomocy. Co najmniej!

Carl spojrzał na Gordona; chłopak kiwał głową zupełnie jak zabawka w kształcie pieska ze sprężynką na karku, którą ekszona Carla, Vigga, wozila na podszybiu swojego gruchota.

Mørck wstał, podszedł do okna gabinetu, wziął czerwony flamaster do pisania na tablicach ściernalnych i napisał wprost na szybie:

SPRAWA LAT PARZYSTYCH

– Tu będziemy notować, czym które z nas się zajmuje. Za każdym razem, jak zaczniecie się gapić przez okno, przypomni się wam, że mamy na głowie inne, ważniejsze sprawy, rozumiecie?

Podał pisak Gordonowi.

– Co twoim zdaniem powinno się tu znaleźć?

Blade stworzenie zastanawiało się chwilę.

– Myślę, że powinniśmy sporządzić listę wszystkich pytań i zagadek, z którymi musieliśmy się zmierzyć przy pracy nad tymi wszystkimi aktami.

Carl kiwnął głową, a Gordon napisał:

G1: Brakujące strony w teczce sprawy Pallego Rasmussena. Gdzie są?

G2: Poszukać soli w starych raportach. Czy są jeszcze jakieś?

G3: Otworzyć komputer Pallego Rasmussena. Czy znajdziemy tropy dotyczące jego śmierci?

– Dobrze, Gordon. Gdzie teraz jest ten komputer?

– Na górze u informatyków. Mówili, że ze względu na problemy z obsadą to będzie dla nich teraz duże wyzwanie, ale że na pewno będą się streszczać.

– Okej, ale sprawdzaj ich, proszę, nie możemy czekać całą wieczność. Twoja kolej, Rose.

Dziewczyna westchnęła, gdy Gordon podał jej pisak.

– Czy w tym bałaganie da się w ogóle znaleźć coś poza zagadkami i pytaniami?

Zastanawiała się chwilę, po czym dopisała:

R4: Kto zabił handlarza bronią Carla-Henrika Jespersena?

R5: Kto zabił właściciela fabryki Olka Dudka?

R6: Kto zabił właściciela warsztatu Ovego Wildera i czterech mechaników?

R7: Po kiego grzyba ktoś zostawia sól na miejscu zbrodni?

Carl uniósł rękę.

– Zapiszę też za Assada, jedną linijkę, bardzo prostą.

A8: Zabójstwa i podejrzane zejścia śmiertelne w 2010. Jakie?

– Dodam, że Assad właśnie zaproponował, by sprawdzić rok dwa tysiące dziesiąty. Czy waszym zdaniem już teraz możemy uznać, że wszystkie te sprawy są ze sobą powiązane i że póki co będziemy sprawdzać tylko zdarzenia z lat parzystych?

Dwoje pozostałych potaknęło.

– Dobrze. Czas pokaże, czy mieliście rację i czy jest ich więcej.

Gordon uniósł palec.

– A co na to uczeń z ostatniej ławki? – spytał Carl.

– Zwróciłem uwagę, że w miarę upływu lat do zabójstw dochodzi w coraz późniejszych miesiącach.

Rose kiwnęła głową.

– Też to zauważyłam. W osiemdziesiątym ósmym jest to dwudziesty szósty stycznia. W dziewięćdziesiątym ósmym – dwudziesty ósmy kwietnia, w dwutysięcznym – siedemnasty maja, a w dwa tysiące drugim dziewiętnasty maja, w Zielone Świątki. Może to nie przypadek, lecz rozmyślnie zaplanowany schemat.



Carl stał przez chwilę, wyglądając przez czerwone litery na zabłocony parking, a potem odwrócił się do nich, czując ciepłe mrowienie na kręgosłupie. Odczuwał je, kiedy Mona zarzucała mu nogę na brzuch i kiedy miał przecucie, że zbliża się przełom w sprawie.

Spojrzał na nich z uznaniem i uniósł pisak do szyby.

C9: Znaczenie dat?

– Dobra robota, moi drodzy. Przyjrzę się temu osobiście.

Czyżby byli wkurzeni?

Przed Carlem rysowały się teraz dwie oczywiste opcje. Mógł uszeregować daty w ten sposób, że w okresie od osiemdziesiątego ósmego do dwutysięcznego szukał tylko spraw z lat tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt dwa, dziewięćdziesiąt cztery, dziewięćdziesiąt sześć, i to wyłącznie tych dotyczących zdarzeń między dwudziestym szóstym stycznia a dwudziestym ósmym kwietnia. Była to mordercza praca, ale łatwo ją zlecić komuś innemu.

Potem mógł się skupić wyłącznie na datach, które są im już znane. Jeśli umieszczenie soli w miejscach zbrodni miało znaczenie rytualne, to może daty też mają.

Mørck skinął głową do Gordona.

– Wiesz co, Gordon, może na razie ogranicz się w poszukiwaniach do dat między śmiercią Pallego Rasmussena i Olka Dudka. Szukaj tylko w latach parzystych od dziewięćdziesiątego do dziewięćdziesiątego szóstego wyłącznie.

Gordon wyglądał na stropionego. „To prośba czy polecenie?” – myślał pewnie.

Głowa opadła mu na lekko na pierś.

– A ty, Carl, co będziesz robił? – spytała Rose. Jak to się dzieje, że jej skwaszona gęba potrafi aż tak rzutować na otoczenie?

– Powiem ci, jak zrobię jakiś progres.

Nie ma to jak haust świeżego powietrza wciągany przez papierosa z odłamanym filtrem. Carl spojrzał na samochody na parkingu na tle postawionych naprędce i chaotycznie budynków, które zapewne miały uczynić Teglholmen jednym z kolejnych cudów miasta. Co ci planiści mieli w głowach? Podawali architektom diazepam?

Carl zaciągnął się jeszcze raz i cisnął niedopałek na asfalt.

Tu, na parkingu, najmniej odczuwał tęsknotę za swoim piwnicznym gabinetem w Komendzie Głównej. Zero drepczących po korytarzach kolegów, zero uprzejmych pozdrowień, zero podawania rąk. Tutaj był po prostu sobą i mógł sam na sam zmagać się z chaosem panującym w głowie.

Przesunął dłonią po przeredzonych już włosach; odziedziczył ten nawyk po ojcu. Jakby to w ogóle mogło w czymś pomóc.

Zapisał na szybie dziewięć pytań. Przeróżające było to, że mogli ich jeszcze dodać ze sto. Ale to numer dziewiąty nie dawał Carlowi spokoju. Może niewłaściwie sformułowali to pytanie. Napisał „Znaczenie dat”, ale może powinien był napisać „Dlaczego właśnie te daty?”. Albo, jak by to ujęła Rose, „O co chodzi z tymi pieprzonymi datami?”.

Przypomniał sobie zdumioną twarz Marwy, gdy powiedziała Assadowi o dwudziestym ósmym kwietnia i o tym, jakie to dla niej dziwne, że nawet on nie pamięta daty urodzin Saddama Husajna.

Jeśli coś jest na rzeczy, to może wszystkie te zdarzenia mają związek z Bliskim Wschodem. Musi to sprawdzić. Ma trzy pozostałe daty, to się da łatwo wygooglować.

Wyszukiwanie w Google wyjątkowo rzadko stanowi cudowny środek w prowadzeniu śledztwa, bo najczęściej natrafia się na zbyt wiele nieprawdziwych lub niedokładnych informacji i na zbyt wiele błędnych tropów. Carl uśmiechnął się na tę myśl, wyszukując dwudziesty szósty stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku, kiedy to uległ zniszczeniu warsztat Ovego Wildera, i stwierdzając, że data ta w Australii nosi miano Dnia Inwazji i upamiętnia dotarcie do Sydney Cove brytyjskich statków. Właśnie ten dzień od osiemdziesiątego ósmego roku stanowi pretekst do demonstracji, bo traktuje się go jak symbol zniszczenia przez Anglików kultury Aborygenów. Tylko co on ma zrobić z tą informacją?

Odnótował też, że tego dnia sformalizowano relacje między Egiptem i Izraelem, co czyniło z niego datę epokową.

Carl westchnął. „Czyli jednak kolejna sprawa może mieć związek z Bliskim Wschodem. Assad nie będzie zachwycony” – pomyślał.

Od razu wygooglował siedemnasty maja dwutysięcznego roku – dzień, w którym znaleziono handlarza bronią Carla-Henrika Jespersena z kulą w skroni. Ta data nie miała większego związku z Bliskim Wschodem. Owszem, dobiegała końca wojna między Irakiem i Iranem, w tym okresie odbywały się też negocjacje dotyczące wycofania się Izraela z Libanu, ale nie akurat siedemnastego maja.

Carl znów westchnął. Kluczowe słowa w tego typu sprawach powinny mieć wspólny mianownik, bo jak inaczej wskazać jakiś motyw?

Następnie sprawdził dziewiętnasty maja, datę śmierci Pallego Rasmussena. Wyglądało na to, że w tym dniu Egipt uniemożliwił izraelskim statkom żeglugę po Kanale Sueskim, co teoretycznie doprowadziło do wybuchu kryzysu sueskiego w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, ale Carlowi jednak coś nie pasowało.

„Jestem w kropce, nie chodzi o Bliski Wschód” – pomyślał.

Wyjął z paczki papierosa, ale włożył go z powrotem, nawet na palenie nie miał ochoty.

Spojrzał na zegarek, który chodził jakby w zwolnionym tempie.

Czyżby zmęczył się zabawą w detektywa?

Piątek, 11 grudnia 2020

CARL

Mimo wieści o kolejnym częściowym lockdownie w kraju i amoku, w jaki z tego względu wpadły wszystkie media, sprawa bestialskiego mordu na Tabicie Engstrøm pośrodku uczęszczanej kopenhaskiej ulicy trafiła jednak na nagłówki gazet.

Minęły już dwa dni, odkąd jej rozplątane ciało zdjęto ze złamanego znaku drogowego. Również przed dwoma dniami Zarząd Dróg Publicznych i Urząd Nadzoru Technicznego i Środowiskowego zaczęły toczyć spór o to, kto ponosi odpowiedzialność za zaniedbanie i nieusunięcie zagrażającego życiu narzędzia zbrodni. Zaledwie zaś wczoraj kaszłająca komisarz Bente Hansen stanęła przed tłumem dziennikarzy, próbując zdradzić jak najmniej na temat postępów w śledztwie.

Niektórzy mieszkańcy Amager, poczynawszy od lokalnych grup matek i linoskokczków, przez kluby szachowe i tryktrakowe, a skończywszy na stowarzyszeniach handlowców i mnóstwie zwykłych ludzi, wyrażali strach z powodu bezprawia panującego w mieście i domagali się dymisji burmistrza.

Dość wcześnie ustalono rysopis zabójczynie, bo czujna para ludzi filmujących się nawzajem smartfonami uwieczniła jej ucieczkę boczną uliczką. Nie próbowano nawet wyjaśnić, dlaczego nikt nie rzucił się w pościg za tą osobą. Mówiono, że ludzie byli zszokowani. Teoretyk współczesności i filozof stwierdził w telewizyjnym programie Aftenshowet, że to znamienne dla naszych czasów, iż większość ludzi, nawet w stanie szoku, skwapliwie sięgnie po ukochany telefon i zacznie nagrywać.

Bente Hansen poinformowała, że analizie poddawane są nagrania z kamer monitoringu, zainstalowanych mniej lub bardziej legalnie w okolicznych sklepach. Ich celem jest ustalenie, dokąd kobieta udała się po dokonaniu zabójstwa. Jedno z nagrań uwieczniło moment, w którym zabójczynie zaraz po popełnieniu zbrodni wymiotuje na chodnik bocznej uliczki.

– Sprawdzamy skład jej wymiocin i próbujemy ustalić jej profil DNA.

Dziennikarze zaczęli się przekrzykiwać. Jak sprawdza się skład wymiocin i do czego może być potrzebny? Może zwymiotowała z powodu szoku wywołanego swoim czynem? Czy to znaczy, że działała w afekcie lub że nigdy nie dopuściła się równie brutalnego przestępstwa?

– Mam nadzieję co do tego ostatniego – wykaszła Bente Hansen.

I tak minął dzień.

– Niestety Bente Hansen wyszedł pozytywny test na covid, Carl, więc wielu z nas musi udać się na kwarantannę – powiedział szef Wydziału Zabójstw z troską wypisaną na twarzy. – Pewnie będę musiał wysłać większość z was, pracujących na tym piętrze, do domu na izolację.

– Coś podobnego! Przecież ani moi ludzie, ani ja od wieków nie przebywaliśmy w pobliżu Bente czy też jej zespołu. Jeśli chodzi o mnie, to nie kontaktowałem się też z nikim innym z wydziału, więc dlaczego miałbym iść na kwarantannę?

Carl starał się nie pokazywać po sobie, jaką frajdę sprawia mu możliwość wypowiedzenia tych słów. Ani myślał dawać się zamykać.

– Jesteś pewien, że nie masz gorączki?

Carl dotknął czoła. Pomarszczone i tłustawe, ale nie gorące.

– A reszta zespołu? Jednak dobrze się stało, że połowę z was wysłałem do domu.

Carl wzruszył ramionami. Nie ma sensu wspominać, że Gordon wrócił. Kto, do licha, w ogóle patrzy, kto się poci, a kto nie?

– Pewnie znasz sprawę, nad którą aktualnie pracuje Bente Hansen? – spytał Marcus.

– Chodzi o tę kobietę, która nadziała się na złamaną metalową rurę?

Marcus kiwnął głową.

– To dziwne, ale ofiara, Tabita Engstrøm, zaledwie na godzinę przed śmiercią została wypuszczona na wolność po przesłuchaniu wstępnym. Na podstawie licznych nagrań ze sklepowych kamer monitoringu można stwierdzić, że morderczyni śledziła ją z małej odległości od samego budynku sądu aż do miejsca zdarzenia.

– Została zidentyfikowana?

– Tak, dziś rano. Rozpoznała ją właścicielka sklepu z ubraniami na wideo nagrany przez młodą kobietę z Amager, którego fragment pokazywały TV2 News i DR Nyheder. To właśnie właścicielka butiku sprzedała kobiecie płaszcz. Z kolei obsługa piekarni zlokalizowanej w pobliżu jej miejsca zamieszkania potwierdziła, że tego samego dnia zabójczyni kupiła u nich pączka, płacąc kartą kredytową, co potwierdzają oględziny jej wymiocin. Został dosłownie połknięty w pięciu kęsach i prawie niestrawiony.

Carl skinął głową; doskonale znał ten rodzaj chrapki na coś słodkiego.

– Nasi koledzy przez cały dzień szukali tej Ragnhild Bengtsen, bo tak nazywa się morderczyni, ale ta jakby zapadła się pod ziemię. Mamy sygnał, że widziano ją w pobliżu dzielnicy willowej nieopodal Carlsberga, ale nie ma pewności. Kobieta, która zadzwoniła ze zgłoszeniem, nie brzmiała zbyt przekonująco, bo nie potrafiła opisać stroju rzekomej morderczyni, nie była też pewna godziny ani kierunku, w którym tamta się udała. Poza tym brakuje nam ludzi do pracy nad tą sprawą.

– To nie może być prawda! – wybuchnęła Rose, kręcąc się z irytacją na fotelu. – Marcus chce, byśmy zarzucili robotę nad tym, czym się właśnie zajmujemy? Przecież to prawie jego własna sprawa.

– Tak, ale chwilowo została zepchnięta na boczny tor. Bente Hansen zachorowała, jej zespół wysłano do domu, więc w tym momencie Marcus nie ma kim obsadzić sprawy Ragnhild Bengtsen. Prasa i mieszkańcy Amager głośno domagają się działania, wszyscy się tym nakręcili, więc Marcus musiał wyznaczyć do zadania nowych ludzi. Padło na nas.

– To jakieś szaleństwo! Przecież to nie jest zadanie dla Departamentu Q.

– Zgoda. Próbowałem mu to uzmysłwić, ale się zaparł – powiedział Carl, po czym zwrócił się do Gordona: – Jakie fakty wyszukałeś dla nas o tej nowej sprawie?

– Że Ragnhild Bengtsen ma trzydzieści trzy lata, jest urzędniczką w Banedanmark, rozwiedziona, bezdzietna, przez jakiś czas pozostawała w związku z kolegą z pracy. Po dokonaniu zabójstwa zniknęła bez śladu. Poza tym nic więcej nie wiem.

W drzwiach rozległo się chrząknięcie. Stał w nich Assad w wyjątkowo pogniecionym ubraniu, z włosami sterczącymi we wszystkie strony i z nosem na kwintę.

– Nie mogłem wytrzymać w domu – oznajmił.

Opowiedziano mu pokrótce o ostatnich dyrektywach szefa Wydziału Zabójstw i o faktach na temat nowej sprawy.

Carl skinął głową.

– Dobrze, Gordon, a co z przeszukaniem jej miejsca zamieszkania?

– Zespół Bente Hansen nie zdążył go zrobić, ale mam tu nakaz przeszukania.

– No to jedziemy. Rose, ty zostajesz, a mężczyźni z Departamentu Q biorą na siebie ryzyko wkroczenia między ludzi.

Zaśmiał się, w przeciwieństwie do Rose. Czyli ona też się z nimi wybiera.

– Co mówi o trasie jej przemieszczania się Sekcja do spraw Danych Teleinformatycznych? – spytała.

– Kobieta nie miała przy sobie telefonu, może w ogóle go nie posiada, nie wiem.

Carl westchnął.

– Musimy skorzystać z każdego istniejącego narzędzia, by ustalić jej poczynania. Naszym celem jest znalezienie jej i ustalenie motywu zbrodni, inaczej nie ruszymy z miejsca.

Rose spojrzała na Gordona; chyba przez ostatnie dni nie zaglądała do gazet.

– Kim była ofiara Ragnhild Bengtsen?

– To trzydziestoczteroletnia kobieta, Tabita Engstrøm, dopiero co wypuszczona z aresztu. Poprzedniego dnia wielu świadków widziało, jak rzekomo z pełnym rozmysłem wypuściła z rąk torbę, którą szarpał złodziej, tak że ten wpadł na jezdnię

na wysokości Østerport Station i został przejechany przez ciężarówkę. Mam tutaj raport.

Pokazał jej fotkę oskarżonej, a potem zdjęcie zwłok złodzieja. Ciało było tak pokiereszowane, że trudno było odróżnić, co jest czym.

– Okej, słyszałam o tym wypadku w radiu. Aż chce się powiedzieć „biedny złodziej”.

Wystrój mieszkania Ragnhild Bengtsen świadczył dobitnie o tym, że z nikim nie mieszkała, a już na pewno nie z mężczyzną. Bo kto, u licha, odnalazłby się w dwóch miniaturowych pokoikach, gdzie każdą ścianę pomalowano identyczną różową farbą i gdzie wszystkie płaszczyzny ozdobiono plakatami na wpół rozebranych aktorów filmowych w swojej szczytowej formie?

– O rety – jęknęła Rose, ukradkiem omiatając wzrokiem masę mięśniową Arnolda Schwarzeneggera, Sylvestra Stallone’a, Jasona Stathama, Bruce’a Willisa, Willa Smitha, Clinta Eastwooda i co najmniej trzydziestu innych, spośród których Carl rozpoznawał najwyżej jedną trzecią.

– Zgoda, kto by się tego spodziewał – burknął. – I jakie z tego płyną wnioski?

– Że specyficzna z niej pani. – Assad stał w bezruchu, mierzwiąc dwudniowy zarost.

– Na pewno nie poleciałyby na żadnego z nas.

– Właśnie, nie ma tu mięczaków zlewających się z tapetą. – Rose skinęła głową z pewną uciechą. – Ale wybór tych plakatów jest szczególny, nie widzicie?

Trzej panowie zmarszczyli czoła. Nad czym się tu zastanawiać? Chyba tylko nad tym, co hormony i suplementy proteinowe potrafią zrobić z męską anatomią.

– Tak – ciągnęła Rose. – Oczywiście wszystkie plakaty zostały wzięte z filmów akcji, ale na przykład te z Arnoldem Schwarzeneggerem nie pochodzą z Terminatora, gdzie grał rolę czarnego charakteru. Natomiast w Predatorze nie, więc wszystkie plakaty, które widzimy, pokazują najznamienszych bohaterów w historii filmów akcji. Spójrzcie, ile tu plakatów Bruce’a Willisa ze Szklanej pułapki. – Uśmiechnęła się. – Lokatorka tego mieszkania wyznaje skuteczność w działaniu i politykę no bullshit. Zapewne nie obawia się też pochwałać samosądu. Carl, zrób kilka zdjęć i pokaż je Monie. Myślę, że przyzna mi rację.

Mørck skinął głową.

– Dobrze, ale posłuchajcie mnie uważnie. Przeszukania nie są naszą specjalnością, więc kiedy już się do tego weźmiemy, pamiętajcie o złotych regułach rewizji! Broń Boże nie zdejmujcie gumowych rękawiczek i ochraniaczy na obuwie, bądźcie przez cały czas świadomi tego, co robicie, i miejcie oczy szeroko otwarte, bo nie wiemy, czego szukamy. Musicie być metodyczni do bólu i nie wolno wam zniszczyć niczego, co może stanowić ślad. To co, bierzemy się do roboty?

Ragnhild Bengtsen okazała się wyjątkowo uporządkowaną osobą. Zawartość szuflad była posegregowana: zeznania do skarbówki na jednej kupce, dokumenty ubezpieczeniowe na drugiej, wyciągi bankowe na trzeciej. Jej pamiątki z czasów skautingu i krótkiej przynależności do drużyny piłki ręcznej leżały razem z kilkoma listami od koleżanki korespondencyjnej z Møgeltønder i zbłąkanymi szkicami ołówkiem z miejsc, które odwiedziła, chodząc do szkoły. Nie było tu niczego, co wskazywałoby na szczególne talenty czy odbiegające od normy oceny. Zdjęcie na regale, zrobione przy jakiejś świątecznej okazji, też niczego podobnego nie sugerowało. Ot uśmiechnięta, miła młoda Dunka.

Rose wykazywała największy sceptycyzm.

– Musi się tu przecież znajdować coś, co nam może podpowiedzieć, czym się to szurnięte babsko kierowało – powiedziała, chwytając za parapety, by sprawdzić, czy nie są obluźnione i czy nic się pod nimi nie kryje.

– Nie czytała książek, bo nie ma tu ani jednej. – Takie rzeczy Gordon dostrzegał od razu.

– Ma tu gdzieś potwierdzenie posiadania skrytki bankowej? – spytała Rose.

Gordon machnął ręką, zbywając ją.

– Wiemy, czy jest tu piwnica lub strych? – spytał Assad.

Carl westchnął.

– Czyli musimy znów tu przywlec dozorcę. Assad, zadzwoń do niego, proszę.

Kudłacz kiwnął głową.

– Spójrzcie tutaj! – krzyknęła Rose.

Carl i Gordon podeszli do krótszej ściany sypialni.

– Tu powiesiła sobie wygodnie telewizor płaskoekranowy, ale nie jest podłączony do usług streamingowych ani satelity. Zdaniem dozorczy ma pakiet oferowany przez wspólnotę mieszkaniową, czyli tylko kanały stacji DR i TV2 oraz kilka innych. – Rose włączyła telewizor, by dowieść swoich racji.

– Tak, ale za to ma kilkaset filmów na DVD – zauważył Gordon.

Rose skinęła głową.

– Owszem, a jakie tytuły!

Carl nie miał zielonego pojęcia o filmach, więc wpatrywał się tylko w TV2 News na ekranie telewizora, gdzie praktycznie zajmowano się jedynie nowymi obostrzeniami covidowymi. W naprawdę wielu krajach niedobrze to wyglądało. Morderstwo na Amager zeszło już na dalszy plan, ale jak tu, do licha, konkurować z całą pandemią?

– Wszystkie to filmy akcji – skonstatował Gordon.

– Tak, ale tematy, Gordon! – entuzjasmowała się Rose. – Zwróć na nie uwagę.



– Yyy, niewiele z nich widziałem. Tam, skąd pochodzę, te filmy najwyraźniej nie są na topie.

– Okej, ale tu masz Charlesa Bronsona w Życzeniu śmierci, Bruce’a Willisa w remake’u tego samego filmu, trzy części Urowadzonej z Liamem Neesonem, Vigga Mortensena we Wschodnich obietnicach, Michaela Caine’a w Harrym Brownie, a to tylko kilka z nich. I wszystkie bez wyjątku skupiają się na temacie samosądu i zemsty.

Carl rozumiał, do czego Rose zmierza.

– Czyli ta pani leżała sobie w łóżku, mile spędzając czas z panami, którzy biorą sprawy w swoje ręce.

– Tak, i paniami. – Wskazała na półkę, na której leżały między innymi filmy Odważna z Jodie Foster i Monster z Charlize Theron.

– Kilka płyt nie znajduje się w oryginalnych pudełkach – stwierdził Carl. – Zabierzemy je ze sobą, ale uwaga na odciski palców. W takich plastikowych opakowaniach może się kryć wiele sekretów.

– Wiemy, czy Ragnhild Bengtsen w jakimś momencie zgłosiła napaść na siebie? – spytała Rose.

– Chodzi ci o gwałt? Nie, nie zgłosiła. Po raz pierwszy pojawia się w annałach policji w związku z zabójstwem Tabity Engstrøm – odparł Gordon.

Półtorej godziny temu wiedzieli niewiele więcej. Wszyscy zdążyli się napracować, w szczególności zaś Rose, która wręcz przeryła ewentualne schowki w całym mieszkaniu. Szukała szwów w materacach, obróciła kanapę do góry nogami, odsunęła dywany, przetrzepała poduszki, zaglądała na czworakach pod stół i biurko, wyciągała szuflady i przyjrzała się tylnym ściankom komód i szafek.

Sfrustrowana, klęła przez całą drogę do piwnicy Ragnhild Bengtsen, gdzie czekał już dozorca. Podobnie jak w przypadku mieszkania kobiety, niewiele tu wskórali. Carl jeszcze nigdy nie widział podobnej piwnicy, w której wszystko starannie poustawiano na półkach, a nawet wyraźnie oznaczono zawartość pudeł i segregatorów. Poza tym panowała tu tak nienaganna czystość, że można by jeść bezpośrednio z podłogi.

Rose spojrzała na czubek palca, którym właśnie przejechała po jednej z półek.

– Taki tu porządek, że musiała niedawno zrobić czystkę.

– Czystkę? – zdziwił się Assad.

– No, dała z siebie wszystko, Assad – wyjaśnił Carl, ale chyba niewiele to pomogło.

Dozorca skinął głową.

– Tak, rzeczywiście była tu w zeszłym tygodniu. Zdaje się, że we wtorek, bo następnego dnia rano wystawiałem pojemniki z odpadami do wywózki.

Carl spojrzął za siebie na słabo oświetlony, piwniczny korytarz. Rzeczywiście, stały tam rzędem zielone pojemniki na śmieci.

– Powiada pan, że są opróżniane w środy, hm. Czyli raczej niczego tu nie znajdziemy, przyjaciele – ciągnął Carl. – Jeśli było tu coś, co mogłoby ją zdradzić, to wrzuciła to do śmietnika, a nasz pan dozorca bezwiednie pomógł jej zawieźć dowody do spalarni. Bądźmy szczerzy, zjawiliśmy się dwa dni za późno.

Piątek, 11 grudnia 2020

CARL

Naga kobieta wyglądała tak, jakby dopiero niedawno straciła życie; jej ciało mogło przebywać w ziemi najwyżej dzień lub dwa. Zwłoki były tak zmasakrowane, że ustalenie tożsamości denatki będzie trudne, ale Marcus Jacobsen i Carl Mørck mieli uzasadnione podejrzenie, kim jest. W każdym razie wzrost i wiek się zgadzały.

„Nieupoważnionym wstęp wzbroniony” – głosił przez wiele lat napis na drucie kolczastym wokół działki. Kilku młodych chłopaków ze wsi na południe od Arresø go od dawna ignorowało, traktując to miejsce jak azyl, gdzie można zapalić trawkę i się powygłupiać.

– Mieliśmy szczęście, że te dzieciaki okazały się takie ciekawskie. – Marcus zerknął na szosę, oddaloną na tyle, by gwarantować intymność. – Gdyby nie to, ta kryjówka byłaby idealna.

– Dlaczego ci chłopcy w ogóle zaczęli tu kopać? – spytał Carl.

– Zauważyli świeżą, ciemną ziemię między chwastami i byli przekonani, że to sprawka rockersów z sąsiedniego miasteczka. Że poprzedniej nocy zakopali w ziemi broń, narkotyki lub pieniądze i uznali, że cały ten towar trzeba jak najszybciej upłynnić.

– Rozumiem. Musieli doznać szoku – stwierdził Carl, z pewnej odległości fotografując zwłoki komórką, by nie wchodzić w paradę technikom pracującym w mocnym świetle reflektora.

Widok nie należał do najpiękniejszych; Carl nigdy się nie przyzwyczyił do brutalności, jakiej dopuszczali się niektórzy ludzie. Czubki palców kobiety odrąbano tuż przy górnych palczkach, wyrwano jej też wszystkie zęby. Twarz zmiażdżono tępym narzędziem, a wnioskując z głębokich dziur w czaszce, ofiara musiała zostać zaatakowana ciężkim młotkiem o kanciastej główce, prawdopodobnie ciesielskim.

– Szoku, powiadasz. Tak, na pewno. W każdym razie dwóch z nich siedzi teraz u miejscowego psychologa.

Marcus przywołał gestem jednego z techników.

– Cóż, przykro mi, ale ta młodzież tak tu wszystko rozgrzebała i nabałaganiła, że nie udało nam się znaleźć nienaruszonych odcisków butów ani ewentualnych śladów

kół czy śladów wleczenia zwłok – stwierdził sucho. – W samym grobie nie znaleźliśmy też nic oprócz ciała.

Carl westchnął.

– Wiesz, do kogo należy ten grunt? – spytał kolegę z oddziału policji z północnej Zelandii.

– Tak, do gminy Hillerød. Początkowo przeznaczony był pod działalność przemysłową, ale przez ostatnich dziesięć lat przekładano realizację tych planów. Myślę, że raz na jakiś czas przyjeżdżało kilku robotników zatrudnianych przez gminę, by skosić trawę i chwasty. Oczywiście w ciemności trudno coś zobaczyć, ale wygląda na to, że ostatnim razem byli tu już dość dawno temu.

– Kiedy dokładnie ci chłopcy znaleźli ciało?

– Dobrą godzinę temu, o szesnastej dwadzieścia – odparł kolega.

– A kiedy zostało zakopane? – spytał Carl technika. – Jak pan ocenia?

– Maksymalnie przed dwudziestoma czterema godzinami.

– Okej. O której wczoraj zaszło słońce?

– Tak jak dziś, mniej więcej za dwadzieścia czwarta.

Carl zwrócił się do Marcusa:

– O ile nie wypłyną inne informacje, obstawiam, że zwłoki zakopano tuż po zapadnięciu zmroku. Pewnie powinniśmy też założyć, że ci, którzy je tu przywieźli, znali tę działkę dość dobrze i wiedzieli, gdzie kopać.

– Chodzi ci o to, że mogli przekalkulować, kiedy rozpoczną się prace nad stawianiem fundamentów ewentualnego budynku i że ryzyko, iż nastąpi to tuż przy płocie, jest znikome.

Carl skinął głową.

– Owszem. Jeśli tak właśnie jest, to moim zdaniem sensownie by było jeszcze trochę pokopać. Bo przecież można pomyśleć, że już tu w podobnym celu bywali, prawda?

Powróciwszy na komendę, Carl usiadł i przez chwilę przeglądał w telefonie zdjęcia tego, co prawdopodobnie było zwłokami Ragnhild Bengtsen. Kontrast między wizerunkiem uśmiechniętej kobiety na zdjęciu zabranym z jej mieszkania i tego udręczonego, nagiego i zabrudzonego ciała był porażający.

Carl wyjął papierosa i przeturlał go w palcach. Ile już razy znajdował się w takiej sytuacji i żałował, że nie wybrał innej ścieżki życiowej? Gdzie się podział ów niewinny, pozytywnie nastawiony do życia chłopak z wiochy hen, na północy Danii? Gdzie jest ten niezepsuty mężczyzna, który kończył Szkołę Policyjną? I dlaczego przebywa tu późnym piątkowym wieczorem, podczas gdy wszyscy inni siedzą w domu na sofie przed telewizorem, mile spędzając czas z rodziną?

Zrobił głęboki wdech. Dobrze, że wkrótce wróci do domu i przytuli mocno swoją małą córeczkę.

Odłożył papierosa na stół, wstał z pewną trudnością i wszedł do gabinetu kolegów, by poinformować ich o dzisiejszym odkryciu. To imponujące, że nie czmychnęli do domu już wiele godzin temu.

– Posłuchajcie... – zdążył powiedzieć, nim Gordon odwrócił się od ekranów, w które się wpatrywał. – No to mamy wieści o iMacu Pallego Rasmussena. Informatycy z ITK nie mieli czasu, by nad nim popracować, więc wysłali go do NC3. Powtarzają to, co już wiemy, czyli że wszystko zostało z niego wyczyszczone i że w NC3 będą musieli odtworzyć pliki. Powiedzieli też, że to zupełnie normalna praktyka w przypadku komputerów z Christiansborga. Wtedy najczęściej zawartość dysku kasuje się i czyści, nim przekaże się sprzęt spadkobiercom. Te pliki mają związek z pracą i mogą mieć charakter poufny, prosta sprawa, jak stwierdzili.

Carl zmarszczył czoło. Jasna cholera, nie przyszło mu do głowy, by dopytać o to sekretarkę Pallego Rasmussena, Verę Petersen. Uniósł wzrok na Gordona. Czyżby cieszył się, że prace nad iMakiem jeszcze potrwają?

– ITK, NC3, zwariować można od tych skrótów – burknął Assad. – Trzeba by mieć w głowie cały leksykon. W SMS-ach pisze się „BTW”, „ZW”, „IDK” i ciągle pojawiają się nowe. Jak człowiek rozmawia z ludźmi biznesu, to ma do czynienia z CEO, CCO, CPO, CIO i innymi tego typu bredniami. Pies grzebał te wszystkie skrócenia tu w policji.

– Pies grzebał? Assad, mówi się „pies drapał te wszystkie skrótownice” – odparował Gordon. – A nawiasem mówiąc, NC3 to skrót od NCCC, który z kolei jest akronimem National Cyber Crime Center przy Komendzie Głównej Policji. Na przyszłość będziesz wiedział!

– Aha. Ale w takim razie powinno się to nazywać NCCCPKGP. Przynajmniej człowiek miałby szansę. – Assad wydał dolną wargę. – Ale nieważne. W każdym razie chcę, by od teraz na mojej wizytówce wpisano BAI03IDMZ.

– Okej. Moim zdaniem niezbyt łatwo to zapamiętać – odparł Gordon.

Carl spojrział na zegarek. Jeszcze dwadzieścia minut i spada.

– Czyli kiedy można się spodziewać odzyskania zawartości tego laptopa? – przerwał im.

– Spojrzą na niego jutro, więc zapewne dostaną się do niego dziesięć po ósmej rano.

– W sobotę! No proszę. Czyli oni też pracują przez cały wieczór?

– Nie, zabiorą się do tego dopiero jutro.

– Aha, a kiedy przychodzi do pracy ekipa weekendowa?

– O ósmej. Mówią, że załatwią to w dziesięć minut. – Gordon próbował zmusić się do uśmiechu. Nie było po co. – A co się kryje za BAIO3IDMZ? – spytał Assada.

– Brudny Arab i ojciec trójki, i dość mocno zmęczony, a co ma się kryć?

Carl zrobił głęboki wdech. Poczucie, że wzywa go ómnik leżący na biurku, stawało się coraz bardziej natarczywe.

– Gordon, czemu się uśmiechasz? – spytała Rose i nie czekając na odpowiedź, weszła do gabinetu i położyła na swoim biurku mały kartonik. – Dzwoniłam do Szpitala Królewskiego i rozmawiałam z Bente Hansen.

– Okej, o czym? – spytał Carl.

– A nie zapytasz najpierw, jak ona się czuje? Gdzie twoja empatia?

Mørck westchnął.

– No to jak się czuje?

– Prawdę mówiąc, jest ciężko chora. Obawiam się, że nie będziemy mieli okazji więcej z nią porozmawiać, jeśli nie przeniosą jej na OIOM. Praktycznie nie mogła złapać tchu.

– Halo, pani Draculo, wystarczy! Bardzo lubię Bente, więc oczywiście przykro mi to słyszeć.

Rose skinęła głową; komunikat przyjęty.

– I co udało ci się od niej wyciągnąć?

– Nie poinformowano jej, że przekazano nam te dwie sprawy z Ragnhild Bengtsen i Tabitą Engstrøm. Wyczułam, że trochę ją to wkurzyło, ale i tak mi powiedziała, bym się skontaktowała z kolegą z jej zespołu, Manfredem, który obecnie jest na kwarantannie i pracuje z domu.

– I zrobiłaś to?

– Za kogo ty mnie masz? Owszem, powiedział mi, że zamordowana Tabita Engstrøm dość często pisała hejterskie komentarze w mediach społecznościowych.

– Aha. Ale to z reguły samo z siebie nie jest przestępstwem – zauważył Carl.

– Tyle że w jej przypadku chodziło o grożenie śmiercią i unicestwieniem ludziom, którzy nie zachowywali się jak należy.

– Poproszę o przykład!

– Kobiety zostawiające swoje dzieci w wózkach w miejscach publicznych zasługują na to, by im te dzieci porwano.

– Kilka lat temu była, zdaje się, taka sprawa w Nowym Jorku, że zaaresztowano taką matkę? – spytał Gordon. – Nawiasem mówiąc, była Dunką.

Rose skinęła głową.

– Owszem, sprawę nazwano „The Pramcase”. Kilka lat temu ta matka napisała o tym książkę.

– Co jeszcze? – przerwał Carl.

– Wszystkim, którzy spluwali na ulicę, należało tak długo szorować tą flegmą twarz, aż skóra by z niej zlazła.

– Okej, widzę, że babka jest dość bezkompromisowa. Sądysz, że ona nie tylko pisała o tego typu napaściach, ale też je praktykowała?

– Zdecydowanie tak. I to dość regularnie.

– Aż wreszcie na Østerbro przereagowała.

– Właśnie. Po zabójstwie Tabity Engstrøm zespół Bente Hansen uzyskał pozwolenie na przeszukanie jej mieszkania. Niestety nie zdążyli przyjrzeć się przedmiotom, które ze sobą zabrali, bo wylądowali na kwarantannie. Słyszałam, że Bente Hansen źle się poczuła na parkingu, zaraz po rewizji. – Rose pchnęła w jego stronę pudełko. – Manfred powiedział mi, w którym miejscu w biurze znajduje się ten kartonik, więc go stamtąd zabrałam. Stwierdził, że po powrocie do pracy w pierwszej kolejności chce przejrzeć jego zawartość, więc oczywiście i ja to zrobiłam.

Wyjęła z pudełka oprawiony notes, otworzyła na pierwszej stronie i przeczytała na głos:

DZIENNIK POKŁADOWY, Tabita Engstrøm, marzec 2018

1) Przywódczyni grupy: Debora, ok. 50 lat

2) Szeregowie członkinie grupy: Sara, ok. 35, Marta, zbliżony wiek. Ja sama noszę w grupie imię Ewa.

3) Motto grupy brzmi:

„Można nazwać to samosądem, ale można też należną przezornością, bo za każdym razem świat staje się lepszy”.

Rose uniosła głowę i spojrzała na pozostałych.

– Na kolejnych trzech stronach znajdują się wyliczanka i dokumentacja sześćdziesięciu pięciu epizodów, do których doszło w latach od dwa tysiące osiemnaście do dwa tysiące dwadzieścia za sprawą Tabity. W mojej ocenie dość chamskie wybryki, więc obwinianie jej o przebieg wypadku na Østerport z pewnością ma rację bytu. Z pełną premedytacją przyczyniła się do śmierci tego złodzieja.

– Ten zeszyt to czyste złoto – stwierdził Assad. – Czy w którymś miejscu wspomina o Ragnhild Bengtsen? Była członkinią tej grupy?

– Nie. Ale Tabitę nazywano Ewą, więc imiona niewiele nam powiedzą. Mogła nią być jedna z dwóch wspomnianych wcześniej, nie wiemy.

– Czyli rozumiem, że notesu nie przedstawiono w sądzie, skoro Tabitę wypuszczono po wstępnym przesłuchaniu – stwierdził Carl.

– Nieee, przeszukanie mieszkania Tabity Engstrøm przeprowadzono przecież dopiero po jej śmierci. Ekipa Bente Hansen chciała przede wszystkim się przekonać,

czy uda im się ustalić jakiś związek z kobietą, która ją zabiła.

– Oczywiście wszyscy wnikliwie zapoznamy się z treścią tego notesu, ale wymieniam kilka epizodów, które w nim opisała – poprosił Carl.

– Dobra. Nie licząc zabójstwa na Østerbro, najbardziej brutalnym zajściem była napaść na ulicy na młodego mężczyznę, którego zaatakowała pękem kluczy. Z kluczami wystającymi spomiędzy palców uderzyła go w szyję, bo jej zdaniem zawołał coś przykrego za niepełnosprawną kobietą. Sprawdziłam tę sprawę po dacie i wiem, że gość musiał przejść wiele operacji i dziś ma trudności z mówieniem.

– I nie znalazła się w kręgu podejrzanych?

– Nie, wymigała się we wszystkich tych sprawach, oprócz ostatniej.

– Czy w notესie widnieją jakieś informacje o pozostałych trzech wspomnianych kobietach? Deborze, Marcie i tej ostatniej, jak ona miała na imię?

– Sara. Nie, nic nie ma. Tabita pisze o nich tylko na pierwszej stronie.

– Trudno domyślić się celu istnienia tej grupy, ale jak myślicie, o co w tym wszystkim chodziło? – spytał Gordon. – Bo na pewno nie był to klub książkowy ani kulinarny.

– Jakiej hipotezy? – spytał Carl.

– Z pewnością był to klub, z którym lepiej byłoby nie zadzierać – oświadczyła Rose. Assad zmarszczył czoło.

– Na Litwie natknęliśmy się kiedyś na skrajnie agresywną grupę odwetową napadającą na ludzi, którzy przed upadkiem muru pracowali dla rosyjskiego wywiadu. Może to coś podobnego?

Rose i Gordon kiwnęli głowami.

– Obejrzelście te nieoznaczone płyty DVD, które znaleźliśmy w mieszkaniu Ragnhild Bengtsen? – chciał wiedzieć Carl.

– Ta-ak, właśnie nad nimi siedzę – odpowiedział Gordon. – Widzę, że na wszystkich trzech są jakieś dane, ale jeszcze niczego nie znalazłem. Dwie płyty są właśnie odtwarzane. – Dryblas wskazał na dwa czarne ekrany za swoimi plecami; wyglądały na wyłączone.

– Nie możesz ich trochę przyspieszyć? – spytał Carl.

Gordon potaknął.

– Właśnie miałem to zrobić. – Włączył przycisk „forward” na obu odtwarzaczach.

– To posłuchajcie, czego wcześniej nie zdążyłem wam powiedzieć. Marcus i ja byliśmy w Skævinge. Dostaliśmy cynk od miejscowej policji i okazało się, że...

Spojrzeli na ekrany; na jednym z nich czarny obraz ustąpił miejsca śnieżeniu, a następnie zamigotało na nim kilka krótkich klipów wideo.

– Hej, Gordon, cofnij! – krzyknęli chórem Rose i Carl.



Na ekranie znów na chwilę pojawił się śnieg, po którym nastąpiło kilka migawek z amerykańskiego programu telewizyjnego.

– Znam ten program – stwierdził Gordon. – Jest dość dziwny. Pokazują w nim wyłącznie filmiki, na których ludzie głupio się zachowują i często robią sobie krzywdę, a prowadzący program i jego goście mają z tego ubaw. Nazywa się Ridiculousness.

Na drugim ekranie obraz też zaczął migać, podczas gdy na pierwszym widać było ludzi upadających nad brzegiem basenu lub wjeżdżających skuterem wodnym na brzeg tak, że kierujący o mało nie skręcili sobie karku. Potem na ekranie numer dwa też pojawił się obraz.

– Gordon, to też znasz? – spytał Carl, wskazując głową na ekran.

– Tak się składa, że znam. Znam nawet ten odcinek. Ten gość to Johnny Knoxville z bardzo znanego serialu pod tytułem Jackass, w którym uczestnicy przez cały czas doznają poważnych urazów. W tym odcinku Knoxville robi mnóstwo idiotycznych, odjechanych rzeczy: psika sobie w oczy gazem pieprzowym, zostaje porażony paralizatorem. We fragmencie, który oglądamy, zostaje ugryziony w sutek przez małego krokodyla, a chwilę potem jego samochód torpeduje inne auto. Totalne wariactwo.

Carl prychnął przez dobrą chwilę.

– Dlaczego, do licha, Ragnhild Bengtsen to kręciło i dlaczego ukrywa te nagrania na samym końcu DVD, poprzedziwszy je czarnym ekranem? Dostęp do tych programów jest chyba zupełnie bezproblemowy, jakkolwiek byłyby zwariowane?

Assad podsunął mu szklankę herbaty.

– Prawie bez cukru – zapewnił i wskazał na ekran. – Myślę, że ona chciała coś zatuszować.

Ściskając szklankę, Carl odwrócił się ponownie do ekranów.

– O cholera, a fuj – jęknął Gordon, co Mørck dobrze rozumiał.

Na obu ekranach miejsce seriali zajęły nagrania, których w żadnym wypadku nie można by określić jako nieszkodliwe. Na jednym z nich wyświetlały się serie groźnych wypadków, na drugim ekranie zaś autentyczne nagrania brutalnych napaści i zabójstw. Były wprawdzie niewyraźne, ale nie ulegało wątpliwości, co się na nich dzieje. Migawki napaści grupowych z pałkami, mężczyźni atakujący innych od tyłu i dźgający ich nożem, strzały w tłum, masakry w liceach, nieadekwatnie brutalne zachowania policji.

– Gordon, wyłącz to gównno – poprosiła Rose.

Assad milczał; gdzie teraz błądził myślami?

– Okej, oto dowód na to, że Ragnhild Bengtsen miała nierówno pod deklek – ciągnęła Rose.

– Co, do diabła, ją ciągnęło do kolekcjonowania takiego badziewia? – Gordon był biały jak płótno.

– Myślę o jej plakatach z filmami, których bohaterowie regularnie brali sprawy w swoje ręce. I choć te nagrania są brutalniejsze, to zasadniczo ich tematyka jest taka sama, bo dotyczy samosądu – powiedziała Rose. – Teraz znalazła się na etapie, na którym sama się go dopuszcza, i to w skrajnym wydaniu, podobnie zresztą jak Tabita. Tylko co je ze sobą łączy? Musi nam odpowiedzieć na to pytanie, gdy już ją wytropimy.

Carl skinął głową i wziął łyk z kubka. Kilka razy odchrząknął, próbując opanować odruch kasłania. Parokrotnie przełknął ślinę, znów odchrząknął i wtedy wybuchnął niepohamowanym kaszlem. Postukali go w plecy, ale to tylko pogorszyło sprawę. Dopiero po kilku minutach mógł złapać dech i spojrzał na Assada mokrymi oczami.

– Uch, Assad, chyba jednak wołę z cukrem. Co ty zrobiłeś z tą herbatą?

– Dodałem tylko troszkę imbiru. Bierze się całe kłaczce, wkłada do dzbanka z herbatą i zostawia na godzinę, by naciągnęła. Potem podgrzewa się ją jeszcze raz i wychodzi pyszna.

Carl skinął głową.

– Dobrze, ale następnym razem bądź tak miły i uprzedź mnie zawczasu. – Następnie Mørck zwrócił się do Rose: – Tak, dobrze by było, jakby Ragnhild Bengtsen odpowiedziała na to pytanie, ale raczej nie da rady.

– Dlaczego? – spytał Gordon jako pierwszy.

Carl odszukał w komórce zdjęcie zmasakrowanych zwłok i podał ją Gordonowi.

– Dlatego! – powiedział i zauważył, że z twarzy kolegi odpłynęły resztki kolorów.

Sobota, 12 grudnia 2020

## MAURITS

Jeszcze przed ukończeniem trzydziestu lat Maurits van Bierbek dorobił się niemałej fortuny na produkowaniu telewizyjnych reality show. Zaczynał jako szeregowy pracownik odpowiedzialny za castingi, potem został scenarzystą i wreszcie, kiedy założył własną firmę Unbelievable Corporation, został pomysłodawcą i producentem szerokiej gamy reality show, budzących u większości ludzi zgorszenie.

Sposób zarobkowania nie powodował jednak u Mauritsa skrupułów moralnych. Skoro istnieją stacje telewizyjne zainteresowane inwestowaniem w jego produkcje, to w czym problem? Jego katolicka rodzina z Rotterdamu oczywiście się żołądkowała i chętnie wrzuciłaby go do czyścica, ale skutecznie sobie z tym poradził, zrywając z nimi wszelkie kontakty i przeprowadzając się do Danii. Choć tak naprawdę Mauritsowi było wszystko jedno.

Jego życie zawodowe nie przeszkadzało też drugiej żonie, Victorii, z którą poznał się na planie podczas nagrań jednego z jego pierwszych programów, Cztery pokoje w hotelu. Victoria nie miała wtedy najmniejszego problemu z otwartym demonstrowaniem tego, co jej płeć potrafi zrobić z mężczyznami. Nie, jego małżonka i córki po prostu się cieszyły ze stałego dopływu pieniędzy i z domu w Gammel Holte, usytuowanego w pobliżu torów jeździeckich. Tu miały ubrane w kaszmiry, wysportowane koleżanki, prywatny kryty basen i kino domowe w piwnicy. Czego jeszcze można żądać?

Zdarzały się okresy, kiedy po głowie Mauritsa plątało się tyle pomysłów na reality show, że wręcz go rozpierało. Nic więc dziwnego, że tworzenie co roku nowego programu drenowało go z sił, a zarazem podbudowywało. Sukces był niepodważalny i pozwalał spokojnie stwierdzić, że jego wysiłki przynoszą owoce. A gdy Co zrobić z pijanym marynarzem? trafiło na szczyty rankingów telewizyjnych w dwudziestu pięciu krajach, Maurits stwierdził, że jego firma powinna rozpocząć starania, by stać się największym na świecie producentem reality show. Skoro po dziesięciu latach ten cel nie został jeszcze osiągnięty, mimo popularności programów takich jak na przykład Reality-prison, Kocice i podrostki, Kto następny na kozetkę?, Raj czy piekło, a ostatnio też Czy ona naprawdę tak powiedziała?, oznaczało to tylko dla Mauritsa, że jego najważniejsze reality show jeszcze nie powstało.

Dopiero gdy COVID-19 bezlitośnie pogrążył cały świat w marazmie, Mauritsowi zaświtał pomysł, który jak można się było spodziewać, powinien przebić dochody wszystkich spółek producenckich całego globu.

Nazywał się Kto umrze pierwszy?, a wybór odpowiednich grup ludzi był ogromny. Żołnierze wysyłani na wojnę. Śmiertelnie chorzy na oddziale onkologicznym. Cała dzielnica mieszkaniowa, gdzie ludzie egzystują w ciasnocie i biedzie, więc covid miał tam duże pole do popisu. W takiej serii można by z niewielkiej odległości śledzić tego rodzaju społeczność, napuszczać na siebie grupy uczestników lub ich bliskich, utrudniając życie tym najbardziej narażonym na śmierć. Gdyby tak dać ostatnim pięciu ocalańcom po pękatym worku pieniędzy na przyszłość, wówczas walka o przeżycie stałaby się wyjątkowo okrutna. Tym sposobem Unbelievable Corporation mogła z czasem tworzyć nowe tematy i grupy, a wszystkie łączyłaby reguła formatu opierająca się na tym, kto pierwszy umrze i w jakiej kolejności pozostali pójdą w jego ślady.

Im więcej Maurits rozmyślał nad tym konceptem, tym bardziej się doń zapalał.

To właśnie ten pomysł mógł zakasować wszystko, co dotąd zrobił: programy z udziałem rozwiązłych i zafiksowanych na autopromocji oraz własnych ciałach młodych mężczyzn i kobiet. Reality show, podczas których ludzie tatuowali sobie najbardziej prowokujące motywy w najbardziej prowokujący sposób i w najbardziej prowokujących miejscach. Show, w którym szło się na randkę na podstawie kryterium szybkiego numerka.

Ten program był po prostu czymś więcej, o wiele więcej.

Maurits pochwalił się w wywiadzie do gazety, że wpadł na fantastyczny pomysł reality show. Oświadczył też, że będzie to najbardziej prowokujący i szalony format, jaki kiedykolwiek zaistniał.

Zaledwie tydzień po udzieleniu wywiadu zadzwonił do niego przedstawiciel największej światowej sieci reality tv, Global Rea Inc. Podczas rozmowy wyraził zainteresowanie przejęciem jego firmy, o ile jego nowy pomysł to rzeczywiście prawda. Maurits ujawnił tytuł i krótko wyjaśnił reguły programu, nie zdradzając zbyt dużo. Wtedy złożono mu ofertę zakupu; kwota była tak astronomiczna, że wstrzymywał oddech jeszcze przez półtorej minuty po odłożeniu słuchawki.

Z tego powodu Maurits van Bierbek chętnie przystał na spotkanie. W najbliższą sobotę o dziesiątej miał zostać odebrany spod domu i zawieziony prosto do sali konferencyjnej na lotnisku, gdzie będzie czekał na niego przedstawiciel Global Rea Inc., by poznać szczegóły nowego konceptu.

Obiecano mu, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, list intencyjny będzie można podpisać od razu. Potem sprawą zajmą się prawnicy.

Za kierownicą lexusa, który przystanął z silnikiem na jałowym biegu przed jego willą, siedziała elegancka kobieta w nieskazitelnej garsonce.

– Panie van Bierbek, o tej porze dotarcie na lotnisko zajmie nam zapewne trzydzieści pięć, czterdzieści minut, więc zachęcam do umilenia sobie podróży. – Mówiła dialektem z Południa. – Zapewniliśmy w tym celu wyszukane napoje. Czekają na pana schłodzony dom pérignon, hernö gin, tonik i woda, kostki lodu, nie mówiąc już o stojących w lodówce klasycznym białym winie puligny-montrachet i absolutnie cudownym château la cabanne z Pomerolu. – Skinęła do niego we wstecznym lusterku. – Nasz przedstawiciel Global Rea Inc., mister Victor Page, który jest wicedyrektorem spółki, lubi beztroski nastrój podczas spotkania, więc może pan spokojnie się częstować. Jestem osobistą asystentką Victora Page’a. Polecono mi przeprowadzić wstępne rozeznanie dotyczące kroków, które Unbelievable Corporation zamierza podjąć w najbliższej przyszłości. Czy jest pan gotów podzielić się ze mną tymi informacjami?

Maurits kiwnął głową do jej odbicia w lusterku, otwierając szampana i rozpluwając się w spojrzeniu kobiety. Ciekawe, czy byłaby zainteresowana tym, by dzielić z nim coś więcej niż informacje?

– Śledziliśmy w naszej firmie pańskie poczynania już od kilku lat i dziwiliśmy się, jak pięknie udało się panu wystawić na próbę seksualne przyzwyczajenia widzów w niezliczonych krajach, a jednocześnie nie posunąć się za daleko. My w Global Rea Inc. zawsze balansowaliśmy na granicy, którą pan już dawno przekroczył. Teraz wiemy, że nasz tok rozumowania potrzebuje odświeżenia, nim odważymy się ją sforsować. Dzięki Unbelievable Corporation najprawdopodobniej zyskamy odpowiednie narzędzie.

Lekko odwróciła głowę i spojrzała na niego, jakby już zdążył przekazać im firmę.

– Ale czy nigdy nie miał pan skrupułów, panie van Bierbek? Nigdy nie przyszło panu do głowy, by się zawczasu wycofać? – Uśmiechnęła się. – Cóż, nie musi pan odpowiadać, bo dzięki pańskiemu ostatniemu conceptowi wiemy przecież, że skrupułów to akurat pan nie ma.

Maurits spróbował się uśmiechnąć, ale już przy piątym łyżku szampana, dzięki smakowitemu, niemal niezauważalnemu łaskotaniu na podniebieniu, poczuł, jakby wszystkie jego zmysły spowolniły, a powieki nie chciały go słuchać.

– Jakim cudem taki chory mózg jak pański mógł zaproponować show Kto umrze pierwszy? Nigdy nie ogarnia cię odraza do samego siebie? – wypaliła nagle kobieta.

Maurits potrzebował czasu, by dotarła do niego treść pytania. Dopiero wtedy pojął, że atmosfera w kabinie gwałtownie się popsuła.

– I jak usprawiedliwisz to, że za nic masz zasady moralne? – ciągnęła. Jej oczy we wstecznym lusterku się zwięzły, ton wyostrzył.

Maurits próbował wziąć butelkę wody, ale ręka odmówiła mu posłuszeństwa.

– Pozwalasz, by kobiety zachowywały się jak prostytutki? Zachęcasz mężczyzn i kobiety do bezgranicznej niełojalności, do nierządu, kłamstwa, oszustwa i żądzy zniszczenia kogoś, kto jeszcze przed chwilą był ich najlepszym przyjacielem? Życzysz innym śmierci?

Maurits uśmiechnął się nieznacznie. To z pewnością test, a on wiedział dokładnie, co ma odpowiedzieć, gdyby tylko język chciał go posłuchać. Nie powinien był wybierać szampana o tak wczesnej porze.

– Powiem ci teraz, co cię czeka, Mauritsie. Postanowiliśmy przydzielić ci ważną rolę w twoim ostatnim, kluczowym formacie.

Maurits zmarszczył czoło. W rozmowie telefonicznej na pewno się na to nie umawiali. Po sprzedaży firmy zamierzał jeszcze wdrożyć pięć pomysłów i dopiero wtedy miał być wolny od zobowiązań. Nie było mowy o występowaniu w swoim własnym programie.

– Poznaję po twojej minie, że mister Page nie omówił z tobą tego punktu umowy. Rzecz w tym, że chcemy, byś dostąpił zaszczytu bycia pierwszą osobą, która umrze. Nie sądzisz, że dzięki temu format nabierze wiatru w żagle?

Maurits odchylił głowę do tyłu, by rozruszać żuchwę. Dlaczego mister Page miałyby zaczynać współpracę od takiego żartu?

– Za pięć minut będziesz nieprzytomny, Mauritsie, a w Unbelievable Corporation zabraknie dyrektora. Nigdy już nie wrócisz do firmy, a kiedy umrzesz, zniszczymy budynek, w którym twoje przedsiębiorstwo ma siedzibę. Unicestwimy wszystko: pracowników, aktorów, materiały. Wszystko, co twoje, zostanie zmiecione z powierzchni ziemi.

– Ale mister Page...? – wyjąkał z trudnością, próbując się uśmiechnąć, ale jego twarz była jak martwa.

– A, tak. Rzeczywiście wspomniałam o jakimś tam panu Page’u – powiedziała nagle po duńsku. Co się dzieje? – Ale tak naprawdę go nie znam ani nie zamierzam poznać. Właściwie to jestem tylko ja, a to cię raczej nie ucieszy, jak przyjdzie co do czego.

Mózg obudził się pierwszy. Nie od myśli i obrazów, lecz od pulsującego bólu, który wydawał się promieniować z każdej tętniącej arterii. Chciał krzyknąć, ale połączenie z ośrodkiem mowy musiało szwankować. Potem wszystkie mięśnie jego twarzy zaczęły drżeć, a pod powiekami źrenice miotały się z boku na bok. Musiało minąć sporo czasu, nim Maurits zdołał uchylić powieki i zerknąć na zegarek, a potem na otaczające go ze wszystkich stron białe ściany.

Pomieszczenie przypominało wielkością mniejszą salę gimnastyczną. Było puste, nie miało toalety ani kącika kuchennego, ani nawet drzwi. Na końcu tego pustego lokalu znajdowało się jedyne urządzenie sugerujące, że wokół niego może toczyć się jakieś życie. Była to winda ze stali nierdzewnej, która być może startowała z tej właśnie kondygnacji. Dopiero wtedy odkrył, że w pokoju brakuje nie tylko drzwi, ale i okien, więc człowiek nie miał pojęcia, czy jest dzień, czy noc. Na ścianach świeciło kilka słabych żarówek, zapewne pomyślanych jako coś w rodzaju rekompensaty za brak światła dziennego. To wszystko.

Spojrzał po sobie i od razu zrozumiał, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazł. Pod metalową kolczugą, przyklejającą się do jego tułowia jak zbroja, miał na sobie tylko bieliznę; nawet skarpetki mu zdjęto.

Spojrzał w górę i w bok. Do ramion kolczugi przyspawano dwa metalowe pierścienie, od których odchodziły w górę grube łańcuchy. Powoli się uniósł i skonstatował, że łańcuchy są przytwierdzone do dwóch solidnych metalowych szyn pośrodku sufitu, ciągnących się przez prawie całą długość pomieszczenia.

„Mogę się ruszać” – pomyślał i chwiejnym krokiem przeszedł kawałek, podczas gdy łańcuchy nad jego głową przesuwają się po szynach. Od jednej węższej ściany dzieliło go cztery, pięć metrów, od tej za nim nieco mniej. Pociągnął lekko za łańcuchy, które były na tyle luźne, że umożliwiały mu dotarcie do ścian lokalu i poruszanie się praktycznie po całej jego powierzchni. Napał mocniej, ale od razu pojął, że zaprojektowano je tak, by wytrzymały nawet intensywne szarpanie.

– Ty kurwo! – wrzasnął głośno, aż w sterylnym pokoju rozległo się echo. Nie było tu przecież żadnego wyposażenia poza krzesłem, z którego właśnie wstał, i małym stolikiem, przytwierdzonym do betonowej podłogi podobnie jak krzesło. Gdyby chciał skorzystać z toalety, czekało na niego wiaderko, ale nie było tu umywalki, by się w niej obmyć, ani ręcznika, ani nawet kubka. Wszystko miało kolor szary lub biały; nie licząc plam wilgoci na jednej z bocznych ścian, nie było tu innych barw, na których można by skupić wzrok.

Maurits van Bierbek nie mógł w to uwierzyć. Dzisiejszego błogiego, sobotniego poranka siedział w swojej ciepłej kuchni z caffè latte, a wokół niego kręciła się skąpo odziana kobieta, która właśnie wyprawiła z domu ich młodszą córkę w towarzystwie Roxan, nowej au pair.

A teraz siedzi tutaj, dusząc się z wściekłości, że psychicznie chora kobieta zrobiła z niego aktora w najbardziej bezkompromisowej z jego ponurych zabaw:

Przeżyje najsilniejszy.

Poniedziałek, 14 grudnia 2020

CARL

W poniedziałek Carl stawiał się do pracy wcześniej rano. Weekend upłynął mu pod znakiem pośpiechu, licznych niewiadomych i pytań, na które odpowiedzieć mogła tylko mozolna praca za biurkiem. Pozostało jedynie się do niej zabrać.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, Carl, to musi istnieć związek między zamordowaną Tabitą i zabójczynią Ragnhild – powiedziała Mona poprzedniego wieczora. – A jeśli jesteś pewien, że znalezione wczoraj ciało to zwłoki tej Ragnhild, to widzę tu jeszcze dodatkowe, naturalne powiązania między tymi dwiema kobietami. Mianowicie łączy je jakiś ukryty, ponury i szalenie konsekwentny motyw. Mścicielka zabijająca mścicielkę. Nie wiem, czy na podstawie działań obu kobiet dopatrywałabym się u nich oznak szaleństwa, ale na pewno kieruje nimi jakiś rodzaj przymusu, a za takimi kompulsywnymi działaniami kryją się zazwyczaj osobiste porażki, które człowieka wyniszczają. Natomiast w tym przypadku można odnieść wrażenie, że akty przemocy przyczyniają się do wzmacniania tożsamości tych osób. Dlatego pytanie brzmi: co lub kto zmanipulował Ragnhild i Tabitę do tego stopnia, że wybrały tak niebezpieczną drogę, która okazała się dla nich obu feralna? Musisz się tego dowiedzieć, Carl.

Właśnie z tymi myślami w głowie Carl pojechał do pracy i zasiadł za biurkiem.

Po półgodzinnej lekturze notesu Tabity Engstrøm wiedział tyle, co na początku. Jego zdaniem wciąż nie ulegało wątpliwości, że Tabita Engstrøm to psychopatka uwielbiana karać i atakować tych, których sobie upatrzyła. Atakować na tyle brutalnie, by ten fakt nie mógł przejść niezauważony. De facto cztery czy pięć zająć, które wynotowała i opisała, trafiło na łamy gazet, a w przypadku dwóch z nich wszczęto dochodzenie.

Carl wstał i w ciągu kwadransa zapoznał szefa Wydziału Zabójstw z zawartością dziennika kobiety i podzielił się swoimi spostrzeżeniami.

Marcus przekartkował jeszcze jedną stronę w przód.

– Owszem, drastyczna lektura. Człowiek wręcz nie może opędzić się od myśli, że Ragnhild Bengtsen wyświadczyła społeczeństwu przysługę, usuwając Tabitę z powierzchni ziemi.

– Owszem, podobnie zresztą miały się sprawy z samą Ragnhild Bengtsen, kiedy się jej pozbyto. – Carl przysunął do siebie dziennik. – Mamy stuprocentową pewność, że



w Skævinge znaleziono zwłoki Ragnhild Bengtsen?

– Nie dostałem jeszcze raportu od lekarza sądowego, ale wczoraj wieczorem do mnie dzwonił i potwierdził, że prawdopodobieństwo wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięćdziesiąt dziewięć setnych procent. Tak więc można powiedzieć, że ją mamy.

– Aha, aż taki był pewny? Dlaczego?

– Dlatego że ząb mądrości w żuchwie denatki nigdy się nie wyrznął i dlatego że pomogliśmy Instytutowi Medycyny Sądowej, dzieląc się naszym podejrzeniem, że ofiarą może być Ragnhild Bengtsen. W związku z tym patolodzy zażądali zdjęć rentgenowskich wprost od jej dentysty i trafili już w pierwszym podejściu.

– Rentgen żuchwy to potwierdził?

– Tak, jednoznacznie. Pomimo brakujących opuszek palców i zmiażdżonej twarzy nie było wątpliwości co do tożsamości denatki. To Ragnhild Bengtsen.

Carl kiwnął głową.

– Jeszcze coś ciekawego od patologa?

– Ta-ak, może nie w odniesieniu do śmierci jej samej i Tabity Engstrøm, ale jest coś, co mogłoby wyjaśnić pobudki postępowania Ragnhild Bengtsen. – Marcus odwrócił się do okna i wyjrzał na parking, gdzie Gordon właśnie zajeżdżał swoim gruchotem. – Została gruntownie przebadana i patolodzy odkryli, że Ragnhild Bengtsen doznała wcześniej drastycznych obrażeń krocza.

– Gwałt? Ale przecież żadnego nie zgłosiła, sprawdziliśmy to.

– To prawda. A jednak stwierdzono u niej świadczące o wyjątkowej brutalności rany na narządach płciowych, które z pewnością przez jakiś czas po ataku uniemożliwiły jej jakąkolwiek możliwość współżycia waginalnego. Naszym zdaniem nie mogła ich sobie zadać sama.

Carl i Rose przegrali losowanie dotyczące pierwszego zadania w tym dniu i teraz stali przed lichym domkiem letniskowym w Tikøb, zamieszkiwanym przez matkę Ragnhild Bengtsen, emerytkę, która dostała od gminy pozwolenie na pobyt w nim przez cały rok.

Rose spoglądała ze smutkiem na fatalnie utrzymany drewniany budynek, który łatwiej byłoby zburzyć, niż odnowić. Dziurawe rynny, widoczne oznaki butwienia, miejscami odsłaniającego skromną warstwę izolacyjną między ścianą wewnętrzną a zewnętrzną, skrzydła okienne nietrzymające się obu zawiasów, popękane szyby – i można było dalej wyliczać. Upadek dowodzący ubóstwa, samotności i braku wsparcia gminy.

Carl odsunął krzaczki jeżyny zagradzające dojście do czegoś, co kiedyś było gankiem, i zapukał do drzwi.

Kobieta, która im otworzyła, nie sprawiała wrażenia zaskoczonej. Zaczesała siwe włosy za uszy i odsunęła się na bok, by goście mogli wejść do środka.

– Pewnie przyszliście, by mnie stąd wyeksmitować – stwierdziła beznamiętnie, podczas gdy Carla i Rose uderzył w nozdrza ostry zapach zgnilizny i moczu. Kobieta ruszyła przodem, mijając sterty kartonów i śmieci, po czym wskazała im sofę w salonie, która była tak zielona od pleśni, że nawet zwierzę nie powinno się na niej kłaść. Postanowili więc postać.

– Jest pani matką Ragnhild Bengtsen, prawda? – spytał Carl, osłaniając twarz maseczką, bynajmniej nie z uwagi na covid.

Kobieta się zdziwiła.

– Coś się jej stało?

– Chyba w ostatnich dniach nie śledziła pani wiadomości?

Wskazała na stertę lokalnych gazet, rzuconych w kącie i przykrytych mnóstwem zużytych konserw, resztek jedzenia i plastikowych opakowań. Czuli się, jakby uczestniczyli w tragicznym reality show, nadawanym przez TV3, Ekstremalni zbieracze. Bałagan u matki nijak się miał do przesadnej pedantyczności córki.

– Pani Bengtsen, przyszliśmy z wiadomością, że pani córka nie żyje. Bardzo nam przykro.

Po jej pooranej bruzdami twarzy nie przemknął nawet cień.

– Została zamordowana najprawdopodobniej kilka dni temu, wczoraj znaleźliśmy jej ciało – oświadczyła bez krzty empatii Rose. Zapewne chciała mieć to po prostu za sobą, by móc wyjść na świeże powietrze. – Czyli nie wie też pani pewnie, co poprzedziło jej zabójstwo?

– Nie rozmawiałam z nią od ponad dziesięciu lat, więc skąd mogłam wiedzieć? – Kobieta dalej sprawiała wrażenie niewzruszonej.

– Od dziesięciu lat?! Można wiedzieć dlaczego? – drążyła Rose.

– Zabiła swojego ojca, więc dlaczego miałabym mieć z nią do czynienia?

W tym momencie Carl nie czuł już smrodu.

– Pierwsze słyszę, czy może pani powiedzieć coś więcej? To podejrzenie czy...?

– Podejrzenie, ha! Po tym, jak amputowano mu obie nogi, pilnowała, by dostawał zastrzyki z insuliną. Powiem tyle, że nie dostawał ich za mało. Zabiła go.

– Rozumiem, że zrobiła to pod wpływem współczucia – powiedziała Rose.

– Tak mówisz, ale jeśli mam być szczerą, wyglądasz na zupełną idiotkę. Że też naprawdę jesteś policjantką, bój się Boga.

Rose na chwilę odchyliła głowę do tyłu. Nie przywykła do tak druzgocących ciosów.

– W takim razie dziękuję za komplement – odparła. – Możemy wyjść i dokończyć tę rozmowę na dworze? Capi tu śmiercią i gnojem.

Następnie chwyciła kobietę za ramię i wywlekła na zewnątrz, nim Carl zdążył ją powstrzymać. Puściła ją w gąszczu, który kiedyś na pewno był trawnikiem.

– No, to teraz idiotka cię zapyta, dlaczego Ragnhild miałyby zabijać ojca? Poza tym chcę wiedzieć, czemu nie widzę po tobie żadnej reakcji, choć właśnie ci powiedzieliśmy, że twoja córka została zamordowana.

Kobieta założyła ręce i splunęła na ziemię.

– Pewnie sama się o to prosiła, ta wstrętna, kłamliwa suka.

Carl próbował pochwycić jej spojrzenie.

– Dlaczego Ragnhild miałyby zamordować ojca?

– Aaaach, miała obsesję. Popierdolona baba.

– Obsesję? – Carl spojrzął na potakującą Rose.

– Tak, obsesję. Inaczej nie gadałaby chyba o własnym ojcu, że ją molestował, gdy była dzieckiem? Że wsadzał w nią wieszak na ubrania, jak była niegrzeczna? Nie gadałaby tak, nie? – Kobieta zwróciła się wprost do Carla i krzyknęła jeszcze raz, spryskując mu kurtkę śliną: – Nie mówi się takich rzeczy o własnym ojcu, co?!

W drodze na Teglholmen Assad zdał im relację z postępów w sprawie.

– Carl, na tej działce w Skævinge znaleźli jeszcze dwa ciała.

Okej, czyli on i Marcus mieli rację, zwłok było więcej.

– Świeże czy...?

– Nie. Oba ciała leżały w ziemi od ponad roku.

– I były okaleczone tak jak Ragnhild Bengtsen?

– Nie. Pod tym względem są nietknięte, ale przebywanie w ziemi przez tak długi czas zrobiło swoje, więc raport poznamy dopiero za kilka dni. Już je zawieźli do Instytutu Medycyny Sądowej.

– Aha! Czyli póki co nie pozbędziemy się tej sprawy – burknęła Rose z siedzenia pasażera. Nadal wyglądała, jakby miała ochotę wychłostać babsko, które tak perfidnie ją obraziło.

– Może tak, może nie. Zależy, czy uda się znaleźć jakąś nić łączącą te dwa ciała z Ragnhild Bengtsen – stwierdził Carl.

– Właśnie dlatego nie uwolnimy się od tej sprawy – wycedziła Rose. – Bo oczywiście coś tam łączy te dwa zabójstwa, więc istnieje ta twoja nić, w którą my się wplączemy i będziemy musieli się wyplątać, okej? Nie możesz skłonić Marcusa, by zlecił tę sprawę komuś innemu, tak byśmy mogli spokojnie zająć się naszą? Pozwolę sobie zauważyć, że ona sama w sobie jest już skomplikowana. Przecież pracujemy w wydziale zajmującym się nierozwiązanymi, starymi sprawami, a tu mamy do czynienia z zabójstwami, w których ostatnie ciało jeszcze nie zdążyło ostygnąć. To nie jest domena Departamentu Q, prawda?

– Rose, przymknij się na chwilę. Myślę.

Carl spojrział na drogę. Gdzieś w tym szarym, sponiewieranym przez zimę krajobrazie składającym się z pól i gospodarstw musiał znajdować się ktoś, kto podczas spaceru z psem widział samochód jadący w stronę Skævinge. Ktoś nieświadomy, że kierowca zamierza zakopać tam zwłoki. Gdzieś w rejonie Kopenhagi musiał istnieć człowiek lub ludzie, którzy zastanawiali się, jak Tabita i inne kobiety w mniej więcej tym samym wieku trafiły do tego ich klubu. Gdzieś...

– Dopóki nie skoncentrujemy wszystkich sił na ustaleniu tożsamości pozostałych denatów, to nie będziemy mogli stwierdzić, czym się zajmujemy w Departamencie Q, a czym nie.

Nie słyszał jej westchnienia, ale był pewien, że nastąpiło.

– Dopiero przed godziną dostałem od NC3 wieści o macu Pallego Rasmussena i już teraz mogę wam powiedzieć, że są z tym problemy – powiedział Gordon po ich powrocie.

– Bo?

– Bo mają kupę roboty i bo dysk został dokumentnie wyczyszczony.

– Kurwa, no! Nie mogłeś ich przynajmniej zapytać, czy ich zdaniem na dysku są ślady po jakichś plikach?

Gordon wyglądał na skruszonego.

– Przyciśnij ich jeszcze, najlepiej od razu. Musimy odzyskać te wymazane pliki. Powiedz, że wiemy, że są zawaleni robotą, ale to sprawa życia i śmierci.

Gordon się zapowietrzył.

– Czy to nie lekka przesada, Carl? Przecież nie możemy tak...

Carl uciszył go machnięciem ręki i zwrócił się do Assada:

– Jesteś dziś dziwnie cichy. Coś się dzieje?

– Myślę, że niedługo będę musiał rzucić pracę w policji, Carl.

W pokoju zapadła taka cisza, że można by usłyszeć szpilkę spadającą na podłogę. Jedynym dźwiękiem był stłumiony szum aut dochodzący z mokrego od deszczu parking.

Spojrzenia Carla i Assada się spotkały. Brązowe oczy pozbawione były blasku, zarumienione zazwyczaj policzki poszarzały za warstewką dwudniowego zarostu.

– Nie, kurwa, Assad! Nawet o tym nie myśl! – Carl sam słyszał, że mówi zbyt rozkazującym i pryncypialnym tonem.

Źrenice Assada się zwężyły; nie wróżyło to dobrze.

– PET wezwał całą moją rodzinę na rozmowę przed świętami, bo nie wypełniliśmy formularza, Carl. Teraz Ronia zagroziła, że wraca do Iraku, co jest zupełnie bez sensu. Przez cały dzień ona i Marwa się kłóca, płaczą. Nella siedzi w pokoju Alfiego, nic nie

mówiąc, tak jak brat. Właśnie dlatego muszę odejść z policji. Nie mogę ryzykować, że rozpadnie się moja rodzina, prawda? Policyjna Służba Wywiadowcza nas nie zniszczy.

Zauważyli, że Rose wstała dopiero wtedy, gdy trzasnęła za sobą drzwiami na korytarz. Wyszła bez słowa, lecz już po kilku sekundach usłyszeli, jak wrzeszczy niczym przypiekana żywym ogniem. Wprawdzie budynek na Teglholmen, do którego się przeprowadzili, był nowy i solidny, ale mogli zdecydowanie lepiej zadbać o dźwiękoszczelność ścian.

Po trzech minutach wróciła.

– Marcus zrozumiał powagę sytuacji – oświadczyła; usta jej drżały z frustracji i złości. – Już jedźcie do PET-u. Na pewno ich powstrzyma, Assad.

Zwróciła się ku koledze, który stał jak wryty ze wzrokiem utkwionym w podłogę:

– Jedźmy dalej z tym koksem i pozwólmy Marcusowi zająć się formalnościami. – Carl położył rękę na ramieniu Assada. – Będzie dobrze, zostawmy to teraz. – Mørck uściśnił go lekko. – Masz nam coś nowego do powiedzenia? Cokolwiek.

Dyżurny kudłacz Departamentu Q zrobił głęboki wdech i w zwolnionym tempie uniósł wzrok. Carl jeszcze nigdy go takim nie widział.

– Przejrzałem filmiki nagrane na końcu płyt DVD Ragnhild Bengtsen i nie widzę między nimi związku, jeśli nie liczyć ich skrajnie brutalnej treści i tego, że akcja rozgrywa się na ulicy. – Przesunął czubkami palców po oczach, jakby chciał sprawdzić, czy płakał, ale nie znalazł śladów łez. – Jeśli przyjrzeć się spisowi napadów w notesie Tabity, to wychodzi na to, że z reguły dopuszczano się ich na ulicy, podobnie jak to miało miejsce w przypadku zabójstwa Tabity przez Ragnhild Bengtsen. Nic więcej nie wywnioskowałem.

Carl skinął głową. Oczywiście można by to uznać za marnotrawienie Assadowego czasu, ale w obecnej chwili lepiej pozwolić mu działać po swojemu.

– Kiedy się okazało, że ten trop donikąd nie prowadzi, wróciłem do pozostałych spraw i skupiłem się na znalezieniu jakiejś z dwa tysiące dziesiątego, w której, zgodnie z naszymi ustaleniami, pojawiłaby się sól.

– Domyślam się, że ci się nie udało.

– Nie, nie udało się, choć może jednak.

Podsunał Carlowi skserowaną stronę z gazety.

– Ten wycinek znalazłem na naszym wspólnym dysku, wysłany dziś rano przez naszego kolegę z Odense.

Carl pochylił się nad stołem, opierając ręce po obu stronach kartki.

– Główna doradczyni w TaxIcon utopiła się w basenie – przeczytał na głos. – Tę sprawę prowadził kolega z Odense? – spytał.

– Nie, ale dostał zapytanie Rose o sprawy z solą i od razu pomyślał właśnie o tej. Wtedy dużo się o niej mówiło w Odense.

– TaxIcon, nigdy nie słyszałem o tej firmie.

Rose uśmiechnęła się półgębkiem.

– Pewnie dlatego, że nie czytasz gazet, i dlatego, że znajomość firmy takiej jak ta wiąże się z nieco wyższymi zarobkami niż nasze, Carl. TaxIcon to doradztwo podatkowe dla bardzo zamożnych ludzi.

– Tak, a Pia Laugesen, która utonęła, była właścicielką firmy – uzupełnił Assad. – Miała sześćdziesiąt cztery lata i mieszkała sama, więc minęło sporo czasu, nim personel znalazł ją unoszącą się na wodzie w basenie ogrodowym.

– Cóż, takie rzeczy już się zdarzały. Weźmy choćby Briana Jonesa z The Rolling Stones.

Carl bynajmniej nie poczuł się młodo, gdy spojrzeli na niego pustym wzrokiem. Nie mieli pojęcia, kim był Brian Jones. On w zasadzie też nie miał, dopóki nie poinformował go o tym jego, zmarły w Tajlandii, kuzyn Ronny.

– Chodzi mi tylko o to, że złe samopoczucie i basen to kiepski koktajl, więc dobrze się składa, że żadne z nas nie posiada basenu. – Ta wypowiedź też nie doczekała się reakcji. – No dobrze, to o co chodziło w tej sprawie?

– Nagłośniono ją, bo Pia Laugesen nie była pierwszą lepszą, tylko grubą płótką.

Teraz to Carl poczuł się skonsternowany.

– Wielu uważało ją za ważną osobę, bo półroczny obrót jej firmy oscylował wokół stu milionów euro.

– Aaa! Wtedy się mówi, że ktoś jest grubą rybą, Assad.

Kolega pokręcił głową. Czy nie to właśnie powiedział?

– Dorosła córka Laugesen wypowiedziała się wtedy w reportażu kryminalnym dla jednej z fińskich gazet, że jej matka potrafiła pływać, ale nigdy nie korzystała w tym celu z basenu. Dlatego fakt, że doszło do tej tragedii, jest jej zdaniem dziwny i podejrzany. De facto właśnie ten jeden jedyny raz widziano ją w pobliżu basenu, a ogrodnik zapewniał, że tak bardzo nie znosiła tego zbiornika, iż nakazała jego zasłonięcie. Nie zdążył tego zrobić.

– Jak policja zaklasyfikowała ten zgon?

Assad wyjął wydruk policyjnego raportu.

– A jak myślisz? Rzekomo potknęła się o worek leżący przy basenie, uderzyła czołem o jego brzeg i nieprzytomna wpadła do wody. Czyli oczywiście jako nieszczęśliwy wypadek.

– Dlaczego wobec tego sądzisz, że ta sprawa nas zainteresuje?

Assad wskazał na jedno zdanie w raporcie.

- Bo w worku, o którym mowa, znajdowała się sól.
- Sól do basenu? Nie chlor?
- Owszem, czasem sól i chlor. Zdaje się, że w tym basenie używano chloru.
- A niech mnie! To była sól kuchenna?
- Według raportu tego nie przeanalizowano, ale dlaczego technicy mieliby to robić?

Carl spojrzął jeszcze raz na stronę z gazety. „20 sierpnia 2010” – głosił napis. Wszyscy czworo spojrzeli na tabelę na ścianie, po czym odezwał się Mørck:

– Okej, spróbujmy podsumować. Mamy kilka zabójstw, w których występuje sól, ale spójrzcie na przykład na dziewiętnasty maja dwa tysiące drugiego, czyli dzień śmierci Pallego Rasmussena. Jeśli założymy, że zgon Pii Laugesen również był zabójstwem, i jeśli nadal uważamy, że morderca cały czas posuwa się naprzód w sensie dat, wreszcie jeśli skłaniamy się ku teorii, że zbrodnie z udziałem soli zdarzają się co drugi rok, to według mnie zabójstw musiano dokonać w dwa tysiące czwartym, szóstym i ósmym w dniach między dziewiętnastym maja i dwudziestym sierpnia. Czyli właśnie w tym okresie szukamy.

– O rany – jęknął Gordon.

Większość dnia zajęło im poszukiwanie raportu z sekcji zwłok Pii Laugesen.

– Czy on się wam nie wydaje nieco enigmatyczny? – spytał Gordon. – Raport opisuje ją jako kobietę nadzwyczaj silną i mocno zbudowaną, jak na jej wiek, po czym stwierdza, zgodnie z przewidywaniami, że kobieta utonęła, ale żyła, wpadając do wody, jako że w jej płucach znaleziono chlor. Czyli zaczerpnęła powietrza już w basenie. I tu należałoby zadać sobie pytanie, czy to przypadkiem nie samobójstwo? Tylko dlaczego miałyby odbierać sobie życie? Była zdrowa, odnosiła sukcesy, robiła wielką karierę, miała mnóstwo pieniędzy, krocie znajomych, dobry kontakt z córką. Z kolei jeśli to był wypadek, to nasuwa się pytanie, dlaczego po prostu nie wydostała się z basenu? – Gordon podrapał się po policzku. – W raporcie jest napisane, że mogła uderzyć głową o brzeg zbiornika, ale wyniki sekcji zwłok temu przeczą, bo nie znaleziono istotnych obrażeń ani na ciele, ani na głowie. Technicy nie natrafili też na krew, włosy ani komórki skóry na brzegu basenu. W krwi Laugesen nie wykryto alkoholu ani narkotyków. Potrafiła pływać, ale nie znosiła wody. No, nie klei mi się to. Raport nie stwierdza nawet wprost, że była nieprzytomna, wpadając do basenu.

– Tak, jest dziwnie lakoniczny. – Carl zignorował komórkę wibrującą mu w kieszeni.

– Ale czasem tak bywa z nieszczęśliwymi wypadkami, że nie zostają do końca wyjaśnione. No to co się stało?

– Może to faktycznie nieszczęśliwy wypadek. Po prostu zasłabła i się wyrznęła – zawyrokował Gordon.

– No dobrze, ale co robiła tam sól? Czy to mimo wszystko nie dziwne, kiedy spojrzysz się na tabelę wiszącą na ścianie, że sól pojawia się w każdej ze spraw? I że w żadnej nie wiadomo do końca, czy doszło do zabójstwa? I że nieznanym jest bezpośredni motyw, i nie wskazano sensownych podejrzanych? W każdym przypadku znajdujemy się w kropce, ale sól się jednak wszędzie przewija.

W kieszeni znów zabzyczał telefon.

– Owszem, to dziwne – oświadczyła Rose. – Myślę, że tę sprawę z dużym prawdopodobieństwem można zakwalifikować jako zabójstwo. Kobieta wykonująca taką pracę może mieć mnóstwo wrogów. Nawet jedna nietrafiona porada, skutkująca utratą majątku, może zadziałać jak dynamit.

– Ale co z metodą zabójstwa, Rose?

Assad wzruszył ramionami, podszedł do tablicy i niespiesznie zabrał się do wypełniania pustych pól.

Rok: 2010

Data: 20 sierpnia

Powód: Utonięcie

Ofiara: Pia Laugesen

Metoda: Głowę ofiary przytrzymano pod wodą

Następnie odłożył pisak.

– Tak właśnie obstawiam!

Carl skinął głową.

– Czyli twierdzisz, że człowiek, który ją zabił, jest silny jak koń?

– Nie, niekoniecznie. Ale może próbowałaś utrzymać się na wielbłądzie, który nie chce, byś siedziała na jego grzbiecie? Nagle leżysz z głową w piasku i nie masz pojęcia, co się stało. Mówię po prostu, że ten, który ją utopił, wiedział dokładnie, jak postąpić, i że zrobił to bez wahania. Nie jest to, de facto, takie trudne.

– Okej, Assad, czyli próbowałaś też utopić człowieka? – Rose przez chwilę uśmiechała się szeroko, ale jej uśmiech zgasł, gdy Assad nie odpowiadał.

– Czy mamy jakieś zdjęcie zmarłej poza tym niewyraźnym z gazety? – spytał Carl. – Gordon, sprawdź, proszę, w Google.

Chwilę później wpatrywali się w ekran, na którym widniała Pia Laugesen w różnych odsłonach i w różnym wieku. Bez względu na to, ile miała lat, ile przybrała na wadze i jak się postarzała, jej znakami rozpoznawczymi były futro, szerokie ramiona i koński ogon.

– Moim zdaniem to świadczy o tym, że jest wyjątkową i bardzo zajętą kobietą, która pracę stawia ponad wszystkim – wydedukowała Rose.



– Wyjątkowa, a jak. Futro przez okrągły rok, mnóstwo biżuterii i do tego grube włosy, za które można było ją przytrzymać, wymierzywszy jej cios kantem dłoni w tętnicę szyjną – zauważył Assad osobliwie cierpko.

Komórka znów zabręczała.

– Tak – odezwał się Carl z irytacją, kiedy w końcu ją wyjął i odebrał połączenie. Nie znał tego numeru.

– Czy to pan Carl Mørck? – odezwał się głos. – Świetnie! Rozmawia pan z Laslem z policji z północnej Zelandii. Miałem przekazać od technika, że wczoraj faktycznie nie odkrył niczego w miejscu pochówku tej kobiety. Za to dziś w dwóch pozostałych znalazł coś, co go zdziwiło, bo dotyczyło obu. Otóż kiedy się przyjrzał, okazało się, że na brzegach mogił znajdował się wyraźny osad z soli. Wygląda to wręcz, jakby ciała zostały posolone. Ma to jakiś sens?

Poniedziałek, 14 grudnia 2020

## MAURITS

Maurits już od dwóch dni nie widział kobiety, która go uprowadziła. Przez ten czas nie dostał niczego do jedzenia ani do picia. Odór z wiadra z odchodami unosił się w pomieszczeniu niczym mgła, a кишки Mauritsa były puste, podobnie jak pęcherz.

„Muszę się pilnować, żeby nie chodzić zbyt dużo, bo mnie to wyczerpuje – pomyślał. – Jeśli tylko dam radę wytrzymać, to mnie znajdą, na sto procent. Na szczęście miałem w dupie, że kilka kamer monitoringu nagrywa teren poza naszą prywatną działką, choć to nielegalne. Dzięki temu policja zobaczy numer rejestracyjny samochodu, który po mnie przyjechał. Może już zatrzymali tę kobietę. Może dlatego nie przychodziła”.

Uśmiechnął się do siebie. W Danii porwania karze się surowo, więc teraz to ta baba będzie się gapić w białe, puste ściany. Jej kolej, by zagrać główną rolę w zabójczym show.

Mógł się na przykład nazywać Już lepiej popełnię samobójstwo!. Maurits się zaśmiał. W sumie to naprawdę świetny pomysł, choć tego rodzaju reality show z pewnością spotka się z oporem z wielu stron. Ludzie robią się dziwnie delikatni, gdy mowa o odbieraniu sobie życia.

Maurits kiwnął głową i się uśmiechnął, po czym odchylił ją do tyłu i zaśpiewał tak głośno, że zawibrowały łożyska kulkowe w szynach nad jego głową: Oh, no, not I, I will survive – Oh, as long as I...

Zakaszłał. Zaprotestowało wysuszone gardło, język przywarł do podniebienia.

„Kurwa, niech to szlag” – pomyślał nagle, rozglądając się. Przecież mógł się znajdować gdziekolwiek. W piwnicy o betonowym stropie. W hangarze na zupełnym odludziu. W nowym budynku, opuszczonym przed jego ukończeniem.

„Mogę być w jakimkolwiek miejscu na Zelandii, więc jak mnie znajdą, jeśli baba nie puści pary z ust?”

Kiedy ocknął się po porwaniu, spojrzął na zegarek, który pokazywał jedenastą czterdzieści pięć. Jeśli założyć, że przed odzyskaniem przytomności był przykuty do krzesła przez jakieś dziesięć do dwudziestu minut, to od domu dzieliło go ponad pięć kwadransów jazdy.

„Jak bardzo mogła się oddalić od Gammel Holte?” Dał sobie spokój z kalkulacjami, zanim na dobre je zaczął, bo skąd miał to wiedzieć? W tym pieprzonym równaniu było za dużo niewiadomych. Kobieta mogła przecież jeździć w kółko. Mogła równie dobrze pędzić po autostradzie z gazem do dechy. Mogła nawet przejechać przez most nad Sundem.

Maurits oblał się potem. Jeśli teraz znajduje się w Szwecji, a to babsko nie zacznie gadać, to nigdy go nie znajda. Jutro nadal tu będzie siedzieć ze śliną w kącikach ust i z trzęsącymi się rękami. Podobnie pojutrze, i kolejnego dnia. Jak długo wytrzyma?

Przypomniał sobie teraz, że jego ojciec zmarł z pragnienia. Nie sprawiało to zbyt dramatycznego wrażenia, bo gość i tak już żegnał się z życiem, był stary i zgrzybiały, więc śmierć musiała przecież z jakiegoś powodu nastąpić, a lekarze nie chcieli mu pomóc inaczej niż poprzez pozbawienie jego ciała płynów. Ale to trochę trwało. Maurits przypominał sobie teraz, że ojciec był tym przerażony. Nim jego powieki się zamknęły i stracił przytomność, jego spojrzenie stało się aż nazbyt intensywne. Była to przecież jedyna forma kontaktu, jaką utrzymywał ze światem zewnętrznym. Widok tych, którzy nie mogli mu pomóc. Widok jego jedyne go syna, który tylko odwrócił wzrok, a potem go opuścił.

„Niech to szlag. Znikajcie, cholerne wspomnienia. Znikaj, staruchu. Przecież byłeś gnojkiem, więc co za różnica, że musiałeś się trochę przesuszyć, nim się poddałeś?”

Maurits spojrzał na swojego rolexa submarinera. Niebieska tarcza, koperta ze złota, złota bransoleta i sprzączka. Bez cyfr, ale z datą. Dał za to cudo dwieście pięćdziesiąt tysięcy koron i gwizdał na to, co ludzie o tym myślą. Gdy pokazał zegarek rodzinie przy obiedzie, jego starsza córka podsunęła mu pod nos swój apple watch i zaczęła z niego kpić.

– Czy ten twój zegarek potrafi mierzyć tętno? Możesz z niego dzwonić i odbierać połączenia? Ha, tato, aleś ty głupi. Za te same pieniądze mogłeś sobie kupić czterdzieści takich smartwatchów. Albo mogłeś mi podarować konia, a za resztę kupić zegarek. Na serio, głupota!

Wtedy tylko uśmiechnął się cicho i bez komentarza nabrał jedzenia na talerz, bo co głupiutka nastolatka może wiedzieć o tym, co da dorosłemu mężczyźnie autentyczną satysfakcję? Cóż ona na dobrą sprawę w ogóle wiedziała o radości z posiadania? Przecież wymieniała ten swój apple watch, gdy tylko pojawił się nowszy model, kapryśny bachor.

Maurits spojrzał na datownik. Mijały już trzy dni bez jedzenia i picia. Jak długo trwała agonia jego ojca? Sześć dni? Tydzień? Ale on przecież już wcześniej był osłabiony. Chyba kiedyś gdzieś czytał, że człowiek może nie jeść i nie pić przez trzy tygodnie, o ile jest zdrowy i sprawny. A on był.

Znów spojrzał na zegarek. Gdyby poszedł za radą córki i kupił apple watch, to może udałoby się do nich zadzwonić.

Pokręcił głową. Kobieta, która go więziła, nie była głupia. Zabrałaby mu zegarek. A nawet gdyby miał takie ustrojstwo na nadgarstku, to co by powiedział? Że go porwano? Cóż, to już zapewne wiedzieli. Ale kto to zrobił? Historyjka kobiety o wykupie Unbelievable Corporation to wierutna bzdura.

Global Rea Inc. i Victor Page nie mieliby pojęcia, kim jest to cholerne babsko. Numer rejestracyjny jej lexusa z pewnością był fałszywy albo auto zostało skradzione. I co miałyby powiedzieć o miejscu, w którym teraz siedział w kajdanach? Nie było w nim nic charakterystycznego. Nic! Sprawiało wrażenie tak pozbawionego właściwości, że mogło znajdować się wszędzie.

Maurits poczuł teraz, że lekko obrzękł mu język. Pieprzone pragnienie. Odchylił głowę do tyłu i spojrzał w górę na uchwyty przytrzymujące łańcuchy.

„Co mogę zrobić, jeśli wespnę się po jednym łańcuchu i złapię mechanizm przytrzymujący? Czy będę w stanie odkształcić szynę i wyrwać mechanizm? I czy uda mi się zrobić to samo z drugim łańcuchem? Czy to jakieś rozwiązanie?”

Oczywiście istniało ryzyko, że zawiśnie na łańcuchu numer dwa, jeśli uda mu się wydostać z szyny pierwszy łańcuch. Tylko czy zdoła wyszarpnąć drugi mechanizm z szyny numer dwa, jeśli zawiśnie na niej całym ciężarem?

Maurits wstał i spróbował zasymulować tę sytuację. Nie wróżyło to dobrze.

Nie spuszczając wzroku z przesuwających się po szynach mechanizmów przytrzymujących łańcuchy, przeszedł się wzdłuż pomieszczenia od jednego końca do drugiego. Jeśliby znalazł choć jedno miejsce, w którym mógłby chwycić łańcuch jedną ręką, drugą zaś uwalniając z szyny drugi łańcuch, to właśnie tam się wespnie.

Słyszał nad sobą stukot łożysk kulkowych, chodząc w tę i z powrotem wzdłuż lokalu i dokonując oględzin sufitu. Przez chwilę dźwięk wydał mu się uspokajający, ale było to zwodnicze. Przecież ten odgłos tak naprawdę zwiastował jego prawdziwe piekło. Dźwięk niewoli, z której nie mógł się wydostać.

Wtedy to dostrzegł. Podobnie jak sufit, było pomalowane na biało i prawie niewidoczne, ale jednak tam było. W górze, tuż przy tylnej ścianie, tkwił hak w kształcie pętli, zupełnie jak te, które sam wkręcał dawno, bo ponad dwadzieścia lat temu, montując huśtawkę dla syna. Wihajster na suficie znajdował się zaledwie trzydzieści, czterdzieści centymetrów od jednego z mechanizmów przytrzymujących łańcuch. Czy gdyby zaczepił się dwoma palcami za hak, to mógłby utrzymać na nich cały swój ciężar, próbując uwolnić z szyny drugi mechanizm? Dwadzieścia minut dziennie, które od czasu zawału serca przed kilku laty zaczął spędzać w umieszczonej w piwnicy domowej siłowni, musiało, do diabła, przynieść jakieś rezultaty.

Maurits podciągnął się po jednym łańcuchu, podczas gdy drugi powoli robił się coraz luźniejszy i bezwładny. W czasach szkolnych wspinaczka po linie należała do jego ulubionych dyscyplin, ale trzydzieści pięć lat później wyglądało to inaczej. Stalowy łańcuch był wyjątkowo gładki. Przy pierwszym podciągnięciu aż pobiełały mu kostki, a do sufitu było dalej, niż mu się pierwotnie zdawało. Oceniał, że ponad cztery metry.

Jego nagie stopy ścisnęły łańcuch, po którym się piął. Gdyby miał na sobie tenisówki, byłoby o wiele łatwiej. Gdyby ubrany był w spodnie, metal nie raniłby skóry w okolicy krocza.

– Musisz się tam wdrapać – szepnął do siebie. Nie wiedział, jak wydostanie się z pomieszczenia, jeśli jego przedsięwzięcie się powiedzie, ale może winda działa. Może będzie mógł użyć łańcuchów do obrony, kiedy je oswobodzi. Może.

O ile ktoś w ogóle przyjdzie.

Wspiął się na samą górę i chwycił się nasady sąsiedniego łańcucha. Mechanizm tkwiący w szynie nosił logo Mexita Steelware; podobnie jak szyna, wykonany był z hartowanej stali, więc zadanie nie będzie łatwe. Wyginał go z całej siły, chcąc odkształcić szynę, ale ta ani drgnęła. Gdyby miał łom, może coś by wskórał, ale przecież nie miał nic poza swoją zawiedzioną nadzieją.

Powoli zsunął się na ziemię, podszedł do krzesła i usiadł. Nawet tak stosunkowo niewielki wysiłek go wyczerpał. Skóra na nagich ramionach poszarzała, wystąpiły na niej cieniutkie żyłki.

Czy temperatura w pomieszczeniu przypadkiem nie wzrosła?

Maurits spojrzął na windę, która nawet nie pisnęła, odkąd kobieta stąd wyszła.

Czy będzie mu dane umrzeć w tym opuszczonym miejscu?

Wtorek, 15 grudnia 2020

CARL

Przez lata pracy w charakterze detektywa Carl wielokrotnie natknął się na wariackie zbieżności między różnymi sprawami. Ta była kolejnym tego typu przypadkiem, który mógł przyprawić załogę Departamentu Q o ciarki.

Dwa pogrzebane w ziemi ciała obsypano solą niczym śledzie w beczce, a praktycznie w tym samym grobie znaleźli też poszukiwaną Ragnhild.

Wyglądało więc na to, że jej sprawa łączy się z ich innym śledztwem z tablicy, pytanie tylko, w jaki sposób.

Obie ofiary to mężczyźni. Mniej sfatygowane, świeższe zwłoki należały do ważącego ponad sto kilo faceta o wzroście metr dziewięćdziesiąt, starsza ofiara prawdopodobnie ważyła tyle samo, tylko że była o dwadzieścia centymetrów niższa.

– Jeśli odłożymy na bok sprawę Ragnhild, to co te znaleziska nam w ogóle mówią? – spytał Carl pozostałą trójkę.

– Na pewno to, że te zabójstwa są ze sobą powiązane – rzucił Gordon.

Carl skinął głową.

– Tak, ale jedna rzecz świadczy o tym bardziej niż inne. Jaka?

– Że zabójca z pełną świadomością chciał przekazać komuś takiemu jak my, że denaci mają jakiś związek z czymś, co znajduje się tutaj. – Assad wskazał na tablicę.

– Owszem, a dlaczego? Czy morderca się z nami droczy, czy przechwala się swoimi czynami? A może to wskazówka, byśmy go powstrzymali? – Carl podszedł do szyby, na której widniały wymagające odpowiedzi pytania. – Na początek możemy wymazać stąd kilka linijek – powiedział, wskazując na dwie najniższe.

R7: Po kiego grzyba ktoś zostawia sól na miejscu zbrodni?

A8: Zabójstwa i podejrzane zejścia śmiertelne w 2010. Jakie?

– Myślę, że na pytanie Rose R7 znamy już częściową odpowiedź. Wprawdzie nadal nie wiemy, dlaczego właśnie chodzi o sól, ale jak powiedziałem wcześniej: z powodu obecności soli można z pewnością podejrzewać, że zabójca z rozmysłem chciał nam dać do zrozumienia, iż te przestępstwa mają jednego sprawcę. Możemy iść tropem tej hipotezy?

Potaknęli.

– Natomiast jeśli chodzi o A8, to Assad zidentyfikował zejście śmiertelne, które z dużym prawdopodobieństwem może być zabójstwem z roku dwa tysiące dziesiątego.

– Carl skinął z uznaniem do kolegi. – W każdym razie mamy je już na tablicy, Assad, więc założmy, że morderstwo w dwa tysiące dziesiątym dotyczyło doradczynie finansowej Pii Laugesen. Zgadzą się wszyscy z Assadem?

Rose i Gordon potaknęli.

Dziwnym trafem Marcus Jacobsen nie był szczególnie uszczęśliwiony. Departament Q połączył przecież kilka starych spraw z zejściem śmiertelnym, a być może też sprawę Ragnhild Bengtsen z dawnymi śledztwami, do wzięcia których Marcus sam ich zmusił. Dlaczego więc?

Szef Wydziału Zabójstw chciał westchnąć, ale zabrzmiało to tak, jakby się czymś zakrztusił.

– Ragnhild Bengtsen pochowano najwyżej metr od innych grobów, to rzeczywiście przykuwa uwagę. Ale po wnikliwej sekcji zwłok i skrupulatnych oględzinach jej grobu nie znaleźliśmy soli ani na jej ciele, ani w mogile.

– No i? – Carl nie rozumiał, w czym problem.

– Ponieważ ciała zakopano w tak ustronnym miejscu i tak blisko siebie, to można pomyśleć, że za zabójstwa odpowiada ten sam sprawca lub ci sami sprawcy. Dlatego zapytam wprost: skoro te dwa starsze ciała mają coś wspólnego z waszymi sprawami, to dlaczego sprawa Ragnhild nie ma?

– Może to nie było rytualne zabójstwo, tak jak tamte.

– Rytualne? Co masz na myśli?

– Nie wpasowała się z numerami. Nie zabito jej we właściwym momencie.

Marcus aż się zapowietrzył.

– Musisz mi to wyjaśnić.

– To zapraszam do naszego gabinetu.

Jacobsen przez dłuższy czas przyglądał się tabelce. Widać było, że uznaje ich tok myślenia za trafny i że rzeczywiście te sprawy łączy sekwencja zarówno lat, jak i dat.

Tym razem westchnął jak należy.

– Ale w tym schemacie wciąż jest sporo luk, przyjaciele.

Assad stanął przed nim z rękami w kieszeniach.

– Kiedy pojedziesz do PET-u, by pomóc mnie i mojej rodzinie? Dzisiaj?

Marcus potaknął.

– Dobrze. W takim razie chętnie podzielę się z tobą swoimi przemyśleniami. Otóż uważam, że tych dwóch ludzi, których ciała właśnie przywieziono do Instytutu Medycyny Sądowej, zostało zabitych odpowiednio w dwa tysiące osiemnastym i dwa tysiące szesnastym roku. Jeśli więc wyświadczysz mi przysługę, dociskając tych z PET-

u, a potem nam powiesz, kim są ci dwaj zamordowani mężczyźni, to zaręczam, że uzupełnię wiele pustych miejsc w naszej tabelce.

– Assad, na jakiej podstawie twierdzisz, że te zabójstwa da się z taką dokładnością umiejscowić w czasie? – odparował Marcus. – Przecież zwłoki mogły leżeć w ziemi dużo dłużej. Ba, mogły nawet być mrożone latami, nim zakopano je w ziemi.

– Wiem, że to trudno ustalić, szczególnie jeśli ciała zakonserwowano solą. Ale wiesz, co jeszcze myślę? Mianowicie, że obaj denaci zostali wypchani solą. Ręczę za to głową.

Carl to sobie wyobraził.

– Assad, mówi się „daję za to głowę”. Wiesz, dekapitacja.

Assad posmutniał. Widocznie było to o jedną poprawkę za dużo na jeden dzień.

Równo dziesięć minut później zadzwonili z Instytutu Medycyny Sądowej i wyjaśnili, że żołądki obu denatów zostały napełnione wodą z solą i że zarówno ich przełyk, jak i tchawicę wypełniała sól. Kuchenna, naturalnie.

– Oczywiście sól odniosła pewien skutek, ale w żadnym razie nie taki, jaki mogłoby odnieść tradycyjne balsamowanie, które spowolniało proces rozkładu i rozpadu organów. Sól znaleziona w grobie nie mogła zapobiec rozkładowi skóry. Ale w obecnej chwili zakładamy, że jedno zwłoki leżały w ziemi przez parę lat, drugie natomiast maksymalnie pięć. Podkreślam, że to czysta spekulacja.

– Potrafisz powiedzieć coś o przyczynie zgonu? – spytał Carl.

– Nie, za wcześnie na to, a może wręcz nie uda nam się tego nigdy stwierdzić z całą pewnością. Wstępne oględziny wskazują na to, że denaci nie doznali ani ran kłutych, ani obrażeń od broni palnej, ale jak już mówiłem, zwłoki są w dość kiepskim stanie, więc zobaczymy.

– Jakież znaki szczególne?

– Cóż, co mogę powiedzieć? Obu mężczyznom ogolono owłosienie łonowe, co – o dziwo – jest obecnie dość powszechne w pewnych grupach wiekowych, więc uznajmy to po prostu za próbę podkreślenia tego, że prowadzi się aktywność seksualną. Stawiam, że obaj panowie byli w wieku od trzydziestu do pięćdziesięciu lat, ale musimy poczekać na rozesłanie analiz uzębienia i odpowiedzi zwrotne.

– Chcesz powiedzieć, że uzębienie jest nietknięte? – spytał Carl.

– Zdecydowanie tak. W obu przypadkach bardzo ładne, musiało trochę kosztować.

– Tak myślisz?

– Tak, oczywiście implanty. Plus standardowe wypełnienia ubytków po wcześnie założonym aparacie ortodontycznym, pewnie z czasów szkolnych. Poza tym kilka zębów na sztyftach i jeden mostek. Fakt, jest co robić.

Napięcie w Departamencie Q sięgnęło zenitu.



Środa, 16 grudnia 2020

LOUISE/CARL

Louise von Brandstrup była córką bankruta będącego wcześniej fabrykantem odzieży z Herning, a potem żoną właściciela hurtowni dywanów, który też splajtował, i z którym się rozwiodła. Jej życie przypominało równię pochyłą. Nie miała szczególnych talentów ani wykształcenia, popijała, a do tego właściwie z nikim się nie przyjaźniła. Dlatego poszczęściło jej się, gdy w końcu zatopiła pazury w drugim mężu, Birgerze Brandstrupie, który zarabiał na inwestycjach w gry internetowe. Pełni nadziei, naiwni Duńczycy, żądni pomnożenia swoich skromnych środków bez najmniejszego wysiłku, przez ostatnią dekadę generowali małżeństwu dochód rzędu sześćdziesięciu milionów koron rocznie. Więc po co się przejmować takim drobiazgiem, że ostatecznie zyski przypadły w udziale tylko ich dwojce wraz z rodziną?

Któregoś listopadowego dnia w dwa tysiące osiemnastym roku jej mąż zniknął, a jako że majątek zapisany był na niego, skończyły się przyjacielskie pogawędki, fetowanie i huczne przyjęcia, do których Louise zdążyła przywyknąć. Właściwie z dnia na dzień stała się bezbronna i wszyscy ją zawiedli. Pierwsza żona Brandstrupa zażądała swojej części wyposażenia domu, jej dzieci domagały się wypłacenia swoich funduszy powierniczych. Wysłannicy firm leasingujących samochody, robotnicy, którzy postawili stajnię, i wszyscy inni wierzyciele ciągle wystawali pod jej drzwiami ze złością wypisaną na twarzach i z wyciągniętymi rękami.

Przez pierwsze miesiące Louise była przeświadczona, że Birger wróci. Że jego pogoń za nowymi panienkami i egzotyką wkrótce się skończy. Że będzie chciał ją udobruchać i zająć ponownie swoje stałe miejsce w małżeńskim łożu. Ale Birger się nie pojawił, a ona przeniosła się do domku letniego w Hornbæk, bo była to ich jedyna własność zapisana na jej nazwisko.

Leżała w łóżku, popatrując na wiadomości, gdy na pasku z napisem „pilne” pojawiła się wiadomość o zwłokach znalezionych w Skævinge. Louise uwielbiała te żółte, żądne sensacji i nierzadko mrozące krew w żyłach paski przesuwające się pod wiadomościami. Po jej plecach przebiegł dreszcz, ale trwało to tylko kilka sekund, bo coś wzbudziło jej podejrzenia. Poderwała się z łóżka, wstrzymując oddech, gdyż na dole ekranu pisali, że jedno z ciał należało do wysokiego mężczyzny, mierzącego ponad metr dziewięćdziesiąt, i że prawdopodobnie leżał on w ziemi od ponad roku.

To podejrzenie powinno ją zszokować, ale Louise poczuła nadzieję i ulgę. A gdyby to był Birger? Wtedy uznano by go za zmarłego i można by oszacować majątek. Owszem, trzeba go będzie podzielić, ale i tak dużo jej przypadnie. Była pewna, że nawet bardzo dużo.

Wbrew jej oczekiwaniom policja nie pojawiła się w mundurach. Przyszło dwóch wyjątkowo niedobrych mężczyzn, niczym heban i kość słoniowa. Śniady imigrant o podbiegłych krwią oczach i rozczochranych włosach, a u jego boku tyczkowaty, blady wymoczek, przypominający uczniaka, który stał, jakby przykleił się do wycieraczki. Przedstawili się, ale Louise nie zwróciła uwagi na nazwiska; nigdy tego nie robiła.

– Przychodzimy, bo dzwoniła pani na policję z podejrzeniem, że jednym ze zmarłych może być pani małżonek, Birger Brandstrup – powiedział wymoczek.

– Von! – poprawiła. – Birger VON Brandstrup, owszem.

Imigrant zerknął w papiery i mruknął coś do siebie.

– Nic tu nie piszą o „von”. Ciekawe dlaczego?

– Przyszliśmy, by pani powiedzieć, że analiza uzębienia potwierdziła tożsamość pani męża. Bardzo nam przykro – oświadczył uczniak.

Yes! – rozległo się w jej głowie, ale stosownie do sytuacji ukryła twarz w dłoniach. Nagle przyszłość zaczęła się rysować w jasnych barwach, możliwości wydawały się nieskończone.

– Chce się pani czegoś napić? – rzucił młodzian. – Potrzebuje pani czasu, by ochłonać? Chce pani zadzwonić do kogoś, kto pomoże pani oswoić się ze stratą?

Pokręciła głową.

– Sprawdziliśmy raporty i stwierdziliśmy, że zgłosiła pani zaginięcie męża dwudziestego drugiego listopada dwa tysiące osiemnastego roku, zgadza się? – spytał heban.

Skinęła głową zza dłoni.

– Pani mąż był niesłychanie zamożny, czy w którymś momencie zwrócono się do pani z żądaniem okupu lub w jakiś inny sposób dano pani do zrozumienia, jaki może być powód zaginięcia pana Brandstrupa? – spytał kość słoniowa.

Westchnęła i podniosła głowę. Miała nadzieję, że jej nietknięta łzami twarz nie wzbudzi ich zainteresowania.

– Nie, nigdy. Birger po prostu zniknął.

– Czy jest pani w stanie podać nam jakieś wyjaśnienie, dlaczego miałby zginąć? – spytał heban. – Miał wrogów? Był komuś winien pieniądze, których nie chciał zapłacić? Może jakieś długi wynikłe z gier hazardowych?

Parsknęła śmiechem.

– Birger z niczym nikomu nie zalegał, a gdyby zaciągnął długi przez gry, toby je po prostu spłacił. Dlaczego pyta pan o takie idiotyzmy? Birger zarabiał pieniądze na grach innych ludzi, sam nie grał nigdy. Jego zdaniem była to potworna głupota.

– A jednak przez ostatnich dwanaście, trzynaście lat inwestował w ponad dziesięć platform do gier w Danii i w wiele więcej w rajach podatkowych. Można by pomyśleć, że z tego tytułu mógł narobić sobie wrogów – rzucił uczeniak.

Louise spojrzała na niego pobłaźliwie.

– Chodzi panu o hazardystów? Ale wie pan, mąż trzymał się z daleka od użytkowników tych platform, więc trudno mi sobie wyobrazić, by zdemaskował się przed którymś z tych nieszczęśników. – Spojrzała na imigranta z odpowiednio zbolałą miną. – Gdzie jest teraz Birger?

– W Instytucie Medycyny Sądowej.

– Zapewne nie muszę go identyfikować?

– Nie, chyba że sobie pani życzy, jednak odradzałbym – odparł imigrant.

Niech Pan Bóg broni! Nawet jej się to nie śniło.

– Nazywał się Birger von Brandstrup – powiedział z naciskiem Gordon – i zaginął dwudziestego drugiego listopada dwa tysiące osiemnastego, po czym został zamordowany i można stwierdzić, że zakonserwowany w soli kuchennej. Assad i ja jesteśmy zgodni, że na tablicy możemy dopisać jeszcze jedną ofiarę, Carl.

– A żona? Jak było?

– Znasz historię o wielbłądzie, który zapragnął latać, Carl? – spytał Assad.

Mørck pokręcił głową. Gordon też jej nie znał.

– Aha. W każdym razie wielbłąd sobie ubzdurał, że potrafi latać, więc rozpostarł garby jak skrzydła i zeskoczył z wysokiej hałdy piasku pośrodku pustyni.

– Domyślał się, że jednak potrafił? – zgadł Carl.

– Nie, musiał lądować awaryjnie.

– Nie rozumiem puenty, Assad.

– Podobnie jak wielbłąd, tak nasz wysiłek włożony w tę wizytę poszedł w piach.

– Okej, zmyślne. Próbujesz powiedzieć, że żona nie miała nic do dodania na temat zniknięcia Birgera Brandstrupa?

– Nie, tylko to „von”, choć facet wcale się tak nie nazywał.

Carl pokręcił głową. Można by wypełnić całe Koloseum zadufanymi w sobie ludźmi, którzy myślą, że przywłaszczono „von” czy „de” uczyni ich ważniejszymi od innych.

– No, widzę, że się dobrze bawicie – rozległo się od progu, w którym stał szef Wydziału Zabójstw. – Może będziecie bawić się jeszcze lepiej, jak wam powiem, że dziś przed południem zidentyfikowano też drugie zwłoki.

Wszyscy zwrócili oczy na Marcusa Jacobsena.

– Owszem. Ów człowiek nazywa się Frank Arnold Svendsen, jest osobą powszechnie znaną, którą swego czasu ukarano serią grzywien za nieprzestrzeganie przepisów o ochronie środowiska.

Carl wzruszył ramionami.

– Znany, powiadasz?

– Tak, zapewne jest bardziej kojarzony z pseudonimem Franco Svendsen. Zgłoszono jego zaginięcie, uważano, że się utopił.

Carlowi zaczęło coś świtać.

– Dodam jeszcze, że podczas sekcji zwłok obu denatów ustalono, iż ofiary zmarły z tej samej przyczyny, mianowicie od wstrzyknięcia bardzo dużej ilości chlorku potasu, prawdopodobnie prosto w serce. Chlorek potasu jest jedną z trzech substancji, których używa się przy wykonywaniu wyroków śmierci przez wstrzyknięcie trucizny, ale dopiero po podaniu skazanemu iniekcji ze środkiem usypiającym. Natomiast ciekawe jest to, że zabójca w żaden sposób nie próbował utrzymać swojej metody w tajemnicy.

– Jak to? – zaciekawił się Carl.

– Dziś technicy znów pojechali sprawdzić miejsca pochówku i gdy pokopali trochę głębiej, w obu mogiłach znaleźli dwie identyczne strzykawki. Duże, stu pięćdziesięciomililitrowe, do jakich podłącza się wężyk i robi lewatywę, ale do tych były podłączone igły. Pozwolę sobie zauważyć, że te szataństwa są bardzo długie.

Carla przeszły ciarki.

– Czy w strzykawkach znaleziono resztki chlorku potasu?

– Tak, około pięciu mililitrów.

– Ile cieczy ich zdaniem znajdowało się w strzykawkach pierwotnie? – spytała Rose.

– Trudno to ustalić na sto procent, ale kto wie, czy nie wypełniono ich maksymalnie. W każdym razie tak zakłada raport techników.

– A ile w takim razie wynosi dawka śmiertelna? Pewnie nie potrzeba stu pięćdziesięciu mililitrów? – spytała Rose.

– Nie mam pojęcia, jak to działa po wstrzyknięciu prosto w serce. Bo sądzę, że przy podaniu dożylnym potrzeba tego znacznie więcej.

– Co mówią patolodzy? – spytał Carl.

– W pełni się zgadzają z tą wersją.

– Czyli zabito ich za pomocą chlorku potasu, a zakonserwowano chlorkiem sodu. Nagle zrobiło się bardzo chemicznie, prawda? – podsumowała Rose. Drżała, jakby miała dreszcze. – Mężczyzn porwano i uśmiercono w ten sam sposób, co skazańców na całym świecie, ale zapewne bez środków zwiotczających i usypiających – dodała ponuro.

– Tak, w ich organizmach nie znaleziono śladów innych substancji. Czyli śmierć była szybka i efektywna, ale z pewnością też bardzo bolesna. – Szef Wydziału Zabójstw odwrócił się do tablicy. – Zgony niespecjalnie przypominają te pozostałe, które policja początkowo zaklasyfikowała jako nieszczęśliwe wypadki lub samobójstwa. Myślicie, że mimo to powinny trafić na tablicę? Ja w każdym razie widzę wyjątkowo rzucające się w oczy puste miejsca w latach dwa tysiące osiemnastym i szesnastym.

Carl skinął do Assada, który podszedł do tablicy i zapisał na niej „Franco ‘Frank’ Svendsen” w rubryczce „2016”.

Potrzebowali chwili, by przetrwać tę informację, po czym Assad wpisał Birgera Brandstrupa pod rokiem dwa tysiące osiemnastym.

Carl spojrzął na rubryki tabeli i policzył zwłoki, przy których znaleziono sól. Teraz było ich siedmioro.

Środa, 16 grudnia 2020

ASSAD/CARL

Sceneria, którą zastał, przypominała w istocie o wielkości czasów minionych tego miejsca. Assad zaparkował na przedmieściach Odense i wlepił wzrok w biały pałac beztrosko posadowiony na wzgórzu w odległości co najmniej dwustu metrów od willowej uliczki. Jego wzrok przykuła też flota luksusowych samochodów, zapewne wynajętych za spore pieniądze.

– Zdziwiłam się, gdy pan zadzwonił – powiedziała kobieta, która otworzyła drzwi. – Minęło już chyba z dziesięć lat, odkąd rozmawiałam z policją o śmierci mamy. – Zaprosiła go do środka, wytworna i elegancka od stóp do głów, jak przystało na dziedziczkę fortuny wartej miliard euro. – Mieszkam w domu mamy od zakończenia sprawy spadkowej w dwa tysiące dwunastym roku – oświadczyła. – Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że mama jako młoda dziewczyna oddała do adopcji dziecko, więc sprawa się nieco przeciągnęła, bo nadała mu prawa do dziedziczenia.

Córka Pii Laugesen poprowadziła Assada do domu wyłożonego prawdziwymi dywanami, które przepychem mogłyby się równać z opowieściami z tysiąca i jednej nocy, i wskazała na skórzaną sofę większą od salonu Assada. Była kilkakrotnie rozwiedziona kobietą po czterdziestce, która przejęła dom wraz z czternastoletnią córką wybierającą się latem do szkoły z internatem.

Assad uśmiechał się najpiękniej, jak potrafił, zmagając się z nieposłodzoną białą herbatą parującą przed nim w delikatnej filiżance.

– Bardzo pyszna – powiedział z przymusu w tym samym zdaniu, w którym poinformował Tytte Laugesen, że kilka dni temu sprawę ponownie otwarto i że można się spodziewać szczegółowego śledztwa. – Ale najpierw muszę zobaczyć basen – dodał, po tym jak wlał ostatni łyk herbaty w swoje łaknące cukru gardło.

Basen był sporo większy, niż się spodziewał; mierzył co najmniej dwadzieścia na pięćdziesiąt metrów. Tuż przed pierwszą wojną światową zbudował go z rozmachem niemiecki hurtownik, ojciec pięciorga dzieci, który zamarzył sobie, że zdobędą one większą tężyznę fizyczną niż on sam.

– Na zimę jest zasłonięty plandeką. Cóż, właściwie to przez cały rok, bo nie zamierzamy z przyjaciółmi robić w nim zupy z koronawirusem.

Wskazała na miejsce, w którym jej matka miała się potknąć o worek; Assad to sobie wyobraził. Pytanie tylko, czy rzeczywiście tak się to odbyło.

– Mama nie znosiła pływać. Zachowała basen tylko z tego względu, że świetnie się prezentował jako tło jej przyjęć i spotkań biznesowych. W każdym razie nie z uwagi na mnie.

– Kto doglądał basenu? – spytał Assad.

– Nasz ogrodnik, August.

– Ogródnik? Nie wie pani przypadkiem, czy jeszcze żyje?

– Jak najbardziej. Choć jest już starszym panem, to miewa się całkiem dobrze.

– Czyli może wie też pani, gdzie przebywa?

Kobieta ściągnęła usta i wskazała ręką na tyły ogrodu.

– W tym momencie znajduje się w oranżerii, pielęgnując nasze kamelie. Dobrze by było, by zdążyły zakwitnąć na święta.

August Nielsen miał co najmniej siedemdziesiąt lat, ale wyglądał na osiemdziesiąt pięć. Życie spędzone na dworze sprawiło, że jego skóra była ogorzała i opleciona siatką zmarszczek przypominających pajęczynę, ciągnących się od czoła do samego podbródka. Wprawdzie głos odmawiał mu posłuszeństwa, ale jego pamięć nie szwankowała.

– To nie ja rzuciłem tam ten worek, wiem to na pewno, bo Pia Laugesen nie znosiła, jak coś walało się po ziemi. Wiele razy mnie pytano, czy aby na pewno dobrze to zapamiętałem, ale czy ja wyglądam na sklerotyka? – Zaniósł się cichym, chrapliwym śmiechem. – Tyle razy im tłumaczyłem, że nie rozumiem, skąd się tam wziął worek soli, że musiał go tam położyć ktoś inny. Tyle że nie umiałem im wyjaśnić kto i chyba mi nie uwierzyli. A jak się mnie w ten sposób traktuje, to po prostu zamykam się w sobie.

– Przy dezynfekcji basenu dolewa się chlor wprost do środka?

– No właśnie tłumaczyłem policji, że to znacznie bardziej skomplikowane. – Mężczyzna wskazał na niewielką szopę za szpalerem tuj. – W środku znajdują się specjalne pojemniki, nad którymi trzeba czuwać i pilnować dozowania. Potrzeba sporej dawki chemii i odpowiednich ustawień, żeby wodę doprowadzić do pożądanej równowagi. Jest tam też system ogrzewania, ale Pia Laugesen nigdy go nie używała, bo nie miała ochoty na kąpiele.

– Ale tej soli z worka używał pan do innych celów?

– Coś takiego! Że też zadaje pan same właściwe pytania. Można zapytać, jak to się stało, że mówi pan tak dobrze po duńsku?

– Mieszkam tu od dzieciństwa.

– Aaaa – odparł, torując sobie drogę wśród rzędów kwiatów. – To może źle pan znosi temperaturę w oranżerii? – Zaśmiał się. – No więc i tak, i nie. Worek wygląda jak ten, których używamy, sypiąc zimną sól na podjeździe, ale sól w tym worku była znacznie drobniejsza niż zazwyczaj. I tego też nie potrafiłem zrozumieć.

– Assad, słyszałeś, że rząd wprowadza w Danii lockdown? Tym razem już od jutra rana. – Głos Gordona drżał, jakby świat miał się zawalić. – Zamykają szkoły, zamykają salony fryzjerskie, zamykają domy towarowe i galerie handlowe. Jeszcze nie zdążyłem kupić prezentów gwiazdkowych, a kto wie, czy w ogóle zdążę, nim wszystko pozamykają? To katastrofa!

Spojrzał na Rose i Carla, którzy wyglądali, jakby zabezpieczyli się wcześniej. Assadowi było wszystko jedno, bo w jego domu i tak nie obchodzono świąt Bożego Narodzenia.

– Szlag, to się naprawdę odbije na nas wszystkich. Nie będzie prawdziwego świętowania z choinką, skoro nie można złapać się za ręce i zatańczyć wokół drzewka. No i należy powstrzymać się od śpiewania i zdaje się, że można się spotkać w maksymalnie dziesięć osób... – Gordon usiadł na krześle w kącie, sprawiając wrażenie, jakby miał wybuchnąć szlochem.

– Cóż, to rzeczywiście niedobrze. Z pewnością prawdziwy koszmar dla wielu osób. – Carl skinął głową i po odpowiednio długiej teatralnej pauzie zwrócił się do Assada: – No dobra, jak tam twoja dzisiejsza wizyta w Odense? Wymazujemy Pię Laugesen z naszej tabelki czy nie?

– Nie. Nadal sądzę, że została zamordowana – odparł Assad. – Jej córka mi powiedziała, że próbowała zainicjować w tej sprawie śledztwo z prawdziwego zdarzenia, ale jej się to nie udało. Potem przyniosła kilka zeszytów z wycinkami, które powinienem zobaczyć. Prowadziła te bruliony, by zamieszczać w nich wywiady z matką, a potem materiały na temat jej śmierci. Mam je u siebie na biurku, zamierzałem je później przejrzeć.

– Co, u licha?! Jeszcze tu jesteś?! – zwrócił się Carl do Gordona. – Lepiej idź kupować świąteczne prezenty, póki na to czas. Przecież nie sposób wytrzymać tych twoich lamentów.

Błady osobnik oddychał ciężko, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

– Wydaje mi się, że na coś wpadłem – powiedział. – To może być wspólny mianownik dla wszystkich zabójstw, do tego nie ma nic wspólnego z Bliskim Wschodem.

Spojrzeli na niego z uwagą.

– Wczoraj byłem na obiedzie u moich rodziców wraz z dwójką ich przyjaciół. Wszyscy przetestowani na obecność koronawirusa, bądźcie spokojni. Przyjacieli



rodziców zajmuje się importem win, więc przyniósł ze sobą trzy butelki białego puligny-montracheta, które smakowało absolutnie niebiańsko.

– Och, aż człowieka zaczyna suszyć – zauważyła Rose.

– Tak, było bardzo delikatne. Trochę wypiliśmy, chyba nawet całą butelkę, więc zacząłem trajkotać i wspomniałem o sprawie Pii Laugesen. Powiedziałem, że prowadzimy śledztwo i że jest trudne, bo to stara sprawa, aż z dwudziestego sierpnia dwa tysiące dziesiątego. – Gordon spojrzał na Mørcka. – Carl, przepraszam cię, normalnie nigdy z nikim nie rozmawiam o pracy.

Carl wzruszył ramionami. Dobrze, że nie wiedzą, co on potrafi wypaplać po butelce wina.

– Wtedy jego żona powiedziała, że to zabawne, bo dwudziestego sierpnia obchodzi urodziny.

Carl próbował zmusić się do uśmiechu. Gdyby takie śmieszności potrafiły rozwiązywać sprawy policyjne, to jego eksteściowa miałaby w tej materii niemałe sukcesy.

– I dodała, że zawsze było jej przykro z powodu tej daty, bo jest bośniacką Serbką i gość, który rozpętał wojny na Bałkanach, Slobodan Milošević, urodził się tego samego dnia.

– No i? – spytała Rose.

Gordon spojrzał wprost na Assada.

– Pewnie pamiętasz, jak Marwa stwierdziła, że data śmierci Olka Dudka pokrywa się z datą narodzin Saddama Husajna, prawda?

W gabinecie zapadła cisza jak makiem zasiał.

– Chwilę przed tym, jak pani premier zapodała nam szokującą informację o lockdownie, sprawdziłem ten dziewiętnasty maja, datę zabójstwa Pallego Rasmussena. – Spojrzał na nich szelmowsko; czyli zapewne zapomniał już o katastrofie związanej z odwołaną Gwiazdką.

– No, dalej! – ponagliła go Rose.

– Dziewiętnasty maja to urodziny Pol Pota. Kambodżanina, który z Czerwonymi Khmerami dopuścił się największego i najbardziej brutalnego ludobójstwa w dziejach ludzkości, więc chyba mamy już jasność, nie sądzicie?

Pokiwali głowami. Saddam Husajn, Pol Pot i Slobodan Milošević w jednym rzędzie. Tym samym prawdopodobieństwo, że zabójstwa zaplanowano na dni zbiegające się z datami urodzin przeklętych dyktatorów i morderców, było bardzo wysokie.

Środa, 16 grudnia 2020

PAULINE

Z lustra spoglądała na Pauline zmęczona, zrezygnowana twarz. Na czole widać było głębokie bruzdy, podobne do tych, które ciągnęły w dół kąciki ust. Przez wiele dni Pauline ani razu się nie uśmiechnęła, bo też nie było ku temu powodów. Zawartość lodówki nie była zbyt obiecująca, podobnie jak stan konta bankowego. Widoki na pracę poważnie się skomplikowały, jako że pani premier wprowadziła w kraju kompletny lockdown aż do okresu ponoworocznego, a Pauline ogarniały przez to na przemian złość i rozpacz.

Nazajutrz o dwunastej zostanie zamknięta znaczna część duńskich sklepów i innych tego rodzaju przybytków. Co za gówniany rok, jakie fatalne święta. W tej chwili w całym kraju centra handlowe przeżywały istne oblężenie. Ludziom zupełnie odbiło, ale w przeciwieństwie do niej mieli przynajmniej co kupować. Jeszcze nigdy przedtem Pauline nie znajdowała się w takim dołku finansowym, bo jej dochody były zerowe, a wydatki na dom i życie – niemałe. Przez długie miesiące była zrozpaczona, a nadzieja na rychłą poprawę warunków bytowych w jej sytuacji malała. Na niewiele się zdało, że jej najlepsza przyjaciółka próbowała podtrzymać ją na duchu i przyznawała jej rację.

– Co, do cholery, sobie myśli ten minister kultury? Z czego mają żyć artyści estradowi? – powiedziała. – Mają recytować Hamleta, stojąc na skrzynce po piwie na placu Ratuszowym, czy może żebrać o datki na schodach do kościołów wzorem południowej Europy?

Pauline zerknęła na pudełko po butach stojące pod łóżkiem. Od prawie dwudziestu lat stanowiło jej tajną kotwicę ratunkową, kiedy przygnębienie brało nad nią górę. Gorące listy od Pallego potrafiły rozkołysać jej zmysły, pobudzić fantazję i ożywić wspomnienia licznych erotycznych przygód, a nawet czegoś więcej.

Teraz ta przestrzeń została zbrukana. Bo co by było, gdyby ten policjant dobrał się do tego pudełka? Czy zaczęliby ją podejrzewać? Czy natknęliby się tam na słowa, które podałyby w wątpliwość autentyczność jej miłości i afektu dla stryja? Wtedy czekałaby ją już tylko równia pochyła.

Ale choć nie miała nic wspólnego ze śmiercią Pallego, to wróciły myśli na jego temat, szczególnie kiedy usłyszała o zagłębieniach na nadgarstkach kochanka. Dzięki

tej informacji miała już pewność, że stryj planował się od niej odciąć. Tylko co się stało? Przecież Palle nigdy nie pozwalał się związywać. Kiedyś w gorączce walki zaproponowała, że zakuje go w kajdanki, bo zanadto się wiercił, gdy okładała go na oślep, ale nawet wtedy odmówił.

Ostatnie noce Pauline przepłakała z powodu swojej fatalnej sytuacji i przez to, że nigdy nie uzyska odpowiedzi na liczne pytania o ostatnie chwile Pallego.

Policjant wielokrotnie sugerował, że Palle nie popełnił samobójstwa i choć kiedyś było jej trudno uwierzyć, że jej kochanek mógłby sobie coś takiego zrobić, to już wiele lat temu szczerze się z tym pogodziła. Raz po raz się przekonywała, że właśnie ktoś taki jak Palle, skrywający mroczne wnętrza, potrafiłby targnąć się na swoje życie.

Tylko co w takim razie ze śladami na nadgarstkach? Skąd się wzięły?!

Jej myśli wędrowały w takie zakamarki i ślepe uliczki, od których lepiej trzymać się z daleka. W normalnej sytuacji rozpraszałyby ją codzienne obowiązki i intensywne kariery zawodowe, ale teraz, kiedy wszystko postawiono na głowie, ona też zaczęła wariować od natłoku myśli. Czy jej ukochanego zamordowano? A jeśli tak, kto mógłby się tego dopuścić? Jeśli nie był to napad rabunkowy czy zabójstwo na tle politycznym, to w grę wchodziła niemal na pewno osoba mu bliska. Mogłaby to być równie dobrze Sisle Park, rywalka Pauline. Dlaczego nie?

Oczywiście, w tamtym czasie Sisle mogła rzeczywiście zdetronizować Pauline. Im bardziej ją ta myśl nawiedzała, tym wydawała jej się logiczniejsza. Sisle była piękniejsza, bogatsza, mądrzejsza i bardziej obyta; należała do zupełnie innej ligi. Dlatego w okamgnieniu kobieta zaczęła zagrażać pozycji Pauline. Ale czy zagrażała też Pallemu? Czyżby posunęli się za daleko?

Pauline uśmiechnęła się pod nosem.

„Już ja ją dopadnę” – pomyślała.

Wyjęła pudełko i położyła je sobie na kolanach. Gdzieś pośród tych relikwii musiał znajdować się mejl na tyle bezosobowy, że równie dobrze mógł zostać skierowany zarówno do Sisle Park, jak i do niej. Mejl, który sugerował, że Palle tkwił z kimś w wyjątkowo bliskim i gwałtownym związku. I bez względu na to, czy Sisle była winna, czy nie, już Pauline się postara, by wywrócić jej życie do góry nogami i by kobieta musiała za wszystko zapłacić.

Zaśmiała się; było to niewiarygodnie wyzwalające.

Owszem, to uderzy Sisle Park dotkliwie po kieszeni, ale jeśli kogoś na to stać, to właśnie ją.

Kilka godzin później siedziały naprzeciw siebie w sercu Park Optimizing, będącym królestwem klasycznego designu meblarskiego i dyskretnych malowideł o sygnaturach przebijających wszystko, co Pauline kiedykolwiek miała okazję posiadać.

Za ascetycznym biurkiem ze stali i szkła siedziała Sisle Park, patrząc na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Cóż, dobrze wiem, kim pani jest, pani Rasmussen. Nie kryje się pani ze swoim życiem.

Spojrzenie Sisle Park wyrażało uczucie podobne do tego, które człowieka nawiedza, gdy przyniosą mu na talerzu coś innego, niż zamawiał.

– Nie wygląda pani na ucieszoną z mojej wizyty – stwierdziła Pauline, patrząc na otaczające ją bogactwo, z którego zamierzała co nieco uszczknąć.

– A dlaczego miałabym się cieszyć? Nie znam pani, nie mamy ze sobą nic wspólnego. Poza tym jestem zajęta. – Nacisnęła guzik interkomu i złożyła podpis na jakimś dokumencie. – Proszę więc się streszczać. Czego pani chce? Mówiła pani, zdaje się, że ma dla mnie propozycję biznesową?

– Na pewno mam coś, co chciałyby pani kupić. – Pauline odsunęła krzesło i odchyliła głowę do tyłu. Gest ten działał na scenie, więc dlaczego nie tu? – Mówi pani, że mnie nie zna, ale to przecież nie do końca prawda, zgadza się?

Sisle Park odwróciła się do drzwi i podała kartkę sekretarce, która weszła do gabinetu.

– To musi natychmiast od nas wyjść, wyślij kurierem. – Miała ciężkie powieki, gdy jej wzrok ponownie skierował się na Pauline. – No dobrze, proszę mówić. Wprawdzie od czasu do czasu o pani czytuję, ale nie wiem, skąd miałybyśmy się znać i co takiego chce mi pani zaproponować.

– Doskonale pani wie, że jestem bratanicą Pallego Rasmussena i że mi go pani odbiła. Stąd właśnie się znamy.

– Pallego Rasmussena?! Ależ, moja droga! No coś podobnego, co pani sugeruje?! Że niby go odbiłam?! Nie miałam z nim absolutnie nic wspólnego, oprócz tego, co mógł dla mnie zrobić pod względem politycznym. Święci pańscy! Z tym tłustym, obleśnym facetem! Dziewczyno, spójrz na mnie! Co miałyby robić z nim kobieta taka jak ja?

Pauline na chwilę zahipnotyzowało jej szydercze spojrzenie, ale wzięła się w garść, wyjęła z torebki szminkę i pomalowała usta czerwienią niemal równie oślepiającą jak ta używana przez Sisle Park.

– Wygląda na to, że chciała pani zabić tego tłustego, obleśnego faceta, którego kochałam.

Włożyła pomadkę z powrotem do torebki, starając się nie patrzeć na rozmówczynię, tak by agresja, której się po niej spodziewała, jej nie poruszyła.

– Kobieto, chyba zwariowałaś – usłyszała. – Zmiataj z powrotem do tych bredni, którymi się na co dzień zajmujesz.

Pauline uśmiechnęła się krzywo. Czyli właściwy atak nastąpił za jakąś sekundę.

– Jeśli dysponuje pani informacjami na temat śmierci Pallego, których dotychczas nie ujawniono, to chętnie zadzwonię na policję, by mogła się pani z nimi podzielić swoimi chorymi teoriami – dodała po chwili jej rozmówczyni.

Pauline skinęła głową, nie odrywając wzroku od czarnych kozaczków na wysokim obcasie na nogach Sisle Park. O ile się nie myli, to buty marki Celine, których cena wynosiła ponad tysiąc koron.

– Spójrz na mnie, kobieto. Mam dzwonić na policję?

Wzrok Pauline powędrował na dłoń Sisle, spoczywającą na białej słuchawce telefonu stacjonarnego.

– Myślę, że to dobry pomysł, jeśli chce się pani dać zamknąć na piętnaście lat w towarzystwie innych morderców. Może też pani po prostu zdjąć rękę z telefonu i posłuchać mojej propozycji. Wprawdzie będzie panią kosztowała pół miliona, ale da też pani możliwość odcięcia się grubą kreską od przeszłości. Czy to nie kuszące?

Ręka przez chwilę spoczęła ciężko na słuchawce. Potem Sisle powoli ją podniosła i ponownie wcisnęła guzik interkomu, przywołując sekretarkę.

„Przejrzałam ją” – pomyślała Pauline, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kartki.

Przez godzinę czekała na niższym piętrze. Uprzejma sekretarka, która ją tu przyprowadziła, zapewniła ją, że Sisle Park do niej dołączy, gdy pozwolą jej na to obowiązki. Wskazała na bufet z czekoladkami oraz kawą i herbatą w termosach, a także absolutnie nieodzowną butelką wody.

– Tymczasem proszę się częstować. Sisle prosiła, by pani przekazać, że cieszy się na wyjaśnienie nieporozumień, które między paniami narosły.

W ciągu tej godziny stan umysłu Pauline nieco się zmienił. Początkowo była pewna, że bezpardonowo docisnęła Park, ale teraz bała się, że w drzwiach pojawią się mundurowi. Czy Sisle nagrywała ich rozmowę? Jak się głębiej zastanowić, czy dla kobiety o jej pozycji nie byłoby to naturalne?

Powiedziała, że żąda pół miliona za milczenie na temat przeszłości. Ktoś mógłby to nazwać szantażem, a za szantaż trafia się do więzienia.

Pauline była zła na siebie; jak można być tak nieostrożną? Zacisnęła pięści. „Ale ja się będę bronić, Sisle, możesz być pewna” – pomyślała, nalewając sobie filiżankę kawy.

Powie policji, że próbowała zastawić pułapkę na Sisle Park. Że to podkomisarz Carl Mørck, jeśli go znajdą, uświadomił jej, że sprawy Pallego Rasmussena nie można uznać za zakończoną.

Po upływie kolejnego kwadransa zaczęła się zastanawiać, czy nie wyjść. Po części po to, by pokazać Sisle, że ta nie będzie jej wodzić za nos, po części dlatego, że zaczęła odczuwać suchość śluzówek i oczu, a jej ciało ogarnęło poczucie znużenia.

Zmrużyła oczy, patrząc na oświetlenie sufitowe, które nagle wydało jej się zbyt jasne. Dostrzegła wtedy rząd urządzeń przypominających reflektory. Czy to zaawansowany system do wyświetlania prezentacji, jak przystało na tak superwypasione wnętrze, czy może kamery monitoringu?

– Halo! – zawołała. Do diaska, muszą przecież wkrótce zareagować. Nie można zostawiać ludzi, by tylko siedzieli, gapiąc się przed siebie.

Pauline wstała, niepewnym krokiem podeszła do drzwi i chwyciła za klamkę.

Szarpnęła nią kilka razy, nim do niej dotarło, że drzwi są zamknięte na klucz.

Wlepiła wzrok w klamkę, która powoli zaczęła jej się rozmazywać przed oczami.

Gdy w końcu do pomieszczenia ktoś wszedł, Pauline leżała na podłodze, walcząc o oddech.

1984

LISBETH

– Powiadasz, że czujesz się na siłach, by cię wypisano. Jak to uargumentujesz, Lisbeth?

Próbowała przydać swojemu uśmiechowi słodyczy, ale to przecież nigdy nie działało na ludzi takich jak on.

Czy on w ogóle na nią patrzył, kiedy tak siedział, zdrapując sobie łupież z brwi i poprawiając zjeżdżające mu z nosa okulary?

Kim ten człowiek w ogóle był? Ordynatorem? Lekarzem dyżurnym? Kolejnym stażystą? Nie miała pojęcia.

Zrobiła głęboki wdech, delektując się wiosną po drugiej stronie okna, gdzie kusiła ją przyczajona wolność.

Przez te czternaście miesięcy hospitalizacji na różnych oddziałach przez życie Lisbeth przewinął się tabun psychiatrów wściubiających nos w jej duszę. Niektórzy mieli oceany czasu na zadawanie w kółko tych samych pytań, inni drżeli ze zmęczenia, przytłoczeni nadmiarem pracy i odpowiedzialności; oni chcieli już tylko wracać do domu. Byli i wysocy, i niscy, ich popularne duńskie imiona jawiły się Lisbeth niczym obrazki w kalejdoskopie, ale poza tym byli zaskakująco podobni.

Spojrzała na plakietkę na piersi lekarza. „Thorleif Petersen” – głosił napis. Może to faktycznie on o wszystkim decyduje? Wydawało jej się, że natknęła się już na to nazwisko, ale nagle ogarnęły ją wątpliwości.

Przy stole konferencyjnym na krzesłach obok Thorleifa rozpoznała tylko jedną osobę, pielęgniarkę oddziałową. Pozostałych dwoje lekarzy mogli jej zdaniem równie dobrze zgarnąć prosto z ulicy, nie mieli nawet na sobie fartuchów.

– Tak, chciałabym zostać wypisana, bo czuję się już dobrze. Leczenie zadziałało i jestem gotowa wrócić do normalnego życia i studiów na uniwersytecie.

Lekarz jeszcze raz przeskanował wzrokiem jej dokumentację medyczną i skinął głową.

– Cóż, masz za sobą potworne doświadczenie. Miałaś szczęście, że uszłaś z niego z życiem. Ale ten gniew, którym od czasu do czasu wybuchasz bez ostrzeżenia, wskazuje na to, że wciąż jeszcze nie zdystansowałaś się do przeszłości. Na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, że jeśli uznamy za stosowne, by cię wypisać, będziesz

musiała kontynuować leczenie. Nie potrafię powiedzieć jak długo, ale moim zdaniem przez całe życie.

Potaknęła. Jeśli ten stetryczały facet sądzi, że ją przestraszy, to naprawdę jest za głupi do swojej pracy.

– No tak, ale minęło już dużo czasu.

– Dużo czasu od czego? – Poprawił okulary i przewiercił ją spojrzeniem.

– Od wybuchu gniewu. Nie odczuwam już złości, przecież mówię, że czuję się dobrze.

– Z twojej dokumentacji wynika, że piorun o mało cię nie zabił. Że twój mózg i centralny układ nerwowy doznały silnego wstrząsu, ale lekarze z oddziału neurologicznego Szpitala Królewskiego uważają, że na szczęście nie odniosłaś trwałych uszkodzeń. Natomiast niepokoić może to, jak taki gwałtowny wstrząs wpłynął na twoją psychikę.

Dwójka pozostałych lekarzy autorytatywnie pokiwała głowami, ale czy kiedykolwiek naprawdę z nią o tym rozmawiali? Miała poważne wątpliwości.

– Czytam, że twoim zdaniem to wola Boża zdecydowała o tym, iż to ty przeżyłaś rażenie piorunem, a inni zginęli.

– Tak, wola Boża. Bo co, jeśli nie ona?

Zmarszczył czoło.

– Pan nie wierzy w Boga? – spytała.

Przekartkował kilka stron w jej dokumentacji medycznej, co stanowiło wystarczającą odpowiedź.

– Podobno na naszym oddziale wielokrotnie rozmawiałaś z Bogiem. Słyszysz głosy, Lisbeth?

– Nie!

Skierował na nią spojrzenie. „Na pewno?” – sugerował jego wzrok.

– Nie chciałaś zdradzić, dlaczego twoim zdaniem twoich znajomych ze studiów miałyby dotknąć kara Boża, a ciebie nie.

– Proszę posłuchać. Przystałam na hospitalizację dobrowolnie, bo przekonała mnie mama. Teraz już nie żyje, a ja czuję się dobrze, więc...

– Twoja mama zmarła, a ciebie chyba niespecjalnie to zabolowało, prawda?

Położyła ręce na kolanach i nachyliła się w jego stronę.

– Była nieuczciwą osobą, więc faktycznie, nie zabolowało mnie to. Nasze wzajemne relacje nigdy nie były głębokie ani trwałe.

W tym momencie wtrącił się jeden z pozostałych lekarzy.

– Lisbeth, przez jakiś czas chciałaś mówić tylko i wyłącznie o sprawiedliwości i karze Bożej oraz o tym, co naszej ziemi zrobił Szatan. Sprawiało to wrażenie



niemalże obsesji. A jak jest teraz?

Kiwnęła głową. Na szczęście zawczasu dała sobie spokój z tego rodzaju wypowiedziami, ale też które z nich potrafiłoby dostrzec ich głębię w tym opuszczonym przez Boga miejscu?

– To już za mną, poza tym minęło sporo czasu. Teraz czuję się już dobrze.

– Czyli chcesz powiedzieć, że nie kieruje już tobą brutalna agresja wobec bliźnich?

Pozwoliła sobie na ostrożny śmiech.

– Oj, nie. W żadnym razie.

Cała trójka nabożnie pokiwała głową. To irytujące, ale sprawiali przy tym wrażenie profesjonalnie sceptycznych.

– Chciałbym poruszyć z tobą jeszcze jedną kwestię, Lisbeth – powiedział trzeci lekarz. – Abstrahując od wszystkiego, co dotąd powiedzieliśmy, to muszę przypomnieć ci o manii wielkości, która mogła mieć duży wpływ na twoje plany na przyszłość. Wielokrotnie powtarzałaś, że chcesz dojść w Danii na sam szczyt. Że chcesz dokonać wielkich rzeczy i zgromadzić niemałe środki, prowadząc własne przedsiębiorstwo. Oczywiście uważam, że wszyscy mamy prawo do marzeń na szeroką skalę i dużych ambicji na przyszłość, ale obawiam się też, że mogłaś w tym przeholować. Czy sądzisz, że twoje marzenia stały się teraz bardziej przyziemne, Lisbeth? Bo w przeciwnym razie życie po drugiej stronie murów szpitalnych może cię rozczarować i zniszczyć tak, że nawet sobie nie wyobrażasz.

Znów się uśmiechnęła, co nie było trudne. Oto siedzą przed nią średnio uzdolnione osobniki, obserwując ją z własnej małej, przeciętnej – tak zwanej normalnej – perspektywy. Oni nigdy nie byliby w stanie dotrzeć dalej niż tu, gdzie się obecnie znajdują; na dodatek są z tego zadowoleni i dumni. Lekarze specjaliści, ojcowie rodzin, praca dzień w dzień od dziewiątej do szesnastej. Zero widoków na umysłową rewolucję. Żadnych przełomowych pomysłów. I dopiero gdy kiedyś przejdą na emeryturę, rozsiądą się na fotelach w nudnej jesieni swojego życia i będą się dziwić, że osiągnęli tak niewiele.

– Nie, nie mam już takich ambicji – skłamała. – Chcę wrócić do studiowania chemii. Znaście moje oceny, rozmawialiście z moimi wykładowcami, więc wiecie, że to moje powołanie i że będę w tym dobra.

Teraz przysłała pora na pielęgniarkę.

– Jestem tu tylko po to, by wyrazić swoją opinię, jak postrzegam cię na co dzień, Lisbeth. Moim zdaniem dobrze się tu sprawowałaś i części twoich współpacjentek będzie bardzo przykro, gdy zostaniesz wypisana. Ale prawda jest też taka, że na pewno nie wszyscy zasłużyli w twoich oczach na łaskawe potraktowanie, o czym sama doskonale wiesz. Uważam wręcz, że dla niektórych z nich byłaś bardzo niedobra. Jeśli

mielibyśmy wrócić do samego początku, do chwili przyjęcia cię na oddział, to trudno nie wspomnieć o rozprężeniu, do którego się wielokrotnie przyczyniłaś. Mam tu na myśli szczególnie jeden przypadek, na pewno wiesz, o kogo chodzi.

Lisbeth kiwnęła głową. Oczywiście, musieli do tego wrócić.

– Owszem, ale to było dawno temu, ponad rok, prawda? I nadal jest mi z tego powodu przykro. Nie chciałam, by ta kobieta tak bardzo ucierpiała.

– Lisbeth, ona popełniła samobójstwo, i to w drastyczny sposób. Odbijało się to na pacjentkach oddziału jeszcze przez wiele miesięcy. Niektóre zaczęły się ciebie bać. Między innymi dlatego musieliśmy cię ciągle przenosić.

– Wiem dobrze, że było kiepsko, Karen, ale w tym miejscu trzeba spędzić wiele miesięcy, by pojąć, z jaką siłą słowa potrafią ranić innych chorych psychicznie. Teraz to wiem i szczerze żałuję, że tak się stało.

Skinęła głową ze spojrzeniem wbitym w podłogę, przypominając sobie uczucie autentycznego triumfu, gdy zmusiła tę chorą psychicznie kobietę, by wielokrotnie dźgnęła się drutem do robótek ręcznych w okolice serca. Dzięki temu ze świata zniknęła jedna obrzydliwa osoba, która nic dobrego nie wniosła i nie dokonałaby też niczego dobrego w przyszłości. Osoba o nieczystym sercu, nieczystej mowie, nieczystym stosunku do powszechnie przyjętej moralności. Naprawdę nie było nad czym ronić łez.

– Cieszę się, że to mówisz, Lisbeth. Wierzę ci – oświadczyła pielęgniarka.

Przez chwilę lekarze i ona wymieniali spojrzenia, po czym głos zabrał pierwszy z medyków, który nadal skubał brew.

– Cóż, jak już powiedzieliśmy, sama wiesz, że nie możemy cię tu trzymać na siłę, ale uważam, iż na wyjście ze szpitala i konfrontację z otaczającym światem jest w twoim przypadku zdecydowanie za wcześnie. – Podsunął jej jakiś papier. – Możesz złożyć tu podpis i wypisać się na własne żądanie, a my zaopatrzymy cię w tabletki na kolejne cztery tygodnie i recepty na późniejszy czas.

Lisbeth potaknęła.

– Tak, dwie pigułki rano i dwie wieczorem. Pamiętam.

Tym razem kliknięcie drzwi prowadzących na oddział brzmiało zupełnie inaczej niż wtedy, gdy wychodziła na przepustkę, po prostu na dwór czy gdy jechała na weekend do matki. Miała niemal wrażenie, że próżnia za jej plecami zasysa wszystkie minione miesiące jej życia. Jakby kliknięcie samo w sobie było życiodajne.

Walizka na kółkach, którą ciągnęła za sobą, nie była ciężka. Większość odzieży zostawiła w szafce w swoim pokoju. Nic, czego używała w szpitalu, nie miało prawa jej przypominać o tym pobycie, który właśnie przechodził do przeszłości.

Czuła się silna i absolutnie gotowa na kolejny, najważniejszy etap w swoim życiu.

Gdy dotarła do alei szumiących drzew, włożyła rękę do torebki i zamachała sobie przed oczami małym plastikowym opakowaniem. Cztery razy po trzydzieści niebieskich i białych pigułek, które miały ją stłamsić, zdławić w niej inicjatywę, zlikwidować niepożądane huśtawki nastrojów i zamazać budzące niepokój, destrukcyjne wspomnienia i myśli.

Zaśmiała się, gdy po otwarciu opakowania zaczęła rzucać tabletki na ziemię jedną za drugą, by jak w baśni braci Grimm, oznaczyć drogę, którą przebyła i którą już nigdy nie wróci.

– Nie! – krzyknęła tak głośno, że odwróciło w jej stronę głowy kilkoro zataczających się pacjentów, przebywających na pozbawionych sensu spacerach na świeżym powietrzu.

Nigdy, już nigdy więcej żaden człowiek jej nie zmanipuluje i nie wpłynie na to, kim jest i co reprezentuje.

Dopilnuje tego, nawet jeśli miałoby to ją zniszczyć.

Środa, 16 grudnia 2020

### CARL

Carl był właściwie całkiem zadowolony. Lockdown Danii da mu spokój do pracy na wszystkich frontach. Zespoły dochodzeniowe Wydziału Zabójstw miały pilnować izolowania się od siebie, Mona siedziała w domu z małą, gorączka przedświąteczna ustała z godziny na godzinę, a najlepsze było to, że dopóki ten stan się nie zmieni, to wizyta PET-u w domu Assada zostanie przełożona na bliżej nieokreśloną przyszłość. W obecnych czasach nikt nie będzie miał ochoty ładować się komuś do domu, jeśli nie zaistnieje paląca konieczność.

Carl otworzył okno i wyjął papierosa. Jeśli w ogóle w coś mocno wierzył, to w to, że nikotyna będzie walczyć do upadłego z wszystkimi zasranymi wariantami koronawirusa.

Aktualnie Rose i Gordon przeglądali te sprawy z tablicy, w których znany był dzień śmierci ofiary, a Assad przeczesał zeszyty z wycinkami Tytte Laugesen. Carla ogarnęło dobre samopoczucie.

On sam skoncentrował się na sprawach dwóch zakopanych ciał, a tu pytań wszelkiej maści nie brakowało. Kto na przykład używa jednorazowych strzykawek o pojemności stu pięćdziesięciu mililitrów z bardzo długimi igłami? Według wyszukiwarki internetowej mogli to być ludzie pracujący w rolnictwie, ale też w laboratoriach, w szpitalach lub w różnego rodzaju gabinetach lekarskich, a przy takim wyborze ustalenie dostawcy stanowiło zadanie nie do wykonania. Producent też nie był w stanie im pomóc, jako że na strzykawkach nie zachowały się żadne znaki szczególne takie jak numer partii towaru czy kody kreskowe.

Carl nie miał wątpliwości, że ostatnie ofiary zabójstw mają coś wspólnego z pozostałymi przypadkami z tablicy ze względu na sól, stanowiącą wspólny mianownik. A jednak te morderstwa odróżniały się od reszty, bo w ich przypadku nieznane były dokładne daty przestępstwa, jako że obu mężczyzn najwyraźniej uprowadzono i zapewne dopiero później zamordowano i zakopano.

W przypadku Birgera Brandstrupa nagranie z kamery monitoringu pokazało, że odebrała go z pracy biała skoda superb, a potem ślad po nim zaginął. Przez kilka lat można było żyć w fałszywym przeświadczeniu, że w grę wchodziło wyreżyserowane

zniknięcie, co przecież nieraz się zdarzało. Mógł odłożyć sobie na boku okrągłą sumkę i teraz żyć jak król w Tajlandii czy innym egzotycznym kraju.

Dopiero teraz się okazało, jak było naprawdę.

W przypadku Franca Jensena wiodącą teorią było samobójstwo. Czwartego listopada dwa tysiące szesnastego roku po zakończeniu zupełnie normalnego, roboczego dnia zszedł na plażę, jak to często miał w zwyczaju, by wziąć odświeżającą kąpiel w lodowatej wodzie. Kiedy nie wrócił w porze posiłku, rodzina się zaniepokoiła. Potem znaleźli na brzegu jego schludnie złożone ubranie. Czyli wbrew swoim zwyczajom wszedł do wody nagi, co zdziwiło rodzinę, bo był dość nieśmiałym człowiekiem. Wszystkie te czynniki sprawiły, że zaczęto się poważnie martwić, iż mężczyzna utonął. Z regularnych wizyt lekarskich wynikało, że cieszył się dobrym zdrowiem i że zawsze był silny jak tur. Nie znając bliższych okoliczności zdarzenia, zadowolono się więc hipotezami, że albo popełnił samobójstwo, albo że w zimnej wodzie złapał go skurcz – i wstrzymano dochodzenie. Skoro nigdy nie odkryto ewentualnej przyczyny samobójstwa, trzeba się było pogodzić z tym, że niestety doszło do nieszczęśliwego wypadku. Pod wpływem wiatru wiejącego od lądu morze musiało go wciągnąć na głębinę; wszyscy trwali w tym przeświadczeniu, dopóki nie odkopano jego zwłok w Skævinge.

Każde ciało w swojej mogile. Ale czym sobie zasłużyli na to, by zapłacić za coś własnym życiem? I dlaczego te zabójstwa były takie bezosobowe w porównaniu z pozostałymi na tablicy?

Czy to nowa strategia? Czy morderca pragnął teraz zagrać w pewniejsze karty? Z drugiej strony jednak umieścił sól w pobliżu ofiar niczym coś w rodzaju wizytówki, co świadczyło o pewnej buńczuczności. W sprawach seryjnych morderców takie właśnie działania symboliczne są nierzadko jedynymi tropami, o czym wiadomo na podstawie doświadczeń z zagranicy. W sprawach, w których obecnie prowadzili dochodzenie, też nie brakowało takich działań. Zabójstw dokonywano co drugi rok, w coraz późniejsze dni, do tego ta cała sól. Mnóstwo śladów, które mogły zdradzić mordercę, a jednak ekipa Departamentu Q i tak znajdowała się w kropce.

Pod pachami Gordona widniały ciemne plamy, gdy wparował do gabinetu Carla. Na jego skórze, bladej jak u mieszkańca kraju pozbawionego słońca, pojawiły się z ekscytacji czerwone plamy. Po piętach deptali mu równie podekscytowani Rose i Assad.

Gordon nie zdążył nawet usiąść, nim wypalił:

– Właściciel warsztatu Wilder został zabity w dzień urodzin Nicolae Ceaușescu, Olek Dudek, jak już powiedziała nam Marwa, zmarł w urodziny Saddama Husajna, Bente Laugesen utopiła się w urodziny Slobodana Miloševicia, a Palle Rasmussen –

Pol Pota. Do listy możemy jeszcze dodać fakt, że handlarz bronią Carl-Henrik Skov Jespersen został zamordowany w dzień narodzin Idiego Amina.

Ten jeden raz Carl musiał przyznać mu rację.

– Nie, tu raczej nie ma mowy o przypadku – stwierdził.

– Ha! Pięciu największych zbrodniarzy świata na jednej i tej samej tablicy to nie może być przypadek, Carl, więc zakończmy raz na zawsze tę dyskusję.

Assad uśmiechnął się szeroko.

– Teraz musimy już tylko wyszukać sprawy z lat parzystych, jak na przykład z tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiątego, dziewięćdziesiątego drugiego, dziewięćdziesiątego czwartego i szóstego, które wypadają między tymi sprawami, które już znamy. Musimy też sprawdzić, kiedy urodzili się najwięksi zbrodniarze przeciwko ludzkości.

– A jeśli to do niczego nas nie doprowadzi, bo być może nadal tak uważasz, Carl, to przynajmniej spędzimy miło czas z odrobiną historii powszechnej – stwierdziła Rose. Gdyby istniała szkoła specjalizująca się w dopracowywaniu uszczypliwości i sarkastycznych uwag, to Rose zaliczyłaby w niej wszystkie klasy.

Środa, 16 grudnia 2020

PAULINE

Wyczuła ruch wokół siebie. Kroki kilku osób, zamykające się i otwierające drzwi. Głosy o ponaglącym tonie i ręce kładzione na jej ramionach i delikatnie nią potrząsające. Zrobiwszy kilka głębokich wdechów, powoli otworzyła oczy i zobaczyła grupkę kobiet, za którymi stała Sisle Park mierząca ją trudnym do rozszyfrowania spojrzeniem.

– Jest mi niedobrze – powiedziała Pauline. – Myślę, że...

Poczuła nagle falę dyskomfortu płynącą z brzucha i bez ostrzeżenia wymiotowała.

Stojące najbliżej postaci się cofnęły, sprawdzając swoje gładkie ubrania.

– Przepraszam – powiedziała Pauline i jeszcze raz zwróciła.

– Proszę napić się wody. – Przed pozostałe kobiety wystąpiła Sisle Park. Czyżby przez cały czas trzymała szklankę w rękach?

Pauline piła łapczywie; napój dobrze jej zrobił. Powieki przestały stawiać opór, żołądek się uspokoił i do kobiety powoli zaczęło dochodzić znaczenie widowiska, w którego centrum się znalazła.

– Dlaczego mnie uwięziliście? – spytała.

Sisle Park przechyliła głowę. Czyżby się dziwiła, czy też może za sekundę zaatakuje?

– Przecież zatrzymałaś mnie tą kawą, Sisle, dlaczego? – spytała, wbijając wzrok w inne kobiety. Okazywały oznaki zdziwienia? Czy ruszą jej z odsieczą?

Ale one tylko stały, uśmiechając się. Tego się nie spodziewała.

Wyraz twarzy Sisle Park złagodniał, tak jak oblicza jej pracowniczek.

– Pauline, chciałam przeprosić, że tak to zinterpretowałaś. Drzwi zatrząskują się automatycznie; niestety nie przemyślałyśmy tej kwestii, nad czym bardzo ubolewamy. Co do kawy, to jest to najlepsza etiopska arabica, jaką jesteśmy w stanie dostać w Danii. – Podeszła do bufetu i nalała sobie filiżankę. – Nadal cudownie ciepła i delikatna, taka jak powinna być. Ale może nabawiłaś się jakiejś infekcji żołądka? Ostatnio dzieje się tyle dziwnych rzeczy.

Wzięła kilka łyków i zwróciła się do pozostałych kobiet zebranych w pomieszczeniu, dziękując im za pomoc i zapewniając, że ona się wszystkim zajmie.

Pauline pot wystąpił na czoło, gdy reszta kobiet wyszła. Próbowwała wstać, ale Sisle położyła rękę na jej ramieniu, nalegając, by się nie przemęczała.

Pauline odepchnęła jej dłoń.

– Przecież wymieniliście kawę, gdy byłam nieprzytomna. Sądziłaś, że się nie domyślę? Nie jestem głupia.

Twarz Sisle Park nawet nie drgnęła, ale w jej głosie pojawiła się ostrzejsza nuta.

– Powiem ci jedną rzecz, Pauline, i zrobię to tylko ten jeden raz. Mam dość twoich oskarżeń i insynuacji. – Postawiła krzesło przed rozmówczynią i usiadła. – Teraz mi pokaż, co masz w tej swojej torebeczce, czym chciałaś mnie szantażować.

Pauline doświadczyła już w swoim życiu tego, że stan umysłu może się momentalnie odmienić pod wpływem jednego spojrzenia, lekkiego dotknięcia, słowa. Że miłość w jednej chwili zamienia się w nienawiść. Troska w obojętność, smutek w radość.

Tym razem chęć ataku ustąpiła miejsca lękowi. Sisle miała nad nią całkowitą przewagę. Była znacznie wyższa niż Pauline, poza tym znajdowały się w ustronnym i dźwiękoszczelnym pomieszczeniu, więc lepiej szybko się wycofać i przyznać, że zagrało się *va banque*. Czuła, że w przeciwnym razie sprawy mogą przybrać niepomyślny obrót.

– Przepraszam, Sisle. To prawda, że przyszedłam cię zaszantażować, ale to dlatego, że jestem zupełnie spłukana. Ostatnio zostałam po prostu bez żadnych środków do życia i jestem zdesperowana.

– Ach, tak. Ale pozwoliłaś sobie wysunąć wobec mnie bardzo poważne zarzuty. Oskarżyłaś mnie o morderstwo.

– Naprawdę mi przykro, wyssałam to z palca.

– Co masz w torebce? Czym zamierzałaś mnie szantażować?

– Nic takiego, tylko to. – Pauline wyjęła wydruk i podała go Sisle.

Ta ostatnia przeczytała mejla powoli i wnikliwie, po czym podniosła głowę.

– Przecież to nie ma ze mną nic wspólnego – powiedziała. – Ten mejl został napisany do ciebie, prawda?

Pauline wzruszyła ramionami.

– Nie pamiętam, ale pewnie tak.

– To może będzie lepiej, jeśli zostanie u mnie. Nie będzie cię kusiło, by posłużyć się nim kolejny raz.

Aktorka patrzyła, jak ręce Sisle składają kartkę i wkładają ją do kieszeni. Było to bardzo dziwne i niepokojące, ale co mogła na to poradzić?

– Owszem, cała sytuacja jest w obecnej chwili rzeczywiście okropna i wszyscy cierpimy z tego powodu – ciągnęła Sisle Park. – Już trzeci raz muszę wysłać swoje pracowniczki do domów, ale i tak sobie poradzimy, bo mamy szczęście, że sami nie paramy się produkcją, lecz zajmujemy się czymś w rodzaju dystrybucji wiedzy na szeroką skalę i jesteśmy naszym klientom niezbędni. Przyznaję, że twoja codzienność



całkowicie różni się od mojej, więc choć posunęłaś się o wiele za daleko, to pod jakimś względem cię mimo wszystko rozumiem.

„I co zamierzasz z tym zrobić?” – pomyślała Pauline.

– W tym stanie sama nie wrócisz do domu, prawda?

Pauline wstała i zarzuciła sobie pasek torebki na ramię.

– Ależ tak, wrócę. Czuję się już dobrze.

Na czole Sisle pojawiły się dwie bruzdy, choć jej twarz była poza tym całkiem gładka.

– Ależ nie ma mowy. Odwiozę cię!

„Nie wsiądę z nią do samochodu” – pomyślała Pauline i podziękowała jej, ale Sisle się uparła i chwyciła ją mocno za ramię.

Szły szarym długim korytarzem po piwnicy i prowadzących w górę schodach. Wreszcie stanęły na słabo oświetlonym i mokrym od deszczu parkingu.

„Ona mnie nie zmusi, bym weszła do auta” – pomyślała Pauline, skanując wzrokiem teren.

Biuro mieściło się w budynku wolno stojącym, który po jednej stronie graniczył z parkiem, po drugiej zaś z dzielnicą willową składającą się z dużych domów o oświetlonych oknach.

– Wsiadaj, Pauline – usłyszała głos Sisle po drugiej stronie lśniącego mercedesa.

Aktorka chwyciła za klamkę i powoli otworzyła drzwi, ale w chwili, gdy trzasnęły drzwi od strony kierowcy, cisnęła torebkę i rzuciła się do ucieczki.

Sisle krzyczała z auta do Pauline, by ta się zatrzymała, ale kabarecistka nie zamierzała jej słuchać. Gdyby znalazła się w tym samochodzie, byłaby zgubiona.

Za jej plecami silnik zapalił i z przyspieszeniem hybrydy auto ruszyło po parkingu, rozbryzgując kołami wodę z kałuż.

Pauline wbiegła w najbliższą willową uliczkę, składającą się z niemal nieprzerwanego rzędu płotów z kutego żelaza i bram na pilota. W tej bogatej i samowystarczalnej okolicy nikt nie chciał ryzykować wizyt nieproszonych gości.

Pięćdziesiąt metrów dalej, między dwiema pomalowanymi na biało patrycjuszowskimi willami, Pauline dostrzegła ścieżkę i uznała, że stanowi ona jej jedyną drogę ucieczki. Za jej plecami mercedes zahamował z piskiem opon, jego drzwi otworzyły się z impetem i po chwili rozległ się nieporównywalny z niczym innym odgłos długich nóg na wysokich obcasach pędzących po żwirze. Sisle krzyczała, że to jakieś szaleństwo. Pauline nie ma się czego obawiać, ona przecież chce ją tylko odwieźć do domu. Ale Pauline się nie zatrzymała. Nagle odgłos pościgu za jej plecami ustał, więc się odwróciła i ujrzała Sisle biegnącą mimo deszczu bosą po ścieżce z butami w rękach.

„Co ona może mi zrobić na oświetlonej ulicy?” – pomyślała Pauline, podczas gdy jej prześladowczyni pędziła w jej stronę. „Może po prostu przystanę, kiedy dotrę do przecznicy, i wrzasnę ile sił w płucach?”

Ale przecznica była równie nieprzystępna i pełna pozamykanych metalowych bram, co poprzednia uliczka. Kto ją usłyszy? Kto podniesie się ze swojej wygodnej, ciepłutkiej sofy? Kto porzuci bezpieczeństwo bogatej dzielnicy, by pomóc przypadkowej nieznanym wzywającej pomocy? Kto w ogóle ją usłyszy zza szyb okiennych o tak doskonałej izolacji?

Jej ciemńczycielka znajdowała się już tak blisko, że słychać było plaśnięcie przy każdym jej kroku na mokrej powierzchni. Pauline obejrzała się na sekundę w chwili, w której Sisle ruszyła w stronę chodnika po lewej stronie ulicy. Dzieliło je teraz zaledwie pięćdziesiąt metrów, więc jeśli Pauline natychmiast nie przebiegnie przez jezdnię i nie wmiesza się w system ścieżek, który otwierał się przed nią po przeciwnej stronie, Sisle dogoni ją przed kolejną boczną uliczką.

Wyłożona płytkami alejka między wysokimi żywopłotami była wąska i kiepsko oświetlona, a oddech Sisle za plecami Pauline się wzmógł. Na końcu uliczki mieścił się nieduży plac otoczony domami o pozamykanych, kutych ogrodzeniach. Którędy ma się udać? Dalej, ciemnym systemem ścieżek po prawej stronie, czy prosto willową uliczką?

– Pauline, nic ci nie zrobię, zatrzymaj się wreszcie! – krzyknęła za nią lekko zasapana Sisle, po czym tupot stóp o mokre płytki ustał.

Pauline obejrzała się na kobietę stojącą zaledwie dwadzieścia, trzydzieści metrów za nią. Sisle podpierała się pod boki, przemoczona od stóp do głów, i udawała, że nie może złapać powietrza. Ale w przypadku osoby z takim atletycznym i wytrenowanym ciałem była to tylko gierka, na którą Pauline się nie dała nabrać. Za sekundę ruszy do ataku i ją dopadnie.

– Wróćmy do samochodu, zawiozę cię do domu. Zaparkowałam tu po prawej stronie od ścieżki, tylko dwie uliczki dalej. Bądź rozsądna, Pauline.

„Rozsądna?” Pauline kiwnęła głową. Samochód nie mógł się znajdować tak blisko, więc czego ona właściwie chce? Zwabić ją w ciemny zaułek, gdzie wszystko może się stać? Czyżby zadzwoniła po pomoc? Może ktoś tam czeka, aż ona się pojawi? Czy Sisle celowo nakierowała ją dokładnie w to miejsce? Pauline nie wiedziała. Po prostu biegła ile sił w nogach i nie zamierzała przestawać.

Gdy znów puściła się biegiem na drugą stronę placu, przekonała się, że kobiecie za jej plecami bynajmniej nie brakuje energii. W okamgnieniu Sisle znalazła się tak blisko, że za kilka sekund mogłaby jej dosięgnąć. Wzrok Pauline przesunął się

gorączkowo po uliczce, na której się znalazła. Wystarczyłby jeden, jedyny dom, by się doń skierować.

– Pauline, co ty robisz? – krzyknęła za nią Sisle. – Co się z tobą dzieje? Samochód stoi po przeciwnej stronie.

Na końcu ulicy Pauline dostrzegła willę, której żaden cholerny płot nie strzegł niczym tarcza. Dom zlokalizowany był na lekkim podwyższeniu terenu i sprawiał wrażenie zbawczej oazy dzięki rześcicie oświetlonym oknom i pięknym marmurowym schodom.

Pauline bez wahania skręciła na schody prowadzące do drzwi wejściowych i załomotała do nich z takim wrzaskiem, jakby dom miał od tego runąć niczym mury Jerycha od dźwięku trąb.

Zadziało, bo w chwili gdy Sisle się z nią zrównała, drzwi się otworzyły i stanął w nich wysoki mężczyzna o przyjaznym wyglądzie i twarzy dziwnie skrzywionej lekkim grymasem. Sytuacja nagle się uspokoiła.

Przez chwilę spoglądał na nie ze zdumieniem, po czym zwrócił się do Sisle, trzymającej Pauline za połą kurtki.

– Sisle! – wykrzyknął. – Dlaczego jesteście takie zdyszane? Urządzacie wyścigi?

Czoło Pauline oblał lodowaty pot. Oni się znają?

– Czy mogłabym wejść? – spytała, widząc za plecami mężczyzny kobietę schodzącą ze schodów na piętrze.

Gospodarz się wycofał i ruchem ręki zaprosił je obie do środka.

– Adamie, przepraszam, że tak się wam narzucamy – powiedziała Sisle za jej plecami. – Ale Pauline dostała ataku paniki. Myśli, że chcę jej zrobić krzywdę.

Mężczyzna przez chwilę sprawiał wrażenie skonfundowanego, ale potem się uśmiechnął.

– Dziwne. – Zwrócił się do kobiety, która zeszła już ze schodów: – Sisle jest przecież najmilszą osobą, jaką znamy, prawda, Deboro?

Pauline odetchnęła z ulgą, gdy po naradzie z żoną mężczyzna imieniem Adam zaoferował, że odwiezie nieproszonego gościa do domu.

– Sisle, jeśli masz ochotę, możesz zabrać się z nami. Potem podwiozę cię do twojego auta.

– Dobry pomysł – odparła Sisle. – Teraz zależy mi już tylko na tym, by Pauline bezpiecznie trafiła do domu. To był dla ciebie trudny dzień, moja droga – powiedziała, klepiąc kabarecistkę po ramieniu z tylnego siedzenia.

„Może bitwa nie jest jeszcze przegrana – pomyślała Pauline, gdy w lusterku wstecznym mignęła jej twarz Sisle. – Może ona jest w porządku. Przecież inaczej Palle by nigdy...”

W tym momencie przez przednią szybę ujrzała swój skromny dom.

– Wiem, że pewnie nie zechcesz mi pomóc po tym, co się dziś wydarzyło – zagadnęła. – Ale muszę cię zapytać, czy nie wspomogłabyś mnie pożyczką. Oddam, gdy tylko nadejdą lepsze czasy.

Widziała w lusterku, że Sisle się gruntownie namyśla, ale gdy znalazły się w salonie Pauline, zgodziła się.

– Pauline, sporządzimy nieformalną umowę, mam nadzieję, że to rozumiesz? Ile ci potrzeba? Sto tysięcy koron?

Zapytana aż się zapowietrzyła. Choć jej tętno zerwało się do galopu, zrobiło jej się słabo. Zupełnie jakby do mózgu nie trafiła wystarczająca ilość tlenu.

– Widzę, że znów ci niedobrze, Pauline, musisz się uspokoić. Od razu sporządzę ten dokument, jeśli to cię pocieszy, ale musimy położyć cię do łóżka.

– Nie ma pani czegoś, co pomoże się jej zrelaksować? – spytał przyjaźnie mężczyzna.

Pauline spojrzała na Sisle, która zasiadła przy jej biurku i zaczęła coś notować.

– Dziękuję. Tak, mam jakieś tabletki nasenne w szafce w łazience, ale może powinnam po prostu wziąć diazepam, bo jestem zupełnie skołowana. Mam tam tabletki dwu- i pięciomiligramowe. Poprosiłabym o jedną dwójkę.

Mężczyzna uśmiechnął się i wrócił ze szklanką wody i dwiema pigułkami.

– To te dwumiligramowe, ale myślę, że jedna nie wystarczy. Proszę!

Pauline odchyliła się w tył i łyknęła dwie pastylki naraz. Nagle rozpacz, która ogarnęła ją dzisiejszego poranka, wydała jej się zupełnie absurdalna. Czyli jednak na świecie jest dobro.

– Proszę wypić jeszcze szklankę wody – powiedział mężczyzna chwilę potem, podczas gdy Sisle odwróciła się, trzymając w ręku kartkę.

Pauline wypła wodę jednym haustem i dopiero potem się zorientowała, jak gorzki był jej smak.

Czwartek, 17 grudnia 2020

### CARL

Tego dnia praca wrzała na wielu frontach.

Sprawa Ragnhild została częściowo oddelegowana z powrotem do Manfreda, asystenta Bente Hansen, który wrócił z kwarantanny, dzięki czemu zespół Carla mógł skupić się na sprawach z tablicy. Assad sprawdzał zeszyty z wycinkami Tytte Laugesen, a kiedy Gordon i Rose zajęli się kwestią dat na tablicy, Carl całą swoją uwagę skoncentrował na dwóch ciałach odkopanych w Skævinge. W okresie, w którym reszta zajmowała się przygotowaniem do innych niż zwykle świąt, ich mały zespół zakasał rękawy i ruszył do roboty nad czymś zupełnie odmiennym.

Mona została w domu z Lucią, jednocześnie nie ustając w wysiłkach, by namówić swoją starszą córkę, Mathilde, do spędzenia z nimi świąt, ale wiele wskazywało na to, że jej starania nie odniosą skutku. Gorsze było jednak to, że Hardy, Morten i Mika utknęli w klinice w Szwajcarii z topniejącym budżetem. Wprawdzie Hardy poczynił wielkie postępy, ale na co się to zda, jeśli nie będzie go stać na zakończenie terapii? Do Carla docierały od nich bardzo smutne wiadomości, zresztą ogólnie dla nikogo nie był to dobry czas.

Mimo że rezerwy jego energii doznały poważnego uszczerbku, Carl przeczytał uważnie raporty z sekcji zwłok odkopanych ostatnio w Skævinge i porównał je ze zdjęciami oraz aktami spraw z czasu zaginięcia obu mężczyzn.

Jeden z nich, Frank „Franco” Svendsen, nigdy nie należał do wybrańców bogów, ani też na takiego nie wyglądał. Nalany, byczy kark, a na ustach pełen zadowolenia z siebie uśmiech, niezdradzający nawet cienia skruchy z powodu nieszczęść, które sprowadził na ten świat. W momencie śmierci Franca jego firma posiadała w Bangladeszu tuzin przeznaczonych do złomowania statków wykorzystywanych wcześniej do szemranych celów. Warto zauważyć, że odsetek zgonów wśród załogi utrzymywał się na wyjątkowo wysokim poziomie. Dwie najczęstsze przyczyny stanowiły zbyt ciężka praca przy usuwaniu azbestu i resztki chemikaliów trzymany w ładowniach, ale Franco Svendsen, który nic sobie nie robił z wszystkich zarzutów, zarabiał na tym ogromne pieniądze. Jeśli istniały jakieś odpady, których nie można było się pozbyć w dawnych krajach Europy Wschodniej i na terenie Unii Europejskiej, to Franco potrafił znaleźć rozwiązanie tego problemu w pozostałych zakątkach

świata. Dokumentacji poświadczającej, gdzie wszystkie te śmieci lądowały, trudno było uświadczyc, ale z pewnością sporą część odpadów przyjęły opustoszałe kopalnie w krajach Afryki Środkowej. Aż do zaginięcia Franca Svendsena jego interes wyśmienicie się kręcił, co wcale nie było takie oczywiste, zważywszy na wszystkie wyroki za zanieczyszczenie środowiska, jakie zapadły w jego sprawie w latach osiemdziesiątych.

Mimo braku skrupułów w kwestiach zawodowych Franco Svendsen był jednocześnie człowiekiem, który lubił pokazywać się w kolorowej prasie, gdzie pozował na tle swoich francuskich i argentyńskich winnic. Bogactwo zdobyte ludzką krwawicą i niedolą.

„Światu nie będzie brakować tego głupiego bydlaka” – pomyślał Carl i zganił się za tę myśl. W społeczeństwie opartym na prawie nawet głupi bydlak ma prawo żyć, nawet jeśli nie ze względu na niego samego, to dla zachowania pozorów humanizmu, który on sam miał głęboko w dupie.

Przyjrzał się szczątkom leżącym na stole patologa. Z komunikatu o wszczęciu poszukiwania Franca Svendsena wynikało, że był tęgim mężczyzną, co potwierdzały też stare zdjęcia, ale po przyjrzeniu się fotografii denata człowieka ogarniały wątpliwości. Wprawdzie facet przeleżał kilka lat w ziemi, ale zważywszy na konserwujące działanie soli na ciało, określenie poziomu jego odżywienia w chwili złożenia do ziemi powinno być możliwe. To jak w końcu jest?

Carl chwycił komórkę i zadzwonił do Instytutu Medycyny Sądowej.

– Nie odnotowaliście, ile waszym zdaniem zwłoki ważyły tuż przed ich zakopaniem. To przeoczenie?

Patolog się zaśmiał, co nieczęsto się zdarzało.

– Skąd mielibyśmy to wiedzieć, Carl? Przecież to pieprzona zgadywanka.

– Okej, ale jak myślisz? Na stole widzę samą skórę i kości. Czy można założyć, że gdy go zabito, był bardzo chudy?

– Tak, pewnie. Przecież nie wiemy, kiedy dokładnie go zamordowano, więc mógł sporo schudnąć, czekając na śmierć.

– Dzięki, tak właśnie myślałem – odparł Carl i nie omieszkał skomplementować patologa za raport jako taki. To najlepszy sposób, by zadbać o dobre kontakty z ludźmi.

Następnie położył obok siebie dwa zdjęcia – Franca jako wynędzniałego nieboszczyka i opasłego za życia byczka. Na czoło wystąpił mu pot.

„Do kurwy nędzy – pomyślał. – Jego kaci prawie zagłodzili go na śmierć, nim podali mu zastrzyk”.

Carl wyjął papierosa i wychylił się przez okno, by dym rozszedł się w powietrzu. Na zewnątrz pogrążony w covidzie świat sprawiał wrażenie martwego, szarego i całkiem znieruchomiałego. Okoliczne zrewitalizowane budynki fabryczne zamknięto, więc przypominały teraz dotknięte wojną pustostany. Przytłaczająca dominacja parkingów w okolicznej scenerii stała się groteskowo wyraźna przy braku samochodów; do Sydhavnen tylko z rzadka trafiał jakiś zbłąkany kierowca.

Carl schował się z powrotem w gabinecie i podniósł z biurka teczkę drugiej sprawy. Wnioskując po mnogości zdjęć, zmarły Birger Brandstrup był zupełnie innym typem człowieka niż Frank „Franco” Svendsen. Wielu nazwałoby go przystojnym mężczyzną i choć od lat miał tę samą żonę, to bezpardonowo wykorzystywał atuty swojej aparycji i poświęcał czas na nawiązywanie i ukrywanie licznych, krótkich romansów. Przez dłuższy czas tydzień w tydzień stawał się ulubioną ofiarą kolorowych magazynów i żadne przyjęcie nie mogło mu przejść koło nosa. Jego znak rozpoznawczy stanowiły szybkie i drogie samochody, a on sam roztaczał wokół siebie atmosferę takiego sukcesu, że aż dziwne, iż z zadęcia nie unosił się nad ziemią.

Ciało Birgera Brandstrupa było całkiem rozpoznawalne, gdy porównało się je ze zdjęciami mężczyzny za życia. A jednak również jego zwłoki wydawały się wychudzone i poddane działaniom, których nie poleciliby żaden dietetyk.

Carl wiedział, że Birger Brandstrup zarabiał krocie na zakładach bukmacherskich i grach w internecie. Sam Mørck nigdy nie grał w sieci za pieniądze, ba, w dawnych czasach nawet zakłady sportowe go nie interesowały. Kiedy mijał bukmachera gwarantującego ludziom wygraną w wysokości osiemdziesięciu pięciu procent kwoty, śmiał się w kułak, bo nabrać się na to mogli tylko wyjątkowi naiwniacy. Dlaczego nie pomyśleli, że to to samo co żelazna gwarancja piętnastoprocentowej przegranej? Tyle że to już tak atrakcyjnie nie brzmiało.

Birger Brandstrup był krajowym specem w wyciąganiu pieniędzy z kieszeni namiętych graczy.

Carl oczywiście wiedział, że istnieją siły polityczne pracujące nad powstrzymaniem tego szaleństwa, tak by ogłupiające reklamy gier i wszelkiego rodzaju zakładów w ogóle zniknęły z eteru. Szkopuł bowiem w tym, że uzależnienie od hazardu, niedobór snu i marnowanie czasu stały się problemem społecznym i nie służyły niczemu ani nikomu, nie licząc kogoś takiego jak Birger Brandstrup i jego prywatnych finansów.

Mørck pokręcił głową. Oto kolejny człowiek, bez którego świat bez problemu się obejdzie.

Rozległo się delikatne pukanie we framugę drzwi i do gabinetu wślizgnęła się przebiegle uśmiechnięta Rose.

– Skąd ta mina? – spytał Mørck. – Czyżby na powrót otworzyli stołówkę?

– Dureń! Nie, Carl. Gordon i ja sprawdziliśmy już, kto popełnił zbrodnie przeciw ludzkości i urodził się odpowiednio w sierpniu i grudniu.

– Aha?

– Zaczęliśmy od dwudziestego sierpnia, kiedy znaleziono utopioną Pię Laugesen, i kiedy urodził się Slobodan Milošević.

Carl odłożył raport Brandstrupa.

– To już przecież wiemy.

Rose skinęła głową z półuśmiechem.

– Tak, ale doszliśmy do tego, że hiszpański dyktator Franco urodził się czwartego grudnia, więc trudno oprzeć się myśli, że Frank Svendsen o pseudonimie „Franco” został zabity czwartego grudnia dwa tysiące szesnastego, nieco ponad miesiąc po porwaniu. Co ty na to?

Carl sięgnął po papierosy, ale spojrzenie Rose go powstrzymało.

– Jeszcze nie skończyłam. Dotarliśmy też do tego, że największe bydlę spośród zbrodniarzy, niekwestionowany dyktator i kat Związku Radzieckiego, Józef Stalin, urodził się osiemnastego grudnia. Czy zatem nie można założyć, że Birger Brandstrup został zamordowany właśnie tego dnia w dwa tysiące osiemnastym roku, ponad trzy tygodnie po zaginięciu?

Carl znów wziął do ręki dokumentację Brandstrupa. Jeśli ta hipoteza się sprawdzi, to Birger byłby przetrzymywany krócej niż Frank Svendsen, nim doszło do zabójstwa. Wyjaśniałoby to, dlaczego Svendsen wyglądał na bardziej wygłodzonego.

– Rose, wezwij tu Gordona i Assada – poprosił.

Siedział przez chwilę, rozmyślając. Był to wielki przełom, schemat postępowania zabójcy naprawdę zaczął nabierać wyrazistości. Tylko do czego ich to doprowadzi?

Stało przed nim troje szeroko uśmiechniętych ludzi. Włosy Assada niemal kiwały się z ekscytacji.

– Na początek chcę wam powiedzieć, moi drodzy, że wykonaliście kawał dobrej roboty. „Dziękuję” to za mało. Teraz już widzę, że zaczyna się przed nami kreślić wyraźny wzór postępowania, a może nawet profil zabójcy. Zgadza się?

– Owszem, w każdym razie można wypełnić puste rubryki na całej tablicy. Bo jeśli dotrzemy do dat urodzin tyranów, to całkiem możliwe, że trafimy na więcej podejrzanych wypadków śmiertelnych na przestrzeni lat. No tak, brakuje nam tylko ofiar. Zupełnie pokręcona sytuacja – odparł Gordon i się zaśmiał.

Carl odwzajemnił uśmiech.

– Żal tego Franka „Franco” Svendsena, że musiał pożegnać się z życiem w urodziny swojego imiennika, ale chyba nie myślicie, że to przypadek?



– Może – odparł Assad. – Ale moim zdaniem facet mógł zostać wybrany spośród innych potencjalnych ofiar właśnie dzięki temu zadomkowi.

Gordon się roześmiał i poklepał go po plecach.

– Assad, znów wymyśliłeś nowe słowo. Mówi się „przydomek”.

Kolega spojrział na niego z rozczarowaniem. Gordon też zamierza go poprawiać, tak jak pozostała dwójka?

– Przydomek? Nie rozumiem. Zadomek, bo tak za kimś wołają.

– Tylko dlaczego zabójca wybiera te daty? – przerwał mu Carl. – Jaką symboliką się kieruje?

– W ten sposób przypomina nam o złu tego świata – rzucił Gordon.

– Tak, z mojego punktu widzenia ofiary nie były wybrańcami bogów – skomentowała Rose. – W każdym razie nie zaprosiłabym ich do swojego kręgu przyjaciół.

„Ciekawe, czy Rose w ogóle ma krąg przyjaciół” – zastanowił się Carl, ale kobieta miała rację.

– Jeśli popracujecie jeszcze nad znalezieniem dni urodzin ludzi cieszących się złą sławą, to niewykluczone, że w ten sposób dotrzemy do ofiar, których brakuje nam w pozostałych dziewięciu rubryczkach w okresie od osiemdziesiątego ósmego do dwa tysiące osiemnastego. Ale pamiętajcie, że gdyby dziwnym trafem w dniu urodzin jakichś bydłaków odnotowano większą liczbę podejrzanych zgonów, to skupiamy się na sprawach, w których, miejmy nadzieję, pod jakąś postacią pojawi się sól.

– Myślę, że powinniśmy zacząć od urodzin Adolfa Hitlera. Czy to nie dobry pomysł? – zaproponowała Rose.

Assad i Gordon się zgodzili.

Carl czuł się dziwnie. Czyżby pocił się na czole i pod pachami? Ogarnęły go bardzo złe przeczucia.

– Coś jeszcze nie daje mi spokoju – powiedział. – Co, jeśli ten koszmar się nie skończył? Nasza ostatnia ofiara została zamordowana osiemnastego grudnia dwa tysiące osiemnastego, a co z rokiem dwa tysiące dwudziestym? Jeśli ktoś ma zginąć w tym roku, to musi to nastąpić po osiemnastym grudnia, czyli wkrótce. Wiecie może, jaki paskudny zbrodniarz obchodzi urodziny w ostatnich trzynastu dniach grudnia?

Wszyscy troje spojrzeli na niego wielkimi, pełnymi niepokoju oczami, po czym równocześnie wyciągnęli komórki i zaczęli pisać. To po prostu nie mogło czekać.

Poszukiwanie trwało zaledwie minutę, po czym wszyscy naraz przerwali i głos zabrała Rose.

– Tak zwany przywódca Chin, Mao Zedong, winny zbrodni przeciwko swojemu narodowi, ma na sumieniu miliony ludzkich istnień – powiedziała sucho. – Jego

urodziny przypadają na dwudziesty szósty grudnia.

Carl spojrzął na datę w zegarku. Jeśli ten schemat rzeczywiście istnieje, to podczas gdy oni tu rozprawiają, w jakimś miejscu siedzi zamknięty, głodujący człowiek.

Człowiek, który zostanie zabity za dokładnie dziewięć dni.

Czwartek, 17 grudnia 2020

CARL

Kto w takim razie ma umrzeć w drugi dzień świąt?

Czy w tej chwili jakiś człowiek głoduje, być może zupełnie nieświadom, co się stanie, i bez możliwości, by coś na to poradzić? A może właśnie ktoś przebywa z bliskimi, nie mając pojęcia, że spędzają razem ostatnie Boże Narodzenie? A może to jakiś oderwany od świata samotnik, który nawet nie zwietrzył niebezpieczeństwa? Carl był przekonany, że jedna z tych opcji była tą właściwą, tylko która? I jak mają na czas odkryć, o kogo chodzi? Przecież nie mogą rozgłaszać na prawo i lewo, że szukają tego wstrętnego gnojka.

Carl nie miał wątpliwości, że zabójca już upatrzył sobie ofiarę, być może bardzo dawno temu. Mørck wiedział też, że odpowiedzialność za zapobieżenie tragedii spoczywa wyłącznie na nim i jego ludziach z Departamentu Q i że z pragmatycznego punktu widzenia mogli równie dobrze odpuścić.

„Ale czy można odpuścić ludzkie prawo do życia, jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa, by to życie uratować?” – spytała go nie tak dawno Mona przy innej okazji. Zapewne tak jak i on zrozumiałyby, że będzie to oznaczać nieprzerwaną pracę w dzień i noc, również w święta, i to, że z tego powodu zostanie z Lucią sama.

Pomimo perspektywy nawału pracy i braku świąt Rose się nie zawahała i w imieniu wszystkich udzieliła mu pełnego wsparcia.

– Oczywiście jesteśmy z tobą – powiedziała, a w ciągu ostatnich godzin każde z nich urabiało sobie ręce po łokcie, chcąc to udowodnić. Gordon zabrał się do zbierania nowych informacji o sprawach, które już znali.

Metoda Rose zawsze polegała na tworzeniu nowych punktów widzenia na sprawę, więc jeśli chciała wypełnić puste rubryczki na tablicy, należało uporządkować właśnie owe nowe perspektywy. Najpierw musiała znaleźć daty urodzin zbrodniarzy, które pasowałyby do wzoru z tablicy. Potem trzeba było poszukać spraw, w których ludzie tracili życie w podejrzany sposób w te właśnie dni. Po skrupulatnym przeanalizowaniu spraw i profili ofiar mogły pojawić się też nowe aspekty. Kto znał ofiary, nad czym pracowały, czy komuś w czymś zawiniły? I jeśli dopisze jej szczęście, może uda jej się zdemaskować zabójcę.

Kiedy Rose siedziała nad tym zadaniem, Assadowi przypadło w udziale ogarnianie pozostałych, takich jak zeszyty z wycinkami Tytte Laugesen i komputer Pallego Rasmussena. Dopiero kiedy się z tym upora, ruszy z pomocą Carlowi.

Wszystko wskazywało na to, że zostało tylko dziewięć dni do egzekucji człowieka, a jedynie oni byli w stanie jej zapobiec. Cała czwórka była zgodna, że jeśli zabójstwo przeprowadzono by w sposób szybki i zdecydowany, jak to miało miejsce w większości poprzednich spraw, to ujęcie sprawcy zawczasu będzie niemożliwym zadaniem, chyba że wkrótce dotarliby do podejrzanego. Zgadzała się również w tym, że na przestrzeni ostatnich lat u zabójcy nastąpiła zmiana trybu postępowania; sprawiał teraz wrażenie ostrożniejszego. Świadomość, że podczas samego aktu nie może być mowy o żadnym potknięciu, odgrywała dlań niebagatelną rolę. Najprawdopodobniej nie chciał się eksponować w tym samym stopniu co kiedyś i z tego samego powodu obecność soli może już nie być dla nich tak pomocnym czynnikiem. Fakt jest przecież taki, że w przypadku dwóch ostatnich morderstw sól ukryto, podobnie zresztą jak ciała, więc w grę nie wchodziło już fingowanie nieszczęśliwych wypadków. Egzekucje Franca Svendsena, Birgera Brandstrupa i być może innych nastąpiły po ich uprowadzeniu. Jeśli więc ekipa Departamentu Q skłaniałaby się ku założeniu, że ostatnio stosowana metoda z uprzednim uprowadzeniem z czasem stała się ulubionym sposobem postępowania zabójcy, to może istnieje szansa, by dotrzeć do nowej, potencjalnej ofiary, jeszcze nim dojdzie do jej egzekucji.

Właśnie to zadanie postawił sobie Carl.

Gdy maszerował do gabinetu Marcusa, zatrzymała go biurowa dobra wróżka, Lis, z zatroskaną miną.

– Powiem ci w pełnym zaufaniu, że kazano mi przekopiować wszystko, co wiemy o sprawie gwoździarki, Carl. – Wskazała na stertę papierów na ladzie. – Nie wiem, co o tym myślisz, ale to musi być dla ciebie dziwne. – Pogłaskała go po policzku i uśmiechnęła się ciepło. – Właściwie to chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś na siebie uważał.

Carl skinął głową; miło z jej strony, ale to cała Lis.

A jeśli przyszło co do czego, to przecież znał te papiery na pamięć, więc czego miałyby się bać?

Oczywiście Marcus w okamgnieniu pojął powagę sytuacji. Od lat ciążyła mu sprawa synka Mai, który stał się przypadkową ofiarą eksplozji w warsztacie Ovego Wildera. Przez długi czas myślał, że było to odosobnione, brutalne zajście, teraz jednak musiał uznać, że wybuch ze skutkiem śmiertelnym w warsztacie stanowił wyłącznie jeden element układanki składającej się z szeregu zabójstw. Marcus Jacobsen miał

nieodparte wrażenie, że w tej kwestii Departament Q nie może się mylić i że Carl ze swoją ekipą próbują zapobiec śmierci kolejnej ofiary.

– Carl, zakładam, że przeszukałeś sprawy zaginięć z ostatniego półtora miesiąca i żadna z tych osób nie pasowała do waszego profilu.

– Zgadza się, żadna – potaknął Mørck.

– Czy w grę wchodzi sytuacja, że zaginięcie tego człowieka nie zostało zgłoszone?

Carl położył łokcie na podłokietnikach fotela i oparł brodę o splecione dłonie. Opcja rzucona przez Marcusa odbiegałaby w każdym razie od poprzednich spraw.

– Myślisz, że może chodzić o kogoś, kogo nikt nie będzie szukać, ale ja w to po prostu nie wierzę.

– Może i masz rację. Ale można przypuszczać, że rodzina jest przekonana, iż ta osoba już nie żyje, tak jak w przypadku Franca Svendsena, lub może podejrzewa, że delikwent na jakiś czas się ulotnił. Tak sądziła przecież żona Birgera Brandstrupa.

Carl zamknął oczy.

– Owszem, szczególnie to ostatnie jest prawdopodobne. Istnieje też możliwość, że bliscy otrzymali nieprawdziwe informacje o zaginionym. Że wierzą ślepo, iż utrzymują z nim kontakt, ale w rzeczywistości tak nie jest.

– Chodzi ci o to, że mogli dostawać sfinansowane SMS-y i mejle od zaginionego?

Mørck powoli pokiwał głową.

– Tak, jeśli upatrzona ofiara wyjechała w jakiejś uzasadnionej sprawie, a potem utrzymywała z żoną korespondencję mejlową, za którą w rzeczywistości stali porywacze.

Carl dał znak Rose, która właśnie weszła do gabinetu, by chwilę zaczekała.

– Istnieje takie prawdopodobieństwo, Marcus, ale dotyczy de facto wszystkich hipotez. Załóżmy na razie, że tak jest. Jak sprawić, by bliscy zechcieli zgłosić zaginięcie? W dodatku w ciągu dziewięciu dni, a nawet szybciej?

Marcus obdarzył go ciężkim spojrzeniem.

– Niestety nie mogę wam nikogo przydzielić do pracy – powiedział. – Ludzie są zarobieni po uszy, szczególnie teraz, kiedy część choruje, inni są na kwarantannie, a większość pozostałych pracuje z domu.

– A co z wykorzystaniem gazet i telewizji? Nie moglibyśmy czegoś wymyślić, żeby wywabić rodzinę z ukrycia?

Carl znał odpowiedź: takich rzeczy się po prostu nie robi. Poskutkowałyby to tylko mnóstwem wprowadzających w błąd i bezużytecznych zgłoszeń, zmarnowano by cenny czas i ludzki wysiłek.

– Pozwolę sobie wam przypomnieć, że niektórzy ludzie po prostu mieszkają sami – odezwała się Rose. – Na przykład ja, Gordon, ty przecież też, Marcus. Jeśli ten ktoś nie

ma rodziny lub bliskich znajomych, to może minąć wiele czasu, nim ktoś inny się zorientuje.

Marcus westchnął i wstał.

– Jeśli natkniecie się na konkretny trop, to zobaczę, co da się zrobić. Póki co możemy tylko się modlić za tego nieszczęśnika. Obawiam się, że komuś kroją się bardzo smutne święta.

– Najbardziej skłaniam się ku ostatniej hipotezie i nawet mam pomysł – poinformowała Rose po wyjściu Marcusa. – Może powinniśmy zaprosić do siebie ekipę reporterów, żeby zobaczyli, w jakich warunkach musi pracować jednostka dochodzeniowa w czasach koronawirusa?

Carl spojrzął na nią przeciągle. Zasadniczo zwisało mu, kto się wkurzy za naginanie przepisów. Jeśli jakiś inspektor czy inny wysoki rangą policjant podniesie larum, że wykraczają poza swoje kompetencje, to niech zwolnią z roboty cały Departament Q lub przynajmniej jego. Perspektywa podjęcia pracy w charakterze niańki do psów lub posadka w Christiansborgu na stanowisku doradcy ds. bezpieczeństwa na ostatnie lata przed emeryturą bynajmniej go nie odstraszała.

– Dobrze, Rose, zajmij się tym. Tylko nie zdradzaj dziennikarzom niczego konkretnego o sprawach, nad którymi pracujemy. Jeśli dojdzie do wizyty, będziemy musieli improwizować. Masz poza tym coś użytecznego?

Uśmiechnęła się.

– Tak, bez żadnej przesady można tak stwierdzić. Mogę ci powiedzieć, że urodziny Adolfa Hitlera przypadają na dwudziesty kwiecień i że tego samego dnia w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku odkryto zwłoki niejakiej Andrei Thorsen powieszanej w podejrzanych okolicznościach w mieszkaniu kochanka. Oskarżono go o jej zamordowanie i dostał piętnaście lat, z czego odsiedział tylko pięć, bo zmarł w więzieniu.

– No cóż, smutna historia, ale spodziewałem się czegoś więcej, żeby sprawa mogła znaleźć się na naszej tablicy, Rose.

Nagabnięta znów się uśmiechnęła.

– Dzięki, panie czepialski, tak myślałam. Ale mam dla ciebie wiadomość, że Andrea Thorsen była dyrektorką rodzinnej firmy sprzedającej maszyny rolnicze i że w owej firmie raz po raz następował jakiś krach w wyniku licznych niefortunnych incydentów. W pierwszym zajściu poważnemu zniszczeniu uległy wszystkie diabelnie drogie maszyny: żniwiarki, ogromne traktory John Deere, siewniki, opryskiwacze, rozdrabniacze i wiele innych. Potem miało miejsce włamanie do ich domu, z którego zginęły bardzo kosztowne meble i inne unikatowe przedmioty. Następnie spłonęła jedna z hal magazynowych, opróżniono im pojemniki z paliwem, pękła rura z wodą,

zalewając podłogę i wykładzinę na parterze. Chodzi de facto o długi łańcuszek spraw, za które zainkasowano spore odszkodowania. Oczywiście wszystko poubezpieczano w różnych towarzystwach, z których każde jakoś łyknęło powstałą szkodę. Ale w programie dokumentalnym z dziewięćdziesiątego czwartego roku ustalono, że w grę wchodziła suma ponad pięćdziesięciu milionów koron, co wtedy stanowiło niesłychaną kwotę.

– Mówisz, że to wyłudzenie ubezpieczenia?

– Nigdy tego nie dowiedziono, a babka sprawiała wrażenie autentycznie niepokieszanej, oczywiście tylko podczas wystąpień w mediach. Poza tym pławiła się w luksusach ze swoim partnerem, który jak sądzę, maczał palce w tych przekrętach, bo był agentem ubezpieczeniowym.

Carl kiwnął głową.

– A samobójstwo? Ona się powiesiła? Tylko dlaczego podejrzewano jej faceta?

– Bo gdy zmarła, znajdował się w mieszkaniu, ostro nawalony kokainą. Podobno był bardzo agresywny, jak się naćpał, a policja i sędzia stwierdzili, że kobieta nie mogła ze sobą skończyć, bo cierpiała na lęk przed śmiercią i nie miała powodu mierzyć się z tą fobią ze względu na cudowne życie, które wiodła. Poza tym w mieszkaniu znajdował się sejf z siedmioma milionami koron w gotówce, a ten kretyn trzymał szyfr do niego w swoim portfelu.

– I trafił do więzienia?

– Tak, kilka lat później zmarł. Jeśli dobrze pamiętam, w dziewięćdziesiątym dziewiątym.

– Śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych?

– O ile perforację ślepej кишки można uznać za naturalną, to tak.

– Okej, czas na pytanie za milion: jak ta sprawa się łączy z naszymi?

– Zaraz ci powiem, Carl. Konieczna jest do tego gruntowna lektura raportu policyjnego. – Uniosła oczy pod niebiosa, co znaczy, że przeczytała raport. – Nie ulegało wątpliwości, że kochanek wciągał kokainę, bo na stole czekało już na kolejny raz co najmniej osiem kresek. Ale facet zaprzeczył, jakoby je przygotował, nie chciał też zdradzić nazwiska diler. Dopiero przed samą rozprawą się rozgadał, jakby mu to miało pomóc. Tyle że wtedy policja zdążyła już przeanalizować skład kokainy, by tym sposobem ustalić jej dostawcę. Nie udało się, ale za to stwierdzili, że to najbardziej kiepska kokaina, jaką widzieli, bo połowę jej składu stanowiła sól kuchenna.

Carl ściągnął usta i gwizdnął cicho.

Czyli mają już na tablicy osiem spośród siedemnastu spraw.

Piątek, 18 grudnia 2020

### MAURITS

Obudził go odruch przełykania. Słaby, lecz chłodny strumień powodujący pulsowanie języka i kurczenie się mięśni gardła.

Nadludzkim wysiłkiem otworzył oczy; rogówka była tak sucha, że powieki nie chciały się odkleić od gałek ocznych.

Zobaczył górującą nad nim zamazaną postać. Silne ręce ścisnęły mu policzki i wepchnięto mu do ust coś, co przypominało butelkę ze smoczkiem, a strumień wody wylewał się z kącików ust, stymulując nieprzerwanie odruch połykania.

Maurits się zakrztusił, czując, że zbliża się atak kaszlu, ale był zbyt otumaniony, by zarejestrować, czy się rozkasła. Wrócił ból głowy, przypominając o tym wcześniejszym, silniejszym, który dopadł go, nim mężczyzna się przewrócił. Przy akompaniamencie pulsującego bólu dotarła do niego powaga sytuacji, w której się znalazł.

Stojąca nad nim postać wyciągnęła smoczek z jego ust, odwróciła się do niego tyłem, podeszła do przeciwległej ściany i stanęła doń przodem.

Maurits próbował coś powiedzieć, ale struny głosowe odmówiły mu posłuszeństwa i rozległo się gardłowe charczenie.

Od wielu dni przebywał w zamknięciu bez jedzenia i prawie bez picia. W ciągu ostatniej doby oddał tylko odrobinę moczu, a może nawet tego nie zrobił, nie miał pewności. Spojrzał po sobie i dostrzegł zaschniętą plamę na rozporku. Musiało się to zdarzyć, kiedy spał.

Maurits próbował skupić się na otoczeniu, ale nie potrafił zebrać myśli. Czy w ogóle wie, gdzie się znajduje? Wiedział tylko na pewno, że wiele dni temu pomyślał, iż przypadnie mu w udziale śmierć z głodu i pragnienia. Że będzie umierać powoli i nikt się o tym nie dowie.

„Nazywam się Maurits van Bierbek – pomyślał. – I nieważne, co wymyślisz, ty bydlaku pod ścianą, ja nadal żyję”.

Postać się odwróciła i Maurits kilkakrotnie mrugnął, by nawilżyć oczy, ale dopiero gdy mężczyzna przed nim stanął, więzień zobaczył go w pełnej okazałości.

Był to człowiek w średnim wieku, wysoki i postawny, z twarzą wykrzywioną uśmiechem, przez który jego głowa kojarzyła się z główką noworodka zdeformowaną



przy porodzie.

– Teraz podamy ci trochę jedzenia – powiedział niskim głosem.

Chwycił Mauritsa za lewą rękę, przyciągnął do siebie, uderzył kilkakrotnie po grzbiecie dłoni i wbił weń igłę.

– Już – stwierdził. – Jeszcze trochę pożyjesz.

Maurits z trudem odwrócił głowę i spojrzał prosto na kropłówkę wiszącą obok niego na stojaku.

– Za godzinę się przekonamy, czy uda ci się wcisnąć trochę zupy. Myślę, że dobrze ci zrobi.

W okamgnieniu ból głowy zelżał. Maurits zamknął oczy z ulgi i pomyślał, że kropłówka musiała też zawierać jakiś środek przeciwbólowy. A kiedy mózg chłonął cukry i minerały, Maurits powoli zaczął odzyskiwać poczucie rzeczywistości.

Tyle że chętnie by tej rzeczywistości nie znał.

Zakaszła kilka razy i odchrząknął, aż poczuł, że jego głos odzyskał jako taką moc.

– Kim jesteś? – zapytał chrapliwie.

Ale mężczyzna nie odpowiedział. Znów podszedł pod ścianę i stał tam przez jakiś czas, poruszając rękami, jakby mieszał w czymś przy stalowym stoliku. Potem skierował się do długiej metalowej drabiny, której której zdaniem Mauritsa tam wcześniej nie było.

Rozległ się metaliczny chrobot o betonową podłogę, gdy mężczyzna ciągnął drabinę po pomieszczeniu. Przystanął zaledwie kilka metrów od Mauritsa i rozłożył ją na całą długość, tak że sięgała teraz aż do jednej z szyn na suficie.

Maurits zauważył, że mężczyzna ma na sobie spodnie robocze o wielkich kieszeniach, takie jakich używają stolarze; wystawały z nich różne narzędzia. Do czego będą mu potrzebne?

Chciał wstać, by kopniakiem przewrócić drabinę, kiedy mężczyzna wespnie się na samą górę, ale nie mógł się poruszyć. Czy w kropłówece znajdowało się coś, co odebrało mu siły, czy ogólnie był już aż tak osłabiony?

– Jaki dziś mamy dzień? – spytał mężczyznę, który majstrował przy jednej z szyn.

– Piątek, osiemnasty grudnia – odparł tamten.

Maurits nabrał powietrza w płuca, by zaopatrzyć mózg w większą ilość tlenu. „Osiemnasty grudnia” – pomyślał, czyli jak długo już tu siedzi? Powoli zaczęło do niego wracać wspomnienie, jak został oszukany i jak ocknął się na tym krześle. Wiedział już, że uwięziono go w sobotę przed sześcioma dniami, czyli wtedy ostatni raz przyjął jakiś płyn i pokarm.

– Wypuścisz mnie? – spytał, bo przecież mężczyzna mocował się z łańcuchami i szynami. Może właśnie próbuje go uwolnić? Może odbył już karę za świętokradztwo,

którego miał się dopuścić, a którego nie potrafił zrozumieć?

Ale śmiech na drugim końcu drabiny sprawił, że Maurits wstrzymał oddech. Był tak natarczywy, tak diaboliczny, że producent pierwszy raz od chwili wprowadzenia poczuł niezachwianą pewność, że bez względu na to, co przyniosą mu kolejne dni, te zimne ściany będą ostatnią rzeczą, którą w życiu zobaczy. Nadzieja ustąpiła miejsca bolesnej świadomości, że jego godziny są policzone. Tylko dlaczego po prostu nie zostawili go w spokoju, by mógł zasnąć i się nie obudzić, kiedy jego ciało odmówi dalszego funkcjonowania?

– Skończmy z tym – powiedział najgłośniejszym, jak potrafił. – Skończ z tym i zabij mnie.

Mężczyzna na drabinie znów się zaśmiał. Wielokrotnie wyciągał z kieszeni jakieś narzędzia, którymi majstrował i kręcił, ale Maurits nie widział, co tamten robi. Był natomiast przekonany, że nic dobrego.

Minutę później mężczyzna znów znalazł się obok niego. W jednej ręce trzymał klucz francuski, w drugiej zaś śrubę.

– Wystarczy takie małe ustrojstwo zamontowane w odpowiednim miejscu i nie podejdziesz do stołu bliżej niż na trzy metry. Czy to nie szatański koncept? – Odsunął drabinę od szyny i wskazał na górę. – Widzisz śrubę, którą tam przykręciłem? Mechanizm w szynie na nią trafi i się zatrzyma. Nie można jej usunąć bez tego. – Zamachał kluczem francuskim przed oczami Mauritsa, po czym odstawił drabinę pod ścianę. – Położę ten klucz na stole, panie Bierbek, a obok postawię drabinę. Będziesz miał o czym dumać w najbliższych dniach.

„Parszywa menda” – pomyślał Maurits.

– Tak, wiem, co myślisz. Że to tortura, i oczywiście wolno ci tak to oceniać. Ale my nie poddajemy nikogo torturom, bo nie jesteśmy katami, tylko aniołami pomagającymi ci dostać się do lepszego świata z tego, który sam zatrujesz. Drabina i klucz francuski mają ci po prostu przypominać, że gdybyś kilka dni wcześniej lepiej przemyślał swoją daleką przyszłość i to, co robisz, to nie siedziałbyś tu teraz, rozmyślając, co wkrótce się z tobą stanie.

Maurits spojrzał z pogardą na jego krzywy uśmieszek.

– Wcale nie muszę nad tym rozmyślać, bo wiem, co się stanie. Umrę z głodu.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Nie, to byłoby nieładne z naszej strony. Jeszcze cię trochę podoglądamy, a za chwilę będzie gotowa zupa.

Maurits zamknął oczy. „Jeszcze cię trochę podoglądamy” – powiedział.

„Jeszcze trochę” – co to może oznaczać?

Piątek, 18 grudnia 2020

CARL

– Przykro mi, Carl, ale nie udało mi się znaleźć reporterów, którzy mieliby potrzebę lub ochotę na nakręcenie reportażu o policji – oświadczyła Rose. – W obecnych czasach nie brakuje programów o pracy funkcjonariuszy, sama się o tym przekonałam. Oprócz kwestii związanych z koronawirusem w telewizji puszczają komentarze byłych śledczych na temat dawnych spraw, drogówka zdaje relacje z pościgów za miłośnikami szybkiej jazdy, lecą też techniczne relacje ze spraw morderstw i Bóg wie co jeszcze z Danii i z zagranicy. Jeśli więc nie proponujemy im jakiegoś konkretnego, który zechcieliby wyemitować, to tym razem się nie uda.

– Rose, do licha, to daj im jakiś konkret. Musimy ich zaciekawić, mniejsza o koszty.

– Ale jak? Nie możemy przecież zacząć rozpowiadać, że naszym zdaniem dwudziestego szóstego grudnia ktoś zostanie zamordowany, prawda? Nie możemy też zasiewać ziarna niepewności pośród mnóstwa rodzin, że może chodzić o ich zaginionych bliskich.

Carl przyglądał się jej przez chwilę; miała oczywiście rację. Żadna roślina nie rośnie pod niebiosami niepodlana choćby odrobiną nawozu.

Zerknął na pustą rubryczkę tabeli na samym dole. Kierownictwo, które nigdy nie spędziło ani minuty na regularnym dochodzeniu, miałooby przeszkodzić swojemu najlepszemu departamentowi w udaremnieniu zabójstwa? Nie ma mowy!

– Wiesz co, Rose, to skontaktuj się z dziennikarzami newsowymi i powiedz ich wydawcom czy komuś tam decyzyjnemu, że Departament Q prowadzi sprawę na wielką skalę i że czas goni, więc jeśli media chcą być na bieżąco, niech przybywają. Dziś w drodze wyjątku uchylimy rąbka tajemnicy w sprawie naszego dochodzenia, to musi zrobić wrażenie. I mam gdzieś, kto łyknie przynętę. Jeśli znajdzie się choć jedna osoba, będę zadowolony.

Potem Carl walnął nogi na biurko i postanowił zreasumować, co wie. Wszystko wskazywało na to, że zabójca pozostawał aktywny od prawie trzydziestu pięciu lat i że postępował metodycznie według określonego schematu. Przede wszystkim założył sobie, że będzie zabijał co drugi rok, co właściwie miało sens, bo im rzadziej seryjny morderca atakuje, tym większa szansa, by poszczególne zbrodnie przeszły bez echa. Do tej pory morderstw dokonywano w coraz późniejszym terminie w skali roku,

a przez tyle lat ich liczba sięgnęła szesnastu, wkrótce może nawet siedemnastu. Na tym etapie śledztwa wszystko wskazywało na to, że zabójstwa są powiązane z datami urodzin znanych dyktatorów i innych cynicznych łajdaków, którzy dopuścili się ciężkich przewinień wobec ludzkości. Carl nie miał cienia wątpliwości, że jego znamienici koledzy wkrótce zidentyfikują więcej podobnych dat i zapewne również zgony, które się z nimi łączą.

Pozostaje pytanie o jednoznaczny wspólny mianownik tych wielkich zbrodniarzy oraz ofiar zabójcy. I co w tym równaniu robi sól? Czy stanowi tylko sygnaturę umożliwiającą połączenie morderstw? Czy zabójca był tak pewien swojej nieuchwytności, że bez wahania stworzył połączenie między popełnionymi przestępstwami? Carl swego czasu poznał wielu pewnych siebie idiotów, ale w tym wypadku spotkał się z nadmiarem lekkomyślności, zadufania w sobie, nie mówiąc już o odwadze. Kto w ogóle chciałby się chwalić zabijaniem? Psychicznie chory? Pozbawiony empatii psychopata? Mściciel?

Carl wysunął papierosa z paczki i postukał nim o blat biurka.

Może kilka buchów pomoże mu zrozumieć, co te zabójstwa mają wspólnego ze śmiercią Ragnhild i Tabity? Bo na pewno coś miały, skoro zwłoki Ragnhild Bengtsen zostały znalezione obok dwóch ostatnich ofiar serii morderstw. Tylko dlaczego przy ciele Ragnhild nie stwierdzono obecności soli? I dlaczego zamordowała Tabitę? Czy mogło być tak, że zabójstwa obu tych kobiet wcale nie wpisywały się w żaden większy plan, lecz stanowiły straty uboczne, które następnie zdecydowanie i bez wahania usunięto?

Carl westchnął i zostawił niezapalonego papierosa w kąciку ust, myśląc aż się kurzyło. Owca

Może powinien skoncentrować się wyłącznie na dwóch ostatnich znaleziskach? Bo kim właściwie były ofiary? Birger Brandstrup produkował gry i przyczyniał się do uzależnienia od hazardu. Frank Svendsen zanieczyszczał kopalnie odkrywkowe, atmosferę oraz morza i wysyłał do Bangladeszu statki na złomowanie. Dwóch mężczyzn, którzy zdecydowanie nie robili dla świata nic dobrego.

– Carl, masz chwilkę?

To Assad wyrwał go z zamyślenia.

– Włączę ci telewizor na TV2 Play. Musisz zobaczyć najświeższe wiadomości TV2 News!

Przez chwilę majstrował przy pilocie, po czym na ekranie pojawiło się zdjęcie Pauline Rasmussen, a na pasku na dole z napisem „pilne” przesuwający się następujący tekst: „Aktorka Pauline Rasmussen, którą wczoraj znaleziono martwą w domu,

popęłniła samobójstwo – podają liczne źródła. Pauline Rasmussen miała 52 lata i była jedną z najpopularniejszych gwiazd kabaretowych i rewiiowych w Danii”.

– Pauline Rasmussen znalazła przyjaciółka, z którą właśnie przeprowadzają wywiad – poinformował Assad.

Postawna dama, którą Carl wzięłyby za transwestytę, siedziała w studiu z zastygłą twarzą i odpowiadała na pytania.

– Tak! Pauline przez dłuższy czas czuła się naprawdę fatalnie – powiedziała. – Szczególnie mocno dotknął ją ostatni lockdown, bo dopiero co nabrała nadziei, że znów wystąpi na scenie. Wtedy przez decyzję rządu po raz kolejny straciła grunt pod nogami.

– Czyli obawiała się przyszłości bez pracy? – spytała prowadząca.

– Tak, i bez pieniędzy. W ostatnim czasie nie miała za co żyć, w ciągu ubiegłego roku wyczerpały jej się wszystkie rezerwy finansowe.

– Znalazła ją pani w jej domu, w łóżku?

– Tak, ale od razu zwróciłam uwagę na stosik tabletek na szafce nocnej.

Następnie pokazano zdjęcie rzeczonoego mebla ze słoiczkiem po tabletkach, pigułkami i pustą szklanką. Na pewno nie był to materiał, który wyszedłby spod ręki techników, więc przyjaciółka musiała zrobić fotkę sama.

– Jeszcze zanim ją zobaczyłam, przeżyłam szok, bo instynktownie wiedziałam, że coś jest bardzo nie tak z tymi wszystkimi tabletkami. Nie odbierała też telefonu, gdy rano do niej wydzwaniałam. Pomyślałam, że upiła się w sztok, ale srodze się pomyliłam.

– Zaprosiliśmy tu panią, bo wiemy, że chce pani skomentować to, co stało się z panią Rasmussen. Czy mogłaby pani ubrać to w słowa?

Carl burknął. „Ubrać to w słowa”. Dziennikarze telewizyjni lubują się w tym debilnym zwrocie. Jego zdaniem był równie afektowany co słowo „zwerbalizować”.

Kobieta nachyliła się w stronę dziennikarki, jakby chciała wyjawic jej coś w zaufaniu.

– To kwestia środowiska – oświadczyła. – Zbyt wielu aktorów i artystów scenicznych trzyma w szafkach nocnych pigułki nasenne, szczególnie w dzisiejszych czasach, gdy ich życie stanęło na głowie. Uważam, że minister kultury i wszyscy, którzy podjęli decyzję o pominięciu artystów scenicznych przy podziale środków na wsparcie finansowe, powinni się głęboko zastanowić, bo na ich barkach spoczywa ogromna odpowiedzialność.

Carl spojrzął na Assada ze ściągniętymi brwiami.

– Tak – stwierdził. – To dopiero kobieta. Po pierwsze, powiedziałbym, że śmierć Pauline Rasmussen naprawdę mnie zaskoczyła. Moim zdaniem nie była typem

skłonny do załamania.

– Po pierwsze, powiadasz? – Assad uśmiechnął się półgębkiem zza gąszczy dwudniowego zarostu.

Czyżby ten szczywany lis już się domyślił, co Carl za chwilę powie?

– Obaj myślimy o tych tabletkach, prawda, Assad? W tej buteleczce musiało ich być mnóstwo, skoro tyle leżało na szafce nocnej, a pozostała część zdołała zabić Pauline.

– Owszem, Carl, to bardzo podejrzane! Ekipa Sigurda Harmsa właśnie z tego powodu zaczęła rozglądać się za czymś, co mogłoby wskazywać na zabójstwo, ale w domu znaleźli tylko odciski palców Pauline. Przyjrano się gruntownie buteleczce, przeszukano sypialnię i korytarz. Kobieta leżała w pełni ubrana, jej torebkę rzucono na puf stojący w nogach łóżka. Harms przejrzał jej zawartość, ale tutaj też nie znalazł nic dziwnego.

– Wyobrażam sobie, że nie był zachwycony. – Carl skinął głową. – Dobrze, że zwróciłeś mi na to uwagę, Assad, bo to nie wygląda na standardowe samobójstwo. Teraz to już naprawdę się nam spieszy z odzyskaniem komputera Pallego Rasmussena z tego cholernego NC3. Poprosiłbyś Marcusa o interwencję, by w NC3 odtworzyli tyle usuniętych plików, ile tylko się da?

Assad podniósł kciuk. Już się do tego zabierał.

„Najwyższy czas na ćmika” – pomyślał Carl, wyglądając na parking. Ledwie zdążył dostrzec dwóch młodych chłopaków z kamerą i mikrofonem pędzących w mrozie do wejścia głównego, a w progu stanęła Rose.

– Już są – powiedziała, wlepiając mordercze spojrzenie w ogień zapalki Carla.

– Kto? Ekipa telewizyjna?

Zebranie papierów na biurku w dyskretną stertę zajęło zaledwie minutę i obaj panowie stali już przed Carlem.

– Cześć! Erik! – przedstawił się ten z mikrofonem.

Carl przywitał się z nim łokciem, podczas gdy kamerzysta szykował się do nagrywania.

– Trochę się spieszymy – powiedział dziennikarz, podtykając Carlowi mikrofon pod nos.

Carl wlepił wzrok w czerwoną lampkę kamery i w naklejkę powyżej. Widniał na niej napis „Lorry”.

– Rose, pozwól tutaj! – krzyknął, odwracając się plecami do kamery. – Powiedz mi, proszę – zwrócił się do niej, kiedy już przy nim stała. – Zamówiłaś nam stację Lorry? Kopenhaską lokalną telewizję!

Rose spojrzała z konsternacją na obu filmowców.

– Z tego, co wiem, to nie.

Carl odwrócił się do mężczyzn, próbując nadać twarzy przepaszający wyraz. Sam czuł, że nijak mu to nie wyszło.

– Dziękuję panom za przybycie oraz za to, że za chwilę równie szybko panowie sobie stąd pójda. To, co mamy do powiedzenia, jest wiadomością na skalę ogólnokrajową.

– Ależ nasze programy są czasami emitowane na innych regionalnych... – zaczął dziennikarz, ale operator kamery już pojął przekaz.

Pięć minut później mknęli z powrotem po parkingu w kierunku przeciwnym niż poprzednio, poinformowani, że za dwie godziny na placu przed dawną Komendą Główną odbędzie się konferencja prasowa Departamentu Q.

– Carl, jesteś pewien, że to dobra decyzja? – spytała Rose.

– Tak, niczego bardziej nie byłem pewien.

– Co chcesz powiedzieć?

– Cóż, dylemat polega na tym, że nie mogę wszcząć poszukiwania osoby o profilu „odrażający łajdak”. Ale poza tym powiem wszystko tak, jak jest. Że podejrzewamy, iż jakaś bardzo przedsiębiorcza i z pewnością odnosząca sukcesy osoba, której rodzina od jakiegoś czasu nie widziała, znalazła się w poważnych tarapatach. I że jeśli bliscy coś podejrzewają, niech dzwonią bezpośrednio na twój numer.

Rose przyjęła to bez zachwyty.

Piątek, 18 grudnia 2020, późne popołudnie

### SISLE

Odebrała połączenie, wracając w ciemności do domu. Ostatnie dni należały do zabieganych, ale lata zahartowały Sisle, która bez względu na wszystko twardo stąpała po ziemi. W głosie Debory dało się wyczuć zdenerwowanie, ale przecież Debora to nie Sisle. Przez wiele lat była jej wiernym i lojalnym giermkim, miewała też jednak chwile wątplenia. Bez tarczy ochronnej, którą Sisle osłaniała ją i jej męża, tych dwoje bez wątpienia całe lata temu poszłoby na dno. Większość by poszła, zważywszy na nieszczęścia, które zgotowało im życie.

Sisle była sto razy silniejsza i nigdy nie wątpiła ani w siebie, ani w swoją misję. Prowadziło ją przeznaczenie i dopóki jej instynkty i siła woli wskazywały ten sam kierunek, to nie było powodów do obaw.

Teraz znów stała przed drzwiami do domu Debory, za którymi wybuchało już tyle pożarów i tyle musiało zostać zawczasu ugaszonych.

Drzwi otworzyła jej pobladła Debora.

– Musisz obejrzeć to, co właśnie widzieliśmy – powiedziała. – Nie jest dobrze, Sisle, nie jest dobrze.

Adam stał w salonie z pilotem w ręce. Wyglądał na wstrząśniętego i Sisle już wtedy się zorientowała, że słowa, które mężczyzna zamierza wypowiedzieć, mogą wystawić go na ryzyko, i że o tym wie. Dlatego zaczął od czegoś innego.

– Musisz zobaczyć tę konferencję prasową. Leci teraz niemal bez przerwy na TV2 News. Musimy ustalić strategię.

Wcisnął guzik pilota i odszukał klip na TV2 Play. Przez pięć minut Sisle wpatrywała się w ekran, czując, że Debora i Adam nie spuszczają z niej oczu. Ale ona zachowała spokój.

Przed dawną Komendą Główną Policji otoczony wianuszkami mikrofonów i kamer stał Carl Mørck, szef Departamentu Q; z jego ust wydobywały się obłoczki pary, ramiona przyprószone były śniegiem. Spojrzenie miał mroczniejsze niż tamtego dnia, gdy przyszedł z nią porozmawiać w firmie, a za każdym razem, gdy jakiś dziennikarz chciał mu przerwać, policjant odwracał głowę. Po twarzach reporterów można było poznać, że Mørck właśnie postępuje wbrew licznym procedurom, standardowo



przestrzegającym przez policję. Jeśli była to próba zaangażowania całej Danii w jego dochodzenie, to naprawdę udana.

Ekran wciąż jeszcze się żarzył po konferencji prasowej, gdy na kanale TV2 News pojawiła się twarz prowadzącego program. Jego mina nie pozostawiała złudzeń, że ten materiał będzie na topie przez kilka kolejnych dni. Ani się obejrzą, aż zaroi się od ekspertów zapraszanych do studia, by podzielili się opinią na temat mobilizacji w dochodzeniu i jego intensyfikacji.

Taki nadmiar uwagi to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowali Sisle i spółka.

– Może lepiej od razu zabić van Bierbeka? Co to jest parę dni wte czy wewte? – spytał Adam.

Wreszcie to powiedział.

Skierowała na niego wzrok, nie odwracając głowy. „Słaby człowieku, uważaj, co mówisz” – pomyślała.

– Adam może mieć rację, Sisle – dodała Debora, wycofując się w stronę kanapy. – Przecież już o tym rozmawialiśmy. Gdyby mieli się zanadto zbliżyć, mieliśmy wyciągnąć wtyczkę i...

Sisle się wyłączyła. W ostatnich dniach sporo się działo, ale to przypadek. Tabicie i Ragnhild zupełnie odbiło, i to niezależnie od siebie, a takich rzeczy nie można było przewidzieć. Teraz Tabita nie żyje, co wyeliminowało problem, za to nieodzowne stało się powstrzymanie Ragnhild. Postąpili słusznie, zabijając ją, tylko kto mógł przypuszczać, że jej zwłoki zostaną znalezione tak szybko? Adam zapewniał, że porządnie je zakopał, ale widać jednak nie. I zaraz potem przychodzi do niej ta idiotka Pauline i zaczyna ją szantażować. Nie powinna była tego robić, nikt nie ma prawa jej grozić. I choć baba nie miała na nią nic konkretnego, to mogła doprowadzić do powiązania Sisle z zabójstwem Pallego Rasmussena. Jej insynuacje mogłyby się łatwo nawarstwić i znów nasłać na Sisle tego buldoga z Departamentu Q z większą liczbą pytań.

Sisle odetchnęła głęboko.

– Adamie, masz stuprocentową pewność, że usunąłeś z mieszkania Pauline Rasmussen wszystko, co mogłoby przysporzyć nam nieprzyjemności?

– Przecież sama widziałaś, jak działałem. Z jej sypialni zabrałem kartkę, którą trzymała w torebce, i pudełko po butach z mejlami, które stoi tam. – Wskazał na stół. – Niczego innego nie znalazłem. Mieliśmy na sobie rękawiczki, Sisle, nikt nas nie widział.

– Nie zaczniecie teraz robić błędów, prawda? – Sisle patrzyła na nich, dopóki nie spuścili wzroku. – Posłuchajcie. Ten Carl Mørck nic nie ma. Jak mówił na konferencji, jego wydział najwyraźniej wie, że ktoś umrze przed drugim dniem świąt, ale to tyle.

Nie wiedzą kto, nie mają pojęcia, gdzie on się znajduje. Nie zamierzam z tego powodu odstępować od zamiaru i swoich zasad. Zgładzimy Mauritsa van Bierbeka zgodnie z planem.

– A co będzie, jeśli żona Bierbeka zacznie coś podejrzewać i zareaguje na apel policjanta? – spytała Debora.

– Dlaczego miałyby to robić? Przecież wyjaśniliśmy, dlaczego nie utrzymują kontaktu telefonicznego, kiedy on dobija targu w sprawie gigantycznego kontraktu na Florydzie. Zadowolona się ich tak zwaną korespondencją mejlową, zgadza się, Deboro?

– Żona uważa, że to romantyczne, kiedy on tak pisze o swoich uczuciach do niej. Ostatnio była niemal w euforii. Ale co zrobimy, jeśli nagle zmieni śpiewkę, zacznie zadawać pytania i zażąda, by do niej zadzwonił?

– Odniesiemy się do tego, jak już nam odpisze.

– Ale przecież policja zachęcała do tego, by rodzina zadawała pytania, na które odpowiedzieć może tylko osoba zaginiona. Adam mówi, że Maurits Bierbek sprawiał wrażenie silnie osłabionego, gdy dziś do niego zajrzał, więc może nie być w stanie albo nie chcieć z nami współpracować, jeśli zażądamy od niego odpowiedzi.

– Tak. – Adam spojrział na Sisle błagalnie. – Mauritsowi już niewiele zostało i wydaje mi się, że nie uda nam się z niego wycisnąć żadnej odpowiedzi. Zupełnie jakby już się poddał.

– Adamie, Adamie, daj spokój, zaraz się załamiesz. Zasadniczo to przecież nie ma znaczenia, czy się domyślą, kim jest ten człowiek. Nie da się go nijak powiązać ze mną, a już na pewno z wami.

– Jesteś pewna, Sisle? Czy twój telefon do Bierbeka nie stanowi jakiegoś tropu, nie mówiąc już o porwaniu?!

Sisle widziała, jak bardzo Debora była poruszona, choć próbowała sprawiać wrażenie spokojnej. Ale to już jej problem.

– Sisle, przecież Debora może mieć rację – sekundował żonie Adam. – Jeśli rodzina zareaguje i nie uzyska zadowolającej odpowiedzi, to policja cofnie się do dnia porwania i dokładnej godziny, o której Bierbek został odebrany.

Sisle podniosła głos.

– Posłuchajcie! – Oboje aż podskoczyli, ale kobieta to zignorowała. Mają się po prostu wziąć w garść. – Nawet jeśli policja ma nagrania auta i dostrzeże za kółkiem zarys mojej zamazanej twarzy, nawet jeśli wypożyczalnia samochodów ma sprzęt śledzący i zachowuje kilkutygodniowy plik z nagraniem, to i tak nic z tego nie wynika. Telefon do Mauritsa van Bierbeka, by zorganizować spotkanie z przedstawicielem Global Rea Inc., Victorem Page'em, wykonałam ze starej nokii, a karta wraz z komórką leżą już na dnie Nordhavnen. Auta z wypożyczalni używaliśmy tylko przez pierwszych

dwadzieścia minut, nim przenieśliśmy Mauritsa do bagażówki, a lexus został planowo odstawiony na miejsce przez ciebie, Deboro, bo przecież wypożyczyłaś go na podrobione papiery i kartę kredytową z Caixa Bank na to samo fałszywe nazwisko. Wszystko to wiecie, więc dlaczego uważacie, że zaczęłam popełniać błędy?

– Czyżbyś nigdy żadnego nie popełniła? – spytał Adam i pożałował w tej samej chwili, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały.

W tamtych latach już od jakiegoś czasu Sisle miała na muszce warsztat Ovego Wildera. Od momentu powrotu na studia na uniwersytecie kawiarnia Bjarnes Kaffesalon w pobliżu warsztatu samochodowego stanowiła jej ulubione miejsce przygotowań do wykładów w kolejnym dniu. Klientela kawiarni była skromna, podobnie jak ceny. Ale choć lokal jak magnes przyciągał najniższe warstwy dzielnicy Sydhavnen, panowała tu atmosfera wzajemnego poszanowania, której nie można było uświadzić na uniwersytecie. Schodzili się tam ludzie, którzy pracowali za najniższą pensję, wykonując najpodlejsze prace, wstawali o piątej rano i zasuwali aż się kurzyło. Nawet kiepskie układy Danii z bóstwami pogody ich nie powstrzymywały. Przez ostatnich kilka lat Sisle widywała tu wiele sinych nosów i twarzy, na których naczynia krwionośne popękały od mrozu, ale nigdy nie słyszała narzekania czy skarg.

Tak właśnie toczyło się życie aż do chwili, gdy w pobliżu otworzył się warsztat Ove Wilders Auto, a właściciel i mechanicy zaczęli nawiedzać kawiarnię. Sisle nie mogła już spokojnie siedzieć w kąci, skupiając się na swoich studiach, ze względu na całe to szambo wylewające się z ich ust. Przez ponad pół roku musiała wysłuchiwać historii o niewiarygodnym wręcz wymiarze oszustw w warsztacie i anegdot wszystkich mechaników o głupich klientach i o tym, jak łatwo było drenować ich kieszenie do ostatniej korony.

Oprócz oszustw na wielką skalę to przede wszystkim ich protekcyjność i szyderstwa doprowadzały ją do białej gorączki. A gdy wreszcie wzięła się w garść i dała upust swojej konsternacji i pogardzie dla ich kryminalnej działalności, nastrój przy stoliku mechaników w ciągu sekundy zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Damulko, trzymaj język za zębami i zatkaj sobie uszy, rozumiano? – Sam Ove Wilder nadał ton ich konwersacji, położył brudną łapę na jej teczce z materiałami i przysunął ją do siebie. – Jest dla ciebie bardzo ważna, prawda?

Sisle skinęła głową; papiery były rezultatem jej półrocznych wysiłków, ale w jej oczach nie można się było doszukać konstatacji, że popełniła błąd.

– Nie mieszkasz przypadkiem pod siedemnastką na sąsiedniej ulicy? Wystarczą nam góra trzy minuty, by tam dotrzeć i rozwalić wszystko, co masz. Mógłbym na przykład zacząć od tego. – Wyrwał pierwszą kartkę z teczki i podpalił ją zapalniczką.

Wzdrygnęła się, gdy płomień strawił papier w kilka sekund, a oni to dostrzegli i wszyscy wybuchli śmiechem, który na moment jakby dokonał zwarcia w mózgu Sisle.

– Może i nie mieszkam daleko – wycedziła – ale budka telefoniczna jest jeszcze bliżej, więc zadzwonienie na policję to małe piwo, prawda?

Nie zorientowała się, kto ją uderzył, ale odnotowała, że żaden z klientów ani myślał ruszać jej z odsieczą. Stali bywalcy ledwie na nią spoglądali i Sisle po raz drugi w życiu poczuła się całkowicie zdradzona. Dlatego jej noga więcej nie powstała w Bjarnes Kaffesalon.

Niewiele ponad miesiąc zajęło jej zdobycie informacji o rozkładzie warsztatu i sporządzenie mieszanki materiałów wybuchowych mających odegrać rolę detonatora. Następnie należało sprawić sobie chloroform do ewentualnego odurzenia ofiar, otworzyć warsztat wytrychem i umieścić w nim kij bejsbolowy oraz inne utensylia. Potem trzeba było połączyć ze sobą detonatory i podpiąć je do mechanizmu zegarowego w pobliżu beczek z toluenem, i wreszcie umieścić w strategicznych miejscach kawałki metalu.

W obu halach znalazła ciemne zakamarki, gdzie można było się schować niezauważonym, i przećwiczyła bezszelestne skradanie się po betonowej nawierzchni. Przez kilka dni trenowała też celność i siłę ciosu prosto w kark na świńskich łbach zdobytych w Kødbyen.

W końcu sporządziła niezawodny plan, który wydawał się brać pod uwagę wszystkie ewentualności, więc odpuściła chloroform. Należało po prostu działać szybko i bez wahania, kiedy każdy z mechaników uda się do szatni przed zamknięciem warsztatu. O ile nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, żaden z mężczyzn nie zdąży zareagować, bo Sisle znokautuje ich ciosem od tyłu w kark. Potem niemal jednocześnie dojdzie do detonacji, więc jeśli tylko uda jej się ich wszystkich zneutralizować tuż przed zamknięciem zakładu, plan nie może się nie udać.

Z jakiegoś powodu przeoczyła jednak fakt, że jeden z mechaników wyszedł przed bramę i stał w niej, paląc, a ona niemal przez przypadek akurat tamtędy wychodziła. Spojrzał na nią podejrzliwie i nie zdążył zareagować, nim wymierzyła mu cios kijem w grzbiet nosa. Mężczyzna zatoczył się i padł nieprzytomny na ziemię między ogrodzeniem a samochodem stojącym na podjeździe.

Właśnie w tym momencie pojęła, że czas jej się kończy, więc ile sił w nogach wybiegła z warsztatu przez bramę, mijając sól, którą tam zostawiła, i przystanęła na ulicy w odległości stu metrów, by z bliska napawać się zemstą.

I wtedy się to stało.

Kobieta, która zupełnie nieoczekiwanie wybiegła zza rogu ze spacerówką, nie słyszała jej panicznego wołania, by się zatrzymać. Nie słyszała też, jak Sisle popędziła

przed siebie, krzyząc drugi raz. Również trzeci raz jej nie usłyszała, gdy zdążyło już dojść do katastrofy w wyniku potężnego wybuchu.

Gwałtowny podmuch powalił Sisle na ziemię i kobieta na chwilę straciła przytomność. Przez pół minuty była zupełnie ogłuszona, ale gdy słuch jej wrócił, słyszała tylko wrzask matki.

Z bezpiecznej odległości ujrzała niebieskie światła wozów policyjnych, a chwilę potem – karettek.

Gdy do ambulansu wniesiono nosze z dzieckiem, krzyk młodej matki na chwilę ustał. Sisle była załamana.

Czy nie zawarła paktu z Bogiem? A może ma zostać jeszcze raz wystawiona na tak drastyczną próbę?

Gdy nie uzyskała odpowiedzi, obiecała sobie kilka rzeczy. Musi odpokutować swoją przewinę, a młodej matce należy się zadośćuczynienie. Potem Sisle stanie się silniejsza i bogatsza, by już zawsze mieć narzędzia i środki na powstrzymanie ludzi takich jak Ove Wilder.

Zanotowała datę wybuchu w kalendarzu, po czym stwierdziła, że w ów dzień przypadają urodziny rumuńskiego satrapy Nicolae Ceaușescu.

Wtedy zaświtał jej w głowie szatański pomysł. Od tej chwili całą energię włoży w wyszukiwanie swoich ofiar i pedantyczne planowanie ich śmierci, tak by nie ucierpeli przy tym niewinni. A gdy będzie zabijać, może na wszelki wypadek co drugi rok, to dołoży starań, by nikt nie nabrał podejrzeń, że śmierć nastąpiła w wyniku przestępstwa. W ten sposób będzie mogła pracować w świętym spokoju aż po kres swoich dni.

Jej drugie morderstwo można było spokojnie zaplanować na szesnasty lutego dziewięćdziesiątego roku, kiedy to przypadała rocznica urodzin Kim Dzong Ila, tyrana z Korei Północnej, będącego największym przekleństwem swojego kraju. W ten sposób powstały podwaliny pod ambitną krucjatę Sisle Park, by uczynić świat lepszym miejscem.

„Czyżbyś nigdy nie popełniła żadnego błędu?” – spytał Adam. Gdyby wiedział, jak głęboko wbił jej sztylet.

I co się właściwie teraz dzieje? Czy tych dwoje, z którymi przez tyle lat tworzyła swój projekt, zaczynało się wycofywać? Po prostu nie mogła na to pozwolić.

– Myślałam, że mamy umowę, by nigdy nie kwestionować swoich działań, Adamie.

Mężczyzna aż się skulił pod wpływem jej tonu.

– Powiedz mi, czy masz się do czego przyczepić? No już!

– Przepraszam – powiedział po prostu.

Wzrok Sisle przeskakiwał od jednego do drugiego. Może trzeba się zastanowić, czy nie należałoby rozwiązać ich współpracy?

– Mówisz, że Maurits jest bardzo słaby. Jak bardzo? Sugerujesz, że umrze przed egzekucją?

– Nie wiem, ale może tak się stać! Dlatego uważam, że równie dobrze możemy zabić go nawet teraz.

– Przestań, Adamie, nie wspominaj już o tym, dobrze? Ten człowiek umrze w wyznaczonym dniu, ani wcześniej, ani później. Musisz go lepiej karmić, zrozumiano? Do uśmiercenia go zostało jeszcze osiem dni.

Siedziała przez chwilę, wpatrując się w pudełko po butach leżące przed nią na stole.

– Czytaliście mejle Pauline Rasmussen? – spytała.

– Tak, część. Miała totalną obsesję na punkcie Pallego Rasmussena.

– I mieliście na sobie rękawiczki?

– Za kogo ty nas masz? – Adam wyglądał na obruszonego.

– Dobrze. – Sisle spojrzała na zegarek. – Dołożę do pudełka coś jeszcze, a potem pojedziesz, Adamie.

Sobota, 19 grudnia 2020

CARL

Poprzedniego wieczora Carl ledwie odsunął się od mikrofonu, a lodowate powietrze aż zgęstniało od nawału pytań i w stronę policjanta wysunęło się dwadzieścia mikrofonów trzymanyh przez dłonie w grubych rękawiczkach.

„Skąd wiedział, że w drugi dzień świąt życie jakiegoś człowieka będzie zagrożone? I dlaczego właśnie tego dnia? Jakie są powody?” – krzyczano ze wszystkich stron. Bez względu na rodzaj pytania Carl odpowiadał jednym jedynym komentarzem, że powiedział już to, co zamierzał, i że ma nadzieję na rychły kontakt z rodziną tej osoby, co pozwoli na intensyfikację śledztwa.

Następnie odwrócił się w stronę monumentalnej kolumnady Komendy Głównej i komendantów rzucających znad zielonych maseczek pełne dezaprobaty spojrzenia.

Zbliżyli się do niego, szepcząc, że Carl do reszty oszalał i że jego przełożony, Marcus Jacobsen, został już poinformowany o tym całkowicie nieprzemyślanym pogwałceniu dobrych praktyk w kontaktach policji z telewizją i radiem.

– Moim zdaniem nie powinniście mnie zwalniać, dopóki nie uratujemy tego człowieka – powtórzył kilkakrotnie.

Gdy już wystarczająco klarownie dali mu do zrozumienia, że czekają go reperkusje, zniknęli w budynku, zostawiając za sobą Carla i wytrwałych dziennikarzy.

Carl skinął głową do zebranych i przywołał do siebie Assada oraz Gordona, idąc po skosie po parkingu.

– Mogą cię za to zaszlachtować – poinformował go Assad.

Mørck poklepał swojego wiernego giermka po ramieniu.

– Całe szczęście, że w naszym wydziale pozostaniecie wy – odparł.

Temat konferencji prasowej znalazł się na pierwszych stronach wszystkich gazet, a skutki okazały się naprawdę spektakularne, o czym mieli okazję się przekonać kolejnego dnia. Urywały się telefony od ludzi, których bliscy ostatnio zaginęli, a koledzy Carla złorzeczyli i psioczyli, bo nagle wszystko zaczęło się kręcić wokół jednego, ich zdaniem zupełnie dziwnego i nietypowego dochodzenia. Choć Carl podał numer kontaktowy do Rose, to wszystkie oddziały na Teglholmen i w Komendzie Głównej miały pełne ręce roboty, odbierając wszelkie możliwe połączenia,

począwszy od zatroskanych rodzin, a skończywszy na idiotach, chcących po prostu porozmawiać o wszelkiej maści niedorzecznościach.

Choć Carl zaznaczył, że zaginiony najprawdopodobniej jest przedsiębiorczym człowiekiem sukcesu, przytłaczająca część zgłoszeń pochodziła od zdenerwowanych rodziców zupełnie zwyczajnych nastolatków, którzy zniknęli im z oczu zaledwie kilka godzin wcześniej. W gabinecie vis-à-vis Carla odbierano liczne telefony od podchmielonych facetów na zasiłku, którzy nie mogli pojąć, dlaczego ich dziecko nie wróciło do domu po awanturze poprzedniego wieczora, a tłem tych rozmów były wyraźne i jawne złorzeczenia i przekleństwa kolegów, którzy stawili się w pracy pomimo restrykcji pandemicznych.

Summa summarum Carl bardzo się naraził, więc zabarykadował się w swoim gabinecie i zamierzał tam zostać aż do końca dnia i opuszczenia przybytku przez kolegów.

Za to telefon Rose w sąsiednim pomieszczeniu osobiwie milczał. Ciekawe dlaczego? Po kilku godzinach postanowiła przełączyć go na automatyczną sekretarkę i poinformować Carla o tym, nad czym pracowali.

– Przez ostatnich parę godzin koordynowałam pracę pozostałych – zagaiła Rose i kiwnęła głową do Assada, który stał obok, trzymając pod pachą kilka zeszytów z wycinkami.

– Tak, skupiliśmy się na sprawie Pii Laugesen, ja na zeszytach z wycinankami jej córki, a Rose na starych materiałach telewizyjnych z Pią w roli głównej.

– Assad, z wycinkami, nie wycinankami! – poprawił Carl, ale Assad nie słyszał.

– Obejrzałam wywiady z Pią Laugesen z ostatnich kilku lat jej życia – poinformowała Rose. – Spójrzcie na przykład na ten z TV Avisen z dwa tysiące dziewiętego roku, przeprowadzony rok przed jej śmiercią. – Rose postawiła swój laptop przed Carlem i wcisnęła odtwarzanie.

Wywiad przeprowadzał znany dziennikarz, jeden z tych, którzy wiążą krawat na modłę amerykańską i specjalizują się w problematyce gospodarczej.

– Pani Laugesen. Kiedy doradza pani zamożnym ludziom, by przenieśli swoje majątki do krajów słynących z wyjątkowo surowego podejścia do kwestii przestrzegania tajemnicy bankowej, kiedy przyczynia się pani do wyprowadzania firm z kraju, kiedy na wszelkie sposoby zabiega pani, by jej klienci unikali płacenia podatków, kiedy swoimi interpretacjami nagina pani maksymalnie przepisy podatkowe, czy nie podważa pani tak naprawdę fundamentów, na których opiera się nasze społeczeństwo? I czy w istocie nie jest pani odpowiedzialna za to, że ciężar płacenia podatków, który powinien spoczywać na pani klientach, muszą wziąć na siebie pomniejsi podatnicy?



Pia Laugesen ani na sekundę nie przestała oszałamiać swoim czerwonym uśmiechem, wykorzystując czas na poprawianie pierścionków i jedwabnej apaszki od Hermèsa. Zupełnie nieporuszona charakterem sprawy kiwała tylko głową, jakby nic na świecie nie było w stanie zagrozić jej samej i jej integralności.

Gdy dziennikarz skończył, Laugesen ukazała garnitur świeżo wybielonych zębów.

– Och, mój Boże – odparła z pobłażliwym uśmiechem. – Drogi przyjacielu, gdyby darował pan sobie tego rodzaju banalne pytania, jakie pan stawia, to byłby pan przecież bezrobotny. Jestem zobowiązana zachować całkowitą obojętność wobec tego, co musi zapłacić zwykły pracownik na etacie. Moim zadaniem jest transfer majątku, nic innego. Jeśli zaś chodzi o przepisy podatkowe, to proszę się doszkolić w kwestii luk i nieprecyzyjnych sformułowań, które wychodzą na jaw dzięki mojej pracy. Nie rozumiem, w czym problem. Zazdrość?

Obejrzeni jeszcze kilka minut wywiadu, ale kobieta nie zmięknęła ani na chwilę.

– Ja też coś znalazłem – pochwalił się Assad, otwierając zeszyt z wycinkami na jednej ze środkowych stron. – Wycinanka pochodzi z pierwszego lipca dwa tysiące dziesiątego, około półtora miesiąca przed utonięciem Laugesen. – Stuknął palcem w fotografię Pii w pełnym rynsztunku: rozpięte futro z nerek, kolejna apaszka od Hermèsa, garnitur i bransolety zwisające z rąk jak lameta z choinki.

Assad wskazał zdanie w dwustronicowym wywiadzie zatytułowanym „Roczne zeznanie TaxIcon na szczycie firm z Fionii. Imperium Pii Laugesen wznosi się na kolejne wyżyny”.

Carl przeczytał tekst wskazany przez Assada – zdanie, które każdy spin doktor usunąłby w ułamku sekundy.

Laugesen mówiła: „Absolutnie nie interesują mnie klienci i zwyczajni ludzie podejmujący nierozważne decyzje finansowe. Skoro nie potrafią w kreatywny sposób zadbać o swoje warunki ekonomiczne, to niech rzeczywiście robią, co chcą, i idą na dno. Ja w każdym razie nie mogę brać za to odpowiedzialności”.

– Zimne babsko – stwierdził Carl.

Assad i Rose potaknęli.

– Biorąc pod uwagę tę wypowiedź, czy to nie ironia, że ona sama poszła na dno? – spytała Rose.

Celna uwaga, zdaniem Carla.

– Gordon, pozwól no tutaj! – krzyknęła Rose ile sił w płucach. Zamierzała w ten sposób zaprosić do jego gabinetu wszystkich rozwścieczonych kolegów?

– Zamknij, proszę, drzwi – poprosił Mørck Gordona, gdy ten się zjawił. – Co dla nas masz?

– Tylko to – odparł i rzucił na biurko fotokopię. Była to całostronicowa reklama Ove Wilders Auto z lokalnej gazety. Widniał na niej zdezelowany ford escort, który na sąsiedniej fotce wyglądał jak spod igły.

„Niech twoje auto stanie się wilder” – głosił napis, pod którym widać było przykładowe ceny przeglądów, wymiany kół i mnóstwa innych kuszących usług.

– Co w tym takiego szczególnego? Przecież to nie ten sam samochód, prawda? – spytał.

Gordon się uśmiechnął i wskazał na narożnik gazety z dużą czarną gwiazdą, na której żółtymi literami napisano „Ceny jak dynamit”.

– Aha – stwierdził Carl.

– Cóż, jeśli chcesz znać moje zdanie, to morderca zdemaskował oszustwa Wildera i może nawet sam padł ich ofiarą. Skoro nie zachowała się żadna dokumentacja, to niczego się nie dowiemy, ale sformułowanie „Ceny jak dynamit” mogą sugerować, że ten warsztat rzeczywiście wysadzono w powietrze. Czy nie możemy tego potraktować jako tropu, a może nawet wyznacznika sposobu myślenia i reagowania mordercy? W każdym razie mamy tu dwie sprawy, których ofiary musiały wypić, co sobie nawarzyły w wyniku bezpośredniej konsekwencji własnych słów.

– Ja pierniczę, coraz dziwniejsza ta sprawa, nie uważacie? – Carl pokręcił głową. – Można dostać fioła od tych wszystkich tropów w postaci urodzin największych zbrodniarzy świata, aluzji do sposobu pozbawienia ofiar życia, nie mówiąc już o obecności soli. I mimo że zabójca nam ich nie szczędzi, to i tak jesteśmy w kropce. Biada temu, kto czeka na egzekucję w drugim dniu świąt.

– Ale, Carl! – zabrała głos Rose. – Nie sądzisz, że teraz lepiej rozumiemy, jaki związek mają ze sobą poszczególne sprawy?

– Może i tak.

– W każdym razie jedna rzecz łączy tych zbrodniarzy z ofiarami zabójcy. Wszyscy charakteryzują się wyjątkowo niskim poziomem zasad moralnych.

– Tak. Pozostaje „tylko” znaleźć osobę, która uczyniła się strażnikiem moralności do tego stopnia, że uznała, iż zabijanie jest okej. – Carl zrobił w powietrzu znak cudzysłowu, by podkreślić beznadziejność czekającego ich zadania.

– To ma wręcz charakter religijny, prawda? – spytał Assad, któremu zapewne najłatwiej było zrozumieć tego typu mechanizmy.

– Tak, ale co uczyniło z tej osoby takiego krzyżowca? – dociekał Carl. – Gdzie się szuka takich ludzi?

– W zakładach zamkniętych – odparła Rose. – Albo w miejscu, gdzie żyje się zupełnie w swoim świecie. Naprawdę nie wiem.

Wtedy zadzwonił telefon; to była ich przemiła recepcjonistka.

– Jest tu u mnie pani, która chciałaby rozmawiać z Carlem Mørckiem. Czy mogę ją do was podesłać?

Carl zmarszczył czoło.

– Kim jest ta pani i dlaczego chce ze mną rozmawiać?

W tle rozległo się mamrotanie.

– Nazywa się Gertrud Olsen, przyjaźniła się z Pauline Rasmussen, która popełniła samobójstwo. Mówi, że ma coś, co powinniście dostać.

Nietrudno było ją rozpoznać: szeroka w barach, przesadnie umalowana, biust ujarzmiony gorsetem, który niełatwo byłoby odróżnić od dirndli z monachijskiego Oktoberfestu czy kostiumów z kabaretowego Bakkens Hvile. Kiedy Carl zobaczył tę kobietę po raz pierwszy, wziął ją za transwestytę. Prawdę mówiąc, nadal miał wątpliwości.

– Wczoraj wieczorem znalazłam to pod drzwiami – powiedziała zdławionym głosem. – Nie wiem, kto to zostawił, bardzo to nieprzyjemne. Nie miałam odwagi zabierać tego do domu, bo wczoraj nie czekałam na żadną przesyłkę, plus ten cały covid, no ale jednak wzięłam tę paczkę. Jej zawartość mnie zdumiała. Dlaczego miałabym ją otrzymać i kto ją przyniósł? Niezła zagadka. I wtedy pomyślałam o panu, bo jest pan dziś na wszystkich pierwszych stronach, i przypomniałam sobie, że Pauline mówiła mi, że kilka razy ją pan nawiedzał, by porozmawiać o Pallem Rasmussenie. Dlatego przyszedłam z tym do pana.

Carl spojrział na pudełko po butach. Nieduży, biały, sfatygowany karton ze zdjęciem brązowych sandałów na boku.

– Otwierała je pani?

Skinęła głową z zawstydzeniem.

– Tak, musiałam, bo nie byłam pewna, czy jest do mnie.

– Przeglądała pani zawartość?

Pokręciła głową.

– Nie, wydała mi się zbyt dziwna, ale zdążyłam się zorientować, że na samej górze leżą wydruki mejli od Pallego Rasmussena.

– A niech mnie licho! – wykrzyknął Carl.

Rose wkładała już silikonowe rękawiczki. Ostrożnie uniosła nakrywkę.

– Wiedziała pani wcześniej o tym pudełku? Należało do Pauline? – spytał Carl.

– Yyy, możliwe. Dawno temu mówiła, że trzyma w kartonie jakieś mejle. To pewnie on, prawda? Tylko nie rozumiem, dlaczego posypała je solą.

– I co my mamy o tym myśleć, do diaska? – spytał Carl pozostałych po wyjściu kobiety.

– Moim zdaniem tropy wskazują w różne strony – stwierdziła Rose. – Gdyby policja znalazła to pudełko w domu Pauline po odkryciu jej zwłok, to padłoby na nią podejrzenie w związku ze śmiercią Pallego Rasmussena. Przecież bez ogródek wyrażała złość z powodu jego kiepsko skrywanego zainteresowania innymi kobietami, a jak wiadomo, zazdrość plasuje się na szczycie statystyk, jeśli chodzi o motyw zabójstw.

– Czyli podejrzewasz Pauline, że jest morderczynią? – Carl pokręcił głową. – Ale przecież nie znaleziono tego pudełka, to gdzie ono było?

– Właśnie. Skoro nasi koledzy go nie znaleźli, to musiało zostać wyniesione z mieszkania przed ich przyjściem. Może nawet nigdy go tam nie było. Może Gertrud Olsen wie na ten temat o wiele więcej, niż zdradza.

– Tak, Gertrud może przecież kłamać, mogła sama nasypać do środka soli. Ale wybaczcie, dlaczego miałyby to robić? Przecież w żadnym momencie nie mieliśmy jej na celowniku – powiedział Carl.

Rose spojrzała przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Carl, powiedzmy to sobie otwarcie, my nikogo nie mamy na celowniku. Może Gertrud była zakochana w Pauline. Przyznajmy, że sprawia wrażenie dość męskiej. A jeśli naprawdę zabiła Pallego Rasmussena z czystej zazdrości?

– Ale zgadzamy się, że sprawcą zabójstwa Pallego Rasmussena i pozostałych ofiar z tablicy jest jedna i ta sama osoba?

Ze wszystkich stron rozległy się pomrukiwania. Owszem, zgadzali się.

– To posłuchajcie, moi drodzy. Dobrze, że jesteście pomysłowi, ale jeśli Gertrud Olsen miała coś wspólnego z tymi sprawami, to dlaczego, u licha, miałyby się demaskować właśnie teraz? Bądźmy szczerzy, nie mamy nawet cienia konkretnego w przypadku śmierci Pallego i Pauline, więc zabójcą może być ktokolwiek.

– Pomyśl, Carl. Z tego, co widziałam, ramiona tej pani przypominały stukilowe szynki. Sądzę, że z powodzeniem mogła walnąć w łeb mechaników od Wildera i unieszkodliwić i Olka Dudka, i Pallego Rasmussena, gdyby tylko chciała. I przytrzymać pod wodą w basenie Pię Laugesen, dopóki ta nie wydalila ducha. Dla niej to by była pestka.

– Assad, mówi się „wyzionąć ducha”. Ale owszem, masz rację, nie można wykluczyć żadnej opcji, ale najbardziej skłaniam się ku wersji, że winowajca po prostu bawi się z nami w ciuciubabkę.

– Ciuciubabkę? – Brwi Assada podskoczyły nieznacznie.

– Że się z nami droczy.

– Moim zdaniem to pudełko na buty stanowiło świadomą wskazówkę od zabójcy. – Gordon zastanawiał się gruntownie nad tą hipotezą. – Czyli ciuciubabka byłaby tu

odpowiednim słowem.

– Jaką wskazówkę? – spytała Rose, po której widać już było zmęczenie.

– Żebyśmy zrozumieli, że wszystko, co się ostatnio zdarzyło, się ze sobą łączy – dodał Gordon. – W każdym razie wiemy, że Pauline po śmierci nie przyniosła pod drzwi Gertrud pudełka po butach. Wiemy też, że obecność soli w pudełku potwierdza powiązanie jej sprawy z pozostałymi z naszej tablicy. Jeśli się weźmie pod uwagę te dwie kwestie, to samobójstwo Pauline wydaje się mało prawdopodobne. Zabójca zmusił ją do zażycia tabletek, a potem zabrał pudełko, wsypał do niego sól i przekazał osobie, która na bank pomyśli, by oddać je nam.

– Hm! Czyli udowadniasz, że istnieje związek między naszym zabójcą a śmiercią Pauline Rasmussen. Reszta z was się z tym zgadza? – Carl spojrzął po zaciętych twarzach Gordona, Rose i Assada. – Tak, też tak uważam. Ale dlaczego, do kurwy nędzy, morderca właśnie teraz postanawia podzielić się z nami tą informacją?

Assad podrapał się po policzkach.

– Chce nas zestresować, myślę, że tylko tyle. Musimy myśleć racjonalnie, nim dojdzie do kolejnego zabójstwa. Tylko jak to zrobić, kiedy człowiek musi analizować tyle tropów jednocześnie? Przecież czas umyka.

Rose przechyliła głowę.

– Mnie się wydaje, że zabójca jest świrem i podoba mu się, że jesteśmy tak blisko. To totalny wariat i psychol.

Rozległo się pukanie do drzwi i zanim zdążyli zareagować, do gabinetu wszedł Marcus, a za nim reprezentacja piorunujących ich wzrokiem kolegów z innych wydziałów. Czyżby miał teraz dostąpić zbiorowego ukarania?

– Przykro mi przekazywać ci takie wiadomości, Carl, ale z inicjatywy współpracujących ze sobą wydziałów narkotykowych z Rotterdamu, Słagelse i Kopenhagi stałeś się przedmiotem śledztwa w związku z dawną sprawą gwoździarki z dwa tysiące siódmego roku. Oto nakaz przeszukania twojego domu w Allerød.

Kilku kolegów z komisarzem Terjem Plougiem wystąpiło z szeregu, a za nimi pojawił się legendarny „Pies Tropiący” kopenhaskiego wydziału narkotykowego, alias Leif Lassen. Z taką ekipą nie było żartów.

– Aha – odparł Carl, gdy „Pies Tropiący” podał mu nakaz sądowy. – Myślałem, że czeka mnie tylko opierdol za mój wczorajszy wyskok w telewizji.

– Na to też przyjdzie pora, Carl, ale ta sprawa jest nieco poważniejsza.

Mørck przeczytał dokument, który mu przekazano.

– Sędzia naprawdę wydał nakaz przeszukania domu w Allerød? To jakieś szaleństwo. Co to ma na celu? Przecież tam mieszkają Morten Holland ze swoim partnerem i Hardy Henningsen.

Terje Ploug podszedł bliżej; obecna sytuacja wyraźnie go nie zachwycała.

– Wiemy, Carl, wiemy również, że od kilku miesięcy przebywają w Szwajcarii. Musimy cię prosić, byś udał się z nami i pomógł nam w śledztwie.

Carl spojrział na kolegów z Departamentu Q i wszyscy zrozumieli. Ci węższyciele traktowali sprawę cholernie poważnie.

Poczta pantoflowa w Rønneholtparken miała się doskonale, więc wbrew ogólnokrajowemu zakazowi zgromadzeń na parkingu między licznymi wozami policyjnymi przed Magnoliavangen 73 zebrała się grupka ludzi, gdy Carl przybył na miejsce w towarzystwie Marcusa Jacobsena.

– Co się stało? Czy to prawda, że Morten i Hardy nie żyją? Nie widzieliśmy ich od tak dawna! – krzyczeli niektórzy.

Carl pokręcił głową i wzruszył ramionami. „Nic się nie dzieje, tylko spokojnie” – mówiła jego mina, ale nie był już tego wcale taki pewny.

W środku zastał cały zastęp ubranych na biało mężczyzn w rękawiczkach i w plastikowych osłonkach na buty. Pracowali tak skrupulatnie, że najmniejszy okrucuch nie uszedłby ich uwagi.

W mieszkaniu panował zaduch, ale nie było w tym nic dziwnego. Kiedy to wyjechali jego mieszkańcy? Carl nawet nie wiedział, więc musiały minąć miesiące.

„Żenujące” – pomyślał. Odkąd prawie półtora roku temu wyprowadził się do Mony, zajrzał tu może ze trzy razy. Czy Hardy mógł być z tego zadowolony?

– Szukają pieniędzy, prochów i śladów cyfrowych, Carl – wyjaśnił Marcus.

– No proszę! Pamiętajcie, że jeśli znajdziecie kupę szmalu, to należy on do mnie – powiedział ze śmiechem.

Twarz Marcusa niczym czerwony migający neon krzyczała: „Niestosowna uwaga!”.

Znaleziono wiele ciekawych rzeczy, tyle że nienależących do Carla. Aparaty ortodontyczne o różnych kształtach, kilka gadżetów erotycznych, zdecydowanie niepokrywających się z preferencjami seksualnymi Mørcka, tabletki mogące zawierać sterydy, pieluchy Hardy’ego i talk. Przedmioty, które nikogo nie powinny obchodzić, ale przeszukanie prywatnego domu przebiega właśnie w taki sposób.

Gdy skończyli z przyziemem, parterem i piętrem, „Pies Tropiący” wskazał na wąż na strych.

– Coś mi podpowiada, żeby poszukać tam – powiedział i pokonał zsuwaną drabinę czterema susami. – A niech mnie licho – brzmiał jego następny komentarz, gdy wetknął głowę przez otwór wjazdu. – Będzie tu co robić.

Carl zmarszczył czoło, wysilając pamięć. Minęło już wiele lat, odkąd ostatnio zaglądał na strych. Nie pamiętał wprawdzie, kiedy to było, ale jego przybrany syn

Jesper z wielkim ociąganiem opróżnił poddasze, zabierając resztę swoich rzeczy i zostawiając pomieszczenie prawie puste.

Wspiął się po drabinie, na której powitał go widok pośladków „Psa Tropiącego” na tle ściany z kartonów.

„Sporo tego” – pomyślał. Czyżby te pudła pochodziły z co najmniej trzech wyprawek i powrotów Miki, chłopaka Mortena?

– Lassen, to wszystko nie jest moją własnością – powiedział. – Musisz tu tak bałaganić? Mógłbyś przynajmniej pozamykać pudła, jak już z nimi skończysz, co?

Głębokie milczenie stanowi z reguły najlepszą odpowiedź, a „Pies Tropiący” tej zasadzie hołdował. Dziesięć minut później na strychu znalazło się jeszcze trzech śledczych. Carl ich nie znał, mogli nawet nie być Duńczykami.

Półtorej godziny później go zawołali. Poodsuwali wszystkie kartony na boki, tworząc wąskie przejście aż do samej ściany.

– Jest zamknięta na klucz, Carl – powiedział jeden z nich, wskazując na walizkę stojącą pod ścianą na samym końcu. – Mógłbyś ją otworzyć?

– Niestety nie mogę – odparł zapytany. – Nie mam pojęcia, kto ma klucz do zamka. Ta walizka stoi tu od lat, pewnie zapomniał o niej mój przyszywany syn.

Ale Carl uświadomił sobie, że to nieprawda. Po prostu w pierwszym podejściu pochodzenie bagażu wyleciało mu z głowy.

Wyciągnęli walizkę i znieśli ją na dół na stół w jadalni. Jak na tak skromny neseser, ważyła bardzo dużo, więc od początku było wiadomo, że nie jest do końca zwyczajna.

Gdy technik spytał Terjego Plouga, czy ma wyłamać zamek, policjant skinął głową.

Ale to nie wystarczyło. Kant wieka walizki pokryty był nie tylko luźnymi frędzlami pajęczyny, ale też zaschniętą żółtą masą, którą któryś z nich zidentyfikował jako dwuskładnikowy klej z tych nigdy niepuszczających.

– To rozetnij spód – poradził Ploug, ale i to nie było łatwe, bo walizkę wyścielono dwumilimetrowymi metalowymi płytkami.

Nie wróżyło to nic dobrego, więc Carl próbował ściągnąć na siebie uwagę Marcusa, by zasygnalizować swoje zaskoczenie. Ale Jacobsen stał jak sparaliżowany, przyglądając się wysiłkom kolegów.

W jednym z wozów odszukano szlifierkę kątową i zaczęto ciąć nią dno, aż przez iskry w pokoju wokół zebranych zatańczyły cienie.

Wszystkie czynności w domu ustały, zebrani stali tylko, wyczekując, i Carl wiedział, że nie będą czekać na próżno. Im bowiem skrzętniej przeczesywał zasoby pamięci, tym wyraźniej sobie przypominał, jak jego partner z policji, Anker Høyer, na krótko przed tym, jak został zabity, a Carl i Hardy postrzeleni na Amager, poprosił Mørcka o przechowanie walizki, bo właśnie się rozwodził i nie miał na nią miejsca.

Z oczywistych względów Anker nigdy jej nie odebrał. Byłoby to trudne, bo leżał na cmentarzu Vestre.

– To własność Ankera Høyera – powiedział Carl cicho. – Zapomniałem, że ją tu zostawił. Anker zginął na Amager trzynaście lat temu, wystarczy spojrzeć na pajęczynę, by się przekonać, że walizka stoi tu od niepamiętnych czasów.

Terje Ploug popatrzył na niego z pobłażaniem spod krzaczastych brwi. Tak jakby Carl nie wiedział, że taka wypowiedź zawsze będzie brzmiała fałszywie.

– I nie masz pojęcia, co się w niej znajduje, co?

Spojrzało na niego co najmniej dziesięcioro oczu, z których nieco za wiele sprawiało wrażenie ucieszonych.



Sobota, 19 grudnia 2020

## DEBORA

Adam i Debora poznali się na spotkaniu odnowy religijnej w Hurup jako bardzo młodzi ludzie, a skutki tego spotkania były łatwe do przewidzenia. W ciągu kilku kolejnych lat urodziły im się dwie córki, a potem jeszcze chłopiec, który spełniał wszelkie oczekiwania, jakie można mieć wobec syna.

Gdy Izaak miał piętnaście lat i całkowicie zdystansował się od swojej małej, prowincjonalnej szkoły, dla wszystkich stało się jasne, że jeśli chłopiec ma się rozwijać intelektualnie, to musi obrać kierunek na większe miasta i szersze horyzonty.

Celem Izaaka stał się Uniwersytet Kopenhaski, dlatego Adam znalazł pracę na północ od miasta, gdzie chłopak mógł rozwijać swoje zdolności. W miarę jak dziewczęta kończyły seminarium nauczycielskie i Debora mogła już pomagać mężowi, Adam założył swoją firmę, która z biegiem lat zaczęła przynosić wyjątkowo wysokie zyski. W tym okresie Izaak mieszkał w domu i nigdy nie zdradził się z tą właściwością swojego umysłu, która później stała się powodem ich największego nieszczęścia.

W wieku około dwudziestu pięciu lat Izaak popełnił samobójstwo, doszczętnie łamiąc życie rodziców.

Pierwsze podejrzania, że był dręczony, pojawiły się na pogrzebie. Po pierwsze, frekwencja była rażąco skromna – de facto przyszli tylko dwaj koledzy ze studiów Izaaka. Po wtóre, ci dwaj okazali się wyjątkowo mało rozmowni, gdy zapłakana Debora próbowała nakłonić ich do zwierzeń, dlaczego jej syn rzucił się pod pociąg.

– Zazwyczaj był samotnikiem – powiedział jeden.

Adam tego nie rozumiał. Przecież ich syn zawsze był bardzo towarzyskim chłopcem – dowodził.

Ale młodzi mężczyźni wzruszyli ramionami.

Jednak Debora nie odpuszczała, powoli wydobywając na światło dzienne odpowiedzi, które trudno było znieść, bo Izaak od wielu lat doświadczał metodycznego dręczenia i wyrafinowanej podłości. Szydzono bezustannie z jego religijności, z inteligencji, jego słodczy i ślepej wiary w dobroć człowieka. Pod koniec życia zbierał ciągi za samo otworzenie ust. Za najbardziej cynicznymi atakami stała zgrana klika trzech kolegów ze studiów. Żądza zemsty nieomal nie spaliła Debory i Adama na popiół.

Dopiero gdy poznali Sisle, zrozumieli i nauczyli się, że gniew, zemsta i kara mogą występować razem.

Adam zajmował się opracowywaniem składu produktów chemicznych, które przykuły uwagę Sisle i których dystrybucją zainteresowała się jej firma. Podczas kilku owocnych spotkań z Sisle Adam i Debora uświadomili sobie dodatkowo, że pogarda dla smutnej ludzkiej tendencji do zadawania innym bólu również należy do kwestii, które Sisle z nimi podziela.

Trzech dręczycieli Izaaka zginęło razem któregoś niedzielnego popołudnia i nikt nie potrafił powiedzieć, dlaczego pełnym gazem wjechali w przydrożne drzewo. Zadrapania na obojgu drzwiach przedniego siedzenia nie wystarczyły, by uznać, że zostali zmuszeni do zjazdu z drogi, ale tak właśnie było. Ostatni z mężczyzn przez dwadzieścia minut jeszcze walczył o życie, przerażonymi oczyma na próżno błagał Deborę i Adama o pomoc. Ale oni mu nie pomogli.

Przy którejś okazji Sisle opowiedziała Adamowi i Deborze o swoich studenckich czasach na uniwersytecie. A gdy przy tej okazji wyszły na jaw kolejne zbieżności między nią a nimi, zwierzyli się Sisle, co zrobili. Być może się spodziewali, że ją to szokuje, ale ona skwitowała to tylko pełnym zrozumieniem skinieniem głowy.

Pod wieloma względami zbliżyło ich to do siebie.

Któregoś listopadowego dnia w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku Sisle wreszcie wtajemniczyła ich w istotę swojej misji i zdradziła, że pragnie zaangażować w swoją dotychczas jednoosobową działalność kilkoro aktywistów.

Miała przed sobą małżeństwo, które skazało dręczycieli swojego syna na śmierć, i to ją przekonało, że ich troje powinno zacząć ze sobą pracować przy zadaniach podobnego rodzaju. Powiedziała im o swoim stosunku do Boga, kreśląc wizerunek kontrolowanego przez człowieka świata, z którego Bóg nie mógł być zadowolony.

Adam i Debora rozumieli. To wręcz Debora wymyśliła, jak wdrożyć ich plan, i Sisle w lot pojęła jego praktyczność.

Przeprowadzili się więc bliżej siebie i zaczęli rekrutować kobiety, które rozumiały psychologię zemsty oraz sprawiedliwości i chciały na ich rzecz pracować.

Następnie Debora wzięła na siebie zadanie nauczania tych kobiet, jak instynktownie atakować ludzi niewykazujących się miłością bliźniego i niezważających na innych. I kiedy te kobiety zostaną wyszkolone i dowiodą swojej wartości oraz lojalności, Sisle zatrudni je w swojej firmie i w którymś momencie każe im iść między ludzi, by karały nikczemników.

Dwa lata później układ funkcjonował doskonale i im lepiej się rozwijał, tym głębsze przeświadczenie żywili Adam i Debora, że śmierć Izaaka nie poszła na marne. Dzięki

niemu i współdziałaniu z Sisle zrozumieli, że ludzie niepotrafiący się właściwie zachowywać muszą w imię Boże posmakować własnej trucizny.

Dopiero później małżeństwo się przekonało, do czego Sisle jest zdolna i w co chce ich wmieszać.

Początkowo Debora i Adam nie sprawiali wrażenia do końca przekonanych, na ile wszystkie ofiary Sisle zasłużyły na swój los, ale Debora powoli tajała, gdy szczególnie Adam czerpał przyjemność z jej planów i ich wdrażania.

– Tak, Sisle naprawdę ma rację – twierdził. – Dzięki naszej pracy i misji świat staje się lepszy. Bóg jest po naszej stronie, a Jego sprawiedliwa kara potrafi być bezlitosna, wiemy to przecież z Biblii. My też musimy tacy być.

Przez dwadzieścia sześć lat wytropili czternaścioro mężczyzn i kobiet, którzy kierując się czystym egoizmem, z pełną premedytacją niszczyli innym życie. Sisle w związku ze swoją działalnością wymyśliła i narzuciła sobie samej szereg zasad, których należało przestrzegać przed dokonaniem zabójstwa. Oprócz pryncypiów natury symbolicznej istniała żelazna reguła, że zgony muszą przypominać nieszczęśliwe wypadki. Początkowo Sisle popełniła sporo błędów przy ataku na warsztat Ovego Wildera, ale potem jej działania były lepiej skoordynowane. Zanim dołączyli do niej Debora i Adam, Sisle zamordowała przewodniczącego wielkiego biznesu paserskiego, zabiła człowieka rozprawdzającego na terenie szkoły narkotyki wśród dzieci i zlikwidowała kobietę, która wyłudzała ubezpieczenia. Dokładnie jak to sobie zaplanowała, policja zaklasyfikowała te zgony jako samobójstwo lub nieszczęśliwy wypadek.

Gdy do Sisle przyłączyli się Debora i Adam, bez szemrania zaakceptowali jej schemat zabijania polegający na tym, że wytypowani niezasługujący na życie ludzie mieli ginąć co drugi rok. Dodatkowo data śmierci musiała się zbiegać z urodzinami osoby, która dopuściła się zbrodni przeciwko ludzkości. Wreszcie miejsce zabójstwa nie mogło pod żadnym pozorem naprowadzić na ich trop. Zdecydowali się tylko na dyskretną sygnaturę, jaką było zostawianie soli w pobliżu zamordowanego. Nie licząc zabójstwa właściciela fabryki Olka Dudka, któremu odrąbali dłonie i krew niespodziewanie trysnęła na odzież Adama, dokładali starań, by nie znalazł się na nich nawet najmniejszy ślad DNA ofiar i by te niepotrzebnie nie cierpiały.

Za każdym razem wybierali inny sposób pozbawienia życia. Zadawali śmierć przez wykrwawienie, strzał, zatrucie tlenkiem węgla i utonięcie, tak by nie popadać w rutynę. Dopiero przy zabójstwie Franca Svendsena Sisle zmieniła jedną ze swoich żelaznych zasad. Wyglądało na to, że z wiekiem coraz większą przyjemność sprawiało jej przedłużanie cierpienia ofiar. W rezultacie ostatnie ofiary czekały na śmierć nawet miesiąc od uprowadzenia, wyniszczane głodem i torturami psychicznymi. Osobiście

Debora miała problem z tym nowym podejściem, ale się dostosowała, gdy Adam jej przypomniał, jak siedzieli w swoim zdezelowanym aucie i bez cienia emocji przyglądali się śmierci młodego mężczyzny. Przekonywał ją też, że dobrze mu robi proces poznawania ofiar i uświadamiania im, jakich niegodziwości się dopuścili.

Tymczasem Debora rekrutowała nowe adeptki tak, by zawsze przyuczać jednocześnie cztery. Podczas długiego i dość intensywnego szkolenia musiały wykazać się gotowością do wynajdywania i karania grzeszników. Im szybciej okazywało się, że kobiety się nadają, tym prędzej Sisle zatrudniała je w firmie. W tej potężnej organizacji o szerokim profilu działalności miały przepracować rok, wykonując normalne obowiązki za wysoką pensję, zanim zaczęły działać jako anioły zemsty. Jeśli zdarzały się pośród nich zgniłe jabłka, tym gorzej dla nich. Niektórym płacono za milczenie, inne do niego zmuszano groźbami, jeszcze inne uciszano na zawsze.

W świecie Debory wyglądało to tak, że kolejne wypuszczenie na świat aniołów zemsty miało nastąpić pod koniec roku dwa tysiące dwudziestego, po dokonaniu ostatniego zabójstwa w drugim dniu świąt.

– Jak myślisz, Adamie, co Sisle zamierza? – spytała Debora. – Co się stanie, jak Maurits Bierbek zostanie zabity? Zaczynam się niepokoić tym, że ona niepotrzebnie ryzykuje. W każdym razie ten policjant przed Komendą Główną sprawiał wrażenie, że wie więcej, niżbym chciała. No i Ragnhild Bengtsen, nasza Rut z grupy, zaczęła działać na własną rękę i nas zdemaskowała, ba, przecież nawet nas odwiedziła, by uzyskać schronienie. Plus Pauline Rasmussen, która też przyszła do naszego domu i nie dała nam innego wyboru, jak tylko ją zabić. Czuję, że to wszystko się źle skończy.

– Przecież Sisle mówi, że chce wykorzystać czas po śmierci Mauritsa Bierbeka na wyzerowanie misji.

Debora skinęła głową.

– Tak, Adamie, właśnie. Ale czy nie będzie musiała wyzerować też nas?

– O co ci chodzi?

– Ma wystarczająco dużo pracowników, którymi może nas zastąpić. I ile osób tak naprawdę zabiła, myślisz, że mówi nam wszystko? Czy na dobrą sprawę można się tego jakoś doliczyć? I wreszcie: czy myślisz, że ona zaryzykuje zdemaskowanie i siebie, i nas?

Debora odnosiła wrażenie, że nie jest w stanie pochwycić spojrzenia męża. Czy on w ogóle jej słuchał?

– Adamie, posłuchaj! Wbrew naszej woli wyszliśmy z cienia, więc teraz musimy uważać. Nie chcę skończyć jak żona Lota.

Dzięki temu porównaniu jej mąż się ocknął.

– Posłuchaj, Deboro, żona Lota była nieposłuszna. Złamała Boży zakaz, dlatego Bóg przemienił ją w słup soli. Ale ty jesteś jej przeciwieństwem, zostałam nazwana na cześć jednej z najsilniejszych kobiet w Biblii. Myślę, że powinnaś pamiętać, iż tak wspinała kobieta, na przekór własnej płci, została sędzią i najświetlejszą osobą swojego pokolenia. Zostałam powołana do swojego posłannictwa przez Boga, bo jesteś właściwą osobą i Sisle o tym wie. Naprawdę uważasz, że swego czasu jej wybór padł na nas przypadkowo? Nie, stało się to ze względu na ciebie i los naszego nieszczęsnego Izaaka, więc nie mamy się czego obawiać.

Debora spojrzała przeciągle na męża. Czy to dlatego sprzedał swoją firmę? Zasadniczo przecież nie umiał robić nic innego. Zabijanie, obmyślanie kolejnego posunięcia wraz z Sisle, odgrywanie roli jej prawej ręki tam, gdzie zachodziła pałaca potrzeba.

– Mówię tylko, że powinniśmy być ostrożniejsi. Nazywasz mnie mądrą, więc musisz mnie posłuchać. Kiedy Sisle skończy z Mauritseem, miejmy się na baczności.

Sobota, 19 grudnia 2020

### ASSAD

Trzy telefony z rzędu doprowadziły Assada do białej gorączki. Najpierw naskoczyła na niego Marwa, że za dużo pracuje i że z tego powodu wszystko w domu się wali. Jeśli nie zamierza wziąć na siebie odpowiedzialności właściwej głowie rodziny i nie zacznie się częściej pokazywać w mieszkaniu, to ona się obawia, że Ronia lada chwila ucieknie z domu, a Nella się załamie z powodu poczucia odizolowania.

Assad obiecał, że się postara, i wtedy telefon zadzwonił po raz drugi. Tym razem to była Mona, która nie mogła zrozumieć, dlaczego Carl od godziny nie może odebrać od niej połączenia. Assad musiał jej więc wyjaśnić, że dawna sprawa z gwoździarką znów dała o sobie znać i że Carl przebywa w tej chwili w swoim domu w Allerød, bo policja nakazała jego przeszukanie. Ale – podkreślił Assad – Carl sprawiał wrażenie spokojnego i opanowanego, więc to zapewne burza w łyżce wody.

Niestety temu ostatniemu zaprzeczył trzeci telefon; tym razem dzwonił sam Carl, który w krótkich słowach wyjaśnił, że na strychu w Allerød znaleziono neseser zawierający półtora kilograma heroiny i ponad dwieście tysięcy euro. Carl nie zostanie zaaresztowany na miejscu, bo technicy muszą najpierw przeanalizować zawartość walizki. I to nim chwilowo wstrząsnęło, bo jeśli wbrew wszelkiej logice znajdą wewnątrz jego ślady, to jakim cudem, do diaska?

Jak należy zareagować na taką wiadomość? Assad po prostu nie wiedział.

– I, Assad, musicie liczyć się z tym, że na razie zostanie zawieszony w obowiązkach, będę musiał oddać odznakę i pistolet służbowy.

– Czyli nie będziesz mógł przyjść do biura.

– Nie, ale spytaj pozostałych, co możemy w tej sytuacji zrobić. Przecież nie mamy czasu na zwalnianie tempa, prawda? Proponuję póki co, byśmy pracowali zarówno na Tegllholmen, jak i u mnie. Jeśli cała wasza trójka się na to zgadza, to spakuj to, co niezbędne, i jak najszybciej przyjeżdżaj do mnie do domu, Assad.

Rose zareagowała najbardziej żywiłowo.

– Co się, kurwa, dzieje? Przecież nikt przez prawie piętnaście lat nie trzyma u siebie na strychu takiego gówna, jeśli ma jakiegokolwiek pojęcie o zawartości walizki, prawda? Pozbywa się jej po prostu, a sposobów nie brakuje. Jednym z nich jest oddanie jej policji, drugim – upłynnienie narkotyków i wprowadzanie kasy do obrotu przez

sekretne konta na całym świecie. Dlaczego więc Carl nie zrobił niczego takiego? Bo nie miał z tym nic wspólnego, i basta!

– No tak, ale skąd wiesz, że to nie był jego plan na emeryturę? Jeśli się ma pieniądze z nielegalnego źródła, szczególnie aż tyle, to przecież można je wydawać długo po popełnieniu przestępstwa – odezwał się Gordon cicho.

– Co ty pleciesz, idioto? Siedzisz tu na tej twojej chudej dupie i śmiesz sugerować, że Carl to kryminalista?

– Nie, ale...

– Opuść, Gordon, przecież znasz Carla! A ty, Assad, co powiesz? Wyglądasz, jakby cię walec przejechał.

Assad uniósł głowę.

– Nie czuję się zbyt dobrze, jeśli o to pytasz. Ale myślę, że znam Carla. Mówi, że zadzwoni do Hardy'ego i porozmawia z nim o tym. Może wspólnie uda im się odtworzyć wydarzenia, które doprowadziły do tej sytuacji.

Assad zerknął na czerwone litery napisane przez Carla na oknie. Na razie można było odhaczyć tylko pytanie o znaczenie dat. Ale który z pozostałych punktów doprowadzi do przebicia coraz bardziej pęczniejącego wrzodu? Na co mają zwrócić uwagę? Gdyby tylko wiedział. Wyjął teczkę i włożył do środka ostatnie papiery.

– Pojadę teraz do Carla, dobrze? Będziemy musieli utworzyć dla nas stałe połączenie na Zoomie. Gordon, zajmiesz się tym?

Dryblas kiwnął głową, wciąż czerwony na twarzy po reprimendzie od Rose.

– Assad, nie trap się. Ja się nie boję, że policja znajdzie coś, co mnie skompromituje, więc dlaczego ty miałbyś się tym kłopotać?

Assad wzruszył ramionami i rozejrzał się po salonie Mony i Carla. Czy naprawdę zanoszą się na to, że będą teraz pracować potajemnie w domowych pieleszach Carla z zabawkami Lucii na podłodze i Moną, chodzącą w tę i z powrotem jak lwica w klatce?

Oczywiście, że Mona się martwiła, podobnie zresztą jak Assad. Gdyby Carl wiedział, jak bardzo! Bo jeśli w Departamencie Q zabraknie Mørcka, dlaczego on, Assad, miałby tam dalej pracować? W takiej sytuacji byłoby znacznie prościej poszukać sobie innej roboty. Częściej widywałby domowników, uniknąłby licznych pytań służb wywiadowczych o rodzinę, na które odpowiedzi prędzej czy później będą się domagali.

Próbował otrząsnąć się z tych myśli, bo w tym momencie jakiś człowiek czeka na własną egzekucję, zostawiony na pastwę losu, jeśli oni nie zdążą na czas. Czyli wszystko inne musi poczekać.

– Spojrzeliśmy na listę, którą nakreśliłeś na szybie w gabinecie, Carl. Rose i Gordon pracują nad większością punktów i myślę, że ty i ja powinniśmy się skoncentrować na soli, co ty na to?

Carl w milczeniu potaknął.

– Napisałeś, że po co ją zostawiać na miejscu zbrodni. Po co robić coś takiego?

– Rozmyślałem nad rezultatami naszej pracy tuż przed tym, jak przerwali nam Marcus, Terje Ploug i „Pies Tropiący”. Wydaje mi się, że zastanowiło mnie coś, co powiedziałeś.

– Co ja powiedziałem?

– Rose rzuciła hipotezę, że zabójca prawdopodobnie brał na celownik ludzi zdegenerowanych moralnie. Ludzi, którzy oszukują, kłamią i za nic mają innych.

– Tak, a potem sam wspomniałeś, że on zachowuje się jak ktoś w rodzaju stróża moralności. Nazwałeś go też krzyżowcem.

– Właśnie, ale użyłem tego słowa, bo sam stwierdziłeś, że ta sprawa ma wręcz religijny charakter.

– Owszem, tak uważam. Nie sądzisz, że pomysł polegający na uśmiercaniu ludzi zdemoralizowanych, i to bez wyjątku w urodziny najgorszych oprawców, budzi skojarzenia religijne?

– Sodoma i Gomora, Assad. To o tej historii pomyślałem, wracając z Allerød. W obecnych czasach cały świat pogrąża się w chaosie, i to nie tylko z powodu covidu. Nie, dziś większość ludzi myśli wyłącznie o sobie, tak jak Anker Høyer, gdy mnie poprosił o możliwość zostawienia swojego badziewia na moim strychu. Egoizm i zadufanie w sobie przesłaniają to, co na tym świecie dobre, nie widzisz tego?

Assad się zamyślił.

– Sodoma i Gomora, to coś religijnego?

Carl się uśmiechnął. Najwyraźniej nie jest to temat bliżej znany iraakijskiemu muzułmaninowi, ale przecież to samo dotyczyło wielu duńskich chrześcijan.

– To smutna, ale ciekawa historia ze Starego Testamentu, Assad. Opowiada o dwóch miastach, Sodomie i Gomorze, których mieszkańcy zachowywali się jak gnojki, dopuszczając się rozpusty i gwałcąc kogo popadnie. Nie znam całej opowieści, ale jeden człowiek imieniem Lot cieszył się miłością Boga, więc ten zesłał do niego anioły zemsty, by go ostrzec, że Sodomę i Gomorę strawi ogień. Poleciał też Lotowi, by wraz z żoną i dwiema córkami zawczasu uciekli z miasta. Lot poprosił małżonkę, by dała aniołom soli, bo obyczaj nakazywał, by dawać ją gościom, ale ona nie chciała dzielić się z nimi własną solą i pożyczyła ją od sąsiadki. Gdy opuszczali miasto, aniołowie przestrzegli ich, by pod żadnym pozorem nie odwracali się za siebie, ale żona Lota ich nie posłuchała. Obróciła się, ujrzała armagedon stworzony przez Boga



i w tej samej chwili zamieniła się w słup soli. – Carl kiwnął głową do samego siebie. – I oto mamy historię o tym, jak kara boska może być powiązana z solą.

Assad spojrział przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Teraz sobie przypominam, Carl. Przecież Koran też mówi o Sodomie i Gomorze, po prostu zapomniałem, co to takiego. W każdym razie chodzi o karę Bożą dla tych, którzy grzeszą i srają na przyzwoitość. Myślisz, że to klucz do motywu zabójcy? Że on jest czymś w rodzaju fanatyka religijnego?

Carl kiwnął głową i spojrział na swojego wieloletniego przyjaciela z dużą czułością. Assad pierwszy raz od dawna bawił w domu u Carla i pierwszy raz od jeszcze dłuższego czasu tak blisko współpracowali podczas dochodzenia.

– Czy będzie wam przeszkadzać, jeśli trochę posłucham? – Do salonu niepostrzeżenie weszła Mona, która stała teraz z rękami założonymi pod biustem. Widać było, że aż się pali, by coś skomentować.

– Assad, pewnie wiesz, że Carl na bieżąco zdawał mi relację z tej sprawy, więc jestem pewna, że nie zgubię się w wywodzie. Myślę, że autentycznie zaangażowany religijnie człowiek żyje z licznymi dlań oczywistymi ograniczeniami dotyczącymi tego, co wolno, a czego nie. Wiem, że fanatyk wypracowuje własne zasady, ale nadal podporządkowuje się założeniom swojej religii. I właśnie to każe mi powątpiewać, czy wasz zabójca rzeczywiście tak dobrze się orientuje w tym, co znaczy być sługą Bożym. W przeciwieństwie do fanatyzmu religijnego, który właściwie zawsze odsyła bezpośrednio do konkretnej religii lub sekty, kiedy jej wyznawcy posuną się do brutalnego czynu, w przypadku waszego zabójcy nie istnieje żadne wyjaśnienie, dlaczego postrzega się on jako sługa Boży. Jeśli chcecie znać moje zdanie, to za szalonym projektem zabójcy nie stoi religia, lecz konkretne wydarzenie z jego życia.

– Na przykład jakie, Mono? Właśnie na tego rodzaju pytania szukamy odpowiedzi. Jakiego typu wydarzenie musiałoby to być i jaka osoba byłaby w stanie poważnie się na tak potworne, seryjne zabójstwa?

Spojrzała na Carla zmęczonymi oczami o ciężkich powiekach, uśmiechając się blado. Widać było, że ani na sekundę nie zapomniała, w jak smutnym położeniu znalazła się jej mała rodzina.

Wyciągnęła w ich stronę zaciśniętą pięść i uniosła kciuk.

– Moja hipoteza zakłada, że zabójcę dręczy jakaś dawna sprawa i że z czasem ten uraz został wzmocniony przez całą tę wyprawę krzyżową, jak ją nazywasz, Carl.

Teraz w górę powędrował palec wskazujący.

– Następnie przydarza się coś, co mocno zabójcę dotyka. Do tego wydarzenia dochodzi przed wielu laty, możecie z powodzeniem założyć, że przed osiemdziesiątym

ósmym, czyli przed rokiem, w którym według waszego schematu miało miejsce pierwsze morderstwo.

Mona wyprostowała środkowy palec.

– Wiemy, że dokonując morderstw, zabójca wykazuje ogromną determinację, co zapewne przekłada się na inne aspekty i dziedziny jego życia. Myślę, że delikwent musi mieć do dyspozycji znaczne środki finansowe, bo niektóre z zabójstw wymagają szalenie dużo zachodu i czasu.

Uniosła palec serdeczny, tak że zagięty pozostawał już tylko mały.

– Wreszcie mówimy o niesamowicie cierpliwej osobie, która nie morduje sobie na prawo i lewo. Zabijając co drugi rok, świadomie się zabezpiecza. Moim zdaniem sprawca musi być wyjątkowo uzdolnionym i świetnie zorganizowanym człowiekiem.

Nadszedł czas na mały palec.

– Jeśli spojrzeć na stopień skomplikowania zabójstw, to trudno się nie zgodzić, że wasz sprawca jest też graczem zespołowym. Macie do czynienia z typem przywódcy otoczonego wianuszkami uczniów.

Assad skinął głową.

– Inteligentny, cierpliwy gracz zespołowy, zapewne zamożny. W przeszłości doznał poważnego wstrząsu, przez który ucierpiało jego morale. Myślisz, że się czuł niesprawiedliwie potraktowany?

– Bez dwóch zdań. – Mona kiwnęła głową. – Według mnie on myśli, że sam postępuje sprawiedliwie, świadczą o tym gesty symboliczne. Sól jest czymś w rodzaju biletu wstępu do tego, by stać się karzącym aniołem Bożym, a te wszystkie dziwactwa z urodzinami światowych zbrodniarzy są tylko kolejną wskazówką, że zabójstw dokonuje się w imię dobra.

– Naprawdę sądzisz, że morderca tak uważa? – spytał Carl. – Chodzi mi o odrąbanie rąk Olkowi Dudkowi, topienie Pii Laugesen w jej własnym basenie, wstrzyknięcie Francowi Svendsenowi i Birgerowi Brandstrupowi chlorku potasu, przy jednoczesnym zagłodzeniu ich niemalże na śmierć. Przecież to totalnie psychopatyczne, Mono.

– Właśnie. Ale psychopaci rzadko kwestionują własne czyny.

Zadzwoiła komórka i córeczka Carla wbiegła do pokoju, trzymając ją w ręce. Assad już nie pamiętał, kiedy Nella i Ronia były w wieku Lucii. Czy naprawdę kiedykolwiek były tak małymi, niewinnymi istotami?

Carl ściągnął brwi, odebrawszy połączenie. Trwające dwie minuty milczenie, które zapadło w salonie, wydawało się wiecznością. Potem Mørck odłożył telefon i spojrzał na Assada.

– Nie spamiętałem wszystkiego, ale Gordon i Rose praktycznie wypełnili już całą tabelę. Z ośmiu spraw, których jeszcze nie rozpoznaliśmy, zostały już tylko dwie. Pozostałe sześć dotyczy bez wyjątku osób, które wyróżniły się w społeczeństwie na minus i które jak się zabawnie składa, zginęły w nietypowych wypadkach w dni urodzin wielkich zbrodniarzy. Nic nowego! Mowa o urodzinach Lenina, Kaddafiego, Mussoliniego i Ferdinanda Marcosa, żeby wymienić tylko niektórych. Może pamiętacie tę spektakularną sprawę z Bobo Madsenem, to nie było tak dawno? Dokładnie w dwa tysiące czternastym.

Assad spojrział na Monę, która próbowała sobie przypomnieć to nazwisko. Takiego imienia u dorosłego mężczyzny tak łatwo się nie zapomina.

– Zginął w wypadku jeździeckim dwudziestego piątego listopada dwa tysiące czternastego roku w urodziny Augusta Pinocheta, chilijskiego dyktatora i zbrodniarza.

Na twarzy Mony pojawił się wyraz olśnienia.

– To przecież ten, co przez portale internetowe udzielał chwilówek na lichwiarski procent?

Carl uniósł kciuk.

– Tak, i to z błogosławieństwem całego społeczeństwa. Był rekinem w świecie pożyczek, o tak, ale udzielał wyłącznie chwilówek. Najczęściej kwoty pożyczek były dość nieznaczne, adresował je do zwykłych ludzi za pomocą kuszących ogłoszeń, które oczywiście nie wydawały się podejrzane, ale tak to przecież wygląda z szybkimi pożyczkami. Dzięki nim z dziesięciu tysięcy koron szybko mogło się zrobić dwieście tysięcy, jeśli pożyczkobiorca nie spłacał rat, a to mogło być trudne przez ogromne odsetki, które narzucał Bobo Madsen.

Assad już też załapał.

– Okej, faktycznie, pamiętam debatę o chwilówkach, kiedy znaleziono jego zwłoki, ale chyba sprawa spełzła na niczym, prawda?

Carl prychnął.

– Dopóki ludzie będą chcieli brać pożyczki, zawsze znajdą się głupcy skłonni do lekceważenia ich efektów długofalowych. I nie, prawo nie zostało zmienione.

Mona sprawiała wrażenie skonsternowanej.

– Ale on zginął, spadając z konia, zgadza się?

– Można tak powiedzieć. Dosłownie stracił głowę, gdy galopując, naciął się na kabel elektryczny, który wisiał między drzewami.

– A, tak! Już sobie przypominam – odparła. – Z tej śmierci robiono sobie makabryczne żarty, prawda? Podobno pisał w swoich reklamach, żeby ludzie nie

tracili głowy, gdy brakuje im pieniędzy. I że mogą je po prostu pożyczyć w Bobo Finans.

Spojrzenia Carla i Assada się zderzyły.

Reklamy potrafią być zabójcze.

Niedziela, 20 grudnia 2020

### MAURITS

Mimo że pomieszczenie było ogrzewane, Maurits marzył jak diabli. Drżał na całym ciele, szcząkał zębami, ale choć jego organizm był umęczony i bardzo cierpiał, van Bierbek odczuwał wewnętrzny spokój. „Śmierć głodowa jest chyba łaskawa” – pomyślał. Tak jak w przypadku zgonu z wyziębienia, ciało przystosowuje się do tego, co ma nadejść, człowiek zapada w odrętwienie, bicie serca powoli ustaje.

Wcześniej Maurits pierwszy zawiązywał co rano sznurówki w adidasach, a przed lockdownem cztery razy w tygodniu bywał w centrum fitnessu. Dlatego też od lat jego tętno w stanie spoczynku oscyloowało wokół pięćdziesięciu do sześćdziesięciu. Ale teraz było inaczej.

Przez pierwsze dni bez jedzenia i picia tętno stale rosło. Zupełnie jakby serce chciało docisnąć maksymalnie wszystkie krwinki, by dostarczyły do komórek substancje odżywcze, ale gdy te się wyczerpały, tętno znów spadło. Maurits czuł aż nazbyt dobrze, że w ciągu ostatniej doby funkcje życiowe jego organizmu zamierają, a z godziny na godzinę puls był słabszy i rzadszy.

„Umrę, jeśli spadnie poniżej dwudziestu pięciu” – pomyślał. Poszukał tętna na nadgarstku, a gdy je wreszcie poczuł, zaczął liczyć. Doliczył się dwudziestu ośmiu uderzeń na minutę, tyle co nic.

Po raz dziesiąty, odkąd tamten mężczyzna przykręcił szynę nad jego głową, Maurits uniósł się na drżących nogach, zebrał siły i pobiegł do przeciwległej ściany, by wyczuć, czy śruba mocno trzyma.

Od szarpnięcia nieomal stracił przytomność, więc skulił się i chwycił za brzuch, wiedząc, że to była jego ostatnia próba. Drabina i klucz francuski leżący na stole znajdowały się w ziemi obiecanej, której nigdy nie sięgnie.

– Pozwól mi umrzeć, ty tam na górze! – wyszeptał. – Chcę odejść, leżąc tu na podłodze, jestem gotowy.

Zawieszony nad betonowym podłożem z ramionami napiętymi na łańcuchach przytwierdzonych do sufitu Maurits usłyszał chrobot przy drzwiach windy, ale już wcześniej miewał halucynacje, więc mogło to być cokolwiek. Nachodziły go dręczące myśli o płynie w ustach, wyobrażenia obejmujących go ramion, szczególnie zaś

wspomnienia o ludziach w jego życiu, których być może niewystarczająco doceniał. Niknęła nadzieja o ratunku przychodzącym z góry, z dołu, skądkolwiek.

Maurits zamknął więc oczy, ignorując dźwięki.

– Mauritsie, wykaż się odrobiną dobrej woli. Spróbuj wstać, podtrzymamy cię – powiedział ktoś, szarpiąc go za ramiona.

– Zrobił się bezwładny – odezwał się wyższy głos. – Jakie ma tętno?

– Dwadzieścia siedem.

– Przytrzymam go na krześle, a ty, Adamie, przygotuj kroplówkę.

Maurits próbował otworzyć oczy, ale nie mógł. Gdyby nie kwiatowy zapach roztaczany przez osobę trzymającą go za ramiona, toby pomyślał, że to śmierć go przytula.

Przy grzbiecie jego dłoni ktoś zaczął majstrować i chwilę później Maurits poczuł sączące się w niego życie. Uczucie było tak silne, że aż go zemdliło.

– Przestańcie – wyszeptał. – Odejdźcie, zostawcie mnie w spokoju.

Ale przytrzymujące go ramiona nie odpuszczały.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał dwoje przytrzymujących go rąk o krwistoczerwonych paznokciach.

– No już, Mauritsie, załatwione – powiedział stojący przed nim mężczyzna. – To chyba dobrze, że dziś do ciebie zajrzeliśmy, prawda?

Był to tamten człowiek o krzywej twarzy. Łajdak się uśmiechał.

Po chwili przytrzymujące Mauritsa dłonie zwolniły uścisk i osoba za jego plecami się wyprostowała i podeszła do potężnego mężczyzny.

Pomimo koloru włosów, stylu ubierania i makijażu Maurits od razu rozpoznał w kobiecie tę, która go uprowadziła. Zdradzały ją oczy, zresztą wszystkich zdradzały. W swoich reality show van Bierbek raz po raz przypominał operatorom kamer, by robili zbliżenia na oczy uczestników. Widać było w nich zakochanie, rozczarowanie i strach, zdradzały najskrytsze ludzkie uczucia. Ale w oczach, które teraz na niego patrzyły, niczego podobnego nie dostrzegł. Były puste i zimne; na próżno doszukiwał się w nich litości.

– Czego ode mnie chcecie? Jeśli pieniędzy, to lepiej zachowajcie mnie przy życiu – rzucił. – Mam ich wystarczająco dużo. Wymieńcie kwotę, a ją dostaniecie. Dajcie mi coś do jedzenia, a potem komputer, to wam przeleję środki. Później wypuście mnie w miejscu, które wam odpowiada.

Kobieta zmrużyła oczy.

– Naprawdę myślisz, że pokazałabym ci swoją twarz, gdybym miała cię wypuścić?

Maurits nie odpowiedział.

– Musisz zrozumieć, Mauritsie, że niewielu ludzi nienawidzę tak mocno jak ciebie.

– Dzięki, to odwzajemnione – wyszeptał.

– Ale wiedz, że na tę nienawiść naprawdę sobie zasłużyłeś. Zostałeś wybrany spośród wielu kandydatów na przestrzeni ostatnich dwóch lat, jako że żaden inny nie okazał się równie cyniczny co ty.

Kobieta schyliła się, podniosła z ziemi segregator z wycinkami i go otworzyła.

– Spójrz na siebie – powiedziała, wskazując na artykuł z gazety zajmujący pierwsze dwie strony. – Zwróć uwagę na własny uśmiech, gdy opowiadasz, do jakich czynów względem siebie nawzajem i siebie samych potrafisz skłonić ludzi w swoich programach.

Przerzuciła kolejnych kilka stron, pokazując mu każdą z osobna. Bogato ilustrowane artykuły ze świetnymi fotografiami, ale przede wszystkim niebywale schlebujące odnoszącemu sukcesy biznesmenowi, jakim był Maurits. W każdym razie aż do dziś tak uważał.

– Rozpoznajesz się, jak z bałamutnym wzrokiem próbujesz przekonać dziennikarkę, że w swoich reality show dajesz uczestnikom możliwość powiedzenia nie?

– Tak, zawsze tak było. Wszyscy uczestnicy moich programów mieli wolny wybór – odparł z trudnością.

Cios wymierzony przez osiłka w ucho Mauritsa nie był silny, ale zaskakujący, i sprawił, że van Bierbek szerzej otworzył oczy.

„Maurits, musisz uważać na swoje odpowiedzi. Może jeszcze uda ci się ją przekonać” – pomyślał.

Kobieta zatrzasnęła segregator i włożyła go sobie pod pachę.

– Przez ciebie życie Duńczyków i wielu innych nacji przesiąkło zgnilizną moralną. Przyzwyczałeś nas do oglądania upokorzeń, niewierności, nielojalności i prymitywizmu jako cech, do których warto aspirować. Z zupełnie przeciętnych, szarych ludzi zrobiłeś potwory, które stały się wzorcami dla innych słabych jednostek. Ani jedna ramówka się nie ostała bez twoich perwersyjnych wymysłów, dlatego teraz cię powstrzymamy, chyba to zrozumiałeś?

– No tak, ale dlaczego ja? Nie jestem jedynym producentem tego typu programów.

Mężczyzna automatycznie wymierzył mu kolejny, tym razem mocniejszy cios, aż jęk Mauritsa zagłuszył irytujący pisk w uszach.

Gdy van Bierbek pomimo bólu nie zamierzał składać broni w dyskusji, para się odwróciła i podeszła do stołu po przeciwległej stronie pomieszczenia.

Rozmawiali półgłosem, szurali torbą i wyjmowali z niej przedmioty przypominające na odległość sprzęt szpitalny.

Potem mężczyzna znów do niego podszedł. Maurits ujrzał jego uniesioną pięść i cofnął się na siedzeniu, próbując osłonić twarz ramieniem.

– Spokojnie – powiedział mężczyzna. – Dziś cię już nie tkniemy, potrzebne mi tylko to.

Wyjął igłę z grzbietu dłoni Mauritsa i pociągnął za sobą do stołu stojak z opróżnioną w jednej czwartej kroplówką.

– Musicie mi dać coś do picia – powiedział cicho. – Wystarczy zwykła woda. Proszę.

Potężny mężczyzna kiwnął głową i wrócił ze szklanką pełną napoju. Gdy przyłożył ją do odrętwiałych warg Mauritsa, ten ledwie wyczuwał dotyk szkła; czuł za to, jak woda wylewa mu się kącikami ust i spływa na klatkę piersiową. Pokrzepiło go, gdy zimna ciecz obmyła mu podniebienie i schłodziła przełyk. Wyciągnął szyję za szklanką, kiedy mężczyzna odsunął mu ją od ust, i nie odrywał od niej oczu, gdy oprawca odstawił ją na stół.

Teraz podeszła do niego kobieta.

– Postanowiliśmy przyjść do ciebie przynajmniej jeszcze raz, by cię nakarmić, Mauritsie. Ale za to musisz coś dla nas zrobić.

Rozłożyła ramiona, ale on nie zareagował na jej apel.

– Nic nie zrobię, jeśli mnie nie wypuścicie – powiedział mniej schrypniętym głosem.

Podniosła głowę i spojrzała na niego z góry.

– Nie myśl, że ktoś przybędzie ci z odsieczą. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Albo będziesz posłuszny i swoje ostatnie chwile przeżyjesz bez bólu, albo nie.

– Żona mnie znajdzie, policja zidentyfikuje samochód, którym mnie odebraliście, i resztę życia spędzicie w więzieniu.

– Po pierwsze, żona nie zgłosiła twojego zaginięcia, więc nikt o nim nie wie. Poza tym w ciągu minionych tygodni zhakowaliśmy twoje hasło i utrzymywaliśmy między tobą a żoną korespondencję mejlową, ale o tym oczywiście nie wiesz. Twoja małżonka wciąż żyje w przekonaniu, że przebywasz w Stanach i załatwiasz jedną z największych transakcji, o jakich słyszała Dania. Zdradzę ci, że żona nie będzie ci niepotrzebnie przeszkadzać, bo sam ją o to prosiłeś, więc po prostu do siebie piszecie. Ty piszesz do niej pierwszy, a ona odpowiada – tak to wygląda. Przez cały czas odpowiadaliśmy grzecznie w twoim imieniu na jej miłe i pełne nadziei mejle, ale uprzedziliśmy też, że na Boże Narodzenie nie przyjedziesz do domu.

Gdy kobieta wypowiadała te słowa, jej oczy niemal się skrzyły.

– Upadliście na łeb – powiedział Maurits odważnie, choć iskierka nadziei w jego sercu coraz bardziej gasła.

– Doszliśmy do etapu, w którym twoja żona może zostać poproszona o zadanie ci nowego rodzaju pytań. Musisz na nie odpowiedzieć, jeśli nie chcesz, byśmy cię męczyli.



– Odpowiadajcie, co chcecie, przecież i tak to robicie.

– Może pojawią się pytania, na które tylko ty znasz odpowiedź.

Maurits na chwilę zapadł się w siebie. O czym ona mówi?

– Pierdolicie od rzeczy! Moja żona zwietrzyła podstęp i wie, że te mejle śmierdzą z daleka, co do tego mam akurat pewność.

– Pytanie jest proste: odpowiesz?

Kobieta była zimna jak lód. Jeśli zastanowić się nad sytuacją, w jakiej Maurits się znajdował, to zapewne jego odpowiedź nie grała większej roli.

– Możecie ze mną robić, co chcecie. Przecież i tak zamierzacie mnie zabić.

Ale Maurits wcale tak nie myślał. Nie chciał być dręczony, nie chciał cierpieć. Niech go po prostu zostawią w spokoju.

– Powiedzcie mi, kiedy i jak chcecie to zrobić. Niewykluczone, że wtedy będę współpracował – oświadczył.

Kobieta skinęła głową sama do siebie i spojrzała na mężczyznę, który też kiwnął głową w odpowiedzi.

– Okej, Mauritsie. Teraz już wiesz, że nie wrócisz do domu na Boże Narodzenie, ale mogę ci obiecać, że nie zakłócimy ci świątecznej atmosfery.

– Kiedy i jak! Gadajcie! Albo zabijcie mnie od razu! – krzyknął.

Znów kiwnęła do mężczyzny stojącego przy stole.

– Adam pokaże ci strzykawkę, której użyjemy. Zaboli, ale tylko przez chwilę, a potem zaznasz spokoju.

Maurits spojrzał z przestraszeniem na ogromną strzykawkę, którą olbrzym ścisnął w ręce, i w tym momencie miał wrażenie, że oblewa się potem. Było to jednak tylko złudzenie, bo wiedział, że jego organizm jest tak wydrenowany z płynów, iż nie może się spocić.

Kobieta nachyliła się do niego, jakby chciała mu coś powiedzieć w absolutnym zaufaniu.

– Pytasz mnie kiedy, Mauritsie. Mogę ci odpowiedzieć, że poczekaś na Mao.

Maurits nabrał powietrza najgłębiej, jak potrafił.

– O co ci chodzi? Powiedz mi kiedy – poprosił ponownie.

– Dowiesz się w swoim czasie. Moje ofiary nigdy nie poznają dat.

Powiedziała „moje ofiary”! Czyli to nie pierwszy raz.

Siedział przez chwilę, wpatrując się w strzykawkę, którą ta kreatura z dumą trzymała przed sobą, a potem pochwycił nieruchome spojrzenie kobiety.

– Niech więc tak będzie. Możecie mnie zabić, ale nie będę współpracował z takimi potworami jak wy.

– Aha, w takim razie czekając, powinieneś błagać Boga o przebaczenie grzechów – powiedziała.

– Moich grzechów?! A co z twoimi?

– Mauritsie, Mauritsie. Bóg pochyla się nad wszystkimi istnieniami. Ale tylko ta dusza, która prosi, spodoba się Bogu i dozna przebaczenia. Właśnie na tym polega różnica między tobą a mną.

Poniedziałek, 21 grudnia 2020

CARL

Nacisk na brzuch, na klatkę piersiową, a potem pachnący wanilią ciepły powiew nad twarzą. Delikatny dotyk na policzku i cichy szczebiot, który wreszcie wyrwał go z gonytwy myśli, w jakiej uwięził go sen.

Carl powoli otworzył oczy i spojrzał wprost w szelmowskie, błękitne ślepka, wpatrujące się w niego z nieskończonym oddaniem.

– Lucio, zejźdź tacie z brzucha, on się jeszcze do końca nie obudził – usłyszał słowa Mony, która po chwili chwyciła ich córkę i ją podniosła.

– Jest wpół do ósmej, idę z Lucią do żłobka. Pół godziny temu dzwonił Gordon i prosił, byś przyszedł do biura mimo twojego zawieszenia w czynnościach. Brzmi to nieprofesjonalnie, ale sam zdecyduj. Przekazał, że masz poczekać na zewnątrz, a oni po ciebie wyjdą, gdy tylko recepcjonistka odejdzie od stanowiska pracy. Zdaje się, że Gordon bardzo chce ci coś pokazać.

Carl próbował otrząsnąć się z nocnych wrażeń. To ta cholerna sprawa, do której się zabrali; chyba nigdy na dobre się jej nie pozbędzie.

– Powiem ci, Carl, że strasznie się w nocy rzucałeś. Musiałam wziąć dodatkową dawkę melatoniny, by się choć trochę przespać.

– To przez tę sprawę – usłyszał z oddali własny głos, a powieki znów się zamknęły.

– Owszem, odbija się szerokim echem. Przedpołudniówki zamieściły ogromne nagłówki na swoich portalach internetowych. Jeden z nich pytał: „Czy twój sąsiad jest mordercą?”. Gdzie indziej przeczytałam, że „Detektyw szokuje”. Piszą o tobie jak o gwieździe na własnym boisku, więc musisz się liczyć z tym, że najbliższy czas będzie dla ciebie gorący. Lepiej więc się budź i przemyśl, jak chcesz się do tego wszystkiego odnieść, by nie dać się zaskoczyć.

Nim Carl zerknął na zegarek, Mona zdążyła się pożegnać i powiedzieć „Lucia, zrobisz pa tatusiowi?”.

Mørck właściwie nie wiedział, co ma myśleć o ostatnich postępach w sprawie. Owszem, były efektywne, ale na pewno nie dało się nad nimi zapanować.

Tylko czy właśnie nie o to mu chodziło?

Przed szklaną fasadą Teglholmen panowały poranna ciemność i przejmujący chłód. Krzyżując nogi, Carl oparł się o mur, poprawił maseczkę i postawił kołnierz, by móc

ignorować przemykających obok kolegów, którzy nie zaszczycali go nawet spojrzeniem.

Potem w drzwiach pojawił się Assad z miną wyrażającą jednocześnie przekorę, chęć do działania i zaciętość. Czy to wyraz sprzeciwu, że jego szef nagle został pariasem, czy może śledztwo przybrało nieoczekiwany obrót? Carl miał nadzieję, że to drugie.

– Co się święci? – spytał już w środku.

– Jacy święci, czemu mówisz o świętych? – spytał Assad z krzywym uśmiechem i wymierzył Carlowi kuksańca. – Dobra, nieważne, za chwilę ci opowiemy.

W środku czekali Rose i Gordon, którzy już dawno nie sprawiali wrażenia aż tak zaangażowanych.

– Spójrz – powiedział Assad, wskazując na tablicę z tabelą.

Carl usiadł i przebiegł wzrokiem po liniijkach.

Nie licząc kilku pustych rubryk, tabela była już wypełniona, a do reszty łajdaków dołączyli Kim Dzong Il, Jean-Bédél Bokassa, Włodzimierz Iljicz Lenin, Muammar Kaddafi, Jean-Claude Duvalier alias „Baby Doc” oraz Benito Mussolini, obok widniały daty ich urodzin.

Rose, Gordon i Assad stali naprzeciw niego ramię w ramię jak starzy naukowcy, którzy właśnie rozwiązyli zagadkowe, skomplikowane równanie i teraz najwyraźniej domagali się pochwały i wyrazów uznania od kierownika projektu.

– Cóż, tak to właśnie wygląda – powiedział Gordon, bo Carl milczał. – I co ty na to?

Carl się nie spieszył. Kiedy duńskie media zainteresują się tą sprawą, konferencje prasowe pani premier mogą się schować. Również ten news zawędruje na pierwsze strony gazet.

To, co widział w tabeli, było czystym szaleństwem. Od końca dziewiętnastego wieku w Danii zarejestrowano tylko troje seryjnych morderców, ale zbrodnie nigdy nie były zakrojone na tak szeroką skalę i tak metodyczne, schematyczne i niesamowicie sprawnie przeprowadzone. Nie było tu mowy o niewinnych noworodkach ani nieszczęsnych, przypadkowo wybranych uzależnionych od narkotyków prostytutkach, które sadysta nienawidzący kobiet upatrzył sobie jako łatwe ofiary. Tu ofiary wybierano uważnie i w przeważającej większości były one nad wyraz aktywne i bez wyjątku odnoszącymi sukcesy obywatelami. W przeciwieństwie do bardziej konwencjonalnych zabójstw, w których z dużą pewnością można było udowodnić, że śmierć zadano z premedytacją, wszystkie zgony, którymi aktualnie zajmował się Departament Q, zostały uznane za wypadki lub samobójstwa. Fakt, że niektóre z nich w ogóle potraktowano jako zabójstwa, był kwestią przypadku, bo popełniając każdą ze zbrodni, zabójca wykazywał się niebywałym sprytem. Jedyнным sposobem jego powstrzymania było więc po prostu jego ujęcie. Po zweryfikowaniu szesnastu

zabójstw wciąż się to, ku ich rozpacz, nie udało, a całej sytuacji tragizmu dodawało to, że zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem liczba ta wzrośnie do siedemnastu za zaledwie pięć dni. Jak mają temu zapobiec?

Carl spojrzął na daty urodzin i przeszedł go dreszcz.

– Cholernie nieprzyjemna ferajna – wyszeptał, gdy jego wzrok przesuwiał się po nazwiskach Nicolae Ceaușescu, Hitlera i Mao.

Zerknął na daty roczne; niestety wszystko aż za bardzo się zgadzało, ani razu nie zaniechano dwuletniego odstępu między morderstwami.

Twarz Rose promieniała entuzjazmem, ale cera wyglądała niezdrowo, co było w pełni zrozumiałe z uwagi na niewielką ilość snu.

– Wiemy, że występki niektórych ofiar mogą się na pierwszy rzut oka wydawać nieadekwatne do tego, co je spotkało – powiedziała. – Ale Gordon i ja jeszcze raz przyjrzelśmy się przeszłości zamordowanych, organizacjom i różnorodnym strukturom, z którymi byli związani, i zgodnie z przewidywaniami wszyscy oni drastycznie i na sporą skalę występowali przeciwko interesowi społecznemu.

Wskazała na rubrykę „Powód” i kilka z nich wyliczyła.

– Ofiara zabójcy z dziewięćdziesiątego roku utrzymywała się teoretycznie ze zwykłego paserstwa, ale sprzedawane przedmioty zawsze były obłędnie wartościowe. Obroty sięgały kilkuset milionów koron rocznie, co z łatwością musiało przynosić zysk tak zawrotny, że firmy notowane na giełdzie mogły się chować. Tyle że nie dowiedziono z całą pewnością, kto za tym interesem stoi, więc sprawcy nie ukarano. Aż do czasu, kiedy dopadł go nasz zabójca.

Carl nie był pewien, czy podoba mu się określenie „nasz”.

– Innym przykładem – ciągnęła Rose – jest małżeństwo Helene i Georga Bernadosów, którzy począwszy od połowy lat osiemdziesiątych przez dziesięć lat kierowali pozbawionym skrupułów, brutalnym gangiem, uciekającym się do niezwykle chamskich posunięć, by okradać bezradnych staruszków i niepełnosprawnych. Musieli zapłacić za to życiem w dziewięćdziesiątym szóstym roku w urodziny Lenina, dwudziestego drugiego kwietnia. No i facet zabity w dwa tysiące ósmym w dzień narodzin Mussoliniego, dwudziestego dziewiątego lipca, właściciel firmy przewozowej, która przewoziła świnie oraz krowy na rzeź do Europy Południowej w absolutnie skandalicznych i niehumanitarnych warunkach.

Widać było, że Gordon też chce coś powiedzieć, ale Rose nie zamierzała oddawać pola.

– Wszystkie ofiary to bez wyjątku pozbawione empatii, obłeśne kreatury, a kiedy człowiek się wczyta i pojmie rozmiary ich egoizmu i cynizmu, to aż go ogarniają mdłości – powiedziała z naciskiem.

O dziwo, Assad wzruszył ramionami.

– Tak, w przypadku tego zabójcy czuję się tak jak z wielbłądem, który przez cały dzień puszcza pod tobą śmierdzące bąki, a jednak w fantastyczny sposób przewozi cię przez pustynię.

Carl pokręcił głową. Co, do diaska, gość chce osiągnąć, czyniąc tak osobliwe porównanie w tak poważnej chwili?

– Chodzi mi tylko o to, że summa summarum człowiek zaczyna wręcz lubić zabójcę – mruknął Assad.

– Co masz na myśli?

– Zastanów się, ile plugawych łajdaków usunął z powierzchni ziemi. To się nie liczy?

Carl i jego dwoje kolegów spojrzało na Assada. To rzeczywiście przemknęło przez myśl całej czwórce.

– Ale kto, kurwa, posuwa się do takich rzeczy? Przecież to szaleństwo – stwierdził Carl. – I co teraz zrobić? Co z brakującymi stronami z raportu Pallego Rasmussena, Gordon? I z usuniętymi plikami z komputera? Kiedy dostaniemy coś od NC3?

Gordon silił się na uśmiech. Na jego bladej, mizernej twarzy prezentowało się to kiepsko, ale widać było, że chce się z nimi czymś podzielić.

– No właśnie chciałem powiedzieć. W NC3 odtworzyli większość usuniętych plików, choć nie ma tego dużo. Dostałem je już wczoraj wieczorem, więc siedziałem przez całą noc i czytałem.

To przynajmniej wyjaśniałoby wielkie wory pod jego oczami.

– Z korespondencji mejlowej Pallego Rasmussena udało się odzyskać zaledwie strzępki, większość i tak już znamy z wydruków. Ale choć mało tego, to zaskakujące, w jakim stopniu Rasmussen obnosi się w tych mejlach ze swoim sadomasochizmem. Znalazłem w każdym razie ze cztery czy pięć listów, w których szczegółowo opisuje, co go kręci, a w jednym przypadku pisze również, jak wielkie obrzydzenie odczuwa osoba, z którą koresponduje. Gdyby to było dzisiaj, to ruch MeToo powiesiłby go za to za jaja. Tak chamskiego molestowania i metodycznego nękania ze świecą szukać. Nie chcę wchodzić w szczegóły opisów tego, co można zrobić z narządami płciowymi partnera, ale wybrałem jeden przykład pochodzący z przedednia śmierci Pallego. Myślę, że może nas na coś naprowadzić.

Gordon nachylił się nad stołem i przeczytał:

„Zapomnij o spotkaniach we dwoje w miejscach publicznych i przestań mi, kurwo, włązić tam, gdzie słońce nie dochodzi. Na co ty liczysz, żałosna cipo, skretyniałaś do reszty? Poza tym przestań za mną łązić, ty pokryta bliznami macioro, dobra? Jeśli czegoś ode mnie chcesz, to możesz, kurwa, równie dobrze pójść na całość i...”

– W tym miejscu mejl się urywa – wyjaśnił, patrząc na nich przeprasząc.

– Haqana! Niesamowite! – wykrzyknął Assad. – To jak bomba z jasnego nieba!

„Jak grom z jasnego nieba” – poprawił w myślach Carl. Czasami można było odnieść wrażenie, że Assad zna prawidłową wersję, tylko się z nich nabija. Ale abstrahując od tego, on i Gordon mieli rację, że bardzo to wszystko ciekawe. Może właśnie o tym tak rozmyślał w nocy?

– Chyba wszyscy przez cały czas braliśmy to pod uwagę? – spytała Rose.

– Owszem, wydaje mi się, że pomyślałam o tym przy swoim pierwszym spotkaniu z Sisle Park! Obślizgła jak węgorz, rzadko się takich ludzi spotyka. – Carl pokiwał głową. – To zasadniczo wyjaśnia też związek między dwoma mejlami z szesnastego i siedemnastego maja dwa tysiące drugiego roku. Gordon, odszukaj je jeszcze raz.

Czekali w milczeniu, podczas gdy tamten kartkował segregator. Zatrzymał się i spojrzął na nich przelotnie, nim zaczął czytać.

– Pierwszy mejl z szesnastego maja dwa tysiące drugiego roku brzmi tak:

„Drogi Palle, może pomyślisz, że Ci się narzucam, ale uważam, że ostatnio nie dokończyliśmy rozmowy. Spotkajmy się w Sommersko w sobotę koło czwartej, wtedy będę w Kopenhadze. Co Ty na to? Masz czas? Sisle”.

– I ten z siedemnastego maja:

„Palle. Twój ostatni wiec polityczny w Nørrebrohallen zrobił na mnie wrażenie. Nie wiem, jak mam to wyrazić, ale jak wiesz, bardzo chętnie znów bym się z Tobą spotkała. Zapewne zauważyłeś, że usiadłam w trzecim rzędzie naprzeciwko Ciebie i że poprosiłam kogoś, by się przesunął, bym mogła nawiązać z Tobą kontakt wzrokowy. Wkrótce się odezwę”.

– Bardzo ciekawe – uznał Carl. – Palle Rasmussen odmawia spotkania z nadawczynią listu twarzą w twarz w miejscach publicznych, co zapewne było typowe dla jego romansów i przygód. Jednocześnie szydzi z nadawczyni i moim zdaniem świadomie próbuje ją rozjuszyć. A gdy dzień później w mejlu z siedemnastego maja kobieta wprost prosi go o kontakt, to ten wali prosto z mostu, że jeśli ona czegoś od niego chce, to musi pójść na całość. Jest już nie tylko rozdrażniony, ale też ostro podjarany.

– Czy możemy założyć, że autorką obu mejli jest Sisle Park? – spytała Rose, choć nie sprawiała wrażenia, jakby miała wątpliwości.

– Tak myślę. Doskonale zrozumiała, jak doprowadzić Pallego Rasmussena do pożądanego stanu. Rozsadzały go żądza i fantazje, co by zrobił Sisle. Tym samym uczynił się łatwą ofiarą. Skrępowanie dłoni plastikowymi zaciskami pewnie go tylko rozogniło.

– Nic nie rozumiem – mruknął Assad. – Dlaczego taka inteligentna kobieta podpisuje się własnym nazwiskiem? Nie sądzicie, że Sisle Park jest tylko baranem ofiarnym?

Carl uśmiechnął się, słysząc to określenie, ale Assad miał rację. Dlaczego to robiła?

– Rasmussen nazywa ją „pokrytą bliznami maciorą”. Czy to przenośnia, czy fakt? Musimy to zbadać – stwierdziła Rose.

– Znaczy co, mamy się na nią rzucić i przeprowadzić gruntowną rewizję osobistą? – spytał Carl.

– Mówię o tym, że jeśli leczyła gdzieś blizny, to istnieje możliwość, by to sprawdzić. Gordon pokręcił głową.

– Nie uda się, nie przy obowiązujących w Danii przepisach o dostępie do informacji. W dzisiejszych czasach szczególnie dane na temat stanu zdrowia będą cholernie trudne do zdobycia.

– Sisle Park posiada duże przedsiębiorstwo, należy do nielicznych kobiet, które dzięki własnym staraniom dotarły na sam szczyt. Spróbuj na MediaInfo, na bank znajdziesz o niej mnóstwo artykułów w prasie kobiecej – poradził Carl.

– Sprawdziłem, nic – odparł Gordon.

– Dziwne, a jej CV?

– Urodzona trzydziestego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego jako Lisbeth Park w Nørresundby przez samotną matkę, Dagny Park Iversen. Na Facebooku zdradza, że matka spieszyczała jej imię jako Sisle. Matura w Aalborgu w wieku osiemnastu lat. Początek studiów na Wydziale Chemii Uniwersytetu Kopenhaskiego w osiemdziesiątym drugim, które kończy z wyróżnieniem w osiemdziesiątym dziewiątym.

– Chemię?!

– Tak, plus MBA na uniwersytecie w Kapsztadzie, gdzie przebywała „on and off” i pracowała przez niecałe trzy lata.

– A niech mnie licho. Skoro była taka zdolna, to dlaczego ukończenie studiów zajęło jej aż siedem lat?

– Nie mam pojęcia – odparł Gordon.

– Znalazłeś coś na temat jej partnerów, Gordon? – spytała Rose.

– O ile wiem, żadnych nie miała.

Rose odszukała w Google zdjęcie z jakiejś konferencji.

– Dziwne. Gdybym była taka bogata, szczupła i seksowna jak ona, to nie musiałabym rozkładać nóg przed wszystkimi facetami, których próbuję zwabić do łóżka.



Carl spojrzął na Gordona, który wyglądał na urażonego. Kiedy przeszło mu zauroczenie Rose?

– Myślę o tych studiach – odezwał się Assad cicho. – Blizny powstają najczęściej przez wstrzykiwanie komuś chemikaliów lub przez wybuch.

Carl się uśmiechnął.

– Nie sądzę, by ktoś z tytułem MBA na koncie biegał po mieście z kwasem w strzykawkach, Assad.

Rozległo się pukanie do drzwi; był to Marcus, nad którym już permanentnie wisiała ciemna chmura. Mørck wiedział, co się święci.

– Co ty tu robisz, Carl? Przecież miało cię tu nie być. – Jacobsen wyglądał na autentycznie zasmuconego. – Ale skoro już odważyłeś się tu przyjść, to zapraszam cię na krótką pogawędkę.

„Krótką pogawędkę”? Nie wróżyło to dobrze. Na bank będą w niej uczestniczyć policja narkotykowa, Terje Ploug i kilku gości z wewnętrznej dochodzeniówki.

Marcus poprowadził go do bocznego gabinetu, graniczącego z tym głównym. Używano go zazwyczaj do przesłuchań aresztantów; nie ma co, zapowiada się ciekawie.

Pięć osób zebranych w gabinecie ani myślało się uśmiechać. Gdyby siedział po drugiej stronie, od razu by pomyślał, że na przesłuchiwanego nieszczęśnika zapadł już wyrok. Nie było w tym nic miłego, gdy tym nieszczęśnikiem był on sam.

Spotkanie okazało się formalne i krótkie, a jego wynik spodziewany. Carlowi postawiono zarzuty w sprawie, którą nazwano sprawą Høyera.

– Na czas trwania śledztwa nie wolno ci opuszczać kraju. A tak poza tym wesołych świąt – powiedział gość z wewnętrznej dochodzeniówki, który go przesłuchiwał. „Pies Tropiący” powinien był darować sobie ten szeroki uśmiech; takich rzeczy Carl nie zapomina.

– Trzymaj się z daleka od jednostek dochodzeniowych i Departamentu Q, Carl. Jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę, będę musiał zlecić twoje aresztowanie.

– Ależ, Marcus, daj spokój, zastanów się! Jesteśmy o krok od przełomu w naszej sprawie, nie możesz nas ot tak zastopować.

– Bardzo ładnie wam to wyszło, ale odtąd musisz pozwolić kolegom działać na własną rękę.

Carlowi opadły skrzydła.

– Ostatnie pytanie, Marcus. Czy udzielisz mi wsparcia, jeśli będę go potrzebował?

– Zależy jakiego.

– Za pięć dni zostanie zamordowany człowiek. Mamy podejrzaną, dasz nam wolną rękę?

– Carl. – Marcus położył dłoń na ramieniu kolegi. – W tej chwili koncentruję całą energię na dowiedzeniu twojej niewinności. Każdy banknot z walizki jest dokładnie badany pod kątem odcisków palców. Jeśli miałeś w ręce choć jeden, grozi ci wieloletnia odsiadka. Myślę, że powinieneś wrócić do domu do Mony i przygotować ją na to, że przyszłość może być bardzo trudna dla was obojga.

Wtorek rano, 22 grudnia 2020

SISLE

Począwszy od okresu przedświątecznego w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku, przystawała w tym miejscu w ciszy i zamyśleniu i wpatrywała się w mały nagrobek; teraz doszedł jeszcze jeden. Dwa kamienie nagrobne, czule opierające się o siebie i na zawsze łączące dwa smutne byty, za które odpowiedzialność ponosić musiała wyłącznie Sisle.

– Maju, jest mi tak niewyobrażalnie przykro – wyszeptała, pochylając się nad grobem.

Musnęła palcami szorstki piaskowiec; od czasów studiów nie potrafiła płakać nad nikim innym, tylko nad małym Maxem, który tu spoczywał. Ale teraz, gdy na sąsiednim kamieniu pojawiło się też imię Mai, jej serce ścisnęło się jeszcze mocniej.

Co najmniej tysiąc razy zadała sobie to samo pytanie. Czy postąpiłaby inaczej i zostawiła przy życiu tyle kanalii, gdyby z Bożą pomocą mogła była oszczędzić tego chłopczyka? Po prostu tego nie wiedziała. Ale odkąd ta mała niewinna istota zapłaciła życiem za jej czyn, Sisle poprzysięgła sobie, że metoda polegająca na wysadzeniu czegoś w powietrze, przez którą mogą ucierpieć przypadkowe osoby, nigdy nie może zostać ponownie użyta.

Nie, po tym pechowym styczniowym dniu w osiemdziesiątym ósmym roku jej ofiary miały umierać samotnie i w pełnej świadomości, dlaczego je to spotkało.

Zwróciła twarz ku pustemu pomnikowi obok grobu Mai i chłopczyka. Płaciła za to miejsce od ponad trzydziestu lat, by kiedyś, jak przyjdzie czas, spocząć przy chłopcu, którego pozbawiła życia jej własna nieostrożność. Obecnie Max byłby mężczyzną po trzydziestce. Do dziś skradła ponad dwanaście tysięcy dni tego młodego życia. Dwanaście tysięcy dni, które jego matka musiała przeżyć w nieznośnym bólu i w poczuciu zniweczonych marzeń.

Sisle sprawiało to nieopisane cierpienie.

Gdy Maja popełniła samobójstwo, Debora spytała Sisle, czy ból, z którym musieli żyć bliscy jej pozostałych ofiar, też ją tak dręczy.

Pytanie to stanowiło pierwszy sygnał, że Debora może się wymykać Sisle z rąk, a wraz z nią również Adam. Bo właśnie tego pytania nie powinni byli nigdy zadawać. Przecież Debora doskonale wiedziała, że jej ofiarami byli umarli za życia, skoro

z własnej, nieprzymuszonej woli ostentacyjnie wiedli niemoralny żywot i dopuszczali się występków. Dlatego Debora też nie mogła sobie pozwolić na zwątpienie, bo bliscy ofiar ponosili wielką odpowiedzialność za to, że nie udaremnili podłej i cynicznej działalności swoich partnerów. „Ten, kto z własnej woli żyje z człowiekiem utrzymującym się z cudzej niewierności, dręczącym zwierzęta lub sprowadzającym ubogich ludzi w głęboką nędzę ekonomiczną, nie zasługuje na cień współczucia” – napominała raz po raz. Przecież ofiary i ich bliscy zapewniali sobie komfortową egzystencję przez te brutalne, nikczemne czyny. Dlaczego więc odczuwać choćby odrobinę współczucia po skończonej imprezie? Dzieci uwalniała wszak od wychowywania się w patologicznym środowisku. Prawdę mówiąc, Sisle zupełnie nie rozumiała rozterek Debory.

W dodatku tych dwoje ostatnio ją nakłaniało, by odstąpiła od zasad i zabiła ofiarę przed czasem. Stanowiłoby to przecież pogwałcenie wszystkich reguł, na których opierała się ich misja. Co będzie następne?

Owszem, Adam i Debora mogą jej się łatwo wyślizgnąć, szczególnie teraz, gdy ten wścibski policjant próbuje pokrzyżować im szyki.

Sisle uklękła i położyła niepozorny bukiet na grobie chłopca. Wiele razy chciała to zrobić, ale wtedy Maja żyła i mogła się zorientować. Byłby to zbyt ryzykowny gest.

Uniosła się powoli i ruszyła ścieżką, klucząc między nagrobkami, aż w końcu znalazła to, czego szukała.

„Lars K. Pedersen” – głosiła inskrypcja na pomniku. Upływ czasu i porosty uniemożliwiły odczytanie dnia jego śmierci, ale Sisle znała go lepiej niż ktokolwiek. Był to bowiem dzień, w którym Bóg postanowił ją wybrać i oszczędzić. Ją, jedyną sprawiedliwą spośród siedmiorga, w których uderzył piorun. Ją, która jako jedyna w grupie dbała, by odróżniać dobro od zła.

Przez pierwsze lata pluła na grób Larsa K. Pedersena i pozostałych pięciorga zmarłych, ale któregoś dnia Debora naprowadziła ją na drogę, którą nazwała sprawiedliwą i właściwą.

„Bez tych właśnie ludzi nie poznałabyś Boga, Sisle. Powinnaś być im wdzięczna, że tobie Bóg powierzył zadanie, a oni musieli zapłacić za to życiem”.

– Dziękuję, Lars – powiedziała więc i skinęła głową w kierunku zapuszczonego nagrobka.

Echo odbijało się od sufitu wielkiej recepcji, gdy Sisle zmierzała do windy w swoich skórzanych butach na obcasach. Większość jej podwładnych już od kilku dni pracowała z domów, więc w sali konferencyjnej na trzecim piętrze czekały na nią tylko te najważniejsze i wtajemniczone.

Od dawna cieszyła się na to spotkanie.

Skinęła głową do trzech kobiet z działu socjalnego, które patrzyły na nią wyczekująco. Czyli wszystko jest, jak powinno.

– Dzień dobry i dziękuję, że jesteście do dyspozycji w takim dziwnym dniu. Możecie zdjąć maseczki, bylebyście zostały na swoich miejscach.

Spojrzała na każdą z osobna. Jaka elitarna grupa, prawdziwa uczta dla oczu.

– Kiedy w drugim dniu świąt moja misja dobiegnie końca, zamierzam zniknąć, więc więcej mnie nie zobaczycie, ale wasze zadania zostały już wyznaczone, podobnie jak dalszy harmonogram działania firmy. Jak już wiecie, każdej z was zlecono uśmiercenie danej osoby, zgodnie z precyzyjnie opracowanym planem. Jestem świadoma, że każda z was już teraz obmyśla, jak popełnić morderstwo, nie ryzykując zdemaskowania. Musicie wiedzieć, że w pełni ufam w powodzenie waszej akcji. Po jej zakończeniu zostanę waszą koordynatorką i będę zatwierdzać propozycje każdej z was. Plan zabójstwa z największymi szansami na realizację zostanie wdrożony jako pierwszy; naturalnie nie będziecie znać dokładnego momentu, w którym trzeba będzie zadziałać.

Wskazała na tę, która się zgłaszała. Sto procent zaangażowania i co najmniej dwieście procent kwalifikacji, jak na razie najlepsza w grupie.

– Noro, masz pytanie?

– Tak, dziękuję! Kiedy poznamy grupę docelową?

Sisle się uśmiechnęła. Kto, jak nie Nora, miałby zadać pytanie na sekundę przed udzieleniem na nie odpowiedzi? Pod każdym względem ogromny potencjał przywódczy.

– Tak, otóż dlatego się dziś spotykamy, właśnie zamierzałam wam powiedzieć.

Trzy pary ramion opadły na miejsce, w końcu wszystko się wyjaśni.

– Nasz cel jest taki, by począwszy od dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku co cztery miesiące wskazywać polityka na szczeblu lokalnym lub krajowym, który sprzeniewierzył się zasadom moralnym obowiązującym każdą osobę, na której spoczywa duża odpowiedzialność wynikająca z demokracji. Nadużycie władzy, zachłanność, oszustwo, wykorzystywanie stanowiska służbowego, nielojalność, naruszenia prawa, kłamstwa – do wyboru, do koloru. Widzę, że już kiwacie głowami.

Nora znów się zgłosiła. Podobnie jak dwie pozostałe, uśmiechała się, zapewne uradowana, że oto nadszedł kres długiego procesu przyuczania, najpierw w roli aspirantek u Debory, a potem stażystek o bardzo wysokim statusie w firmie Sisle.

– A co się stanie po wykonaniu przez nas zadań?

Znów uprzedziła Sisle.

– Już wam mówię. Każdej z was zostanie przydzielona osobista stażystka, a waszym zadaniem będzie jej przeszkolenie tak, by mogła was zastąpić w zabijaniu, kiedy wy

już odegracie swoją rolę. Potem znikniecie. Zostaniecie sownie wynagrodzone, żeby móc osiedlić się w innym kraju i ewentualnie założyć rodzinę, jeśli tego pragniecie. Jak zapewne rozumiecie, to nieuniknione, że po pewnej liczbie zabójstw osób o takim znaczeniu Dania ogłosi alert. Bez względu bowiem na stopień zakamuflowania tych morderstw nie da się zabijać takiej liczby osób publicznych, nie ponosząc ryzyka wielowątkowego dochodzenia i obserwacji.

– Jak to prowadzone teraz przez Departament Q Carla Mørcka?

– Carla Mørcka! – Sisle uśmiechnęła się z pobłażaniem. – Nim się nie kłopotcie. Jego dni, podobnie jak dni wielu innych, da się policzyć na niewielu palcach.

Poniedziałek, 21 grudnia i wtorek, 22 grudnia 2020

LAURA VAN BIERBEK

W domu rodziny Bierbeków nie było śladu świątecznej atmosfery. Przez cały dzień starsza, piętnastoletnia córka kipiała ze złości, pokazując się z najmniej sympatycznej strony. Krzyczała i wyrzekała, że wszystkie najlepsze sklepy w stolicy zostały zamknięte, i zżymała się, że nie ma jak spełnić swoich zachcianek.

Tak zachowywała się Laura van Bierbek, kiedy coś jej nie pasowało. Zawsze była nieprzytomnie rozpieszczoną gówniarą. Wystarczyło, by otworzyła te swoje piękne jasnyniebieskie oczy nieco szerzej, a ojciec kolejny raz wyciągał z kieszeni portfel. Teraz, gdy go nie było, gdy cały dzień tkwiła w domu, gdy nie mogła pójść do szkoły i flirtować z chłopakami z dziewiątej klasy i gdy nikły szanse na prezenty gwiazdkowe i zabawę sylwestrową, o której gadały z Søsser od wielu miesięcy, Laurę zalewała krew.

– Lauro, przestań. – Mama próbowała powstrzymać wyskoki córki, ale kto miał siłę jej słuchać? Przecież ubierała się w porządne ciuchy tylko na przyjęcie gości, a tak to przez cały dzień siedziała w trochę zbyt przewiewnej bieliźnie nocnej z papierosem w gębie i popijała. Co za oblecha! – Możemy poprosić Roxan, by zrobiła nam coś pysznego, na co byś miała ochotę, skarbie? – kusiła mama na próżno.

Laura tylko trzasnęła drzwiami i klapnęła przed laptopem w swoim pokoju. Gdyby nie Zoom, zupełnie by oszalała. Najfajniej było z jej przyjaciółką, Søsser. Opowiadała zabawne historie, potrafiła też podzielić się informacją, co robić w pokoju z chłopakami, gdy nikt tego nie widzi.

– Co tam, Søs? Ty też zapadasz w śpiączkę? – spytała Laura.

Przyjaciółka na ekranie spojrzała na nią znużonymi oczami; to mówiło samo za siebie.

– Pewnie wiesz, że wszystko pozamykali aż do początku stycznia? – spytała.

Laura skinęła głową.

– Co mówi twój tata o tej całej szitowej sytuacji? – dociekała Søsser.

– Nie mam pojęcia, jeszcze nie wrócił do domu.

– A gdzie on w ogóle jest? Nie ma go już chyba od bardzo dawna? Pewnie na święta też go nie będzie?

– Nie, strasznie mnie to wkurwia. Mama mówi, że on wróci dopiero w drugi dzień świąt albo dzień po. Ma opóźnienia przez te testy covidowe i kwarantanny.

– Aha, ale za to pewnie przywiezie prezenty.

– No raczej!

– Nadal nie wiesz, gdzie on dokładnie przebywa?

– Wydaje nam się, że w Kalifornii, ale mama nie jest pewna.

Na ekranie twarz Søsser uniosła się lekko. Przyjaciółka Laury zazwyczaj nie wiedziała, jak zrobić poważną minę, ale wyglądało na to, że się tego nauczyła.

– Co się dzieje, Søs, dziwnie wyglądasz?

– Nie jestem pewna, ale wczoraj powiedziałam tacie, że na razie raczej nie ma co liczyć na partyjkę golfa z twoim ojcem, bo jeszcze nie wrócił. Wiesz, co on późnym wieczorem powiedział mamie, kiedy myśleli, że ich nie słyszę?

Laura jakoś nie bardzo chciała wiedzieć. Kiedyś podsłuchiwała rozmowę ich ojców na tarasie, nie było to fajne.

– Powiedział, że twój tata na pewno wdał się w romans z jakąś kobietą i że to słabe, że nie gra w otwarte karty.

– Ani trochę w to nie wierzę. Mama mówi, że tata dopracowuje pewną transakcję, dzięki której staniemy się bajecznie bogaci.

– Aha. W każdym razie moja mama odpowiedziała, że to wszystko jest rzeczywiście bardzo dziwne, bo widziała w telewizji, że jakiś policjant poszukuje osoby, której nazwiska policja nie zna, ale która zniknęła. Coś tam, że nawet jej rodzina na pewno o tym nie wie. Potem mama przysłała do mnie i powiedziała, że może powinnam ci to przekazać.

– Nie rozumiem, dlaczego?

– Czy wy w ogóle nie czytacie gazet?

Laura się roześmiała. Głupie pytanie. Przecież Søs doskonale wiedziała, że nie.

– I telewizji też nigdy nie oglądacie, co?

– Owszem, cały czas. Netflix, HBO i Amazona, przecież wiesz.

– Nie, ale normalną telewizję. Wiadomości i takie tam.

– Zwariowałaś? Mama nie ma ochoty. Leży tylko, pali i ogląda seriale.

– Pogadaj z nią, co?

Wielki salon jak zawsze pogrążony był w chaosie, którego au pair nie nadążała uprzątać. Właśnie dlatego Laura i jej młodsza siostra nigdy nie miały ochoty tu przebywać. Wszystko śmierdziało dymem, a jeśli Roxan nie była wystarczająco szybka, to na stolikach zaczynały zalegać kieliszki z niedopitymi trunkami i brudne naczynia.

Laura nie potrafiła rozgryźć własnej mamy, ale też nie miała ochoty zbyt dużo o niej wiedzieć. Paru chłopaków z klasy obejrzało kilka starych reality show, w których



uczestniczyła jej nader skąpo ubrana rodzicielka, i Laura czuła się z tego powodu zażenowana. Były to nagrania z egzotycznych miejsc, gdzie tamta przebywała w towarzystwie wielu facetów; kiedy rozmawiała o tych programach, sprawiała wrażenie, jakby była dumna z tego, że brała w nich udział, co w żadnym razie nie przysporzyło jej szacunku córki. Wręcz przeciwnie.

Ale to, co Søsser powiedziała o tacie, Laura postanowiła rzucić matce w twarz, żeby trochę oprzytomniała; w pewnym sensie podziałało. W każdym razie ocknęła się i owinęła ciasniej kimonem.

– Lauro, gdzie zdaniem Søsser pokazują tę konferencję prasową? – wybełkotała, marszcząc brwi, przez co tapeta położona na twarzy w dniu wczorajszym uległa spękaniu.

Laura otworzyła drzwi na taras, wpuszczając do domu przeraźliwe zimno, które w ostatniej dobie nadciągnęło nad Danię. To zazwyczaj nieco ożywiało matkę.

– Musisz o to spytać mamę Søsser, bo nie wiem – powiedziała i wymknęła się, nie zamykając drzwi na taras.

Chwilę później atmosfera w domu uległa zmianie, przez co zima nadciągnęła do nich na dobre. Mama szeptała przez telefon, przez cały wieczór pisała SMS-y, a stukanie jej długich paznokci o ekran smartfona dało się słyszeć aż na piętrze.

– Co ona robi? – spytała młodsza siostra Laury.

– Myślę, że próbuje sprowadzić tatę do domu.

Nazajutrz rano twarz mamy była opuchnięta, oczy podkrążone, a policzki krągłe jak kule, zupełnie jak wtedy, gdy brała hydrokortyzon po nie do końca udanym powiększaniu piersi.

Była za to trzeźwa i dość logicznie myśląca.

Zdążyła już zainstalować kilka aplikacji, by śledzić wiadomości oraz dzienniki, i siedziała przyklejona do ekranu jak mucha, która nie może obejść się bez jego światła.

– Lauro, bądź cicho – powiedziała, gdy córka weszła do salonu, chcąc przyłączyć się do oglądania.

Policjant na ekranie wyglądał jak totalny przegryw, zupełnie jak ten pijak, co siedzi na ławce pod supermarketem i wymachuje rękami. Wymiętoszony, nieogolony. Niepiękny widok.

Laura obserwowała matkę, która na próżno szukała ręką papierosów, nie spuszczać wzroku z faceta z dwudniowym zarostem.

Potem zapisała numer telefonu na brzegu paczki papierosów i zadzwoniła zaraz po skończonej konferencji.

Minęło zaledwie kilka minut, a mama już powtarzała raz po raz „tak” i „nie”, podczas gdy jej matowe oczy zaczęły wilgotnieć, powoli rozpuszczając czarną jak sadza maskarę.

Wtorek, 22 grudnia 2020

CARL

– Przepraszam, Carl, ale muszę cię o to spytać jeszcze raz. Czy miałeś coś wspólnego z tą sprawą i mi o tym nie powiedziałeś?

Zazwyczaj tego typu natarczywe pytania po Carlu spływały. Były jak drobne pacnięcia po policzku, nigdy niesumujące się w jedno duże uderzenie. Ale z Moną było inaczej; jej pytanie sprawiło mu przykrość. Przez całą noc jego mózg pracował pełną parą, bo Carl zadawał sobie podobne pytania, ale zastój w jego pamięci nie był przecież w stanie uporać się z zapomnieniem i ożywić dawno minionego czasu.

– Poważnie, Mono? Minęło już tyle lat, a przecież wiesz, jak się czułem, od kiedy strzelano do Hardy’ego, Anker’a i do mnie. Mam dziury w pamięci i choćbym nie wiem, co robił, to nie mam pojęcia, jak to się stało, że w walizce ze strychu znalazło się tyle tego gówna. I Hardy, i ja czuliśmy, że Anker ma specyficzne poczucie moralności, i nierzadko musieliśmy go stopować w działaniach. Kiedy podczas przesłuchań uderzenia w kark przesłuchiwanego stawały się zbyt brutalne, albo kiedy kłamał szefowi Wydziału Zabójstw, przepisując raporty i tworząc z nich istne laurki. Ale że ta walizka miałaby świadczyć, że jest zatwardziałym kryminalistą – tego wiedzieć nie mogłem.

Gdy Mona popedałowała z Lucią do żłobka, zadzwoniła mocno podekscytowana Rose.

– Człowiek, którego szukamy, nazywa się Maurits van Bierbek, to pewne jak amen w pacierzu, Carl. Wszystko się zgadza, nawet dzień, w którym „zniknął”.

Carl ujrzał wyraźnie cudzysłów, który z pewnością rysowała w powietrzu.

– No i sposób, w jaki „zniknął”, cóż, właściwie to wszystko brzmi jak z bajki. Posłuchaj więc: Assad i ja właśnie po ciebie jedziemy, a za dwadzieścia pięć minut jesteśmy umówieni z żoną Bierbeka.

Rose z trzaskiem odłożyła słuchawkę, nim Mørck zdążył zaprotestować. A gdy już całą trójką siedzieli w samochodzie zmierzającym do domu Bierbeków, jadaczka Rose się nie zamykała. Zupełnie jakby dziewczyna właśnie zaczęła świętowanie Gwiazdki, a telefon od żony Bierbeka stanowił najlepszy prezent, jaki mogła dostać w tym beznadziejnym, zaprzepaszczonym roku.

– Od bardzo dawna nie oglądali normalnej telewizji – wyjaśnił Assad. – To córka i mama jej przyjaciółki okazały się rozgarnięte. Powiem ci, że żona Bierbeka sprawia wrażenie rozbitej z powodu zaginięcia męża.

Rzeczywiście była.

Już na odległość można wręcz było wyczuć szok spowijający bezsprzecznie luksusowego, inspirowanego Grecją potworka architektonicznego na najbogatszych przedmieściach stolicy.

Kobieta natychmiast rozpoznała Carla i ruszyła mu na powitanie z rozpostartymi ramionami, jakby silny uścisk drugiego człowieka mógł zniwelować jej ból. Mørck szybko odskoczył w bok, by dać jej do zrozumienia, że restrykcje covidowe obowiązują nie tylko w telewizji.

– Proszę jeszcze raz wszystko opowiedzieć – poprosił, kiedy kobieta posadziła ich przed panoramicznym oknem wychodzącym na przyszczyżony park, na który każdy mieszczuch spoglądałby z zapartym tchem.

Od skołowanej pani Bierbek trudno było uzyskać składną relację, ale na szczęście sekundowała jej dzielnie dziewczyna w wieku confirmacyjnym, która nie musiała zastanawiać się w nieskończoność nad każdym pytaniem, by udzielić sensownej odpowiedzi.

– Dwunastego grudnia przyjechała po niego limuzyna. Pamiętam dokładnie tę datę, bo do tych jebanych świąt brakowało jeszcze dwunastu dni. – Dziewczyna spojrzała na nich z powagą, której jej pogrążona w mentalnym chaosie matka nie byłaby w stanie skopiować. – Samochód był czarny, widać go na naszym monitoringu i jak zjeżdża ze wzgórza. Nagrałam plik na ten pendrive.

Podągała go Rose, a Carl w tym momencie rozważył, czyby jej z miejsca nie zaadoptować.

– Są tam też wszystkie mejle, które pisali do siebie mama i tata.

– Je też skopiowałaś, Lauro? – spytała matka, wyraźnie dotknięta.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Widocznie to pytanie nie zasługiwało na pełną szacunku odpowiedź.

– Mogłabyś przestać zostawiać wszędzie swoje hasła.

– A dlaczego twój tata wyjechał? – spytała Rose.

– Rozmawiał z kimś z jakiejś amerykańskiej organizacji, która chciała wykupić jego firmę. Myślałyśmy, że poleciał do Stanów, by prowadzić tam negocjacje.

– Rozumiem, Lauro, ale twój tata nie opuścił kraju, sprawdziliśmy to. Wiesz, z kim miał się spotkać tamtego dnia?

– Czyli on przez cały czas przebywał w Danii? – Dziewczyna zamyśliła się ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Ale nie, nie wiem z kim. Wydaje mi się, że z kimś z tej

firmy. – Podała Rose kartkę.

– „Global Rea Inc., Wisconsin, USA” – przeczytała Rose na głos. – Czy to nie to gigantyczne przedsiębiorstwo produkujące seriale reality na cały świat?

– Owszem. Ale firma taty też jest dość duża. Wyprodukował reality tv do prawie wszystkich krajów Europy, do krajów w Azji, do Australii, Ameryki Południowej i... – Laura zawahała się, widząc, jak Carl, Assad i Rose wymieniają spojrzenia.

„Szlag” – pomyślał Carl. Facet produkował śmieciową telewizję, a to wyjątkowo pasowało do osoby, którą zabójca z chęcią usunąłby z powierzchni tej plugawej ziemi.

– Jak nazywa się firma pani męża? – spytał Carl kobietę, która patrzyła przed siebie z zagubionym wyrazem twarzy.

– Unbelievable Corporation. Zrobili między innymi Raj czy piekło, Reality-prison i mnóstwo innych produkcji – powiedziała z czymś w rodzaju dumy, ale dotyczyła ona raczej gigantycznych zarobków firmy, które ceniła sobie najwyżej.

– Tak, i jeszcze program Kocice i podrostki, w którym wystąpiła moja mama. Jeśli macie ochotę zobaczyć ją bez ubrań, to zachęcam – dodała dziewczyna, spoglądając na matkę ze zgorzeniem.

– Your attorney Claes Erfurt is here – wtrąciła się do rozmowy filigranowa Filipinka.

– Can I show him in?!

Ale mężczyzna już się zbliżał, pędząc na spotkanie pani domu.

– Victorio, co ja słyszę??? To potworne!

Ich uścisk trwał o kilka podejrzanych sekund za długo, a Laura przewróciła oczami.

– Tak, przepraszam, ale zależy mi, by Claes nam towarzyszył. Muszę znać swoją obecną sytuację pod względem prawnym – wyjaśniła kobieta, jakby jej mąż już nie żył i został pogrzebany, i jakby to wcale nie było najgorszą rzeczą, jaka mogłaby się jej przydarzyć.

„Jeśli ta szurnięta baba będzie się tak dalej zachowywać, to zadzwonię do Mony i powiem, że muszę przyprować ze sobą córkę numer trzy” – pomyślał Carl.

Daleko nie ujechali z tą rozmową. Adwokat trzymał kobietę za rękę i poklepywał ją co dziesięć sekund. Zapewne jego wewnętrzny kalkulator już szacował wartość posiadłości. Powleczony teflonem mózg Victorii nie potrafił sobie przypomnieć, kto odebrał Mauritsa van Bierbeka i z kim miał rozmawiać.

– Nie dysponujecie może miejscem, w który można sobie posiedzieć i porozmawiać? – spytał Assad. – Chcielibyśmy stworzyć tutaj naszą bazę, jeśli nie macie nic przeciwko temu. W ostatnim czasie stosunki na komendzie są nieco napięte, jeśli wiecie, co mam na myśli, a wasza bliskość jest dla nas wyjątkowo istotna, pani Victorio, w razie gdyby odezwali się porywacze. Niestety nie mamy zbyt wiele czasu.

Tylko Laura wydawała się podekscytowana propozycją.

– Mój tata ma wielki gabinet, do którego nikt nie wchodzi pod jego nieobecność, pokażę wam. Mogą zostać tak długo, jak chcą, prawda, mam? – Dziewczyna obróciła się na pięcie, nim usłyszała odpowiedź.

– Genialnie to wymyśliłeś, Assad – pochwalił Carl, rozglądając się po składzie kopiarek, komputerów i migających diod routerów, przez które z pewnością przetaczało się w tę i z powrotem mnóstwo terabajtów.

– Tak, Marcus nie będzie mógł śledzić, gdzie się znajdujesz i co robisz. Gordon tymczasem może zostać na stanowisku, w razie gdybyśmy potrzebowali czegoś z komendy. Poproszę, by przeskanował nam naszą tablicę i tym podobne, a my to sobie wydrukujemy. – Assad wskazał na cudowną maszynę, która prawdopodobnie potrafiła drukować nawet format A2. Żeby zapewnić taki sprzęt jednostce dochodzeniowej, minimum dwóch ostatnich ministrów sprawiedliwości musiałoby zrezygnować z rocznych pensji.

Rose oderwała wzrok od ekranu.

– To niesłychane! Firma Mauritsa van Bierbeka produkowała wyłącznie głównianą telewizję, której jedynym celem było wystawianie na próbę przyzwyczajęń zarówno uczestników, jak i widzów. Naprawdę wiele jego produkcji ocierało się o pornografię. Co dziwne, wszystkie kanały telewizyjne i platformy streamingowe zapomniały o moralności, kupując jego formaty. Czytam w Google, że jeden z nich, Czy ona naprawdę tak powiedziała?, został sprzedany do ponad pięćdziesięciu krajów, a w wielu z nich został dostosowany do miejscowej kultury i języka, między innymi w Japonii, jeśli to w ogóle kogoś dziwi. – Rose pokręciła głową. Pod pewnym względem Carl był zadowolony, że nigdy nie dał się wciągnąć w to rozrywkowe bagno, choć w tym przypadku mogłoby to nawet przynieść pewną korzyść.

– Czy ty widziałeś któryś z tych programów? – spytał Mørck Assada, podsuwając mu listę.

Kudłacz analizował tytuły tak skrupulatnie, że można by pomyśleć, iż odtwarza je sobie wszystkie w głowie.

– Nie, moja antena widocznie ich nie odbiera – odparł cierpko.

– A ty, Rose?

– Owszem, sprawdziłam kilka. Nie porwałyby nikogo, kto skończył więcej niż siedem klas podstawówki. Mówiąc wprost, śmieciowa telewizja w najgorszym wydaniu. Ale wiem przecież, że wiele z nich zdobyło niewiarygodną popularność, zostawiając w tyle bardziej tradycyjne programy typu reality nadawane na kanałach satelitarnych.

– I to znaczy? – spytał Assad.

– Że mogą lecieć do usranej śmierci, dopóki istnieją ludzie gotowi kupić muł w puszkach.

Brwi Assada poszybowały do góry; najwyraźniej to wyjaśnienie niespecjalnie mu pomogło.

– Mam tu rachunki firmy Bierbeka – poinformował Carl. – Jego kapitał własny liczy tyle zer, że nie jestem w stanie się dorachować. Gdyby facet faktycznie znalazł kupca na swoją firmę, to myślę, że zostałby jednym z najbogatszych ludzi w całej Skandynawii. Kto z was zadzwoni do firmy w Stanach, która rzekomo miała dokonać wykupu?

– Poproszę Gordona, by się tym zajął, a Assad i ja przeczytamy korespondencję mejlową między Mauritseem van Bierbikiem i jego żoną, w porządku? Natomiast ty, Carl, możesz spojrzeć na zapis kamery monitoringu.

Od strony drzwi dobiegło do nich dyskretne pukanie we framugę; to Claes Erfurt wtłoczył do środka swoje korpulentne ciało w zbyt obcisłym granatowym garniturze. Wyciągnął w ich kierunku rozpostartą dłoń i uśmiechnął się, ukazując szokująco wybielony uśmiech – taki, przy którym śnieżna biel przypomina brudnoszare wody rzeki Limpopo.

– Cóż, przepraszam – powiedział adwokat nieszczercze. – Mam drobną uwagę à propos faktu, że zadekowali się państwo w domu Victorii. Czy nie powinniście okazać nakazu sądowego, jeśli zamierzacie penetrować intymną i prywatną sferę życia Mauritsa van Bierbeka? – Mężczyzna nie czekał na odpowiedź. – Wiem de facto, że powinniście, więc lepiej, by się państwo od razu spakowali i wyszli. Zgoda?

Assad wstał i utkwiał w nim nieruchomy wzrok.

– Powiedz mi no, obżartuchu. Aż tak bardzo chcesz zaciągnąć Victorię na siano, że nie możesz się doczekać, aż jej mąż faktycznie zostanie zabity? My go tu próbujemy uratować, więc nie poszerzaj sobie jeszcze kieszeni spodni, by pomieściły wszystkie te miliony, na których zagarnięcie liczysz. Ale może tak naprawdę wcale nie zamierzasz pozostawać w spodniach? Powiedz nam, co chcesz ugrać, a jeśli nie chcesz tego zrobić, to możesz...

Assad zamilkł, widząc skrzywioną twarz Carla.

– Kolega chciał powiedzieć, że tu i teraz ma pan szansę znacząco wspomóc swoją karierę zawodową, udając osobę, która walczy, by uratować życie swojego klienta – podjął Carl. – Przedstawię panu propozycję nie do odrzucenia, a potem zostawi nas pan w spokoju. Jak już kolega mówił wcześniej pani Victorii, nie mamy zbyt wiele czasu.

– Carl, czy to aby było rozsądne? – spytała Rose, gdy adwokat się oddalił. – Pozwolisz mu ujawnić, że osobą, której ostatnio poszukiwałeś, jest Maurits van

Bierbek i że mamy poważne podejrzenia, że nieszczęśnik zostanie stracony drugiego dnia świąt?

– Sama zobaczysz. Dopóki Departament Q nie zostanie wymieniony z nazwy, Marcus Jacobsen może się łudzić, że te informacje pochodzą skądinąd, i mieć sprawę z głowy. Plus jest taki, że cała Dania znajdzie się w stanie gotowości, gdy tylko adwokat wspomni o nagrodzie w wysokości dziesięciu milionów koron za udzielenie informacji, które pomogą doprowadzić nas do miejsca pobytu Mauritsa Bierbeka. Pod warunkiem że informacje te uratują mu życie. Założę się, że przeciętnym Duńczykowi i Duncce odbije szajba na punkcie zgarnięcia tej nagrody, szczególnie w czasach covidu, przy odwołanym Bożym Narodzeniu i braku innych rzeczy do roboty.

– Dziesięć milionów! Pewnie Marcus dostanie szympaniego rozumu – odezwał się Assad z wahaniem.

– Małpiego rozumu, Assad, ale było blisko. – Carl się uśmiechnął. Czy on znowu się z nich nabija? – Owszem, to oczywiście niecodzienna i obłądna kwota, ale Marcus ma dość oleju w głowie, by trzymać język za zębami, byleby nie wymieniali nas z nazwisk. A my będziemy mogli pracować w spokoju, podczas gdy cała Dania zabawi się w polowanie.

– A co, jeśli zabójca machnie ręką na swoje zasady i zabije gościa przed czasem? – spytała Rose.

– Czy nadal myślimy o Sisle Park jako o domniemanej sprawczyni?

Oboje potaknęli.

– Ta kobieta nie idzie na ustępstwa w kwestiach swojej misji, jestem o tym przeświadczony. Ale oczywiście zacznie czuć na plecach nasz oddech. Dlatego od momentu ogłoszenia przez adwokata tej wieści Sisle Park ma być obserwowana. Aż do drugiego dnia świąt nie odstępujemy jej na krok, kapujecie? Podzielcie się między sobą dyżurami, jak wam pasuje. Assad, ty masz rodzinę, więc weźmiesz dniówki od ósmej do szesnastej, Rose popołudniową wartę od szesnastej do północy, a Gordon nocki od północy do ósmej rano.

– Lepiej będzie, jeśli zamienię się z Gordonem. Za to jeśli on weźmie pierwszy dyżur dziś po południu i wieczorem, to Assad i ja będziemy mogli przeczytać szybciej korespondencję Victorii i Mauritsa. Umówiłam się z Gordonem, żeby zostawił kluczyki swojego samochodu pod przednim kołem, tak byśmy mogli śledzić Sisle Park, jeśli wybierze się z domu własnym autem. Będzie musiał w tę i z powrotem jeździć taksówką do domu Sisle, tak jak reszta z nas, ale nie ma nic przeciwko, o ile to nie on będzie płacić.

Okej, oto cała Rose. Nie tylko ogarnęła kwestię transportu, ale nawet bierze nockę, niczego się nie boi.



Carl miał nadzieję, że Laura van Bierbek skopiowała na pendrive tylko fragment nagrania, na którym jej ojciec został odebrany spod domu, ale zdążył już przesiedzieć pół godziny, gapiąc się na dość ziarnisty obraz wideo przedstawiający willową uliczkę, na której nie działo się absolutnie nic, jeśli nie liczyć spacerowicza z psem, który zapomniał wziąć ze sobą woreczki na odchody pupila.

– No, dawaj, samochodziku – zachęcał Carl raz po raz. Może trzeba było najpierw poprosić o wykaz rozmów telefonicznych van Bierbeka. Wtedy przynajmniej by wiedział, o której mniej więcej zadzwonił do gościa fałszywy konsultant z Global Rea Inc., co by mu podpowiedziało, od której godziny zacząć przeglądanie nagrania. Ale jak zdobyć wykaz na już? Smutne doświadczenie podpowiadało mu, że uzyskanie takiej listy może potrwać bardzo długo. Teraz więc jego zadanie polegało na wytrzymaniu przed ekranem i pilnowaniu, by nie zamknąć oczu z bezbrzeżnej nudy.

Zerknął przez gigantyczne okna na kolejną partię przypominającego park ogrodu. Wkrótce zapadnie ciemność i w normalnych okolicznościach dzień pracy dobiegłby końca.

Normalne okoliczności! Carl zadumał się nad tymi słowami. Czy one jeszcze kiedyś wrócą?

Mørck nadstawił uszu. Na dole żona Mauritsa van Bierbeka w końcu zaczynała rozumieć powagę sytuacji i kobieta na zmianę szlochała i zawodziła nad swoim strasznym losem.

Może to jej monotony, ochrypy głos sprawił, że Carl jednak przysnął. Tym większy przeżył szok, gdy zadzwoniła jego komórka, zmuszając go do powrotu do rzeczywistości.

– Posłuchaj, Carl – powiedziała Mona ściszym głosem. – Właśnie była tu policja z nakazem aresztowania. Pytali, gdzie przebywasz ty i twoi współpracownicy, i kazali mi się z nimi skontaktować, gdybyś się odezwał. Jestem pewna, że podsłuchują już i moją, i twoją komórkę, więc ją wyłącz i wyrzuć, by cię nie namierzyli. Musisz też wiedzieć, że zawsze będę wierzyć w twoją niewinność.

Carl chciał coś powiedzieć, ale Mona przerwała jego pomruki.

– Wiem doskonale, co to dla ciebie znaczy, znam cię. Jesteś niewinny, więc siedź w ukryciu, dopóki nie znajdziecie tego czekającego na śmierć nieszczęśnika. I przekaz Assadowi, Gordonowi i Rose, by się tobą opiekowali, no i żeby wyłączyli komórki. Do widzenia, ukochany, zobaczymy się, kiedy to piekło się skończy. Całujemy cię z Lucią.

Rozległo się piknięcie i Momy już nie było.

Carl odetchnął głęboko. Wprawdzie się spodziewał, że jego nadgorliwi koledzy w którymś momencie po niego przyjdą, ale nie sądził, że nastąpi to już teraz. Kiwnął

głową sam do siebie. Takie wydarzenie zwałoby z nóg każdego, ale ostrzeżenie Mony i jej bezwarunkowe wsparcie pomogły mu bez dwóch zdań. Właśnie tego potrzebował.

Jego wzrok spoczął na drugiej stronie gabinetu, gdzie Rose i Assad wgrzali się w obszerną korespondencję mejlową, by trafić na choćby najmniejszy trop. Ale chociażby nie wiadomo jak się starali, Carl wiedział, tak jak i oni, że nic nie wskórają. Dlaczego, u licha, porywacze mieliby spuścić gardę właśnie na tym odcinku?

– Hej, wy dwoje, przestańcie na chwilę i posłuchajcie, z czym dzwoniła do mnie Mona – powiedział i po chwili ich komórki były już wyłączone. – Przykro mi, że przeze mnie wpadliście w to grzęzawisko, więc jeśli tu i teraz nie zdecydujecie, że się wypisujecie i nie będziecie utrzymywać ze mną żadnego kontaktu, będzie to oznaczać, że nie możecie wrócić do domów, nim wszystko się nie skończy. Zapewne najbardziej odbije się to na tobie, Marwie i dzieciach, Assad, więc co powiesz?

Wydawało się, że dylemat spowodował wręcz krótkie spięcia w mózgu Assada, który nie wyglądał na zachwyconego. Następnie zwrócił oczy na Carla.

– Hm, głupio mi się przyznać, ale niestety nie wiem, co to jest grzęzawisko.

Po upływie zaledwie sekundy Assad wstał z miejsca, a jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

Gdy uściskał kolegę i wyszeptał mu do ucha, że oczywiście, że nie zrezygnuje ani z niego, ani z dochodzenia, Mørck poczuł, że musi spiąć pośladki, jeśli nie chce wybuchnąć płaczem.

– Ja też zostaję, Carl – powiedziała Rose. – Wesprzemy się. Ale będziemy musieli przycisnąć Bierbeków, by pozwolili nam tu zostać.

Carl próbował wydusić z siebie ostrożne podziękowania, ale nie pozwalało mu na to ściśnięte gardło.

– Rose rozmawiała z Gordonem, gdy ty kimałeś – przerwał milczenie Assad.

– Tak, Gordon mówi, że nikt z zespołu kierowniczego Global Rea Inc. nie przypomina sobie, by się kontaktowali z Mauritseem van Bierbekiem w sprawie wykupu Unbelievable Corporation. Powiedzieli wręcz, że po upublicznieniu przez van Bierbeka jego ostatniego pomysłu, który nosi tytuł Kto umrze pierwszy? czy jakoś tak, byłaby to ostatnia fuzja na świecie, jaką w ogóle braliby pod uwagę.

– Okej. Faktycznie straszny ten tytuł, ale przynajmniej mamy już pewność – stwierdził Carl. – Zgodnie z naszymi podejrzeniami ten wykup od samego początku był ściemą. Czy Gordon w ogóle dostał nakaz, by wyłączyć komórkę?

– Tak, ma inną na kartę prepaid. Tu mam numer – odparła Rose.

Carl odetchnął z ulgą.

– Wysłaliśmy go, by obserwował Sisle Park?

– Tak, wyjechał z biura jakieś dwadzieścia minut temu i jest świadom, że policja będzie go śledzić. Twierdzi, że zrobi wszystko, by ich zgubić.

Boszs! W takim razie drzemka Carla musiała trwać ponad pół godziny. Westchnął i wrócił do obrazu na ekranie, na którym wciąż widać było uliczkę przed domem Bierbeków w odcieniach szarości i bieli.

Spojrzał na zegarek, rozważając, czyby nie zacząć oglądania od początku, kiedy na nagraniu coś zaczęło się dziać. Na ekranie pojawił się lśniący czarny lexus, który powoli zajechał przed wejście do domu van Bierbeka. Jako że kamera nagrywała obraz od strony posesji, niestety nie było widać ani miejsca kierowcy, ani osoby siedzącej za kółkiem. Wyglądało na to, że w samochodzie nie było nikogo więcej. Carl odnotował godzinę wyświetlającą się w górnym rogu. Była dokładnie dziesiąta, a teraz zobaczył też plecy Mauritsa van Bierbeka zbiegającego ze schodów z teczką pod pachą i wsiadającego do auta.

Od tego momentu Carl oglądał nagranie sekunda po sekundzie.

– Please, niech numer rejestracyjny będzie wyraźny – szeptał, gdy limuzyna przeskakiwała po ekranie krótkimi skokami do przodu.

Samochód zakręcił pośrodku drogi, pokazując oba tylne światła. Carl zapauzował plik i przyjrzał się tablicy rejestracyjnej. „FB 5”, a potem cztery rozmazane cyfry.

– Chodźcie tutaj! – zawołał do pozostałych. – Mamy numer rejestracyjny.

Rose skinęła głową, widząc czarnego lexusa z rozpoczynającym się w ten sposób numerem. Dwie minutki i mają właściciela.

Carl rozparł się w fotelu, splatając ręce na karku. „Sukces!” – brzmiało jedyne słowo, które mu teraz przychodziło do głowy. Siedział tak, ciesząc się, że będą mieli choć jeden konkretny dowód postępu w tym dniu, dopóki nie wróciła Rose.

– Przykro mi, Carl, ale samochód został wypożyczony tylko na kilka godzin i opłacony fałszywą kartą kredytową hiszpańskiego banku na nieistniejące nazwisko. Kobieta wynajmująca auto nie wzbudziła podejrzeń firmy, bo paszport, który okazała, by się wylegitymować, sprawiał wrażenie autentycznego. Dopiero dzień później odkryli, że ich oszukano. Ale i tak się cieszyli, że samochód nie wylądował w Polsce czy w jakimś innym nieznanym miejscu. Wynajmującą pamiętają jako blondynkę po czterdziestce, nic poza tym.

Carlowi opadły ramiona.

– Z opisu nie wynika, że to Sisle Park, jak sądzicie?

Rose i Assad równocześnie pokręcili głowami.

– Posłuchajcie. Pozostało nam tylko poczekać na oświadczenie adwokata w wiadomościach, musimy też oczywiście usłyszeć, co powie Gordon. Zadzwoń do

niego za godzinę, a tymczasem możecie mi powiedzieć, czy znaleźliście coś ciekawego w listach wymienianych przez Mauritsa i jego żonę?

– Póki co w ogóle nic – odparł Assad. – Myślę, że oszukanie żony to była najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Łyknęła wszystkie mętne tłumaczenia, którymi karmił ją Maurits, gdy pytała, dlaczego nie mogą się zdzwonić.

– Przecież ona to miała głęboko w dupie – dodała Rose. – Za to spytała męża co najmniej dziesięć razy, ile pieniędzy jego zdaniem przyniesie mu ta sprzedaż. A gdy wreszcie po mejlu numer jedenaście on odpowiedział, że pewnie około trzystu milionów dolarów, to przestała już pytać o cokolwiek. Założyła się, że latała wokół stołu, wrzeszcząc i wymachując rękami z radości.

– Okej – stęknął Carl. – Co robimy? Przekonacie Victorię do zakwaterowania nas na kilka dni? Spróbujcie skusić ją tym, że załatwimy jej występ w telewizji w czasie największej oglądalności, kiedy już wszystko się uspokoi. No i powiedzcie jej przy dzieciach, że zrobimy wszystko, by mąż i ojciec do nich wrócił.

Rose nie wyglądała na przekonaną.

– Tej ostatniej kwestii aż tak bym nie akcentowała, Carl. Ale nie sądzisz, że powinieneś pomyśleć o własnej sytuacji? Czy rozmawiałeś na przykład z Hardym? Możesz przecież skorzystać z telefonu stacjonarnego Bierbeka. – Wskazała na potworne ustrojstwo, które sprawiało wrażenie pozłacanego, i chyba nawet takie było.

Mørck skinął głową. Telefon do Hardy'ego i tak stanowił jego kolejny krok w tej toksycznej sprawie.

Wtorek, 22 grudnia 2020

### SISLE

Przez godzinę siedziała w domu pogrążona w cichej modlitwie i rozmowie z Bogiem. Postępowała tak również w poprzednich przypadkach, gdy ofiara musiała zapłacić życiem za swoje niemoralne czyny. Właśnie na tej bliskości polegał jej najważniejszy rytuał, bo Bóg z góry znał przewinienia ofiary i znał dzień narodzin tego zausznika Szatana, w którym ofiara musi umrzeć.

– Najdroższy Boże, czy Mao nie był najbardziej odrażającą ziemską istotą, którą stworzyłeś? Uczynił z siebie obrazoburcze bóstwo, oszczędzał tylko tych, którzy nie mogli przeciwstawić się jego władzy, szydził z Ciebie słowami gloryfikującymi zło. Pozwalał, by jego lud padał ofiarą klęsk głodowych. Skazywał na śmierć wszystkich podważających jego zasady i tak zwaną boskość, a co najgorsze, pociągał za sobą nie tylko swój słaby naród, który ślepo szedł za nim, ale też zachodnią młodzież. W dniu urodzin tego wcielenia Szatana jeszcze jedna nędzna istota spotka się z Tobą, swoim boskim Stwórcą, by zostać osądzona. Obiecuję Ci to, Boże.

Siedziała przez chwilę, myśląc o najbliższych dniach, po czym skończyła się modlić podziękowaniem, jak zwykle.

– Dziękuję Ci, dobry Boże, że oszczędziłeś moje życie przed karą Twojego gniewu. Dziękuję Ci za to, że mogę być Twoją uczennicą i Twoim mieczem. Dziękuję za zadanie, które przede mną postawiłeś, i za wolny wybór, który zawsze mi dawałeś. – Skłoniła głowę i dokończyła: – Amen.

Teraz była już całkiem gotowa.

Mauritsowi van Bierbekowi zostało trzy i pół dnia życia. Nieco ponad osiemdziesiąt godzin egzystencji, która i tak trwała od dawna. Kiedy skazany zrozumie swoje położenie i sytuację, może w ciągu tych godzin albo żałować za grzechy, by pójść na spotkanie z Bogiem z otwartym umysłem, albo zignorować swoją winę i cierpieć przez to w piekle przez całą wieczność.

Sisle było wszystko jedno, którą drogę wybierze. Jej misja polegała wyłącznie na przypominaniu mu o tym, że za wszystkie podejmowane w życiu działania ponosi się konsekwencje. Jak powiedziano w Biblii, oko za oko, ząb za ząb.

Przeżegnała się i wstała z klęczek. Spotkanie z trzema aniołami śmierci, które zrekrutowała w dziale socjalnym, wyjątkowo się udało, więc w kolejnych latach

cudownie będzie przyglądać się z boku zainicjowanym przez nie procesom usuwania chwastów. Sisle ogarnęły wdzięczność i duma.

Weszła do salonu, włączyła telewizor i zza napisów końcowych dziennika zdążyła tylko zobaczyć korpulentnego mężczyznę w granatowym garniturze.

W tej samej sekundzie rozdzwoniła się komórka; była to bliska histerii Debora.

– Adwokat van Bierbeków wystąpił właśnie w telewizji, widziałaś? – jęknęła i ciągnęła dalej: – Rodzina wyznaczyła nagrodę w wysokości dziesięciu milionów koron za każdą wiadomość, która doprowadzi ją do Mauritsa, ale nagroda zostanie wypłacona tylko pod warunkiem, że van Bierbek będzie żył. Czy ty sobie wyobrazasz, ilu ludzi go już szuka? Ten dziennikarz ocenił, że kilka tysięcy, a wszyscy oni wiedzą, że muszą się spieszyć.

Sisle zacisnęła usta. Co to, u diabła, miałoby zmieniać?

– Sisle! Jesteś pewna, że żadna z twoich adeptek i uczennic nie zwietrzyła, co się święci? Bo jeśli tak, to musisz uważać. Tyle pieniędzy, sama pomyśl – ciągnęła Debora. – Prawie sześć milionów Duńczyków wie w tym momencie, że może wygrać na wielkiej loterii, jeśli tylko uda im się nas wytropić. Już sobie wyobrażam to zamieszanie, i bardzo mnie to martwi. Mali chłopcy w mundurkach skautów bawiący się w detektywów, ciekawscy sąsiedzi, młodzi i starzy z problemami finansowymi i wszyscy ci anemiczni przykładni obywatele, którzy tylko siedzą po domach i się nudzą.

– Deboro, przestań!

– Ale to zbyt kuszące, Sisle, ludzie przecież zareagują. Dziesięć milionów koron to naprawdę mnóstwo pieniędzy.

– Tylko ty, ja i Adam mamy prawdziwe informacje na ten temat. Potrzebne wam może dziesięć milionów?

Po drugiej stronie zapadło milczenie, nieco zbyt głucho, zdaniem Sisle.

– Deboro, musicie zachować spokój. Ty i Adam jesteście mi cały czas potrzebni. Słyszysz, co mówię? Nie jest mi natomiast potrzebne wasze wahanie. Macie wątpliwości?

Pomimo kiepskiego połączenia słyhać było dobrze ciężki i wyraźny oddech Debory.

– Mogę porozmawiać z Adamem, Deboro?

Minęła chwila, po czym w słuchawce rozległo się szuranie.

– Debora sprawia wrażenie dość podenerwowanej. Czy mogę wam ufać, Adamie?

– Tak – brzmiała krótka odpowiedź.

– A jeśli powiem, że to ty masz podać Mauritsowi Bierbekowi zastrzyk?

– A mam?

– Chciałabym, żebyś przez najbliższe dni nie spuszczał Debory z oka. Zostańcie w domu i postarajcie się spędzić święta tak normalnie, jak się da.

– Okej. Ale kto przez ten czas zajmie się Mauritseem? Dasz mu...

– Nie przejmuj się nim. Nie wychylajcie się aż do drugiego dnia świąt, skontaktuj się z tobą w odpowiednim czasie.

Sisle odłożyła słuchawkę, usiadła na chwilę i przeanalizowała rozwój wypadków.

Przyobiecane dziesięć milionów. Czy można sobie wymarzyć lepszą reklamę? Zaśmiała się na myśl o tłumach, które teraz biegały jak w amoku, szukając podejrzanych kryjówek. To się przeistoczy w istną gonitwę, bo na co ludzie się ponatykają? Na narkotykowe nory, magazyny pełne kradzionych towarów, domowe bimbrownie, zaniedbane nieruchomości i na tajemnice rodzinne, które nie powinny wyjść na światło dzienne. Policja będzie miała pełne ręce roboty z rosnącą liczbą tropów, w miarę jak zaczną spływać zgłoszenia. Szykuje się ostra harówka. Biedni detektywi, którzy mieli nadzieję na kilka spokojnych świątecznych dni.

Dziesięć milionów! Ten podkomisarz Carl Mørck życzyłby sobie zapewne bardziej kontrolowanego i ostrożnego przebiegu wydarzeń?

„Co, u licha, on teraz zrobi?” – pomyślała, schodząc po schodach do piwnicy. Była to jasna i wyremontowana część domu o świetnym podziale funkcjonalnym pomieszczeń, by jej pomoc domowa mogła tam pracować, prasować i doglądać licznych roślin cebulkowych, które zimowały w domu aż do wiosny. Właśnie w tym pomieszczeniu panowała stała wilgotność powietrza i prawie całkowita ciemność, dzięki czemu drzwi za jednym z regałów były praktycznie niewidoczne. Otworzyła je i zapaliła światło, znalazłszy się w kompletnie wyposażonym laboratorium chemicznym. Sisle mogła tu między innymi w procesie syntezy potraktować wodorotlenek potasu kwasem solnym lub dokonać spalania potasu w obecności chloru, co w obu przypadkach da chlorek potasu, którym zabiła już dwie swoje ofiary, a teraz przygotowywała się do trzeciej egzekucji.

Uniosła menzurkę przed oczy, przyglądając się śmiercionośnej cieczy. Gdy w odpowiednio dużej ilości wstrzyknie się ją prosto w serce, zatrzyma się jego akcja. Tak zwane humanitarne sposoby pozbawiania życia na całym świecie zakładały podanie kilku następujących po sobie leków, by skazany na śmierć najpierw się wyciszył, potem został wprowadzony w śpiączkę, nim można będzie zakończyć proces chlorkiem potasu, ale Sisle stosowała inną metodę. Jej ofiary miały umierać z pełną świadomością tego, co się dzieje, no i nie było potrzeby tego zwlekać.

Jej ofiary się wiły, gdy wiele mililitrów cieczy wstrzykiwano prosto do ich serca. Gorączkowo łapały oddech, dostawały silnych skurczów i desperacko wierzgały

nogami. A gdy na chwilę przed śmiercią nie mogli już oddychać, Sisle przeglądała się w ich szklistych oczach i szeptała nad nimi ostateczne przekleństwo.



Wtorek, 22 grudnia 2020

CARL

– Rose, co mówi Gordon, jest na stanowisku?

– Tak, stoi w ukryciu niedaleko domu Sisle Park i narzeka, że jest diabelnie zimno.

– Niech się cieszy, że nie pada. Sisle jest w domu?

– W oknach świeci się światło, więc Gordon sądzi, że tak.

Carl zwrócił się do Assada:

– Zdobyłeś plan jej domu?

Kudłacz pokręcił głową.

– Ale on ma powierzchnię sześciuset metrów i pod całym budynkiem jest piwnica, więc to kawał chałupy i z pełną dyskrecją można w niej robić mnóstwo rzeczy. Tylko czy byłaby taka głupia, by zabijać ofiary we własnym domu? Nie sądzę. Poza tym jest właścicielką kilku nieruchomości w okolicy.

– W okolicy?

– Tak, magazyny, nieruchomości na wynajem, prywatne domy, mieszkania i domki letniskowe, więc jeśli nie wsiądzie do samochodu i nie pojedzie prosto do miejsca, gdzie trzyma Mauritsa van Bierbeka, to łatwo nie będzie. Istnieje po prostu za dużo opcji.

Carl tak przeczuwał, niech to szlag. Ogólnie rzecz biorąc, ostatnie dwie godziny nie należały do szczególnie krzepiących. Najgorsze było to, że w gabinecie Mauritsa van Bierbeka znajdowały się tylko dwa miejsca do spania, więc będą musieli korzystać z rozkładanej kanapy na zmianę. W praktyce oznaczało to, że Rose będzie wylegiwać się na sofie sama, a Carl i Assad będą na zmianę tarzać się we wspólnym pocie i ślinie.

Poza tym telefon do przebywającego w Szwajcarii Hardy’ego też go nie rozweselił, bo tamten czuł się, mówiąc oględnie, naprawdę kiepsko. Wszystkie eksperymentalne zabiegi, którym poddano jego ciało, wszystkie środki przeciwbólowe, wszystkie cierpienia, na które narażono jego organizm w egzozskieście, który wypróbował po raz pierwszy, sprawiły, że kolega był zdekoncentrowany, mrukliwy i nieobecny. Dlatego dopiero w środku rozmowy w pełni pojął powagę sytuacji, w której znalazł się Carl.

– Aha! Mówisz, że walizka stała na strychu od dwa tysiące siódmego, czyli od trzynastu lat, Carl! Dlaczego więc nie porozmawialiśmy o niej szczerze przez cały ten

czas, gdy twój dobry, sparaliżowany kumpel leżał w twoim salonie, gapiąc się w sufit? Moim zdaniem okazji było aż nadto, ale może twoim zdaniem to była błaha sprawa?

– Ale ja przecież nie wiedziałem, co się w niej znajduje. Chyba mi wierzysz, Hardy?

– Dlaczego Anker miałby cię prosić o przechowanie walizki? Nie rozumiem tego.

– Bo żona go wyrzuciła. I właśnie z tego powodu nie zastanawiałem się, co jest w środku, bo niby dlaczego miałbym to robić? Co się w ogóle zabiera w takiej walizce, gdy opuszcza się dom?

– Hm, ale co zanosi się na strych? Raczej nie slipy i skarpety, co?

W głosie Hardy'ego pobrzmiwał polemiczny ton, co było niecodzienne.

– Bardzo cię boli, Hardy?

– Nie kłopotz się tym, Carl. Lepiej mi powiedz, dlaczego taki genialny detektyw jak ty, któremu wystarczy ułamek sekundy, by zacząć każdego o coś podejrzewać, nawet się nie zastanowił nad zawartością tej walizki? I dlaczego jej nie otworzyłeś lub nie oddałeś żonie Anker'a po jego śmierci?

– Może tego nie zrobiłem, bo w końcu Anker został wyrzucony z domu, a może zapomniałem. Nie pamiętam dlaczego, Hardy.

Kolega westchnął głośno. Czyli mu nie wierzył.

– Hardy, proszę, bądź tak miły i pomyśl gruntownie o tym, co Anker chciał zrobić z tymi pieniędzmi i prochami, bo lada chwila mnie zaaresztują, a wtedy bardzo by mi się przydało coś, co pomogłoby zdjąć mnie z celownika.

Milczenie, które potem zapadło, było wręcz ogłuszające. Tylko ciężki, świszczący oddech Hardy'ego świadczył o tym, że połączenie nie zostało zerwane.

– Postarasz się, Hardy?

Tamten odchrząknął.

– Zapewne muszę, Carl, więc tak, postaram się. – I się rozłączył. Kończenie rozmowy w ten sposób stawało się powoli nawykiem; nie było to miłe. Właściwie Carl nie czuł się tak opuszczony od trzeciej klasy podstawówki, gdy jego psa znaleziono rozjechanego na szosie.

Rozum podpowiadał mu, że w policji na pewno znajdzie się kilka osób, które wciąż dobrze o nim myślą, ale w praktyce pomogłoby mu małe, banalne pocieszenie. Uścisk ramienia, poczucie, że ktoś obejmuje go za głowę i przyciska czoło do jego czoła, życzliwe słowo, w którym znalazłby wsparcie. Tego rodzaju bliskość, która pewnych rzeczy nie kwestionuje. Co więc dzieje się z Hardym, skoro tak chłodno go traktuje?

W drzwiach rozległ się szelest i przed Carlem usiadł Assad, który spojrzał mu prosto w oczy.

– Uważam, że powinieneś wiedzieć, że Marwa i ja ze sobą piszemy, choć izolujemy się tu od otoczenia. Mamy arabskie adresy mejlowe, których bardzo rzadko używamy

i które znamy tylko ona i ja. W tej sytuacji są dość przydatne. Właśnie przysłała mi wiadomość, chodzi o ciebie.

– Co pisze?

– Że była u nas policja i że o mnie pytali. Ma mi przekazać, że jeśli się do nich nie zgłoszę i nie zdradzę twojego miejsca pobytu, może to mieć bardzo poważne konsekwencje dla mnie i mojej rodziny.

Carl prychnął.

– Poważne konsekwencje, już to widzę. Wiesz, jak to trzeba nazwać, Assad? To są metody rodem z państwa policyjnego, które w Danii nie powinny mieć zastosowania. Nie można cię w tej sprawie o nic oskarżyć, a twoja rodzina nie może być obciążona tym, że pracujesz dla Departamentu Q i dla mnie.

– A jednak tak jest, Carl. Oni wrócą, a jeśli Marwa nie poda im jakiejś wiadomości na twój temat, sprawdzą jeszcze raz ich pozwolenia na pobyt. Powiedzieli wprost.

– Do kurwy nędzy! No to jej napisz, że pojechałem do rodziców na Vendsyssel i tam się ukrywam. Ale będzie ubaw, jak moja stara matka zażąda od policji, by najpierw wypili kawę, nim ona raczy ich wysłuchać. A potem będą musieli skosztować jej ciasteczek i wysłuchać historii o dawnych czasach, gdy w pojedynkę jeździła do Løkken na tandemie. Skruszeją, nim pozwoli dojść im do głosu.

– Hm! W takim razie tak zrobię.

– Widzę, że coś jeszcze leży ci na sercu. Mów, Assad!

Brwi kudłacza zadrżały; czyli nosił się już z tym od jakiegoś czasu.

– Czy nadal uważamy, że istnieje związek między Sisle Park i Pauline Rasmussen?

– Tak, z powodu soli w pudełku po butach!

– I dlatego że w grobach obok miejsca pochówku Ragnhild Bengtsen też znaleziono sól, więc to też łączy z nimi Sisle Park.

– Owszem. Szczególnie dlatego, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż oba ciała spoczywające nieopodal Ragnhild mają bezpośrednie powiązanie z pozostałymi zabójstwami.

Assad podrapał się po brodzie, która urosła pół centymetra od czasu ich ostatniej rozmowy przed dwudziestoma minutami.

– Czyli zgadzamy się też, że istnieje związek między Ragnhild Bengtsen i tą Tabitą Engstrøm, którą ona zabiła.

Carl się uśmiechnął.

– Tak, można tak powiedzieć, bo zupełnie przypadkowego człowieka nikt w ten sposób nie likwiduje, prawda? Do czego zmierzasz?

– W notesie Tabity stoi czarno na białym, że należy ona do jakiegoś bractwa czy siostrzeństwa, czy jak to określić, i podaje imiona kilku osób z grupy.

– Tak.

– Myślisz, że Manfred czy ktoś inny z ekipy Bente Hansen rozmawiał z którąś z osób podanych przez Tabitę?

– Owszem, tak myślę.

– Czyli nie wiesz na sto procent, tylko tak sądzisz.

Carl potaknął.

– Ale wiemy przecież, że niektóre z podanych przez Tabitę imion to tylko pseudonimy, ona sama o tym pisze. Ale czy na pewno dotyczy to wszystkich?

– A nie?

– Poszukam kobiety, którą Tabita nazywała Deborą. To tak niecodzienne imię, że może spróbujemy wyszukać panie, które je noszą. Może któraś ma jakiś związek z Sisle, tak jak pozostałe, o których wspominałem.

– Tak, Assad, ale nie ma pewności, że ona będzie znać miejsce pobytu Mauritsa van Bierbeka i że w ogóle ma coś wspólnego ze zbrodniami Sisle.

– Moim zdaniem motyw postępowania Tabity i Sisle są do siebie podobne, nie uważasz?

– Owszem. Czyli szukasz Debory, w porządku. Sprawdziłeś w spisie ludności?

Assad potwierdził.

– W rejonie stołecznym nie ma aż tak wielu Debor, jak można by przypuszczać. Najwyraźniej to wyjątkowo rzadkie imię.

– Skontaktowałeś się z wszystkimi kobietami o tym imieniu?

– Tak. Trzy nawet się tak nie nazywały, a kilka innych było za młodych, by pasować do naszego profilu. Może to jedno z tych imion, którymi znów nazywa się niemowlęta.

– Czyli to może być ksywka, tak jak w przypadku pozostałych kobiet w grupie.

Assad kiwnął głową.

– Albo też ta kobieta się ukrywa. Może po prostu podpisuje się wszędzie imieniem i literką D. zamiast drugiego, pełnego imienia.

– Dzwoniłam z telefonu stacjonarnego Mauritsa do sąsiadki – poinformowała Rose.

– I już wiem, że pod moim adresem też pojawiła się policja i odwiedziła oboje moich sąsiadów, by spytać, czy wiedzą, gdzie jestem. Pouczyła ich też surowo, że mają niezwłocznie powiadomić służby, gdy wrócę do domu. – Zaśmiała się. – To trochę sobie poczekają.

– Carl, co zamierzasz zrobić po drugim dniu świąt? – spytał Assad.

– Jeśli znajdziemy Mauritsa van Bierbeka na czas, to zatańczę fandango w biurze Marcusa Jacobsena.

– A jeśli nie?

– To nie zatańczę, ale i tak zgłoszę się do jego biura.

– Pójdę już – poinformowała ich Rose, owijając szyję metrowym szalikiem i wkładając płaszcz.

Szła wymienić Gordona! Carl zupełnie o tym zapomniał.

Spojrzał na Assada i już wiedział, że kolega myśli o tym samym. Jeden z nich będzie mógł przejąć łóżko Rose, gdy ta przez całą noc będzie obserwowała dom Sisle Park. Genialne!

Wychodząc, Rose przystanęła na chwilę i odwróciła się do nich.

– Z innej beczki, wy dwaj! Ani mi się wazcie włączyć do mojego łóżka. – Postukała się po nosie. – Ten narząd mi powie, jeśli to zrobicie, a wtedy wpadnę we wściekłość.

Carl aż nazbyt dobrze to sobie wyobraził, kiedy robiła taką minę.

To już lepiej tarzać się po podłodze.

Wtorek, 22 grudnia 2020

## MAURITS

Przez krótki czas, kiedy jako mały chłopiec czuł się niepewny i zagubiony, Maurits zaczynał liczyć; mogło to być cokolwiek. Jeśli wzywano go do gabinetu dyrektora, bo znów pyskował do nauczyciela, liczył książki na regale za pryncypałem, podczas gdy ten urządzał mu połajanki. Jeśli zatapiał się w spojrzeniu miłej dziewczyny, to liczył, ile razy mrugnęła, by nie zdradzić, jaki jest nieśmiały. Przez kilka ładnych lat udawało mu się w ten sposób oswoić wszelkiego rodzaju sytuacje, jeśli tylko miał coś, co można było policzyć. Potem ten kiepski zwyczaj odszedł do lamusa, bo Maurits nauczył się sobie radzić bez niego. Ten stan trwał aż do teraz, kiedy oderwany od świata i bezsilny wobec nieuniknionego uwiąznięcia własnego ciała, nagle usłyszał odliczający głos.

Maurits pokręcił głową i na próżno próbował otworzyć oczy, bo gałki oczne na dobre przywarły do powiek.

Czy to on sam? I co liczył?

– Co liczysz, Maurits? – usłyszał własny głos.

Czy znikające sekundy? Czy coraz słabsze uderzenia serca? A może to zegar bornholmski jego babci, wciąż odmierzający czas, który już nigdy nie wróci?

Godzinami próbował się zorientować, jakie są dzień i pora. Dla skazanego na śmierć oczekująca go czarna dziura wieczności jest jedynym celem upływających sekund, ale mimo nieuniknionego ustania funkcji mózgu wciąż nawiedzały go uporczywe, rwane myśli. Może właśnie dlatego liczył. By zagłuszyć ich natłok.

Nie rozumiał tego. Dlaczego miał zostać zabity?

Oczywiście, mógł być w życiu subtelniejszy. Jasne, mógł od czasu do czasu stawiać dobro innych ponad własnym. Pewnie, można było powściągnąć żądzę tworzenia sensacyjnych treści rozrywkowych. Ale przecież zabawa zawsze była dobrowolna dla tych, którzy chcieli w niej uczestniczyć, więc o co chodzi?

Maurits przekręcił się na bok. Puste kiszki paliły go od kwasów żołądkowych, przętyk wydawał się pozbawiony powłoki ochronnej.

Dlaczego nie mogli po prostu dać mu spokoju? Jak długo chcą przeciągać jego udrękę?

Nagle łapczywie nabrał powietrza i otworzył szeroko usta. Wszystko, co ta odrażająca baba próbowała mu wmówić, mogło nie mieć nic wspólnego z rzeczywistością. Wszystko, o co go oskarżała, wszystko, z czego szydziła i o co się zżymała, mogło wcale nie być prawdziwym powodem jego uwięzienia. Nie ulegało wątpliwości, że ta kobieta go nienawidzi, ale teraz go olśniło, że to drobnostka. Rzeczywistą przyczyną jego przetrzymywania było połączenie kilku kwestii, ale jak przyszło co do czego, to babsku na pewno chodzi o jego pieniądze. A teraz trzyma go tu i dręczy, bo negocjuje kwotę okupu. To przecież jasne, że w tym rzecz. Pewnie okup wynosi równowartość jego majątku. Na pewno dlatego tyle to trwa.

Spróbował się uśmiechnąć, ale dał sobie spokój, gdy o mało nie popękały mu wargi. Pewnie zażądała setek milionów koron, ale to przecież nie problem? Tyle że Victoria na pewno stawiała porywaczom opór. Taka właśnie jest, kiedy ma coś dać od siebie.

Maurits nabrał powietrza głębiej i z mniejszym trudem, niż to robił od wielu dni. Przez chwilę wydawało mu się, że bóle i skurcze ustały.

Odchylił głowę do tyłu i znów spróbował otworzyć oczy, ale również tym razem się nie udało.

Siedział więc tak z otwartymi ustami i odchyloną głową; wtedy usłyszał, że liczy.

Zdziwił się. Co to za złowróżbne sygnały próbuje mu tak natarczywie podsunąć jego podświadomość?

Siedział przez chwilę, wstrzymując oddech, i wtedy do niego dotarło. Dlaczego miałyby im pomagać w odpowiadaniu na pytania w mejlu do Victorii? Może chcieli udowodnić, że rzeczywiście go przetrzymują?

„Nonsens” – pomyślał. Wtedy zrobiliby mu po prostu zdjęcie z pierwszą stroną jakiejś gazety. Przecież tak się zawsze postępuje w przypadku porwań.

Maurits zamknął usta, głowa opadła mu na piersi.

I znów zaczął liczyć, podczas gdy winda po drugiej stronie pomieszczenia powoli zbliżała się na jego piętro.

– Jeden, dwa, trzy, cztery...

Środa, 23 grudnia 2020

CARL

– Carl, obudź się, muszę zmienić Rose. Już siódma.

Mørck uniósł głowę z poduszki i poczuł, że poszewka klei mu się do kącika ust. Próbował się obrócić, ale biodro zaprotestowało po nocy spędzonej na betonowej podłodze.

– Nożeż kurwa – brzmiały zatem pierwsze słowa, które tego dnia padły z jego ust.

– Chyba bardzo dobrze się panu spało, wnioskując z chrapania – rozległ się cienki głosik.

Ze stanu, w którym był wolny od wszystkiego: od chłodu, od oskarżeń, od tej zarazy, w której ich wszystkich uwięził covid, poczucie rzeczywistości wybiło go tak silnym ciosem, że jeszcze żadnego poranka w życiu nie czuł się tak zmęczony, obolały i nieswój jak teraz.

– Czy mi się dobrze spało? – spytał ze zdziwieniem, próbując skupić się na obiekcie, którym Laura machała mu przed nosem.

– Zaparzył ją Assad – powiedziała z uśmiechem w głosie, a zapach kawy pobudził nozdrza Carla.

– Nie jest za mocna, Carl, możesz pić spokojnie – odezwał się w drzwiach Assad, który właśnie wkładał buty.

Mørck kiwnął głową, oparł się na łokciach i przyjął kubek.

– Słodzona? – spytał ostrożnie.

– Tylko troszeczkę – brzmiała przekonująca odpowiedź.

Wziął więc łyk, który milisekundę później dotarł do jego podniebienia z siłą młota, i ścisnęło mu się gardło. Carl zaniósł się kaszlem, stanowiącym wyzwanie dla jego mięśni brzucha.

– Dobra, prawda? – odezwał się Assad, kiedy jego szef próbował odzyskać oddech. Jeszcze nigdy nie miał w ustach tak cholernie mocnej i słodkiej kawy, jak ta brązowa substancja, w której wypicie dał się wmanewrować.

– Tak, cudownie pobudza – ciągnął Assad, wkładając kurtkę i zamykając za sobą drzwi.

– Zostaliśmy tylko my dwoje – powiedziała Laura. – Mama pojechała do kancelarii adwokackiej i zabrała ze sobą moją siostrę.



Podawała mu miseczkę, której zawartości Carl nie był w stanie odgadnąć.

– Ulubiony kefir mamy – wyjaśniła dziewczyna, niemal gotowa, by go nim nakarmić.

Poszukiwanie nagrań wideo z Sisle Park nie przynosiło wymiernych rezultatów. Kobieta nader rzadko występowała publicznie i zazwyczaj ograniczała się do krótkich wypowiedzi na tematy tak ogólne, że nic nie można było z nich wywnioskować. Zawsze dobrze ubrana, w czarne garnitury i białe koszule; dzięki krótko przystrzyżonym włosom nie było mowy o żadnych niesfornych kosmykach. Jej wygląd sprawiał wrażenie kontrolowanego i neutralnego, podobnie jak jej sposób bycia i wypowiedzi. Ogólnie rzecz biorąc, zachowywała image kobiety, której nikt nigdy nie podejrzewałby o popełnienie odrażających zbrodni.

Gdzie więc tkwią jej słabości, co nimi jest? Gdzie jest ów niedopięty guzik, przez który przeziara jej prawdziwe ja?

– Widziałam już tę panią – rozległo się za jego plecami.

Carl odwrócił się raptownie. Tym razem nie słyszał, gdy Laura van Bierbek wślizgnęła się do gabinetu.

– Widziałas? Co masz na myśli, Lauro? – spytał.

Dziewczyna wskazała na ekran.

– Była tu któregoś dnia, kiedy tata był w pracy. Mówiła, że zapomniał wziąć z domu jakiś ważny dokument i że ją po niego przysłał, by mu go przywiozła do gabinetu w mieście.

Carl ściągnął brwi. O czym, do licha, mówi ta dziewczyna?

– Kiedy to było, Lauro?

– Dawno, wydaje mi się, że tuż po wakacjach.

– Wpuściłaś ją?

– Całkiem obcą osobę?! Oczywiście, że nie. Powiedziałam, że najpierw zadzwonię do taty i zapytam, czy mogę.

– Mądrze, Lauro. I co ona zrobiła?

– Cofnęła się o krok, jeszcze raz spojrzała na tabliczkę z nazwiskiem na drzwiach i przeprosiła, że trafiła pod niewłaściwy adres. Że niby miała pójść do domu sąsiadów.

– I co, poszła tam?

– Patrzyłam przez okno i nie, nie poszła. Po prostu sobie pojechała. Wtedy zadzwoniłam do taty, a on nie wiedział, o czym mówię. W każdym razie nikogo nie prosił o przywiezienie czegokolwiek.

– Jak myślisz, czego ona chciała?

– Pomyślałam, że to złodziejka, tata zresztą też. Stojąc w drzwiach, rozglądała się na wszystkie strony. Jakby chciała sprawdzić, czy mamy kamery monitoringu i tak

dalej.

– Wiadomo, że macie. W takim domu to nic dziwnego.

– Właśnie. Tamtego wieczora przejrzelśmy z tatą nagrania, żeby tata sprawdził, jak ona wygląda, ale nie było na nich widać jej twarzy, a samochód zaparkowała tak, że właściwie się nie załapał. W każdym razie miała dłuższe i ciemniejsze włosy niż tutaj na ekranie.

Carl kiwnął głową. Nie ulega wątpliwości, że Sisle Park chciała sprawdzić kamery w domu i na zewnątrz.

– Pomyśleliście, że ona może wrócić, by coś ukraść?

– Tak, ale tata stwierdził, że może sobie próbować i że dobrze się to dla niej nie skończy. – Laura wskazała na zastygły obraz na ekranie. – Kim ona właściwie jest?

– Nie wiemy do końca, ale się dowiemy. Pokazałabyś mi nagranie z jej odwiedzin? Pewnie je gdzieś przechowujecie.

Dziewczyna się uśmiechnęła i wyjaśniła, że pewnie nie mają takich starych nagrań, ale że to sprawdzi.

„Kim ona jest?” – spytała dziewczyna. Uzyskanie odpowiedzi właśnie na to pytanie było przecież najbardziej palące. Tylko kogo o to spytać? Jej pracowników? Carla aż ciarki przeszły na myśl, że miałby maglować tych typków, których widział w jej firmie. Zapewne raczej odrąbaliby mu głowę, niż pozwolili wściubiać nos w sprawy ich szefowej. Dzwonił już na Wydział Chemii, gdzie kiedyś studiowała, a gdy nikt nie odbierał, obdzwonił kilka osób noszących to niecodzienne nazwisko, ale nikt nic nie wiedział ani o Sisle, ani o Lisbeth Park.

Już któryś raz tego dnia Carl doświadczył impasu, w jakim się znaleźli. Było to okropne uczucie. Od dwudziestego szóstego grudnia dzieliły ich tylko trzy dni, a prawie wszystko wskazywało na to, że jedyną realną szansą na udaremnienie zabójstwa Mauritsa van Bierbeka jest zneutralizowanie Sisle Park. Tylko jak tego dokonać zgodnie z literą prawa? Nie mogli tak po prostu wtargnąć do jej domu i aresztować jej, nie posiadając mocnych dowodów. Nie mogli też jej porwać i odczekać, ile należało. Zresztą kto wie, czy ona w ogóle zamierzała osobiście uczestniczyć w zabójstwie? Kiedy Carl pomyślał o morderstwie Pii Laugesen, którą siłą przytrzymał pod wodą w basenie, dopóki się nie utopiła, jakoś trudno mu było uwierzyć, że taka wysoka, dość szczupła osoba jak Sisle Park dałaby radę stawić czoła tak silnej i masywnej kobiecie jak Pia Laugesen.

A gdyby na miejscu miał być ktoś trzeci, jak mają się domyślić tożsamości tego człowieka i jakim sposobem delikwent tak zbliżył się do Sisle Park, że stał się współsprawcą?

Palle Rasmussen scharakteryzował Sisle Park jako żalostną cipę, stalkerkę, kretynkę i pokrytą bliznami maciorę, co nie brzmiało pochlebnie, choć oczywiście pomylił się, nazywając ją kretynką. A co z pozostałymi określeniami? Czy mogą im pomóc poczynić postępy w sprawie?

Facet napisał to dwadzieścia lat temu, więc oczywiście musiała się przez ten czas zmienić, ale może właśnie w okresie poprzedzającym skrytykowanie się obecnej osobowości należy szukać przyczyny jej obłądu?

Carl wpatrywał się w jej krótkie CV. Sisle została ochrzczona jako Lisbeth Park; oczywiście szukali tego imienia z „h” na końcu i bez niego, trafiając niestety w liczne ślepe zaułki. Pomimo charakterystycznego nazwiska żaden z profili znalezionych kobiet nie pasował do Sisle, którą znali.

„Dlaczego młoda osoba zaraz po studiach ląduje w Republice Południowej Afryki i zostaje tam tak długo? – pomyślał. – Jakie związki łączą ją z tym krajem? Czy w RPA prowadzono aż tak zaawansowane badania w specjalności Sisle, czy może kobieta przed czymś uciekała?”

W jej przypadku wszystko wchodziło w rachubę. A jednak Carl nie posiadał się ze zdumienia, że ruszyła prosto w paszczę lwa, by sprawdzić rozmieszczenie kamer monitorujących dom rodzinny Bierbeków. Wprawdzie w stroju, z którym normalnie nikt by jej nie skojarzył, i do tego w peruce, ale czujne spojrzenie czternastolatki potrafi sprawić, że wszystkie próby kamuflażu spełzają na niczym.

Może była to podpowiedź, by Carl, tak jak ona, też się przebrał, by móc wyjść na ulicę i sprawdzić kilka rzeczy.

Wstał więc i przejrzał się w lustrze wiszącym w korytarzu pod gabinetem Mauritsa van Bierbeka. Nie spodziewał się zobaczyć niczego szczególnego, ale jednak widok wymiętego starszego pana o rozczochranych, przerzedzonych włosach nie nastrajał optymistycznie. Do tego z upływem czasu jego włosy zaczęły siwieć, i to nie w sposób przywodzący na myśl George’a Clooneya.

– Lauro! – zawołał kilkakrotnie, nim dziewczyna się zjawiła, trzymając w wyciągniętej ręce kartkę. – Co to jest? – spytał, jakby jeszcze nie wiedział.

„29 sierpnia 2020, godz. 13.32” – głosił napis w rogu na niewyraźnym, kolorowym wydruku z kamer w dniu, w którym Sisle Park złożyła Bierbekom niezapowiedzianą wizytę.

– Przykro mi, ale widać tylko dach jej samochodu i kawałek jej samej. Ten fragment jest najostrzejszy z całego nagrania. I niech pan zobaczy, dobrze pamiętałam, że na nagraniu ona miała długie brązowe włosy, na bank perukę.

Carl mruknął pod nosem. Samochód wyglądał na kilkuletni i oprócz żółtego koloru jego jedynym wyróżniającym elementem był bagażnik dachowy, jaki można kupić za

grosze w sieci sklepów Harald Nyborg.

– Dzięki, Lauro, super się spisałaś. – Mørck wytarł usta i obdarzył ją przymilnym spojrzeniem, jakby nagle została jego najlepszą przyjaciółką. – Nie masz przypadkiem telefonu komórkowego, który mogłabyś mi pożyczyć na kilka dni?

– Yyy, mam tylko swój własny.

– Dobrze, może być!

Odskoczyła do tyłu jak oparzona.

– O co panu chodzi, przecież nie mogę się obejść bez telefonu, a już na pewno nie teraz!

– Nie możesz skorzystać ze stacjonarnego, jak będziesz chciała porozmawiać z przyjaciółkami?

– Nie o to chodzi. – Spojrzała na niego z rezygnacją, jakby nigdy nie słyszała o SMS-ach, mejlach, Twitterze, Facebooku, Instagramie, YouTube, TikToku i Snapchacie.

– To może go wypożyczę, tylko do drugiego dnia świąt.

Laura zagryzła policzek.

– W takim razie pięćset koron dziennie!

Carl kilkakrotnie przełknął ślinę.

– Myślałem, że może pięćset za całość.

Znów spojrzała na niego jak na idiotę.

– Wiesz może, czy macie w domu coś do farbowania włosów? I czy ubrania twojego taty będą na mnie pasować? Muszę się gdzieś wybrać, a bardzo nie chciałbym zostać rozpoznany w tym niebezpiecznym świecie.

Godzinę później do gabinetu weszła zmęczona Rose z oczami zaczerwienionymi po nocnej zmianie. Ledwie zdążyła zrzucić wierzchnią odzież na podłogę i klapnąć na kanapę, jej wzrok spoczął na Carlu.

– Co, do kurwy nędzy! – wymknęło jej się.

Carl się tego spodziewał. De facto sam doznał szoku, gdy splukawszy resztki farby do włosów podarowanej mu przez Laurę, stanął twarzą w twarz z rudym mężczyzną, którego sponiewierane włosy w geście protestu przeciw tak barbarzyńskiemu potraktowaniu sterczały dramatycznie we wszystkie strony.

– Tej farby mama ostatnio nie używała – stwierdziła dziewczyna nieco za późno.

Carl o mało nie zemdlął.

Niezwykłego image'u dopełniały przyniesione przez Laurę staromodny garnitur, krawat, biała koszula i buty z rodzaju tych, które ojciec Carla określiłby „kopenhaskimi pizdusiami”.

– Dobrze pan wygląda – pocieszyła go dziewczyna.

– Udało się – mruknęła Rose. – W najmniejszym stopniu nie przypominasz siebie. Ogólnie wyglądasz jak coś, czego jeszcze nigdy nie widziałam, na szczęście. Co ty kombinujesz?

– Dzięki za zaufanie – odparł Carl. – Ale muszę wyjść na zewnątrz i sprawdzić kilka rzeczy. Jak Gordon zniósł dyżur, nie zamarzył na śmierć?

– Chyba nie. – Rose ziewnęła – W każdym razie gdy przyjechałam, już go nie było.

– Okej, biedny człowiek, było naprawdę zimno. Czy w którymś momencie robiliście rozeznanie na temat studiów Sisle Park na uniwersytecie?

– Yyy, dlaczego pytasz? To by oznaczało, że najpierw wydałeś nam takie polecenie, prawda? Bo chyba to nadal ty kierujesz śledztwem i rozdzielasz zadania?

– Czyli nic takiego nie robiliście?

Pokręciła głową i przykryła się kołdrą. Carl mógł równie dobrze przespać się na kanapie, a nie na tej twardej jak kamień podłodze. Rose wcale niczego nie sprawdzała.

Potem Laura wskazała na nie do końca niepozorną alfę romeo, stojącą nieco na uboczu w gigantycznym garażu.

– Nikt jej nie będzie potrzebował – stwierdziła. – Tata dał ją mamie pięć lat temu i jego mechanik pilnuje cały czas, żeby była na chodzie, ale odkąd pamiętam, mama prawie nigdy nie jeździ ani alfą, ani żadnym innym samochodem. „Po co komu prawo jazdy, skoro można zadzwonić po taksówkę” – mówi. I dobrze, bo zawsze ma lekko w czubie.

Carl wsiadł do bryki, choć siedzenie umieszczone tak blisko asfaltu stanowiło pewne wyzwanie dla jego obolałego biodra, i pół godziny później zaparkował na Universitetsparken 5 pod Wydziałem Chemii. Sisle Park uczyła się tu przed ponad trzydziestu pięciu laty, więc nie mógł się spodziewać, że zastanie tu kogoś z tamtych czasów, kto ją znał, ale może mu się poszczęści i jakaś bystra głowa wyszpera coś w uczelnianych annałach.

Drzwi wejściowe były otwarte, ale puste korytarze nie wyglądały zachęcająco. Nie dość, że panował lockdown, to jeszcze trwały ferie przedświąteczne, więc wszystko w tym miejscu tchnęło długotrwałą nieobecnością studentów i, co tu ukrywać, innych osób. „Jak społeczeństwo może się dalej rozwijać, skoro wszystko jest tak hermetycznie zamykane?” – pomyślał, zaglądając do jednego laboratorium po drugim, w których kolby, probówki i stalowe zlewy lśniły, jakby nigdy ich nie używano. W powietrzu unosił się nieokreślony zapach metalu i chemikaliów, przywodzący Carlowi na myśl czasy, kiedy w jego salonie leżał Hardy.

– Jest tu kto? – zawołał parokrotnie, ale odpowiedziało mu tylko echo. Szarpnął klamki kilkorga drzwi do pozamykanych na klucz gabinetów; nic dziwnego, że nikt nie

odbierał jego telefonów. – Kurwa – powiedział na głos. Wtedy zadzwonił telefon Laury. – Tak, Assad, co się dzieje?

– Sisle Park właśnie wyjechała spod domu. Przykro mi, ale nie zdążyłem za nią ruszyć na czas, bo kluczyk od samochodu Gordona spadł na ziemię i nie mogłem go znaleźć.

– Kurwa – powtórzył Carl. Dziś ma naprawdę pod górkę.

– Mam sprawdzić, jak wejść do domu?

– Pytasz, czy możesz się do niego włamać?

– Yyy, coś w tym stylu.

– Odradzam, Assad, na pewno wszędzie zainstalowała alarmy. Ani się obejrzysz, a otoczy cię kilku gniewnych panów z ochrony, a to i tak nic w porównaniu z miną Marcusa, kiedy się dowie. Możesz pokręcić się wokół domu, może coś to da, choć wątpię.

– Dobra. To zostanę tu i poczekam na jej powrót. Wsiądę do auta Gordona, by wytrzepać lód z brody. – Zaśmiał się. – Przesada sprzyja zrozumieniu – dodał. Na pewno nauczyła go tego Rose.

Gdy Assad zakończył rozmowę, Carl oparł się o ścianę w korytarzu. W tym momencie najbardziej korciło go, by stawić się w gabinecie szefa Wydziału Zabójstw i mieć to już za sobą. Wtedy mógłby scedować odpowiedzialność za los Mauritsa van Bierbeka na niego i resztę kolegów, bo co miał począć w obecnej sytuacji? Spojrzał na swoje odbicie w przeciwległej szybie. Potworne rude włosy to jedno, zrezygnowana mina to coś zupełnie innego.

– Jeśli rzucisz wszystko i zgłosisz się do Marcusa, to zabijesz Bierbeka, jesteś na to gotowy? – powiedział do siebie. Laura straci ojca, a odrażającemu człowiekowi uda się dopiąć odrażającego celu. Gdyby się teraz zgłosił i odpuścił sobie tę sprawę, to Departament Q tak mocno dostałby rykoszetem, że by się nie pozbierał. Nie można też zapominać o jego własnym problemie. Bo co mieli w zanadrzu „Pies Tropiący” i jego koledzy, skoro już teraz konsekwencje są tak poważne?

Uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze. Farbę do włosów da się splukać. Kilka godzin snu w łóżku Rose tej nocy na pewno zlikwiduje worki pod oczami. Teraz trzeba tylko wziąć się w garść i pokazać całej tej zgrai, jak mieszkaniec Vendsyssel z Brønderslev wykazuje się determinacją i stąpa twardo po ziemi. Zaśmiał się z zadęcia i lokalnego patriotyzmu swojego ojca.

Potem odwrócił się w stronę przeciwległej ściany korytarza i wrzasnął na całe gardło:

– Jest tu kto?!

Gwizdnął też ogłuszająco, jak go nauczono w Szkole Policyjnej.

Na którymś z bocznych korytarzy rozległ się metaliczny szcęk energicznie otwieranych drzwi, po czym Carl usłyszał odgłos zbliżających się szybkich kroków. Po kilku sekundach zobaczył wyprostowaną, ciemnowłosą kobietę, której mina wyrażała jednocześnie odrazę i wściekłość.

– Jak pan się tu dostał, do cholery? – spytała, ściskając telefon komórkowy, jakby zamierzała wezwać posiłki.

– Wszedłem drzwiami, które nie są zamknięte na klucz. – Wskazał na jeden z bocznych korytarzy, nie wiedząc nawet, czy właśnie stamtąd przyszedł.

– Proszę więc, by szybko pan nimi wyszedł – powiedziała, mierząc wzrokiem jego efekt nieudanego farbowania włosów i przesadnie elegancki strój. – Nie ma pan tu czego szukać.

Yes – pomyślał. Tak handryczyć się może tylko pracownik administracyjny. Kobieta emanowała wręcz przekonaniem, że ma we władaniu cały wydział, więc należało tylko dobrze rozegrać tę partyjkę.

– Ma pani rację, powinienem wyjść. Nie jestem studentem ani wykładowcą, nie przychodzę z Ministerstwa Szkolnictwa ani z tak zwanych bezstronnych usług konsultingowych, by przeanalizować prowadzenie i efektywność tego miejsca. Dysponuję jedynie tym.

Wyjął z kieszeni przestarzały identyfikator policyjny i podsunął jej pod sam nos, by nie umknął jej nawet najmniejszy piksel.

Przekrzywiła głowę, nie odrywając oczu od dokumentu. Słowo POLICJA miało to do siebie, że paraliżowało ludzi w cudownie osobliwy sposób.

– Sprawa jako taka nie jest poważna, ale pilnie potrzebuję pewnych informacji – ciągnął. – Przykro mi, że zakłócam przedświąteczną atmosferę, ale jak pani zapewne rozumie, policja nie wie, co to ferie i święta. Niestety taki nasz los.

Postarał się o odpowiednio zboląłą minę, jakby w domu czekało na niego kilkoro płaczących dzieci niemogących się doczekać powrotu ojca.

Podał jej łokieć w covidowym geście powitania.

– Podkomisarz kryminalny Carl Mørck, przepraszam, że się nie przedstawiłem.

Z wahaniem zgięła łokieć i odwzajemniła pozdrowienie.

– Tatjana Kuzlovski Kristensen – powiedziała, próbując ukryć niechęć. – O co chodzi?

– Właśnie w tym problem. Potrzebuję informacji o osobie, która ukończyła studia w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, nawiasem mówiąc, z wyróżnieniem.

Kobieta uśmiechnęła się nieco zbyt szeroko.

– Tak, zdaję sobie sprawę z tego, że to dawno temu, zbyt dawno, prawda?

Skinęła głową z niezmiennym wyrazem twarzy.

– Ma pan świadomość faktu, że to trzydzieści jeden lat temu?

– Owszem, nie jest to najtrudniejszy rachunek pod słońcem. To co mam robić?

– Może na początek nie wdzierać się na cały wydział, skoro wszyscy zostali wysłani do domu?

– Mają państwo jakieś archiwa?

– Oczywiście – odparła. – Ale ja nie mam z nimi nic wspólnego. Może lepiej porozmawiać z kimś, kto tu wtedy był? Studentkę kończącą studia z wyróżnieniem stary wykładowca powinien pamiętać.

– Gdzie takiego znajdę?

Lokum, którego adres mu podała, nie należało do najpiękniejszych, ale chyba zadowalało prawie dziewięćdziesięcioletniego wdowca, który ostatnich dziesięć lat spędził w domu spokojnej starości. Tu, na dwunastu metrach kwadratowych, mieścił się cały świat Torbena Clausena. Łóżko, regał z literaturą fachową, fotel obity liliowym welurem i sporo innych rupieci z minionych czasów. Pokój nie różnił się specjalnie od tego, który przez wszystkie lata pracy Carla w Departamencie Q zamieszkiwała jego równie sędziwa eksteściowa, Karla Alsing.

Torben Clausen spojrzał na niego oczami tak przesłoniętymi zaćmą, że staruszek z pewnością nie odróżniał otaczających go przedmiotów. Zmarszczki okalające niewidzące oczy świadczyły o tym, że życie go nie rozpieszczało.

– Pan podkomisarz policji, patrzcie państwo – powtórzył trzy- czy czterokrotnie, jakby chciał się oswoić z wizytą. – Nieczęsto człowieka odwiedzają osoby takiego formatu. – Jego sztuczna szczęka zagrzechotała, gdy zaśmiał się cicho. – Cóż, właściwie to nie odwiedza mnie nikt żadnego formatu.

Carl z miejsca przeszedł do rzeczy.

– Pamięta pan może studentkę Lisbeth Park? Ukończyła z wyróżnieniem studia na Wydziale Chemii w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku. Wykładał pan tam wtedy, więc może...

Niedowidzące oczy zaczęły błędzić po pomieszczeniu, jakby szukały punktu oparcia.

– Myślałem, że może pan...

Mężczyzna odwrócił głowę do okna i szare światło oblało mu twarz.

– Tak, była zdolna. Zdolna i tajemnicza dla każdego bez wyjątku. Pamiętam ją aż zbyt dobrze.

– Zbyt dobrze?

– Była jedyną osobą z mojej tak zwanej elitarniej grupy, która przeżyła rażenie piorunem w osiemdziesiątym drugim.



– Co takiego? Rażenie piorunem? Jako jedyna? Co to znaczy?

– Młody człowieku, przecież mówię wyraźnie. W Fælledparken naprzeciwko budynku wydziału piorun uderzył w siedmioro studentów. – Dolna warga starszego pana zaczęła niespodziewanie drżeć. – Och – jęknął, z trudem łapiąc powietrze. – Już dawno o tym nie myślałem, więc nie sądziłem, że wciąż mnie to tak mocno poruszy.

Otarł niewidzące oczy.

Carl skinął głową, próbując sięgnąć pamięcią do tamtych czasów. Choć taki wypadek musiał być spektakularny, to go sobie nie przypominał, ale miał wtedy tylko siedemnaście lat i zupełnie inne sprawy na głowie.

Przez minutę czy dwie siedzieli w ciszy, aż starszy pan odzyskał kontrolę nad oddechem.

– Proszę zrozumieć, to była moja wina. To ja zaproponowałem przeprowadzenie wykładu na zewnątrz, niech mi Bóg wybaczy. – Staruszek znów się popłakał. – Nagle niebo pociemniało, a ja nawet nie zdążyłem unieść wzroku, gdy oślepiła nas pierwsza błyskawica. Zbagatelizowałem to, a że moi studenci właśnie zaczęli się bardzo kłócić, krzyczeć i wyrzekać, to skupiłem się właśnie na nich. Cóż, uściślając, właściwie tylko Lisbeth Park tak się zaperzyła. Była bezdyskusyjnie najzdolniejsza w całej grupie i oskarżała innych o kradzież jej notatek. Mówiła też coś o tym, że ją szykanowali, i chyba o tym, że któreś z nich rzekomo ją oszukało, ale tego ostatniego nie jestem pewien. Była rozjuszona, ale reszta studentów się z niej śmiała. Znajdowałem się w pewnej odległości od nich i już się zabierałem, by zainterweniować, gdy całe niebo się rozświetliło i rozległ się tak ogłuszający grzmot, że o mało nie popękały mi bębenki. Lunął też deszcz, więc pamiętam tylko, że leżę w wodzie i widzę za sobą ciała martwych, osmalonych studentów leżące w kręgu w kraterze stworzonym przez piorun. Doznałem wtedy szoku tak silnego, że wraca to do mnie po nocach, choć minęło już tyle czasu.

– A Lisbeth Park?

– Przeżyła, nie wiem jakim cudem. Dowiedziałem się, że przy uderzeniu pioruna odrzuciło ją kawałek dalej.

– Co się z nią stało?

– Nie wiem dokładnie, bo przez kilka lat jej nie było, a potem wróciła i dokończyła pisanie pracy. Jak pan wie, z wyróżnieniem. Przebywała między innymi w RPA, w każdym razie po powrocie potrafiła mnóstwo rzeczy, których się u nas nie nauczyła.

– Mówi pan, że została oszukana przez innych studentów?

– Tak, kiedy tak rozmawiamy, to przypominam sobie, że raz po raz oskarżała kolegów o kradzież jej analiz i zadań. Próby konfrontacji z nimi skutkowały tylko kpinami i zaprzeczaniem. Wiem o tym, bo ona skarżyła się nawet dyrektorowi

instytutu. Może w wyniku tych oskarżeń reszta studentów ją szykanowała, może wykluczyli ją z grupy. Teraz sobie przypominam, że była też sprawa z jakimś facetem, który ją wykorzystał.

– Czy pan sam ucierpiał przez rażenie piorunem?

– Nie, ale jak już mówiłem, doznałem szoku i chwilę po tym, jak Lisbeth wniesiono do karetki, dostałem ataku serca. Przepraszam, że opowiadam o tym w odwrotnej kolejności, ale ratownik z Falcka, Martin, który ją niósł do ambulansu, uratował mi życie. Jestem już stary i wkrótce i tak umrę, ale zawsze byłem temu człowiekowi głęboko wdzięczny i co roku na Boże Narodzenie wysyłam prezent jemu i jego rodzinie, dlatego on mnie też pamięta. – Starszy pan wskazał na stojący w kącie stół z białym wyłożonym kafelkami. – Podarek leży na stole, ale w czasie lockdownu i tak go nigdzie nie zabiorą.

– Nie pamięta pan, co się z nią stało zaraz po wypadku?

Pokręcił głową.

– Jakies dwa lata temu ten ratownik z Falcka przypomniał mi kilka szczegółów dotyczących wypadku. Na pewno byłby w stanie powiedzieć panu coś więcej. On też zadawał pytania, na które nie potrafiłem odpowiedzieć.

– Powiada pan, że to on uratował mu życie.

– Tak, całe szczęście, też dotarł jako pierwszy. Teraz jest już na emeryturze, ale wpadł na pomysł, by spisać swoje wspomnienia i ten epizod ma się w nich pojawić. Zrobił na nim niemałe wrażenie. Tak jak na mnie.

– Rozumiem, że ma pan jego adres?

Nim starszek odpowiedział, siedział przez chwilę, próbując zignorować obrazy w swojej głowie.

– Tak.

Wskazał na czerwony notesik leżący samotnie na jego biurku.

– Jego numer jest na pierwszej stronie. Niech pan go sam odczyta, ja już nie mogę.

Carl skinął głową.

– W takim razie może osobiście zaniósę mu prezent?

Wtedy pierwszy raz podczas odwiedzin starszy pan się uśmiechnął.

Wtorek, 22 grudnia i środa, 23 grudnia 2020

### SISLE

Za kogo oni ją mają? Żeby tak po prostu brać się do obserwacji jej domu, myśląc, że ona się nie zorientuje? Nie domyślili się, że na całej posesji zainstalowała czujniki ruchu i że to samo dotyczy okolicy? Czujniki ciepła na dachu jej domu nie tylko wychwytyją ruch w pobliżu, ale też pokazują dość wyraźne kontury sylwetek.

Przez całe popołudnie na ulicy w pewnym oddaleniu stał jasnoszary volkswagen golf nowszego rocznika. Można by zadać sobie pytanie, czy jest w tym coś dziwnego? Ale wzięwszy pod uwagę wystąpienie tego policjanta w telewizji i niemałą nagrodę za wskazanie miejsca pobytu van Bierbeka, Sisle nie mogła sobie pozwolić na przeoczenie choćby najmniejszego podejrzanego ruchu w otoczeniu własnego domu.

Późnym popołudniem dostrzegła bladego faceta i zrobiła mu kilka zdjęć, gdy krył się za drzewem i wpatrywał w jej dom. Widocznie miał mnóstwo czasu, bo pomimo zimna oraz kiepskiej pogody nie ruszył się z miejsca, nie licząc kilku minut, kiedy wsiadł do samochodu.

– Co tam, jesz sobie? – rzuciła w przestrzeń i zaczęła odmierzać czas. Dokładnie dziesięć minut później ponownie zajął pozycję za drzewem, więc pewnie dobrze zgadła.

„Kim jesteś?” – pomyślała, gdy facet wyjął aparat i skierował go w stronę budynku. Sisle odskoczyła od okna i stała przez chwilę, konferując sama ze sobą. Kto może wiedzieć coś na temat powodu tej obserwacji? Żadna z zatrudnionych przez nią pracownic nie pozostawała w związku z mężczyzną przywodzącym na myśl kościotrupa z danse macabre. Wszystkim pracownikom Park Optimizing stworzyła portfolio z danymi osobistymi, które mogły okazać się przydatne w naglącej sytuacji. Znajdowały się tam informacje o ich historii chorób, grupie krwi, stanie zdrowia, pełne CV i informacje o ich poczynaniach przed zatrudnieniem u Sisle. Poza tym portfolio zawierały też raporty Debory z okresu szkolenia, charakterystykę relacji rodzinnych pracowników, ich sytuację ekonomiczną, zdjęcia wszystkich bliskich członków rodziny i przyjaciół, zainteresowania, profile psychologiczne z zaznaczonymi mocnymi i słabszymi stronami oraz wiele więcej.

Ale na takiego chudego i wyjątkowo bladego mężczyznę nie natknęła się w żadnych z akt. Kto go w takim razie tu postawił?

Zadzwoiła do Adama, który odebrał telefon po kilku sekundach.

– Za chwilę przyślę ci zdjęcie mężczyzny, który obserwuje mój dom. Powiedz mi, czy go kojarzysz.

Po minucie oddzwonił.

– Nie, nie znam go. Sprawdzić go programem do rozpoznawania twarzy? Mogę zrobić to przez połączenie VPN, żeby wyglądało, że jestem w Stanach.

– Nie, nie rób tego. Nim się obejrzymy, ptaszek odleci, więc po prostu przyjedź tu tak szybko, jak możesz.

Zaszli go od tyłu i facet wrzasnął, gdy Adam chwycił go pod ramionami i za kark, dociskając mu głowę do klatki piersiowej

– Co robicie? – jęknął, gdy stanęła przed nim Sisle. – Puszczajcie!

– To ja się pytam – odparła Sisle. – Obserwujesz mój dom. Dlaczego to robisz i kim jesteś?

Sisle skinęła do Adama, by ten zwolnił uścisk.

– Wcale nie obserwuję twojego domu. Moja dziewczyna mieszka w sąsiednim budynku i podejrzewam, że ma innego, więc mnie puśćcie.

Sisle znów kiwnęła głową i Adam puścił chłopaka.

– Aha! Jak się nazywa twoja dziewczyna?

Jego wahanie trwało odrobinę za długo.

– Co cię to obchodzi? Kim ty w ogóle jesteś?

Sisle podeszła bliżej. Gdzie ona go widziała?

– Mogę zobaczyć jakiś dokument? – spytała.

Pozwolił sobie na drwiący uśmiech.

– Po moim trupie, nie masz prawa mnie o to prosić.

– Po twoim trupie? Da się załatwić. Co ty na to, Adamie?

To zabawne, ale bladzioch oniemiał, gdy dostał solidny cios pięścią w kark, jego niebieskie oczy poszarzały, daremnie próbując skupić się na Sisle.

– Co robicie? – wyjąkał, gdy Adam wsunął mu rękę pod kurtkę w poszukiwaniu wewnętrznej kieszeni.

– Nic tu nie ma – poinformował Adam i kontynuował przeszukiwanie.

– Powiedz mi po prostu, kim jesteś, a może ci się upiecze.

Wyglądało na to, że skołowany chłopak spuścił z tonu. Wciąż nie chciał odpowiedzieć, ale jednak nie potrafił ukryć strachu przed kolejnymi ciosami.

– Jeśli nam nie pomożesz, to może zabołec. Widzisz, nie życzę sobie, by ktoś mnie obserwował, gdy nie wiem, kim jest i dlaczego to robi. Bić dalej?

Pokręcił głową.

– Nie wiem, dlaczego myślisz, że cię szpieguję, przecież ja tylko...

Adam znów uderzył, tym razem dużo mocniej.

Adam położył nieprzytomnego mężczyznę na kozetce pod ścianą sypialni Sisle i unieruchomił go plastikowymi zaciskami w ten sposób, że skrępowane na plecach ręce przytwierdził dodatkowo do paska od spodni.

Znaleźli jego dowód rejestracyjny w schowku w aucie, a pod siedzeniem leżał też jego portfel z informacjami znacznie bardziej złowróżbnymi, niż mieli ochotę przyznać.

– Niech to szlag, Sisle, to policjant – powiedział Adam, gdy wszedł do domu z papierami w ręku. – Nie możesz go tu przetrzymywać, musi stąd zniknąć w ten czy inny sposób.

Sisle przyjrzała się jego identyfikatorowi. „Gordon Taylor, prawnik i inspektor policji” – głosił napis.

Wygooglowała jego nazwisko na iPhone; było tak, jak sądziła. Na wielu zdjęciach stał obok swojego szefa, Carla Mørcka, a im bardziej Sisle się zagłębiała w archiwa fotograficzne, tym więcej znajdowała zdjęć całego Departamentu Q, składającego się z zaledwie czterech osób. Dość przerażające, wzięwszy pod uwagę skuteczność wydziału i liczbę rozwiązanych spraw.

Wydrukowała kilka zdjęć i położyła na biurku.

– Nie podoba mi się to – oświadczył Adam. – Carl Mørck zidentyfikował cię jako porywaczkę Mauritsa van Bierbeka, Sisle, masz tego świadomość? Mówiąc więc zupełnie poważnie, uważam, że dla całej naszej trójki ryzyko wzrosło dramatycznie. Nie lepiej zabić Mauritsa van Bierbeka i tego tu, a potem zrobić sobie dłuższą przerwę?

Sisle zmrużyła oczy.

– Jeśli dobrze pamiętam, to jeszcze nie tak dawno próbowałam wbić do głowy tobie i Deborze, że nie zamierzam zmieniać planów. Jeśli chodzi o Gordona Taylora, to muszę się przekonać, czy jego obecność tutaj nie może się nam jakoś przydać. Docelowo możemy zrobić z nim, co nam się podoba, ale Maurits Bierbek musi poczekać do urodzin Mao w drugi dzień świąt, rozumiałeś?

– A co z nim? Jak myślisz, co zrobi Carl Mørck, jak się zorientuje, że gość nie wrócił? Jeśli po prostu rozplynie się w powietrzu, to Mørck wedrze ci się do domu, a tego byś chyba nie chciała?

– Niechby spróbował. Ten gość zniknie stąd jutro rano.

– Jak?

– Będzie mógł przesiedzieć kolejnych parę dni z van Bierbkiem, prawda?

Adam tak mocno zmarszczył brwi, że jego wykrzywiona twarz niemal się naprostowała.

Sisle podała policjantowi zastrzyk, więc przez pierwsze godziny na pewno nie odzyska przytomności. Będzie miała trochę spokoju, szczególnie teraz, kiedy Adam pojechał już do domu – burkliwy, krnąbrny i niezadowolony, że nie dano mu dojść do głosu.

Jeszcze kilka takich zgrzytów między nimi, a zaczną dostrzegać plusy zakończenia ich współpracy. Zaraz po Nowym Roku, po wdrożeniu nowych rozwiązań, jej pełnomocniczki i zauszniczki będą prezentowały sobą znacznie wyższy poziom niż rekrutki, werbowane od kilku ostatnich lat przez Deborę. Wielu z nich Sisle właściwie już nie potrzebowała. A kiedy spjrzała na własną organizację, to była w stanie wskazać co najmniej czterdzieści odpowiednich kandydatek, którym w ciągu kilku dekad można by powierzyć własne misje; jej plany i tak nie sięgały dalej. Dlatego zaraz po zabiciu Mauritsa Bierbeka misja Adama i Debory się wypełni.

Sisle usiadła w snopie światła przy biurku.

Na likwidację Mauritsa Bierbeka wszystko już gotowe. W ostatniej fazie, gdy narzędzia do jego zneutralizowania będą przygotowane, pozostanie jej tylko wydanie wyroku i sformułowanie uzasadnienia. Procedura z wygłaszaniem mowy została wdrożona dopiero w dwa tysiące szesnastym roku, gdy trzeba było zabić Franca Svendsena, ale chwilę przed wbiciem igły w jego ciało słowa uwięzły Sisle w gardle. Jego przerażone, błagalne spojrzenie i płacz sprawiły, że na chwilę ogarnęło ją godne pożałowania zwątpienie, które potrafi udaremnić nawet najlepiej przygotowaną mowę.

Dlatego gdy miał umrzeć Birger von Brandstrup, Sisle ją spisała i odczyt przebiegł gładko. Właśnie tak to miało wyglądać przy pozbawieniu życia Mauritsa Bierbeka. Kontrola i opanowanie.

Sisle się uśmiechnęła. Jej pogarda wobec tego człowieka podsuwała jej właściwe słowa, tak że mowa wręcz sama się pisała.

W okolicach północy po regale z książkami Sisle przesunął się snop światła, więc kobieta wstała od biurka i zdążyła tylko dostrzec zarys taksówki skręcającej za rogiem uliczki. Spojrzała na alejkę w stronę szarego golfa, który wciąż tam parkował; lepiej go stamtąd usunąć. „Jutro” – pomyślała i wtedy dostrzegła przy samochodzie jeszcze jedną postać, wpatrywała się w jej dom.

Na chwilę nieznajomy wyszedł z cienia i stanął w świetle lampy ulicznej, rozglądając się. Była to dość młoda kobieta, a wnioskuje z jej mowy ciała, coś ją niepokoiło. Czy to dlatego, że liczyła na spotkanie z Gordonem Taylorem?

Sisle wyjęła noktowizor i zdążyła zobaczyć twarz nieznajomej, nim ta znów pogrzyła się w mroku.

Wystarczyło przelotne spojrzenie na wydruk zdjęcia całej czwórki z Departamentu Q, żeby Sisle zidentyfikowała kobietę jako jedną z nich.

Nie ulegało wątpliwości, że są coraz bliżej.

Nazajutrz wstała o szóstej i stwierdziła, że kobieta wciąż jest na swoim stanowisku. „Masz pecha, bo nie będzie o czym raportować” – pomyślała. Zapewne wkrótce ktoś ją zastąpi.

Stało się to dokładnie o ósmej. Zgodnie z przewidywaniami Sisle pod domem pojawił się czwarty koń z departamentowego zaprzęgu. Krępy, niewysoki, śniady mężczyzna, którego natychmiast rozpoznała jako Hafeza el-Assada, stał teraz za golfem, rozprawiając z kobietą. Pewnie rozmawiali o tym, gdzie się podział Gordon Taylor, gdy trzeba go było zmienić na warcie.

Sisle się uśmiechnęła. W nocy wielokrotnie zaglądała do silnie odurzonego człowieka, zalegającego na jej kozetce niczym wyrzucony na brzeg morświn. Nie licząc regularnych, słabych westchnień przez sen, mężczyzna nie dawał absolutnie żadnych widzialnych ani słyszalnych oznak życia.

Kolejna zmiana warty przy golfie nastąpi prawdopodobnie o osiemnastej. A kiedy nie stawi się na nią Gordon Taylor, wzbudzi to niemałą wrzawę.

Droga do jej garażu wiodła przez kuchnię i pomieszczenie gospodarcze, gdzie znajdowało się wejście. Trasa od położonej na samym końcu domu sypialni Sisle prowadziła przez cztery pokoje, korytarz, kuchnię i wspomniane pomieszczenie gospodarcze, a Sisle nie była w stanie przenieść tak daleko nieprzytomnego mężczyzny, choć składał się głównie ze skóry i kości.

Pchnęła go więc mocno tak, że z hukiem spadł na gruby dywan leżący na podłodze. Wylądował na ramieniu i westchnął, tym razem głośniejszym niż wcześniej, ale wciąż nie odzyskiwał przytomności.

Sisle odsunęła na bok szlachetne dywany i pociągnęła mężczyznę przez wszystkie pomieszczenia, aż spod pach lał jej się pot. Po dotarciu do garażu była już tak zmęczona, że pięć betonowych schodków pokonała, szarpiąc dywan. Słyszała, jak kark mężczyzny uderza o kanty, ale co innego mogła zrobić?

O dziesiątej człowiek z Departamentu Q przysunął się nieco bliżej domu. „Teraz albo nigdy” – pomyślała i popędziła do garażu, otworzyła bramę i z gazem do dechy przemknęła koło śniadego mężczyzny, gdy ten z tyłkiem w górze szukał kluczyka do golfa na prawym górnym kole auta.

Nie wybierała się daleko, ale skąd mieli to wiedzieć.

Środa, 23 grudnia 2020

CARL

Emerytowany pracownik karetki Martin był posiadaczem aż trzech nazwisk i zapewne stadka dzieci, bo przed otwartymi drzwiami do kuchni w szeregowcu w Alberstlund stało co najmniej sześć sprawnych rowerków dziecięcych. Ze środka dobiegała wrzawa, więc gdy Carl zadzwonił do drzwi wejściowych, zlokalizowanych obok tych kuchennych, nie zdarzyło się absolutnie nic, bo dźwięk dzwonka został zagłuszony.

Dlatego wszedł po prostu do salonu jak nieproszony gość z prezentem w wyciągniętej ręce, a duzi i mali domownicy zastygli ze świątecznymi ozdobami w dłoniach i spojrzeli na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Przepraszam – powiedział. – Chciałbym dostarczyć tę paczkę od niejakiego Torbena Clausena dla niejakiego pana Martina. Czy to ktoś z państwa?

Jedyny prawdopodobny kandydat, czyli rosły mężczyzna w wieku sześćdziesięciu kilku lat, zszedł z krzesła, zostawiając na czubku choinki krzywo zawieszoną gwiazdę.

– To ja – powiedział, wpatrując się w twarz Carla, na której nie było maseczki. – Może pan położyć ją na stole, żebyśmy się do siebie zanadto nie zbliżali.

Carl chwycił się za dolną część twarzy.

– Przepraszam, nietrudno o tym zapomnieć – powiedział i wyjął jedną z niebieskich maseczek, które nosił w kieszeni od kilku miesięcy. – Ma pan minutkę?

Wyjął swój wysłużony identyfikator i zaprezentował, tak żeby wszyscy mieli szansę go zobaczyć. Podziałało niezawodnie. Starsze dzieci zaczęły się pchać, by zobaczyć odznakę, dorośli zaś utkwili wzrok w gospodarzu, jakby już go aresztowano.

– Wiem, że wygląda to tak, jakby było nas tu za dużo, ale wszyscy mieszkamy pod jednym dachem, więc to chyba w porządku, prawda?

Carl uśmiechnął się zza maseczki w nadziei, że mężczyzna to dostrzeże.

– Spokojnie, nie chodzi o restrykcje dotyczące zgromadzeń. Jestem tu z powodu Lisbeth Park, bo jak właśnie wyjaśnił mi Torben Clausen, pan jako pierwszy dotarł do niej po rażeniu piorunem. W związku z tym chciałbym panu zadać kilka pytań. Czy znajdzie pan parę minut?

– Jako sanitariusz i ratownik z karetki wiele w swoim czasie przeżyłem, ale tamten dzień w osiemdziesiątym drugim roku i tak był wyjątkowy. Proszę to sobie wyobrazić.



Sześć ciał, wciąż dymiących i śmierdzących jak pieczony boczek, sześć osób, które jeszcze chwilę wcześniej cieszyły się życiem, i ona, która przeżyła.

– Lisbeth Park?

Skinął głową i opowiedział w szczegółach, czego doświadczył.

– Cieszyła się, że inni nie żyją, powiada pan?

W jej przypadku taka reakcja właściwie specjalnie nie dziwiła, ale jednak budziła zaciekawienie.

– Owszem, tak powiedziała. Dokładnie jej słowa brzmiały: „jeśli mogłam to przeżyć, to z Bożą pomocą mogę przetrwać wszystko”.

Carl skinął głową. Rzeczywiście od tamtej pory nieźle jej to wychodziło, ale on pokrzykuje jej plany. Taką miał w każdym razie nadzieję.

– Torben Clausen mi powiedział, że zaczął pan pisać pamiętniki i że ten wypadek, a zwłaszcza losy Lisbeth Park, interesował pana szczególnie. Czego się pan o niej dowiedział?

Doświadczony sanitariusz uśmiechnął się krzywo.

– Byleby mi jej pan nie podebrał i nie opisał.

– Zaręczam, że tego nie zrobię. Co się stało z dziewczyną po wydarzeniach, o których pan właśnie opowiedział?

– Zawiozłem ją prosto do Szpitala Królewskiego, położonego dosłownie tuż obok. Trafiła na oddział traumatologii, a potem na neurologię. Leżała tam przez kilka dni, a potem przeniesiono ją do szpitala okręgowego w Glostrup w celu kontynuacji leczenia. Następnie trafiła na oddział psychiatryczny. Niewiele się dowiedziałem na psychiatrii, ale udało mi się z nich wydusić, że przez okres prawie dwóch lat przebywała na dobrowolnej hospitalizacji z powodu gwałtownych, irracjonalnych reakcji. Widocznie jej mózg doznał silnego wstrząsu przez ten piorun.

– Było to właściwie coś w rodzaju elektrowstrząsu, prawda?

– Dobry Boże, nie, w żadnym razie. Piorun może zawierać zarówno promienie gamma, jak i promienie rentgenowskie i mieć napięcie kilkuset milionów woltów oraz natężenie około dziesięciu tysięcy amperów. Elektrowstrząsy nie mają z tym nic wspólnego.

– To czym są?

– Czymś zupełnie innym. Normalnie używa się prądu stałego o napięciu czterystu sześćdziesięciu woltów i natężeniu ośmiu dziesiątych ampera.

– Okej. Tylko dlaczego nie zmarła, gdy strzelił w nią piorun?

Martin wzruszył ramionami.

– Stała wystarczająco daleko od miejsca rażenia. I w przeciwieństwie do ECT, to znaczy elektrowstrząsu, który trwa od piętnastu sekund do minuty, wyładowanie

pioruna trwa zaledwie jedną czwartą sekundy, o ile mi wiadomo. Gdyby strzał pioruna trwał tyle co elektrowstrząs, to najprawdopodobniej zostałyby z niej kupka popiołu.

– Rozmawiał pan ostatnio z Lisbeth Park? Zapewne pan wie, że obecnie nazywa się Sisle Park i jest liczącą się bizneswoman?

– Owszem, sporo o niej wiem, ale nie udało mi się z nią skontaktować. Kilka razy próbowałem umówić się z nią na wywiad, ale za każdym razem osoba, z którą rozmawiałem, stanowczo mi odmawiała. Wkurzające, bo przecież to ciekawe, co porabia.

„Tak, Martinie, żebyś tylko wiedział” – pomyślał Carl.

Gdy Carl zadzwonił do Centrum Psychiatrii w Glostrup, by się umówić, usłyszał, że od roku osiemdziesiątego drugiego miejsce to diametralnie się zmieniło. W czasie gdy pacjentką była tu Sisle alias Lisbeth Park, nazwa ośrodka brzmiała „Szpital Okręgu Kopenhaskiego Nordvang”, ale od tamtej pory zarówno samo miejsce, jak i podstawowe wytyczne w leczeniu psychiatrycznym, struktura kierownicza i sam szpital uległy radykalnym zmianom.

– Jeśli ma pan pytania na temat pacjentów, którzy się u nas leczyli, to musi pan przejść standardową procedurę, nim otrzyma pan dostęp do kart choroby – poinformowała go sekretarka i nie pomogło tłumaczenie, że to ważne i że chodzi o śledztwo w sprawie, która może się fatalnie skończyć, jeśli Carl nie otrzyma natychmiast pewnych informacji. – Teraz mamy przerwę świąteczną, a do tego doskwiera nam brak personelu, bo wielu pracowników posłano do domu przez COVID-19. Ale powinien pan otrzymać odpowiedź gdzieś w styczniu.

Carl próbował wzbudzić w sobie wściekłość, ale lont okazał się zbyt wilgotny. I tak na nic by się to zdało.

– Może mi pani choć podać nazwiska lekarzy, którzy tu pracowali w osiemdziesiątym drugim? Będę zobowiązany – poprosił.

– Niech pan poszuka w internecie – brzmiała odpowiedź.

Bez łaski.

Zatrzymał się na stacji benzynowej w pobliżu obwodnicy, kupił parę okularów do czytania o szklach dwie dioptrie na plusie, francuskiego hot doga i dziesięć bezalkoholowych carlsbergów nordic, po czym zaczął surfować po aż nazbyt poręcznej komórce Laury.

„Powinienem był kupić dwie i pół dioptrii” – pomyślał, mrużąc oczy. Wyszukiwanie emerytowanych psychiatrów nie było wcale łatwym zadaniem. Owszem, tych z doktoratami było na pęczki i rzeczywiście kilkoro z nich pracowało w latach osiemdziesiątych w Nordvang, ale jeśli żyli, to mieli albo prywatny numer, albo już żadnego.

„Nie będę dzwonić do Rose, by mi pomogła. Ale może do Gordona” – pomyślał i wystukał jego tymczasowy numer.

Czekał, ale telefon przełączył się na pocztę głosową, zadzwonił jeszcze raz i znów nie doczekał się odpowiedzi.

Tak po prostu zejść z dyżuru, a potem mocno zasnąć? To niepodobne do Gordona.

Carl westchnął i znów zmrużył oczy. Niewielu lekarzy z tamtego czasu zabawiło w Nordvang na dłużej, ale chyba tak to jest z tym zawodem. Awansują, zmieniają dziedzinę zainteresowań, dostają lepsze warunki pracy i znów zmieniają posadę. Nie miało to wiele wspólnego z jego realiami.

Mørck zaczął wyszukiwać pracowników niższego szczebla szpitalnej hierarchii i po półgodzinie znalazł niejaką Karen Jochumsen, która przez wiele lat pracowała w szpitalu psychiatrycznym Nordvang jako pielęgniarka oddziałowa i to, na szczęście, w interesującym go okresie. Po kilku latach dorywczych dyżurów przeszła na emeryturę i gdy Carl do niej zadzwonił, kobieta nie miała nic przeciwko odstępstwu od swojej codziennej rutyny.

– Lisbeth Park! – Jej głos przez telefon brzmiał, jakby musiała zrobić dodatkowy wdech. – Jeśli miałabym wskazać pacjenta, którego dobrze pamiętam, byłaby to właśnie ona, ale musi pan zrozumieć, że podobnie jak lekarzy, obowiązuje mnie tajemnica zawodowa i mogę się wypowiadać na temat jej choroby i leczenia jedynie za jej zgodą.

Carl się zastanowił. Uzyskanie zgody Sisle byłoby jedną z najbardziej utopijnych misji.

– Oczywiście, rozumiem. Ale może mogłaby mnie pani skierować do któregoś z jej lekarzy. Chodzi o sprawę policyjną, może to nieco pomoże?

– Hm, muszę powiedzieć, że bardzo mnie pan zaciekawił. Jeśli dostanie pan pozwolenie na wgląd do kartoteki pacjentki, może pan do mnie wrócić.

– Była pani ciekawa, co się z nią działo?

– Ależ ja dobrze wiem. Na przestrzeni lat kilka razy widziałam ją w telewizji. Imponujące, co udało się jej stworzyć. Ale też była bardzo szczególną osobą.

Słowo „bardzo” wypowiedziała z naciskiem i nutą powagi, która po części sprawiła, że jej głos się zmienił, po części zaś sugerowała, że oczekuje dalszych pytań, by móc wyjaśnić, co ma na myśli.

– Miała pani wobec niej złe przeczucia, pani Jochumsen?

Długa pauza dała mu do zrozumienia, że lada chwila pielęgniarka może puścić farbę.

– Nie wolno mi mówić o jej pobycie w Nordvang, ale jeśli mam być szczerą, to właściwie nikt na naszym oddziale jej nie rozumiał. Wiedzieliśmy, że wiele przeszła

i że przez rażenie piorunem ucierpiała bardziej, niż początkowo podejrzewaliśmy, ale powtarzam, proszę zwrócić się z tym do odpowiednich osób.

Carl zrezygnował, bo kobieta wykazywała zbyt duży profesjonalizm, by dać się zmanipulować.

– Może zechciałaby mi pani podać nazwisko lekarza, do którego mógłbym się zgłosić w sprawie wglądu w jej kartotekę?

– Mogę panu podać nawet kilka, ale mam kontakt tylko do jednego z nich, za to najważniejszego, jak się głębiej zastanowić. Nazywa się Thorleif Petersen i był wówczas ordynatorem oddziału. Przez ostatnie lata skupił się na praktyce prywatnej i okazjonalnych wykładach z psychiatrii sądowej na uniwersytecie.

Carl otrzymał adres lekarza, a że zlokalizowany był blisko siedziby Mauritsa van Bierbeka w Gammel Holte, to postawił na kontakt bezpośredni.

„Trzeba było zostać lekarzem” – pomyślał, porównując swój domek w Rønneholtparken z trzyskrzydłowym bielonym majątkiem z bezpośrednim dostępem do zagrody dla koni i otwartych, jałowych o tej porze roku pastwisk.

– Mąż jest przy islandczykach. Trzecia ścieżka na prawo, między zagrodami. Proszę mówić nieco głośniej, bo z czasem słuch mu się pogorszył – wyjaśniła jego całkowicie siwa żona, która bez problemu wcisnęłaby się w rozmiar trzydzieści sześć. Mama Carla tak nie wyglądała, co świadczyło o pewnej różnicy między dietą mieszkanki północnej Jutlandii i tej z północnej Zelandii.

Policjant spojrział na swoje buty, człapiąc po błocie. Musiał przyznać, że kilkudniowe opady są znacznie korzystniejsze dla ziemi niż dla butów, bo błocko sięgnęło cholewek, wdarło się do środka i błyskawicznie przypomniało mu o tym, jak cholernie zimnym krajem potrafi być Dania.

– Halo! – zawołał z odpowiedniej odległości na widok głowy mężczyzny wystającej nad grzbietami stadka koni czekających na przysmaki.

Zza stada wyłonił się mężczyzna o tak krzaczastych brwiach, że trudno było się skupić na czym innym. Stanął na szeroko rozstawionych nogach obutych w kalosze o nedorzecznie długich cholewkach i spojrział na Carla, jakby ten był jednym z chorych umysłowo nieszczęśników, o których nauczał.

Mørck przedstawił się parokrotnie, za każdym razem głośniej, po czym pokazał gospodarzowi swój identyfikator, co zostało skwitowane wyrażającym olśnienie uśmiechem. Ten człowiek na pewno przez wiele lat miał do czynienia z podobnymi odznakami.

Carl wyjaśnił, kto go przysłał, i otrzymał w odpowiedzi jeszcze jeden uśmiech, który wskazywał na pełną ciepłych uczuć współpracę z Karen Jochumsen.

Za to, gdy Carl wspomniał o Lisbeth Park, uśmiech ten momentalnie zniknął.

– O co chodzi? – spytał mężczyzna nagle z wrogością. Znow odwrócił się do koni, schylił się do kopyt jednego z nich i podniósł tylną nogę wierzchowca. – Niestety nabawił się ochwatu, jeśli dobrze widzę. Wie pan, co to takiego?

Carl skinął głową. Takie rzeczy wie przecież każdy, kto wychował się na wsi.

– Przykro mi, wygląda na zdrowego.

Mężczyzna się wyprostował i pogładził zwierzę po pysku i chrapach.

– Tak, to dobry koń, ale weterynarz zapewne jutro go uśpi. Szykuje się smutny dzień.

Poklepał wierzchowca po klatce piersiowej, odciągnął go od reszty stada i poprowadził do innej zagrody.

– Co z pozostałymi, też się ochwaciły?

– Mam nadzieję, że nie, ale jeśli tak, to z mojej winy.

– Pasza czy wypas? – spytał Carl.

Lekarz ściągnął brwi i w jego oczach pojawił się cień szacunku.

– Wychowałem się na wsi – uprzedził jego pytanie Carl.

– Zapraszam do środka, dziś chłodnawo. – Mężczyzna spojrzał na zabłocone buty policjanta i się uśmiechnął.

– Nie wolno mi zdradzić niczego o pacjentce ani leczeniu, chyba że nieujawnienie tych informacji narazi na szwank życie innych osób.

Carl powąchał whisky, której nalał mu Thorleif Petersen. To będzie owocna rozmowa. Następnie wyjaśnił szczegółowo, do czego dotarł Departament Q i jak wygląda obecna sytuacja porwanego Mauritsa van Bierbeka.

Z twarzy Thorleifa Petersena opadła maska profesjonalizmu.

– Uch, aż mnie ciarki przeszły – powiedział. – Muszę przyznać, że Lisbeth była chyba najgorszym przypadkiem, o jakim słyszałem. Jakie to okropne, że nie unieszkodliwiliśmy tej kobiety, zanim ją wypuściliśmy.

– Nie unieszkodliwili jej państwo? – Carl nie miał ochoty dochodzić, co lekarz miał na myśli. – Proszę mi o niej opowiedzieć. Jak pan sądzi, dlaczego się taka stała? I jakie miała słabości? Mamy tylko dwie doby na udaremnienie kolejnego zabójstwa.

– Proszę? – Mężczyzna przyłożył dłoń za uchem.

– Mamy tylko dwie doby, by uniemożliwić jej popełnienie kolejnego zabójstwa.

– Czy sędzia nie może jej powstrzymać?

– Wszystko, co na nią mamy, opiera się na przypuszczeniach i spekulacjach. Jestem pewien, że mamy rację, ale to nie wystarczy, by ją aresztować.

– Pyta pan, kim ona jest. Mogę panu powiedzieć, że przenieśliśmy ją ze szpitala okręgowego w Glostrup, a wcześniej była pacjentką na neurologii w Szpitalu Królewskim. Ci ostatni próbowali ocenić zasięg urazów, jakie odniósł jej system

nerwowy i mózg od rażenia piorunem, ale nie było się za bardzo na czym oprzeć. Można było ocenić, że pewne obszary w tkance mózgowej, stawiające najmniejszy opór, doznały szkody, ale często bywa tak, że skutki takiego wypadku ujawniają się dopiero po jakimś czasie. Dlatego nie wiemy, czy zdolności kognitywne i cechy uczuciowe uległy zmianie z tego powodu, ale na pewno była zupełnie inna niż cała reszta pacjentów. Gdy przywieziono ją do szpitala okręgowego w Glostrup w celu leczenia poparzeń, okazało się, że nosi w sobie martwy płód.

Mózg Carla próbował ułożyć w całość wszystkie elementy układanki, które przedstawił mu lekarz.

– Myślę, że ona mogła być szalona już wcześniej – podsunął Mørck, a psychiatra skinął głową.

– Zdradzę panu, że usunięcie martwego płodu dręczyło ją przez dłuższy czas. Mówiła o karze Bożej, która dotknęła ją i dziecko, bo wplątała się w związek z tym gnojkiem, który ją zapłodnił. Że on ją zdradził z inną kobietą ze studiów i że Lisbeth pragnęła, by on i pozostali studenci, z którymi się uczyła, zginęli gwałtowną śmiercią. Powtarzała, że piorun był na to odpowiedzią. I człowiek, który ją zdradził, powoli stawał się w jej oczach głównym winnym śmierci płodu.

– Pragnęła tego dziecka?

– W ogóle nie wiedziała, że jest w ciąży. Ale to nie koniec strat, jakie poniosła. Jej macica była tak uszkodzona i zajęta stanem zapalnym, że nie dało się jej uratować. Kobieta stała się bezpłodna i właśnie w takim stanie ją przyjęliśmy. Wściekłą i dyszącą żądzą zemsty. Mówiła bez przerwy o złości, Bogu i zemście. Wezwano mnie, bo koledzy z Oddziału O się obawiali, że Park może stanowić zagrożenie dla otoczenia. Rzeczywiście wykazywała taką niechęć wobec niektórych współpacjentek, że jedna z nich popełniła z jej powodu samobójstwo. Mieli więc pod pewnym względem rację.

– Pewnie w tamtym momencie nie miała na koncie żadnego przestępstwa, w tradycyjnym znaczeniu tego słowa?

Lekarz westchnął i nalał im jeszcze po szklaneczce whisky, po czym wypił swoją jednym haustem i zastanawiał się nad odpowiedzią, zasysając wargi.

– Lisbeth Park nie była hospitalizowana pod przymusem, nikt też o to nie wnosił, więc postępowała zgodnie z wolną wolą. Interpretowałem to w ten sposób, że rzeczywiście przez półtora roku przebywała u nas dobrowolnie, bo chciała wyzdrowieć i funkcjonować normalnie zarówno sama ze sobą, jak i w społeczeństwie.

– Czyli wypisała się na własne żądanie?

Potaknął.

– Powiada pan, że ile osób zabiła?

– Z premedytacją?

Lekarz potwierdził.

– Minimum dwadzieścia trzy osoby, może więcej. W wyniku jej działań straciło też życie kilkoro przypadkowych ludzi.

Thorleif Petersen ukrył twarz w dłoniach.

– To straszne, po prostu straszne. Powinniśmy byli ją powstrzymać. Powinniśmy byli się zorientować. Tylko jak?

– Myślę, że Sisle Park jest już inną osobą niż ta Lisbeth Park, którą poznaliście. Na pewno wyeksponowały się u niej takie cechy, które dają o sobie znać tylko przy określonych rytuałach. W przeciwnym razie ten Maurits van Bierbek już by nie żył, ale do zabójstw może dochodzić jedynie w urodziny zbrodniarzy i z zabójstwem zawsze musi się wiązać sól, co jest wyraźnym nawiązaniem do kary, jaką Bóg wymierzył Sodomie i Gomorze. Cały ten aspekt pseudoreligijny i metody zabójstw świadczą o silnym zrytualizowaniu. Czy to możliwe, że ona cierpi też na OCD? Chodzi mi o to, że wszystko, co robi, wskazuje na myśli i zachowania kompulsyjne.

Lekarz się wyprostował, twarz miał trupio bladą.

– Wielokrotnie o tym konferowaliśmy, rozważaliśmy też, czy nie ma cech schizofrenii, ale za każdym razem nas zwodziła, więc skupiliśmy się na jej doświadczeniach związanych z wypadkiem i z dzieckiem, które zmarło. Dzięki temu zrozumieliśmy, jakie spustoszenie może poczynić w jej przypadku depresja. Ale mogę stwierdzić na podstawie tego, co pan mówi, że cierpiała na OCD i że nadal cierpi. W świetle pańskiej opowieści postrzegam ją dziś jako schizofreniczkę z silnym zaburzeniem obsesyjno-kompulsyjnym i mnóstwem innych dolegliwości. To totalna wariatka, a proszę mi wierzyć, że te słowa nieczęsto padają z moich ust. Wszystko to plus niekontrolowane myśli kompulsyjne, które usprawiedliwia zajadłą wojną z brakiem moralności i etyki, najwyraźniej tworzy śmiertelny koktajl.

Carl skinął głową.

– Na podstawie tego, co pan o niej teraz wie, jak pan sądzi, co jest jej największą słabością?

Lekarz milczał, spoglądając przed siebie. Potem nalał sobie jeszcze jednego drinka, sprawiając wrażenie zupełnie nieobecnego duchem.

– Myśli pan, że ona przyjmuje leki na swoje dolegliwości? – spytał Carl.

Wzrok psychiatry znów skupił się na Carlu. Był nadal pełen niepokoju i smutku, ale przytomny.

– Biorąc pod uwagę wszystko, co mi pan opowiedział, mogę z niemal całkowitą pewnością stwierdzić, że ona nie przyjmuje żadnych leków. Jej działania nie uległy złagodzeniu, o czym świadczą ich stopień brutalności i skala. Oczywiście od czasu do czasu może się wyciszać, w końcu zabójstwa następują co dwa lata, ale do wyciszenia

na pewno nie dochodzi w okresie bezpośrednio poprzedzającym morderstwo. Czyli, jeśli dobrze rozumiem, również teraz. – Lekarz pochylił się do Carla. – Wspomniał pan o małym dziecku, które nieopatrznie zabiła, oraz o kwiatkach i pieniądzach, które miała posyłać jego matce. To wszystko skojarzone z faktem, że ona sama straciła dziecko i nigdy potem nie mogła już żadnego urodzić, jest jej piętą achillesową, proszę mi uwierzyć. Jeśli chce ją pan docisnąć i nią wstrząsnąć, proszę użyć tego przeciwko niej.

Carl kiwnął głową.

Wtedy zadzwonił telefon. Mørck nie rozpoznał numeru, ale coś mu mówiło, że powinien.

– Halo, mówi Carl Mørck – odebrał.

– Gordon nie wrócił na noc do domu – powiedziała Rose spanikowanym głosem. – Zniknął z dyżuru, Carl. A Assad mówi, że dziś przed południem Sisle Park pełnym gazem wyjechała od siebie z domu. Zabrała go, Carl, jestem tego pewna.



Czwartek, 24 grudnia 2020

GORDON

Ciało Gordona budziło się kawałek po kawałku. Najpierw pulsujący ból w potylicy, potem uczucie tak silnego ściskania nadgarstków i kostek, że drętwiały mu stopy i dłonie. Następnie poczuł mdłości, a jego żołądek zaczął domagać się płynów i wygodniejszej pozycji.

Otworzył oczy, wiedząc dobrze, że znalazł się w beznadziejnej sytuacji, ale i tak nie odczuwał lęku, tylko złość. Złość na własną nieostrożność i na to, że dał się tak zaskoczyć. Powinien był od razu rzucić się do ucieczki, gdy tylko poczuł, że ktoś zachodzi go od tyłu. Miał zwinne nogi i potrafił na luzie pokonać sto metrów w czternaście sekund. Dlaczego więc tego nie zrobił?

Spojrzał w górę. Powiódł wzrokiem po nagich ścianach, po stole ustawionym po drugiej stronie pomieszczenia i dostrzegł windę, taką z tych szerszych, jeśli dobrze widział. Może towarową. Uniósł głowę i zobaczył na suficie dwie szyny, ciągnące się prawie do samej ściany. Wyglądało na to, że znalazł się w hali, której niegdyś używano w celach przemysłowych. Duża odległość do sufitu sugerowała, że albo był to kiedyś magazyn, albo nim w przyszłości będzie. Gordon wyobraził sobie wózek widłowy krążący między wysokimi na cztery, pięć metrów stalowymi regałami, załadowujący palety i wjeżdżający z nimi do windy.

Szarpnął zaciskami, którymi przywiązano jego stopy do nóg krzesła, i tymi, które krępowały mu ręce za oparciem, ale trzymały tak mocno, że poczuł tylko ból.

Wtedy usłyszał dźwięk dobiegający z za jego pleców. Jakby westchnienie lub kilka niewyraźnych samogłosek wypowiedzianych cichym głosem. Próbował się odwrócić, ale plecy miał sztywne jak kołek.

– Jest tu kto? – spytał, gdy znów usłyszał westchnienie. – Au, kurwa – jęknął, testując mobilność kręgosłupa. Przy każdej próbie odwrócenia się w prawo czuł, jakby w plecy wbijał mu się nóż. Co się stało?

Zaczął kołysać się w przód i w tył, za każdym razem próbując spojrzeć w prawo.

– Słyszę, że za mną stoisz, to ty, Sisle Park?

Ale odpowiedź nie padła. W końcu odwrócił się na tyle, że kątem oka dostrzegł ciało, opadające bezwładnie w przód na krzesło, które, tak jak to jego, przytwierdzono

do podłogi. Wyglądało to dziwnie, ale nieszczęśnika jakimś sposobem przytrzymały na miejscu łańcuchy, które jakby wpełzały z jego pleców i pięły się do sufitu.

– Maurits Bierbek? – spytał, nie do końca pewny. Na pewno był to mężczyzna, bo zarost mówił sam za siebie. Podobnie jak plamy moczu widniejące z przodu na luźnych bokserkach z rozporkiem. Ale ten mężczyzna, zakuty w coś w rodzaju zbroi, nie emanował poczuciem władzy ani luksusem, a tego można się było spodziewać po Mauritsie Bierbeku. Przypominał raczej wychudzonego i bezwolnego więźnia obozu koncentracyjnego, skórę miał bladą i wysuszoną, a posklejane włosy opadały mu w strąkach na skronie. Wargi miał spękane, nogi i ręce przebarwione, klatka piersiowa ledwie się poruszała. Sekundnik na jego automatycznym roleksie się zatrzymał. Mężczyzna musiał więc siedzieć nieruchomo w tej pozycji od bardzo długiego czasu.

Ale jednak żył.

Kilka godzin później Gordon zsikał się w majtki. Przez dłuższy czas się powstrzymywał, ale doszedł do momentu, gdy było mu już wszystko jedno. Mógł krzyknąć, ale kto by go usłyszał?

Od czasów licealnych szczyił się tym, że potrafi wstrzymać oddawanie moczu dłużej niż inni, ale za to kiedy już odkręcał zaworek, potrafił sikać przez kilka minut, nim opróżnił pęcherz, budząc tym wielkie zdumienie i wesołość kolegów.

„Muszę tu siedzieć od bardzo dawna, skoro tak się stało” – pomyślał, patrząc, jak kałuża moczu rozlewa się w stronę przeciwległej ściany.

Zaatakowano go w okolicach zmiany warty w nocy na dwudziestego trzeciego grudnia. W normalnych okolicznościach potrafił powstrzymać się z oddaniem moczu przez co najmniej dobę, co by oznaczało, że pozostawał nieprzytomny przez ponad dwadzieścia cztery godziny i teraz siedział tu bezbronny w samą Wigilię. Musiało tak być, chyba że wstrzyknięto mu jakąś substancję, która zahamowałaby procesy fizjologiczne. Jaki feralny i nieszczęsny wieczór wigilijny.

Odwrócił się do Mauritsa van Bierbeka, który przez ostatnie godziny nawet nie drgnął. Zgodnie z wyliczeniami Departamentu Q zostały mu tylko dwie doby życia, co było straszne, ale co z nim samym, Gordonem? Czy miał podzielić los Bierbeka?

Gdy Gordon zdał sobie sprawę, że to możliwe, rozpłakał się. Poczł się żałośnie, bo płacz pojawił się nagle i zniecka, ale chłopak wiedział dlaczego. Oczywiście bał się śmierci, ale sam fakt, że miało się to zdarzyć teraz, kiedy musiał zmierzyć się ze smutną konstatacją, że w sferze miłosnej doznawał wyłącznie zawodów, zdawał mu się niewiarygodnie trudny i smutny. Że nigdy nie powie żadnej kobiecie, że należy do niego, i że nie usłyszy od niej takiego samego miłosnego wyznania. Że dokonują wyboru na całe życie, bez poczucia zagrożenia i zawodu.

Gordon wielokrotnie się zakochiwał. Na odległość, nie podejmując żadnych kroków, a teraz, kiedy skończył trzydzieści dwa lata, coraz trudniej mu było znaleźć dziewczynę. Kiedy widział w lustrze swoje odbicie, rozumiał dlaczego. Ileż to razy leżał w solarium, a potem konstatawał, że opalenizna w ogóle go nie chwyta? Ile razy stał przed tym samym lustrem z hantlami w rękach, stwierdzając, że bicepsy i tricepsy jakoś nie chcą się powiększać? Ktoś kiedyś powiedział, że Gordon Taylor jest przystojny, ale nie w ten sposób, który wzbudza namiętność i zakochanie na zabój.

A teraz może nigdy już tego nie doświadczy.

– Maurits! – krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił. Nie chciał być sam w tym diabelnym miejscu. Maurits musi się ocknąć i trochę mu pomóc.

Ale ten nawet się nie ruszył.

Wtedy rozległo się niskie buczenie windy po drugiej stronie pomieszczenia, a kiedy się człowiek skupił, był w stanie usłyszeć kliknięcie za każdym razem, gdy winda mijała kolejne piętra.

Gordon zaczął liczyć i dotarł do pięciu, gdy wreszcie dźwig stanął na ich kondygnacji. Czy to może znaczyć, że znajdują się pięć pięter pod ziemią? Czy też winda ruszyła z jakiejś wyższej kondygnacji? Nie słyszałyby zatem wcześniej, że jedzie w górę?

Pięć pięter pod ziemią, a teraz drzwi do windy się otworzyły.

Natychmiast rozpoznał szczupłą sylwetkę Sisle Park, za którą pokazał się gigantyczny mężczyzna. Był co najmniej dwadzieścia centymetrów wyższy od niej, a kobieta przecież do niskich nie należała. Twarz miał skrzywioną, oczy znajdowały się na różnych wysokościach. „Chyba wada wrodzona” – pomyślał Gordon. Czy to nie on powalił go w ciemności na ziemię? Im bardziej się do niego zbliżał, tym większą Gordon miał pewność. To na pewno on.

– Proszę, już się obudziłeś, Gordonie, jaka cudowna niespodzianka – powiedziała Sisle Park, zręcznie omijając kałużę sików.

Podeszła blisko i uśmiechnęła się krzywo na widok ciemnej plamy przy jego kroczu.

– Na pewno się do tego przyzwyczaisz – skomentowała. – Przywitałeś się już z kolegą? Nie ucieszył się, że cię widzi? I czy ty się ucieszyłeś, gdy się wreszcie dowiedziałeś, gdzie on się podziewał? Przecież tak intensywnie go szukaliście. Dlatego przytwierdziliśmy twoje krzesło do podłogi tak, byś mógł go widzieć, jeśli się trochę wysilisz.

Gordon zmrużył oczy, zastanawiając się, czy na nią nie splunąć, ale opanował się, widząc zbliżającego się z boku olbrzyma.

– Chyba mnie znów nie uderzysz, co? – spytał. – Bezbronnej osoby się, kurwa, nie bije. Ty, Sisle, też byś nigdy czegoś takiego nie zrobiła, prawda?

Kobieta nie zareagowała na jego uszczypliwość.

– Jako że przyprowadziliśmy cię tu wczoraj rano, zdążyliśmy sprawdzić, kim jesteś. Widzę, że pracujesz w Departamencie Q od prawie dziesięciu lat, i domyślam się, że musiałeś się zasłużyć w oczach Carla Mørcka, skoro nadal tam jesteś. Wykształcenie prawnicze, dobre stopnie, a jednak wybrałaś karierę detektywa w policji. Niecodzienna ścieżka zawodowa, muszę przyznać, ale to świadczy o tym, że jesteś wyjątkowo oddany pracy, co bardzo szanuję. Z tego samego powodu uznałam, że dostąpisz zaszczytu śledzenia sprawy Mauritsa Bierbeka do samego końca.

Może ta wiedźma oczekiwała ze strony Gordona jakiejś reakcji, ale niedoczekanie, żeby się dowiedziała, co Gordon myśli o niej samej i jej chorych pomysłach.

– Zabijemy go pojutrze o dwunastej w południe, a gdy już umrze, zabierzemy go stąd i zostawimy cię, abyś w nadziei czekał, aż twoi koledzy z Departamentu Q cię znajdą. Nie sądzę, by było to szczególnie prawdopodobne, ale zobaczymy. Zasługujesz na jakąś szansę.

Potem kiwnęła głową do olbrzyma, a ten przyniósł spod przeciwległej ściany stojak do kroplówek i powiesił na nim torebkę z tworzywa sztucznego.

– Adam, podaj mu tyle, ile da radę przyjąć – powiedziała butnie.

Czyli olbrzym miał na imię Adam. To pewnie on pomagał jej między innymi utopić Pię Laugesen. Podejrzenia Assada były więc słuszne, bo ten człowiek z łatwością dałby radę przytrzymać silną kobietę pod wodą w basenie, i to tak długo, ile było trzeba.

Wkłuł igłę od kroplówki w nadgarstek Bierbeka i po chwili mężczyzna zaczął głębiej oddychać. Wtedy Adam uderzył go w policzek, każąc mu się obudzić.

Maurits rzeczywiście się ocknął, gdy olbrzym nie przestawał go bić, coraz mocniej i mocniej.

Czwartek, 24 grudnia, wieczór wigilijny

i piątek, 25 grudnia 2020, poranek pierwszego dnia świąt

CARL

Dzień wigilijny nie należał do radosnych w prowizorycznym biurze Departamentu Q pod adresem Mauritsa van Bierbeka.

Od dłuższego czasu nie mieli żadnego kontaktu z Gordonem, więc mrozących krew w żyłach scenariuszy nie brakowało. Rose była przerażona i pełna pretensji do siebie. Dlaczego od razu nie wszczęła alarmu, gdy nie zastała Gordona na miejscu podczas zmiany warty w nocy z przedwczoraj na wczoraj? Na tej podstawie mogliby najprawdopodobniej uzyskać nakaz przeszukania domu Sisle Park, a może wtedy udałoby się ją też aresztować i unieszkodliwić. Może nawet wydusiliby z niej informację na temat miejsca przetrzymywania Mauritsa van Bierbeka. Mogli otrzymać właściwie każdą pomoc, bo w grę wchodziło uprowadzenie policjanta na służbie.

Carl czuł na sobie pełne pretensji spojrzenia Rose, zdaniem której gros odpowiedzialności za zaistniałą sytuację spoczywa właśnie na nim. Ale gdyby podnieśli alarm, należało się liczyć z konsekwencjami dla nich wszystkich, a to nie pomogłoby Gordonowi. Wręcz przeciwnie. Carl zostałby zaaresztowany, a pozostali z pewnością nie uniknęliby ostrych reprimend, które mogły nawet kosztować ich utratę pracy.

Doprawdy nieciekawy dylemat.

– Włamię się do jej domu – oświadczył Assad. – I to teraz.

– Kiedy Sisle Park się o tym dowie, nie przysłuży się to Gordonowi. A jeśli w środku nie znajdziesz dokładnego adresu miejsca, gdzie przetrzymywany jest Bierbek, ani się nie dowiesz, co się stało z Gordonem, to gdzie w tym sens?

Assad wbił wzrok w podłogę; widać było, że opadł z sił. Wszyscy opadli.

– Wysłaliście rodzinie życzenia świąteczne? – spytał Carl i otrzymał w odpowiedzi dwa ostrożne uśmiechy. On sam nie miał kontaktu z Moną, odkąd zszedł do podziemia, bo ona mu tego wręcz zakazała. Ale tęsknić, tęsknił.

– Zadzwoiłam do rodziców Gordona – odezwała się Rose. – W czasie przedświątecznym Gordon zazwyczaj sporo z nimi rozmawia, więc mogli się dziwić, że się nie odzywa. To ludzie, którzy mogliby powiadomić policję o jego zniknięciu, więc pomyślałam, że lepiej im w tym przeszkodzić. Powiedziałam więc, że stracił głowę dla

jakiejś kobiety i że mają się nie martwić, jeśli nie zadzwonił z życzeniami świątecznymi. – Rose westchnęła głęboko. – Jego mama nie spodziewała się takiej wiadomości, ale była wręcz uszczęśliwiona, aż się głupio poczułam. Wstyd mi za to, ale co miałam robić?

W zlokalizowanym piętro niżej salonie rozległy się krzyki. Nie ulegało wątpliwości, że obie córki Mauritsa van Bierbeka zmagaly się z własnymi frustracjami. Młodsza właśnie płakała, zaś jej starsza siostra Laura strofowała matkę. Ale czego można się spodziewać? Wieczór wigilijny pozbawiony był wszystkiego, co czyni go wyjątkowym. Nie było prezentów, rodziny ani taty, a ktoś musiał przecież ponosić za to winę.

– Jak macie jakieś pomysły, to mówcie – zachęcił Carl. – Musimy przemyśleć nowe opcje. Assad, szukałeś Debory, i jak?

– Niewiele z tego wynikło, Carl.

– U mnie też totalna pustka. Gordon na pewno nie jest w stanie się z nami skontaktować, inaczej już dawno by to zrobił. Nie mogę przestać o tym myśleć – powiedziała Rose cicho. – Myślicie, że ona go już zabiła?

Kiedy ostatnio widzieli u Rose szkliste oczy? Carl sobie nie przypominał.

– Nie, nie wydaje mi się. To niepodobne do Sisle Park, ona nie zabija przypadkowych ludzi, lecz ma plan, a biorąc pod uwagę wszystkie pełne i częściowe diagnozy, które można jej postawić, to możemy z dużą pewnością założyć, że od niego nie odstąpi. W pobliżu samochodu Gordona nie znaleźliśmy przecież soli, prawda?

Rose próbowała zmusić się do odczuwania ulgi, ale jej się nie udało.

– Przy porwaniu Bierbeka na podjeździe jego domu też wcale nie było soli. A w przypadku dwóch poprzednich zabójstw sól znaleziono dopiero w ciałach ofiar i ich grobach.

Zakryła sobie usta dłonią i zaczęła głęboko oddychać. Czyżby zbliżał się atak paniki?

Carl nie powinien był wspominać o soli, to bez znaczenia, Rose miała rację.

– Ale posłuchajcie, zdziwiłbym się, gdyby Sisle Park w ten czy inny sposób nie zdradziła czegoś na temat sytuacji Gordona. Jest nieobliczalna i arogancka, a jeśli zakładamy, że to ona go uwięziła, to zapewne...

– Oczywiście, że to ona – przerwała mu Rose.

– Jeśli tak, to mam nadzieję, że da nam jakoś do zrozumienia, co się stało!

– Jak ma to zrobić, skoro nasze własne komórki są powyłączane? Ona nie wie też, gdzie jesteśmy, Carl, więc nie licz na list ekspresowy. – Assad patrzył na niego wielkimi, wielbłądzimi oczami. Niestety miał rację.

Carl sięgnął za siebie i wymacał kurtkę, którą przewiesił przez oparcie sofy.

– Będę się streszczał – powiedział, wyjmując z kieszeni komórkę.

– Włączasz ją? Zwariowałeś? – Rose pokręciła głową. – Znajdujemy się na obszarze, gdzie nie brakuje masztów przesyłowych. W minutę lub półtorej namierzą ten adres, Carl, a masz to jak w banku, że tylko na to czekają. Policja narkotykowa nie narzeka na brak zasobów, gdy w grę wchodzi poważne sprawy. Jeśli chcesz coś sprawdzić, zrób to lepiej na którymś z komputerów Bierbeka.

– Chcę tylko zobaczyć, czy przyszedł od niej SMS lub mejl. To zajmie chwileczkę.

Włączył telefon i odliczał sekundy, podczas gdy zarówno Rose, jak i Assad próbowali mu wytłumaczyć, że ludzie z Komendy Głównej na pewno mają dostęp do jego mejli i zorientują się, gdzie przebywa ekipa Departamentu Q.

– Musisz się też liczyć z tym, że na pewno wysłali ci mejle z oprogramowaniem szpiegującym, więc proszę, daj spokój – powiedziała Rose, ale na nic się to zdało. Carl po prostu musiał się dowiedzieć, co słychać w jego skrzynce.

Uruchomienie komórki zajęło mu trzydzieści cennych sekund. Potem, pomimo gwałtownych protestów Rose, Carl wszedł na swoje konto mejlowe, na którym zobaczył niekończącą się listę wiadomości. Mejle od Marcusa Jacobsena, od „Psa Tropiącego” i jego ekipy, od rodziców, którzy życzyli mu wesołych świąt, i od co najmniej dziesięciu równie serdecznych członków rodziny. Jedna wiadomość od Hardy’ego, jedna od Mortena. I mnóstwo mejli od ludzi, którzy chętnie zgarnęliby dziesięć milionów i którzy uważali, że to właśnie Carl posiada tę jedną, wyjątkową wskazówkę, mogącą zdradzić, gdzie przetrzymywany jest Maurits van Bierbek.

Mørck zaczął się pocić.

– Carl, kończ natychmiast! Już! – zawołała Rose, ale Carl nie skończył.

– Otworzę tylko wiadomości, to zajmie parę sekund.

Ale to też nie była prawda. Zbyt wielu ludzi czegoś od niego chciało. Zbyt dużo okołoswiątecznych pozdrowień. Co zabawne, sporo osób się o niego martwiło. O mały włos, a wzruszyłby się.

– Carl, daj spokój! – Assad sięgnął włochatą pięścią nad Carlem i wyrwał mu telefon. Krótkie naciśnięcie i komórka została wyłączona.

– Minęły prawie trzy minuty, czy ty zupełnie zwariowałeś? Wasze pokolenie jest po prostu głupie w kwestiach internetowych. Czemu musiałeś zgrywać swoje mejle, skoro mogliśmy je przejrzeć na tamtym komputerze – strofowała go Rose. – I niby gdzie mamy spać tej nocy? Bo możesz być pewien, że znają już miejsce naszego pobytu.

Carl wstał bez słowa i zszedł na półpiętro salonu, gdzie Victoria starała się stworzyć świąteczną atmosferę. Nieszczęsna Roxan kręciła się, wieszając ozdoby bożonarodzeniowe, choć w gigantycznym pokoju niezbyt było je widać. Sztuczna

choinka z lampkami elektrycznymi zdobiła już wielki, oryginalny dywan. W innych okolicznościach człowieka kusiłoby, by zatańczyć wokół niej w towarzystwie innych.

– Przepraszam, pani Victorio, mamy problem. Przypuszczamy, że za kilka minut może się tu pojawić mnóstwo samochodów policyjnych, które nas szukają. Ale niestety, mamy brzydkie podejrzenie, że policja jest zamieszana w uprowadzenie pani męża, co więc możemy zrobić, by nas nie znaleźli?

Kobieta była, mówiąc ogólnie, zszokowana i wielokrotnie poprawiała bluzkę, nim wydukała:

– Policja?!

Widać było, jak przed jej oczyma przesuwały się urywki kiepskich amerykańskich filmów. Skorumpowana policja to najniebezpieczniejsza rzecz na świecie, wiadomo. Victorii nie mieściło się to w głowie.

Czyżby przeszarżował?

– Proszę się nie obawiać, nie jest pani na ich celowniku – mitygował.

– No tak, ale co policja miałaby zrobić Mauritsowi? Nie rozumiem.

– Proszę się teraz nad tym nie zastanawiać, potem to pani wyjaśnię. Jest tu jakieś miejsce, w którym na pewno nas nie znajdą? Musimy się liczyć z tym, że mają ze sobą psy.

Kobieta wytrzeszczyła oczy. Jak ma nabrać kogoś z psami?

Z pomocą znów ruszyła im Laura. Widać było, że słuchała uważnie i niespecjalnie wierzyła w wyjaśnienia Carla, ale uśmiechała się półgębkiem. To najfajniejsza rzecz, jaka mogła im się zdarzyć w taki kijowy wieczór wigilijny.

– Za domem pod wiatą stoi quad. Tata używa go, by śmigać po terenach zielonych. W każdym razie psy nie powinny go wywęszyć. Powiemy po prostu, że byliście tu na chwilę, by zapytać o kilka spraw.

Polecenia Carla były jednoznaczne. W ciągu czterech minut cały zespół zebrał manatki i wyszedł z domu. Gdy znaleźli się w ogrodzie za domem, czubki drzew po drugiej stronie rzędu domów zatańczyły od niebieskich, migających świateł.

– Nie będzie to Wigilia, którą będę wspominać z sentymentem – stwierdził Carl, odpalając wielkiego jak smok quada. Za plecami wisieli mu Rose i Assad, dzierżąc wszystkie pakunki.

– Ale też nigdy jej nie zapomnisz, Carl – próbował pocieszać Assad.

Gdy po kilku minutach jazdy znaleźli dyskretne miejsce w zaroślach, głęboko wśród zielonych ścieżek, Carl wyjął ze swojego samsunga kartę SIM i wraz z pozostałą dwójką zaczął przeglądać SMS-y.

– Carl, daj sobie z nimi spokój – poradziła Rose. – Bardziej prawdopodobne, że Sisle wysłała ci mejla, bo założenie praktycznie nienamierzanego konta mejlowego to



dziś pestka.

Carl westchnął. Liczba nieprzeczytanych mejli sięgała kilkuset.

– Czy ja w ogóle mogę je przeczytać, kiedy karta SIM jest wyciągnięta?

Rose skinęła głową. Znała jego ustawienia w komórce.

Mørck ponownie spojrział na liczbę mejli. Zdecydowanej większości wiadomości ich nadawcy nie opatrzyli tytułem albo, co gorsza, w jego miejscu widniało słowo, które było tytułem pierwszej wiadomości wysłanej przez nadawcę. Megawkurzające. Naprawdę wielu ludzi nigdy nie wypełniało paska tytułu, a już na pewno nie ci, których celem było dowalenie Carlowi. Tych było niestety najwięcej.

– Carl, przestań już czytać te mejle. Na pewno odsądzą cię od czci i wiary – powiedział Assad pół godziny później, wskazując na słabe niebieskie światła, które znów rozbłysły na tle ciemnego nieba, a potem się oddaliły.

Mørck skinął głową. Skoro tak wygląda smutna Wigilia z dala od domu na zupełnym zadupiu, to wolał nie myśleć, jak będzie wyglądał sylwester, gdy Carl już wyjdzie z ukrycia.

– Hej! – Rose chwyciła go za nadgarstek, by przestał skrolować. – Ten, otwórz go – poleciła, wskazując palcem.

Carl spojrział na tytuł. „Odpowiedź na Pańską prośbę”.

Mørck kliknął w wiadomość i otworzyła się strona z tekstem i zdjęciami.

W tej chwili wszyscy poczuli, jakby chwyciła ich w szpony czarna i chłodna zima. Biały obłoczek unoszący się z ust Assada zniknął, uścisk Rose na nadgarstku Carla się wzmógł, a Mørck podniósł komórkę do oczu, by zrozumieć, co takiego widzi.

Tekst był prosty:

Trzymajcie się z daleka, jeśli chcecie, by Wasz kolega żył!

Wbili spojrzenia w zdjęcia towarzyszące tekstowi.

– O Boże, nie – jęknęła Rose.

Pierwszą fotografię zrobiono zza pleców dwóch mężczyzn, siedzących każdy na swoim metalowym krześle. Jakość zdjęć była dobra, więc nie ulegało wątpliwości, że jednym z nich jest Gordon i że jego ręce przywiązane są do stalowej ramy krzesła plastikowymi zaciskami. Równie wyraźnie widać było, że druga osoba ze zdjęcia, której głowa opadła na piersi, ma na sobie coś w rodzaju pancerza przytwierdzonego łańcuchami do sufitu.

Na drugiej fotce obie osoby widać było od przodu. Gordon patrzył prosto w aparat obcym wzrokiem, pełnym nienawiści i przekory. Oczy miał zmęczone i podbiegłe krwią, ale to, co kryło się za tym spojrzeniem, powinno podlegać ocenzurowaniu.

– Na szczęście się nie poddał – odetchnęła Rose z ulgą.

Ale Carl nie podzielał jej uczuć. Choćby nie wiadomo jaką niezłomnością wykazywał się Gordon, to przecież nie on decyduje, jak to wszystko się skończy. Gdyby Carl i reszta posłuchali rozkazu Sisle Park, by trzymać się od niej z daleka, to Maurits van Bierbek za niecałe czterdzieści osiem godzin z pewnością by już nie żył. A gdyby Gordon był świadkiem jego śmierci, dlaczego Sisle miałaby pozwolić mu ujść z życiem?

Carl był pewien, że Sisle Park nie zamierzała dać im się powstrzymać. Równie pewny był tego, że Maurits van Bierbek nie będzie ostatnią osobą, którą ona zabije.

Carl przyjrzał się uważnie zdjęciom. Czy te fotografie mogą im w jakiś sposób pomóc? Powątpiewał, bo przecież Sisle Park na nich nie występowała, a tym samym brakowało im niepodważalnych dowodów, że to ona za tym wszystkim stoi. Choćby więc wiedzieli o jej poczynaniach i choćby usunęła Gordona z powierzchni ziemi, to tylko jedno mogło udaremnić jej chorą misję, a mianowicie jej śmierć. Carl miał co do tego pewność.

– Na tym małym, kiepskim ekranie nie widać zbyt wielu szczegółów, Carl. Musimy wracać do domu Bierbeków i je powiększyć najmocniej, jak się da.

– Czyli naprawdę sądzisz, że na tych fotkach znajdziesz coś, co pomoże nam ustalić ich miejsce pobytu? Sisle Park nie jest taka głupia.

Odczekali sporą część nocy, nim wgramolili się z powrotem na quad i w statecznym tempie, generując jak najmniej hałasu, pojechali z powrotem.

Przez okna tarasowe zobaczyli, że na choince wciąż palą się lampki, a na podłodze leży stosik papieru prezentowego. Jedyne dowody na to, że mimo wszystko nieco tu świętowano.

– Usłyszałam was – wyszeptała Laura przez okno na piętrze. – Możecie wejść, policja już dawno pojechała.

Wybiegła im na spotkanie i niepytana zaczęła relacjonować, co się działo podczas wizyty policji.

– Mama przez cały czas ryczała i powtarzała, że przebywaliście tu wbrew jej woli i że uciekliście na quadzie taty. Nawet jej dobrze szło, byłam w szoku. Kłamała i ryczała, i gdybym nie wiedziała, jak jest naprawdę, tobym jej uwierzyła. – Dziewczyna się zaśmiała. – Przynajmniej teraz już jej wierzę, jak mówi, że jest aktorką.

– I co zrobiła policja?

– Przewrócili cały dom do góry nogami i coś znaleźli, między innymi farbę do włosów w łazience, więc mogą wiedzieć, że zafarbował pan włosy na rudo, ale im powiedziałam, że kolor już się zmył.

Carl skinął głową. Gdyby to było możliwe, od razu by się do tego zabrał.

– Psy cały czas was czuły, ale zgubiły trop pięćdziesiąt metrów od wiaty, pod którą stał quad. Pokrywało się to z wyjaśnieniem mamy, więc jej uwierzyli i umówili się z nią, że natychmiast ma ich powiadomić, jeśli się pan tu znów zjawi.

– I co, mama to robi?

– Nie po tym, jak jej pan powiedział, że to policja może mieć coś wspólnego z uprowadzeniem taty. Nim mama poszła do łóżka, oświadczyła, że jeśli ich znów tu zobaczy, to ich zarąbie.

Laura wybuchnęła śmiechem, aż w oczach stanęły jej łzy. Pewnie dałaby wszystko, by zobaczyć tę scenę.

– Co mówili o mnie? – dopytywał Carl.

– Że jest pan niebezpieczny, że przemyca pan narkotyki i jest współwinny śmierci wielu ludzi w Danii i za granicą. I że powinno się pana schwytać, nim narobi pan więcej szkód.

Carl westchnął ciężko. Na jakich dowodach opierają te główniane zarzuty?

Duże ekrany pokazywały wiele szczegółów, których nie widać było na komórcie Carla.

Pomieszczenie, w którym znajdowali się Bierbek i Gordon, sprawiało wrażenie świeżo zaadaptowanego. Stalowe szyny na suficie lśniły nowością, biel ścian była równomierna. Na betonowej podłodze i przeciwległej ścianie nie widać było rysek ani żadnych śladów. Podwójne stalowe drzwi do windy błyszcząły.

– Może to nowe budownictwo? – rzuciła Rose.

– Tak, albo po prostu nieużywane. Jak myślicie, po co te szyny na suficie?

– Trudno powiedzieć, ale nie wydaje mi się, by pierwotnie się tam znajdowały. – Rose wskazała na zwieszające się z szyn łańcuchy. – To jej diabelski wynalazek, nie widzicie tego? Jej ofiary mogą się przemieszczać, ale na ograniczonym obszarze. Spójrzcie na śrubę w szynie, która nie pozwala więźniowi ruszyć się dalej niż na kilka kroków. To mogła być szyna kontrolowana zdalnie, używana do przewożenia paczek i towarów – zgadywała.

– Nie, nie sądzę, bo byłoby ich więcej – wydedukował Assad.

Przez dłuższy czas przyglądali się badawczo każdemu centymetrowi obu zdjęć; wszystko było widać wyraźnie. Zwisająca dolna warga Bierbeka, ciemne żyły tuż pod skórą na jego dłoniach, wymizerowane ciało i ramiona, z których biły bezsilność i rezygnacja. Siedział na krześle tego samego rodzaju co krzesło Gordona. Przemysłowa, stalowa konstrukcja, zdolna wszystko wytrzymać.

– Gdzie używa się takich krzeseł? – spytał Carl. – W jakimś warsztacie czy coś?

– Spójrz na ich nogi, przyspawano do nich małe płytki, by można było je przykręcić do podłogi. Wnioskując po rdzy, wygląda na to, że znajdowały się tam od samego

początku.

– Gdzie są potrzebne solidne krzesła, przykręcane do podłogi?

– Myślę, że w warsztacie takim jak ten Olka Dudka – stwierdził Assad. – Zadzwoń do jego brygadzysty i spytam, czy je rozpoznaje – dodał.

Kiedy Carl i Rose kontynuowali analizę zdjęcia, na którym obu mężczyzn widać było od tyłu, Assad schował się w najdalszym kącie gabinetu, by zadzwonić.

– Co tu jeszcze widzimy, Rose? – spytał Carl.

– To winda towarowa. Powiększ zdjęcie w tym miejscu. – Wskazała na podwójne stalowe drzwi i ledwie widoczne logo.

Carl zmrużył oczy. Wiele by teraz dał za parę supermocnych okularów do czytania.

– Chyba nie jest zupełnie nowa, co?

Rose skinęła głową i kliknęła w zdjęcie, na którym Gordona i Mauritsa van Bierbeka było widać od przodu. Powiększyła je na tyle mocno, by szczegóły się nie zamazały.

– Weź myszkę i zrób zbliżenie na podłogę, potem na ścianę w tyle i sufit, Rose – powiedział Carl.

Zrobiła to, o co prosił, i oprócz coraz ciemniejszych plam moczu wokół krzesła Bierbeka, zdradzających miejsca, w których sikał, nie było się na czym skupić.

– Jego mocz robi się coraz bardziej skoncentrowany – powiedział Carl. – To pewne, że Bierbek jest silnie odwodniony, może do tego stopnia, że przez to umiera. Myślę, że Sisle chce utrzymać go przy życiu do dnia zaplanowanej egzekucji, ale facet z pewnością jest w kiepskim stanie.

Przyjrzeni się jeszcze przeciwległej ścianie, pozbawionej jakichkolwiek znaków szczególnych. Żadnych kontaktów, starych gwoździ czy śrub mogących zdradzić wiek pomieszczenia, żadnych mebli ani ozdób.

– Teraz czas na sufit. Zwróć uwagę, że szyny nie dochodzą do samej ściany, więc może masz rację, że zainstalowano je w jednym celu: by przytrzymywały więźniów. Transport towarów raczej nie wchodzi tu w grę.

– Jeśli dwa poprzednie zabójstwa z dwa tysiące szesnastego i osiemnastego roku, to znaczy Franca Svendsena i Birgera von Brandstrupa, popełniono tutaj, w przeciwieństwie do wcześniejszych, to może Sisle Park weszła w posiadanie tej nieruchomości w dwa tysiące szesnastym lub krótko przed. Bobo Madsen, któremu ścięto głowę przy wypadku jeżdżieckim, zginął przecież w innym miejscu, podobnie jak jego poprzednicy – stwierdził Carl.

– Czyli sądzisz, że Sisle Park uzyskała dostęp do tego lokalu gdzieś między śmiercią Bobo Madsena i Birgera von Brandstrupa?

– Tak, między rokiem dwa tysiące czternastym a szesnastym. – Rose zamilkła na chwilę i spojrzała na Carla z wielką powagą. – Rozwikłanie tego może być trudne bez

pomocy Marcusa Jacobsena i spółki. Jest poranek pierwszego dnia świąt. Zostały nam pewnie tylko dwadzieścia cztery godziny.

Carl skinął głową. To musi się udać.

– Spróbuj się cofnąć wzdłuż szyny na suficie, Rose.

Siedzieli i nawet nie mrugając, wpatrywali się w lśniące szyny. Były przymocowane do sufitu za pomocą nierdzewnych okuć, wystających po obu stronach i też przykręconych do sufitu grubymi śrubami.

– Wydaje mi się, że w szynach są łożyska kulkowe – stwierdził Carl. – Dzięki nim mechanizmy przytrzymujące łańcuchy mogą się po nich gładko przesuwają.

– Myślisz więc, że Bierbek mógł chodzić po pomieszczeniu, nim zrobił się na to za słaby?

– Nie wiem. Z tą śrubą pośrodku jednej szyny miał pewne ograniczenia. – Carl pokręcił głową. Ta kobieta była nie tylko zupełną wariatką, ale też czystej wody sadystką, co stawało się coraz bardziej ewidentne.

Rose przesunęła obraz o kilka centymetrów od śruby i nagle zastygła.

– Hej! Widzisz ślady na jednej szynie? Jak myślisz, co to jest?

Carl nie wiedział.

– Jakby coś ją odkształciło. Może po to, by mechanizm podtrzymujący łańcuch spadł?

Rose spojrzała w bok i potaknęła.

– Oczywiście. Bierbek próbował wyrwać z szyny łańcuch.

– Ale jak? Czyżby był człowiekiem wężem?

– Carl, spójrz tutaj! – Rose przysunęła się tak blisko ekranu, że niemal zaryła w nim nosem. – Tuż przy tych śladach na szynie widać wytłoczoną markę produktu.

– Niestety, Rose, ja jej nie widzę.

– Bo jest bardzo niewyraźna. Ale wydaje mi się, że drugie słowo to „Steelware”.

Powiększyła obraz jeszcze bardziej, a potem go pomniejszyła, ale to nie pomogło.

– Pierwsze litery wytłoczone na szynie to „Mex”. Czyżby „Mexita”? Brzmi jak kiepska piosenka z lat osiemdziesiątych.

Carl wygooglował nazwę. Wystarczyło pięć sekund, by po plecach przeszły mu ciarki. Wskazał na stronę internetową.

Rose siedziała zupełnie cicho.

– Myślisz, że to może być pomocne, Carl?

– Może – odparł niepewnie Mørck.

– Znaleźliście coś? – spytał zza ich pleców Assad. – Bo ja tak. Obudziłem brygadzystę Dudka i mówię wam, jakiego miał kata.

– Jakiego miał kaca, Assad – poprawiła Rose.

Kudłacz zmarszczył czoło.

– A, no tak! I był otumaniony. Ale wysłałem mu zbliżenie zdjęcia tego krzesła od tyłu, na którym siedzi Bierbek, i od razu przyznał, że jest takie samo, jak to przytwierdzone na stałe do podłogi przy niektórych maszynach Olka Dudka. Mówił, że cały sprzęt i narzędzia z fabryki sprzedano na aukcji po śmierci Dudka, a fabryka splajtowała.

Rose i Carl wytrzeszczyli oczy.

Bo choć Sisle Park osobiście nie występowała na żadnym ze zdjęć, to dzięki tej informacji na scenie pojawił się kolejny trop łączący jeszcze jedno przestępstwo z poczynaniami seryjnej zabójczyni.

Marcus Jacobsen nie mógł tego zlekceważyć.

Wieczór wigilijny, czwartek, 24 grudnia 2020 i piątek, 25 grudnia  
2020

GORDON

Sisle Park i jej pomocnik o ciężkiej ręce zostali poprzedniego wieczora dopóty, dopóki Maurits van Bierbek nie zaczął oddychać normalniej. Życzyli im miłego wieczoru wigilijnego i zapewnili, że nazajutrz na pewno wrócą. Teraz wybierali się do Adama, bo tak miał na imię olbrzym, by świętować, a Sisle tam zostanie, dopóki nie będzie po wszystkim.

– Twoi koledzy z Departamentu Q będą się nudzić, ale zawsze mogą śledzić, jak będę włączać i wyłączać światła w różnych pokojach mojego domu za pomocą tego oto pilota. – Uniosła komórkę i wcisnęła jeden z guzików. – Już – powiedziała. – Teraz światło się pali na piętrze. Zapewne będą się zastanawiać, kto może się kręcić po domu. I pewnie się dziwią, gdzie się podziałeś. Może udzielimy im podpowiedzi?

Gordon milczał; spojrział na nią tylko nienawistnie, gdy z pewnej odległości zrobiła im zdjęcie najpierw z przodu, a potem z tyłu.

„Ona igra z ogniem – pomyślał. – Może nie zdaje sobie sprawy, jak mocno można powiększyć zdjęcie zrobione nowym typem komórki. Na pewno znajdą coś, dzięki czemu wpadną na trop”.

Nie było mu jednak do śmiechu, gdy Sisle Park i mężczyzna wrócili następnego dnia. Przez noc Gordon musiał się wypróżnić i przez ostatnie godziny zaczął odczuwać potworne swędzenie. Rano van Bierbek kilkakrotnie jęknął, ale o żadnej formie komunikacji między nimi nie było mowy.

Oboje strażnicy przywitali się chłodno z Gordonem, wyminęli i jego, i rozsiewany przezeń smród i znów podłączyli kroplówkę jego koledze z celi. Nie ulegało wątpliwości, że do worka infuzyjnego trafiło tym razem więcej glukozy i soli mineralnych, bo zaledwie po minucie mężczyzna zaczął pokasływać i próbował się poprawić na krześle.

Gordon odwrócił się do Bierbeka i zauważył, że ten zdążył się nawet zaróżowić na policzkach. Jego gałki oczne poruszyły się kilkakrotnie za zamkniętymi powiekami, oddech przypominał czkanie. Kilka razy wydał z siebie coś w rodzaju skargi, brzmiącej chyba „o nie, o nie”; równocześnie próbował odzyskać równowagę.

Otworzył oczy i zmrużył je, oślepiiony przez światło na suficie.

– O nie – jęknął teraz zupełnie wyraźnie, jakby jeszcze raz zdał sobie sprawę ze swojego beznadziejnego położenia.

Wtedy jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Gordona, który siedział przed nim wykręcony, chcąc spojrzeć mu prosto w oczy. W pierwszym momencie mężczyzna nie zareagował, może nie potrafił pojąć tego, co widzi, ale potem jego spojrzenie przesunęło się na dłonie Gordona, przywiązane do oparcia krzesła. Po jego twarzy przemknął cień, przez ścięgna na szyi skurcz bólu i nagle usta wygięły mu się w podkówkę i wybuchnął szlochem. Z oczu nie płynęły mu łzy, ale tym boleśniej się na to patrzyło. Zrozumiał, że wraz z przybyciem nowej osoby jego sytuacja bynajmniej się nie poprawiła. Wydawało się wręcz, że w jego głowie zaczęły piętrzyć się pytania.

„Co się stało? Co się teraz wydarzy?” – pytały jego oczy.

Spojrzał zmartwiony na worek infuzyjny wiszący obok niego na stojaku. Może spodziewał się, że za moment do jego żył popłynie trucizna. Że to jego ostatnia chwila.

A może wiedział to, co Gordon, czyli że ma umrzeć dopiero następnego dnia?

Widać było, że Bierbek próbuje zapanować nad płaczem i gorączkowym łapaniem powietrza. Najwyraźniej należał do ludzi, których krępuje obnoszenie się z lękiem i niemocą. Po chwili oderwał oczy od Gordona i skupił wzrok na dwóch postaciach, chodzących w tę i z powrotem wzdłuż stołu po drugiej stronie pomieszczenia. Gordon podążył za jego spojrzeniem, próbując zrozumieć, co takiego robią. Na stole pojawiło się kilka szklanych butelek, ustawionych starannie jak na wystawie, którą zamierzali im zaprezentować. Potem rozcięli dwa plastikowe woreczki i wyjęli z nich dwie duże strzykawki.

Dwie strzykawki!

Gordon oblał się potem. Przy dwóch poprzednich egzekucjach wykonanych przez Sisle Park użyto chlorku potasu, czyżby teraz też się przygotowywali do czegoś podobnego? Chcieli wstrzyknąć śmiertcioną substancję prosto w ich serca? Sisle Park wprawdzie oświadczyła, że zostawi go przy życiu, uśmierciwszy Mauritsa van Bierbeka, ale czy można jej ufać? Czyżby bestialstwo i wyrachowanie tej sadystycznej i oziębłej uczuciowo osoby sięgały tak daleko, by zabić Gordona jako pierwszego, tak by Maurits van Bierbek zobaczył, co go czeka? I co oni teraz robią? Czyżby wyciągali z kartonu pełne plastikowe worki?

Mężczyzna wyjął nożyczki i zaczął rozcinać worki, po czym po kolei wsypywał ich zawartość do dużego plastikowego pojemnika. Gdy skończył, dolał do niego całe litry przezroczystego płynu, może wody, i zaczął potrząsać pojemnikiem. Sisle Park tymczasem wzięła ze stołu duży lejek.



„O Boże – pomyślał Gordon. – Zabrali się do robienia roztworu soli. Czyżby za pomocą tak prymitywnej metody preparowali zwłoki Franca Svendsena i Birgera von Brandstrupa? Wkładali im lejek do ust i lali tak długo, aż wymizerowane ciała nie mogły już więcej wchłonąć?”

Gordon nie czuł już diabelnego pieczenia odbytu ani pośladek, poczuł za to, że znów zsikał się w majtki.

– Oj, do licha – powiedział mężczyzna, gdy chwilę potem mijał go, by sprawdzić kroplówkę Bierbeka.

Gordon kręcił się na siedzeniu, ale zaciski na jego przegubach tylko mocniej wrzynały mu się w skórę, więc na nic się to zdało.

„Czy na moich nadgarstkach pojawią się takie same ślady jak u Pallego Rasmussena, gdy siedział przywiązany do kierownicy i powoli tracił przytomność?” – zadumał się.

Po plecach przeszły mu ciarki. Pomyśleć, że znalazł się w sytuacji, w której może utożsamiać się z tym gnojkiem.

– Maurits, dostaniesz jeszcze jeden zastrzyk – powiedział za plecami Gordona mężczyzna. – Chcemy przecież, byś był w dobrej formie, byś był w pełni świadomy, gdy dotrze do ciebie ostatnie przesłanie, prawda?

– Maurits, nie dojdzie do tego. – Gordon usłyszał swój własny głos.

Na drugim końcu pomieszczenia Sisle Park zaczęła się śmiać.

– Zobaczymy, panie Taylor, zobaczymy! – krzyknęła. – Pomyśl, Maurits Bierbek jest niezłą gratką, a takich nie wypuszcza się z rąk. Oto człowiek, który jak nikt zasługuje na to, by zniknąć z tego świata.

– Lepiej by było, gdybyś to ty zniknęła! – wyrwało się Gordonowi.

Kobieta podeszła bliżej.

– Ach, tak myślisz. Wiesz chyba, że pleciesz od rzeczy, co?! Człowiek za twoimi plecami jest pozbawioną zasad, egoistyczną i zachłanną kreaturą, która narzuca innym swoje niskie standardy. Sprawia, że ludzie stają się prostaccy, pozbawia ich tej resztki mózgu, którą się wcześniej musieli zadowalać. O Mauritsie Bierbeku nie da się powiedzieć niczego pozytywnego. Dopuszcza się on gwałtu na ludzkości, ale to się skończy, więc nie masz na co narzekać. Wiesz, kiedy się to stanie, więc możesz się podzielić tą wiadomością z tą bestią, gdy już was zostawimy.

Gordon na chwilę odetchnął z ulgą. Czyli nie zamierzają czynić z niego przykładu i go tu i teraz zabijać. Ale poczucie beztroski minęło równie szybko, jak przyszło.

A co będzie jutro o dwunastej?

– Dobrze, Maurits – rozległ się głos za plecami Gordona. – Jesteś gotowy. Za pół godziny poczujesz się lepiej. Podałem ci mnóstwo środków pobudzających, które

sprawią, że serce będzie ci bić szybciej i mocniej. Dostałeś też płyny i minerały, więc układ krążenia będzie miał nad czym pracować, jeśli rozumiesz?

– Czy mógłbym porozmawiać z moimi dziećmi? – odezwał się Maurits słabym głosem.

Czy bestia powiedziałaaby coś takiego? Gordon doskonale wiedział, że człowiek, który siedzi za jego plecami, jest prymitywny i płytki, ale czy to jedyne, co go charakteryzuje? A może zlągował przez sytuację, w której się znalazł?

– Co masz na myśli, Mauritsie? – spytała Sisle Park. – Mamy je tu przyprowadzić? Czy wolisz połączyć się z nimi na Skype? Albo może chcesz się z nimi skontaktować na WhatsAppie lub Zoomie? Tia, jak ty to w ogóle sobie wyobrażasz? Że po prostu do nich zadzwonimy?

– Tak – jęknął Bierbek. – Tylko o to proszę.

– Nie ma mowy, Mauritsie. – Park się zaśmiała. – Pożegnasz się z życiem bez poczucia bliskości i bez pocieszenia i sześniesz w miejscu, w którym nie będą cię w stanie znaleźć nawet koledzy twojego nowego współlokatora, gwarantuję ci to.

– Spłoniesz w piekle – odpowiedział jej zachrypniętym głosem.

– Nie sądzę. Nie narzekam na kontakty z Bogiem. Bóg nie jest nieomylny, dlatego czasem zdarzy mu się stworzyć takie potworki jak ty, ale zaraz to poprawia, podając miecz zemsty komuś, kto potrafi wyszukiwać podobnych tobie. Nie, piekło jest zarezerwowane dla ciebie i twoich pobratymców.

Gordon wybuchnął śmiechem.

– Zatkaj uszy, Maurits! Ona zwariowała. Czy twoim zdaniem przypomina boską wysłanniczkę? Spójrz na nią. Spójrz na jej oczy, błyszczą szaleństwem.

Kobieta znalazła się przy nim w okamgnieniu, uderzyła go w twarz i splunęła na niego.

– Nic o mnie nie wiesz, Taylor! – krzyknęła. – NIC, rozumiesz?!

– Rozumiem cię lepiej, niżbyś chciała. Jesteś seryjną morderczynią, która zabija co drugi rok w dzień urodzin największych zbrodniarzy ludzkości. Ty, która uważasz się za Bożego anioła zemsty, strażniczkę moralności, która jak w biblijnej Sodomie i Gomorze oznaczasz swą zabójczą siłę i sprawiedliwe czyny za pomocą soli.

Drugi raz uderzyła z wyciągniętymi paznokciami. Gordona odrzuciło na bok; poczuł, jak letnia krew spokojnie spływa mu po policzku.

Zniżył głos i się wyprostował.

– W dodatku jesteś kobietą, która na początku swojej krwawej krucjaty zabiła małe dziecko. Warsztat Ovego Wildera, pamiętasz? A matkę chłopca zabiłaś nieznośnym żalem, z którym kazałaś jej żyć do końca jej smutnych dni.

– Stul pysk! – wrzasnęła i znów go uderzyła, tym razem pięścią.

Gordon dobrą chwilę dochodził do siebie, ale potem utkwiał wzrok w jej owładniętej szaleństwem twarzy i wyczuł instynktownie, że lepiej zrobi, będąc jej posłusznym, ale nie potrafił. Musiał jeszcze raz przekręcić nóż tkwiący w jej sercu.

– Może największym błędem Boga było zostawienie cię przy życiu podczas wybuchu, ale tak chyba też stało się z Szatanem, upadłym aniołem. Jego Bóg też nie sięgnął. Jak sama słyszysz, Sisle, wiem o tobie rzeczy, które wiele znaczą. I moja rada brzmi, że powinnaś ponieść konsekwencje swojego grzechu i tu i teraz powstrzymać ten koszmar. Zgłoś się na policję, weź ze sobą swojego bezdusznego i naiwnego sługusa. Dopiero wtedy świat stanie się lepszym miejscem i jestem pewien, że Bóg to też odczuje.

Już przedtem doświadczył tego całkowicie bezwzględnego ciosu w kark od mężczyzny stojącego za jego plecami, ale tym razem tylko udawał, że zemdlał.

Pierwszy dzień świąt, piątek, 25 grudnia 2020

CARL

– Jest mi zupełnie wszystko jedno, że dziś pierwszy dzień świąt. Rozmawia pan z policją, więc proszę szybko jechać do fabryki, zrozumiano?

Carl wychodził już z siebie, bo tępak aż się prosił, by go wytargać za uszy. Był to typ mężczyzny po czterdziestce, który zawsze upiera się przy swoim. Jeden z tych, co konsekwentnie nie chcą ustąpić, nie zważając na okoliczności.

– Jestem w domu letnim – odparł tamten chłodno. – Do Åbenrå, gdzie mieści się fabryka, mam pięćdziesiąt kilometrów, a nie ma żadnej pewności, że to my montowaliśmy te szyny. Wie pan, to niemiecka firma, więc...

– Jeśli zaraz pan nie wstanie z krzesła, nie pofatyguje się do Åbenrå i nie udzieli odpowiedzi na moje pytanie, to zaręczam, że nie tylko zostaną panu postawione zarzuty utrudniania śledztwa, ale też będzie pan współwinny śmierci człowieka. Jeśli pan woli, mogę wysłać policję, by pana odeskortowali na miejsce, ale proszę się liczyć z tym, że wystawimy panu rachunek za ich czas. Rozumiemy się?

– Taak, ale... – Mężczyzna już chciał wrócić do narzekania, jednak Carl nie odpuszczał.

– Jeśli w tej chwili nie skończy pan z tym użalaniem się nad sobą, to zadzwonię do właścicieli Mexita Steelware i zasugeruję im, by szybko poszukali sobie nowego dyrektora administracyjnego, jeśli w następnych dniach nie chcą zostać obsmarowani we wszystkich mediach.

Dopiero wtedy się zgodził i krzyknął gdzieś w eter, że musi jechać do pracy. W tle rozległy się głośne protesty. Czyli zapewne żonę ulepiono z tej samej pozbawionej solidarności gliny.

– Wyprawiłeś go w końcu? – spytała Rose z części pokoju, którą dzieliła z Assadem. Carl potaknął i do nich podszedł.

– Niestety nie miał pojęcia, czy w ogóle uda mu się znaleźć zamówienie na metalowe szyny do pomieszczenia, w którym siedzą Gordon i Bierbek. Pomógł trochę fakt, że byliśmy w stanie nieco zawęzić okres poszukiwania. Co za durny ćwok.

Carl otrząsnął się z niemiłych wrażeń i zwrócił się do Assada:

– I co powiesz? Wiesz już coś więcej o nieruchomościach i wynajmach Sisle Park?

– Co do nieruchomości, owszem. Przecież niedawno sporządziłem listę, proszę. – Podał szefowi kartkę, a Carl przeleciał po niej wzrokiem. Cholernie tego dużo.

– Problemem są umowy kupna z pewnymi zastrzeżeniami, bo nie zawsze dochodziło do transakcji. Spójrz na przykład tutaj.

Assad wręczył mu dokument dotyczący prawa firmy Park Optimizing do pierwokupu gruntu, który nie został uprzednio przygotowany.

– O co chodzi z tym przygotowaniem? – spytała Rose. – Czy to znaczy, że na tej działce znajduje się coś, co najpierw trzeba zburzyć? Z tego dokumentu to nie wynika.

– Tak, musisz dowiedzieć się czegoś więcej, Assad. Poszukaj starych zdjęć z kamer monitoringu, tak by było na nich widać te miejsca. Street View, Google Earth, cokolwiek. No i trudno to nazwać aktem przeniesienia własności, to raczej coś w rodzaju dżentelmeńskiej umowy. Wiesz, ile tego jest?

– Może ich być ze dwadzieścia pięć, nie wiemy do końca. Szykuje się spora robotą, jak powiedział samiec wielbłąda na widok stada dzikich wielbłądów.

– Dzięki za porównanie, widzę to oczyma duszy. Jak sądzicie, do czego te wszystkie grunty były jej potrzebne?

Assad wzruszył ramionami.

– Kto to wie? Może to po prostu inwestycje. Park Optimizing przynosi rocznie wielomilionowe zyski, więc nie chcąc płacić bankowi ujemnych odsetek bądź kupować obarczonych ryzykiem akcji i obligacji, Sisle uznała, że lepiej zainwestować w ten sposób. Inwestycja w ziemię zawsze była rozsądna.

Carl westchnął.

– Słodki losie. Możliwe, że ma też nieruchomości, które po prostu wynajmuje.

Rose i Assad pokiwali głowami.

Carl czegoś tu nie rozumiał.

– Jeśli to wszystko prawda, to dlaczego, do jasnej cholery, pogrzebała zwłoki swoich ostatnich ofiar w miejscu publicznym? Przecież mogła wybrać którąś z własnych działek?

– Gdyby na jej gruncie znaleziono zwłoki, niepotrzebnie ściągnęłoby to na nią uwagę, nie sądzisz? – odparła Rose.

– Podobnie może być z miejscem, w którym przetrzymuje Mauritsa van Bierbeka i Gordona. Jak, u diabła, mamy je namierzyć w tak krótkim czasie?

– Zgoda, Carl, ale naszym zdaniem to spory budynek – odparła Rose. – Tak duża winda towarowa sugeruje, że jest on przystosowany do przechowywania dużej ilości towarów i palet, a także mieści się w nim kilka pięter, powyżej lub poniżej poziomu na zdjęciu.

– Sisle posiada nieruchomości o takich gabarytach?

– Nie, wyłączając siedzibę jej firmy, ale tam transport towarów odbywa się na niewielką skalę. Owszem, mają poziom piwniczny, nie widzimy tam jednak ani bram, ani ramp do wyładunku odpowiednio dużych, by pomieściły palety czy ciężarówki. Sprawy nie ułatwia fakt, że zgodnie z rejestrem Urzędu do spraw Działalności Gospodarczej Sisle Park jest również posiadaczką innej firmy, Iversen Optimizing, od nazwiska panińskiego jej matki.

– Czy ta spółka też posiada nieruchomości?

– Nie, to holding z kilkoma właścicielami – odparł Assad. – Dlatego ostatnio jej nie analizowałem. Ale teraz będzie ciekawie, bo w skład tego holdingu wchodzi spółka o prostej nazwie ISAK, a jej współwłaścicielami są Adam i Kirsten D. Holme’owie. Początkowo nie zwróciłem na to większej uwagi, ale potem Rose przyjrzała się dokładniej kwestiom własności spółki i ustaliła, że wcześniej mężczyzna był właścicielem firmy, w której on i jego żona nadal mają niewielkie udziały. Co ciekawe, kiedy sprawdzi się historię zatrudnienia kobiety w wyszukiwarce proff.dk, to można się dogrzebać do informacji, że „D” w jej nazwisku to skrót jej drugiego imienia, Debora.

Carl oniemiał.

– Czyli wreszcie udało nam się powiązać Sisle Park z Tabitą, Ragnhild i sekretnym klubem Debory – powiedział Assad. – No i mamy adres w pobliżu miejsca zamieszkania Sisle Park.

Carl zacisnął pięść. Yes, wreszcie postęp.

– Spółka ISAK nie posiada nieruchomości – ciągnęła Rose – ale firma ma kilka spółek córek.

Mørck parę razy przełknął ślinę.

– To co, jedziemy do tej Debory? – spytał.

– Pewnie powinniśmy, ale jest kilka innych kwestii, które wcześniej musimy sobie wyklarować – odparł Assad z powagą w spojrzeniu. – Co się stanie, jeśli się zdemaskujemy i wkroczymy do domu tego małżeństwa? Czy nie narazimy na szwank życia Gordona i Mauritsa?

Rose energicznie pokiwała głową.

– Wiemy, że jeśli nie podejmiemy działań, jutro Maurits zostanie zamordowany, ale to się równie dobrze może zdarzyć dziesięć minut po północy. Tylko czy Sisle Park dopuściłaby do tego, byśmy dotarli do budynku przed egzekucją? Nie wydaje mi się. Jeśli więc zdradzimy się, że wiemy o współwinnych, i zmusimy ich do podania nam miejsca, w którym ci nieszczęśnicy siedzą na stalowych krzesłach, to Sisle Park na bank się postara, by szybko usunąć stamtąd Gordona i Mauritsa, niekoniecznie

żywych. Dlatego jeśli się zbliżymy do tego miejsca, to musimy strasznie uważać, Assad. Nie mamy wyjścia.

Pierwszy dzień świąt, 25 grudnia 2020

ADAM/SISLE

Ostatnie dni przed likwidacją Mauritsa miały być czasem radości i oczekiwania, podobnie jak miało to miejsce w przypadku wcześniejszych zabójstw. Za każdym razem Sisle odczuwała szczęście i podekscytowanie, jako że jej skomplikowane pomysły zostały konsekwentnie zrealizowane. Cieszyło ją też, że wszystko przebiegło gładko, choć nie wszystkie zabójstwa były równie łatwe do obmyślenia i przeprowadzenia.

Jednak tym razem Sisle Park się tak nie czuła. Gordon Taylor zasiał w niej gniew, który teraz wziął nad nią górę.

Wczoraj świętowali skądinąd zupełnie normalną Wigilię. Zjedli prosty posiłek, uczcili zmarłego syna Adama i Debory, Izaaka, cichą modlitwą i podali sobie ręce, bo wkrótce będzie po wszystkim. Wreszcie żarliwie podziękowali Bogu za to, że przez cały czas przy nich trwał. Było tak cudownie.

Ale spotkanie z Gordonem Taylorem i jego dzisiejsza werbalna napaść odcisnęły na niej swoje piętno, Adam to zauważył. Jej ruchy stały się sztywniejsze i rwane, odpowiedzi – rozkojarzone. Powtarzała raz po raz, że tak bezwstydnym słów nie słyszała, odkąd poraził ją piorun.

– Adamie, przecież go słyszałeś – ciągnęła, chodząc w tę i z powrotem przed kanapą w salonie, na której siedziało małżeństwo, słuchając jej w świetle rzucanym przez ogień w kominku. – Wszystkie te szatańskie słowa i jego kpiąca twarz.

– To próba, na którą wystawia cię Bóg – powiedział Adam. – Gordon Taylor chciał cię zastraszyć, chciał, byś uwierzyła, że jesteś atakowana, ale co miał do dyspozycji oprócz prowokacji? Nic, absolutnie nic! I co w ogóle może się stać? Nikt przecież nie ma pojęcia, gdzie przebywają Maurits i ten cały Gordon. On próbował tylko na próżno sprawić, byś zwątpiła. To robota Szatana.

– Masz niezachwianą pewność, że nikt nie ma pojęcia, gdzie oni są? – przerwała mu Debora. – Przecież ekipa Carla Mørcka jest coraz bliżej, wiedzą, że za zabójstwami stoi Sisle. Poza tym Gordon Taylor cię widział i wie, jak się nazywasz. Nim się obejrzymy, zrobi się niebezpiecznie.

Adam kiwnął głową.



– I pamiętaj, że nie tylko Sisle znajduje się w strefie niebezpieczeństwa, ale również my, Adamie. Jak myślisz, jak sobie damy radę, jeśli oboje trafimy do więzienia? Rozdzieleni, bez możliwości spotkania przez wiele lat. Powiedz jej to, Adamie!

Mężczyzna nie wiedział, co powiedzieć. Fatalnie się czuł, tkwiąc w potrzasku między nimi dwiema.

Debora pokręciła głową w odpowiedzi na jego milczenie i odwróciła głowę do Sisle.

– Czy w głębi serca nie czujesz, że zbliża się koniec? Bo jeśli tak, to przecież naturalne, że jesteś na siebie zła, iż nie zaprzestaliśmy naszej działalności w odpowiednim czasie. Czy w tym rzecz?

Adam obserwował spojrzenie Sisle, które powoli zwróciło się w stronę Debory. Złość zupełnie znikła z jej twarzy, ponure bruzdy wygładziły się, uśmiech wydawał się radosny i łagodny. Pokręciła lekko głową, uśmiechając się słodko.

– Zapewne masz rację, Deboro, często ją masz. I podoba mi się, że potrafisz być nieustępliwa, czasami nam się to nawet przydawało. I spójrz, dokąd na przestrzeni czasu twoja niezłomność nas doprowadziła. – Sisle rozłożyła ramiona, jakby chciała objąć nimi salon i przylegające do niego pokoje. – Idealna szkoła dla moich rekrutek, właśnie tutaj. Co ja bym zrobiła bez nich i bez ciebie?

Podeszła bliżej i pogłaskała Deborę po policzku. Widać było, że ta ostatnia niechętnie poddaje się pieszczocie, ale nic nie powiedziała.

Potem Sisle odwróciła się do kominka i zaczęła przerzucać żar pogrzebaczem, kiwając głową.

Adam się uśmiechnął. Sisle doskonale rozbroiła sytuację, dzięki czemu dobry nastrój został przywrócony. Pytanie tylko, co ona teraz zamierza? Czy poniesie konsekwencje i dokona zabójstwa lub zabójstw jeszcze dziś wieczorem, tak jak to wielokrotnie sugerowali? Jakie ma plany?

Więcej pomyśleć nie zdążył, bo Sisle obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, zamachnęła się pogrzebaczem i uderzyła nim prosto w jego skroń.

Dziwnie było ich takimi widzieć. Milczącymi, zaskoczonymi, a w przypadku Debory również głęboko zszokowanymi.

Tylko z głowy Debory płynęła odrobina krwi; mocna głowa Adama wytrzymała cios. Widać było jednakże, że śmierć żadnego z nich nie oszczędziła.

Sisle podeszła bliżej. Twarz Adama nie była już krzywa, gdy jego głowa odskoczyła na ramię. Jakie to smutne, że tego lojalnego człowieka już nie ma. Gdyby nie Debora i jej bezustanne żądania, by w porę się wycofali, być może Adam nadal by żył.

– Głupio z twojej strony – powiedziała głośno i zamknęła niebieskie oczy Debory, zakrywając jej zeszywniałe spojrzenie. – Głupio, głupio, głupio, Deboro. Jutro

wieczorem mogliśmy razem wznosić toast za naszą ostatnią wspólną misję, ale czułam, że wcale tego nie chcesz.

Sisle wytarła pogrzebacz o fałdę sukienki, by pozbyć się krwi. Potem westchnęła i odłożyła go do stojaka przy kominku.

Teraz była wolna. Tych dwoje nie mogło jej już zaszkodzić, a kiedy przyszło co do czego, wcale ich już w swoim nowym życiu nie potrzebowała. Ewentualne ślady w ich domu pozostawione po tym ostatnim wspólnym projekcie za chwilę przejdą do historii. Wszystko pochłonie ogień. Ludzie powiedzą, że choinka stała za blisko zasłon, ktoś pomyśli, że byli zbyt lekkomyślni, inni dojdą do wniosku, że zapalenie świeczek na choince już po Wigilii to dziwny obyczaj.

W szafce kuchennej Sisle wyszukała benzynę do czyszczenia, denaturat i aceton, a przy kominku znalazła sporo podpałki w płynie. Oblała nią szczerze meble i dywany, po czym odstawiła pojemnik tam, skąd go wzięła. W szopie przy podjeździe stały dwa kanistry benzyny i kilka butelek mieszanki paliwowo-olejowej do maszyn ogrodniczych. Większość ich zawartości również powylewała wewnątrz domu i odstawiła kanistry z powrotem. Może to zmyli techników pożarnictwa.

– Choinko, choinko, już się zbliżamy, już zaczynamy – nuciła, przeciągając drzewko bliżej zasłony. Zdążyła zapalić połowę i tak już prawie wypalonych świeczek, gdy przez okno dostrzegła w oddali niebieskie migające światła, których blask odbijał się od kominów i dachów domów.

Policja, straż pożarna czy karetka? Tego nigdy nie wiadomo, ale nie ma powodu do niepokoju.

Otworzyła kilka okien, by dostęp powietrza pomógł ogniowi szybciej się rozprzestrzenić, i usłyszała w oddali słaby dźwięk syren, który na chwilę ją powstrzymał.

Czyżby to po nią jechali?

Pokręciła głową nad tym nedorzecznym pomysłem. Niby jak miałyby do tego dojść? Przecież nikt nie miał pojęcia, że przebywa w tym domu, poza tym nikt nie wiedział, że Debora i Adam mieli z nią coś wspólnego. I skąd w ogóle znalazłyby ich adres? Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do siebie nieco rozbawiona nagłym niepokojem, który ją ogarnął.

Zapalała więc dalej świece, podczas gdy migające światła i zawodzenie syren stale się przybliżały.

„Jednak to dziwne – pomyślała. – Ale może gdzieś w pobliżu jakiś chory człowiek potrzebuje pomocy? Albo wybuchł pożar, który się jeszcze na dobre nie rozpełtał, dlatego go nie widzę?”

Zaśmiała się. W każdym razie do pożaru powinni dotrzeć, na pewno będzie widoczny. Kiedy już ogień zajmie taki duży, stary, piętrowy dom, wyposażony we wszystkie te ciężkie meble, dywany i drewniane panele, wtedy zobaczą pożar, którego nie sposób będzie zignorować.

Ale teraz błyskające światła zbliżały się za szybko i instynkt obronny Sisle wziął jednak górę.

„Na wszelki wypadek” – pomyślała, przewracając choinkę na długaśne brokatowe zasłony z włókna celulozowego o gęstym splocie, stanowiące doskonałą pożywkę dla płomieni.

Ostatni raz rzuciła okiem na oboje zmarłych, pożegnała się cicho i wyszła z domu, po czym wsiadła do samochodu i odjechała.

Piątek, pierwszy dzień świąt, 25 grudnia 2020

CARL

Przez jakiś czas jechali tuż za karetką, która najwyraźniej pędziła do tej samej dzielnicy, do domu, przed którym stała kobieta, wymachując rękami nad głową i krzycząc w rozpacz, że jej mąż upadł na ziemię i nie oddycha.

Dopiero wtedy dostrzegli nieco dalej złowróżbną, pulsującą czerwoną poświatę na niebie nad dachami.

Gdy skręcili w uliczkę, wiedzieli już, że płomień ogarnęły miejsce, do którego zmierzali. Carl przez lata widział wiele pożarów, ale nigdy nie był świadkiem pożogi trawiącej tak stary i imponujący dom z mnóstwem drobiazgów z minionych czasów. Widok był doprawdy smutny i wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że straż pożarna nie dotrze na tyle wcześnie, by z budynku dało się uratować coś godnego uwagi.

Na twarzy Rose malowała się frustracja.

– Przyjechaliśmy za późno – powiedziała i zaklęła, gdy kilka szyb eksplodowało deszczem odłamków nad schludną frontową partią ogrodu i rabatą ze świerkami.

– A jeśli w środku przebywali Gordon i Maurits van Bierbek? – zawołał Assad, który z przerażeniem w oczach biegał wzdłuż domu, próbując ocenić, czy ogień zajął cały budynek. – Z tyłu na podjeździe stoi żółty samochód podobny do tego, którym Sisle Park przyjechała do domu Bierbeka – stwierdził po chwili.

Temperatura wokół budynku wzrosła tak bardzo, że mieszkańcy ulicy, którzy wyszli popatrzeć, zaczęli chować się z powrotem w swoich domach.

Carl wyjął z kieszeni swój nieaktualny identyfikator i zwrócił się do tych stojących najbliżej:

– Orientuje się ktoś z państwa, czy dom był podpiwniczony?

– Podpiwniczony? Nie, nie był – odparła jednym głosem grupka sąsiadów.

– Całe szczęście – westchnęła Rose.

Tylko gdzie w takim razie znajdują się Gordon i Maurits van Bierbek?

– Czy ktoś z państwa zna mieszkańców tej posesji? – spytał Carl zebranych.

– Niezbyt dobrze – odpowiedziała starsza kobieta, po czym dodała, że to ona wezwała straż pożarną i że mieszka po drugiej stronie ulicy. – Raczej stronili od kontaktów towarzyskich.

– No nie wiem – wtrącił się stojący obok siwiejący pan. – Przyjmowali mnóstwo gości – stwierdził, nie odrywając oczu od płomieni.

– Mnóstwo gości, powiada pan. Można wiedzieć coś więcej? – spytał Carl.

– Głównie młode kobiety, przychodzące raz w tygodniu dokładnie o tej samej porze.

– Rozumiem. Przyjrzał się pan lepiej którejś z nich? Potrafiłby pan je rozpoznać, gdybym pokazał mu kilka zdjęć?

Mężczyzna kiwnął głową i odruchowo odskoczył, gdy trzasnęła kolejna szyba.

Carl pstryknął do Rose i poprosił ją o pokazanie mężczyźnie zdjęć Ragnhild i Tabity.

Musiała pomachać mu telefonem przed nosem, by się na nim skupił. Wyjął z kieszeni na piersi okulary i przysunął twarz do samego ekranu.

– Tak – powiedział po prostu, zdejmując okulary.

– Co tak? Rozpoznaje je pan?

Mężczyzna kiwnął głową i odparł, wciąż nie odrywając wzroku od niszczycielskiego żywiołu, że jedną z nich widział jakiś czas temu.

– Okej, czyli mieszkańcy domu to prawdopodobnie ci, których poszukujemy – powiedział Carl, zwracając się do Rose i Assada.

– Mówi pan o Deborze i Adamie? – spytał mężczyzna. – Obawiam się, że mogą być w środku, to straszne. Trudno mi sobie wyobrazić gorszą śmierć. Dlaczego w ogóle musiało im się to przytrafić? – Zrobił krótką pauzę i pierwszy raz spojrzął prosto na Carla. – Ale gdy niedawno wracałem ze spaceru z psem, widziałem, jak ta, która była u nich na wigilii, pełnym gazem wyjeżdża spod ich domu. Czy to nie dziwne? – Mężczyzna kiwnął głową, nim uzyskał odpowiedź. – Moim zdaniem powinniście ją schwytać i spytać, co się stało.

Sugestia padła tonem tak suchym, że aż zatrzeszczało.

„Były urzędnik” – ocenił Carl.

– Znajdziesz Sisle? – powiedział do Rose ściszym głosem i na ekranie jej komórki wyświetliło się kolejne zdjęcie.

Na tej fotografii Sisle Park wyglądała dobrze; ucieleśnienie odnoszącej sukcesy bizneswoman, prawzorzec uczestniczki „Pieczary lwa”<sup>2</sup>, osoba, która wzbudza mieszaninę zazdrości i podziwu – ów słodki i trujący koktajl, do którego dąży większość ambitnych ludzi.

Mężczyzna założył okulary i kiwnął głową, gdy Rose znów podsunęła mu komórkę pod nos.

– Dzisiaj tak nie wyglądała, ale któregoś dnia miałem okazję zobaczyć, jak się potrafi odstawić.

– Czyli to ona niedawno stąd odjechała?

– Nie mam stuprocentowej pewności, ale powiedzmy, że na dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent to była ona.

– Czas na telefon do Marcusa – stwierdziła Rose. – Wiemy już, że to ona za tym wszystkim stoi, i musimy ją za wszelką cenę schwytać. Marcus musi rozesłać za nią list gończy, zgoda?

Carl kiwnął głową.

– Zajmij się tą rozmową, Rose. Nasz obecny tu przyjaciel na pewno poda ci dokładniejszy opis jej stroju.

W tym momencie jadące na sygnale wozy strażackie zahamowały przed domem i strażacy natychmiast ruszyli do akcji.

– Musimy się zmywać, Carl – powiedział Assad na widok nadjeżdżającego samochodu policyjnego.

Mørck pokręcił głową.

– Najpierw musimy się dowiedzieć, kto był w środku.

Podążył wzrokiem za Rose, która oddaliła się, by zadzwonić. Tymczasem dwaj strażacy w azbestowych kombinezonach ku przerażeniu obserwatorów wynieśli z płomieni dwa zwęglone ciała i położyli je na asfalcie.

Carl pokazał strażakom identyfikator i ukucnął przy zmarłych. Smród był silny, jak prosiaka przypalonego na rożnie. Wstrząsający widok.

– Co się stało? – spytał, nie odrywając wzroku od dwóch czaszek, które prawie się stykały w koślawej pozycji, w jakiej ułożono zwłoki. Ironia losu, że przed zaledwie godziną z tych dwóch głów można było wydobyć informacje mogące oznaczać ratunek dla Mauritsa Bierbeka i Gordona. Aż nazbyt często Carl z całego serca ubolewał nad tym, że nie może zanurkować w te liczne głowy i mózgi, które na przestrzeni życia miał okazję oglądać martwe. Wszystkie odpowiedzi udaremnione przez śmierć, wszystkie wyjaśnienia, których nigdy nie usłyszy. Znikają na zawsze!

I gdzie teraz znajduje się Sisle Park? Jedyne miejsce, w którym nie muszą szukać, był jej własny dom. Taka szczwana lisica poszuka sobie innych nor.

Policjanci skończyli właśnie rozciągać taśmę, której zadaniem było powstrzymanie ludzi od zbliżania się do posesji. Rose i Assad kiwnęli do niego ponaglająco głowami; najwyższy czas stąd wybywać.

Wyszli z tłumu i przystanęli w bezpiecznej odległości.

– Godzina wcześniej, a przybylibyśmy na czas – stwierdziła Rose.

Carl skinął głową. Teraz ten przeklęty dyrektor z Mexita Steelware, który zmarnował im tyle czasu, może być jedyną osobą zdolną im pomóc.

Carl wyjął telefon i wystukał numer.

– Jest pan w fabryce? – spytał.

– Nie, poprosiłem naszego zarządcę z Åbenrå, by tam pojechał i przejrzał archiwa – odparł mężczyzna bez cienia wstydu.

– Czyli nie ma tam pana?

– Nie, jestem w domu. On się tym zajmie znacznie lepiej niż ja.

Carl poczuł, że temperatura jego ciała niebezpiecznie rośnie.

– Zgłupiałeś, człowieku? Skoro przez cały czas pan o tym wiedział, to dlaczego, do kurwy nędzy, mi pan o nim wcześniej nie wspomniał? Nie żyje dwoje ludzi i zaręczam panu, że to pańska ślamazarność przyczyniła się do przyspieszenia tej śmierci.

Assad pociągnął go za rękaw.

– Carl, i tak byśmy nie zdążyli – wyszeptał. – Spróbuj posmyrać go po chrapach, to zawsze działa. – Zademonstrował proponowaną czynność, markując w powietrzu gest głaskania sporo nad wysokością oczu. Ten człowiek zawsze i wszędzie widzi wielbłądy.

– No dobrze, co się stało, to się nie odstanie – opanował się Carl z niemałym wysiłkiem. – Niech mi pan poda nazwisko i numer telefonu tego człowieka, żebym mógł przejąć sprawę.

– Rose, co powiedział Marcus? Nie wyglądasz na zachwyconą – spytał Carl w drodze powrotnej do bazy w domu Bierbeka.

– Powiedział, że od razu wyśle za nią list gończy. Niemal jednocześnie z listem gończym za tobą.

Carl zmarszczył czoło. „Niemal jednocześnie”. Co, u licha, miała na myśli?

– Marcus stwierdził, że oboje zdążycie się załapać na wiadomości za pół godziny.

Mówiąc ogólnie, Carl był zszokowany.

– Nie powiedziałaś mu, że sam się zgłoszę, jak już będzie po wszystkim?

– On ma to gdzieś. Myślę, że jest teraz pod ogromną presją. Powiedział, że przyjechali Holendrzy i są ze wszystkim na bieżąco.

– Holendrzy?

– Policja z Rotterdamu w sprawie morderstw w Schiedam, pamiętasz? Istniały bezpośrednie powiązania między nimi a morderstwami w Slagelse i tym, co się zdarzyło na Amager, kiedy do was strzelano.

– Do jasnej cholery, przecież ja nie mam nic wspólnego z tą prehistoryczną sprawą! Dlaczego Marcus mi nie wierzy? To już naprawdę przesada.

Ogarnęło go tak silne rozczarowanie, że aż go zemdliło. Czy Marcus nie mógł liczyć na Carla za każdym razem, gdy znalazł się w opałach? Gdy jego żona się rozchorowała i zmarła? Gdy Marcus postanowił rzucić pracę w policji i wtedy, gdy postanowił do niej wrócić? Czy to już się nie liczy?

– Powiedział też, że twoje odciski palców znaleziono na wielu banknotach z walizki na strychu. Nie cieszysz się już jego względami, Carl.

Okej, no to klops.

Carl spojrział na nawigację samochodową i zdał się na jej wskazówki do końca drogi. W tym momencie nie wiedziałby nawet, jakie podejmować decyzje. Czy koledzy z innych ekip naprawdę brali go za współwinnego morderstwa i sprzedaży twardych narkotyków? Chyba oszaleli.

– Komenda Główna zapewniła transport powrotny ze Szwajcarii dla Hardy’ego, Miki i Mortena, by móc przesłuchać Hardy’ego.

Carl się zapowietrzył.

– Jego też podejrzewają!

– Nie, ale ich zdaniem on podejrzewa ciebie, Carl. Przykro mi.

Mørck spojrział na drogę, gdzie w tle zaczęło powoli majaczyć miasto. W środku czuł pustkę.

– Udało ci się ustalić coś z tym zarządcą od szyn? – odezwał się Assad ostrożnie.

Carl westchnął. Za dużo tego wszystkiego naraz.

– Tak – odparł jednak. – Ten facet to stary dziadyga z południowej Jutlandii, ledwie go rozumiałem. Ale to na szczęście człowiek innego kalibru niż tamtejszy dyrektor.

Carl oprzytomniał. Albo w tym momencie odpuszcza, albo weźmie się w garść.

Otarł pot z czoła i próbował zapanować nad oddechem. Po upływie pół minuty był już mniej więcej gotowy.

– Naprawdę sporo wiedział, ale nie potrafił w minutę odszukać zamówienia montażu szyn podsufitowych, po części dlatego, że miał on miejsce przed wielu laty, ale głównie dlatego, że nie znamy adresu. Stwierdził jednak z dużą pewnością, że robotę musiała wykonać jakaś firma zewnętrzna, bo nie przypominał sobie, by zlecał ją monterom z fabryki. W takim wypadku zadanie na pewno nie zostało wykonane na Jutlandii, bo to jego rewir. W każdym razie nadal szuka.

– Boże! – wybuchła Rose.

Tak, mówiąc ogólnie, nie było dobrze, bo teraz losy Gordona i Bierbeka zależały od starszego gościa i jego umiejętności odkurzania teczek o znacznie starszych numerach zamówienia niż te, z którymi miał do czynienia na co dzień.

Ciemność spowijała dom Bierbeka, ale Carl rozumiał powód. Po co włączać światła w pokojach, do których się nie wchodzi? Jak włączać muzykę czy oglądać seriale na platformach streamingowych, kiedy do śmierci gospodarza tego domu zostało dosłownie kilka godzin?

Rose zapukała delikatnie w futrynę drzwi do salonu, gdzie po obu stronach mamy siedziały zastygłe dziewczynki. Młodsza ewidentnie zapłakana, a starsza z wąskimi ustami i oczami patrzącymi martwo przed siebie.



Cała trójka podniosła głowy, by spojrzeć na Rose, ale nadzieja w ich oczach błyskawicznie zgasła, gdy policjantka pokręciła głową. Wtedy i Laura zaczęła płakać. W drzwiach pojawił się Carl, który zamierzał powiedzieć, jak się mają sprawy i że nadal jest nadzieja, ale lodowaty wzrok Victorii go powstrzymał.

– Właśnie wyłączyliśmy telewizję, Carl, widziałyśmy list gończy. – Odwróciła wzrok w stronę kuchni. – Musisz zrozumieć, że nie chcemy cię tu dłużej.

– Przestań, Victorio. Nie wiem, co mam rozumieć, nie widziałem wiadomości.

– Sam jesteś zasranym mordercą! – wrzasnęła nagle Laura. – Spierdalaj, nienawidzę cię!

– Tak, Carl, lepiej sobie idź. Reszta może zostać, ale ty nie – dodała Victoria.

– Nie jesteś lepszy niż ta Sisle Park, która więzi tatę! – krzyczała Laura.

Do akcji wkroczył Assad, który zszedł po stopniach do salonu.

– Podzielę się z wami czymś, wy niewdzięczne... – i dodał po arabsku coś, czego przetłumaczenie nikogo by nie uradowało. – Ten list gończy za Carlem wystawiono wyłącznie dlatego, że on, zamiast się zgłosić na policję, haruje jak wół, by znaleźć waszego tatę. Wyjaśnienie tej sprawy postawił ponad wszystkim innym, włączając w to siebie.

– Całkiem możliwe – rozległ się głos w drzwiach do kuchni. Był to Claes Erfurt, nadgorliwy adwokat Victorii. – Ale nasza umowa przestaje obowiązywać, panie Mørck. Policja wyznaczyła za pana nagrodę, nie tak wysoką, jak za Sisle Park, ale wystarczającą, by potraktować poważnie oskarżenie wobec pana. Nie możemy sobie pozwolić na udzielanie schronienia poszukiwanemu zabójcy, musi to pan zrozumieć. Dajemy panu kwadrans na spakowanie się. Proszę się wynosić.

Powiedział, że „oni” nie mogą sobie pozwolić? Czyżby zajął już w tym domu honorowe miejsce u szczytu stołu?

Carl zwrócił się do dziewczynek i ich matki:

– Wasz tata jeszcze żyje, a nasza trójka to jedyni ludzie, którzy...

– Proszę opuścić dom. – Claes Erfurt stał teraz z komórką w dłoni, gotów, by zadzwonić.

Tego było już za wiele dla Assada, który do niego doskoczył i chwycił za gardło, tak że mężczyzna nagle zamilkł.

– Dawaj komórkę – powiedział, podczas gdy nalana twarz adwokata coraz bardziej bladła. Assad odwrócił się do Carla i skinął głową. – Powiedz im, co się teraz stanie.

Carl ukucnął przed dziewczynkami.

– Jesteśmy przekonani, że wasz tata żyje. W miejscu, gdzie przebywa, więziony jest też jeden z naszych najlepszych przyjaciół, widzieliśmy go na zdjęciach. Dlatego zrobimy wszystko, by zawczasu ich znaleźć. Potrzebna nam pomoc, ale kto jej nam

udzieli? Człowiek, który wysłał za mną list gończy, jest moim szefem. On też chce rozwiązać tę sprawę i wie, co się dzieje z waszym tatą, nie wie natomiast, że jeden z jego pracowników, nasz przyjaciel Gordon, też znalazł się w potrzasku. Chętnie byśmy mu o tym powiedzieli i chcielibyśmy, by do poszukiwania waszego taty oddelegowano kilka zespołów śledczych, ale nie wiemy, jak miałyby to nam pomóc. W tej chwili czekamy na telefon z południowej Jutlandii, który może okazać się decydujący, więc proszę, dajcie nam trochę przestrzeni. I nie, Lauro, nie zrobiłem tego, o co mnie oskarżają. Dowiodę tego, gdy już będzie po wszystkim.

– Victorio – wtrąciła się Rose – człowiek, którego właśnie unieruchomił Assad, nie ma czystych intencji, jeśli chodzi o uwolnienie twojego męża. Czy nie widzisz, że jest tobą ewidentnie zauroczony i tylko czeka, by zająć miejsce Mauritsa, gdy się dowiemy, że twój mąż nie żyje?

– Nie! – krzyknęła Laura. – Mamo, ja nienawidzę tego idioty!

– Będziemy musieli sprawić, by głęboko zasnął – powiedziała Rose do Assada. – Tak do jutrzejszego przedpołudnia.

Piątek, 25 grudnia 2020, pierwszy dzień świąt

GORDON

– Maurits, jesteś przytomny?

Gordonowi dokumentnie zaschło w gardle, wargi lepiły się do siebie. Ciekawe, czy w ogóle powiedział to na głos?

– Jesteś przytomny, Maurits? – spróbował jeszcze raz. W miarę upływu czasu wiecznie zapalone światło w pomieszczeniu wydawało mu się torturą i Gordon nie spał, odkąd go tu przeniesiono. Siedzący za nim van Bierbek był najprawdopodobniej tak osłabiony, że przez większość czasu pozostawał w półśnie. Gordon mu zazdrościł.

– Gdybym tak mógł osunąć się w niebyt, jak ty, Maurits – wyszeptał, bo pozostawanie w pełni świadomości było takie trudne. Gęsta ślina w ustach kojarzyła mu się z klejem, a kiedy od czasu do czasu udawało mu się ją przełknąć, miał wrażenie, że jego gardło jeszcze bardziej zasycha. Westchnął i poczuł odór swojego oddechu. Czy człowiek tak właśnie śmierdzi tuż przed śmiercią? Czy zgnilizna tocząca wewnątrz próbuje wydostać się na zewnątrz? – Maurits, słyszysz mnie? – spróbował po raz co najmniej dziesiąty tego dnia. A może nocy? Jak blisko drugiego dnia świąt się znajdowali? Czy minęła już północ? Czy zostały już tylko minuty?

Gordon cierpiał. Całe jego istnienie koncentrowało się wokół tego, by coś wiedzieć. Gdy był chłopcem, rodzice rozplýwali się nad nim i chwalili go, gdy potrafił przy stole błysnąć informacją nie pochodzącą ani ze szkoły, ani też od nich. Działało to na niego dopingująco, więc w domu rodzinnym chłonał wszelką wiedzę, która mogła mu przysporzyć podziwu i pochwał. Również w Departamencie Q dbał o ten aspekt swojej osobowości, który pozwalał mu traktować każde pytanie jak drobne wyzwanie w drodze do zrozumienia.

A teraz nie znał odpowiedzi na najprostsze pytanie. Poznanie dnia i godziny było kwestią absolutnie kluczową. Jedno spojrzenie na nadgarstek za jego plecami momentalnie rozwiązałoby ten problem, więc w tym momencie ów zwykły zegarek wskazujący datę i godzinę stanowił najważniejsze narzędzie we wszechświecie, bo mogło dać odpowiedź na pytanie, ile czasu zostało do ich śmierci. Zegarek był tak blisko, a jednocześnie stanowił najodleglejszy obiekt w całym kosmosie.

– Maurits, ocknij się, musimy porozmawiać – spróbował krzyknąć, aż w wyschniętym gardle zaboląły go struny głosowe. Tylko czy doczeka się reakcji?

Wstrzymał oddech i nasłuchiwał.

– Mmmm – rozległo się za jego plecami.

Gordon odwrócił głowę do Mauritsa Bierbeka i spojrzał prosto w jego podbiegłe krwią, szeroko otwarte oczy.

Skinęli do siebie głowami. Poczucie, że przez chwilę nie jest sam na świecie, przyprawiło Gordona o łzy w wysuszonych oczach.

– Czy to już? – spytał Maurits tak słabym głosem, że słowa przypominały bardziej szemranie.

– Jesteśmy sami – odparł Gordon. – Jeszcze nie teraz.

– Powiedzieli, że muszę poczekać na Mao. Wiesz, o co im chodziło?

Gordon się zafrasował, analizując w myślach pytanie Mauritsa. Co ma mu odpowiedzieć? Czy przejawem braku serca będzie unikanie odpowiedzi czy jej udzielenie?

– Czyli nie wiesz, Maurits?

Reakcja polegająca na nieskończeniu powolnym pokręceniu głową zajęła tamtemu całą wieczność.

– I chcesz wiedzieć?

– Tak, bardzo. – Po tej wypowiedzi dodał jeszcze ostrożne „proszę” i to zadecydowało.

– Mao urodził się dwudziestego szóstego grudnia. Właśnie tego dnia chcą to zrobić.

Gordona ogarnął wstyd. Powiedział „tego dnia chcą to zrobić”. Łudził się, że uniknie dalszych pytań?

– Czyli mnie zabijają? – padło ciche pytanie.

Gordon spojrzał prosto na niego i potaknął. Wtedy Maurits zamknął oczy i też skinął głową.

– Urodziny Mao, kiedy to jest? Czy drugi dzień świąt już blisko?

Wtedy Gordon zrozumiał, że Maurits nie odczuwa lęku. Zrezygnował, poddał się, może nawet chciał, by to się jak najszybciej skończyło.

Ale Gordon nie podzielał tych uczuć. Po ataku werbalnym na Sisle Park stosunek kobiety wobec niego się zmienił. Początkowo sądził, że to z respektu, ale porzucił tę myśl.

„Nie powinienem być jej tak dociskać. Należało trzymać język za zębami. Teraz ona nie pozwoli mi przeżyć, po prostu to wiem”.

– Umrzemy razem, Maurits – powiedział, próbując zapanować nad głosem. Chrypa, falset, kaszel – wszystko naraz.

– W dzień urodzin Mao? – Maurits się uśmiechnął. – Czy drugi dzień świąt już nie minął?

Gordon pokręcił głową. Na pewno nie, bo przecież byłoby już po nich.

Zamknął oczy i zmówił w duchu krótką modlitwę. „Dobry Boże, strzeż nas. Pozwól, by Carl, Rose i Assad przybyli na czas. Jestem za młody, by umrzeć, już Ci to tłumaczyłem. Jest tyle rzeczy, których nie osiągnąłem, więc pomóż nam, dobry Boże. Amen”.

Przez chwilę poczuł się dobrze, ale tylko przez chwilę.

– Urodziny Mao – usłyszał za sobą. – Nie rozumiem, wiesz coś o tym?

Gordon kiwnął głową, zwrócony plecami do rozmówcy.

– Tak, to jutro albo może już dziś. Straciłem poczucie czasu. Nie wiem, czy jest noc czy dzień.

Wtedy rozległo się stuknięcie od strony windy i Gordon podskoczył. Doliczył się pierwszego, drugiego i trzeciego kliknięcia; miał wrażenie, że przy każdym z nich przez jego organizm przepływał prąd, powodując drżenie ciała.

Nagle drzwi do windy się otworzyły.

Gordon zmrużył oczy, by złagodzić szok. A widok rzeczywiście go zszokował, bo rozpoznał postać. Była to Sisle Park.

Opuścił głowę na tyle, by móc spod rzęs obserwować jej ruchy.

Nic nie powiedziała, patrzyła tylko na nich, stojąc w bezruchu.

Właśnie tak powinno być, niech stoi. Niech się do nich nie zbliża. Nie teraz.

Wtedy rozłożyła ręce; Gordon wcześniej nie dostrzegł koca, który trzymała w ramionach i teraz rozkładała na podłodze.

Chwilę potem zdjęła wierzchnie okrycie, położyła się na podłodze i mozolnie, acz skutecznie nakryła się kurtką, po czym z westchnieniem poszła spać.

Sobota, 26 grudnia 2020, drugi dzień świąt

CARL

Minuty coraz bardziej się skracały, w miarę jak czas uciekał i ogarniała ich desperacja. Jeśli ktoś w domu tej nocy spał, to Carl w każdym razie tego nie zauważył.

Rose bez przerwy krążyła wokół swojej wygodnej sofy i zadreślała się, raz po raz spoglądając na zdjęcie przysłane im przez Sisle Park.

– Naszym jedynym punktem zaczepienia są te szyny i winda towarowa, Carl, nie ma niczego innego. Nie rozumiem, kiedy utknęliśmy w tym dochodzeniu? Czy przed covidem byłoby inaczej?

– Byłoby inaczej, gdyby dodatkowo nie trwały święta, nie mówiąc już o tej aferze ze mną.

Spojrzenie Carla powędrowało na szaroczną, dobiegającą już końca noc za oknem. Wkrótce wstanie anemiczne, grudniowe słońce i ogłosi nadejście dnia, w którym może się wydarzyć to, co nienazywalne. Dwóch zakładników, w tym jeden bliski przyjaciel, już raczej nie będzie żyć, gdy po południu słońce zacznie tracić przewagę nad ciemnością. Carl po raz enty spojrzał na zegarek, którego wskazówki uporczywie sunęły ku temu, co nieodwołalne. Był kwadrans po ósmej, a człowiek z Åbenrå jeszcze nie zadzwonił.

Wtedy Mørck wstukał w komórkę prywatny numer Marcusa Jacobsena.

Głos szefa Wydziału Zabójstw był zaspany, ale kolega od razu oprzytomniał, słysząc, z kim rozmawia.

– Nie spodziewałem się tego po tobie, Marcus – zagał Carl.

– Wzajemnie.

Mørck zwiesił głowę na piersi.

– Marcus! Przecież wiesz, czym jest domniemanie niewinności? Czy raz po raz nie wbijano nam tego do głów w Szkole Policyjnej i później?

– Owszem. Ale na wielu banknotach z walizki znaleziono twoje odciski palców.

– Tak, słyszałem. Tylko czy ty, kiedyś jeden z najlepszych detektywów, nie pomyślałeś może, że mógł je tam podłożyć Anker?

– Dlaczego, do licha, miałby to robić?

– Chyba sam możesz się domyślić, prawda? A na ilu banknotach znalazłeś odciski palców Ankera?

– Powiedziałbym, że na wystarczająco wielu.

– Na wystarczająco wielu? Dzięki za precyzyjną odpowiedź. Tylko wiesz co? Swoimi fałszywymi oskarżeniami dopuściłeś się utrudniania śledztwa prowadzonego przez Departament Q i pożałujesz tego, jeśli to się źle skończy. Lada moment Maurits Bierbek umrze i, do twojej wiadomości, choć pewnie już o tym wiesz, Sisle Park wzięła też Gordona jako zakładnika.

– Tak, wiem. Gdy wysłaliśmy za nią list gończy, przysłała nam zdjęcie, na którym widać ich obu w jednym pomieszczeniu, więc teraz szukamy go wszelkimi możliwymi sposobami.

– Pomyślałeś, że Gordon może zginąć?

– Nie sądzę, by istniało takie ryzyko, nie pasowałoby to do profilu Sisle. Pracuje nad tym sztab psychologów.

– Aha. Skoro wszystko wiecie, to może dobrze by było, gdybyśmy wam ostatni raz pomogli, co? Może również z uwagi na Mauritsa van Bierbeka i jego rodzinę.

– Znam cię, Carl, próbujesz negocjować, ale odpowiedź brzmi: nie. Nie licz na taryfę ulgową. Zatrzymamy cię w chwili, w której cię namierzemy, choćbyś nie wiadomo co wymyślił.

Carl nagle się zmiarkował. Powolność Marcusa. Jego próby odgadnięcia, co Carl powie, i zakwestionowania tego, zanim Mørck zdąży coś powiedzieć. Wiedział, że Carl będzie protestować i przedstawiać argumenty, a czas leciał. Wiedział!

– Marcus, wcale nie jesteś w domu, prawda? Jesteś w pracy? Czy teraz ktoś obok ciebie siedzi i próbuje mnie namierzyć?

– Oczywiście, że jestem w do...

Carl natychmiast zakończył rozmowę i spojrzał na stoper. Zajęła niecałe dwie minuty, więc na pewno nie dadzą rady go zlokalizować.

– Musisz coś zjeść. Nie da się myśleć, kiedy tak ci burczy w brzuchu – powiedział do niego Assad, który już trzymał talerzyk. Znajdowały się na nim resztki świątecznego jedzenia, które poprzedniego wieczora przyniosła im Laura. I choć Assad je podgrzał, to wysuszona kaczka i pieczeń wieprzowa z wygiętymi do góry krawędziami były ostatnią rzeczą, którą Carl miałby chęć zjeść na pusty żołądek.

– Assad, nic teraz nie przełknę, ale dziękuję. Może trochę później.

Wtedy w jego kieszeni zadzwonił telefon Laury; był to zarządca z Åbenrå.

– Tak! – krzyknął Carl do słuchawki.

– Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie. – W głosie mężczyzny pobrzmiwało autentyczne poczucie winy. Wcześnie, powiada? O której, do kurwy nędzy, wstają mieszkańcy Åbenrå?

– Znalazł pan coś? Niech pan powie, że tak!

– Owszem. Nie mam jeszcze pewności, gdzie te szyny zamontowano, ale mogę powiedzieć, że zlecenie złożył niejaki Adam Holme i że piętnastego i szesnastego października dwa tysiące szesnastego wykonał je monter z firmy, z którą już nie współpracujemy. Pomyślałem, że mógłby pan zadzwonić do tego Holmego, mam tu jego numer.

„Nie, nie, nie” – przemknęło Carlowi po głowie. Czas pędzi jak szalony.

– Ma pan tam nazwisko montera?

– Nie, ale może pan dostać numer do firmy, w której pracował. Ale dlaczego nie zadzwoni pan po prostu do Adama Holmego?

– Bo facet obecnie leży zwęglony obok swojej małżonki na stalowym stole w Instytucie Medycyny Sądowej. Ale dziękuję, będziemy mieli co robić.

Dostał numer do firmy montażowej, rzucił komórkę na stół i zaklął.

– Rose! – zawołał. – Podaj mi szybko namiary na firmę montażową o nazwie „Lang i Synowie”, mają siedzibę w Vanløse. – Następnie zwrócił się do Assada: – Teraz chętnie coś przekazuję.

Spojrzał na zastygły sos i pomyślał o szpitalu psychiatrycznym w Brønderslev, leżącym nieopodal domu jego rodziców. Jego mama przez kilka lat miała fuchę w tamtejszej kuchni i przynosiła do domu sporo podobnego sosu.

– Firma „Lang i Synowie” ogłosiła upadłość w dwa tysiące dziewiętnastym – odezwała się Rose. – W zeszłym roku wznowiła działalność pod nazwą „Synowie Langa”. Podam ci numer do Sigurda Langa, który jest obecnie dyrektorem administracyjnym.

Carl od razu wystukał numer.

– A ty, Rose, zadzwoń do kogoś innego z firmy. Musimy za wszelką cenę ruszyć z miejsca.

Sygnał trwał w nieskończoność, po czym włączyła się poczta głosowa.

– A jak u ciebie, Rose? – zawołał.

– Poczta. Firma jest zamknięta na czas świąt, wracają do pracy czwartego stycznia.

– Rany boskie! – wybuchnął i dał sobie spokój z zastygłym sosem. – Znajdź prywatny adres tego dyrektora, pojedziemy tam.

– Nie został podany!

– Ilu facetów może się nazywać Sigurd Lang? To nie powinno być trudne.

– Zadzwoń do kobiety o nazwisku Gerda Lang, która mieszka w Hvidovre. Może go zna – odparła Rose.

„Dobry Boże, niech lepiej tak będzie” – pomyślał Carl.

Po minucie Rose się ożywiła.

– Tak, tak, tak! – powtarzała. – Tak, tak, tak!



Po zakończeniu rozmowy zwróciła się do Carla i Assada:

– Gerda jest matką trzech synów, którzy przejęli firmę. Powiedziała mi, że na pewno nie montowali takich szyn, bo zajmowali się w firmie czymś zupełnie innym. A wiedziała to, bo to ona nią zarządzała przez ostatnie lata, gdy jej mąż zachorował, a potem zmarł. Takie zadania wykonywali dla nich dwaj Polacy, którzy jeździli w różne miejsca, mając się dorywczych prac dla różnych firm zajmujących się montażem.

Carl poczuł, jak rośnie mu ciśnienie. Polscy robotnicy dorywczy? Przecież oni są wszyscy katolikami i już dawno porozjeżdżali się do domów, by świętować z rodzinami we Wrocławiu, Katowicach czy skąd tam, u licha, pochodzili.

Złapał się za głowę.

– Nie dostałaś przypadkiem kontaktu do tych dwóch?

– Owszem, dostałam. Jeden z nich mieszka w Danii. Nazywa się Jurek Jasiński i mieszka w...

Nagle rozległ się głośny brzęk i oboje odwrócili się do Assada, który stał przed nimi z pustymi rękami, z potłuczonym talerzem u stóp i brązowym sosem na obu butach.

– Rose, powtórz. – Jeszcze nigdy nie widzieli u niego tak wielkich oczu. Parę milimetrów więcej i wypadłyby z orbit.

– Jurek Jasiński, mieszka w...

– Chodźcie oboje – zakomenderował i ruszył do drzwi tarasowych, zostawiając za sobą brązowe ślady z sosu.

Assad kartkował notes, podczas gdy Carl wciskał gaz do dechy w alfie romeo Victorii.

– Jurek Jasiński to ten sam człowiek, do którego wczoraj dzwoniłem, by wypytać go o metalowe krzesła. Niewiarygodne! Pierwotnie odwiedziłem go siódmego grudnia, by dowiedzieć się czegoś więcej o Olku Dudku, któremu wykrawarka odrąbała obie dłonie. Wtedy mi powiedział, że musiał wyjechać do Kopenhagi po tym, jak go zwolniono, ale nie dowiedziałem się, czym się zajmuje.

Carl ledwie kontaktował.

– Nikt nie mógł wiedzieć, że jakiś Maurits Bierbek zostanie uprowadzony pięć dni po twoim spotkaniu z tym człowiekiem, Assad, więc nie ma co blednąć – powiedziała Rose.

– Mogłem go zapytać, co robił po tym, jak przestał pracować u Olka Dudka.

– I co by to dało? Przecież Gerda Lang nam powiedziała, że on i ten drugi Polak tylko przez krótki czas pracowali dla nich jako monterzy. Od tamtej pory na pewno zdążył już popracować w wielu miejscach.

– Dlaczego, do kurwy nędzy, on nie odbiera telefonu? – burknął Carl. – Jeśli pojechał na święta do Polski, to chyba mnie rozniesie.

– Niestety, Carl, może tak być. Miał dość wyluzowany stosunek do koronawirusa. Kiedy u niego byłem, żaden z nas nie miał na ustach maseczki. Z drugiej strony, gdy do niego dzwoniłem i pytałem o te metalowe krzesła, był pijany jak belka.

Cała trójka westchnęła głęboko, gdy ich auto zatrzymało się przed niedużym domkiem z gazobetonu. Ani jedno okno nie było oświetlone. Wycieraczka pod drzwiami wejściowymi leżała odrzucona na bok, częściowo zakrywając rabatę.

Na podjeździe nie widać było samochodu, ze sfatygowanej skrzynki na listy wystawały reklamy, które musiały tak tkwić od kilku dni, wysmagane wiatrem i mrozem.

Zadzwonili do drzwi, potem załomotali. Zajrzeli przez okna, ale nic się nie wydarzyło.

Gdy siedzieli z powrotem w samochodzie i Carl odpalił silnik, poczuł w gardle tak silny nacisk, że bezustannie musiał przełykać ślinę.

– Czekaj! – zawołała Rose i wskazała na drzwi wejściowe, z których spoglądał na nich zaspanym wzrokiem wymięty typ o tłustych ognistorudych włosach, ubrany w niezapięty szlafrok i wzorzyste bokserki.

Sobota, 26 grudnia 2020, drugi dzień świąt

SISLE

Obudziła się z pozbawionego marzeń snu i przeciągnęła się z zadowoleniem, próbując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje i dlaczego leży na betonowej podłodze.

W pewnym oddaleniu dwie postaci zwisały bezwładnie z krzeseł. Osobnik na pierwszym planie z przymkniętymi oczami, ten drugi chyba nieprzytomny.

Spojrzała na zegarek i się zdziwiła. Czy faktycznie dochodziło wpół do dwunastej? Już dawno tak długo nie spała.

– Tak, tak – powiedziała do siebie. Poprzedni dzień był całkiem udany. Skutecznie zamknęła za sobą ciężący jej życiowy rozdział, a za chwilę sprawdzi w internecie, co piszą o pożarze. Miała nadzieję, że wspomną o ofiarach śmiertelnych. – To smutne, ale przecież ich ostrzegałam – stwierdziła i wstała, podnosząc z ziemi pled, na którym spędziła noc.

Odwróciła się do stołu i spojrzała na stojące na nim przeróżne specyfiki. Strzykawki były gotowe, worek infuzyjny wisiał na stojaku, roztwór soli miała przygotowany w kanistrze, więc reszta była tylko formalnością.

– Dobry Boże – powiedziała. – Dziękuję Ci za jasność umysłu, którą mnie obdarzasz. Za to, że jestem sprawiedliwym narzędziem w Twoich rękach w czasach, gdy na ziemi rządzi Szatan. Dziękuję, że dajesz mi siłę i że nauczyłeś mnie prawdy o ludzkiej podłości. Że rozpoznaję kłamstwo, gdy się na nie natknę. Niektórzy mówią, że egoizm trzeba wybaczać, bo nie ma na niego lekarstwa. Ale Ty i ja znamy prawdę. Lekarstwo istnieje i jest nim śmierć. – Odwróciła się i uniosła ręce nad głowę. – Tu przede mną siedzą dwie istoty ludzkie, w których zagnieździł się Szatan i które zdane są na Twoją łaskę za moją sprawą jako Twojego giermka. Będę je prowadzić, dopóki nie zrozumieją swojego świętokradztwa i bez wahania pójdą na spotkanie ze śmiercią i piekłem przepełnione żalem, który Ci się należy.

Podeszła bliżej i pochyliła się nad wycieńczonym ciałem Gordona Taylora.

– Jesteś przytomny, Gordonie, to dobrze. Będiesz moim świadkiem, że wszystko przebiegnie w godny sposób.

Podniósł do niej twarz. Była pełna gniewu, jego usta drżały.

– Za chwilę podam wam obu odrobinę kroplówki, dzięki której się ożywiecie. Jedno małe ukłucie, które pozwoli organizmowi funkcjonować tak długo, jak będzie mi to

potrzebne. Zacznę od Mauritsa, bohatera dzisiejszego dnia, bo wygląda, jakby jej potrzebował.

Podeszła do stołu i chwyciła statyw z kroplówką. Nie ulegało wątpliwości, że ten roztwór obudzi Bierbeka w kilka sekund. Pomógł szybko ocucić nawet bliskiego śmierci Franca Svendsena, i to tak skutecznie, że zaczął błagać, by go oszczędziła. Było to bardzo satysfakcjonujące i Sisle miała nadzieję, że scenariusz powtórzy się w przypadku Bierbeka.

Czuła, że Gordon Taylor zabija ją wzrokiem przy każdym jej kroku, a gdy go mijała, słyszała, że mężczyzna coś mamrocze, ale nie zrozumiała jego słów.

Igła weszła jak w masło w najgrubszą żyłę na grzbiecie dłoni Mauritsa. Im był chudszy, tym naczynia krwionośne wyraźniej odznaczały się pod skórą, a Sisle wyjątkowo sobie ceniła ten efekt uboczny głodówki. Wszystko powinno pójść gładko, również pierwszy krok.

Ukucnęła przed mężczyzną i czekała. Niemal niezauważalne ruchy gałek ocznych powinny się wzmóc po upływie minuty, ale gdy ta minęła i nic się nie zdarzyło, Sisle zwiększyła nieco przepływ w kroplówce.

Po kilku minutach Bierbek wydał z siebie coś w rodzaju cichego westchnienia, ale Sisle się ono nie podobało. Wcześniej nie zajmowało to tyle czasu.

– No już, Maurits – poganiała, uderzając go po policzku.

– Zdzira – rozległ się za jej plecami szept.

Odwróciła się na czubkach palców i pochwyciła spojrzenie Gordona.

– Do mnie mówisz? – spytała.

– Tak, ty szmato – powtórzył słabym głosem.

Sisle wstała.

– Być może tkwisz w błędnym przekonaniu, że ujdiesz z życiem. Ale, panie Taylor, obraziłeś mnie swoimi diabelskimi, szyderczymi słowami i za to musisz podzielić los Mauritsa. Rozumiesz, co mówię?

Skinął głową, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił. Ani śladu żalu ani lęku.

Tymczasem Bierbek zaczął oddychać krótkimi haustami. Może dała mu już więcej, niż planowała. Dосkoczyła do niego i zablokowała zacisk na wężyku, by zatrzymać przepływ cieczy.

– Maurits, budź się! – zawołała, potrząsając Bierbekiem, aż głowa zakołysała mu się na szyi. Wyglądało to na reakcję alergiczną, z tym że Sisle nie wiedziała, co ma robić w takiej sytuacji.

Znów ukucnęła przed mężczyzną, ujęła go za rękę i zaczęła ją głaskać, jakby był dzieckiem, które nie może przestać płakać.

– No już, Mauritsie. Wiem, że mnie słyszysz, nie bój się. Już dobrze, już dobrze.

Kontynuowała tak przez dłuższy czas, a mężczyzna za jej plecami nieprzerwanym szeptem nazywał ją zdzirą. Pomyślała o Adamie i o tym, jak zawsze dbał o spokój.

– Ale już go dłużej nie potrzebuję – powiedziała na głos i zaczęła głąskać Mauritsa Bierbeka po głowie. – Posłuchaj, co mam do powiedzenia, Mauritsie, to ważne. Tak dobrze to przygotowałam, że musisz.

Wyjęła kartkę i zaczęła głośno czytać, ujmując znów rękę Mauritsa i głaszcząc ją.

Gdy wyraźniejsze oznaki życia się nie pojawiły, przestała czytać.

– To Szatan wpycha między nas swój rogaty łeb – powiedziała, unosząc oczy do sufitu. – Dobry Boże, powstrzymaj go i pozwól Mauritsowi wrócić w miejsce, w którym przebywamy. Niech odzyska przytomność umysłu. Niech wróci, by przyjął moje słowo.

Po upływie niemal półgodziny, a minęła już dwunasta, pierwszy raz przez te wszystkie lata Sisle miała wrażenie, że Szatan ją zwodzi. Jeszcze nigdy nie czuła tak blisko jego śmiertelności oddechu. Odwróciła się więc do Gordona, spojrzała na jego przymknięte oczy i zrozumiała, że to w nim Diabeł znalazł schronienie.

Wyjęła igłę z ciała Mauritsa i po upływie pół minuty wsunęła ją w rękę Gordona, schowaną za plecami. Wyprostował palce, próbując się bronić, ale jego instynkt samozachowawczy nie działał na tyle dobrze, by policjant mógł coś wskórać.

Tym razem po zaledwie minucie oczy Gordona rozwarły się szeroko. Zakaszłał, odchrząknął, zaczerpnął powietrza i z każdym oddechem zaczęły mu wracać siły i chęć do życia.

Zaczął bębnić nogami, choć były skrępowane. Kolana podskakiwały w górę i w dół, a po chwili zaczął oddychać jak ktoś, kto zbyt długo wstrzymywał powietrze pod wodą i wreszcie wypłynął na powierzchnię.

– Dobrze, panie Taylor. Przynajmniej wiem, że to działa. – Poklepała go po policzku, wyjęła igłę i wkłuła z powrotem w żyłę Bierbeka. – Twoja kolej, Maurits – oświadczyła, sprawdzając palcami jego tętnicę szyjną i odliczając ze wzrokiem utkwionym w zegarku.

Tętno było słabiutkie, ale rytm serca stabilny. Wydało jej się też, że policzki mężczyzny nabrały kolorów. Może potrzeba było pół godziny, niech będzie.

– Zostaw nas w spokoju – usłyszała zza pleców. Głos był wyraźny i ostry.

– A ty stul pysk. Jeśli nie przestaniesz, znów cię szybko uciszę, panie Taylor.

– Zostaw nas i idź sobie. Pospiesz się i uciekaj do dżungli na drugim końcu świata, inaczej pożałujesz.

Sisle się uśmiechnęła. To nawet zabawne kończyć czyjeś życie w takiej atmosferze, jeszcze tego nie próbowała.

– Sisle Park, ścigają cię, a gdy zostaniesz schwytana, to wiesz, że nikt się nad tobą nie ulituje. Nie ma już dla ciebie powrotu do normalnego życia.

Park pokręciła głową pobłaźliwie.

– Może sobie myślisz, że Departament Q pokrzyżował mi plany, ale się mylisz. Pomogliście mi podjąć istotne decyzje. Kiedy już ty i twój koleżka będziecie sztywni i zimni, zamierzam posłuchać twojej rady, więc dzięki.

– Zgnij w tej swojej dżungli, ty szmato. I tak cię znajdą, jeśli wcześniej nie szczeźniesz.

Zaśmiała się.

– Drogi przyjacielu, wszystko już przygotowane. Wynajęty samolot do Polski, stamtąd wynajęty samochód do Brukseli, z której mam połączenie lotnicze z Nigerią. Całkowicie pozbawiony kręgosłupa i skorumpowany kraj, który chętnie przyjmuje milionerów z sensownym paszportem w kieszeni. Do tego Nigeria jest duża, oferuje wiele możliwości. Zobaczysz, czeka mnie tam ciekawe życie.

Poznawała to po nim. Jego mózg nie był jeszcze w pełni gotowy, by pojąć istotę tego, co mu mówiła. Czy będzie kontynuować swoją krucjatę po drugiej stronie globu? Czy zacznie zabijać na obcym terenie?

– Widzę, że myślisz aż się kurzy, Gordonie. Odpowiedź jest prosta: tak, zamierzam kontynuować.

Mężczyzna westchnął głęboko. Jego wychudzona twarz wyrażała wyłącznie bezsilność, właśnie o to jej chodziło.

– Wszystko, co robisz, jest bluźnierstwem – powiedział ochryple. – Znieważasz Boga, do którego się modlisz. Nie znasz dziesięciu przykazań, Sisle Park? Chyba nie znasz, skoro dokonujesz na nich gwałtu.

– Ćśśś, bądź cicho. Nie słyszysz? Maurits zaczął głębiej oddychać.

– Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną, a ty sama jesteś dla siebie bogiem. Nie będziesz brał imienia Pana Boga swego nadaremno, a ty robisz to cały czas. Pamiętaj, abyś dzień święty święcił, tymczasem i Palle Rasmussen, i Franco Svendsen zostali zamordowani w niedzielę. Nie zabijaj! Mam powtórzyć, Sisle? Nie zabijaj!

– Och, słyszę, że znasz katechizm. Ale pomyśl o tych wszystkich przypadkach, w których Bóg wybrał swoje sługi, by zabijały. Jestem jednym z Jego aniołów na ziemi, które...

Nagle Maurits Bierbek słabo zakaszłał.

– Jesteś, Mauritsie? – spytała i jeszcze raz uderzyła go otwartą dłońią w policzek.

– Mmm – odpowiedział.

Sisle zdecydowanym krokiem podeszła do stołu i napełniła obie strzykawki śmierniczością substancją. Płyn wyglądał niewinnie, przezroczysty jak woda, taki życiodajny.

Następnie podłączyła gruby wężyk do dużego kanistra z roztworem soli. Kiedy obaj już będą martwi, włoży im go tak głęboko do gardeł, jak tylko się da. Na każdego przypadnie od trzech do czterech litrów roztworu. Nie będzie to tradycyjne balsamowanie, ale symbolika nie pozostawia nic do życzenia. Na końcu wysypie jeszcze po górcie soli na podłogę przy każdym z krzeseł.

Za chwilę Maurits spojrzy na nią przytomniejszym wzrokiem. Wtedy poda mu kolejną małą dawkę kroplówki, a potem odczyta jego wyrok śmierci.

Jeszcze trochę i będzie mogła kontynuować.

A za godzinę już jej tu nie będzie.

Sobota, 26 grudnia 2020, drugi dzień świąt

CARL

Jurek Jasiński pił nieprzerwanie od dnia poprzedzającego Wigilię, bo baba nie dawała mu żyć. Półtorej butelki osiemdziesięcioośmioprocentowej wódki Balkan 176 potrafiło człowieka nieźle zwalić z nóg, ale Jurek uwielbiał ten efekt.

Po trwających ponad tydzień kłótniach poczuł, że ma dość, i na stół wjechało dodatkowych dziesięć eleganckich, smukłych butelek, które miały doczekać przyszłego roku. Pijaństwo rozpoczęło się na dobre.

Następnego dnia żona zostawiła oburzonego Jurka na pastwę losu i pojechała pociągiem do Horsens, gdzie mieszkała jej siostra z mężem.

Tak oto w całej swej prostocie brzmiało wyjaśnienie Jurka, który tłumaczył, dlaczego od razu nie zareagował na łomotanie do drzwi.

Zataczał się, prowadząc ich do salonu cuchnącego potem, papierosami i wódą.

– Może po maluchu? – Uśmiechnął się krzywo i nie czekając na odpowiedź, wlał sobie w gardło kolejny kieliszek. Facet naprawdę potrafił z godnością trwać w stanie upojenia.

– Pamięta mnie pan, panie Jurku? – spytał Assad.

Polak skinął głową i zaśmiał się, pryskając śliną.

– Pogawędka o metalowych krzesłach i Olku Dudku? Co jeszcze chce pan wiedzieć o tym dupku?

– Proszę spojrzeć na to zdjęcie! – Assad przysunął mu pod nos zdjęcie przesłane przez Sisle Park przedstawiające obu więźniów. – Niech pan nie patrzy na nich, ale na szyny na suficie. – Podał mu inną fotografię, tym razem z powiększeniem tej części pomieszczenia, gdzie widać było szyny.

– Co to ma być? – Jurek przetarł zamglone oczy i sięgnął po okulary, walające się gdzieś między petami papierosów i zużytymi kawałkami papieru kuchennego.

– Panie Jurku, niech pan nie patrzy na tych ludzi, tylko na szyny. Czy to prawda, że kilka lat temu montował je pan wraz z kolegą?

– Kilka lat temu? – Teraz Jurek wyglądał jak ktoś, kto potrzebuje trunku mocniejszego niż jakiś tam Balkan 176. – Te szyny? – Wskazał je palcem pożąłkłym od nikotyny. – Powiem wam, dlaczego je pamiętam. Siedziały, cholery, za blisko



siebie. Jeśli miały być używane do podnoszenia towarów, to dlaczego, kurwa, musiały być zamontowane tak blisko siebie?

Carl na chwilę wstrzymał oddech.

– Czyli je pan rozpoznaje? – spytał, czując, jak jego tętno pnie się do góry.

– Gówniany pomysł, by montować je w takiej odległości – wybełkotał Jasiński.

Teraz trzeba było tylko pobudzić do pracy jego zwoje mózgowe.

– Musimy jak najszybciej się dowiedzieć, gdzie je pan zainstalował. Nie znamy adresu, a jeśli go nie otrzymamy, obaj mężczyźni ze zdjęcia umrą. – Assad zawahał się i westchnął. – O ile już nie jest za późno.

– To pewnie jakieś dupki? – Jurek zarechotał.

– Jeden z nich to nasz człowiek, więc nie, nie obaj. No, dalej! Wie pan, gdzie to jest?

– spytał Carl, którego kusiło, by chwycić gościa za poły szlafroka i wytrząsnąć z niego resztki alkoholu, ale w sukurs przyszła mu Rose.

– Jest pan przystojnym mężczyzną, panie Jasiński. Jestem pewna, że pańska żona głupio zrobiła, zostawiając pana samego na święta. Ale skoro i tak jej nie ma, to może miałby pan ochotę zarobić tysiąc koron i po prostu pić dalej, dopóki ona nie wróci. Co pan na to? – Zamachała mu banknotem pod nosem.

– Że niby co mam zrobić? – mruknął.

– Powiedzieć nam, gdzie pan zamontował te szyny. Niech pan pomyśli!

Mężczyzna nachylił się do przodu, przyciskając do klatki piersiowej założone ręce, aż wódczany oddech wionął na cały regulator i nieomal nie zwalił Assada z nóg.

– Gdzie to było, gdzie to było? Kurwa, kurwa! – Potarł skronie i pokręcił głową, jakby miało to pomóc uporządkować kolejność wydarzeń.

– Czy to było w Kopenhadze? – dopytywała Rose, machając banknotem.

Jurek potaknął.

– Montowaliśmy je aż trzy dni, bo baba, która złożyła zamówienie, codziennie wywalała nas do domu po paru godzinach, a beton, z którego zrobiony był sufit, był całkiem gówniany.

– Gówniany?

– Gówniany, nie zna pan tego słowa? Był tak chujowo twardy, że...

– Gdzie, panie Jasiński? Gdzie? Tylko to chcemy wiedzieć – upierała się Rose, powoli wkładając banknot do portfela.

– Stop, stop! To było trochę za Kopenhagą, przy autostradzie. Nie rozumieliśmy, o co chodzi z tym budynkiem, bo nie był gotowy. Znajdowała się w nim winda, a pod ziemią zbudowano kilka poziomów, za to nad ziemią był tylko jeden. Można by pomyśleć, że to Warszawa tuż po wojnie. Było tam więcej nieskończonych budynków.

Rose przyłożyła banknot do jego czoła.

– Jak daleko od autostrady? W stronę Helsingør czy Hillerød? Myśl, człowieku!  
– Nie jedź tak szybko – ostrzegł Assad. – Nie jedziemy autem policyjnym.  
– No chyba jednak jedziemy – zaoponował Carl.  
– Niby tak, ale tamtejsza policja o tym nie wie i zatrzyma nas, bo jedziesz sto osiemdziesiąt na godzinę alfą romeo bez koguta na dachu, a wtedy cię schwytają. Zwolnij, Carl.

Rose pacnęła go w ramię z tylnego siedzenia.

– Gazuj, Carl. Wprawdzie Assad ma rację, ale...

Carl się pocił. Wiedzieli mniej więcej, gdzie znajduje się budynek, i również mniej więcej, jak wyglądał pięć lat temu. Ale co, jeśli budowę ukończono? Jurek Jasiński opisał samotny, biały, betonowy budynek, zlokalizowany naprzeciw tego, którego szukali. Kilkakrotnie korzystali tam z toalety, ale ten gmach nie wyróżniał się niestety niczym charakterystycznym.

– Zobaczycie go z autostrady, trudno go przeoczyć. – I tak dostał te swoje tysiąc koron.

– Wciąż nie mogę pojąć, jakiego mieliśmy farta, że Assad już znał tego faceta. Jakie było prawdopodobieństwo? – dziwiła się Rose.

– Kiedy w grę wchodzi polscy robotnicy, wszystko jest możliwe – odparł Assad. – Nie znacie historii o stadzie wielbłądów, które chciały zaadoptować osła, bo myślały, że to uczyni je bardziej interesującymi? Aha, nie znacie, w każdym razie znalazły...

– Tam! Carl! – zawołała Rose. – Spójrzcie tam! Budynek wygląda jak ruiny po World Trade Center. Po jednej stronie wznosi się na wysokość drugiego piętra, podczas gdy mur po przeciwnej ledwie sięga pierwszego.

– To się zgadza z jego opisem? – Carl nie miał pewności i nie rozpoznawał budynku.

– A coś innego ci pasuje? To pierwszy budynek tego rodzaju na całym dotychczasowym odcinku. Skręcaj, Carl, od razu, jeszcze zdążymy.

– W takim razie historię o osle usłyszycie przy innej okazji. Rose ma rację, Carl. Ten dom wygląda jak ten zapamiętany przez Jurka.

Carl skręcił w kolejny zjazd i z piskiem opon wjechał w dzielnicę przemysłową.

– Widzicie go? Ja nie! – zawołał lekko spanikowany. Zobaczyli przed sobą co najmniej dwadzieścia budynków, wprawdzie nieidentycznych, ale bardzo do siebie podobnych, a pomiędzy nimi wiły się chaotycznie wąskie uliczki. Był to ten rodzaj dzielnicy przemysłowej, które powyrastały w Danii od lat sześćdziesiątych i wpadły w pułapkę własnej brzydoty. – Powiedzcie mi, dlaczego w tej dzielnicy jakiś budynek nie zostaje ukończony? – spytał Carl, próbując po kolei wjechać w liczne boczne uliczki.

– Kiepskiej jakości materiały potrafią przystopować każdą budowę – odparł Assad.  
– Tak jak ten nowo postawiony wieżowiec na Amager, gdzie podobno betonowy fundament nie jest w stanie unieść wszystkich pięter – dodała Rose.

– Tak, albo po prostu zabrakło pieniędzy – rzucił Assad.

– A co na to twoja lista nieruchomości? Czy Sisle interesowała się tu jakimś budynkiem? – spytał Carl.

Kudłacz pokręcił głową.

– Już dawno to sprawdziłem, nie interesowała się. Ale mogła go wynająć.

Carla przeszły ciarki.

– Kto, oprócz psychopatki pokroju Sisle Park, wpadnie na pomysł, by wynająć takie miejsce wyłącznie po to, by w nim zabijać?

– Tam, po prawej, Carl. – Rose wskazała palcem.

Teraz go zobaczył. Betonowy budynek sprawiałby wrażenie całkiem opuszczonego, gdyby nie to, że okna i drzwi na parterze były w stanie nienaruszonym. Otaczał go duży parking, a napis na szyldzie głosił, że można tu wynająć miejsce na cały rok. Cena za standardowe parkowanie wynosiła pięć tysięcy koron rocznie. Obecnie, w czasie świątecznym, panowały tu pustki, ale dzielnica przemysłowa była tak gęsto zabudowana, że w dni powszednie parking z pewnością był bardzo oblegany. Carl ocenił, że przynosił roczny zysk rządu co najmniej trzech czwartych miliona. To też niezły biznes.

– O nie! – zawołał Assad z rozpaczą. – Już wiem, co to jest. To Sisle jest właścicielką tego miejsca. Po prostu zostało jej sprzedane jako parking. Nie przyszło mi do głowy, że pośrodku parkingu może stać taki budynek. Gdybym to sprawdził...

Nic dziwnego, że był smutny.

Carl zatrzymał się przed wejściem do budynku. Gdyby nie prowadziły do niego trzy schodki, zapewne rozwaliby je, wjeżdżając z impetem.

Rose stała już przy drzwiach, szarpiąc za klamkę. Oczywiście zamknięte.

– Może jest tam alarm! – zawołał Carl. – Jeśli włamiemy się do budynku, Sisle dostanie ostrzeżenie.

– Tak, jeśli jest w środku, przecież tego nie wiemy.

– Nie, ale wystarczy sprawdzić, gdzie teraz znajduje się winda, to będzie jakaś wskazówka. Jeśli zjechała na sam dół, Sisle może tam przebywać – stwierdził Carl.

Assad wskazał w górę.

– Patrzcie tam!

Cała trójka spojrzała na południową ścianę, wznoszącą się nad płaskim betonowym dachem. Mur stanowił jedyny dowód na to, że budynek pierwotnie zaplanowano jako wielopiętrowy. Od strony południowej gmach musiał wyglądać na wyższy o jedną

kondygnację, ale stąd widać było, że to iluzja, tak jak wioski potiomkinowskie czy fasady w hollywoodzkim studiu.

– Co widzisz, Assad?

– Z dołu nie bardzo widać, po co postawiono tę ścianę, ale nie sądzicie, że może się przy niej mieścić szyb windy?

Cała trójka pomyślała o tym samym, gdy rzucili się biegiem wokół budynku.

– Jak tam wejść? – zawołała Rose.

Południowa ściana w każdym razie nie udzieliła odpowiedzi na to pytanie, więc pobiegli dalej za budynek i natknęli się na złomowisko.

Cały teren między gmachem a płotem, który dziesięć metrów dalej otaczał teren, wypełniony był bloczkami betonowymi, śmierdzącymi materiałami izolacyjnymi, zbutwiałymi europaletami, zardzewiałymi teownikami i drutem kolczastym rzuconym byle jak wraz z przypadkowymi śmieciami na hałdy wysokie na kilka metrów. Dobitny dowód na to, jaki niechlujny deweloper stał za wzniesieniem tego budynku.

– Nie da się tędy przejść, Assad! – zawołał Carl. Ale kudłacz już złapał trop i zniknął.

Carl stał przez chwilę, rozglądając się.

– Gdzie on się podział? Rose, widzisz go? – spytał.

Rose pokręciła głową i przestraszonym wzrokiem spojrzała na zegarek.

– Nie możemy zadzwonić po posiłki? Przecież musimy wejść do środka.

Mørck skinął głową i wyjął komórkę. Czyli tu kończy się jego przygoda. „Moje ostatnie chwile na wolności” – pomyślał i już miał wybierać numer, gdy Assad krzyknął do nich z góry, że stoi na dachu.

– Rozsuńcie te dwie palety, co się o siebie opierają. Carl, stoisz jakieś cztery, pięć metrów od nich.

Komisarz spojrzał w górę i dostrzegł kudłacza wychylającego się nad kantem dachu.

– Tak, tędy – powiedział, wskazując ręką. – Winda na parterze jest zabita na głucho, ale można wejść na dach po schodach. Drzwi na piętro są otwarte, a dźwig tu na górze wygląda na sprawny. Tyle że jest zamknięty na klucz.

Wszyscy troje znajdowali się już na dachu i przyglądali się zamkowi w windzie. Sprawiał wrażenie zupełnie standardowego, takiego, który zapewne wystarczyłoby przekręcić, by kabina ruszyła do góry i drzwi otworzyły się automatycznie. Ale kto miał klucz? W każdym razie nie oni.

W skupieniu rozejrzeli się po betonowym dachu. Walało się tu co najmniej dwadzieścia palet, worki stwardniałego betonu i sporo stali zbrojeniowej. Budowę zapewne opuszczono z dnia na dzień. Typowa historia dewelopera, który mierzył zbyt wysoko i zbankrutował.

– Musi być tu coś, co można by wbić w ten zamek – stwierdził Assad, ale Rose się wahała.

– Nawet jeśli miałyby się to udać, Assad, to winda ruszy do góry i ostrzeże Sisle.

Carl się z nią zgadzał, ale co im pozostało?

– Jeśli Maurits i Gordon jeszcze żyją, to musimy spróbować. Może Sisle nie dopuści się niczego drastycznego, wiedząc, że została zdemaskowana.

– Może – prychnęła Rose. – Szkoda tylko, że żadne z nas nie jest uzbrojone. Czym ją powstrzymamy, jeśli dotrzemy na dół, a ona będzie na nas czekać?

– Tym – rozległo się za jej plecami. Assad stał w odległości kilku metrów od nich z pękiem pociętych kawałków stali zbrojeniowej w ręce.

– Assad, masz czym rozwalić ten zamek? Inaczej daleko z tymi szpikulcami nie zajdziemy.

– Tak, proszę – odparł, tryumfalnym gestem unosząc pas ciesielski.

Rzucił pas Carlowi, który włożył rękę we wszystkie kieszonki i nie znalazł w nich nic poza pustym pudełkiem cukierków Gajol i paczką prince'ów z jednym papierosem w środku.

– Przecież tu nic nie ma.

Assad podał mu szpikulce i wziął pas.

– Carl, widzisz pnie drzew, a nie widzisz lasu. Patrz!

Podniósł pas pod nos Carla i wskazał na szpilkę przy sprzączce, którą przewleka się przez dziurkę w skórzanym pasku.

– Stal nierdzewna, naprawdę porządna jakość – powiedział, wskazując na markę. Potem podniósł z ziemi bryłę betonu i za jej pomocą wbił płaską końcówkę szpilki w zamek. – Czasem to potrafi załatwić sprawę, czasem nie – stwierdził nerwowo. Odczekał chwilę, spoglądając na silnik windy, który nie zareagował. Potem nabrał powietrza w płuca, chwycił za samą sprzączkę i zaczął nią kręcić. Kilka sekund później okazało się, że i to nie pomogło, więc Carl znów sięgnął po komórkę, by zadzwonić po posiłki.

– Czekaj! Jeszcze nie skończyłem – powstrzymał go Assad.

Może Carl miał nadzieję, że zamek ustąpi z efektownym szczękiem metalowych elementów, które się od siebie odrywają, i że silnik nad ich głowami ruszy z pomrukiem, ale tak się nie stało.

– Myślę, że jest już gotowa – powiedział Assad ku jego zaskoczeniu i włożył rękę do kieszeni. Pęk kluczy, który z niej wyjął, nie prezentował się jakoś szczególnie, jeśli człowiek się na tym nie znał, ale Assad wyłuskał spośród nich jeden konkretny i pokazał go Rose i Carlowi. – To nie jest klucz do bumpingu, ale blisko. Zasadę

znacie. Klucz z regularnymi, małymi nacięciami, który wkłada się do zamka, a potem ostrożnie i delikatnie się go uderza i szybko przekręca w prawo, by rozdzielić bolce.

Carl i Rose niepewnie kiwnęli głowami.

– Ale skoro nie mam takiego klucza, to używam tego. Spójrzcie, zębki nie są zbyt wysokie. To klucz od skrzynki z jednego z miejsc, w którym mieszkałem przed powrotem mojej rodziny.

Włożył go ostrożnie do zamka.

– Wcześniej chciałem się tylko upewnić, czy bolce są wystarczająco luźne. Teraz już są.

Carl wstrzymał oddech, gdy Assad parę razy ostrożnie uderzył w klucz i tuż po uderzeniu próbował go przekręcić.

Po wielokrotnych bezowocnych próbach kudłacz zaczął się pocić, a Carl włączył swój telefon i zadzwonił do Marcusa Jacobsena.

– Tak, jak tam, Carl? – odezwał się od razu szef Wydziału Zabójstw. – Jesteś gotów, by się zgłosić?

– Tak, przecież muszę – odparł Mørck.

– Yeeeeees! – krzyknęła Rose, gdy w tym samym momencie Assad obrócił klucz i silnik nad ich głowami uruchomił się z warkotem.

– Ale jeszcze nie teraz, trzymaj się, Marcus.

I kiedy pod ich stopami klikały zapadki kolejnych poziomów szybu i winda pięła się do góry, Carl wyłączył komórkę i cisnął ją za krawędź dachu na hałdę odpadów na ziemi.

Sobota, 26 grudnia 2020, drugi dzień świąt

SISLE/CARL

Sisle drgnęła, słysząc kliknięcie zapadki i widząc, jak winda odjeżdża w górę.

Uczucie zwątpienia i dezorientacji sprawiło, że na chwilę znieruchomiała. Czy nastąpiła awaria urządzenia, a jeśli tak, to czy będzie można ją usunąć? Zeskoczyła ze stołu i wcisnęła guzik przywołujący dźwig. To musi być awaria, ale jeśli winda stanie dopiero sama z siebie, to czy będzie można znów ściągnąć ją na dół?

Wcisnęła guzik raz po raz, ale nic to nie dawało.

Odsunęła się od drzwi dźwigu. Jeśli to nie awaria urządzenia, to na górze ktoś na tę windę czeka. Tylko kto?

„Podłożyłam ogień pod dom, zamknęłam oczy Debory, ale czy sprawdziłam też puls Adamowi?” – próbowała sobie przypomnieć i ogarnęły ją wątpliwości.

Jakim cudem Adam mógł przeżyć takie uderzenie, czy to w ogóle możliwe? I jak miałby się tak szybko ocknąć, skoro płomienie pochłonęły cały tlen z pomieszczenia?

Sisle przyłożyła ucho do drzwi windy. Adam był jedyną osobą na świecie, która znała to miejsce i wiedziała, że ona będzie tu teraz przebywać. Znaleźli je razem i nikt, nawet Debora, nie dysponował informacjami o jego lokalizacji. Kiedy Sisle tu jeździła, nigdy nie parkowała na własnym parkingu. Wołała już przejść pięćset metrów i rozejrzeć się dobrze, nim puszczała się biegiem wokół budynku, przemierzała składowisko i wbiegała na parter.

Ale mimo wszystko, może to jednak ludzie z sąsiednich budynków? Nie, to niemożliwe. Poza tym do uruchomienia windy potrzebny był klucz, a kto go miał oprócz niej? Tylko Adam.

„On mnie zabije, jak tylko będzie mógł! – pomyślała. – Ma tyle powodów do zemsty i dużą wprawę w odbieraniu życia”.

Sisle odwróciła się do obu mężczyzn. Na przedzie siedział Gordon Taylor, nawet nie kryjąc wesołości. Czyli pojął, co się święci.

– Już idą! – powiedział Gordon, odwracając się połowicznie do swojego koleżki. – Maurits, słuchaj! Już idą, by nas uratować. Wiedziałem! – Wybuchnął histerycznym śmiechem, który nappełnił Sisle odrazą. Ogólnie nie znosiła, gdy ludzie w granicznych momentach tak się zachowywali. Dlaczego nie mogą przyjąć swojego losu z godnością?

– Zamilknij, Gordonie, bo cię do tego zmuszę.

Być może facet zmiarkował, że bitwę można uznać za wygraną dopiero wtedy, gdy przeciwnik się podda. Uśmiech bezpowrotnie zniknął z jego twarzy, gdy Sisle z trudem dosunęła ciężki stół do drzwi windy.

– Najpierw zajmę się wami, a potem Adam dostanie zastrzyk jedną ze zużytych strzykawek, na szczęście wystarczy dla całej waszej trójki. Wbiję w niego igłę, gdy tylko otworzy drzwi, zaręczam więc, drodzy przyjaciele, ruszycie dziś całą ekipą do piekła.

Strzykawki były gotowe do użycia, przygotowała je przecież dzień wcześniej z Adamem, więc tylko je sprawdziła, po czym podeszła do każdego z krzeseł i położyła po jednej przed każdym z nich. Do ukończenia rytuału zostało jeszcze odczytanie wyroku śmierci, a ze względu na okoliczności tę część należy oczywiście skrócić. Ale to przecież siła wyższa; kliknięcia zapadek przypominały jej, że za niecałą minutę Adam znajdzie się na ich poziomie.

Podeszła do Mauritsa van Bierbeka i spojrzała mu w oczy. Nie uległo wątpliwości, że mężczyzna wie, co się wydarzy, i że już się poddał.

– Mauritsie van Bierbeku, przeżyłeś swoje życie w grzechu. Sprzeniewierzyłeś się licznym zasadom i porządkowi, które Bóg w niebiosach stworzył dla nas, ludzi. Raz po raz dopuszczałeś się następstw grzechu pierworodnego, który zatruwa nas, ludzi, od czasu Edenu, i teraz umrzesz, Mauritsie.

– Jesteśmy tutaj, pomocy! – zaczął wrzeszczeć Gordon Taylor za jej plecami.

Również ona usłyszała metaliczny trzask windy, gdy ta dotarła do dna szybu i drzwi automatycznie próbowały się otworzyć, uderzając o stół.

„Tylko spróbuj, Adamie, dopadnę cię, gdy na nie naprzesz” – pomyślała.

– Gordon! – krzyknął ktoś głosem, który nieoczekiwanie okazał się kobiecy, a zawołany aż wrzasnął z radości i odkrzyknął, żeby się pospieszyła.

Sisle była zszokowana. Nie samą niespodzianką, nie tym, że złapano ją na gorącym uczynku. Była zszokowana tym, że nie wie, co ma zrobić. Jaki jest jej plan awaryjny?

Odwróciła się ponownie do Mauritsa van Bierbeka, który przechylił głowę na bok. Wyraz jego twarzy wyrażał tylko smutek.

– Mauritsie van Bierbeku, czy odczuwasz skruchę za swoje życie i grzechy? – spytała, podsuwając igłę w okolice jego serca.

– Przestań, Sisle! – zawołał Gordon. – W imię Boga, przestań!

– W imię Boga? – Kobieta uśmiechnęła się, podczas gdy Gordon Taylor lamentował za jej plecami. – W imię Boga dopełnię swojego powołania.

Pochyliła się nad Bierbkiem i napierając całym ciałem, wbiła igłę w jego klatkę piersiową.



– Niiieeee! – krzyknął Gordon.

Bierbek wierzgnął i otworzył szeroko oczy. Ból towarzyszący wbijaniu w serce grubej igły sprawiał, że jej ofiary milkły. Sisle pamiętała to z obu poprzednich razów.

– Mauritsie van Bierbeka. Podziękuj Stwórcy za lata życia na ziemi, którymi cię obdarzył – powiedziała, dociskając tłoczek do końca.

W kolejnych sekundach w pokoju zapanował chaos. Bierbek dostał spazmów i przy wtórze szczękających łańcuchów opadł na bok krzesła. Gordon wrzeszczał jak opętany, a w pomieszczeniu nagle rozległy się krzyki kilku osób i łomotanie w drzwi windy, które powoli odsunęły stół.

I kiedy życie uchodziło z Mauritsa van Bierbeka, który toczył pianę z ust, wstrząsany niekontrolowanymi spazmami, od których gwałtownie drżały mu nogi, Sisle odwróciła się do Gordona Taylora i schyliła po strzykawkę leżącą u jego stóp.

– Dłaczego? – wrzasnął.

Park odwróciła się raptownie do windy i stołu, który nagle się przechylił i wywrócił z łoskotem, aż pojemnik z roztworem soli spadł na ziemię i płyn rozlał się po podłodze.

Do środka wtłoczyła się trójka szatanów z Departamentu Q; każde trzymało w rękach szpikulce ze stali zbrojeniowej, którym zapewne zamierzali ją powalić. Najbliżej Sisle znalazł się imigrant, który ścisnął nad głową prowizoryczną broń.

Sisle zrobiła głęboki wdech i skierowała igłę w stronę serca Gordona Taylora. Ogarnął ją osobliwy spokój. Przecież to ona miała przewagę.

– Jak tylko spróbujecie rzucić we mnie tymi szpikulcami, wbiję igłę w serce waszego przyjaciela. Spójrzcie, co mu się stanie – powiedziała, odnosząc się do śmiertelnego rżenia Mauritsa van Bierbeka. – Odłóżcie szpikulce i stańcie pod najdalszą ścianą. Jeśli będziecie zachowywać się spokojnie, zdejmę pęta Gordonowi i zabiorę go ze sobą do windy. Jeśli choćby drgniecie, wkłuję igłę. Jeśli będziecie stawiać opór, też mu ją wbiję. Wiecie, że nie blefuję.

Spojrzała na nich z chłodem, ale nie ruszyli się z miejsca. Wtedy docisnęła igłę pod obojczykiem Gordona, aż ten wrzasnął i dwójka policjantów upuściła szpikulce. Ale imigrant tego nie zrobił.

Kobieta próbowała go namówić, by posłuchał Sisle, ale on się upierał.

– Przestań, Assad – jęknął Gordon.

– Nie, Gordon, uwierz, ona zabije cię w windzie – odparł tamten.

Sisle się zaśmiała.

– Widzę, że masz do mnie wielkie zaufanie, mały człowieczku? – spytała.

Wtedy Carl Mørck postąpił krok do przodu.

– Nie zabijesz go. A nie zrobisz tego dlatego, że jest niewinny, prawda, Sisle?

Nie zareagowała na jego słowa.

– Przecież jesteś aniołem sprawiedliwości, zgadza się?

– Jestem aniołem sprawiedliwości i aniołem zemsty. Wybrany przez Boga.

– To udowodnij to, bo ci nie wierzę – powiedział. – Zabiłaś małego chłopca, miał na imię Max. Dziś byłby w wieku Gordona i tak jak on był całkowicie niewinny. Pośrednio zabiłaś też jego matkę, miała na imię Maja i też nie ponosiła za nic żadnej winy. Wreszcie zabiłaś Pauline Rasmussen, która, tak jak pozostali dwoje, była niewinna. Dowiedz więc, Sisle, że Bóg jest z tobą. Wtedy posłucham twoich żądań.

– Nie jestem narzędziem w waszych rękach, tylko w rękach Boga, który zostawił na mnie swoje znamię na całą wieczność – powiedziała, wpychając igłę o centymetr głębiej.

Krzyk Gordona zmusił do reakcji kobietę z Departamentu Q.

– Możemy zobaczyć twoje znamię, Sisle? Wtedy zostawimy cię w spokoju.

Uśmiechnęła się. Odkąd wypisali ją z oddziału leczenia oparzeń, jej znamię widział tylko ten bydlak Palle Rasmussen. Spotkali się, gdy się do niego mizdrzyła, by zdobyć jego zaufanie, a on bez ostrzeżenia i bez wahania jednym ruchem rozerwał jej bluzkę.

Zapowietrzył się na widok blizn, a Sisle mocno go uderzyła. Ku jej zaskoczeniu podobały mu się zarówno blizny, jak i ciosy.

– Znamię dane mi od Boga jest tutaj – powiedziała, rozpinając koszulę. Wszyscy troje wlepili wzrok w jej ciało, a ona delektowała się tym, jak ich spojrzenia błędzą po niej w górę i w dół. Ona też się tak czuła, oglądając się nago w lustrze.

Gruźłowate białe i czerwone blizny, wżerające się w ciało na prawie całej powierzchni tułowia, sprawiły jej dużo cierpienia, ale pośrodku zmienionej tkanki widniał kawałek białej skóry układający się w znak krzyża, co było znakiem Bożej łaski, czy tego nie widzą? Owszem, poparzenie powstało po rażeniu piorunem, ale wysłanym przez sprawiedliwy palec Boży. Święty symbol jej niezniszczalności i misji.

Nie zauważyła szpikulca, który cisnął śniady mężczyzna, ale poczuła, jak wbija się w jej lędźwie i powala do tyłu. Próbowwała natychmiast się podnieść, ale czuła, że to niemożliwe.

Sisle spojrzała po sobie i na szpikulec, którego jeden koniec wystawał z jej ciała, a podczas jej upadku drugim końcem wbił się w martwe ciało Mauritsa Bierbeka. Krótko mówiąc, została przygwożdżona do własnej ofiary.

Obserwowała, jak śniady mężczyzna zbliża się do niej i staje nad nią okrakiem, podczas gdy kobieta uwalniała wycieńczonego kolegę.

– Przez resztę swojego życia będziesz odczuwać, jaką karę Bóg wyznacza fałszywym prorokom – powiedział Carl Mørck. – Zostaniesz odizolowana w miejscu, gdzie twoje chore pomysły nie będą już mogły wpłynąć na innych ludzi. Będziesz odseparowana

od świata zewnętrznego, aż w końcu nie będziesz go już pamiętać. I każdego dnia będziesz się modlić do Boga o przebaczenie za obłąd, w który popadłaś, ale On nie będzie mógł ci go udzielić, Sisle Park. Gwarantuję ci to.

Sisle się uśmiechnęła. Jakże się mylą ci niczego nieświadomi, głupi ludzie. Jacy są żałośni i mali. Pozbawieni misji i celu, bojaźni Bożej i zbawienia, które przypadnie w udziale jej. Nadszedł czas żniw, w którym wreszcie ze spokojem umysłu zostanie wyzwolona z tego nieznośnego, bezbożnego świata. Podniosła rękę, ściskając mocno strzykawkę. Czubek się odłamał; prawdopodobnie wciąż tkwił pod obojczykiem Gordona Taylora, ale igła i tak była wystarczająco długa, by wykonać przeznaczone dla niej zadanie.

– Puść ją – powiedział śniady mężczyzna, gotowy odskoczyć do tyłu, by Sisle nie wbiła mu strzykawki w nogę.

– Ani jedno słowo z pana przepowiedni się nie spełni, panie Mørck. Bóg na mnie czeka i będzie się mną opiekował na wieki wieków.

Zamknęła oczy, podniosła rękę tak wysoko, jak tylko mogła, i pchnęła strzykawkę w obnażone ciało tuż nad sercem, gdzie widniał biały krzyż.

Gdy docisnęła tłoczek do końca, odczuła wielką ulgę.

## epilog

---

Sobota, 26 grudnia 2020, drugi dzień świąt

CARL

– Zbieraj się, Carl – powiedziała Rose. – Assad i ja wezwaliśmy taksówkę, by zawieźć Gordona do szpitala.

Carl spojrział na bladego kolegę, który siedział z głową między nogami, próbując ochłoniąć z szoku i wszystkich zadanych mu cierpień. Minie trochę czasu, nim znów będzie sobą. O ile w ogóle.

Carl ostrożnie położył mu rękę na plecach.

– Dobrze sobie poradziłeś, Gordon, już jest po wszystkim. Teraz będziesz mógł spokojnie wziąć kilka tygodni urlopu.

Choć chłopak był wyczerpany, w jego oczach nie widać było nawet śladu słabości, gdy podniósł głowę do Carla.

– Nie ma mowy – odparł. – Dopóki po świecie chodzą takie szmaty jak Sisle Park, nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

– Tak jest, hop z powrotem na wielbłąda, jak to się mówi – dodał Assad.

Rose próbowała się uśmiechnąć, ale było to trudne, bo co czeka teraz pracowników Departamentu Q?

– Carl, masz kilka godzin w spokoju z Moną – powiedziała. – Dopiero jak skończymy oględziny miejsca zbrodni z Marcusem Jacobsenem i jego ekipą, wyjawimy mu, gdzie przebywasz. Nie może to być dom, bo ten na bank nadal jest pod obserwacją.

Skręcił z autostrady, oddalając się od miasta. Miotają nim sprzeczne uczucia. Było ciężko, nadal jest. Tęsknota za rodziną, covid, cierpienie Gordona, wszystkie te smutne ludzkie istnienia.

A teraz człowiek, którego próbowali uratować, leży martwy na betonowej podłodze.

Kilka lat wcześniej Carl przeżył atak paniki z powodu starej sprawy zabójstw gwoździarką, a teraz ta sprawa znów stała się częścią jego rzeczywistości; ścigano go. Czy nigdy się od niej nie uwolni?

Zaśmiał się sam z siebie. „Częścią jego rzeczywistości”, cóż za eufemizm. A jaka była ta jego rzeczywistość? Że pójdzie do więzienia? Że właśnie jedzie do domu rodziny Bierbeków w Gammel Holte, by przekazać im najgorszą z możliwych wieści?

Miał już w tym wprawę. W łamaniu serc wiadomością o śmierci ukochanej osoby. Kraksy samochodowe, nieszczęśliwe wypadki, samobójstwa, a teraz morderstwo.

Kroki do domu wydały mu się ciężkie i smutne, szczególnie że drzwi otworzyły Laura i jej młodsza siostra.

Nie zdążył nic powiedzieć. Zrozumiały od razu.

Nieco później tego samego wieczora przybyła Mona, która pomogła Victorii i dziewczynkom trochę się uspokoić.

– Carl, musisz walczyć z całej siły – powiedziała Mona, gdy wreszcie zostali sami. – Skontaktuję się z Hardym, żebyśmy wiedzieli, co ma do powiedzenia. Poinformuję cię.

– Ale co z Lucią, Mono? Kiedy ją zobaczę?

Uśmiechnęła się, spoglądając na jego rude włosy.

– Jesteś moim mężem, a ja przywykłam do odwiedzania więzień, więc chyba coś wymyślę? Ale będziesz musiał włożyć czapkę, żeby mała się nie wystraszyła.

– Okej, jeśli pójde do więzienia.

– Tak, jeśli.

– Assad i Rose byli na miejscu zdarzenia, więc w każdej chwili możemy się spodziewać policji – powiedział Carl.

Mona skinęła i objęła męża.

Po kilku minutach ściany wokół nich zaczęły pulsować niebieskim światłem i z licznych białych samochodów wysypało się mnóstwo policjantów w cywilu i podbiegło do drzwi wejściowych.

Otworzyli sami; podszedł do nich Marcus Jacobsen z „Psem Tropiącym” i kilkoma osobami, których Carl nie rozpoznawał.

Marcus skinął do Mony, a potem zdawkowo kiwnął głową do Carla.

– Rozwiązaście sprawę i ją zakończyliście.

Carl potaknął.

– Owszem. Nie uratowaliśmy życia Bierbekowi, ale próbowaliśmy.

– Rose i Assad mi wszystko wyjaśnili, wrócimy do tego. Tymczasem miejmy już za sobą formalności.

Carl kiwnął głową i dwóch mężczyzn chwyciło go i skuło mu kajdankami ręce na plecach.

– Carl jest niewinny, Marcus, powinieneś to wiedzieć – powiedziała Mona.

Marcus Jacobsen uśmiechnął się krzywo i w tej chwili Carl miał ochotę splunąć mu w twarz, ale tego nie zrobił.

– Bardzo możliwe, ale nie sądzę – odparł szef Wydziału Zabójstw i spojrzał Carlowi w oczy. – Carlu Mørck, jest dwudziesta pierwsza siedemnaście. Jesteś aresztowany.

## podziękowania

---

Dziękuję mojej małżonce i bratniej duszy Hanne za czułe wsparcie i niezastąpione komentarze przy pierwszej lekturze. Ogromne podziękowania należą się Henningowi Kure za poklepywanie po plecach. Składam również podziękowania Elisabeth Ahlefeldt-Laurvig za codzienne wsparcie, wykonanie kwerendy, wielozadaniowość i pomysłowość. Elsebeth Wæhrens, Eddiemu Kiranowi, Hanne Petersen, Michy Schmalstiegowi, Kesowi Adlerowi-Olsenowi, Jesperowi Helbo, Sigrid Engeler i Karlowi Andersenowi dziękuję za błyskotliwe wstępne korekty i sugestie. Kłaniam się swojej nadzwyczaj skrupulatnej i wszechstronnej redaktorce Lene Wissing z wydawnictwa Politiken za absolutny profesjonalizm i umiejętność zaradzenia każdemu problemowi. Dziękuję Lene Juul i Charlotte Weiss z wydawnictwa Politiken za wszelkiego rodzaju wsparcie i zachęty. Charlotte Fournais składam podziękowania za koordynację wszystkiego, co się da. Tomasowi Henriksenowi należą się podziękowania za czujność w nadzorowaniu procesu produkcji, a Mogensowi Larsenowi z Nørhaven za otwarte drzwi. Dziękuję Helle Skov Wacher za PR wokół powieści, a Louise Kønig za kontrolowanie tego, co nie mogło umknąć. Szefowej marketingu Pernille Weil i szefowej sprzedaży Pernille Hjorth składam podziękowanie za poniesienie powieści w świat. Korektorkom Jette Thillemann Wulff, Ane Horslund i Louise Urth Olsen za baczne spojrzenie. Serdeczne dzięki składam pozostałym członkom ekipy z wydawnictwa Politiken za ich nieoceniony wkład i za to, że dzięki nim wszystko idzie jak po maśle. Podziękowania należą się też komisarzowi Leifowi Christensenowi za poprawki odnoszące się do pracy policji. Dziękuję Rudiemu Urbanowi Rasmussenowi i Sigrid Stavnem za istotne spostrzeżenia i niespożyta energię. Wyrazy wdzięczności składam Bobo Madsenowi za udostępnienie nazwiska postaci z powieści, za pośrednictwem Danmarks Indsamling. Olaf Slott-Petersen niech zechce przyjąć ode mnie wyrazy wdzięczności za stworzenie nowych, jeszcze lepszych warunków do pisania w Barcelonie. Wielkie dzięki dla Thomasa Szøke za piękną okładkę. Rzecznikowi prasowemu policji Thomasowi Kristensenowi dziękuję za pomoc w nawigowaniu po systemie. Inspektorowi kopenhaskiej policji Danniemu Rise składam podziękowania za otwarcie przede mną drzwi na Teglholmen i aktualizację mojej wiedzy na tematy policyjne. Jesper Deis, Nicklas Josephsen i Steffen Falch Larsen niech przyjmą podziękowania za terminowe przygotowanie naszego warsztatu pisarskiego. Kłaniam się Stine Bolther za fantastyczny kurs jesienią 2020 roku. Tine Harden dziękuję za to, że po raz kolejny stworzyła unikatowy, nastrojowy plan

zdjęciowy na potrzeby kampanii, a Rie Kamp za udostępnienie nam ich fantastycznego warsztatu samochodowego.

Dziękuję wreszcie Ellie, która dała mi energię do pisania i której z tego powodu dedykuję tę książkę.

---

1 Przyszedł twój adwokat, Claes Erfurt. Czy mogę go wpuścić?

2 „Piecbara lwa” („Løvens Hule”) – duński program rozrywkowy, w którym uzdolnieni innowatorzy przedstawiają potencjalnym inwestorom swoje pomysły na biznes. W Polsce format ten istnieje pod nazwą „Dragon’s Den – jak zostać milionerem”.